

ŚWIATOWY BESTSELLER

Harold Robbins **MAGNAT**

ALFA

Harold Robbins **MAGNAT**

Mocny seks, wielkie pieniądze, wielkie namiętności i potężna władza na przestrzeni blisko pół wieku. Harold Robbins miesza te ingrediencje z kunsztem alchemika i otrzymuje czyste złoto; jego książki stają się prawdziwymi bestsellerami.

Jack Lear jest wyjątkowym rekinem biznesu kierowanym niepohamowaną ambicją. Zdobywa ogromną fortunę, zakłada sieć radiową i telewizyjną, poślubia kolejno dwie piękne kobiety. Nic jednak nie jest w stanie powstrzymać płonącej w Jacku żądzy sukcesu, pokonania wrogów i rywali, aż do chwili gdy z najmniej oczekiwanej strony pojawia się zagrożenie: ktoś chce wydrzeć mu z rąk imperium, które stworzył.

Harold Robbins to mistrz nad mistrzami

-Playboy

**Każdego tygodnia ponad 280000 ludzi w USA
kupuje Książki Harolda Robbinsa**

-Saturday Review

Cena zł 45,-

ISBN 83-7179-206-9



9 783837 792069 >

Harold Robbins **MAGNAT**



Przetoczyła
Ewa Pankiewicz

Wydawnictwo ALFA
Warszawa 2000

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1. - 1931

Najważniejsze i decydujące w życiu Jacka Leara było to, że przyszedł na świat jako wnuk Johanna Lehrera i syn Ericha Leara oraz to, że ożenił się z najpiękniejszą kobietą w Ameryce.

Jego żona miała na imię Kimberly... Kimberly Bayard Wolcott Lear. Późnym środowym wieczorem, 19 sierpnia, siedziała przed lustrem toaletki w ich pokoju w Ambassador Hotel, rozczesując ciemnokasztanowe włosy. Wcześniej, na kolację z rodziną Learów - dziadkiem, ojcem, bratem i bratową Jacka - upięła je za uszami, odsłaniając brylantowe kolczyki, ale teraz szczotkowała je, aby były gładkie i lśniące; takie, jakie podobały się Jackowi. Jeszcze nie zmyła makijażu. Brwi, wygięte w dwa delikatne łuki były ciemne i ładnie zarysowane, ale podkreślała je ołówkiem. Wytuszczyła też mocno rzęsy i zaznaczyła różem kości policzkowe, a starannie dobrana szminka nadawała jej ustom ckliwie teatralny wygląd. Szczotkując włosy prawą ręką, w lewej trzymała papierosa w bursztynowej cygarnicze.

Miała na sobie różową jedwabną bieliznę.

- Czy było to tak nieprzyjemne, jak cię uprzedzałem? - zapytał Jack. Kimberly zaśmiała się cicho i wzruszyła ramionami.

Pobrali się przed dwoma miesiącami. Chociaż wysłali zaproszenia do jego rodziny, nikt nie przyjechał do Bostonu na ślub. Jack i Kimberly odbyli więc tę podróż do Los Angeles, by się spotkać - lub raczej stanąć twarzą w twarz - z rodziną Learów.

- Mówiłem ci, że spodobasz się dziadkowi. Jestem pewien, że myśli, iż to dziwne, a może zabawne, że poślubiłem *szikse**.

- Mówiłeś też, że nie spodobam się twojemu ojcu. I najwyraźniej mnie nie polubił.

* szikse (żyd.) - dziewczyna nieżydowskiego pochodzenia.

- Gdyby żyła moja matka, sprawiłaby, żeby cię polubił. Tak naprawdę to ojciec nie czuje do ciebie antypatii, tylko uważa, że za twoją przyczyną plany wobec mnie spaliły na panewce. Przyzwyczaiłem się kroczyć własną drogą.

- Widać też, że nie ma sympatii między nim a twoim bratem - zauważyła Kimberly.

- Ojciec uważa, że Robert wdał się w jakiś niedorzeczny interes; w biznes, który może być chwilowym kaprysem i chyba nie ostatnią fanaberią. Nazywa go *Leichtgewicht*, nic nie znaczące zero. Tak mówi, ale skądinąd wiem, że inwestuje pieniądze w biznes Boba. Chodzi o produkcję filmów.

- Poczekał aż się dowie, w jaki interes ty się pakujesz!

- Wpadnie w szal, będzie się pienił!

Jack sięgnął po butelkę whisky - prawdziwego lekarstwa, jak ją nazywali; ponownie napełnił szklaneczkę żony i swoją, a potem srebrnymi szczypcami wyjął kostki lodu ze srebrnego wiaderka.

Jack Lear nie był jednym z najprzystojniejszych młodych ludzi w Ameryce. Miał bezpośrednią, otwartą twarz, spoglądając prosto na rozmówcę oczy i wydatne usta, które uśmiechały się ochoczo i szczerze. Już teraz, chociaż skończył dopiero dwadzieścia pięć lat, jego czarne włosy zaczynały powoli odsłaniać czaszkę więc dokładał wszelkich starań, by zaczesywać je do przodu, próbując zakryć poszerzające się zakola nad czołem. Nie zwracał sobie głowy cygarniczką i trzymając camela w palcach, głęboko zaciągał się dymem.

- Naprawdę nie sądzę, bym mogła mieszkać w Kalifornii - mruknęła Kimberly. - To pustkowicie z wystawnymi pałacami tu i ówdzie, zamieszkałymi przez jakichś ważniaków.

- Nie musisz mieszkać w Kalifornii - odparł Jack. - Przecież nawet nie było mowy o tym, żeby tu zamieszkać. Nie jesteśmy tu u siebie.

- Dorastałeś tutaj.

- Tak... ale tu nikt nie mieszka.

- Nikt, kogo chcielibyśmy znać - uściśliła Kimberly z szerokim uśmiechem.

Jack przyglądał się żonie z niezmaconą przyjemnością. Nigdy wcześniej nie znał nikogo, kto myślałby tym samym torem. Potrafił przewidzieć jej komentarz. Strząsnęła z siebie różową bieliznę i była teraz naga, miała na sobie jedynie pończochy z podtrzymującymi je podwiązkami i pantofle. Pociągnął Kimberly na łóżko do siebie i zaczął pieścić jej piersi. Uwielbiał je. Były małe i jędrne, z ciemnoróżowymi sutkami. Jack pochylił się i sięgnął po lewy sutek wargami.

- Przyjemność za chwilę, najpierw rozmowa - ostudziła go Kimberly.

- Twój ojciec wciąż myśli, że zamierzamy zostać w Los Angeles. Nawet kiedy mówił o domach, które mógłbyś kupić, nie powiedziałeś mu, że tu nie zamieszkamy. Nie wyjaśniłeś mu też, że nie masz zamiaru wchodzić w jego biznes.

- Możesz mnie sobie wyobrazić w przedsiębiorstwie ojca? Nazywają go zgniataczem kadłubów okrętowych, ale w istocie jest właścicielem składu starego żelastwa, szmaciarzem, co czasami przypomina mu dziadek. Nawet myśleć o tym nie mogę, Kimberly.

- Cóż, rozmawialiśmy już na ten temat, nieprawdaż? Rzecz nie tylko w tym, że takie zajęcie jest dla ciebie nieodpowiednie. Ale pomyśl o życiu pod jego okiem! Ostrzegałeś mnie, że twój ojciec jest surowy i... i...

- Bezwzględny.

- Właśnie. Jednak to twój ojciec i nie zamierzałam użyć takiego słowa. Ale ty nie możesz dla niego pracować, Jack, jesteś zbyt dobry, za miękki. On chce cię zdominować. Poza tym jesteś zbyt refleksyjny, za bardzo... intelektualny, by wchodzić w... dobrze, to twoje słowa... w szmaciany interes zbieracza złomu. Intelektualiście potrzebny jest zawód, który daje możliwość tworzenia, kreowania...

Jej słowa ani nie zaskoczyły, ani nie zmartwiły Jacka. Sam uważał się za intelektualistę. Ojciec i brat byli inteligentni, można by nawet powiedzieć, że wojowniczo inteligentni, ale żaden z nich nie był typem myśliciela, skłonny do dociekań, refleksji i rozważań. Może on odziedziczył swą intelektualną umysłowość po dziadku, Johannie Leherze, który zanim wyjechał z Niemiec, był naukowcem.

Kimberly także miała pewne intelektualne dziedzictwo. W jej rodzinie po stronie matki znalazł się profesor retoryki uniwersytetu w Yale, zaś prapradziadek ze strony ojca był natchnionym jankeskim kotlarzem, który wynalazł proste urządzenie do wyciągania zużytych ładunków z łuf otwieranych po strzale, co oszczędzało strzelcowi trudu każdorazowego wyciągania gorącej łuski palcami. Na tym wynalazku opierała się fortuna rodziny Wolcottów, ten wynalazek stanowił fundament przedsiębiorstwa Kettering Arms Inc., którego prezesem był ojciec Kimberly.

- Czeką cię ostra konfrontacja - ostrzegała męża Kimberly. - Kiedy zamierzasz mi powiedzieć?

- Jutro.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Nie spodoba mu się to. Nie przyjmie tego zbyt powściągliwie. Jack wzruszył ramionami.

- Może to przyjąć, jak chce, Kimberly. Podjęliśmy już decyzję.

2.

Poukładali poduszki, a Jack nastawił radio, znalazł stację, która nadawała muzykę i ściszył dźwięk. Leżeli przytuleni.

- Opowiedziałem ci już trochę, ale nie wszystko o dziadku - odezwał się do żony. - Mówiłem ci, że moja rodzina nie nazywa się Lear, lecz Lehrer, co po niemiecku oznacza nauczyciela. Cóż, mój dziadek był profesorem objawionej i rozumnej religii; intelektualistą odpowiadającym definicji człowieka błyskotliwego. Nie powiedziałem ci jednak, iż był także wybitnym rabinem. Już wtedy, gdy był młody, ludzie przychodzili do niego z pytaniami o reguły żydowskiego prawa i akceptowali jego decyzje. Był uczonym, Kimberly. W 1888 roku uciekł z Niemiec, ponieważ podlegał pruskiemu powszechnemu obowiązkowi służby wojskowej i żył w strachu, że go powołają do armii. Możesz sobie wyobrazić żydowskiego profesora i rabina z pejsami jako szeregowca w pruskim regimencie? On nie mógł. Wolał rzucić dom i ojczyznę, niż ryzykować wcielenie do wojska. W Ameryce zaś skończył jako ktoś, kogo sam nazywał szmaciarzem.

- Zbieraczem złomu - zasugerowała.

- Szmaciarzem. W tym kraju nie mógł znaleźć pracy w swojej profesji, gdyż nie znał angielskiego. Został więc szmaciarzem, początkowo jeździł z ręcznym wózkiem. Ale zarobił na tym piekielnie dużo forsy. Mój ojciec kieruje teraz przedsiębiorstwem...

- ...jako zgniatacz kadłubów statków - dopowiedziała Kimberly - co mój ojciec sprawdził, chcąc się dowiedzieć, kim jest Erich Lear.

Jack skinął głową.

- Bycie zgniataczem kadłubów oznacza tylko to, że sprzedaje się złom w tysiącach ton. Kiedy mój dziadek przeszedł na emeryturę, z przedsiębiorstwa odeszła też ostatnia etyczna myśl. Mój ojciec jest również zgniataczem związków zawodowych. Podobnie jak Henry Ford, zatrudnia rzezimieszków.

- Ja... A niech cię, Jack! Doprowadzasz mnie do szału. Jak możemy rozmawiać o czymś poważnym, skoro twój kogucik stoi niczym maszt?

Jack roześmiał się szeroko, gdy Kimberly sięgnęła po jego członek i zamknęła go w dłoni, a potem pochyliła się i obdarzyła szybkim, czułym pocałunkiem.

- Musisz mi obiecać, że zrobisz to przynajmniej dwa razy - powiedziała z figlarnym błyskiem w oku. - Za pierwszym razem dochodzisz zwykle przed odbyciem całej drogi.

- Przedwczesny wytrysk.

- A zatem? Za drugim razem nie będzie „przedwczesny”. Czy za trzecim. Musisz go powstrzymać, dopóki ja nie dojdę.

- Załatwione! Pracuję nad tym - zapewnił ją ze śmiechem.

Zaprzestali używania prezerwatyw, bo doszli do wniosku, że chcą mieć dzieci. Parę dni temu lekarz stwierdził u Kimberly wczesną ciążę. Aczkolwiek Kimberly była drobna, a Jack miał członek wręcz imponujących rozmiarów, wiedzieli już, że mieściła go całego, choć musiał wchodzić w nią powoli, by miała czas, żeby się otworzyć. Napierał więc lekko, a potem trochę mocniej. Jęknęła cicho i skinęła głową. Rozpoczął niespieszne ruchy, a Kimberly otwierała się stopniowo, aż wkrótce cały był w niej. Wtedy opadł w dół i uniósł jej biodra, by wyszła mu na spotkanie.

A jednak było tak, jak przewidywała. Osiągnął orgazm bardzo szybko i wytrysnął wielkim strumieniem, którego część wypływała z niej teraz, połyskując na udach.

- Zrobie nam nowe drinki, zanim zaczniemy jeszcze raz - mruknął.

3.

Kiedy wstał, by dolać szkockiej do szklaneczek, usłyszeli pukanie.

- Kto tam? - zapytał, podchodząc do drzwi.

- **Grossvater!**

Kimberly rzuciła Jackowi granatowy szlafrok, a sama włożyła pomarańczowy jedwabny peniuar.

Jack otworzył drzwi.

- **Willkommen, Herr Professor** - powiedział. Zwracał się do dziadka w ten sposób od wielu lat, wiedział bowiem, jak bardzo starszy pan to lubi.

Johann Lehrer rozejrzał się szybko po hotelowym pokoju, uśmiechając się przy tym raczej oczami niż ustami.

- Obawiam się, że przeszkadzam... w czym przeszkadzam - rzekł.

Kimberly staranniej otuliła się peniuaem, który, przylegając ciasniej, ujawniał teraz więcej niż przedtem, gdy opadał luźno.

- A zatem... - mówił dalej Johann Lehrer - cóż, będziecie mieć inne okazje... wiele razy... Macie ich chyba dosyć, gdy nikt wam nie przeszkadza, nawet natrętna myśl.

- Szklaneczkę szkockiej, **Herr Professor?**

- Małą.

Gdy Jack przygotowywał drinka, Kimberly zniknęła w łazience, skąd po chwili wróciła w aksamitnym szlafroku. Johann Lehrer nie udawał, że nie wie, dlaczego się przebrała. Uśmiechał się coraz szerzej.

Jack nie przestawał zdumiewać się i martwić tym, jak bardzo jego dziadek podupadł fizycznie w ostatnich latach. Co roku zdawał się nosić spodnie coraz wyżej, a teraz szelki podciągały mu je niemal pod pachy. Wciąż nosił także ten sam popielaty garnitur w drobne czarne prążki, który włożył na dzisiejszą kolację. W przeszłości nigdy całkowicie nie odsłaniał głowy, lecz teraz, odłożywszy kapelusz, odkrył pokrytą wątrobianymi plamami łysinę bez jarmułki. Wargi mu drżały, a oczy stały się wodniste.

Ponieważ Kimberly nalegała, Johann Lehrer usiadł w najlepszym fotelu hotelowego pokoju.

- Przeszkadzam wam z ważnego powodu - oświadczył. - Mój najstarszy wnuk poślubił wspaniałą gojkę. Poleciałem zbadać historię twojej rodziny, Kimberly. Wiedziałaś, że jeden z twoich jankeskich antenatów był domokrażnym handlarzem, wędrującym po drogach w jakimś wozie i sprzedającym garnki, biblie, kalendarze, a nawet kapelusze i buty? Potem twoi przodkowie zostali fabrykantami i produkowali broń. A w rodzinie twojej matki był profesor uniwersytetu w Yale. Czy Jack powiedział ci, że i ja byłem profesorem?

Kimberly skinęła głową.

- Tak. Powiedział.

- Wysłuchiwał mojej historii wielokrotnie, aż do znudzenia. Może ciebie jeszcze to nie nudzi. Kiedy przybyłem do Ameryki, najpierw zbierałem różne gałgany. *Der Herr Professor Lehrer* pchający przed sobą ręczny wózek szmaciarza! Potem jeździłem zbierać złom wozem zaprzęgniętym w konia. Złomiarz! Ale wiesz... gdy się zbiera drobne żelastwo, jest się złomiarzem. Kiedy jednak gromadzi się duże, to już regeneracja surowców! Przedsiębiorstwo! „Lehrer Company”! Gdy rozrywa się stare kadłuby okrętowe, by uzyskać z nich złom, dokonuje się demontażu, ale oznacza on to samo, wciąż tkwimy w złomiarskim interesie. Jednak niektórzy z nas chcą robić coś innego. Filmy! Brat Jacka zmierza w tamtą stronę. Kiedyś sądziłem, że młodszy wnuk mógłby zostać rabinem lub nauczycielem, ale... - Stary człowiek kręcił głową.

- *Grossvater...*

- *Ja, ja, ja.* Kimberly... *Szikse...* Mój wnuk dobrze zrobił, żeniąc się z tobą. Jednak nie bardzo dobrze, skoro nie ucieka od mego syna. Erich jest dobrym człowiekiem, ale myśli, że podjął już za Jacka wszystkie decyzje, zaplanował mu całe życie. Niewiele go obchodzi, co robi Robert, Jack jest tym synem, o którego się troszczy i dba. Chce, byś i ty został złomiarzem. To rodzinny biznes. Nie podoba ci się, co, *szikse?* No cóż, dlaczego miałyby ci się podobać... Córka bostończyków nie chce, aby jej mąż został złomiarzem.

- Nie gardzę pańskim przedsiębiorstwem, *Herr Professor* - odrzekła Kimberly. Jej niemiecki akcent był doskonały, lecz słownictwo miała ubogie - *Ich bin in Boston geboren. Das ich richtig. Aber...*

- Nie mamy się za co przeproszać, dziewczyno. Podobasz mi się.

- *Danke schön, Herr Professor.*

- Stwierdziłem to dziś wieczorem. Mój syn zamierza zmusić was oboje do zaakceptowania jego wizji waszej przyszłości. Chce pozwolić Robertowi na odejście do przemysłu filmowego, nie tylko mu w tym nie przeszkadzając, ale nawet udzielając pewnego wsparcia. Jednak Robert to tylko młodszy syn, a ty, Jack, jesteś starszym. Spodziewa się więc, że ty...

- Nie zrobię tego, *Grossvater!*

- ...zostaniesz jego następcą, odbędziesz praktykę i w końcu obejmiesz po nim wszystko.

- W końcu... - mruknął z kwaśną miną Jack.

Stary człowiek pokręcił głową.

- Powinieneś tego dożyć.

- Nie chcę żyć pod władzą ojca - oświadczył młody człowiek.

- Znalazłem dla ciebie pewne wyjście. Ufam, że dokonujesz właściwego wyboru - rzekł Johann Lehrer, wyjmując z kieszeni marynarki jakąś kopertę i wręczając ją wnukowi. - To sprawi, że twój wybór stanie się możliwy. Dodaj zawartość koperty do tego, co zostawiła ci babcia, i złóż do depozytu bankowego, zanim twój ojciec dowie się o wszystkim, bo może uznać, że straciłem rozum.

Jack rzucił okiem na umieszczony w kopercie czek.

- *Grossvater!*

Johann Lehrer wstał z fotela, podszedł do Kimberly i objął ją.

- Dbaj o niego dobrze, dziewczyno. Mężczyźnie potrzebna jest dobra żona. Sądzę, że jesteś dobrą żoną, śliczna mała *szikse*.

Starzec ruszył do wyjścia. Zanim Johann Lehrer znalazł się na korytarzu i zamknął za sobą drzwi, Jack ucałował dłoń dziadka.

Kimberly podbiegła do męża.

- Mój Boże, Jack! Ile?

- Tyle, ile zostawiła mi babcia. Pół miliona dolarów.

- Boże! - pisnęła. - Jesteśmy bogaci! Możemy za to żyć przez resztę życia! Wraz z zapisem twojej babci daje to milion! Nie musisz wchodzić w żaden interes!

- Ależ tak, muszę! Dokonamy wielkich rzeczy! Wejdziemy w interes, który zaproponował mi twój ojciec. Nie chcę umrzeć z nudów, moja droga. A ty, jeśli zastanowisz się przez chwilę, także nie będziesz tego chciała.

Kimberly sięgnęła pod szlafrok Jacka i chwyciła jego członek.

- Mężczyźni nigdy nie będzie nudno z tym - powiedziała. - Ani jego żonie. On z pewnością dokona wielkich rzeczy.

- Wracajmy więc do nich - odrzekł ze śmiechem jej mąż. - Oby nam częściej tak przerywano!

4.

W 1931 roku Erich Lear miał czterdzieści sześć lat. Dwadzieścia lat wcześniej mógł być ucieleśnieniem owego obdarzonego mocną szczęką i falującą czupryną mężczyzny, który zalecał się do ślicznego dziewczęcia na obrazach Charlesa Dana Gibsona. Teraz nie był już „gibsonowskim” mężczyzną. Mężczyznom z jego rodziny wcześniej zaczynały wypadać włosy, a w wypadku Ericha nastąpiło to gwałtownie i całkowicie. Tam, gdzie niegdyś lśniły czarne pukle, teraz błyszczało sklepienie łysiny. Mocna, wyraźnie zarysowana linia podbródka złagodniała dzięki narosłym fałdom, ale czarne oczy Ericha pozostały przenikliwe i wciąż miały zdolność natychmiastowego przechodzenia od ciepłego, pieścizotliwego spojrzenia w groźny, karcący wzrok. Także usta Ericha Leara zachowały swój zmysłowy kształt, a on sam wciąż palił to samo: mocne, cienkie, tanie czarne cygara, które wydzielały nieprzyjemną woń.

Następnego ranka po kolacji, na której lepiej poznał nową synową, Erich wezwał Jacka do swego gabinetu. Gestem ręki wskazał mu kanapę, a sam usiadł za biurkiem w ogromnym fotelu z wysokim oparciem, który miał onieśmielać każdego rozmówcę. Zapalił cygaro; czarny dwurzędowy garnitur obsypany był już popiołem.

- Zamierzałem wczoraj wieczorem wziąć cię na stronę i powiedzieć parę słów o twojej młodej żonie, ale nie było sposobności. Zatem teraz... Chyba nie muszę ci mówić, że nie byłem zadowolony, gdy obwieściłaś zamiar poślubienia jakiejś *szikse*. Na dodatek *szikse* z Bostonu! Czegóż brakowało tym wszystkim naszym własnym gotowym do zamęścia dziewczętom? Mam na myśli te, którymi chciałem cię zainteresować. Zmysłowe, pulchne, posażne panny, wyuczone przez matki na dobre żony... Ta zaś, którą wybrałaś... Cóż, jest gładka, ułożona... bystra, może nawet zbyt bystra. Dwa razy sprzeciwiła ci się wczorajszego wieczoru.

- Kimberly jest inteligentna, szanuję jej poglądy. Nie zawsze się z nimi zgadzam i nie zawsze je akceptuję, ale je szanuję.

Erich Lear machnął ręką.

- To nieistotne. Ale jaką okaże się żoną? Pragnąłem, byś miał żonę równie wobec ciebie uległą, jak twoja matka była pokorna wobec mnie. Ta gojka z Bostonu nie ulegnie nikomu; ani tobie, ani mnie, ani komukolwiek.

Jest dobra w łóżku? Obciąga ci? Kobieta musi się nauczyć go odsysać... i lubić to.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś mówił o mojej żonie z większym szacunkiem - odezwał się Jack z powagą.

- Szacunek... Już zacząłeś, i będziesz ją szanował przez resztę swego życia. Cóż, stało się. Przypuszczam, że Kim jest w porządku; że może się okazać w porządku...

- Proszę, nie nazywaj jej Kim, jak to robiłeś wieczorem. Ma na imię Kimberly i nie lubi gdy zmieniać to na Kim.

- Zatem już cię nauczyła co lubi, a czego nie lubi. A czy także dobrze wie, co ty lubisz lub czego nie lubisz?

Jack doszedł do wniosku, że trzeba nadać lżejszy ton tej rozmowie i uśmiechnął się do ojca.

- Mam coś, co jej się podoba.

- Tak, wyobrażam sobie. Twoja matka i ja byliśmy tym zadziwieni. A poza tym, co jeszcze w tobie szanuje?

- O co ci chodzi? - Jack westchnął głośno. - Do czego zmierzasz? Erich wypuścił z cygara gęsty obłok dymu.

- Słyszałeś kiedykolwiek o statku *Keiserin Luise*, który później nazywał się *Erie*? Odzyskałem z niego czterdzieści pięć tysięcy ton stali oraz kilometry ołowianych i miedzianych przewodów, a to jeszcze nie stanowi połowy wartości. Ten statek miał wspianą stolarkę, tony dębowego parkietu, kryształowe kandelabry, pozłacaną armaturę łazienkową, windy, klatki schodowe. W minionych latach takie rarytasy nam umykały, bo nie umieliśmy ich docenić i pozwalaliśmy wywozić je dostawcom. Nie przyjmuję od dostawców ofert na tę robotę. To będzie twoje zadanie w przedsiębiorstwie. Chcę, żebyś się przeszedł po statku, zrobił spis inwentarza i wycenę. Z twoim doskonałym harwardzkim wykształceniem i wyrobionymi upodobaniami, jakich nabrałeś w Bostonie, będziesz wiedział, co ma jakąś wartość, a co nie i odróżnisz dobry materiał od szajsu i tandety. Oto twoje zadanie: odzierać te stare liniowce z ich skarbów, znajdować zbyt na luksusowe przedmioty i sprzedawać to wszystko. Jeśli uważasz, że status handlarza złomem jest poniżej twojej godności, możesz zostać dealerem antyków.

- Ojciec...

- Zrobię cię wiceprezesem z dochodem tysiąca dolarów na tydzień. Dam ci sekretarkę, która się pieprzy i ssie. Musisz mieć trochę czasu, żeby znaleźć dom i się urządzić, ale potem chcę, abyś udał się na pokład tego statku i...

- Ojciec! Nie zamierzam wchodzić w ten interes i nie przyjmę żadnej wiceprezesury. Interesuję się całkiem inną dziedziną przedsiębiorczości.

- Ach tak? A cóż to za dziedzina?
- Kupuję stację radiową.

Erich przez chwilę wpatrywał się w cygaro, a potem cisnął je przez cały gabinet, aż od spadających iskier dywan zatlił się w dwóch miejscach. Jack nie wstał, by zdusić ogień. Siedział spokojnie i patrzył, jak ojciec wylewa na płomień wodę z karafki.

- Nie masz pieniędzy, by kupić stację radiową - odezwał się Erich mrukliwie. - Jeśli przyjechałeś tutaj, by prosić mnie o pożyczkę...

- Mam pieniądze.
- Te, które zostawiła ci babcia. Zamierzasz utopić wszystko, co masz w...

- Nie muszę tego robić. Pan Wolcott tworzy korporację, która kupi tę stację. Daje Kimberly i mnie pakiet akcji i możliwość zakupienia większej ilości udziałów.

- Chcesz więc pracować dla teścia? Jakiż mężczyzna tak postępuje?
- A jakim byłbym mężczyzną, pracując dla ciebie? - odparował Jack.
- Byłbyś synem założyciela przedsiębiorstwa, moim następcą, przygotowującym się do objęcia firmy, kiedy nadejdzie czas!

- Mam zamiar objąć tę stację natychmiast. A może także inne, jeśli potrafię sprawić, by ta zarabiała pieniądze.

- Radio! Jak twój brat *Lu...*
- Wiem; *Luftmensch*. Lekkoduch. No dobrze, Bob jest głupcem, ale nawet on rozumie, że są na świecie ciekawsze rzeczy niż handel złomem.

- Ten handel złomem nie poniżał pana profesora Lehrera, ale... Och, rozumiem. Jest poniżej godności państwa Wolcottów z Bostonu i obraża cześć „najwspanialszej debiutantki roku 1929”. Ależ tak, znam się na tym. Ta cizia... wyobrażam sobie... wątpi, by taki handlarz starą blachą w ogóle znał pojęcie „bostońska debiutantka”.

- Ostatni raz nazwałeś moją żonę cizią.
- Będę ją nazywać, jak zechcę!

Jack wstał.

- Do widzenia, ojczu.

Erich uniósł głowę wysoko.

- Mój synu... Pieprz tę *szikse!*
- Już to robię. Jest w ciąży.

Ojciec rzucił mu groźne spojrzenie.

- Jeśli teraz stąd wyjdiesz, już nigdy mnie nie zobaczysz.
- Zegnaj, ojczu.

ROZDZIAŁ DRUGI

1. - 1931

Ich dom nie był okazały, ale miał dawną klasę i wdzięk. Jack i Kimberly byli z niego dumni. Położony przy Chestnut Street, nieopodal Domu Kwaków, był jednym z sześciu domów z czerwonej cegły, stykających się bocznymi ścianami. Wybudowano je w 1832 roku dla dwóch spowinowaconych rodzin: Hallowellów i Lowellów, aby starsze generacje mogły mieszkać w bliskim sąsiedztwie z młodszymi i bez trudu kontrolować ich życie. Sto lat deszczu i wiatru - oraz ekspansywne pnącza bluszczu, które od czasu do czasu należało wycinać - złagodziło surowe linie starych murów. Nocami zaś zielonkawy blask spod osłon gazowych lamp wiszących po obu stronach wszystkich drzwi sprawiał, iż wyglądały osobiwie przyciągające

Pokoje nie były duże, ale wystawnie umeblowane niemal wyłącznie antykami. Matka Kimberly, znalazwszy ten dom, zasugerowała, żeby go kupić z całym wyposażeniem. Kiedy Kimberly i Jack wyjechali do Kalifornii, pani Wolcott dopilnowała posortowania i wywiezienia ubrań oraz innych rzeczy osobistych zmarłego właściciela, zatrzymując jedynie meble, zasłony oraz dywany, które natychmiast poddano profesjonalnemu czyszczeniu. Kupiła też nowe materace i nową pościel. Nadchodziła jesień, na dwa dni szeroko pootwierano wszystkie okna, aby dom dobrze się wywietrzył przed powrotem i osiedleniem się w nim młodej pary.

Podczas pobytu w Kalifornii Jack wiedział o wszystkim, co się dzieje w Bostonie. Jego ojciec natomiast nigdy nie miał sposobności rozmawiania z nim, mimo że przebywał w Los Angeles.

Jack zainwestował sześćdziesiąt tysięcy dolarów w zapisu swojej babci w kupno i renowację tego domu i była to dobra lokata. Taki dom, w tej dzielnicy Bostonu, zawsze - kryzys czy nie - znajdzie kupca.

- A zatem zgadzasz się na świąteczne przyjęcie? - zapytała Kimberly, siedząc na łóżku i obserwując jak mąż ubiera się w strój wieczorowy.

- Tak. Oczywiście.

Zapraszała więcej gości niż zdołaloby się zmieścić w tym domu na jednym obiedzie: swoich rodziców, brata z żoną i siostrę z mężem oraz dwadzieścia małżeństw, z których część była jej przyjaciółmi, a część tylko znajomymi. Jack wiedział, po co to robi. Badała sytuację, by zobaczyć, kto teraz, gdy poślubiła Jacka Leara, przyjmie, a kto odrzuci jej zaproszenie.

Wiedziała, że kilka osób, które zaprosiła, nie przyjdzie. Nie chcieli zaakceptować ani pojąć faktu, że Kimberly Bayard Wolcott wyszła za Żyda i to w dodatku za Żyda z Kalifornii, syna potentata złomowego! To przyjęcie miało być wyzwaniem, rzuconym w twarz bostońskiej śmietance towarzyskiej.

Kimberly wstała i wyszła do łazienki, która w tym domu nie sąsiadowała z małżeńską sypialnią, lecz wchodziło się do niej z głębi holu. Jack wiedział, dlaczego. Płukała usta. Kilka minut temu klęczała przed nim i z zapałem obciągała mu laskę. Ciągnęła jak należy, jednak Erich nie musiał o tym wiedzieć.

- Jak ci się zdaje, ile czasu spędzisz z tatusiem? - zapytała, wróciwszy z łazienki.

- Powiedzmy, godzinę.

Włożyła błękitną toaletową narzutkę i stała teraz przed mężem, pomagając mu zapiąć spinki. Jack umówił się z jej ojcem na drinka w klubowym barze, a później mieli zjeść kolację.

Oto jeden z powodów, dla których ożenił się z Kimberly i jeden z powodów, dla których ona wyszła za Jacka: miała zrobić z niego dzentelmena. Kiedy jej się oświadczał, powiedział otwarcie, że ma nadzieję, iż zgodzi się stworzyć z niego takiego mężczyznę, jakiego chciałaby za męża, a jakim on z pewnością jeszcze nie jest. Myśl, iż została poproszona o wykreowanie nowego mężczyzny zaintrygowała ją, jak przyznała, i w końcu zgodziła się zostać żoną Jacka.

Pozostałych powodów mógł się domyślać. Miał wtedy pół miliona dolarów i wysokie aspiracje. Zrobił na Kimberly wrażenie jako człowiek niezwykle ambitny, oszołomił ją także niezależnością i chęcią wyrwania się ze swojej okropnej rodziny. Była też zafascynowana - gdy tylko znalazł się w jej rękach -jego „kogutem”, co było określeniem, jakie sama wybrała. Uparcie twierdziła, że jest jedynym, jakiego w ogóle kiedykolwiek widziała, ale Jack sądził, że musiała mieć jakieś podstawy do porównań (rzeźby w Muzeum Sztuk Pięknych?), skoro tak szybko poznała się na jego wyjątkowości.

Jedynie mgliście pojmował inny powód, dla którego pociągał tę śliczną dziewczynę. Jack Lear wyczuwał, choć w istocie nie uświadamiał

sobie, że cechuje go szczególna, osobiwa charyzma. Widział, że ta jego cecha niekiedy działa, ale jeszcze niezupełnie nauczył się ją doceniać i wykorzystywać. Prawda wyglądała tak, że ludzie byli skłonni go lubić. Teraz zastanawiał się nad sposobami wyzyskania tego przymiotu.

Tak czy inaczej, Kimberly ochoczo przyjęła zachętę Jacka do uczynienia zeń dżentelmena z prawdziwego zdarzenia. Czasami czuł, że będzie musiał za to zapłacić. Dzisiejszego wieczoru miał wyjść nie tylko we fraku lecz również założyć pelerynę oraz jedwabny kapelusz i nosić laseczkę. Wiedział, że właśnie tak będzie ubrany zarówno jej ojciec jak i pozostali mężczyźni w klubie, stwierdzał jednak, iż nie czuje się swobodnie w takim rynsztunku.

Do bostońskiego Common Club przyjęto zięcia Harrisona Wolcotta, nie zaś Żyda z Kalifornii. Podejrzewał, że teść odwiedził kilku dłużników, by uzyskać dla niego miejsce w tym klubie. Nie był to bynajmniej klub najznakomitszych dżentelmenów Bostonu, ale mimo to był klubem dżentelmeńskim i przynależność do niego oznaczała wejście w krąg najlepszego bostońskiego towarzystwa.

Zmierzając ulicami brukowanymi cegłą równie wiekową, jak ta z której zbudowano jego dom; gdzieniegdzie pozieleniałą i śliską od mchów, zauważył, że nie jest jedynym mężczyzną odzianym w wieczorowy strój.

W klubowej szatni zostawił kapelusz, pelerynę i laskę, a potem szerokimi schodami pokrytymi dywanem wszedł na piętro.

Wraz z wprowadzeniem prohibicji tam właśnie, na piętro, przeniesiono bar. W razie wizyty agentów prohibicyjnych ktoś czuwający na dole przy schodach mógł nacisnąć guzik i wtedy w barze rozbrzmiewał alarm. Zanim agenci wspięliby się na schody, wszystkie trunki stojące na blacie baru wiano by do wiader, a wiadra opróżniono by do zlewu. Agentów spotkałyby wrogie spojrzenia dżentelmenów sączących napój imbirowy lub lemoniadę. To się jednak nigdy nie zdarzyło. Prohibicja mogła całkowicie odmieniać alkoholowe nawyki tych prostaków ze środkowego wschodu Ameryki, ale bostońskim braminom i bostońskim Irlandczykom zalecała jedynie znikome korekty.

Harrison Wolcott siedział przy barze ze szklaneczką whisky.

- Witaj, Jack. Szkocka?

Jack skinął głową, a barman sięgnął po butelkę z gablotki za barem.

- Jak się miewa przyszła mamusia?

- Doskonale - odparł Jack.

- Kiedy dokładnie się to stanie?

- Sądzimy, że w połowie kwietnia.

- Ta ciąża wciąż nie jest jeszcze duża - zauważył Harrison Wolcott.

- Kimberly jest drobna. Lekarz uważa, że nie powinna przybrać na wadze więcej niż to konieczne.

- No cóż, a zatem...

Harrison Wolcott był pogodnym, nieskrępowanym, pewnym siebie człowiekiem, którego wiara we własne siły umocniła się, kiedy wielki kryzys prawie go nie dotknął. Jego przedsiębiorstwo zbrojeniowe, Kattering Arms Inc., działało wydajnie w latach 1914 - 1919 i przyniosło olbrzymie zyski. Był na tyle przewidujący, że w latach 1919-1920 drastycznie zawęził produkcję, ograniczając przedsiębiorstwo, by dostarczało tylko wąskiemu gronu odbiorców wysokiej jakości broń myśliwską. Wraz z nadejściem wielkiego kryzysu ten rynek zmniejszył się nieznacznie. Różni magnaci i ważniacy wciąż cenili jego karabiny i w roku 1930 kupili ich mniej więcej tyle samo, co dwa lata wcześniej. Najważniejsze było to, że Harrison Wolcott inwestował zachowawczo i zmiennie. Wartość jego akcji stanowiła nie więcej niż połowę ceny z roku 1929, ale był zadowolony, że lokaty są solidne i trzymał je.

Skończył dopiero pięćdziesiąt lat, ale włosy mu posiwiały. Miał czerstwą cerę, jasnoniebieskie oczy, szerokie usta i kwadratowy podbródek. Był, krótko mówiąc, przystojnym mężczyzną.

- Jak tam lekcje brydża? Kimberly mówi, że masz do niego prawdziwą smykałkę.

Jack rozeźmiał się szeroko.

- Nauczyłem się nie przebijać asa mojego partnera.

- Kimberly powiada, że zrobiłeś większe postępy.

- Kimberly jest entuzjastką.

- Nie pytam, jak się mają sprawy w WCHS. Ufam, że usłyszę o nich wtedy, kiedy zechcesz mi opowiedzieć.

- Sądzę, że wszystko idzie całkiem dobrze - odparł Jack. - Uczę się tego biznesu i, rzecz dziwna, zasady, których się nauczyłem, studiując na Harvardzie zarządzanie przedsiębiorstwem, wydają się mieć zastosowanie.

- Przyjęcie tej dziewczyny sprawiło, że twój *Poranny Show* jest jeszcze bardziej popularny.

- Tak, Betty to cenny nabytek. Jest prawdziwie zabawna.

- Ja sam pękałem ze śmiechu, gdy powiedziała: „Ależ nie, Alice nie mogła być zdenerwowana. Przecież ona nawet nie ma męża!”.

- Dostaliśmy kilkanaście listów i telefonów twierdzących, że to było zbyt ryzykowne - rzeki Jack.

- Interesuje mnie twoje twierdzenie, że WCHS ma wierniejszych słuchaczy niż inne stacje w Bostonie. Zmusić agencję Langdona i Lebent-hala, żeby się podpisali pod takim wynikiem, to było mistrzowskie posunięcie. Twój reklamodawcy...

- Sfałszowaliśmy go trochę - powiedział Jack z szelmowskim uśmiechem. - Zatrudniliśmy ich tylko po to, by wysyłać akwizytorów. Nie prosiliśmy ich, żeby zestawiali wyniki. Sami to zrobiliśmy.

- Ale zachęcałeś swoich reklamodawców, by działali rozważnie.

- Zestawiliśmy wyniki i okazało się, że jesteśmy na trzecim miejscu, więc wzięliśmy połowę tych, które wskazywały na inne stacje i wrzuciliśmy je do pieca. Pozostałe opowiadały się za naszą i każdy kto chce może je zobaczyć.

- Langdon i Lebenthal...?

- Zrobili to, za co im zapłacono. Jak dotąd nikomu nie przychodzi na myśl, by zapytać, kto zestawiał wyniki.

Wolcott zmarszczył brwi.

- Lepiej bądź ostrożny, mój chłopcze. Taka rzecz może cię zrujnować.

Jack się uśmiechnął.

- Jak brzmi to stare porzekadło: „Do odważnych świat należy”? Nieśmiali nigdy nie osiągali zysków. Nie przysparza ich też wysoki poziom etyczny. Czegoś się nauczyłem od mojego ojca.

- Zachowaj to w sekrecie.

- Tylko trzech ludzi o tym wie - odparł Jack. - Ty jesteś tym trzecim.

Harrison Wolcott uśmiechnął się i dał znak barmanowi, by ponownie napełnił ich szklaneczki.

- Czuję, że zamierzasz zyskać powodzenie w biznesie.

- Właśnie to mam na myśli.

Wolcott rozejrzał się dokoła.

- Jack... chcę pomówić z tobą o sprawie bardzo osobistej.

Jack skinął głową.

- A więc... cóż... jestem przekonany, że Kimberly to wspaniała dziewczyna. Ale ona jest też, jak sam powiedziałeś, drobniutka. Powiedziałbym: delikatna. Jej matka i ja niepokoiśmy się o ciążę Kimberly. Drobniutkie dziewczęta czasami... cóż, wiesz co chcę powiedzieć. Byliście małżeństwem bardzo krótko, zanim zaszła w ciążę. I to jest wspaniałe. Mam jednak nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, iż czasami męzowskie prawa małżeńskie muszą być zawieszane na pewien okres, żeby dziewczyna nie była okaleczona.

- Rozumiem.

Wolcott włożył rękę do kieszeni i znalazłszy jakąś wizytówkę, przesunął ją ku Jackowi.

- Oto numer telefonu pewnej dziewczyny, na której dyskrecję możesz liczyć, gdybyś chciał skorzystać z jej usług. Ma bardzo nieliczną klientelę; jedynie kilku biznesmenów. Spodziewam się, że zapłacisz jej szczerze.

Jack włożył wizytówkę do kieszeni, nawet na nią nie patrząc.

- Doceniam to - rzekł - ale wątpię, czy do niej zatelefonuję.

2.

Jack i Kimberly wrócili z kolacji o wpół do jedenastej. Zjedli krwisty befszyk w jakiejś speluncie na północnym brzegu rzeki, gdzie właściciel bez żadnych obaw serwował gościom prawdziwego i wyborczego burgunda. Kimberly wypić półtora kieliszka, chociaż generalnie zrezygnowała z alkoholu aż do urodzenia dziecka.

Zanim przyszedł do niej do łóżka, włączył radio, nastawiając je na stację WCHS, która dzięki linii telefonicznej i połączeniom napowietrzonym nadawała muzykę w wykonaniu orkiestry tanecznej grającej w „Copley”.

Cisnął na bok piżamę i położył się nago. Kimberly nie zdjęła delikatnych jedwabnych majteczek ani pasa i pończoch. Pieścili się i pobudzali, aż się rozpalili.

- Chcesz tego, prawda? - zapytała spierzchniętymi ustami i uśmiechnęła się czule na widok jego pulsującego członka.

Z całą powagą przyjął to, co teść powiedział mu tego wieczoru w barze. Nie powiedział tego Harrisonowi, ale od kilku tygodni ani nie leżał na Kimberly, ani nie penetrował żony głęboko. Jej lekarz orzekł, że lepiej tego nie robić. Miała drobną budowę i choć wydawało się nieprawdopodobne, by mogli uszkodzić płód, nie było to niemożliwe, gdyby kochali się zbyt energicznie. Eksperymentowali więc z innymi sposobami, na przykład „na pieska”, ale nie dawało im to pełnej satysfakcji.

Jack skinął głową. Chciał tego.

- Maleńka, czy zechciałabyś popełnić ten straszny i obrzydliwy występki przeciwko naturze jeszcze raz? Przypuszczam, iż dla ciebie nie znaczy on wiele, ale dla mnie jest wszystkim.

- Dwa razy w ciągu jednego dnia? - zapytała z ledwie widocznym uśmiechem.

- Ten pierwszy był taki szybki...

- ...i smakował jak czosnek - powiedziała. - Jeśli mam wysysać twoje soki, musisz skończyć z czosnkiem.

- Przysięgam, że nigdy więcej go nie dotknę. Z drugiej strony, jakaś niewielka odmiana smaku mogłaby...

Z rozdrażnieniem potrząsnęła głową.

- Czekolada, brandy, befszyk i burgund. Ale nie czosnek!

- Zgoda! Załatwione!

- To dobrze.

Pochyliła twarz ku podbrzuszu Jacka i zaczęła lizać. Nauczyła się, że branie go do ust i pieszczenie w górę i w dół zaciśniętymi ustami doprowadza Jacka do finału szybko. Wiedziała też, że nie zawsze lubił być przywodzony do końca pospiesznie.

- To potrwa całą noc - wyszeptwała, szeroko otwierając oczy i potrzęsając głową.

Jack wygiął się w łuk i zamknął oczy.

- Nie muszę iść rano do rozgłośni.

Pochyliła głowę jeszcze niżej i zaczęła lizać jego mosznę.

- Gdyby dwa lata temu ktoś mi powiedział, że pewnego dnia zagłębie twarz w krocze jakiegoś mężczyzny i będę lizać jego jądra, nazwałabym go wariatem.

- Gdyby dwa lata temu ktoś mi powiedział, że Najpiękniejsza Bostońska Debiutantka Roku 1929 będzie w roku 1931 lizać moje jądra, nazwałabym go oszalałym optymistą.

- Mamusia i tatuś nie wychowali mnie na ciagutkę.

- Pragnę szczerzej odpowiedzi na szczerze pytanie, kochanie - rzekł Jack. - Lubisz to, prawda? Przynajmniej trochę.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

- Cóż... to nabyte upodobanie. Kiedy spróbowałam pierwszy raz, wydawało mi się, że chyba zwymiotuję.

- Pamiętam.

Pamiętał dokładnie. Zasugerował to nieśmiało, lękając się by jej nie urazić, a jeszcze bardziej obawiając się, że pomyśli, iż jest to propozycja, którą może złożyć tylko jakiś lubieżny kalifornijski Żyd, a nie džentelmen, jakim miał zostać.

Najpierw pocałowała go przelotnie zmiierzając w dół masztu, potem bardziej zdecydowanie ku szaraworóżowym jądrom. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się nieśmiało, a on szepnął, by polizała. I zrobiła to.

Wtedy, robiąc to pierwszy raz, mocno zacisnęła usta przed wytryskiem, pewna że smak spermy musi być obrzydliwy i przyprawiający o mdłości. Spływała jej więc po wargach i z brody kapała na piersi. Bez żadnej sugestii wzięła kroplę na palec i umieściła na języku. Potem oblizała wargi i roześmiała się.

Nie zwymiotowała. Nigdy nie zwymiotowała. Zakneblowała się kiedyś, gdy za bardzo pochyliła głowę i wzięła go zbyt głęboko do gardła. Później wiedziała już, jak go tam umieszczać i gdzie zatrzymać.

Najbardziej uroczą debiutantką 1929 roku. Rodzice nie przyprowadzili ją na doroczny Kotylionowy Bal Debiutantek, ale sami wydali na jej

cześć przyjęcie na sto osób, w tej samej sali balowej „Copleya”, co było wydarzeniem, które zachwycało Boston, ale mimo to **zostało** ocenione jako graniczące z ostentacją. Fakt, iż tamtego wieczora jej „męskim ramieniem” nie był żaden Bostończyk, ale jakiś nieznany młodzieniec z Kalifornii nazwiskiem Lear, wywołał liczne komentarze. Nie wszystkie były przychylne. Było to, mówiąc oględnie, skandaliczne. Choć z drugiej strony to, że kończył studia na Harvardzie i zamierzał zdobyć dyplom owej renomowanej uczelni, sugerowało, iż mógł być właściwym wyborem. Fakt, że już wcześniej pozbawił Kimberly dziewictwa, stanowiłoby rozstrzygający dowód, że nim nie był.

- O czym myślisz, mężu?
- O tobie - odparł. - Przypominam sobie kiedy...
- Skup się lepiej na tym, co robię, lub będziemy się tym zajmować przez całą noc.

ROZDZIAŁ TRZECI

1. - 1932

Studia i nadajniki rozgłośni WCHS wcale nie mieściły się nad rzeką Charles, jak sugerował skrót jej nazwy, lecz w podbostońskim Southie. Jack Lear nie chciał dojeżdżać tam każdego dnia, więc jego dyrekcyjne gabinety położone były w pokojach nad teatrem, na południowy wschód od Common.

„Dyrekcyjne gabinety” były w istocie zbyt szumną nazwą dla owych kilku pokoi w amfiladzie, z których rozgłośnia prowadziła swoje interesy. Jej kierownictwo składało się z dwóch mężczyzn: samego Jacka oraz Herba Morrilla, zajmującego się sprzedażą reklam. Jack odziedziczył Herba, którego rozgłośnia zatrudniała od 1928 roku, był on więc weteranem nie tylko tej stacji, lecz całej radiofonii. Sprzedawał reklamy, ale stanowił też niewyczerpane źródło pomysłów. W rzeczywistości też to jego a nie Jacka pomysłem było zrobienie owego badania popularności. Kiedy nadesłane wyniki okazały się niekorzystne, Jack postanowił je „poprawić”, a potem epatował tymi fałszowanymi wynikami tak często i tak długo, że święcie wierzono, iż najpopularniejszą bostońską rozgłosnią radiową była WCHS, mimo szaleńczych wysiłków podejmowanych przez jej konkurentki, by przedstawić ten protokół uczciwie.

Pewnego lutowego ranka Herb przyprowadził do biura śpiewający tercet, którego Jack nie miał ochoty przesłuchiwać.

Herb Morrill pałał zaraźliwym entuzjazmem. Mówiono też o nim, że niegdyś był dobrze prosperującym przemytnikiem alkoholu, ale porzucił tę działalność, bo przewidział zniesienie prohibicji. Prawdą zaś było to, że jako chłopiec zafascynował się radiem, gdy manipulował wokół „kryształków” i wyteżał słuch, by w słuchawkach usłyszeć sygnał emitowany z Pittsburga przez stację KDKA. Jego ojciec był szewcem i oddał chłopca na naukę tego rzemiosła. Przez jakiś czas Herb zelował podeszwy i przybijał obcasy, po czym spieszył do domu, połykał jakiś posiłek

i wkładał na głowę słuchawki, by słuchać rozgłośni z odległego Kansas City lub Chicago. W roku 1928 porzucił swoje rzemiosła by rozpocząć pracę w WCBS. Chciał być konstruktorem, ale nie miał wykształcenia i z powodu owego niedostatku skierował się ku sprzedaży reklam.

Herb był zaledwie dwa lata starszy niż Jack, ale wydawał się starszy o dziesięć. I tak jak Jack miał skłonność do łysienia, lecz był w niej znacznie bardziej zaawansowany. Nosił okulary w okrągłych złotych oprawkach, sprawiał wrażenie człowieka pedantycznego i nieśmiałego, ale było ono mylące, gdyż cechowała go napastliwość i gotowość mówienia bez ogródek.

- Przesłuchaj tych facetów! Poczekaj z wyrażaniem opinii, dopóki ich nie usłyszysz!

Jack był już przyzwyczajony do wylewności i entuzjazmu Herba. Zapalił cygaro i przyglądał się tercetowi - wszyscy jego członkowie odziani byli w identyczne dwurzędowe brązowe garnitury - ze sceptycyzmem.

- Posłuchaj tego!

Tercet rozpoczął prezentację murmuraniem.

Jack zamknął oczy.

- Tylko nie to. Po prostu zaśpiewajcie coś. Zaśpiewali.

*Jestem Geraldo Cigarillo,
Najlepsze cygaro na świecie!
Będę dobrze się paliło,
Lepszego nie znajdziecie!
Najdoskonalszym tytoniem
Potrafię was zadowolić!
Mój dym o najśłodziej woni
Innemu nie da się pobić.*

- Jezu Chryste! Herb! Co ja ci uczyniłem, że robisz mi coś takiego?!

- Nie podoba ci się to? A mnie się podoba. Słuchaczom nie przypadnie to do gustu, ale zapamiętają, że cygara „Geraldo” są najlepsze na świecie! Zapamiętają tę cholerną informację. Handel poprzez irytację, Jack!

- Iry... zwariowałeś?! Chcesz, żeby twoi potencjalni klienci się na ciebie wściekli?

Herb roześmiał się szeroko.

- Braciom Levy się spodobało. Oni zrozumieli ten chwyt. Twoi potencjalni klienci mogą się tą informacją zirytować, ale będą cholernie

dobrze pamiętać. Bracia Levy chcą podpisać sześciomiesięczny kontrakt sponsorujący „Godzinę Geraldo Cigarillo”. Ci faceci zaśpiewają w każdej audycji tę reklamę, a potem jeszcze jedną czy drugą piosenkę, a my uzupełnimy ją orkiestrą i kimś takim jak Nasi Dowcipnisie i Betty.

- Sześć miesięcy... No dobrze... Jak nazwiesz ten kit? Mam na myśli wyśpiewywanie reklam. Jak to nazwiesz?

Herb wzruszył ramionami.

- Powiedzmy... „Musical ogłoszeń”. Dlaczego tylko miodopłynny głos spikera ma je intonować, skoro można mieć...

- Dobrze, już dobrze! Zaangażowałeś tych facetów?

- Pięćdziesiąt dolarów tygodniowo.

- Okay.

- Dla każdego.

- Dla każdego?!

- Będą śpiewać tylko dla nas. Ogłoszenia. Piosenki. Wszystko. Nie tylko w „Godzinie Geraldo Cigarillo”.

- Jak oni się nazywają?

- Bracia Bronsonowie.

- Jezu Chryste! - wykrzyknął Jack. - Od tej chwili nazywają się... „The Harmonics”, „Tone Brothers”, „Mellow Fellows”. Jakoś tak... „Mellow Fellows”. Jak wam się to podoba, chłopaki?

Bracia Bronsonowie urocząście i poważnie skinęli głowami.

2.

Dwa tygodnie przed przyjściem na świat dziecka, brzuch Kimberly powiększył się tak, że zaczęła wyglądać na ciężarną. Coraz więcej czasu w domu przy Chestnut Street spędzała jej matka. Znaleźli też nianię, angielską dziewczynę z Lambeth nazwiskiem Cecily Camden, która wprowadziła się do przygotowanego dla niej przez państwa Learów pokoju na drugim piętrze.

Dom przy Chestnut Street miał, niestety, tylko jedną łazienkę, na pierwszym piętrze, a także toaletę i umywalkę w garderobie przy kuchni. Cecily korzystała z nich z wyjątkiem kąpieli, które brać mogła jedynie w łazience na pierwszym piętrze. Mieszkała w tym domu niespełna tydzień, gdy Jack przypadkowo wszedł do łazienki i zobaczył ją w wannie. Z uśmiechem sięgnęła po ręcznik, by się okryć, ale nie krzyknęła, Jack przeprosił i cofnął się bez wielkiego pośpiechu.

- Muszę pojechać w tym tygodniu do Nowego Jorku - powiedział Kimberly tego samego wieczoru przy kolacji. - Gdyby do porodu nie było tak blisko, zabrałbym cię ze sobą.

- A po co tam jedziesz?

- Znasz przecież entuzjazm Herba. Ostatnio zachwyca się jakimś wodewilowym komikiem i uważa, że powinniśmy spróbować nakłonić tego faceta, żeby przyjechał do Bostonu i robił tu cotygodniową audycję; pół godziny żartów i dykteryjek. Gość jest drogi i wcale nie myślę, żeby go zaangażować, dopóki nie zobaczę, jak gra.

Kimberly wzruszyła ramionami.

- Masz przecież swoich Dowcipnisiów. Ilu jeszcze komików można wykorzystać?

- Bert mówi, że w porównaniu z tym facetem są parą amatorów.

- To dlaczego miałyby opuścić nowojorski wodewil, żeby przyjechać do Bostonu i pracować w tutejszej rozgłośni radiowej?

- Granie w nowojorskim wodewilu jest zajęciem wspaniałym, lecz nie stałym. Wodewil zapewnia mu wikt, ale film i radio zabijają ten gatunek. Podobnie jak wielu innych wodewilistów, on także spoziera ku radiu.

- Sądysz, że naprawdę warto poświęcać czas na wyjazd do Nowego Jorku w celu złapania tego aktora? - zapytała Kimberly sceptycznie.

- Obiecałem Herbowi, że pojedę.

- Jak się nazywa ten komik?

- Jack Benny.

Kimberly nalegała, by zapakował frak i cylinder, żeby w wieczorowym stroju udał się do nowojorskiego teatru. Jednak w Nowym Jorku, gdzie nie mogła go zobaczyć, ubrał się w ciemnoszary dwurzędowy garnitur.

Herb, zarezerwowawszy wcześniej miejsca na parterze, udał się tam wraz z nim.

Benny był głównym wykonawcą tego widowiska. Pojawiał się w licznych skeczach, a potem wygłosił monolog.

- Herb - rzekł cicho Jack, gdy przechodząc między rzędami kierowali się ku wyjściu - ten człowiek nie jest zabawny.

- Nie zgadzam się z tobą, Jack. Myślę, że to najzabawniejszy człowiek, jakiego ostatnio słyszałem.

- Jest jakiś sposób, żeby się wykręcić od tej kolacji?

- Nie wiem. Byłoby to okropne.

Niecałą godzinę później siedzieli z Jackiem Bennym przy stoliku w Stork Club.

Benny obchodził właśnie swoje trzydzieste siódme urodziny. Jack dostrzegł pewien urok w jego niewinnej, szczerej twarzy i w sposobie monotonnego niezdecydowania z jakim prezentował swoje gagi, ale nie widział w nim nic zabawnego.

- Dwóch Jacków... - rzekł Herb. - To trochę utrudnia rozmowę, prawda?

- Możecie mi mówić Ben - odparł Jack Benny. - Naprawdę nazywam się Benjamin Kubelsky.

Stork Club był nielegalną spelunką. Jej właścicielem był dawny więzień, niejaki Sherman Billingsley, który odsiedział wyrok w więzieniu w Oklahomie, a następnie przyjechał do Nowego Jorku i zajął się przemytem alkoholu. Znał Jacka Benny'ego, więc podszedł do stolika, by powitać znajomego gościa i jego przyjaciół.

- Miło cię tu widzieć, Jack - rzekł Billingsley. - I panów także, panie Lear i panie Morrill. - Potem, wskazując na butelkę Johnnie Walkera stojącą na ich stoliku, dodał: - To na koszt firmy, panowie.

- Dziękuję, Sherm - powiedział Jack Benny. - Mamy tu dzisiaj kogoś interesującego?

- Może zainteresuje was tamten dżentelmen - szepnął Billingsley, skinąwszy dyskretnie w stronę stolika, przy którym siedział wysoki, rzucający się w oczy mężczyzna i paląc papierosa rozmawiał poważnie z drobną dziewczyną.

- Kto to jest? - zapytał Benny.

- To generał Douglas MacArthur, Szef Sztabu Armii Stanów Zjednoczonych. Dziewczyna jest jego kochanką, pochodzi z Filipin.

Jack Benny wzruszył ramionami, najwyraźniej generał MacArthur wcale go nie interesował.

- Nie odwracajcie się teraz i nie spoglądajcie w tamtą stronę - rzekł Billingsley - ale śniady facet, który siedzi dwa stoliki za wami, ten z oczami wilka, to Lucky Luciano.

- Kto to jest Lucky Luciano? - zapytał Jack Lear.

Podbródek i brwi Billingsleya uniosły się w górę, jakby wprost nie mógł uwierzyć, że ktoś może nie znać tego nazwiska.

- Jest przywódcą wszystkich amerykańskich gangsterów. Wraz ze swymi ludźmi niedawno przejął tu wszystko. Po prostu wymordowali rywali.

Jack Benny nie odwrócił się i nie spojrzął na Luciano. Nie wydawał się nim zainteresowany bardziej niż generałem MacArthurem. Skupiał się wyłącznie na ludziach showbiznesu, inni nie interesowali go wcale.

- Spójrz w lewo, Jack - poradził Billingsley. - To Lucille Le Sueur, ostatnio znana jako Joan Crawford.

- Ach... - westchnął Benny i odwróciwszy się, patrzył, przyciągając jej wzrok.

- „Ach” jest odpowiednim słowem - rzekł Jack Lear.

- Mogę o coś zapytać, panie Lear? - powiedział Jack Benny. -

Radio... Popadłem w tarapaty z następującym dowcipem. Co by się stało, gdybym opowiedział go w pańskim radio? Wchodzę na scenę niosąc na ramionach dziewczynę i mówię do człowieka w roboczym kombinezonie: „Panie MacDonald, pańska córka wpadła do rzeki, ale proszę się nie martwić, bo ją uratowałem”, farmer na to: „Skoro ją uratowałeś, to musisz się z nią ożenić”.

Jack zachichotał.

- Zakrzyczałyby mnie Legion Obyczajności. Jednak poza protokołem powiem panu co myślę o tym Legionie. Pieprzę go.

- Mówić a zrobić to dwie zupełnie różne sprawy - wtrącił Herb. - Babbitowie opanują wszystko.

- Nie jestem pewien, czy ma pan rację - powiedział Billingsley. - Przewiduję, że prohibicja zostanie zniesiona w ciągu dwóch lat.

- I co cię wtedy czeka, Sherm? - zapytał Jack Benny.

- Powszechnie poważanie - odparł Billingsley. - Cóż panowie, muszę iść. A gdyby... gdyby któryś z panów poczuł potrzebę... spotkania tej nocy pierwszorzędnej, czystej młodej dziewczyny, wystarczy jedno słowo...

Po wyjściu z klubu Jack potrząsał głową.

- Może powinienem złożyć Billingsleyowi tę ofertę... wtedy podróż do Nowego Jorku nie byłaby całkowicie stratą czasu.

W połowie kwietnia Herb wszedł do gabinetu Jacka śmiejąc się szeroko.

- Spójrz na to - rzekł, wręczając Jackowi egzemplarz „Variety”. Wielki tytuł obwieszczał: BENNY BĘDZIE GWIAZDĄ KANADYJSKIEGO RADIA. KOLEJNY WODEWILISTA W DREWNIANEJ SKRZYNECZCE.

Jack przebiegł wzrokiem cały artykuł.

- Nie obchodzi mnie to, Herb. Ten człowiek nie jest zabawny. Po prostu nie jest zabawny. To będzie kłapa.

- O co się założymy?

- On nie jest zabawny, Herb, a je szczególnie nie lubię komików, którzy zaczynają od zapowiedzi, że będzie śmiesznie. Ja... - w dokończeniu zdania przeszkodził mu dzwonek telefonu. Jack podniósł słuchawkę.

- Czy coś...? - zapytał Herb.

- Za chwilę zostanę ojcem. Muszę jechać do szpitala.

Kimberly urodziła chłopca. Dano mu na imię John. John, a nie Jack. John Wolcott Lear.

ROZDZIAŁ CZWARTY

1. - 1933

Jack i Kimberly lubili dom przy Chestnut Street, ale jego skromne rozmiary narzucały im zbyt wiele ograniczeń. W przyjmowaniu gości powściągały ich warunki łazienkowe; mieli przecież tylko jedną łazienkę na piętrze i toaletę przy kuchni. Cecily, niania, zajmowała wszystkie pomieszczenia dla służby, jakie znajdowały się w tym domu. Kimberly zatrudniła pokojówkę i kucharkę, ale żadna z nich nie mogła tu mieszkać, co sprawiało, że pani domu nie mogła korzystać z usług pokojówki już wczesnym popołudniem, gdyż musiała się godzić, by dziewczyna szła do swego domu w Southie. Ponadto dom przy Chestnut Street nie miał garażu.

Jesienią 1933 roku wystawiono na sprzedaż znacznie większy dom, który wychodził na Louisburg Square. Jack przeanalizował ich sytuację finansową i stwierdził, że może go kupić. Dom przy Chestnut Street sprzedał za sześćdziesiąt siedem i pół tysiąca dolarów, zarabiając tym samym na swej wcześniejszej inwestycji siedem i pół tysiąca. Nie chciał się zgodzić na pośrednictwo agentów handlu nieruchomości, nalegał na dokonanie tej transakcji bezpośrednio ze sprzedającym i w rezultacie kupił nowy dom za sto trzydzieści pięć tysięcy dolarów.

Nowy dom Jacka i Kimberly nie był ani tak stary, ani tak elegancki jak pierwsza rezydencja, jednak znacznie lepiej odpowiadał ich potrzebom. Z holu goście mogli wejść do salonu lub do biblioteki. Jack i Kimberly mieli też prawdziwy salon-jadalnię oraz dużą, w pełni wyposażoną kuchnię. Na parterze była również niewielka, ładnie urządzone łazienka dla gości.

Na pierwszym piętrze mieściły się cztery sypialnie. Sypialnia gospodarzy połączona była z salonikiem i łazienką. Dodatkowa łazienka służyła pozostałym sypialniom znajdującym się na piętrze. Drugie piętro mieściło trzy pokoiki dla służby, niewielki salonik i osobną, przeznaczoną dla nich łazienkę.

W łazience sąsiadującej z sypialnią Kimberly i Jacka znajdowała się ogromna wanna stojąca na „lwich łapach”. Jack lubił żartować, że jest tak wielka, iż obawia się, że mógłby się w niej utopić. Najciekawszą częścią tej łazienki, którą zarówno Jack jak i Kimberly pokazywali przyjacielom, była wyłożona marmurem kabina prysznicowa, w której brać prysznic mogłoby razem - gdyby miało na to ochotę - nawet pięć osób. Sitko prysznic wielkości obiadowego talerza, umieszczono tak wysoko, że stojąca pod nim osoba nie mogła go dosięgnąć. Trzy ściany owego prysznicowego salonu oplecione były niklowanymi perforowanymi rurami, z których pod wysokim ciśnieniem tryskały cienkie jak nitki strumienie wody. Ich uderzenia były prawie bolesne. Pionowy strumień tryskał także z bidetu.

Podczas pierwszej nocy w nowym domu Jack i Kimberly, zażywwszy owego prysznicu, postanowili zapomnieć o kąpielach w wannie i korzystać wyłącznie z niego, głównie razem.

Po dwóch tygodniach Jack zaprosił tam Cecily. Pod tymi biczami wodnymi wydawała z siebie różne „ochy” i „achy”, ale nie stawiała oporu, gdy wszedł w nią od tyłu. Kiedy było już po wszystkim, pomógł jej skorzystać z bidetu, by mogła się wypłukać i miał nadzieję, że to okaże się wystarczające.

Cecily wyglądała jak typowa młoda Angielka. Miała jasną cerę, różowe niczym jabłuszka policzki, duże niebieskie oczy i rudawoblond włosy. Była zbudowana jak mamka, żartowała Kimberly, mając na myśli jej ogromne piersi. Cecily miała też wydatny brzuszek, szerokie biodra i miednicę jak wielka misa.

Spędziwszy kilkanaście miesięcy na jakimś uniwersytecie pod Londynem, Cecily była nieźle wykształcona i mówiła z dobrym oksfordzkim akcentem. Przyjazd do Stanów stanowił dla niej pewną okazję, mówiła bowiem, że chce tu mieszkać i zostać obywatelką amerykańską. Powiedziała też państwu Learom, że jest wdzięczna za posadę niani, ale ma nadzieję szybko znaleźć lepszą pracę.

Po tym pierwszym zbliżeniu pod prysznicem, Jack sięgał po nią od czasu do czasu, mniej więcej raz w tygodniu, teraz zawsze już używając prezerwatywy. Była zdawkowa i obojętna, sprawiając wrażenie, iż akceptuje uprawianie seksu z pracodawcą, jakby należało to do jej obowiązków. Nie zabierał Cecily ani do jej sypialni, ani do swojej. Najczęściej wchodziła do biblioteki, gdy Kimberly nie było w domu, nieraz tylko opuszczała majtki, podciągała spódnicę i dosiadała go na krześle.

Było to zwyczajne, proste i dobre. Jacka trapiło tylko to, że gdy w nią wchodził, obsypywała go wspaniałymi, wilgotnymi pocałunkami, i nie był całkiem pewien, jakie to może mieć znaczenie.

2.

Fakt, iż Jack mógł sobie pozwolić na kupno większego domu przy Louisburg Square, wiele mówił o stanie jego interesów.

Po pierwszym roku obecności na antenie rozgłośnia WCHS nie przyniosła strat finansowych. Jack Lear i Harrison Wolcott nabyli ją w momencie, gdy dawała niewielki zysk. Tuż po objęciu kierownictwa przez Jacka przyniosła zyski wyższe, bo chociaż mógł się mylić - tak jak pomylił się w przypadku Jacka Benny'ego - sam tworzył program i jeśli coś się w nim nie sprawdzało, burzył go, nie oglądając się na nikogo. Zdobył tym reputację człowieka rozsądnego i twardego.

Wash Olivier był pianistą, który również trochę śpiewał. Niektórzy mówili, że robił to jak grajek z lupanaru, co było celnym określeniem, bo był grajkem z lupanaru. Nie przestał też grać w pewnym domu publicznym w East Boston nawet wtedy, gdy podpisał umowę na pięć cotygodniowych półtoragodzinnych występów na antenie WCHS. Jack Lear wcale się tym nie przejmował; lubił Oliviera, podobała mu się jego gra i tylko to miało dla niego znaczenie.

Herb Morrill znalazł w okolicach Southie wykonawców „Godziny Białej Koniczyny”: Paddy'ego McClanahana, komika, który z wyraźnym akcentem opowiadał irlandzkie dowcipy; irlandzkiego tenora nazwiskiem Dennis Curran; Colleen, piosenkarkę, której nazwiska nigdy nie używano, oraz kwartet, który grał i śpiewał frywolne irlandzkie ballady.

Jack włączył stację WCHS do powszechnego stowarzyszenia nadawców. Związane z tym stowarzyszeniem stacje abonowały programy nagrywane w różnych miastach i następnie rozsyłane do poszczególnych rozgłośni.

Z udziałem aktorów angażowanych z uniwersyteckich klubów teatralnych Jack rozpoczął realizację porannego serialu zatytułowanego „Nasza mała rodzina”. Audycja ta miała tylko dwie stałe postacie: Mamę i Tatę. Rzeczywista Mama była alkoholizką nękaną własnymi życiowymi dramatami; dramatami równie prawdziwymi jak te napisane dla potrzeb audycji, ale słuchacze, nic o tym nie wiedząc, wyobrażali ją sobie jako życzliwą, dobroduszną matkę rodziny, która jej nie docenia. Każdą sytuację witała porzekadłami w rodzaju: „Zaszyj dziurkę póki mała”, „Kamień, który się toczy, mchem nie porasta”, „Co nagle, to po diable” czy „Miłe złego początki, lecz koniec żałosny”, a finał każdego epizodu kwitowała serdecznie: „Wszystko dobre, co się dobrze kończy”.

Jack wpadł też na pomysł czegoś, co nazwał „godziną hipochondryczną”, wprowadzając do programu codzienną audycję, w której kolejni szarlatani udzielali porad medycznych. Cierpiący pisali listy opisując

w nich symptomy swych chorób, a jakiś alopata, homeopata, hydropata, neurolog, kręgarz czy inny „specjalista” czytał te listy na antenie i podawał zalecenia, kończące się zwykle słowami: „Proszę przyjsć do mego gabinetu przy ulicy takiej a takiej”.

Dla owych szarlatanów nie szukano sponsorów, dając tym do zrozumienia, że ich cenne rady są nadawane w ramach służby publicznej świadczonej przez rozgłośnie. Prawda zaś wyglądała tak, że od każdego z nich Jack pobierał znaczną opłatę, którą oni chętnie uiszczali za przywilej kaptowania pacjentów.

Ku stacji Jacka chętnie zmiierzali reklamodawcy. Już w roku 1932 WCHS czerpała znaczące dochody od producentów samochodów, żywności, mydła, szamponów, dezodorantów i różnorodnych opatentowanych medykamentów.

Jack Lear i Herb Morrill znaleźli receptę na osiągnięcie zysków. Chociaż państwo Wolcottowie - zarówno ojciec jak i córka - ubolewali nad tym, stacja przynosiła pieniądze robiąc również coś, czym Kimberly gardziła jako „obniżaniem lotów”, to znaczy rezygnując z nadawania dużej ilości muzyki klasycznej i skłaniając się ku bardziej powszechnym upodobaniom. Kimberly podobał się sukces Jacka, ale była zakłopotana sposobem, jakim go osiągnął.

3. - 1934

Harrison Wolcott spędzał jedną połowę tygodnia w Connecticut w swoim gabinecie w zbrojeniowym przedsiębiorstwie „Kattering Arms”, a drugą w biurze bostońskim, gdzie zajmował się inną działalnością. Jego bostoński gabinet był to olbrzymi pokój wyłożony orzechowym drewnem, wyposażony w meble pokryte czarną skórą, zaś biurko zrobione było z drewna kadłuba fregaty *Constitution* odzyskanego z niej podczas jednej z kilku renowacji. Wolcott siedział za nim dumnie w czarnym wełnianym garniturze. Wstał, gdy do gabinetu wszedł Jack.

- Miło cię widzieć, młodzieńcze - rzekł. - Jesteś tak oddany swemu przedsiębiorstwu, że nie widuję cię tak często, jak bym chciał.

Jack uściśnął dłoń teścia i usiadł.

- Myślę o interesach raczej w kategoriach dokonania czegoś niż pokonywania sprzeciwu ludzi, którzy nie chcą widzieć, że coś się udaje.

- To dwie strony tego samego medalu - odparł stary człowiek z uśmiechem. - Odrobinę szkockiej?

Jack skinął głową. Wolcott odłożył cygaro do popielniczki i wyjął z szafki butelkę szkockiej. Napełnił dwie szklaneczki; mocną, bez wody i lodu. Trącili się szklaneczkami i wypili.

- Czy Kimberly już ci mówiła, że jest do kupienia stacja w Hartford? - zapytał Wolcott. - Wspomniała ci, że chciałyby, żeby WCHS ją kupiła?

- Ona przynosi straty - rzekł bez ogródek Jack.

Wolcott sięgnął po cygaro.

- Czy ta odpowiedź kończy dyskusję? - zapytał.

- Ależ nie. Chciałbym tylko nabrać przekonania, że tkwi w tym jakiś potencjał, zanim zgodzę się kupić stację, która przynosi straty.

- Kimberly lubi jej program.

- Wiem, mówiła mi. Muzyka klasyczna i informacje. Posuwa się nawet tak daleko, że mówi, iż w zakłopotanie wprawiają fakt, że jest żoną prezesa WCHS. Twierdzi, że mój gust jest zbyt podobny do upodobań mojego ojca.

- Powiedziała coś takiego? Cóż, nie traktowałbym tego poważnie. Kobiety, szczególnie młode kobiety...

- Wiem. Nie zawracam tym sobie głowy. Przypuszczam, że wiesz: Kimberly znów jest w ciąży.

- Moje gratulacje. Tworzycie wspaniałą rodzinę.

- Tak, John jest cudownym chłopcem, wprost rozkosznym. Ja zaś, no cóż... przychodzę tu w pewnej sprawie.

- Tak myślałem. Co mogę dla ciebie zrobić, Jack?

Jack sięgnął po portfel i wyjąwszy z niego potwierdzony czek na trzysta tysięcy dolarów, wręczył go teściowi. Właśnie tyle pozostało z pieniędzy, które dał mu dziadek.

- Co to jest?

- Chcę skorzystać ze swego prawa i kupić jeszcze trzy tysiące akcji WCHS Inc.

Harrison Wolcott długo wpatrywał się w czek.

To on w roku 1931 utworzył spółkę WCHS Inc., by kupić stację radiową, a potem dał Jackowi i Kimberly w prezencie ślubnym jedną piątą z dziesięciu tysięcy udziałów. Dał im też prawo nabywania pozostałych akcji po cenie z roku 1931. W marcu 1932 Jack skorzystał z tego przywileju i nabył trzeci tysiąc akcji. Teraz zaś dokonywał zakupu kolejnych trzech tysięcy, co dawało mu sześćdziesiąt procent całości i pełną kontrolę. Harrison Wolcott, któremu nie powiedziano o pieniądzach подарowanych Jackowi przez dziadka, sądził, że przynajmniej dziesięć lat - a może nawet piętnaście do dwudziestu - zajmie zięciowi przejęcie kontroli nad spółką.

- Nie pożyczysz tych pieniędzy?

- Nie, sir. Dał mi je mój dziadek. Chciał, żebyśmy miał jakiś własny biznes.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się szeroko choć nie bez pewnej ironii.

- Cóż, masz więc teraz własne przedsiębiorstwo.

- Mam nadzieję, że nie czujesz się dotknięty - rzekł Jack.

- Ani trochę. Myślę, że powstrzymywałem się od ingerencji w twoje zarządzanie tym przedsiębiorstwem?

- Oczywiście, że się powstrzymywałem, chociaż ja wiedziałem, że zainwestowałeś w WCHS duży kapitał i czułem się zobowiązany, by cię od tego uwolnić.

Jack powiedział to, zanim zdał sobie sprawę, że te słowa w ogóle nie powinny paść z jego ust. Harrisonowi Wolcottowi zaś niewiele czasu zajęło zrozumienie, że jego zięć od dawna miał pieniądze na zakup owych udziałów, a tylko dlatego korzystał ze swego prawa dopiero teraz, że przekonał się, iż ten „biznes” przynosi zyski.

Jack próbował naprawić błąd.

- Naturalnie, ociągałem się z inwestowaniem wszystkiego co dał mi dziadek, dopóki nie nabrałem pewności, że tego nie stracę.

- Czy chcesz dokonać jakichś zmian w składzie zarządu? - zapytał Wolcott.

Jack przecząco pokręcił głową.

- Chcę żebyś pozostał jego przewodniczącym, jeśli się zgodzisz.

- Doskonale. Przyjmij moje gratulacje. Jest tylko... no, cóż... jeden element w całej tej sprawie, którym prawdopodobnie mógłbym się poczuć dotknięty... Ja...

- Cóż to takiego? - Jack przerwał mu nerwowo.

Starszy mężczyzna wciąż obracał w dłoniach wręczony mu przez zięcia czek.

- Widzisz, Jack, kiedy my dwaj zawieramy transakcję, nie wręczaj mi czeków potwierdzonych przez bank i nie oczekuj podobnie potwierdzonych czeków ode mnie. Twój podpis jest dla mnie gwarancją czeku na każdą sumę i spodziewam się, że ty będziesz akceptować mój.

4.

Dom na Louisburg Square nie był gotów do podejmowania gości aż do wiosny 1934 roku.

Chociaż Jack dał żonie pewną swobodę w dysponowaniu budżetem na jego urządzenie, to jednak ów budżet okazał się niewystarczający i Kimberly przyjęła szczodre prezenty od matki i ojca. Pani Wolcott

towarzyszyła córce w wyprawach po dywany oraz meble i często płaciła za jej sprawunki.

Kimberly postanowiła zamienić ten dom niemalże w atrakcję turystyczną. Poleciła wywiórkować i polakierować wszystkie podłogi. Potem kupiła orientalne dywany i rozłożyła je tak, by ukazywały i eksponowały wspaniałe dębowe drewno. Eto salonu kupiła wspaniały trzydziestoletni perski dywan o jaskrawych barwach, tkany w wyraźny geometryczny wzór. Jadalnię wyłożyła dywanem o ciemniejszych kolorach i bardziej zawiłym wzorze. Środek biblioteki zdobił mniejszy dywan indyjski, który - ponieważ nie tkali go muzułmanie - przedstawiał polujące tygrysy, kroczące słonie i niesionych w lektykach myśliwych na tle stylizowanego, fantastycznego listowia.

Większość mebli z dawnego domu przeniesiono na Louisburg Square, ale niektóre zostały skazane na banicję do sypialni dla gości. Do salonu i jadalni Kimberly potrzebowała nowych. Wybrała krzesła w stylu królowej Anny oraz szyfonierkę w stylu Williama i Marii; w rzeczywistości żaden z owych mebli nie pochodził z czasów ich panowania, jednak wszystkie były wspaniałymi antykami wykonanymi w długim okresie popularności tych stylów.

Kimberly szczególnie cieszyła się z lakowanej szyfoniery, której szuflady ozdobione były chińskimi ornamentami przedstawiającymi mężczyzn i kobiety oraz wielbłądy i ptaszki. Kazała też zdjąć żyrandol i cały hol oświetlić kinkietami.

Pewnego kwietniowego dnia dom został uroczyście otwarty i oświetlony na przyjęcie pięćdziesięciorga gości. Ponieważ jadalnia nie zmieściłaby wszystkich zaproszonych, przyjęciu nadano swobodny styl, z przekąskami i drinkami.

Tak samo poprzednio, w pierwszych miesiącach drugiej ciąży po Kimberly nie było widać żadnych oznak odmiennego stanu. Zachowała gibką i smukłą figurę, jaką szczyciła się będąc dwudziestoletnią dziewczyną. Z okazji wydanego przez siebie przyjęcia upięła włosy za uszami, demonstrując brylantowe kolczyki, jej twarz zdobił staranny makijaż. Miała też na sobie naszyjnik i bransoletkę z trzech sznurów pereł.

Jeszcze się nie ubrała, chcąc by Jack jej w tym pomógł. Suknia z różowego jedwabnego brokatu była mocno dopasowana i odsłaniała piersi. Bojąc się, by nie odznaczały się pod nią ramiączka i zapięcie, nie zamierzała zakładać biustonosza. Nie był jej potrzebny. Podobnie; nie chcąc by pod suknią rysował się pas z klamerkami, używała podwiązek z czarnej jedwabnej wstążki, które podtrzymywały połyskliwe ciemne pończochy. Czekając aż Jack wyjdzie z łazienki usiadła przed toaletką i odziana jedynie w jedwabne majteczki oraz pończochy sprawdzała staranność fryzury i makijażu.

- Wyglądasz jak królowa nocy - rzekł Jack.

Kimberly odwróciła się, spojrzała na niego i westchnęła.

- Pozwól, że poprawię ci muszkę. Nigdy nie zawiążesz jej prosto, prawda?

Jack miał na sobie dwurzędowy smoking.

- Pamiętaj - powiedziała - nie porywaj przekąsek ze stołu czy tac wprost do ust. Musisz je sobie położyć na talerzyk. Musisz mieć talerzyk.

- Tak jest, madame - odparł jowialnie.

- Mówię poważnie, Jack. To nie Kalifornia.

- Innymi słowy: nie zachowuj się jak kalifornijski Żyd.

- Na litość boską, proszę cię tylko o to, byś nie wprawiał nas w zakłopotanie. Pomóż mi z tym... - Włożyła suknię przez głowę i zsunęła ją na dół wzdłuż ciała, a Jack podciągnął zamek i zapinał haftki. - I nie wspominaj o rozwodzie Betsy Emerson, a jeśli ktoś coś o tym powie, mów, że o niczym nie wiedziałeś. Poznasz ją jako panią Otis-Emerson. To stosowna forma, bo Otis jest jej panieńskim nazwiskiem. Ma na imię Elizabeth i dopiero kiedy drugi lub trzeci raz będziesz z nią rozmawiał, poprosi byś nazywał ją Betsy.

- W porządku. Zejdziemy na dół i sprawdzimy czy wszystko gotowe?

- Tak. I nie zapominaj, że państwo Horanowie są katolikami. Jedynymi, jacy będą tu dziś wieczorem. Connie jest jedną z moich najlepszych przyjaciółek.

- Nigdy nie opowiadam antykatolickich dowcipów - zapewnił ją Jack.

- Wiem, że tego nie robisz. Istnieje jednak taki sposób mówienia... Chcę powiedzieć, że pewne rzeczy lepiej mówić inaczej.

- Jezu Chryste, Kimberly! Nie sądzisz chyba, że nie wiem jakie?

Kiedy dom był już pełen ludzi i nikt nie obserwował, kto z kim rozmawia, Jack stanął niepostrzeżenie obok pani Otis-Emerson, która właśnie nakładała sobie na talerzyk kilka krakersów z kawiozem.

- Witaj, Betsy! - mruknął cicho.

Oczy jej rozbliły.

- Ty draniu! - szepnęła. - Gdzie się podziewałeś?

- Byłem piekielnie zajęty.

- Bzdura. Jestem kobietą upadłą, Jack, i pragnę by ktoś mnie podniósł i pocieszył. Czy to ty sprawiłeś, że zaproszono mnie na dzisiejszy wieczór?

Potrząsnął głową.

- Kimberly cię zaprosiła.

- Wykreślono mnie z polowy list gości zapraszanych w tym mieście.

- Doprawdy?

- Oczywiście. Dla bostońskiej śmietanki towarzyskiej rozwód wciąż jest największym skandalem.

- Nawet jeśli ten drań cię bił?

- Nawet jeśli ten drań mnie bił. Posłuchaj; moja rodzina próbowała odwieść mnie od rozwodu. Mój adwokat próbował odwieść mnie od rozwodu. Sędzia próbował odwieść mnie od rozwodu. Wszyscy mówili, że lepszy jakikolwiek mąż niż żaden.

Betsy była trzydziestodwu- lub trzydziestotrzyletnią urodziwą - choć bynajmniej nie tak ładną jak Kimberly - blondynką. Nos miała trochę za długi i ostry, usta trochę za szerokie, a zęby zbyt widoczne. Jednak tym, co Jacka pociągało w Betsy najbardziej, była jej postawa nieskrywanego poczucia własnej godności.

- Przepraszam cię, Betsy - powiedział poważnie - nie omieszkam spotkać się z tobą możliwie najszybciej.

- Zrób to niebawem - odparła zniżając głos, gdyż zauważyła nadchodzącą Kimberly - każda kobieta, która poczuła kiedyś w sobie koguta pana Leara, pragnie poczuć go znowu.

Chwilę później obok nich stała już Kimberly.

- Widzę, że już się poznaliście.

Jack skinął głową.

- Tak, i twoja przyjaciółka już poprosiła mnie bym nazywał ją Betsy.

Kimberly udała, że nie usłyszała zjadliwego komentarza Jacka.

- Wiem, że znasz się trochę na chińskim zdobnictwie, Betsy - powiedziała. - Widziałas moją szyfonierę? Chętnie poznam twoją opinię.

- A Jack...? - zapytała Betsy.

- Mój mąż nie odróżniłby ornamentu chińskiego od szkockiego. Muszę go tego nauczyć. Może mogłabyś pomóc.

- Z chęcią spróbuję - odparła Betsy, patrząc Jackowi prosto w oczy.

Dana Horana łatwo było poznać. Znacznie starszy od swej żony Connie, przyjaciółki Kimberly, był potężnym, rubasznym i tęgim, ale wciąż jeszcze bardzo postawnym mężczyzną. Miał ciemne kręcone włosy i nosił okulary w złotych oprawkach. Nie miał powodu, by wkładać szczególnie dużo wysiłku w zjednywanie sobie przyjaciół, a jednak sprawiał wrażenie, iż szuka ich wytrwale niczym bibliofil gromadzący książki, których nie czyta.

- Gratuluję ci tego domu - rzekł do Jacka. - Móc złapać tutaj...

- Szukaj okazji...

- Ty już jedną znalazłeś, a Kimberly włożyła w to piekielnie dużo pracy.

- Napiłbym się - rzekł Jack. - A ty?

Kimberly zatrudniła na ten wieczór dwie dziewczyny, które węd-

rowały po domu w krótkich, kloszowych, czarnych spódniczkach, białych fartuszkach i czepkach, ale na tacach nosiły jedynie kieliszki z szampanem i przekąski. Kucharka, Irlandka o niesamowitych kształtach, okazała się zręczną barmanką i pełniła tę rolę za stołem ustawionym w bibliotece.

- Connie mówi, że zamierzasz kupić stację WHFD w Hartford.

- Kimberly powiedziała Connie to, do czego nakłania mnie, ale ja jeszcze nie podjąłem decyzji. Kimberly chce tego zakupu, bo WHFD nadaje jedynie muzykę klasyczną. Moja żona jest nieco zakłopotana naszą WCHS.

- To najbardziej interesująca stacja w Bostonie - rzekł Dan Horan.

- Dzięki za staranny dobór słów - powiedział, śmiejąc się Jack. - Przynosi też największe zyski, jeśli wierzyć najnowszym obliczeniom.

Odeszli od baru z kieliszkami w dłoniach i w korytarzu między biblioteką a salonem spotkali Kimberly i Connie.

Jack doszedł do wniosku, że Constance Horan jest jedyną kobietą, która - ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widział - dorównywała Kimberly wdziękiem i urodą. Jej styl był jednak całkiem inny. Wyższa niż Kimberly, miała długie, smukłe nogi i jasne włosy. Jej usta były bardziej miękkie, ale podkreślała je szminką. Najważniejszą różnicą między tymi dwiema kobietami było to, że Connie nosiła się z wyzywającą godnością, która graniczyła z arogancją. Była też doskonałą brydżystką. Connie i Jack zasiadali czasem do gry jako partnerzy, gdyż tworzyli wspaniałą brydżową parę.

Dziś wieczorem miała na sobie białą jedwabną suknię bez rękawów z dekoltem w kształcie litery „V”. Obcisła spódnica ostentacyjnie podkreślała wąskość bioder i długość smukłych nóg. Jack był poruszony jej widokiem.

- Jack... ile szklaneczek szkockiej wypiłeś dziś wieczorem, kochanie? - zapytała Kimberly z uszczypliwym uśmiechem.

- Nie wiem. Liczyłeś?

- Ależ nie, doprawdy. Mam jednak nadzieję, że ta jest ostatnia.

6.

Tuż przed północą w gotowni sąsiadującej z ich sypialnią Jack cisnął marynarkę na podłogę.

- Do diabła, dosyć tego! Dosyć tego cholernego krytykowania, tego szukania dziury w całym!

Kimberly rozpięła suknię i weszła do łazienki.

- Jesteś w jakimś podłym nastroju - zawołała przez ramię.

- A dlaczego miałbym w nim nie być? Przechodzisz samą siebie w upokarzeniu mnie.

- Wjakiż to sposób cię upokorzyłam? - zapytała ze spokojem, który niósł w sobie wyzwanie.

- Powiedziałaś Betsy, że nie odróżniam chińskich ornamentów od szkockich.

- A odróżniasz?

- Tak. Być może nie zawsze wiem czy jakiś mebel wyszedł ze szkockiej pracowni Duncana Phyfe, ale wiem jak wygląda chińskie zdobnictwo. Powiniennem wiedzieć; wszak zapłaciłem dość dużo za każdą pozycję w spisie rachunków.

Kimberly wróciła z łazienki, zawiązując w talii ozdobny sznur jedwabnego błękitnego peniuaru.

- Masz jakieś inne zarzuty? - zapytała.

Mówiąc, zrzucił z siebie ubranie i teraz stał przed nią nagi, ostentacyjnie wymachując „kogutem”.

- Kiedy Barbara wręczyła mi kanapkę ze swego talerza, a ja wziąłem ją i zjadłem, nie musiałaś pytać gdzie jest mój talerzyk. Co miałem zrobić? Przyjąć kanapkę z jej talerzyka, położyć na swoim i dopiero później podnieść ją do ust i zjeść? To miałem zrobić?

- Poza tym nie miałaś serwetki.

- No dobrze, wypilem jednego drinka, prawda. A ty przy Horanach zapytałaś ile ich wypilem i poradziłaś, bym nie pił więcej.

- Dobrze, że to zrobiłam. Posłuchaj jak mówisz.

- N i e j e s t e m p i j a n y , Kimberly!

- Trzymam cię za słowo. Sądziłam, że liczysz, iż zrobię z ciebie dżentelmena. To była część naszej umowy. Prosiłeś mnie o to, a wciąż jesteś bardzo daleki od...

- Nie przy ludziach, Kimberly! Nie przy obcych ludziach!

- Ach, teraz widzę tę różnicę. Dzisiejszego wieczoru wystawiłam cię na pokaz, mój mężu. Pokazałam człowieka, który może sobie pozwolić na dom przy Louisburg Square; dom umeblowany właśnie tak; człowieka, który wie, jak się ubrać, jak przyjmować i jak rozmawiać z gośćmi... Czego nie wiedział trzy lata temu. Zaprezentowałam człowieka, który być może nie wie dokładnie kim był Duncan Phyfe, ale rozpoznaje chińskie zdobnictwo oraz różne rodzaje orientalnych dywanów, jakie mamy... I ma pieniądze, by je kupić. Dzisiejszego wieczoru zaprezentowałam Bostonowi ciebie. I całkiem dobrze wypadłeś, Jack. A mówiąc szczerze, stało się to wśród ludzi, którzy wątpili, byś zdołał tego dowieść. I oto w podzięcie odbieram litanie błahych skarg od mężczyzny, który... och nie, nie, nie jest pijany, ale zbliża się do tego stanu. Jeśli więc poradziłam, by ta

szklaneczka szkockiej - czwarta, piąta czy któraś tam z kolei - była tego wieczoru ostatnią, to zrobiłam cholernie dobrą rzecz, bo mógłbyś zniszczyć wszystko, nad czym pracowaliśmy i co poświęciliśmy, żeby to osiągnąć. A teraz idę spać. - Tu zrobiła przerwę, po czym dodała: - Mam jeszcze jedną propozycję. Weź prysznic i umyj zęby, zanim do mnie przyjdiesz. Jeśli nie potrafisz zrobić nic innego, to przynajmniej możesz zrobić użytek z tego obrzezanego fiuta.

ROZDZIAŁ PIĄTY

1. - 1934

10 czerwca Jack otrzymał depezę:

LOS ANGELES 10 CZERWCA 1934 GODZ. 10.00
ŻYCIE JOHANNA LEHRERA GWAŁTOWNIE DOBIEGA KOŃ-
CA STOP CODZIENNIE SŁABSZY STOP JEŚLI CHCESZ Z NIM
ROZMAWIAĆ PÓKI JEST PRZY ŻYCIU PRZYJEDŹ TU JAK NAJ-
SZYBCIEJ STOP

MICKEY

Mickey Sullivan był totumfackim Ericha Leara i wieloletnim przyja-
cielem Jacka.

Następnego dnia po otrzymaniu depezy Jack w południe wsiadł na pokład dwupłatawca Amerykańskich Linii Lotniczych *Condor*, by udać się do Los Angeles. Samolot leciał z Bostonu do Los Angeles przez Nowy Jork, Waszyngton, Nashville, Dallas oraz Douglas w stanie Arizona z międzylądowaniem w każdym z tych miast. Ponieważ zaś leciał także nocą - co było ostatnią śmiałą innowacją w lotnictwie - wyposażony był w fotele, które rozkładały się w wygodne koje. Po zjedzeniu przez dziesięciu pasażerów solidnego posiłku uzupełnionego winem i likierami zapraszano ich do odpoczynku. Gdzieś nad Wirginią czy Tennesy rozkładano owe koje i pasażerowie, odziani w piżamy, kładli się spać. Później tych, którzy jeszcze spali, budzono w Dallas i mówiono im, że mają już za sobą ponad połowę drogi. Śniadanie, lunch i podwieczorek z koktailami jedli jeszcze na pokładzie samolotu, zaś w porze kolacji lądowali w Los Angeles.

Przed opuszczeniem lotniska Jack wysłał telegram do Kimberly:

LOS ANGELES 12 06 1934
DOLECIAŁEM BEZPIECZNIE STOP WRÓCĘ POCIĄGIEM STOP
CAŁUJĘ CIEBIE I JOHNA

JACK

Na lotnisku czekał na niego Mickey Sullivan, który - gdy tylko Jack nadał depeszę - powiedział mu, że przyleciał za późno.

- Starszy pan zmarł przed czterema godzinami.

- Mówił coś o mnie?

- Nie mówił nic o nikim. Twój ojciec i brat próbowali z nim rozmawiać w tych ostatnich dniach. Wiedział, że mówią do niego, patrzył, ale pozostawał obojętny. Taka właśnie jest śmierć, Jack. Nic specjalnego. Ludzie po prostu zagłębiają się w sobie i ostatnie godziny spędzają z własnymi myślami.

Mickey Sullivan był osiem lat starszy od Jacka. Miał rudawoblond włosy i otwartą, dobroduszną, szczerą twarz. Wielu ludzi uważało, że Erich Lear, żądając od Mickeya zbyt dużo czasu i energii, zniszczył jego małżeństwo, które zakończyło się rozwodem.

- Twój ojciec jest zły - rzekł Mickey, gdy wsiedli do jego samochodu.

- Mam to gdzieś. Zawsze albo pieprzy, albo jest napalony. Zna tylko te dwa stany.

- Przejrzeli testament twojego dziadka. Twemu bratu zostawił milion, a tobie pół miliona dolarów, mówiąc, że pół miliona dał ci już wcześniej, w 1931 roku. Twój ojciec jest zły, że żaden z was mu o tym nie powiedział.

- Dziadek nie chciał, by ojciec o tym wiedział.

- No cóż, on uważa, że to zdrada. Reszta masy spadkowej, która przypada jemu, nie sięga miliona.

- On ma własne miliony. Jest prezesem i głównym udziałowcem wielkiego przedsięwzięcia.

- Zamierzają odprawić *shivę*. Zostaniesz?

- Nie mogę zostać tak długo. Skoro dziadek nie żyje, to aż mnie kusi, żeby cię prosić o odwiezienie na dworzec. Już dziś wyruszyłbym w drogę powrotną.

- Nie rozumiem, jak mógłbyś zrobić coś takiego, Jack - odparł ze smutkiem Mickey.

- Dobrze, więc, zawieź mnie do „Ambassadora”. Mam tam rezerwację. Zjesz ze mną kolację, prawda? Nie mam ochoty spotykać się z ojcem i bratem przed jutrzejszym nabożeństwem.

Przy kolacji Jack opowiedział Mickeyowi o domu przy Louisburg Square i o swoim synku. Mickey zaś opowiedział mu co słyszał u kalifornijskich Learów.

- Interesy idą wspaniale. Znasz swojego ojca. Stał do przetargu o złomowanie *Mauretanii*. Założę się, że go wygra. Zawsze dostaje to, co chce. Powinien być szczęśliwy. Oddaje się też jak zawsze swoim zwykłym figlom.

- Kto teraz?

- Nie uwierzyłbyś. Szesnastolatka! Słodziutka. Naprawdę, cukiereczek! Ze wstydem przyznaję, że toja mu ją załatwiłem. Choć matka wcale nie wychowała mnie na stręczyciela - mówił Mickey, potrząsając głową.

- Ale jesteś w tym dobry! - roześmiał się Jack. - Gdybym za dwa dni nie musiał złapać pociągu do Bostonu, poprosiłbym cię, byś znalazł jakąś także dla mnie.

Mickey rzucił okiem na zegarek.

- Jeszcze nie jest za późno. Chyba mógłbym cię umówić z...

- Może na jutrzejszą noc.

- Dobrze. Posłuchaj, człowiekiem naprawdę nieszczęśliwym jest twój brat, a jeszcze bardziej niż on nieszczęśliwa jest twoja bratowa, Dorothy.

- Co?! Małżeństwo, które właśnie odziedziczyło milion dolarów jest nieszczęśliwe?!

- To sprawa charakteru. Ty miałeś dość siły, by opuścić swojego starego, a Bobej nie ma. Mimo że Bob ma własne przedsiębiorstwo, Erich we wszystko się wtrąca. Wytwórnia Carlton House powstała oczywiście za pieniądze Ericha i ilekroć Bob angażuje jakąś obiecującą gwiazdkę, stary chce ją łomotać, a gdy już to zrobi, zmusza Boba, by dał jej rolę, do której dziewczyna w ogóle się nie nadaje. Czyta też scenariusze i wymusza na Bobie realizację tych, które podobają się jemu. Erich zamienia Bobowi każdy dzień w piekło na ziemi.

- A w co zamienia każdy z twoich dni?

- Wiesz przecież, jak się rzeczy mają.

- Ile ci płaci?

- Osiemnaście tysięcy.

Jack zastanawiał się przez chwilę.

- Przyjąłbyś dwadzieścia cztery tysiące za przeniesienie się do Bostonu i wejście w branżę radiową?

- O Jezu, tak!

- Ile czasu potrzebujesz, by wszystko załatwić?

- No cóż, powinienem złożyć Erichowi trzydziestodniowe wypowiedzenie.

- Pieprz go. Nie zawdzięczasz mu ani trochę więcej niż ja. Zarezerwuj dla nas bilety na czwartek. Możesz mu wysłać depesz z Chicago.

2.

Johann Lehrer miał być pochowany w drewnianej trumnie ze sznurowymi uchwytami. Tak sobie życzył. Również zgodnie z jego życzeniem trumnę ustawiono na prostym, drewnianym koźle. Kiedy jednak przyszło do kwiatów, jego życzenia zostały zlekceważone. Był przecież dziadkiem właściciela wytwórni Carlton House więc Hollywood przysłało furgonetki pełne wieńców i wiązanek, aby uczcić jego pamięć.

W domu pogrzebowym mogło się zmieścić tylko dwadzieścia osób, więc aby tłum zgromadzony na trawniku mógł wysłuchać mowy na cześć zmarłego i kadiszu, na zewnątrz wystawiono głośniki.

- Tak... - rzekł Erich Lear - mój syn, prawdziwy bostończyk, jest ubrany jak spod igły. Spójrz na ten garnitur - rzekł do Boba. - My wyglądamy przy nim wręcz niestosownie.

- Przez wzgląd na... - odparł Jack i skinął w stronę trumny - nie powiem, co sędzę o twojej opinii na temat moich ubrań czy czegokolwiek innego.

Erich spojrział na trumnę.

- Dobrze. Przez wzgląd... - wyciągnął rękę. - Dziś nasze uczucia powinny być przy nim.

- Tak, przy profesorze prawdziwej i objawionej religii. Przy „szmaciarzu”, a potem, by użyć jego własnego słowa, przy „złomiarzu”. W końcu zaś przy człowieku tak wielkiego sukcesu, że mógł ciebie osadzić w twoim przedsiębiorstwie, a mnie w moim. Szczęcę się, że jestem jego wnukiem.

Bob spojrział na Jacka ponuro.

- Podobno masz piękny dom w Bostonie. Nie sędzę, byś kiedykolwiek zaprosił tam dziadka albo ojca czy brata, by go zobaczyli.

Bob Lear był zgorzkniały, tak jak mówił Mickey Sullivan. Jego skłonność do złośliwości i małostkowość rzucały się w oczy. W niczym nie przypominał pozostałych Learów: był pulchnym, krzywonogim blondynem. Jasnoszary dwurzędowy garnitur z białymi guzikami podkreślał niezgrabną sylwetkę Boba.

- Kimberly i ja powitamy was serdecznie... jeśli postanowicie przyjechać - rzekł Jack lodowato.

Nieoczekiwanie do braci podszedł jakiś mężczyzna.

- Jarmużkę, sir? - zapytał Jacka, podając mu czarne atłasowe nakrycie głowy.

- Tak, oczywiście.

Modły żałobne były krótkie i gdy dobiegły końca, czterech mężczyzn poniosło trumnę do otwartego grobu, wykopanego w odległości stu metrów, i opuściło ją do ziemi.

W drodze powrotnej do kaplicy i samochodów Erich zapytał Jacka, jak długo zostanie w Los Angeles.

- Muszę wsiąść w jutrzejszy pociąg. Interesy. Nie muszę ci mówić, ile to wymaga czasu i uwagi.

- Panie Lear! - Fotograf dźwigający wielki aparat marki „Graflex” biegł ku nim przez trawnik - Fotografia syna i dwóch wnuków zmarłego? - zapytał.

- Jasne, czemu nie - rzekł Erich.

Ustawili się przed obiektywem. Erich w środku, synowie po bokach.

- Cóż - mówił dalej Erich - rozumiem zatem, że nie zamierzasz przyjść dziś wieczorem do domu.

- Udało nam się spędzić tę godzinę bez zgrzytów - odparł Jack, wyciągając rękę, którą ojciec uściśnął. - Rad jestem, że cię widziałem, ojczu. I ciebie, także, Bob. Nie kuśmy Boga, by nas postawił przeciwko sobie.

- Jak sobie życzysz - rzekł szorstko Erich. - Daj mi swoją jarmułkę. Oddam ją.

- Ach tak, słusznie. Proszę - Jack ukłonił się ojcu. - Do zobaczenia w przyszłym roku w Jerozolimie - wypowiedział tradycyjną formułę pożegnania.

Erich i Bob patrzyli jak Jack zmierza do samochodu Mickeya Sullivana. Po chwili Erich rozejrzał się wokół i uniósł rękę, by przywołać fotografa.

- Zrób wszystko, by te zdjęcia możliwie najszybciej dotarły do Bostonu, rzekł wręczając fotografowi studolarowy banknot.

3.

Mickey odwiózł Jacka z powrotem do „Ambassadora”, wszedł z nim do pokoju i obserwował, jak Jack wlewa w siebie dwie szybkie whisky i zapala camela, a potem, zaciągając się głęboko, przemierza hotelowy apartament.

- Wiem - rzekł Mickey. - Zawsze to samo. Proponowałem ci jakąś dziewczynę na dzisiejszą noc. Może uda mi się znaleźć coś dobrego natychmiast. Pozwól mi odbyć kilka rozmów telefonicznych.

Jack wyszedł do łazienki, by wziąć gorący prysznic. Gdy wrócił, Mickey pokazał mu uniesiony ku górze kciuk i roześmiał się szeroko.

- Będzie tu w ciągu godziny. Nie odsyłaj jej od razu, gdy ją zobaczysz. Jest naprawdę dobra. Wrócę później. Uczcijmy kolacją naszą ostatnią noc w Los Angeles.

Jack skinął głową i nalał sobie kolejną szklaneczkę szkockiej.

Dziewczyna okazała się pulchną nastolatką. Nie była szczególnie atrakcyjna, chociaż Jack zdołał dostrzec w niej coś erotycznego; coś, czego by prawdopodobnie nie zauważył, gdyby Mickey nie skłonił go do „drugiego rzutu okiem”. Smagła cera i piwne oczy wskazywały, że jest Latynoską, prawdopodobnie Meksykanką. Miała na sobie luźną, białą wiejską bluzkę i czarną marszczoną spódnicę, ozdobioną na dole zielonymi i czerwonymi wstążkami, oraz czarne pończochy i błyszczące czarne lakierki.

- Pan Lear? Oczekuje pan na mnie?

Skinął głową z powściągliwym uśmiechem.

- Tak, chyba tak. Wejdz.

Weszła i rozejrzała się po hotelowym apartamencie.

- Ładnie tu - rzekła po prostu.

Usłyszał stukot obcasów, gdy przemierzała parkiet. Spojrzawszy na jej pantofle, zrozumiał, że miały przybite metalowe fleczki.

- Jesteś tancerką? - zapytał.

- Tak. Najpierw dla pana zatańczę... jeśli pan chce.

- Tańczysz na scenie?

- Tak, choć jeszcze nigdy pan o mnie nie słyszał. Sądzę, że kiedyś pan usłyszysz.

- Mam nadzieję - odparł Jack. - A na imię masz...

- Consetta Lazzara.

- Jesteś bardzo młoda - powiedział.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- Jednak wystarczająco dojrzała do tego, czego panu potrzeba, panie Lear.

- A co ci powiedziano o moich potrzebach?

- Pan Sullivan powiedział, że jest pan przygnębiony. Był pan dzisiaj na pogrzebie swojego dziadka.

- Cóż, Consetto, jeśli tańczysz dziś dla mnie, to czy zechcesz zatańczyć nago?

Roześmiała się.

- Tak. Wiedziałam, że właśnie tego pan zechce.

Podeszła do radia i zaczęła szukać stacji, która nadawałaby odpowiednią muzykę. Znalazszy ją, szybko zrzuciła z siebie wszystko oprócz czarnego pasa, pończoch oraz lśniących czarnych pantofli i zaczęła tańczyć. Najpierw kołysała się powoli, potem wirowała coraz szybciej stukając obcasami.

Cieszył się, że nie przyniosła kastanietów. Zapewne była dość mądra, by wiedzieć, że popsułaby nastrój, jaki zamierzała stworzyć. Jej taniec

tchnął nie tylko zmysłowością, był wręcz lubieżny. Nagie piersi dziewczyny poruszały się rytmicznie, podobnie brzuch. Demonstrując swój okrągły tyłeczek, była nazbyt świadoma erotycznego efektu; od czasu do czasu pochylała się, by nim zakręcić i wystawić na pokaz. Miała najobfitszy gąszcz czarnych włosów łonowych, jaki kiedykolwiek widział. Poza momentami, gdy w tańcu rozchyłała nogi, zasłaniał jej szczelinę całkowicie.

Przetańczyła może pięć minut, a potem, lekko lśniąca od potu, rzuciła się na kanapę.

- Czego pragnie pan teraz, panie Lear?

- Zgadnij.

Zaprowadził ją do sypialni, gdzie bez skrępowania i bez wahania położyła się na łóżku. Podniecony, zrzucił ubranie z pośpiechem, który ją rozbawił. Potem roześmiała się znowu, oddając mu do pomocy swoje drobne dłonie, gdy niezdarnie grzebał się z naciągnięciem gumki. Założyła mu ją ze zręcznością, która wskazywała, że robiła to wcześniej już nie jeden raz. W jednej chwili znalazł się na niej niezdolny, by się powstrzymać. Mruknęła coś, gdy się w nią wbił, ale zamknęła oczy i przyjmowała jego gwałtowne ruchy usłużnie, choć drżała pod naporem takiego ognia. Nie łudził się, że przeżywa rozkosz.

Kiedy wybuchnął niczym eksplodujący wulkan, westchnęła i objęła go ramionami przyciągając do siebie. Jego ciężar wydawał się nie sprawiać dziewczynie kłopotu, kiedy zaś Jack stoczył się na prześcieradło, wprawiła go w zdumienie, zwinnie ściągając prezerwatywę i odkładając ją do stojącej przy łóżku popielniczki, a potem zmywając jego oręż wargami i językiem.

Przez jakiś czas leżeli spokojnie obok siebie, a później szepnęła, że byłaby szczęśliwa, mogąc poczuć go w sobie znowu.

- Jasne, za chwilę - odparł, zapalając camela i podając go dziewczynie. Drugiego zapalił dla siebie. - Często to robisz, Consetto?

- Tylko z ludźmi takimi jak ty - odpowiedziała prosto.

- Tylko z ludźmi takimi... Z jakimi?

- Z takimi, którzy mogą mi pomóc.

Jack skinął głową, jakby doskonale rozumiał, o czym dziewczyna mówi, ale w myślach pospiesznie rozszyfrowywał znaczenie tych słów. Jęknął w duchu: Mickey powiedział tej dziewczynie, a może nawet jej rodzicom, którzy mogli wiedzieć, co ona robi, że brat Jacka jest szefem wytwórni Carlton House.

- Chcesz grać w filmie? - zapytał. - O to chodzi?

- Tak. Myślę, że potrzebna mi tylko jakaś szansa.

Więc... I z innymi także?

- Jak wszystkie dziewczęta, które chcą się dostać do Hollywood - odparła, jakby było to oczywiste.

- Cóż, zobaczę, co będę mógł dla ciebie zrobić, Consetto. Rozumiesz, że mnie przede wszystkim interesuje radio. Umiesz śpiewać?

- Mogę śpiewać.

- Może ułatwimy ci start na tej drodze.

- Ale mnie przede wszystkim interesuje film. Rozumie pan?

- Rozumiem. Miałabyś coś przeciwko temu, by zrobić mi to ustami?

- Wiem, jak to się robi - odparła otwarcie.

Wiedziała, jak to się robi. Nie miał wątpliwości. Choć przedtem doszedł w ciągu kilku minut, teraz również szybko osiągnął orgazm. Consetta wybiegła do łazienki, by wypluć wszystko do umywalki. Kiedy wróciła i spoglądała na jego „maszt”, ze śmiechem potrząsnęła głową, widząc, że wciąż stoi.

Zapalili dwa kolejne papierosy.

- Ile masz lat, Consetto?

- Nie jestem pewna, czy chce pan to wiedzieć?

- Powiedz.

- Szesnaście - wyznała cicho.

- Ach tak... Cóż, zrobię dla ciebie, co będę mógł. Na początek trochę pieniędzy.

- Nie. Nie robię tego dla pieniędzy. Nie jestem dziwką, panie Lear.

- Oczywiście, że nie jesteś dziwką. Nawet mi to nie przyszło do głowy. Ale może zechciałabyś przyjąć, powiedzmy... sto dolarów... Po prostu dlatego, że byłaś dla mnie miłsza niż musiałaś.

- Cóż...

- A zatem w porządku.

Ubrała się.

- Panie Lear, na co powinnam się zgodzić? - zapytała.

- Co masz na myśli, Consetto?

- Wszyscy chcą, bym kazała wyskubać sobie brwi i żebym pozbyła się włosów na przodzie głowy, aby podwyższyć czoło. Mam też stracić na wadze. Ktoś powiedział mi także, że Consetta Lazzara, to nie jest nazwisko dla dziewczyny, która zamierza zostać gwiazdą i że powinnam je zmienić.

- Na jakie?

- Słyszałam już kilka propozycji, na przykład Connie Lane.

Wymówiła to nowe nazwisko niczym magiczne zaklęcie.

4.

- Zmiana planów - oznajmił Jack przy kolacji Mickeyowi. - Nie możesz jechać ze mną jutro pociągiem do Bostonu.

- Rozmyśliłeś się?

- Nie. Zaproponowałem ci posadę i sprawa jest załatwiona, ale musisz tu zostać jeszcze przez jakiś czas. Tydzień może dwa. Tyle, ile zajmie ci załatwienie tej dziewczynie jakiejś szansy w filmie. Już wiem; skieruj ją do Mo Morisa i powiedz, że to ją przysyłam. Potem wsiądź w pierwszy pociąg do Bostonu.

- Co? Ach tak... Rozumiem... Chyba trochę przesadziłem z tą dziewczyną, czy tak?

- Mickey, może kiedyś znowu cię poproszę, żebyś mi coś załatwił. Jednak zrozum, proszę, że moje oczekiwania są wyższe od wymagań mojego ojca. Żadnych szesnastolatek! Prawdopodobnie może to człowiekowi ująć płazem w Kalifornii, ale w Massachusetts prowadzi prosto do mamra!

- Przykro mi...

- ...i słusznie! Chociaż z drugiej strony, Mickey, to jedna z najwspanialszych dupeczek, jaką kiedykolwiek miałem.

- Poślę ją do Mo Morrisa - rzekł Mickey. - Jest doskonałym agentem. Jeśli ktokolwiek może ją wprowadzić do filmu, to właśnie on.

5.

Kimberly spotkała Jacka na stacji. Przed dworcem czekał prowadzony przez kierowcę samochód marki „Duesenberg”.

- Zapewne mogłabym poczekać z pokazaniem ci tego aż przyjedziemy do domu - powiedziała - ale... Strona czwarta.

Na stronie czwartej widniał skromny tytuł:

WŁAŚCICIEL SIECI RADIOWEJ NA POGRZEBIE DZIADKA

Pod owym tytułem umieszczono dużą fotografię; tę zrobioną na trawniku przed cmentarną kaplicą; zdjęcie uwieczniające Ericha z dwoma synami. Podpis głosił:

KALIFORNIJSKI POTENTAT SUROWCÓW WTÓRNYCH ERICH LEAR ZE SWYMI DWOMA SYNAMI, PRODUCENTEM FILMOWYM ROBERTEM LEAREM, PREZESEM WYTWÓRNI „CARLTON

HOUSE" I JACKIEM LEAREM, PREZESEM BOSTOŃSKIEJ SIECI RADIOWEJ WCHS, 13 CZERWCA NA POGRZEBIE, PATRIARCHY RODU, JOHANNA LEHRERA, ZMARŁEGO WE WTOREK W LOS ANGELES.

Na fotografii widać było wyraźnie, że wszyscy trzej mają na głowach jarmułki.

- O cholera! - mruknął Jack.
- Powiedziałam dokładnie to samo - rzekła Kimberly.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

1. - 1935

Mały John był dzieckiem tak niesfornym, że jego niania, przyłoczona obowiązkami, powiedziała Kimberly, iż nie jest pewna, czy będzie mogła pozostać w ich domu. Głównym powodem jej narzekań okazał się fakt, że chłopiec absorbował ją tak dalece, że nie mogła poświęcić więcej uwagi dziewczynce, Joan Edith.

Joan Edith przysłała na świat dwa miesiące po powrocie Jacka z pogrzebu dziadka. Jack i Kimberly chcieli uczcić jego pamięć imieniem drugiego dziecka. Żona Johanna Lehrera miała na imię Sulamith, lecz Jack nawet nie sugerował, by nadać je córeczce. Kimberly powiedziała, że Johann jest niemieckim odpowiednikiem Johna, zaś Joan to żeńska forma tego imienia, więc ich córce nadano imię Joan na cześć Johanna oraz Edith dla uhonorowania matki Kimberly.

Kimberly przekonała nianię do pozostania w ich domu, mówiąc, że sama przejmie część obowiązków przy Joan.

Jack przeniósł swoje biura. Potrzebował więcej przestrzeni, szczególnie od chwili, gdy z Kalifornii przyjechał Mickey Sullivan, który został mianowany wiceprezesem WCHS, Inc. Wiceprezesem był też Herb Morrill.

Ponieważ spółka posiadała teraz - obok bostońskiej stacji WCHS - również stację WHFD działającą w Hartford, jej nazwa stała się zbyt wąska i Jack zmienił ją na Lear Broadcasting, Inc.

Zaniepokoił też wielu ludzi w Hartford, jak również Kimberly, zmieniając program nowo przyłączonych rozgłośni. Chociaż stacja WHFD nadal emitowała głównie muzykę klasyczną, Jack wprowadził do jej programu półgodzinne występy Washa Olivera przez pięć wieczorów w tygodniu, pięć poranków przeznaczył na rodzinny cykl zatytułowany „Nasza rodzinka”, a różnym hartfordzkim uzdrowicielom zaproponował występy przed mikrofonem na tych samych warunkach,

jakie oferował ich bostońskim kolegom; innymi słowy płacili za czas antenowy.

Wcześniej WHFD przez lata przynosiła straty (co umożliwiło Jackowi nabycie tej stacji za przystępną cenę), teraz zaś nim minęło sześć miesięcy, dała skromny zysk.

Katolicki arcybiskup Bostonu poprosił o jedną godzinę w niedzielne przedpołudnie, chcąc wypełnić ją kazaniem, czytaniem Ewangelii i modlitwami. Jack dał katolikom tę godzinę: od dziewiątej do dziesiątej. Potem Rada Kościołów zażądała godziny na nabożeństwo protestanckie. Jack odparł, że będzie szczęśliwy sprzedając im tę godzinę (od dziesiątej do jedenastej) z kościelną dwudziestopięcioprocentową zniżką. Rada była zadowolona i zaczęła transmitować nabożeństwa z różnych kościołów. Jack nie poinformował ich, że archidiecezja katolicka dostała swój czas bezpłatnie, zaś sufraganowi powiedział, że byłoby mądrze, gdyby uczynili z tego wspólną małą tajemnicę.

Spłata otrzymana z majątku Johanna Lehrera dała Jackowi kolejne pół miliona dolarów. Zainwestował te pieniądze w dwie rzeczy: najpierw wystąpił o korektę licencji uzyskanej niegdyś dla stacji WCHS, by uzyskać zgodę na poszerzenie zasięgu, co uczyniło z niej jedną z najsilniejszych stacji na Wschodnim Wybrzeżu, a kiedy dostał tę zgodę, kupił nowy przekaźnik. Następnie kupił stację radiową WHPL w White Plains w stanie Nowy Jork i podobnie jak wcześniej postąpił ze stacją hartfordzką, także rozgłośnię w White Plains uczynił rynkiem zbytu dla programów, które rozwinął w WCHS. Dzięki dwóm nowym stacjom grę Oliviera Washa słyszeć było w całej Nowej Anglii, a nawet w Nowym Jorku, gdzie zdobył wiernych słuchaczy. Jack wyrwał Oliviera z domu publicznego i uczynił go pełnoetatowym muzykiem Lear Broadcasting. Zwerbowano też dla niego muzyków towarzyszących, którzy grali na gitarze, perkusji oraz na banjo i teraz Kwartet Radiowy Leara z solistą Washem Olivierem grał w zajazdach i salach tanecznych całej Nowej Anglii. Ludzie przychodzili tam, by posłuchać słynnego pianisty jazzowego, którego wcześniej słyszeli w radio.

Równocześnie gospodynie domowe z całej okolicy niczym od narkotyku uzależniły się od dramatycznych wydarzeń i mydlanego optymizmu „Naszej rodzinki”. Kiedy trzeba było zastąpić pierwszą odtwórczynię Mamy, dokonano tej zmiany tak niepostrzeżenie, że wydawało się, iż słuchacze nie zauważyli, że sentencje takie jak „Rodzinna miłość pokona wszystko” czyta inna aktorka.

Jack żałując, że wcześniej przemianował Braci Bronsonów na Mellow Felows, dokonał kolejnej zmiany, tym razem nadając im nazwę Minstrele. Zrezygnował z Dowcypnisiów i stworzył nowy program z Minstrelami dla

Betty, która wyspecjalizowała się w żartach i skeczach opartych na grze słów i niewłaściwym stosowaniu różnych wyrazów. Niektóre z powiedzeń Betty, którą wciąż jeszcze znano tylko z imienia, stały się porzekadłami, wchodząc w powszechne użycie nawet tam, gdzie jej nie słyszano.

Kimberly nie znosiła tych programów. Jackowi także się nie podobały, ale „Wieczór z Betty i Minstrelami” okazał się żyłą złotą.

Osobę Betty otaczała najściślejsza tajemnica. Betty była Murzynką. Pochodząc z leżącego w zachodniej Wirginii miasteczka Huntington, mówiła z akcentem Ohio Valley, w którym nic nie sugerowało jej rasy. Program Betty emitowany był z zamkniętego studia. Nawet Minstrele nigdy nie widzieli swojej gwiazdy. Do wchodzenia i wychodzenia z rozgłośni zaangażowano białą aktorkę, zaś Betty pojawiała się tam i zniknęła w fartuchu sprzątaczk.

Jack ubolewał nad jej sytuacją, ale nic nie mógł zrobić. Biały duet „Amos i Andy” odnosił sukcesy udając czarnoskórych, ale Ameryka nie była gotowa słuchać występów czarnych komików.

Kimberly wiedziała. Zaprosiła Betty i jej męża Charlesa na kolację do domu przy Louisburg Square. Betty naprawdę nazywała się Carolyn Blossom. Zarówno ona, jak i jej mąż byli wnukami niewolników. Na początku lat dwudziestych przyjechali do Bostonu sądząc, że miasto będące kolebką abolicjonizmu nie może być rasistowskie. Przekonali się, że jest.

Carolyn trafiła do radia, nagrywając swoje żarty i przysyłając je pocztą. Radiowcy wielokrotnie z entuzjazmem wypowiadali się o talencie komediowym Carolyn, dopóki jej nie zobaczyli. Fartuchy sprzątaczk, w których wchodziła i wychodziła z WCHS były jej własnością; wszak wcześniej pracowała w nich przez całe lata.

Jack twierdził, że pieniądze są znacznie ważniejsze niż zasady.

- Zarób najpierw kupę forsy, dziecińo - mówił do Carolyn - a kiedy twoje konto w banku nabierze rumieńców, przyjdzie czas, by przekonać ludzi.

2.

W czerwcu Jack pojechał do White Plains, by przyjrzeć się układowi programu i zarządzaniu stacją WHPL. Ponieważ było lato, polecił szoferowi zawieźć się tam duesenbergiem. Przypominało to nieco wakacyjną wyprawę, ponieważ jechali Międzystanową Autostradą numer 1, a potem Bostońską Drogą Poczтовую prowadzącą przez Providence i New Haven oraz przez nadmorskie miejscowości Złotego Wybrzeża Connecticut.

Skoro miał być poza domem cztery dni, postanowił wziąć ze sobą jakieś miłe towarzystwo i zaprosił urodziwą, jasnowłosą rozwódkę, Betsy Emerson.

W samochodzie gruba szklana szyba oddzielała miejsce kierowcy od tylnych foteli zajmowanych przez pasażerów i przez większą część podróży owa zasłona była opuszczona, więc kierowca nie mógł ani widzieć, ani słyszeć Jacka i Betsy siedzących z tyłu. Jack mógł więc podciągnąć spódnice Betsy aż do majtek i pieścić nogi swojej miłej towarzyszkii podróży, Betsy zaś mogła pieścić jego krocze. Rozmawiali o wielu głównie zabawnych rzeczach, ale po postojach na lunch Betsy popadła w nastrój refleksyjny.

- Myślałam o tym, by nie przyjąć twojego zaproszenia - powiedziała Jackowi spokojnie nie odrywając ręki od sztywnego penisa, głaszcząc go przez materiał spodni.

- Potrafię sobie wyobrazić kilka powodów, dla których mogłabyś to uczynić. Który z nich cię dręczył?

Musnęła jego policzek lekkim pocałunkiem.

- Kimberly. Dręczy mnie to, co robimy Kimberly...

Jack wcisnął palce pod majtki Betsy i przesunął je po szczelinie. Była wilgotna.

- Poważnie zastanawiałem się nad tym, by cię nie zaprosić - powiedział. - Z tego samego powodu.

- I co?

Wyjął rękę z majtek Betsy.

- A cóżja robię Kimberly? Czy nie nadchodzi właśnie czas, bym miał prawo zapytać, co ona robi mnie?

- Więc to dlatego...

- Nie, nie dlatego cię zaprosiłem i nie dlatego staram się być z tobą, kiedy tylko mogę. Ja cię nie używam, Betsy. Ja cię pragnę. Pragnę być z kobietą, która nie uważa, że jestem... Cóż, która nie sądzi, że ja... Wiesz, co mam na myśli.

Przesunęła dłonią po jego policzku, szyi i karku.

- Czy to źle?

- A jak ci się wydaje? Widziałaś przecież...

Betsy ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Widziałam. I słyszałam. I olewam to!

- Jeszcze gorsze jest to, czego nie możesz widzieć i słyszeć. Nie pochodzę z Wolcottów ani Bayardów, jestem wnukiem Johanna Lehrera, który był rabinem. Harrison Wolcott akceptuje to i nie szydzi, ale Kimberly...

- Pewnego wieczoru - przerwała mu Betsy - Kimberly powiedziała nam, Connie i mnie, że chyba nigdy nie zdoła cię nauczyć prawidłowego

składania chusteczki do kieszeni marynarki. „On ma pewną szczególną skłonność do braku ogłady, mówiła, choćbym się nie wiem jak starała, nie zdołam go w pełni ucywilizować”. Connie zaś zgadza się ze mną, że Kimberly powinna być z ciebie dumna. Powinieneś zresztą zerznąć także Connie. Gdyby Kimberly się dowiedziała, że zabawiasz się z każdą z nas, to by ją dotknęło.

- Dlaczego ona za mnie wyszła, Betsy?

- Sądzę, że zrobiła to z dwóch powodów. Po pierwsze Kimberly zawsze owładnięta była myślą, że jakiś facet poślubi ją dla pieniędzy, dla pieniędzy jej ojca. Kiedy pojawiłeś się ty, wiedziała, że nie musi się tym zadrećcać, bo miałaś własne pieniądze. Wiedziała nawet, ile ich masz, Jack, a przynajmniej mówiła, że wie. Powiedziała mi, że masz pół miliona i jeszcze trochę w perspektywie...

- Rozmawiała o tym?

- ...ale jest też, myślę, inny powód, dla którego cię poślubiła. Nie wiem, kiedy pierwszy raz poczuła twego ptaszka, ale przypuszczam, że było to przed waszym ślubem. Chcę powiedzieć, Jack, że Kimberly nie była dziewicą. Nie sądzisz chyba, że była, prawda?

Potrząsnął przecząco głową.

- Lubiła rozmawiać o seksie. Dziewczęta chętnie mówią o tych sprawach, ale ona była w owych rozmowach bardziej otwarta niż większość z nas. Mówiła, że chce „mieć takiego fiucika, który wchodziłby w nią aż do pępka”.

- No i ma - odparł gorzko. - To jedyne, czym mogę ją zadowolić.

- Jack, dlaczego tego nie rzucisz?

- Kilka powodów, jak każdego, trzyma mnie w tym związku. Ja... Betsy... ja sądziłem, że to małżeństwo będzie idealne. Kimberly jest piękna. Inteligentna. Szykowna. Żyd z Kalifornii myślał chyba, że pnie się w górę, jeśli poślubi pannę Kimberly Bayard-Wolcott. I... Chryste... Wybacz mi to powiedzenie, uważałem, że jestem kotem, który upolował kanarka. Problem w tym, że ona również myślała tak o sobie.

- Jestem rozwiedziona, Jack.

- Tak... Ale ja mam dwoje dzieci. Stara bajka, co? Nie powinno się mieć dzieci przed upływem pięciu lat małżeństwa.

3.

Wynajęli pokój, nie apartament, w hotelu White Plains. Nad drzwiami był głośnik nastawiony na program wybrany przez dyrekcję hotelu. Włączony przez Betsy głośnik zawył ostro skrzeczącym tonem.

*Gdzież, ach gdzież
zniknął mój mały piesek?
Gdzież, ach gdzież
może on teraz być?*

Jack zatelefonował do recepcji, prosząc by przyniesiono im jakieś radio, ale odpowiedziano mu, że w hotelu nie ma ani jednego. Powiedział więc, by ktoś poszedł do sklepu, kupił jakiś odbiornik i dopisał ów zakup do jego rachunku. Nim minęła godzina, radio zjawiło się w ich pokoju.

Przed zejściem na kolację Jack słuchał wraz z Betsy programu WHPL. Potem, gdy on brał kąpiel, ona szukała innych stacji, chcąc usłyszeć coś, co mogłoby być nadawane z Nowego Jorku, i kiedy Jack wyszedł z łazienki, słuchała już jakiejś audycji nowojorskiej.

Jack zmarszczył brwi, ale po chwili jego uwagę przyciągnął ciekawy, melodyjnie modulowany głos spikera:

Mister Anthony Eden, brytyjski minister spraw zagranicznych, przybył dziś do Rzymu na serię spotkań z signorem Mussolinim. Oczekuje się, że obaj będą omawiać sytuację w Etiopii. Powszechnie wiadomo, że signor Mussolini ma nadzieję przyłączyć cesarstwo Etiopii do Imperium Rzymskiego, które pragnie zbudować w Afryce. Tymczasem w Waszyngtonie prezydent Roosevelt ponownie zwrócił się do Kongresu o przyspieszenie prac nad ustawą o ubezpieczeniach społecznych, nazywając ją najważniejszym zadaniem legislacyjnym, jakie stoi przed Kongresem w tym dziesięcioleciu. Prezydent...

- O Boże, Betsy posłuchaj tego człowieka! - wykrzyknął Jack. - Kto to jest?

Musieli poczekać, aż skończą się wiadomości i reklamy zanim wreszcie usłyszeli:

Z Nowego Jorku mówił Curtis Frederick. Życzę państwu dobrej nocy.

- Oto sposób czytania wiadomości! Mój Boże, Bets, w porównaniu z tym stękającym Walterem Winchellem ten człowiek jest... On ma w głosie godność i dostojność! Boże, co ja bym dał, żeby go mieć w Bostonie!

4.

Jack polecił Mickeyowi Sullivanowi, aby dowiedział się wszystkiego, czego można się dowiedzieć o Curtisie Fredericku. Mickey dostarczył mu informacji, że Frederick był najpierw dziennikarzem prasowym w Cleveland, a potem przeniósł się do Nowego Jorku, gdzie został komentatorem

politycznym dziennika *Herald Tribune*. Kiedy redakcja postanowiła prezentować swoje najważniejsze artykuły na antenie radiowej, zadanie to przypadło Curtisowi Frederickowi ze względu na jego aksamitny baryton. Nie minęło sześć miesięcy, a przeniósł się do rozgłośni *Timesa*, gdyż był przekonany, że jest ona bardziej zaangażowana w sprawę jakości przekazywania informacji. Mickey powiedział też Jackowi, że wygląda na to, iż Curtis Frederick dałby się skusić na przeniesienie do Bostonu.

Jack umówił się na spotkanie z Curtisem Frederickiem w hotelu Astoria. Zdecydował się na kolację w apartamencie a nie w restauracji, żeby nie widziano go w publicznym miejscu z właścicielem innych stacji radiowych.

Na to spotkanie Jack zabrał ze sobą Kimberly. Mickey Sullivan przyjechał z nim także, ale nie brał udziału w kolacji.

- Chyba wiem o Curtisie Fredericku coś, czego ty nie wiesz - powiedziała Kimberly, gdy ubierali się do kolacji.

- Co takiego?

- Poczekaj chwilę - rzekła, gdyż całą uwagę skupiła teraz na przypinaniu pończoch klamerkami pasa. - Kształcił się w Yale. Skończył studia w 1921 roku. Mąż mojej przyjaciółki Britt Lowery ukończył je tam rok później. Pomyślałam, że może znać tego Fredericka, więc po południu wpadłam do niej, żeby przedstawiła mnie mężowi, Walterowi Lowery'emu. W rzeczy samej; mąż Britt zna Fredericka i wciąż jeszcze spotyka się z nim od czasu do czasu.

- Nigdy nie przestaniesz mnie zdumiewać - sucho ozwał się Jack.

- Prawdopodobnie dlatego, że nie jest to dla mnie takie strasznie trudne, mój drogi. Tak czy inaczej, Frederick ma trzydzieści osiem lat, co oznacza, że był w odpowiednim wieku, aby zostać powołanym do wojska w roku 1917, kiedy to rzeczywiście go powołano.

- Wiedziałem o tym.

- To dobrze. - Francuzom tak się spodobał, że odznaczyli go Krzyżem Walecznych, zaś Amerykanie ocenili go tak wysoko, że uhonorowali go Srebrną Gwiazdą. Przed powołaniem do wojska miał za sobą dwa lata studiów w Yale, więc skończył je w dwa lata po demobilizacji.

- O tym także wiedziałem.

- Pozwól mi zatem powiedzieć coś, czego nie wiesz - odparła Kimberly lodowato. - Pan Curtis Frederick jest homoseksualistą.

- Kimberly...

- Pilnie strzeże swego sekretu. Jeśli tę tajemnicę zna tylko kilka osób...

- To nikczemne, że ktoś...

- Chłopcy mieszkający w internatach wiedzą o sobie takie rzeczy, których nikt inny się nie dowie.

Jack zaciągnął się głęboko camelem, którego właśnie palił.

- Jezu Chryste! Mówisz, że wie o tym zaledwie kilka osób. Jeśli Lowery powiedział tobie...

- Wyjaśniłam okoliczności, ponieważ myślisz o zaangażowaniu Fredericka i uczynieniu go...

Jack zaczął krążyć po pokoju.

- Dobrze, więc co mam teraz zrobić?

- Zaangażuj go, jeśli chcesz.

Zatrzymał się na środku hotelowego apartamentu i spojrzał na nią uważnie.

- Pięcioletni kontrakt...

- Chyba że ktoś dowie się o tym, o czym nikt nie dowiedział się przez dwadzieścia lat.

- Nawet nie wiem, co oni robią - mruknął Jack, zgniatając papierosa w popielniczce.

Kimberly roześmiała się głośno.

- Do licha, ty nie wiesz?! Nie jesteś aż tak naiwny! Zresztą pięć minut temu uważałeś, że jest najlepszym spikerem i komentatorem radiowym, jakiego kiedykolwiek słyszałeś.

- Nie mogę go zaangażować nie wspominając o tym. I nie wiem, jak to zrobić.

- Ja się tym zajmę - powiedziała zdecydowanie.

5.

Żaden szczegół powierzchowności Curtisa Fredericka nie sugerował, że jest homoseksualistą. Był kostycznym mężczyzną o pociągłej, męskiej twarzy, wspaniałych krzaczastych brwiach i poważnych ciemnych oczach, wydatnym nosie i mocnej szczęce oraz szerokich ustach z wąskimi wargami.

Podziękował za szkocką, poprosił o gin i usiadł, zapalając chesterfiel-
da z płaskiej, lśniącej, srebrnej papierośnicy. Miał na sobie doskonale skrojony jednorzędowy czarny garnitur (co w tym roku było dość niezwykle) i wąski czarny krawat. Ten mężczyzna miał styl. I nie był to styl 1935 roku.

- A zatem, panie Frederick - rzekł Jack - kto zostanie wybrany na prezydenta Stanów Zjednoczonych w przyszłym roku?

- Franklin D. Roosevelt - odparł Frederick bez wahania.

- Żadnej szansy by było inaczej?

MAGNAT

- Żadnej.

- Poznał go pan osobiście? - zapytała Kimberly.

Frederick skinął głową.

- Tak. Pierwszy raz spotkałem się z nim w 1921 roku. Nie przypuszczałem wtedy, że będzie wybrany na stanowisko wyższe niż fotel kongresmena z Hudson Valley.

- Jak dobrze go pan zna? - dopytywał się Jack.

- Nikt go nie zna - odparł Frederick. - Największym błędem, jaki można popełnić w dziennikarstwie jest przekonanie, że się zna Franklina D. Roosevelta. Cała jego kariera oparta jest na przekonaniu, że nikt go nie zna.

- Jak rozumiem, pan go nie lubi? - powiedziała Kimberly.

- Bardzo go lubię; szczególnie w porównaniu z tymi, którzy mieliby go zastąpić. Na ich tle Roosevelt jest gigantem wśród Pigmajów.

Zanim do apartamentu podano kolację, wypili jeszcze dwa drinki. Jack zamówił najlepsze dania, jakie oferowała hotelowa kuchnia - kawior i bażanta - ale szybko zorientował się, że nie zrobiło to wrażenia na Curtisie Fredericku, który jadł i oczywiście wszystko mu smakowało, ale nie należało przypuszczać, by wyborne dania i doskonałe wina miały jakkolwiek wpływ na jego opinie i decyzje.

- Moja stacja WCHS ma większy zasięg niż WQXR - powiedział w pewnej chwili Jack.

- Stacja w Cincinnati reklamująca się jako „stacja narodu” nadaje z jeszcze większą mocą - rzekł na to Frederick wzruszając ramionami - ale nie związałem się z nią nawet za milion dolarów rocznie.

- Cóż, pomówmy zatem inaczej. Czego pan oczekuje od stacji radiowej?

- Prestiżu WQXR i mocy WLW albo KDKA - odparł Frederick, uśmiechając się najpierw do Kimberly, a potem do Jacka.

- Nie mogę dać panu większej mocy. Zabiegam o nią, ale jeszcze jej nie mam. Z drugiej strony działam w syndykacie. Mam trzy stacje, a niebawem mogę mieć pięć lub sześć. Jeśli chodzi o prestiż, to budują go osoby występujące przed mikrofonem. Pan ma swój udział w prestiżu WQXR. Może pan współtworzyć prestiż WCHS i połączonych z nią stacji. Czy pana program jest prestiżowy? Szanowany? To dzięki panu, mój przyjacielu. Gdybym puścił pana z pięciokrotną mocą stacji WLW, a pan wygadywałby jakieś głupstwa, to byłby pan daleko słyszalnym dostarcycielem bzdur. Świat radia jest ich pełen.

- A stacja bostońska?

- Nie jesteśmy słyszalni w Chicago ani w Atlancie, ale można nas słuchać w Bostonie, Providence, New Haven, Hartford, Albany... Mamy

też trochę słuchaczy w Nowym Jorku. Będzie ich więcej. Zamierzam wziąć w dzierżawę linię telefoniczną, więc część programy jednej stacji będzie emitowana równocześnie na drugiej. Przypuszczam, że macie to w Nowym Jorku. Właściciele dobrych odbiorników będą mogli usłyszeć pana z Bostonu, a ci z tanimi radiami „złapią” pana z White Plains.

- Ludzie instalują teraz radia w samochodach, jak pan wie - rzekł Frederick. - Wielu biznesmenów słucha moich wiadomości w drodze do biur.

- White Plains leżą w odległości dwudziestu pięciu mil od Manhattanu - odparł Jack. Nawet samochodowe radia mogą odbierać stacje położone w takim promieniu.

Curtis Frederick uśmiechnął się.

- Czy pan mnie ponagla? - zapytał tonem udawanej niewinności.

- Staram się stworzyć program, który będzie łączył rozrywkę z informacją w taki sposób, by rozgłośnię zarabiała pieniądze i pełniła służbę publiczną. Gdy usłyszałem pana pierwszy raz, doszedłem do przekonania, że jest pan człowiekiem, któremu chciałbym powierzyć dział informacji.

Frederick potrząsnął głową.

- Byłbym marnym kierownikiem działu informacji, panie Lear. Jestem dziennikarzem i radiowcem. Nie potrafiłbym kierować nawet sklepem z cukierkami. Nie chcę tego robić.

- Jako szef wydziału informacji robiłby pan dokładnie to samo co teraz.

- Wie pan przecież, że większość wiadomości, jakie słyszy pan w radio, czerpie się z gazet i telegraficznych serwisów informacyjnych. Poza nielicznymi okazjami nie wysyłamy reporterów, by zbierali dla nas informacje.

Jack spojrział na Kimberly, a potem wypił łyk wina.

- Założmy, że zatrudnię dla pana asystenta. Założmy, że będziemy wysyłać go do Waszyngtonu. Założmy, że następnego lata wyślemy go na konwencje przedwyborcze Demokratów i Republikanów, lub jeszcze lepiej: założmy, że wyślemy pana na konwencje do Cleveland i Filadelfii, a pan będzie nadawał bezpośrednio stamtąd...

- To wszystko brzmi bardzo interesująco - przyznał Frederick.

- To będzie dla pana bardzo poważna decyzja - rzekł Jack. - Trzeba oczywiście opracować szczegóły. Chciałbym, żebyśmy się lepiej poznali. Użył pan słowa „ponaglać”. Istotnie, ponaglam pana w sensie braterskiej zachęty wobec przyszłego członka naszej spółki, nie zaś w sensie prośby, by spieszył się pan z podjęciem decyzji.

- A może przyjechałby pan do Bostonu na weekend lub kilka kolejnych weekendów - zasugerowała Kimberly.

- Tak, może przyjadę.
- Oczywiście przywożąc z sobą panią Frederick - dodała - jeśli istnieje pani Frederick.

Frederick nie widział chmurnego spojrzenia, jakie Jack posłał żonie.

- Obawiam się, że nie ma żadnej pani Frederick. Nigdy nie byłem żonaty.

- Och - roześmiała się Kimberly. - Będą w panu utkwione wszystkie oczy w Bostonie, a ja mogę pana przedstawić tuzinowi pięknych kobiet, które z pewnością zechcą pana poznać, jeśli oczywiście nie ma pan nic przeciwko temu.

Frederick wzruszył ramionami.

- To będzie interesujące doświadczenie - odparł.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

1. - 1936

Curtis Frederick zaczął pracować w rozgłośni radiowej Jacka Leara w roku 1936. Natychmiast podniósł jej prestiż, ale minęły lata, zanim przysporzył jej zysków.

Pociągała go społeczność akademicka, więc wynajął mieszkanie w Cambridge, w odległości pół mili od Harvard Yard. Brat Curtisa, Willard Frederick, przyjechał wraz z nim z Nowego Jorku i wynajął mniejsze mieszkanie w budynku po przeciwnej stronie ulicy. Willard pracował nad biografią Williama Lloyd'a Garrisona i bostońskie biblioteki stanowiły dla niego ogromną pomoc. Willard był nieśmiałym człowiekiem, który łatwo się rumienił. Jack na próżno starał się ukryć antypatię, jaką czuł do niego.

Curtisowi Frederickowi ani trochę nie przeszkadzała niechęć Learów do włączenia Willarda w krąg ich przyjaciół. Willard jest szczególnym typem człowieka i nie pasowałby do tego kręgu, mówił, dodając, że brat ma własne zainteresowania i jest szczęśliwy, mogąc je realizować.

Kimberly zgodnie z wcześniejszą obietnicą znalazła dla Fredericka grono damskich towarzyszek. Był wobec nich bardzo uprzejmy, a nawet wydawał się je uwodzić i niebawem przekonał Kimberly, że pogłoski o jego homoseksualnych skłonnościach są prawdopodobnie bezpodstawne.

Betsy siedziała teraz na wprost Jacka w pewnym irlandzkim pubie w Southie. Była zła.

- W porządku! To przez ciebie! Psiakrew! To ty do tego doprowadziłeś!

Jack potrząsał głową.

- Betsy, przysięgam, że nie miałem z tym nic wspólnego. Nawet o tym nie wiedziałem, dopóki mi nie powiedziałaś.

- Do czego ona zmierza? Co chce osiągnąć?

- Betsy, nie sądzę, by Kimberly próbowała coś osiągnąć. Kiedy rozmawialiśmy o przeniesieniu się Curtisa do Bostonu, powiedziała, że

przedstawi go kilku kobietom. Jesteś rozwiedziona. Myślę, że niewinnie przypuszcza, iż wy dwoje moglibyście...

- Ona wie o tobie i o mnie! W tym rzecz!
- Nie. Kimberly o nas nie wie. Gdyby wiedziała...
- Tak sądzisz? Nie wie o nas?
- Betsy, ona się nawet nie domyśla. Wiedziałbym o tym. Nie jest zdolna do takiego wyrafinowania.

- Więc co twoim zdaniem mam robić?

Jack wzruszył ramionami.

- Spotykaj się z tym facetem albo się z nim nie spotykaj, jeśli nie masz ochoty. Cóż to szkodzi...

- A jeśli będzie próbował się do mnie dobrać?

Rozejrzył się po sali, a potem położył rękę na jej dłoni.

- Potrafisz dać sobie radę Betsy. A jak to zrobisz, będzie zależało od sytuacji.

- Widzę, że wcale byś się nie przejął, gdybym mu na to pozwoliła.

- Betsy, ja nie mogę się z tobą ożenić. Wiesz o tym. Nie mogę porzucić Johna i Joan. Nie mogę! Jeśli spotkasz kogoś, z kim będzie ci dobrze... Cóż, Curtis Frederick to porządny facet.

Betsy pochyliła głowę i wpatrywała się w blat stolika.

- Dziękuję, Jack... Dziękuję ci bardzo.

2.

Kimberly nalewała herbatę. Podejmując Betsy - a ściślej panią Otis-Emerson - w salonie domu przy Louisburg Square, miała na sobie beżową lnianą suknię haftowaną zieloną i czerwoną nicią w kwiatowy wzór. Ruchy, strój i maniery czyniły z Kimberly uosobienie bostońskiej elegancji, co oznaczało, że była uderzająco piękna i powściągliwa dzięki starannie wyważonej godności.

Betsy - w powszechnej ocenie nie tyle piękna co przystojna - ubrana była na czarno i wydawała się wyraźnie skępowana i zakłopotana. Nie miała bowiem pewności, dlaczego Kimberly zaprosiła ją na herbatę.

- Od jak dawna jesteśmy przyjaciółkami, Betsy?

- Od wielu lat.

- I to dobrymi przyjaciółkami - mówiła dalej Kimberly - tak dobrymi, że zamierzam zapytać cię o coś, o co nigdy nie zapytałabym żadnej innej kobiety.

- Kimberly...?

- Przy zachowaniu całkowitej dyskrecji.

- Cóż...

Kimberly podała Betsy filiżankę herbaty, proponując jej jednocześnie mikroskopijne tartinki i ciasteczka.

- Curtis Frederick... - powiedziała. - Chciałabym, żebyś mi powiedziała coś o Curtisie Fredericku.

Betsy próbowała ukryć uczucie ulgi.

- Co chcesz o nim wiedzieć?

- Najpierw podzielę się z tobą jedną z wiadomych mi tajemnic - wyjaśniła Kimberly - a potem poproszę, byś zwierzyła mi się ze swoich, a cokolwiek tu powiemy nie będzie nikomu powtórzone. Dobrze?

- Dobrze.

- A zatem, jak wiesz, mój mąż zatrudnił Curtisa Fredericka na stanowisku dyrektora działu wiadomości. Jednak być może w jego przeszłości kryje się jakiś kompromitujący skandal. Czy pamiętasz Britt Taylor? Britt Lowery? Tę, która wyszła za Waltera Lowery'ego.

- Pamiętam. Zdaje się, że mieszka w Nowym Jorku.

- Właśnie. Jej mąż studiował w Yale w tym samym czasie co Curtis i mówi, że Curtis jest... no, wiesz... ciotą.

- Ciotą...? To znaczy...?

- Pedałem. Homoseksualistą. Ponieważ Jack bardzo mu ufa, mam nadzieję, że to nieprawda. Właśnie dlatego wdzieram się w twoje życie osobiste. Od chwili gdy przedstawiłam ci Curtisa, spotykasz się z nim i to nie tylko okazjonalnie. Myślałam, że do dzisiejszego dnia mogłabyś już to wiedzieć. Wybacz moje pytanie, ale to ważne dla Jacka. I dla mnie.

Betsy wypija łyk herbaty i ugryzła tartinkę, by zyskać chwilę na uspokojenie.

- Jest tylko jeden sposób, w jaki mogłabym się tego dowiedzieć, nieprawdaż?

Kimberly skinęła głową.

- Tak. I właśnie dlatego musisz mi wybaczyć, że cię o to pytam.

- Skąd mogłabym to wiedzieć? - zapytała Betsy. - Nawet jednego z takich mężczyzn...

- Myślę, że ty byś się na tym poznała - rzekła Kimberly zdecydowanie.

Betsy odstawiła filiżankę.

- Okay, dziecinko - powiedziała. - Jeśli chcesz zwierzeń osobistych, poczęstuj mnie ginem. Nie będę z tobą rozmawiać o moim życiu osobistym nad filiżanką herbaty.

Kimberly podała Betsy gin, sama zaś sięgnęła po szklaneczkę whisky. Wypiły po łyku alkoholu, a potem spojrzały na siebie.

- Co chcesz wiedzieć?

- Kimberly z lekkim uśmiechem potrząsnęła głową.
- Cóż, to oczywiste: czy on... i... czy ty...?
 - Tak.
 - I on to robi? Chodzi mi o to, czy lubi...
 - Ha, ha! - roześmiała się Betsy. - Sądzę, że bardzo to lubi.
 - Jest... dobrze wyposażony?
 - Nie mam zbyt wielu podstaw do porównań, Kimberly. W porównaniu z moim byłym mężem Curtis wypada bardzo dobrze.
 - A czy jest dobry w tych rzeczach?
 - Tak. Robi to, czego oczekuje się od mężczyzny. Z entuzjazmem. Mówiąc brutalnie; gdy tylko znajdzie się w siodle, staje się prawdziwym kowbojem.
 - Zatem stwierdzasz, że nie jest...
 - Właśnie tak: stwierdzam, że nie jest. Gdy po raz czwarty poszliśmy na kolację, zapytał, czy nie zechciałabym wypić u niego filiżankę kawy. Oczywiście wiedziałam, co to znaczy, ale pomyślałam, no wiesz, coś do diabła! Skoro zamierzałam wrócić do „tych rzeczy”, to dlaczego nie z Curtisem Frederickiem? A cóż w nim złego? Więc poszliśmy do mieszkania Curtisa.
 - I on...
 - Wypiliśmy po jednym drinku, a potem Curtis bardzo bezpośrednio zapytał, czy poszłabym z nim do łóżka.
 - Bardzo bezpośrednio.
 - Przypuszczam, że myślał o tym wcześniej - odparła z uśmiechem Betsy. - Prawdopodobnie ćwiczył to w pamięci, a potem postanowił zapytać wprost. Gdyby zaczął się do mnie dobierać, chyba poczułabym się obrażona, ale on po prostu mnie zapytał, czyniąc to tak: „Sądzisz, że sprawiłoby ci przyjemność pójście ze mną do łóżka? Czy mogłoby ci to sprawić taką przyjemność, jaką odczuwałbym ja?”
 - A ty powiedziałaś: „tak”.
 - Powiedziałam, że mogłoby. Weszliśmy do jego sypialni. Curtis rozebrał najpierw mnie, a potem siebie. Zaproponował, byśmy wspólnie wzięli prysznic... Powiedział, że to cudowny sposób, by dwoje ludzi mogło się poznać. To prawda. Curtis namydlił mnie, a ja jego. Nie sposób się wstydzić, jeśli wzajemnie dotyka się swoich ciał rękami. Bawiłam się nim, a on szybko doszedł do szczytu. Zdumiało mnie to, ale powiedział, bym się nie martwiła, bo może to zrobić ponownie. I zrobił. Jeszcze dwukrotnie. Następnym razem byliśmy u mnie. Nie mam kabiny prysznicowej, ale weszliśmy razem do wanny - Betsy roześmiała się szeroko. - Tak nas to podnieciło, że niemal się utopiliśmy.
 - I do czego to doprowadzi? - zapytała nieco oszołomiona Kimberly.

- Zobaczymy, nieprawdaż? - Betsy zadumała się na chwilę, po czym wysączyła resztę ginu.

3.

Curtis Frederick przeprowadzał wywiady na żywo i sprawozdania z krajowej konwencji Partii Republikańskiej w Cleveland oraz konwencji Partii Demokratycznej w Filadelfii. Miejsce na antenie zaproponowała mu także sieć NBC. Frederick skupił się na delegacjach ze Wschodniego Wybrzeża i Nowego Jorku i zaoferował politykom szansę, iż będą słyszani w swoich miastach, oni zaś skwapliwie z niej skorzystali. Aby skupić na sobie uwagę Curtisa Fredericka niektórzy politycy dostarczali mu przydatnych informacji. On zaś, jako wytrawny dziennikarz, wiedział, kiedy przypisać je konkretnej osobie, a kiedy pozostawić anonimowymi. Kiedy powiedzieć: „Pan Taki-a-Taki powiedział mi, że...”, a kiedy ograniczyć się do formuły: „Wiarygodne źródło informuje mnie, iż...”.

Bogaty język i głęboki, dyskretnie modulowany głos, a także dobór tematów uczyniły Curtisa Fredericka „głosem spokojnego autorytetu” i wiarygodnym źródłem informacji, w przeciwieństwie do niemal histerycznego bełkotu takich spikerów jak Walter Winchell. Curtis Frederick nie był najpopularniejszym komentatorem tego regionu; ale tym, który dostarczał ludziom wiedzy, gdy spragnieni informacji włączali odbiorniki.

W podróży do Filadelfii towarzyszyła mu Betsy, a gdy wrócili, obwieścili, że tuż po wyborach prezydenckich zamierzają się pobrać.

Redakcja *Literary Digest* przeprowadziła ankietę i ogłosiła, że gubernator Alfred M. Landon pokona prezydenta Franklina D. Roosevelta przytłaczającą większością głosów. Curtis Frederick nie zacytował tego na antenie, ale powiedział Jackowi, iż jest przekonany, że wynik będzie dokładnie odwrotny od tego, na jaki wskazuje ta ankieta. Jack, który szanował jego opinie, powiedział Kimberly i teściowi, że w tych wyborach należy się spodziewać drugiej tury.

W przeddzień wyborów Jack stał z teściem, Harrisonem Wolcottem, przy barze w Common Club. Wieczornych wiadomości podawanych przez Curtisa Fredericka wysłuchali wcześniej w sali radiowej, osobnym pomieszczeniu na drugim piętrze, gdzie odgłosy radia nie przeszkadzały innym członkom klubu. Gdy Frederick zszedł z anteny, udali się do baru. Miał się do nich przyłączyć tak szybko, jak będzie mógł.

- Nie tracę optymizmu - rzekł Wolcott do Jacka. - Po prostu muszę wierzyć, że człowiek, który cieszy się poparciem siedemdziesięciu pięciu procent krajowej prasy ma poważne szanse na zwycięstwo.

- Problem tkwi w tym - rzekł Jack - że te dzienniki są wielkimi przedsiębiorstwami, a ich właściciele to kapitaliści.

Frederick przyszedł dwadzieścia minut po zakończeniu programu. Jack i jego teść idąc do klubu wciąż wkładali smoki, choć większość jego członków przychodziła teraz w garniturach, tak jak Curtis Frederick.

- Ciekawy bar - przyznał. - Byłem tu kiedyś, chyba w 1928. Zastanawiałem się wtedy, czy po zniesieniu prohibicji klub przeniesie bar z powrotem na dół.

- Przyzwyczailiśmy się już do tego, że mieści się na piętrze - powiedział Wolcott. - Wie pan, jak to jest w Bostonie; przyzwyczajenie staje się tutaj tradycją. Ale proszę mi powiedzieć, panie Frederick, skąd ma pan pewność, że Roosevelt zostanie ponownie wybrany? Wielu godnych szacunku dziennikarzy jest odmiennego zdania.

Frederick poprosił barmana o gin z lodem.

- Cóż, sądzę, że się zgodzimy, iż my jesteśmy niemal tak samo szanowanymi dziennikarzami jak William Allen White - odpowiedział Wolcottowi. - Stowarzyszenie Prasy Północnoamerykańskiej wysłało do niego depeszę z prośbą o artykuł, który można by opublikować, jeśli wybory wygra Landon. White odpowiedział im telegraficznie; „Macie osobliwe poczucie humoru”.

Dwa dni po wyborach Curtis Frederick poślubił Betsy, a ściślej panią Otis-Emerson. Frederick wprowadził się do jej domu w Bostonie, a jego mieszkanie w Cambridge przejął Willard.

4. - 1937

Radio Jacka Leara rozglądało się za nowymi stacjami. Niebawem osiągalna stała się jedna rozgłośnia w New Haven, a druga w Stanford w stanie Connecticut, ale Jack nie był nimi zainteresowany, ponieważ jego stacje w Bostonie, Hartford i White Plains docierały już ze swoim programem na ich teren.

Podczas wizyty w Cleveland Curtis Frederick odnowił przyjaźń z wydawcami i reporterami dziennika *Plain Dealer*. Jeden z nich powiedział mu, że byłaby do nabycia clevelandzka stacja WOER, gdyby ktoś dał za nią odpowiednią cenę. Jack pospieszył więc do Cleveland, by oszacować tę „okazję”, a potem wrócił do Bostonu i pożyczył część pieniędzy niezbędnych do zakupu tamtejszej stacji. Pewną trudność sprawiła mu dzierżawa linii telefonicznej, która była konieczna, by móc zaprezentować Środkowemu Zachodowi programy Curtisa Fredericka oraz „Wieczór z Betty i Minstrelami”, lecz w końcu udało mu się ją załatwić, a potem

wykorzystywał tę linię do prezentowania Wschodniemu Wybrzeżu Clevelandzkiej Orkiestry Symfonicznej.

Od tej chwili Curtis Frederick nie prezentował lokalnych wiadomości, jeśli nie były interesujące dla całego kraju. Jego programy musiały być równie interesujące dla słuchaczy w Cleveland, jak i dla mieszkańców Bostonu i Nowego Jorku.

5.

Kimberly zaczęła nalegać, by Jack palił swoje camele w cygarnicze, tak jak robił to prezydent Roosevelt. Trzymanie papierosa między palcami zabarwiało je na żółto, co - jak twierdziła - było prostackie. Najpierw szorowała Jackowi palce szczotką i mydłem naftowym, dopóki nie starła pożółkłej skóry, a potem sprezentowała mu czarną cygarniczkę w srebrne prążki. Czuł przez nią słaby dym, ale używał tego przedmiotu w obecności Kimberly. Kiedy jednak nie było jej w pobliżu, trzymał papierosa w lewej ręce między kciukiem a trzecim palcem, obracając go dookoła, by uniknąć poplamienia palców.

Connie Horan śmiała się z Jacka.

- Więc uczy cię, jak palić? Od jak dawna już palisz, od piętnastu lat? Dziwię się, że pozwala ci palić camele. To przecież, jak wiesz, raczej „robotnicze” papierosy. Jestem zdumiona, że nie żąda, byś się przerzucił na tareytony lub pall-malle.

Brat Curtisa Fredericka pojechał na tydzień do Nowego Jorku, więc Jack i Connie, korzystając z nieobecności Willarda, spotykali się w jego mieszkaniu.

Siedząc na czerwonej pluszowej kanapie, ubrana tego popołudnia w cytrynowozieloną jedwabną suknię, która opinała jej zmysłowe kształty, i paląc własne papierosy, Connie jak zwykle wyglądała tak, jakby pozowała do fotografii.

Jack wyglądał przez okno. Przyniósł butelkę whisky i teraz oboje mieli w dłoniach szklance z Johnnym Walkerem. Po chwili odszedł od okna i usiadł obok Connie. Zgniótł papierosa w popielniczce stojącej na niewielkim stoliku.

- Jesteś jedyną kobietą, jakiej naprawdę pragnę, a której - przerwał i potrzęsnał głową - nie zdołałem...

- Cóż, panie Lear, pokonał pan już moją cnotę - odparła trzepocząc powiekami i naśladowując akcent, jakim posługiwała się bohaterka czytanej teraz przez wszystkich powieści pod tytułem *Przemięło z wiatrem*.

Otoczył ją ramieniem i pocałował w szyję.

- Connie...

- Jack...

Prawą ręką obrócił ku sobie twarz Connie i namiętnie pocałował w usta, a potem lewą dłoń położył na jej piersi.

- Nie, Jack. Nie.

- Connie - westchnął - dlaczego tu ze mną przychodzisz, jeśli nie chcesz, bym cię pieścił?

- Bardzo cię lubię - odparła - ale nie możemy posuwać się aż tak daleko; tak daleko, jak ty byś chciał. Jestem zamężną kobietą kochającą swojego męża. Jestem też matką trojga dzieci i może akurat teraz jestem w ciąży.

- To by rozwiązywało jeden problem - rzekł cicho.

- Co?

- To dobrze. Jeśli już jesteś w ciąży.

- Ależ Jack!

- No co?

Uniosła wysoko brodę.

- Uważam się za osobę mającą pewne zasady. Wiesz, że jestem katoliczką. Są pewne rzeczy, których... pewne rzeczy, których nie robię.

- Czy to pomoże, jeśli powiem, że cię kocham?

- Nie - odparła Connie, potrząsając głową. - To pogorszy sprawę.

A co z Kimberly?

- Kimberly sprawia, że moje życie staje się coraz trudniejsze. Przecież wiesz. Sposób w jaki palę, jak się ubieram, jak jem, jak rozmawiam...

- A mimo to wciąż ją kochasz?

Jack zawahał się i skinął głową.

- Nie możesz kochać więcej niż jedną osobę równocześnie.

- Kto wymyślił tę regułę?! Mogę! I kocham.

Sięgnęła po kolejnego papierosa, ale Jack przytrzymał jej rękę i znów ją pocałował.

- Mój mąż zabije nas oboje, a Bóg wie, co zrobi Kimberly.

- Nie dowiedzą się. Nigdy cię nie poproszę, byś podejmowała jakieś ryzyko.

Connie westchnęła ciężko.

- Będę musiała o tym pomyśleć. Możemy się spotkać w czwartek. Do tego czasu podejmę decyzję.

6.

Pomimo braku pewności, jaka będzie decyzja Connie, Jack zatrzymał się czwartkowego ranka przed mieszkaniem w Cambridge i włożył do lodówki butelkę szampana, a potem wrócił tam o drugiej po południu, nie wiedząc nawet, czy Connie przyjdzie.

Przyszła.

Wyglądała przepięknie. Miała na sobie kremową suknię z dzianiny obszytą wąskimi niebieskimi i fiołkowymi paskami wokół szyi, nadgarstków i dolnego brzegu. Staranie dobrany płaski kapelusik siedział na tyle jej głowy niczym jarmułka.

Chwycił ją w ramiona już w drzwiach i pocałował, zanim weszła do środka. Sposób, w jaki przyjęła pocałunek, powiedział mu co postanowiła.

- Kocham cię, Connie.

- Ja też cię kocham, Jack.

Pozwoliła mu się rozebrać, zanim nalał jej szampana. Był zdumiony. Ciało pod gorsetem, który je ścisnął i modelował było pełniejsze, niż sobie wyobrażał; wręcz bujne piersi, brzuch i biodra Connie były bardzo zaokrąglone. Siedziała teraz naga na pluszowej kanapie i piła szampana ze szklanki.

Nie rozmawiali. Nie musieli nic mówić. Jack pochylił się do przodu, by całować jej piersi. Drżała, gdy językiem pieścił jej sutki. Kiedy zaś wciągnął jedną pierś Connie do ust tak głęboko jak mógł i delikatnie ssał, z trudem chwytła powietrze.

Niecierpliwymi dłońmi skłonił Connie, by rozchyliła nogi i zwilżywszy palce jej wilgocią, pieścił łechtaczkę. Jęczała.

Ku swemu zdumieniu odkrył, że Connie waha się przed dotknięciem jego penisa. Kiedy poprowadził ku niemu jej dłoń, cofnęła ją z powrotem. Ta dwudziestosiedmioletnia kobieta, matka trojga dzieci, zachowywała się jak dziewica. Spokojnie, z łagodnym uporem przywiódł jej rękę do wewnętrznej strony swego uda i próbował pokierować tak, by dotknęła członka.

Opierała się.

- Masz obrzezany penis, prawda, Jack? Czy to je powiększa? Penis mojego męża jest zupełnie inny. Członek Dana jest jedynym penisem, jaki kiedykolwiek widziałam i wcale nie przypomina twojego. Nie prosz mnie, bym go dotknęła.

- Na miłość boską, Connie. Przecież z pewnością...

- Nie - wyszeptwała. - Dlaczego miałabym go... dotykać. Mój mąż sam nim rusza.

A jednak była nim urzeczona. W końcu pozwoliła Jackowi popro-

wadzić swoją dłoń ku niemu i przebiegła palcami od podstawy aż po szczyt, a potem uniosła mosznę i odnalazła jądra. Z rozszerzonymi oczami zamknęła dłoń na penisie i delikatnie ją zaciskała.

- Connie! O Boże, Connie...

Przesuwał środkowym palcem w górę i w dół wewnątrz jej wilgotnej szczeliny, wciąż pobudzając łechtaczkę.

- Nie powinniśmy... - zaszlochała.

- Connie!

- Albo ja popełniam wielki grzech - wyszeptała chrapliwie - albo jeszcze większy popełniono na mnie.

- Chcesz powiedzieć, że nigdy nie czułaś rozkoszy?

Potrząsnęła głową.

- Nie powinnam...

- Bzdura! - odparł dalej i przebiegał palcami wokół jej łechtaczki. - Poczuj to! Poczuj!

- Och... Zrób to, Jack! Zrób to! Wejź we mnie!

Sięgnął po opakowaną prezerwatywę i rozwinął ją.

- Nie! - krzyknęła. - Chcę tego, ale nie z tym! Nie z tym!

Odłożył kondom na bok.

Położyła się na plecach i rozsunęła nogi.

- Teraz! - wyszeptała.

ROZDZIAŁ ÓSMY

1. - 1938

12 marca wojska niemieckie wkroczyły do Austrii i Hitler ogłosił ją częścią Trzeciej Rzeszy, a 14 marca tryumfalnie przejechał ulicami Wiednia.

19 marca do Wiednia przybył Curtis Frederick. Był tam świadkiem prześladowań Żydów. Widział żydowskich kupców szorujących chodniki i myjących rynsztoki, a z wiarygodnych źródeł dowiedział się, że wielu Żydów zniknęło w tym, co świat nauczył się nazywać obozami koncentracyjnymi. O żadnej z tych spraw nie informował w depepszach, które wysyłał do Bostonu. Wiedział bowiem, że Niemcy czytali wszystkie depepsy, jakie wychodziły z Wiednia, więc zachował milczenie o tych okropnościach, żeby go nie uznali za wroga Rzeszy. Niektórzy dziennikarze wysyłali takie korespondencje. On miał inny pomysł.

Pojechał do Berlina i tam skontaktował się z Ernstem Bauerem, poznanym kiedyś dziennikarzem, który teraz był podsekretarzem w Ministerstwie propagandy, i przekonał go, że Amerykanów bardzo ciekawi *Herr Reichskanzler*, ale nie wiedzą o nim prawie nic. Zaproponował przeprowadzenie z kanclerzem wywiadu, który byłby na żywo nadany do Stanów Zjednoczonych.

Po kilku dniach otrzymał odpowiedź: z powodu trudności w tłumaczeniu i ustaleniu terminu *Fuhrer* nie widzi możliwości udzielenia wywiadu, o który prosi *herr Frederick*. Zgodzi się jednak na nadanie do Stanów Zjednoczonych wywiadu, jakiego ostatnio udzielił pewnemu niemieckiemu dziennikarzowi; wywiadu, którego przekład dostarczy Ministerstwo Propagandy.

Curtis zaproponował, by ów wywiad przekazać do Stanów za pośrednictwem potężnej stacji nadawczej obsługiwanej przez niemiecką rozgłośnię Norddeutsche Rundfunk. Zostałby on odebrany przez doskonałą stację przekaźnikową na półwyspie Cape Code, a stamtąd przesłany

liniami telefonicznymi do Bostonu i innych miast objętych siecią stacji radiowych Leara.

Ministerstwo Propagandy zaakceptowało tę propozycję i Bauer dostarczył stacji dwa wielkie zwoje taśmy. Przekaz rozpoczął się o godzinie drugiej nad ranem czasu europejskiego, a poprzedziło go krótkie wyjaśnienie Curtisa Fredericka informujące amerykańskich słuchaczy, w jaki sposób doszło do tego wydarzenia. Najpierw dialog toczył się po niemiecku, a później następował przekład. Po chwili jednak ów przekład stał się głosem dominującym; z tłumaczem na pierwszym planie dźwiękowym i głosem Hitlera w tle.

Curt podejrzewał, że całe to przedstawienie zostało specjalnie zaaranżowane dla potrzeb owego przekazu radiowego. Przekaz krótkofalowy lekko zniekształcał głos, ale przydawało to audycji unikalnej teatralności. Hitler mówił cichym, przekonującym, sugestywnym głosem.

Niemiecki konsulat w Nowym Jorku już w kilka minut po wejściu owego wywiadu na antenę zadepeszował do Berlina z wiadomością, że program był w Ameryce wyraźnie słyszalny i przyniósł wielki sukces. Piętnaście dzienników opublikowało artykuły konkludujące, że *gdy słyszy się, jak Herr Hitler przemawia, gdy słyszy się jego komentarze nieprzefiltrowane przez dziennikarskie uprzedzenia, to w prezentowane przez niego kwestie Amerykanie generalnie mogą uwierzyć, chociaż chyba nie byłibyśmy skłonni zgodzić się ze wszystkimi elementami jego rozumowania.*

Teraz Curtis Frederick udał się do Ernsta Bauera z kolejną propozycją. Dlaczegoż by nie przeprowadzić bezpośredniej transmisji „na żywo” jednego z przemówień kanclerza Rzeszy? Większość Amerykanów nie zrozumie go przed dokonaniem przekładu, ale wielu zna niemiecki, a ci, którzy go nie znają, uchwycą ton owej oracji. Ku zaskoczeniu Curtisa niemieckie Ministerstwo Propagandy wyraziło zgodę i w ten sposób trzy tygodnie po owym cichym i sugestywnym wywiadzie, Amerykanie usłyszeli *Fuhrera* przemawiającego do tłumu w berlińskim Sportpalast. Był to zupełnie inny Hitler; Hitler wrzeszczący do mikrofonów. Wtedy też Amerykanie usłyszeli tysiące jego zwolenników ryczących: *Heil!*

Naziści wydawali się nie mieć pojęcia, że zostali oszukani i kiedy Betsy przyjechała do Berlina, by spędzić tam z Curtisem dwa tygodnie, Ernst Bauer zaprosił ich na wspaniałą kolację przy świecach w salonie Ministerstwa Propagandy, a po kolacji obdarował swoich gości dwiema fotografiami Hitlera z jego autografami. Jedna z nich była darem dla Curtisa Fredericka, drugą zaś Reichskanzler zadedykował Jackowi Learowi. Najwyraźniej nikt w Berlinie nie domyślał się, że Jack jest Żydem.

2.

W lipcu Jack otrzymał wiadomość, że wystawiono na sprzedaż stację radiową w Los Angeles. Odbył więc swój drugi lot na Zachodnie Wybrzeże, tym razem na pokładzie DC-3 i był z niego tak zadowolony, że postanowił również wracać samolotem. Stacji jednak nie kupił, ponieważ jego brat, który wcześniej nigdy nie wyrażał żadnego zainteresowania radiem, nabył ją, gdy Jack był w drodze. Motywy, jakimi kierował się Robert, były aż nazbyt oczywiste: podczas lunchu z ojcem i Jackiem Bob zaoferował mu sprzedaż tej stacji. Jack stwierdził, że brat zapłacił za nią o wiele za dużo i uświadomił mu, że zarówno z tego powodu, jak i dlatego, że nie zna się na prowadzeniu stacji radiowej, straci na niej mnóstwo pieniędzy.

Erich tylko potrząsał głową, obserwując Jacka jedzącego koktail z krewetek, i powiedział, że najwyraźniej nie zwraca uwagi na to, co je.

Kolacja była znacznie przyjemniejsza. Jack zorganizował ją w swoim apartamencie hotelowym i zaprosił Mo Morrisa oraz jego klientkę Connie Lane; tę Consettę Lazzarę, która przed czterema laty tańczyła dla niego nago. Miała teraz dwadzieścia lat i cieszyła się skromnym powodzeniem w filmie. Po kolacji powiedziała Jackowi, że zostanie, jeśli on tego chce. Chciał.

W drodze powrotnej samolot miał niezaplanowane międzylądowanie w Omaha. Pilot wyjaśnił pasażerom, że linia burz rozciągająca się na długości setek mil od północy do południa zatrzymała się na wschodzie, zamiast - jak się wcześniej spodziewano - przesunąć się dalej.

Ponieważ pasażerowie oczekiwali na wznowienie podróży w niedogodnych warunkach w budynku lotniska, od czasu do czasu odwiedzał ich ten sam pilot, przynosząc kolejne informacje o ruchach frontu burzowego.

Jack słuchał tych informacji zafascynowany i zatrzymawszy pilota, zanim zdążył on opuścić salę, zapytał czy mógłby z nim porozmawiać.

- O czym, sir?
- O pogodzie. O tym, skąd pan wie o niej tak dużo.
- Cóż, my musimy wiedzieć. Nie chcemy latać w niebezpiecznych warunkach atmosferycznych.

- Ale skąd czerpicie te informacje? Wydaje się pan wiedzieć dokładnie, gdzie są burze i dokąd zacierają. Jestem właścicielem stacji radiowych i chciałbym móc dostarczać swoim słuchaczom tego rodzaju szczegółowych informacji. Informacje, jakie otrzymujemy z Biura Prognoz, sprowadzają się do tego, że będzie cieplej lub chłodniej i że możliwy jest deszcz albo śnieg.

- Nie mogliśmy latać, nie mając lepszych informacji - odparł pilot. - Proszę pójść za mną, pokażę panu naszą salę operacyjną.

Jack pierwszy raz w życiu zobaczył mapę pogody. Młody pilot wyjaśnił mu istotę i znaczenie wyżów i niżów oraz zimnych i ciepłych frontów atmosferycznych. Pokazał mu też izobary i izotermy oraz objaśnił wszystkie inne symbole na mapie. W sali operacyjnej bezustannie pracował teleks, przynosząc szczegółowe doniesienia o pogodzie z całego kraju.

- Co jest źródłem tych wszystkich informacji?

- Korzystamy z doniesień Biura Pogody, które docierają do nas teleksem, ale to biuro nie sporządza dokładnych prognoz, a znaczna część ich informacji jest nieaktualna. W każdym porcie lotniczym istnieją przyrządy pomiarowe - barometry, termometry, mierniki siły wiatru - więc znamy warunki pogodowe panujące na wszystkich lotniskach. Piloci i linie lotnicze wymieniają się tymi informacjami. Jeśli wpadam w turbulencję, której się nie spodziewałem lub widzę tworzącą się burzę w miejscu, o którym nas nie informowano, nadaję drogą radiową tę informację. Inni piloci ją słyszą, a chłopcy, którzy pracują tutaj, zbierają wszystkie wieści, jakie mogą zdobyć i rysują te mapy pogody. Jeśli potrafi się je odczytywać, można sobie wyobrazić, jaka będzie pogoda.

Po powrocie do Bostonu Jack dokładnie przejrzał wszystkie gazety. Niewiele z nich zadawało sobie trud publikowania informacji o pogodzie. Te zaś, które to robiły, ograniczały się jedynie do owych ogólnych informacji dostarczanych przez Biuro Pogody. Jack pojechał więc na lotnisko i odnalazł stację prognoz dysponującą jeszcze bardziej szczegółowymi informacjami niż stacja w Omaha. Wysłał też dyrektorom wszystkich swoich rozgłośni pisma polecające odwiedzenie lokalnych lotnisk i zawarcie z nimi umów na uzyskiwanie regularnych informacji o pogodzie. Następnie polecił, by kilka razy dziennie, faktycznie zaś co godzinę, nadawano prognozy pogody.

20 września, w przeddzień najbardziej niszczącego huraganu, jaki w tym stuleciu uderzył we Wschodnie Wybrzeże i spowodował śmierć kilkuset osób, w prasowych prognozach pogody czytano, iż „jutro będzie chłodniej i bardziej deszczowo”. Tylko rozgłośnie radiowe Leara nadały ostrzeżenie o potężnej burzy nadciągającej ze znaczną szybkością ku stanom Connecticut i Massachusetts.

Stacje radiowe Leara były pierwszymi stacjami nadającymi prognozy pogody z informacjami o temperaturze, przewidywanej ilości opadów i porze dnia, w jakiej można się ich spodziewać. Owe prognozy często okazywały się mylne, dając asumpt do żartów. Jednak mimo to inne stacje podały śladem rozgłośni Jacka i niebawem także gazety zaczęły publikować ten sam rodzaj prognoz.

3.

Z Solomonem Weismanem Jack umówił się w małej restauracji w Cambridge; lokalu często odwiedzanym przez członków harwardzkiej społeczności akademickiej. Usiedli tam w niszy z ciemnego drewna z krzesłami obitymi czerwoną skórą.

Weisman, właściciel sieci sklepów z obuwiem był aktywnym działaczem żydowskiej organizacji B'nai B'rith i często pełnił funkcję jej rzecznika. Ten wysoki, solidnie zbudowany mężczyzna był prawdopodobnie o dziesięć lat starszy od Jacka, jego czarne kręcone włosy zaczynały się przerzedzać.

Po pierwszym stuknięciu się kieliszkami i wypiciu pierwszych łyków szkockiej Weisman rozpoczął rozmowę.

- Pański dziadek Johann Lehrer był profesorem religii objawionej na Uniwersytecie w Berlinie - rzekł do Jacka z powagą. - Opuścił jednak Niemcy w 1888 roku, ponieważ nie chciał służyć w niemieckiej armii.

- Wiem o tym wszystkim - odparł Jack.

- Czymś, o czym pan być może nie wie, jest to, że miał trzech braci i siostrę. Żadne z nich nie wyjechało z Niemiec. Ma pan bardzo dużą rodzinę stryjów, kuzynów oraz ciotecznych braci i sióstr.

- Trochę o tym wiem. Dziadek korespondował z niektórymi. Pamiętam, że mówił, iż namawiał krewnych do opuszczenia Niemiec, ale oni tego nie zrobili. Mieli tam swoje domy i interesy. A zresztą do czego pan zmierza?

Solomon Weisman uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Proszę mi pozwolić zmierzać do tego krok po kroku - rzekł. - Czy słyszał pan, że jeden z pańskich kuzynów został zamordowany podczas **Kristallnacht**.

- Podczas „Nocy Kryształowej”? Nie... nie słyszałem.

- Trzej inni zostali aresztowani. Rozmawiamy o znikaniu ludzi. Trzej pańscy kuzynowie „zniknęli”.

- Mój Boże! Nie znam tych ludzi. Nie wiem o nich nic prócz tego, że istnieją. I... oczywiście, nie mógłbym w tej sprawie nic zrobić, nawet gdybym wiedział. Teraz też nie mogę nic zrobić w sprawie tych, którzy zostali aresztowani, nieprawdaż?

Solomon Weisman potrząsnął głową.

- Nic nie może pan w tej sprawie zrobić. Z wyjątkiem... z wyjątkiem tego, co jest powodem, dla którego poprosiłem pana o spotkanie. Im poważniejsi żydowscy biznesmeni wstąpią do naszej organizacji, tym skuteczniej będziemy mogli działać. Teraz możemy się jedynie starać, by świat usłyszał, co się dzieje w Niemczech, i szukać pomocy. Pan ze swoją

siecią radiową mógłby uczynić bardzo wiele. Zrobił pan już coś w tej sprawie, nadając przemówienie Hitlera. Może pan zrobić więcej.

Jack ścisnął w dłoni szklaneczkę szkockiej i wpatrywał się w nią dłuższą chwilę.

- Panie Weisman - rzekł cicho - nigdy nie przeczyłem, że jestem Żydem. Rozumiem waszą sprawę...

- Naszą sprawę.

Jack zawahał się krótko, a potem skinął głową.

- Dobrze; naszą sprawę. Sądzę, że mógłbym pomóc jej bardziej, jeśli nie będę z nią publicznie identyfikowany.

- Nie chce pan być znany jako Żyd.

- Nie chcę rozgłaszania faktu, że jestem Żydem.

- Rozumiem - rzekł Weisman, kiwając głową. - Wielu myśli tak samo. Zawsze tak było.

Jack spojrzał Weismanowi w oczy.

- Gdyby naziści wiedzieli, że właścicielem sieci radiowej Lear Broadcasting jest Żyd, nigdy nie zgodziliby się na naszą transmisję jednego z przemówień Hitlera.

- Może ma pan rację...

- Chyba mogę znaleźć inne możliwości informowania amerykańskiej opinii publicznej o tym, co dzieje się w Niemczech. W rzeczywistości może pan dostarczać mi informacji. Jednak nawet w tym kraju wszystko, co ukaże się na antenie moich stacji, będzie mniej skuteczne, jeśli zostaną one uznane za rozgłoszenie żydowskie.

- *New York Times* ma opinię dziennika żydowskiego, a mimo to jest całkiem skuteczny.

- Nie wszędzie - odparł Jack. - W niektórych częściach kraju jest wręcz podejrzany.

- Cóż, widzę, że moja próba pozyskania nowego członka spełzła na niczym.

- Nie ujmujmy tego tak surowo. Postawił mnie pan w piekielnie trudnej sytuacji. Z całą powagą zapewniam, że będę informować o nazistowskich prześladowaniach. Pan dostarczy mi fakty, a ja będę nadawać te wiadomości. Niech je pan dostarcza także innym rozgłoszonom, a przekonamy się, kto wykorzysta więcej pańskich informacji. Po powrocie do swego biura wyślę panu czek na tysiąc dolarów. Będę też od tej chwili przekazywać organizacji B'nai B'rith co najmniej tysiąc dolarów rocznie.

- To szczodry dar - przyznał Weisman. - Myślę, że się rozumiemy. Nawet to spotkanie zaaranżował pan w miejscu, gdzie żaden z pańskich przyjaciół lub współpracowników nie zobaczy nas razem, prawda?

Jack się zaczerwienił.

- Nie... nie mogę temu zaprzeczyć - powiedział. - Jestem głęboko zakłopotany. Nie. Zamieńmy to na „zawstydzony”. Właśnie tak: jestem zawstydzony.

- Cóż - rzekł Weisman. - Naprawdę nie musimy jeść tego lunchu. Jeśli może pan zrobić dla nas więcej, nie będąc z nami utożsamiany, niech i tak będzie.

- Utożsamienie byłoby nieskuteczne - rzekł cicho Jack.

4.

Jack stwierdzał, że trudno mu utrzymywać romans z Connie Horan. Nie mogła - bądź nie chciała - spotykać się z nim częściej niż raz w miesiącu. Praktykując tylko tę naturalną metodę zapobiegania ciąży, która opierała się na cyklu miesięczkowym, mogła się z nim spotykać tylko w dni niepłodne (lub też te, w których żywiła taką nadzieję). Miała niezachwianą pewność, że używanie gumowych krążków i kapturków jest grzechem. Kiedy jej to zaproponował, dla pewności by nie zaszła w ciążę, wzdrygnęła się trwożnie.

- Naprawdę walczę z sobą w tej sprawie - powiedziała pewnego popołudnia, przebiegając językiem od tyłu jego moszny do czubka penisa. - Nie mogę... nikogo poprosić o radę. Wiesz, co to jest sofistyka? Doszłam do przekonania, że tak długo nie popełniam grzechu, kiedy cię liżę, dopóki nie wezmę go do ust. Lizanie jest miłością, a...

- Dobrze, dziecko, dobrze...

Teraz już wiedział, że jest gotowa lizać go przez godzinę, przebiegając językiem także po jego brzuchu i biodrach, a nawet po pośladkach. O ile dobrze rozumiał jej westchnienia i pomrukiwania, znajdowała w tym coraz większą przyjemność. Lizała aż do wyschnięcia ust, zwilżając je wtedy sokiem pomidorowym zmieszonym z ginem. To mogła robić we wszystkie dni miesiąca i niebawem wolała go lizać niż pozwalać, by w nią wchodził i ryzykować zajście w ciążę.

- W ten sposób ani nie ryzykujemy nie chcianej ciąży, ani nie zapobiegamy zapłodnieniu - wyjaśniła.

Postanowił, że będzie na to pozwalać, nie wykazując słabości tkwiącej w jej rozumowaniu. Obawiał się, że gdyby poważniej zastanowiła się nad tym, co robią, mogłaby dojść do wniosku, że on ubolewa nad takim rozwiązaniem.

- Connie, kochanie, a gdybym dokładnie i głęboko umył się... od tyłu, czy wsunęłabyś tam jęczyzek?

- Cóż, myślę, że mogłabym spróbować. Naprawdę chcę ci pokazać, jak bardzo mi na tobie zależy.

Kiedy wrócił z łazienki, Connie wypić duży haust soku pomidorowego z ginem, a potem, niby na próbę, wsunęła język w jego odbył. Jęknął. Odczucie było wspaniałe, ale nie doznał orgazmu.

- Tak... - mruzczała. - Dobrze...

Mocniej przycisnęła twarz do jego pośladków i wsuwała język tak głęboko, jak mogła sięgnąć.

- Och... dziecinko...

Odsunęła się i roześmiała.

- Podoba ci się? Okay. Możemy to robić, ilekroć zechcesz.

Jack zrozumiał, że ma przed sobą poważny problem. Zaczęło mu zależeć na Connie Horan.

5.

Kimberly, obecnie trzydziestojednoletnia, stawała się teraz coraz bardziej namiętna. Postanowiła, że wystarczy im dwoje dzieci i obwieściła Jackowi swój zamiar poddania się zabiegowi podwiązania jajowodów. Jack wyraził niezadowolenie, ale Kimberly powiedziała, że decyzja w tej sprawie należy do niej. Podjęła ją i jesienią przeprowadzi operację.

Prawdopodobnie to właśnie ulga od obaw przed zajściem w ciążę wyzwoliła w Kimberly nową energię i obudziła wyobraźnię. Teraz sugerowała Jackowi, by zaczęli z większym ryzykiem podejmować erotyczne eksperymenty.

W pokoju obok małżeńskiej sypialni Kimberly miała niewielką bibliotekę, której zasoby kryły się tam przed wzrokiem gości. Przez sześć lat małżeństwa Jack nie zwracał na nie uwagi, ale gdy Kimberly powiedziała mu po operacji, że te książki zaostrzyły jej apetyt na seksualne eksperymenty, rzucił na nie okiem. W jaki sposób udało jej się sprowadzić z Francji zakazaną powieść Henry'ego Millera *Zwrotnik Raka?* Musiała przybyć ukryta w czymś bagażu, inaczej skonfiskowaliby ją celnicy. Tuż obok widniała skandalizująca osiemnastowieczna powieść *Pamiętniki kobiety rozkoszy* - osławiona *Fanny Hill* Johna Clelanda - którą pierwszy raz opublikowano w 1749 roku. Dalej zaś - pochodząca z dziewiętnastego stulecia wielotomowa autobiografia erotyczna zatytułowana *Moje życie intymne*. Jack był zdumiony, dowiadując się, że jego żona czytuje takie książki. I oczywiście sam je przeczytał, by się dowiedzieć, co w sobie kryły.

Potem pojawiło się coś bardziej interesującego i sugestywnego: *Kamasutra*, hinduski podręcznik seksu opisujący rozkosze zachowań

seksualnych, których Jack nie mógł sobie wyobrazić jako przyjemnych, a do których należało gryzienie i drapanie.

Pewnego wieczoru na początku grudnia Kimberly poprosiła, by wcześniej poszli do łóżka. Włączyła nocne lampki i spryskała pościel wodą kolońską. Było oczywiste, że nie miała zamiaru pójść spać. Początkowo w sposobie, jaki kochali się tego wieczoru, Jack nie znalazł niczego niezwykłego. Potem jednak wszystko okazało się wprost nadzwyczajnie niezwykłe. Dosiadał ją okrakiem, a ona obejmowała go nogami, szeroko otwartymi oczami wpatrując się w jego twarz. Szybko osiągnął orgazm. Gdy pierwszy gwałtowny paroksyzm eksplodował w niej silnym wytryskiem, przebiegła paznokciami po jego plecach, rozdrapując je boleśnie. I drapała go tak długo, jak długo trwały kolejne paroksyzmy jego orgazmu. Wiedział, że rozkrwawiła mu plecy. Mógł protestować. Nie zdołał. Ból spotęgował miłosną ekstazę lędźwi. Tego wieczoru doświadczył więcej orgastycznych uniesień, niż kiedykolwiek przedtem.

- No i co, kochanie? - szepnęła, gdy wyczerpany opadł na nią płasko.
- O Boże, Kimberly... - westchnął osunawszy się na bok.
- Najwspanialszy, jakiego doznałeś w całym swoim życiu, prawda?
- Tak, ale...
- Wiem. Nie możemy zrobić tego jeszcze raz. Gdybyś wiedział, co się zdarzy, nie mógłbyś osiągnąć szczytu. Ale czyż nie jesteś zadowolony, że raz doznałeś tego inaczej?

Jack uniósł się, by pocałować jej pierś. Siadając, spojrzął na przeciwieństwo. Było splamione jego krwią. Przetarła mu plecy alkoholem. Strasznie piekło, ale nawet to było dziwnie podniecające i wywołało ponowną erekcję.

Kilka dni później, gdy leżąc na Kimberly penetrował ją mocnymi ruchami, otworzyła usta i poprosiła, by ją spoliczkował. Przedtem by tego nie zrobił, ale teraz wiedział, że właśnie tego pragnęła, więc lekko uderzył ją w policzek.

- Mocniej, na miłość Boską!

Uderzył mocniej.

- Jeszcze raz! I rób to, dopóki nie powiem, żebyś przestał.

Głowa Kimberly opadała z boku na bok, gdy bił ją otwartą dłońią raz w jeden, raz w drugi policzek. Najpierw zaczęła się wić, skręcać i jęczeć, a potem nagle się uniosła i przyciągnęła Jacka do siebie, przytrzymując mu ramiona, by nie mógł jej dłużej policzkować. Jej oczy jaśniały uniesieniem.

Nieco później w łazience pluła krwią. Zęby skaleczyły wnętrze jej policzków, a z przodu lśniły kolorem różu.

Kiedy obudził się rano, Kimberly nie było już w łóżku. Zastał ją w łazience, gdzie starannie nakładała makijaż, by ukryć czerwone ślady na policzkach. Miała lekko spuchnięte wargi, ale niczym zręczna aktorka użyła szminki, by zamaskować błyszczący obrzęk.

Jack wziął głęboki oddech.

- Cóż, nie spodziewaj się, że będę przeproszał. Sama tego chciałaś: „mocniej i dłużej”.

- Ja mogę znieść więcej. - Mówiła trochę niewyraźnie przez spuchnięte wargi. - A ty lepiej bądź w stanie mi to dać!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

1. - 1939

W roku 1939, gdy Jack miał trzydzieści trzy lata, Kimberly postarała się, by sfotografowano go w służbowym gabinecie. Sama też brała udział w owej sesji fotograficznej, żeby mieć pewność, iż Jack Lear będzie wyglądać tak jak sobie tego życzyła; jak dystyngowany młody, pewny siebie biznesmen w eleganckim garniturze.

Wybrała garnitur, który miał włożyć: ciemnoszary w delikatne białe prążki, dwurzędowy lecz z wąskimi klapami i nie tak usztywnionymi ramionami jak dwurzędowe ubrania powszechnie noszone w 1939 roku. Na kilku ujęciach trzymał papierosa między palcami a nie w cygarnicze, co - jak uparcie twierdził - wyglądałoby sztucznie.

Tuż przed sesją zdjęciową Kimberly czekając na fotografów, zmieniła umeblowanie gabinetu męża. Biurko ze złotego dębu, które służyło mu przez lata, zniknęło i zostało zastąpione ozdobnie rzeźbionym biurkiem z mahoniem. Codzienny zwyczajny nieład uprzątnięto, a na mahoniowym blacie stanął onyksowy komplet przyborów do pisania, marmurowa popielniczka i mikrofon z plakietką WCHS, zaś kredens za biurkiem ozdobiły trzy lśniące trofea, jakie Jack wygrał w brydża. Na kilku ujęciach nie siedział za biurkiem, lecz stał na tle zielonych aksamitnych draperii, a na kilku innych trzymał w dłoni staromodną szklaneczkę wypełnioną kostkami lodu i czymś, co miało wyglądać jak whisky, a w rzeczywistości było herbatą.

Kimberly wybrała jedną z kolorowych odbitek otrzymanych od fotografa i przesłała ją pewnemu malarzowi z Maine, który zrobił portret. Później powiesiła ów portret w bibliotece domu przy Louisburg Square.

Obraz nie schlebiał modelowi, który wyglądał na nim tak, jak w rzeczywistości. Jack porzucił już próby takiego zaczesywania przedzających się włosów, by zakrywały zakola nad czołem; powstały tam, a on mógł jedynie żywić nadzieję, że nie będą się poszerzać. Powieki Jacka miały tendencję do opadania, co nadawało mu nieco senny wygląd. Usta

wciąż układały się w naturalny uśmiech, ale pojawił się też jeszcze nieznacznym drugi podbródek.

Karykatura Jacka opublikowana w miesięczniku *Fortune* dowodziła bardzo wnikliwej obserwacji, przedstawiając go tak, jakby szelmowskim, ale i przebiegłymi oczami śmiał się z jakiegoś dowcipu. Podpis informował, że jest „radiowym minimagnatem, bostońskim właścicielem siedmiu stacji radiowych”, a krótka notatka mówiła, że ów minimagnat, „Jack - starszy syn Ericha Leara, człowieka, który pomnożył rodzinną fortunę, kupując i złomując kilka najpiękniejszych na świecie starych liniowców - jest nieodrodnym odgałęzieniem rodowego drzewa. Właściciele małych stacji radiowych Wschodniego Wybrzeża mają nadzieję, że nie zwróci na nich uwagi, ponieważ wydaje się sięgać po wszystko, na co spogląda”.

Pragnąc zdobyć miejsce w Waszyngtonie, Jack wysłał tam Mickeya Sullivana, aby zbadał grunt. Sullivan przesłał informację, że należąca do czarnoskórych stacja WDIS, która nadawała program dla czarnej ludności Waszyngtonu, zapożyczyła się poważnie, żeby kupić aparaturę studyjną oraz rozszerzyć zasięg emisji, a teraz miała trudności ze spłacaniem długów. Właściciele szczycili się tą stacją i nie była ona na sprzedaż, ale można było kupić jej weksle. Jack kupił je, płacąc osiemdziesiąt centów za dolara bankowi Dystryktu Columbia, który udzielił pożyczek. Potem zaś wezwał tę stację do zwrotu poniesionych kosztów. Przed upływem pięciu miesięcy stała się jego własnością. Pozostawił w niej dotychczasowe kierownictwo, ale drastycznie zmienił program.

Stację w Filadelfii nabył inspirując dwudziestu filadelfijczyków do złożenia skarg w Federalnej Radzie Radiofonii, że ich stacja nie nadaje programów zgodnych z interesem publicznym. Zaangażował wtedy prawników, by oni przedłożyli tę sprawę Radzie. Gdy Federalna Rada Radiofonii nie przedłużyła licencji poprzedniemu właścicielowi, wtedy o tę licencję wystąpiła sieć Leara i zdobyła ją. Całą aparaturę Jack kupił oczywiście po zaniżonej cenie.

Jego reputacja człowieka słynącego z braku skrupułów w interesach - reputacja żydowskiego geszefciarza, jak sama określiła w rozmowie z ojcem - martwiła Kimberly. Nie był to wizerunek, z którym chciała się identyfikować.

2.

Latem Kimberly wynajęła dom na półwyspie Cape Code. Znajdował się naprzeciw stojącego przy plaży letniego domu jej rodziców. Dzieci spędzały tam wakacje pod troskliwym okiem babci Edith.

Cecily Camden, niania, nie pojechała tam wraz z nimi. Powiedziała, że Wielka Brytania przed końcem roku z pewnością przystąpi do wojny i ona musi wrócić do domu, by pomóc rodzinie w zmaganiu się z tym, co z pewnością będzie przerażającym doświadczeniem. Po wyjeździe na półwysep Kimberly i dzieci, Cecily została na trzy tygodnie w domu przy Louisburg Square, co umożliwiło Jackowi zabieranie jej do łóżka częściej i na dłużej, a to z kolei sprawiło, iż doznawali więcej satysfakcji niż kiedykolwiek przedtem.

Ponieważ byli w domu sami, Cecily mogła rozbierać się przed Jackiem do naga, czego wcześniej nigdy nie ośmielała się robić. Lubiła prysznic i często kochali się w strumieniach wody.

- Sądziłem, że chcesz zostać w Ameryce.

- Myślałam o tym.

- Masz dwadzieścia dziewięć lat i wiem, że nie chcesz przez całe życie być nianią. Sądziłem, że kiedy dzieci trochę podrosną, zaoferuję ci jakąś pracę w radio. Mógłbym ci także wesprzeć w staraniach o obywatelstwo...

- Nie potrzebuję sponsora. Zdałabym egzamin. Jestem tu przecież dość długo.

- Cóż, może powinnaś zmienić zdanie. Mógłbym ci dać jakąś pracę już teraz.

- Mam inny mały problem - odparła cicho.

- Jaki?

Uśmiechnęła się i pocałowała go w szyję.

- Naprawdę nie wiesz? Nie jesteś przecież taki niewrażliwy. Wiesz przecież, że cię kocham. Sądysz, że pozwalam ci się rżnąć, bo u ciebie pracuję? Tak źle o mnie myślisz?

- Cóż - rzekł Jack, biorąc głęboki oddech - masz zatem poważniejszy powód, by zostać. Załatwię ci taką pracę, która umożliwi nam częste spotkania...

- ... i będę twoją kochanką, a ty wciąż pozostaniesz żonaty z panią Kimberly? Nie, Jack. To mi się nie podoba. Zresztą naprawdę czuję, że powinnam pojechać do domu i zobaczyć, co się tam dzieje.

Wziął ją w ramiona. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak dalece niewłaściwie ocenił tę prostą dziewczynę.

- Cecily... Będę za tobą tęsknić. Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić w... nazwijmy to... w pożegnalnym prezencie?

- Cóż... Możesz mi dać trzysta dolarów.

- Trzysta dolarów? Dobrze. Ale dlaczego akurat trzysta?

Przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy, a potem spuściła wzrok.

- Właśnie tyle kosztowało mnie usunięcie twojego dziecka, zanim

zrobiłoby się za późno. Miałam dobrego lekarza, który to zrobił, ale musiałam mu zapłacić trzysta dolarów, a to niemal wszystko, co udało mi się zaoszczędzić.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? Zapłaciłbym za to.

- Może próbowałbyś mnie przekonać, bym tego nie robiła... A może postanowiłbyś, że nie chcesz już ryzykować następnych spotkań ze mną. A ja tak bardzo ich pragnęłam. Pamiętam każde z nich, każdą chwilę, każdą minutę...

Pocałował ją.

- Jesteś cudowną dziewczyną, Cecily. Masz rację; zasługujesz na coś więcej niż na rolę kochanki żonatego mężczyzny. Oczywiście, że dam ci te trzysta dolarów. A ile będzie kosztować twój bilet na powrotną podróż przez Atlantyk?

- Cóż, płynę trzecią klasą *Aquitanii* i...

- Nie, nie popłyniesz trzecią klasą, ale pierwszą!

- Jack! Nie mam nawet odpowiednich strojów na podróż pierwszą klasą!

- Będziesz je miała!

Cecily uklękła przed Jackiem i ująwszy w dłonie jego penis, umieściła go między swymi piersiami, a potem, gdy stwardniał, zacisnęła je wokół, tuląc go w miękkiej, ciepłej szczelinie. Przesuwała piersi z boku na bok, w górę i w dół, aż osiągnął niezwykły, cudowny orgazm: powolny, rytmiczny, sięgający aż do wnętrza i powstający w nim głębiej niż kiedykolwiek przedtem.

Całowała żarliwie jego oczy, uszy, policzki i usta.

- Niech pani Kimberly spróbuje to tak zrobić!

- Będę za tobą strasznie tęsknić, Cecily - rzekł cicho.

3.

Jack nie lubił plaży, ale ponieważ był to ostatni weekend lata, zgodził się przyjechać już w czwartek i zostać aż do Święta Pracy.

Kimberly wybrała dla niego kostium kąpielowy. Przez wiele lat mężczyźni nosili granatowe kąpielówki z białym paskiem i białym trykotowym podkoszulkiem. Był to rodzaj plażowego uniformu. Teraz, stwierdziła Kimberly, ten strój był *passe* i kupiła Jackowi spodenki w stylu bokserkim i bez podkoszulka. Chociaż w istocie owe bokserki bardziej zasłaniały nogi niż robiły to stare kąpielówki, Jack czuł się nieskromnie, ukazując nagi tors, zwłaszcza że niemal wszyscy inni mężczyźni na plaży odziani byli w białe podkoszulki.

- Nie jestem pewien - rzekł do Kimberly - czy nie pojawi się tu teraz jakiś konstabl, by ukarać mnie mandatem za nieprzyzwoite obnażanie się.

- Ukaraliby najlepiej ubranego mężczyznę na tej plaży - odparła cierpko.

- Męża najlepiej tutaj ubranej kobiety.

Jack nie był również zadowolony z kostiumu kąpielowego, który miała na sobie Kimberly. Był to pierwszy nylonowy kostium, jaki kiedykolwiek widziano na plaży w Cape Code. Przedsiębiorstwo jej ojca prowadziło interesy z firmą Du Pont i Harrison Walcott został obdarowany belą nowej eksperymentalnej sztucznej tkaniny. Była biała (bo wyprodukowano ją tylko w tym kolorze) i Kimberly zatrudniła zręczną krawcową, by w pierwszej kolejności uszyła z niej suknię wieczorową, a potem ten kostium. Jednocześnie kostiumy kąpielowe noszono już od pewnego czasu, ale były one robione na drutach, z wielobarwnej wełny i skrywały krągłości kobiecej figury, zaś elastyczny nylon przylegał jak skóra i lśnił. Kimberly nosiła ten kostium przez kilka tygodni, ale teraz pierwszy raz miała go na sobie przy Jacku. On zaś zastanawiał się, czy oboje nie zdobywają skandalicznej reputacji.

Wiedział, że Kimberly tak nie sądzi i że wcale by się nie przejęła, gdyby nawet tak było. Uważała, że są najelegantszą rodziną na plaży. Była przekonana, że wszyscy ich podziwiają i prawdopodobnie miała rację.

Mały John przydreptał do nich po piasku.

- Mamusiu, tatusiu, czy mogę stuknąć do Barbary. Taką mamy razem wspaniałą kąpiel!

Kimberly na chwilę zakryła ręką usta, by nie roześmiać się na cały głos.

- John, nie wolno mówić, że chcesz „stuknąć” do Barbary. To nieuprzejme. Możesz powiedzieć, że chcesz zapukać do jej drzwi i poprosić ją, by wyszła, żeby się z tobą bawić, rozumiesz? Nie wolno mówić, że chcesz do niej „stuknąć”.

Chłopiec spojrzał na Jacka, który także się śmiał.

- Ale Cecily mówiła...

- Wiem, John - odparła Kimberly. - Wiem. Powinieneś jednak zrozumieć, że Cecily pochodzi z Anglii, gdzie różne rzeczy wyraża się inaczej. Tutaj powiedzenie, że chcesz stuknąć do Barbary, brzmi bardzo nieuprzejmie.

- A czy będzie dobrze, jeśli pójde zapukać do jej drzwi?

- Tak. I zapytaj Barbarę, czy chciałaby pójść z tobą popływać, a nie czy chciałaby wziąć z tobą kąpiel. Cecily tak mówiła, ale nie jest to sposób, w jaki my zapraszamy kogoś na pływanie.

Chłopiec zmarszczył brwi i pobiegł do sąsiedniego domu. Mieszkająca tam dziewczynka o dwa lata starsza od Johna stała się jego wakacyjną koleżanką.

- Cecily była skarbem - rzekła Kimberly, potrząsając głową - ale powinnam się cieszyć, że wyjechała.

Jack otarł łzy, które wcześniej ze śmiechu napłynęły mu do oczu.

- Chyba powinienem pójść do wody - powiedział - to niedorzeczne; przyjsć na plażę i nie pływać.

- Muszę coś wyznać - odparła Kimberly, dotykając swego kostiumu. - Ten materiał w zetknięciu z wodą robi się nieco przezroczysty, Dzisiaj zostanę więc z dala od przybrzeżnych fal.

Wchodząc do wody, Jack zastanawiał się, po co włożyła kostium kąpielowy, jeśli bała się go zamoczyć. Odpowiedź nadeszła sama. Przypomniał sobie, że Kimberly miała strój tenisowy, a nigdy nie grała w tenisa, i strój do konnej jazdy, choć nigdy nie jeździła konno.

On także nie jeździł konno, bo nie miał do koni zaufania, ale dorastając w Kalifornii został dobrym pływakiem i nauczył się grać w tę diabelską grę zwaną tenisem.

Grywał trochę tego lata i zyskał reputację poważnego przeciwnika na tenisowym korcie. Zaowocowało to zaproszeniami do gry w kilku tutejszych snobistycznych klubach, do których inaczej prawdopodobnie nigdy by go nie zaproszono.

Wypłynął za falochron. Ktoś zakotwiczył tratwę za miejscem, gdzie rozbijały się fale, więc na nią wskoczył. Patrząc za siebie w stronę brzegu Jack widział pędzącego po plaży małego Johna, za którym podążała jego koleżanka Barbara. Oboje radośnie skoczyli w fale.

Jack był tak pochłonięty obserwowaniem dzieci, że nie od razu zauważył, iż Kimberly nie była już sama. Gdy spojrział w jej stronę, machała ku niemu, dając znaki, żeby wracał.

Obok niej stali Betsy i Curtis Frederickowie. Żadne z nich nie było ubrane plażowo.

Dopłynął do brzegu, a potem ruszył w ich stronę.

- Zdaje się, że nasze ślubowanie, iż podczas tego weekendu nie będziemy słuchać radia, było złą decyzją - rzekła Kimberly.

Curtis podszedł do Jacka.

- Dzisiaj rano Hitler dokonał inwazji na Polskę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

1. - 1940

13 grudnia 1939 roku w porcie Montevideo stanął na kotwicy uszkodzony niemiecki okręt wojenny Graf Spee. Aż do Montevideo ścigały go krążowniki brytyjskie, które strzegły angielskiego wybrzeża. Rząd Urugwaju skierował do niemieckiego kapitana notę z ostrzeżeniem, że jeśli nie odpłynie z neutralnych wód tego kraju w ciągu czterdziestu ośmiu godzin dozwolonych prawem międzynarodowym, to urugwajska obrona wybrzeża otworzy ogień.

Cały świat zamarł w oczekiwaniu, by zobaczyć, co zrobi niemiecki kapitan. Na nabrzeżu portu Montevideo w oczekiwaniu widowiskowej bitwy morskiej zgromadziły się ogromne tłumy. Szczęśliwym trafem jakiś amerykański korespondent radiowy, który był w stolicy Urugwaju, postarał się transmitować dramat na żywo.

Kapitan Langsdorf zatopił swój okręt. Sprawozdawca radiowy z zapartym tchem relacjonował to dramatyczne wydarzenie amerykańskim słuchaczom. Jack i Kimberly Learowie byli wśród milionów Amerykanów, którzy słuchali go w napięciu i z ogromnym zainteresowaniem.

Do dnia owej transmisji Jack nie kwapił się z delegowaniem Curta Fredericka do Europy. Zobaczywszy jednak w końcu poruszenie wywołane bezpośrednią relacją z dramatycznych wydarzeń, upoważnił Curtisa do utworzenia biura informacyjnego w Paryżu i wyjazdu stamtąd na front spodziewanej wojny, która miała przebiegać wzdłuż Linii Maginota, skąd Curt możliwie najczęściej przekazywałby na żywo swoje osobiste wrażenia.

Curt przyjechał do Paryża w lutym - akurat by zdążyć relacjonować coś, co wkrótce stało się znane jako „wojna na niby” lub *Sitzkrieg*. Prawdziwa wojna toczyła się bowiem w Norwegii i na froncie rosyjsko-fińskim. Jedynym wydarzeniem o pewnym dramatyzmie, jakie mógł zrelacjonować, było spotkanie Hitlera z Mussolinim, które odbyło się 18 marca.

Ponieważ Paryżowi nie groziło żadne niebezpieczeństwo, Curt sprowadził Betsy, by zamieszkała z nim przy rue Saint Ferdinand.

Zażywali w Paryżu czegoś w rodzaju romantycznej idylli, gdy Jack postanowił wezwać Curta do powrotu. Zbyt wiele kosztowało utrzymywanie go tam, skoro mógł produkować tylko takie relacje, jakie nadsyłał.

W poniedziałek 6 maja 1940 roku Jack wsiadł w Nowym Jorku na pokład samolotu linii PanAm udającego się do Lizbony. Kimberly upierała się, by jechać wraz z nim, ale Jack twierdził, że spędzi w Paryżu nie więcej niż czterdzieści osiem godzin i cały ten czas poświęci sprawom służbowym. Uległa jego argumentom, ale powiedziała, że drugi raz nie zgodzi się na to, by pojechał do Paryża bez niej. Następnym razem miał się postarać, by mogli spędzić tam dwa tygodnie.

Jack dotarł do Paryża w czwartek 9 maja. Curt czekał na dworcu i zabrał go do „Royal Monceau”, wielkiego, tradycyjnego hotelu położonego w odległości kilku przecznic od Łuku Triumfalnego który królując nad dachami i drzewami był wyraźnie widoczny z jego okien.

Jack wcześniej nie był w Europie. Curt zapewniał go, że Paryż nigdy nie był piękniejszy i że wiosna jest najlepszą porą roku na oglądanie tego miasta. Od kilku tygodni nie padał deszcz i nad Paryżem rozciągał się wysoki błękit. Pierwsze dni maja pokryły parki i ogrody kwieciami, a oglądani przez Jacka z okien taksówki paryżanie - wśród których wiele było eleganckich, długonogich kobiet w barwnych, wiosennych sukienkach - doskonale bawili się w słynnych kafejkach na szerokich trotuarach. Chociaż Jack widział także mężczyzn i kobiety w mundurach, to jednak Paryż nie przypominał stolicy kraju znajdującego się w stanie wojny.

- Cóż - rzekł Curt siadając w salonie hotelowego apartamentu Jacka - telegrafowałeś, że chciałbyś zobaczyć „Folies Bergere”. Każdy Amerykanin chce to zobaczyć. I każdy powinien... Powiedziano mi jednak, że dziś wieczorem kolację w „Ritzu” będzie jadła księżna Windsoru. Nie wolałbyś zobaczyć księżnej?

- Czy księżna będzie tak samo naga jak te tancerki? - zapytał Jack z udawaną naiwnością.

- Zatem „Folies Bergere” - roześmiał się Curt - a potem kolacja.

- Z Betsy, oczywiście.

Wszyscy troje poszli do „Folies” Jackowi podobała się ta rewia. Kimberly uczyła go, by myślał o sobie jako o człowieku wyrafinowanym i gdyby oboje mieli oglądać w Paryżu jakiś spektakl, prawdopodobnie upierałaby się przy operze, ale Jack nie był aż tak wyrafinowany, by nie przypadło mu do gustu właśnie to widowisko i wprost zachwycał się nagimi dziewczętami na scenie „Folies”.

Kolację zjedli w jakiejś rosyjskiej restauracji nieopodal hotelu. Ona także oferowała gościom program artystyczny z muzyką bałałajek oraz kozackim tańcem z szablami. Na sali panował jednak taki hałas, że Jackowi trudno było rozmawiać. Zastanawiał się, czy Curt wybrał to miejsce właśnie dlatego, że uniemożliwiałoby rozmowę.

Gdy Curt wyszedł do toalety, Betsy ujęła dłoń Jacka i powiedziała, że jest szczęśliwa, ale tęskni do ich spotkań z minionych lat.

Pieszko poszli do hotelu. Paryż tętnił życiem i, podobnie jak Nowy Jork, wydawał się być miastem, które nigdy nie zasypiało. Przez chwilę Jackowi było przykro, że nie przywiózł tu Kimberly. Ale...

- Curt... czy tu naprawdę będzie wojna? - zapytał.

- Zapewniam cię, że będzie. Jestem tego tak pewny, że w przyszłym miesiącu odsyłam Betsy do Stanów.

Jack wyciągnął rękę w kierunku ulicy, z której dochodził niosący się echem śmiech i śpiew.

- Nie wszyscy tak myślą.

- Wiem, dlaczego przyjechałeś do Paryża - rzekł Curt posępnie. - Z drugiej strony; czy powinniśmy otworzyć biuro w Helsinkach lub w Oslo? Stracimy „najważniejszy punkt programu”. Wielka kurtyna musi pójść w górę!

- Nie mogę sobie pozwolić na utrzymywanie jednego korespondenta w Paryżu, drugiego w Berlinie, trzeciego w Rzymie, a czwartego w Londynie. To nie ty jesteś problemem. Musimy znaleźć tę przeklętą wojnę.

- Francuzi przetrzepali dziś swój rząd. Paryż jest dzisiaj kluczowym miastem. Może zostać zbombardowany tak jak Madryt. Właśnie tego boję się najbardziej. Wyobraź sobie bomby spadające na Notre Dame! Na Luwr! Bomby zamieniające Wieżę Eiffla w ruinę! Tutaj będzie się toczyć historia, Jack!

- Rzecz w tym, jak długo możemy na nią czekać - odparł ponuro Jack.

- Porozmawiajmy o tym jutro. Chciałbym cię zabrać na Linie Maginota. Świat jeszcze nie widział niczego podobnego. Masz ze sobą aparat fotograficzny?

Wracając przez wyłożony marmurem westybul hotelu „Royal Monceau”, Jack zauważył trzy kobiety siedzące na fotelach w holu obok wind. Nawet on - Amerykanin pierwszy raz będący w Paryżu - mógł się domyślić, że są prostytutkami oczekującymi na wezwanie do któregoś z hotelowych apartamentów. Spoglądając w ich stronę, stwierdził, że jedna - co najmniej trzydziestopięciolatka - wyglądająca na nieco znużoną - z pewnością dostarczyłaby mu próbki owych legendarnych rozkoszy, jakie mogła zaoferować jedynie profesjonalna paryska dziwka.

Dwie pozostałe były młodsze i bardziej atrakcyjne, ale Jack czuł, że czegoś niezwykłego doświadczy tylko z tą, wyraźnie sprawną w swej profesji kobietą.

• Przedstawiła się jako Angelique, czyniąc to z lekko ironicznym uśmiechem, który potwierdzał, że nie jest to jej prawdziwe imię. Zdecydowanie do niej nie pasowało. Z obwisłymi piersiami, rozciągniętymi sutkami, rozstępami na brzuchu i wygolonym łonem była właśnie taka, jak się spodziewał. I tak jak się spodziewał, to on uczył się od niej.

Najpierw stwierdzili, że jego francuski i jej angielski są równie słabe. Rozśmieszali się, leżąc w łóżku, gdzie ona dawała, a on pobierał lekcje francuskiego.

Dotykał jej sutek i pytał jak nazywają się po francusku.

- *Le mot propre ou le mot vulgaire, Monsieur?* - pytała z gardłowym paryskim akcentem. - Chodzi panu o słowo uprzejme czy wulgarne, sir?

- *Oh, le mot vulgaire, Mademoiselle, s'il vous plait!* - odpowiadał ze śmiechem.

Nauczyła go paryskich slangowych nazw męskiego członka, i jąder oraz wagi, piersi, pośladków oraz słów jakimi określa się spółkowanie, ssanie, a także tego co nazwała *la maniere grecque*, a co było stosunkiem analnym. Jak się nim rozkoszować, także go nauczyła.

Była z krwi i kości Francuzką. U siebie nie skorzystałby z jej oferty, bo wymagała kąpeli. Gdy po pierwszej penetracji „w stylu greckim” zaproponował, by razem wyciągnęli się w jej wannie, roześmiała się. Powiedział więc, że zamierza jej zapłacić za całą noc. Po tych słowach gotowa była zrobić wszystko; nawet wziąć kąpiel. Uzgodnili wysoką cenę i nie zasnęła aż do rana.

2.

Następnego dnia obudził Jacka telefon. Curt nie mógł zapanować nad załamującym się głosem. Płakał.

- Zmasowane siły niemieckie atakują! Będę u ciebie w hotelu o ósmej trzydzieści.

Angelique domyśliła się niezwykłej wagi tej rozmowy.

- *Les Boches*. Szwaby - powiedział.

Skinęła głową, ubrała się pospiesznie i wyszła.

Jack zamówił na ósmą trzydzieści śniadanie dla dwóch osób do swego pokoju. Jego francuski wystarczał, by mógł zamówić śniadanie, jednak niewiele zrozumiał z informacji radiowych. Curt opowiedział mu, co usłyszał. Niemcy uderzyli z przytłaczającą siłą. Był to kolejny *blitzkrieg*,

taki z jakim ruszyli na Polskę, tylko dziesięć razy silniejszy. Atakowali przez Luksemburg i Belgię, podobnie jak zrobili w 1914 roku. Ponadto dokonywali inwazji na Holandię.

Na ulicach, stwierdzili Jack i Curt, wciąż panowała beztroska. Dzień był piękny, a ludzie oddawali się swoim sprawom i przyjemnościom tak samo jak wczoraj.

Curt chciał iść na Gare du Nord, aby załatwić sobie przejazd koleją do Arras.

- Chcę pojechać z tobą - rzekł Jack.

Curt przecząco potrząsnął głową.

- Kiepski pomysł. To może być trudna podróż. Szkopy niebawem zaczną bombardowanie szlaków kolejowych.

- Chcę jechać - nalegał Jack.

Curt kupił bilety do Arras na pociąg wyjeżdżający następnego ranka.

Jack nie wymeldował się z „Royal Monceau”, zapewniwszy dyrekcję, że wróci przed upływem tygodnia i chce, by rezerwowano dla niego apartament, w którym zostawia swój bagaż. Mógł więc wrócić, kiedy zechce.

11 maja był kolejnym wspaniałym wiosennym dniem. Zanim dotarli na dworzec ujrzeli pierwszy dowód poważnej batalii, jaka toczyła się w Belgii. Oszołomieni belgijscy uchodźcy wysiadali z pociągów przybywających z północy. Dworzec był zatłoczony posępными i rozpaczliwie spokojnymi żołnierzami, mozolnie posuwającymi się w nierównych kolumnach ku pociągom, które miały ich zawieźć tam, skąd uciekali Belgowie.

Curt przyprowadził ze sobą Francuza w średnim wieku, który przedstawił się jako Jean-Pierre Belleville i był inżynierem łączności stanowiącym „drugą połowę” paryskiego biura informacyjnego sieci radiowej Jacka Leara. Jego zadaniem miała być taka kompilacja połączeń telefonicznych, by Curt Frederick mógł przekazywać swoje reportaże „na żywo” do Stanów Zjednoczonych. Curt opisywał Belleville'a jako szczególnie biegłego w sztuce improwizacji, a ta umiejętność była im najbardziej potrzebna. Jean-Pierre Belleville sprawiał wrażenie poważnego człowieka. Odziany w oliwkowy dwurzędowy garnitur niósł neser pełen narzędzi.

W tej podróży na północ Jack, Curt i Jean-Pierre byli jedynymi cywilami w wagonie pełnym francuskich oficerów. Pułkownik i kapitan, z którymi siedzieli w przedziale, byli dziwnie pewni siebie i wręcz przekonani, że Niemcy popełniają wielki błąd.

W Arras Jean-Pierre okazał się niezawodnym, jak obiecywał Curt, wytrawnym improwizatorem, a także wyjątkowym spryciarzem. Znalazł

im dwa pokoje w jakimś niewielkim hotelu i stolik w restauracji, która wciąż jeszcze była otwarta.

O świcie obudziło Jacka wycie syren wieszczących nalot. Stał w oknie, wypatrując samolotów. Wkrótce je zobaczył. Z wolna zbliżające się ku niemu czarne punkciki. Działo przeciwlotnicze ustawione w parku położonym w odległości kilku przecznic od hotelu otworzyło ogień. Pierwsze wojenne przeżycie Jacka...

Gdy samoloty nadleciały bliżej, Jack rozpoznał w nich bombowce junkersy 87 stukasy. Widział je wcześniej na zdjęciach. Teraz było ich sześć. Leciały powoli nad miastem. Najwyraźniej nie zważając na czarne kłęby artyleryjskich pocisków, które wybuchały wokół nich. Po wejściu w lot nurkowy piloci włączali owe przekłete syreny, które miały napawać trwogą. Po chwili samoloty zniknęły Jackowi z oczu za budynkami po drugiej stronie ulicy.

Głuchy odgłos wybuchających bomb i słupy żółtawego dymu unoszącego się leniwie w jaskrawym blasku porannego słońca...

Niebawem zobaczył stukasy ponownie; tym razem odlatywały w dal.

Ubrał się szybko i zszedł na dół, gdzie Curt stojąc w kabinie telefonicznej mówił coś żarliwie, a gdy Jack podszedł do niego, uniósł rękę w geście nakazującym milczenie. Jack przystanął i słuchał. Curt nadawał bezpośrednią korespondencję!

Wszędobyłski Jean-Pierre zdołał uzyskać połączenie z Bostonem i Curt był właśnie na antenie, relacjonując nalot. Wystawiwszy słuchawkę na zewnątrz łowił nią odgłosy ognia artylerii przeciwlotniczej, wycia stukasów i eksplozji bomb.

Jean-Pierre udał się wcześniej na poszukiwanie jakiegoś samochodu i wrócił z dwunastoletnim sportowym mercedesem pomalowanym na biało. Chociaż skórzana harmonijka za tylnymi siedzeniami sugerowała, że można podnosić dach, samochód był otwarty. Przednie błotniki obracały się razem z kołami. Spaliny z każdego z sześciu cylindrów wydostawały się z silnika przez wdzięcznie cyzelowaną rurę wydechową. Nie jedna lecz dwie zapasowe opony wisiały na drzwiach bagażnika. Właścicielem i kierowcą samochodu był siwowłósy Flamand, z którym tylko Jean-Pierre potrafił się porozumieć.

Szybko zjedli śniadanie i przed siódmą wyjechali z hotelu.

Jadąc na wschód kierowca wyjaśnił Jean-Pierre'owi, że korzysta z bocznych dróg, bo wszystkie główne są zajęte przez wojsko, co Jean-Pierre przetłumaczył Jackowi i Curtowi. Okolica wydała się Jackowi przyjemna i schludna, w przeciwieństwie do tej, w jakiej dorastał w Kalifornii. Parkany były proste i porządne, domy zadbane, a pola i sady starannie wypielęgnowane.

Po półtorej godziny jazdy na wschód od Arras minęli granicę belgijską i znaleźli się w kolumnie idących drogą uchodźców. Ludzie, którzy nie mieli koni, pchali przed sobą ręczne wózki. Większość stanowiły kobiety. Ich mężowie byli w wojsku. Tylko starcy, ciężarne kobiety i małe dzieci jechały na wozach. Pozostali, w otępieniu i rezygnacji, szli.

W pewnej chwili flamandzki kierowca zahamował gwałtownie i wskazał na niebo, a potem zjechał z drogi, ruszając przez pole kiełkującego zboża. Samochód trząsał się i podskakiwał, ale kierowca zatrzymał się dopiero wtedy, gdy dotarli do rzędu topoli rosnących sto metrów od drogi. Dopiero tam wysiedli i próbowali wczołgać się pod samochód.

Skulony za autem Jack zastanawiał się, czy ta bariera zdoła powstrzymać pociski karabinu maszynowego. Myśląc, iż chyba uda się to silnikowi, prześlizgnął się do przodu i przykucnął możliwie najbliżej samochodu, starając się nie dotykać gorącej rury wydechowej. Właśnie wtedy zobaczył dwa dwusilnikowe samoloty i zanim jeszcze usłyszał odgłos strzałów, dostrzegł migające ogniki na lufach karabinów maszynowych.

Dwa samoloty omiotły drogę, bombardując i ostrzeliwując uchodźców. Najpierw zobaczył padające konie, potem ludzi zrywających się do biegu. Widział krew i rozrzucone ciała. Słyszał krzyki.

Niemcy odbyli tylko jeden lot i zniknęli.

Kierowca wstał, otrzepał się z kurzu i powiedział coś Jean-Pierrowi, który powtórzył jego słowa Curtowi. Curt zaś przetłumaczył je Jackowi.

- On mówi, że musimy ruszyć dalej. Nie możemy tu nic zrobić. Nie możemy pomóc tym ludziom.

- Przecież nie możemy ich zostawić na tej drodze! - krzyknął Jack.

Jean-Pierre najpierw przetłumaczył jego protest, a potem odpowiedź Flamanda.

- On tu nie zostanie. Za mało nas do pomocy. Zresztą Szwaby tu wrócą. Od tej chwili musimy się trzymać możliwie daleko od uchodźców. Oni przyciągają niemieckie samoloty.

Jack zdawał sobie sprawę, że to, co mówi Flamand jest prawdą. Ani on, ani jego towarzysze nie mogli pomóc konającym na drodze Belgom. Nie mieli przy sobie niczego, co mogłoby im pomóc; żadnych lekarstw ani środków opatrunkowych. Nawet gdyby próbowali dowieźć kogoś do jakiegoś miasteczka i lekarza, nie mogliby zabrać stąd więcej niż dwoje ludzi. Zresztą kierowca nie chciał podejmować takiego ryzyka.

Nie mogli się z nim spierać. Gdyby bowiem opuścił ich wraz z samochodem...

3.

Nieco dalej Flamand zatrzymał się, by umieścić na samochodzie białe flagi. Po obu stronach maski mercedesa znajdowały się niklowane tulejki i w nich umieścił coś, co wyglądało jak drzewce wycięte z kija bilardowego, do których były przymocowane kawałki białego materiału.

Dalej jechali w milczeniu. Każdy z czterech mężczyzn próbował uporać się z własnymi emocjami najlepiej jak potrafił. Nie rozmawiali.

Na drodze było mniej uchodźców, a ci, których widzieli, wydawali się ogłuszeni i z trudem brnęli przed siebie. Flamand rozsunał ich na boki donośnymi sygnałami klaksonu i zwiększył szybkość. Dwukrotnie widzieli też ciała leżące na poboczu.

- Niemcy to samo zrobili w Polsce - stwierdził Curt odzywając się w końcu. - Bombardowali drugorzędne drogi, chcąc zapędzić uchodźców na główne szlaki, żeby utrudniali tam ruchy wojska. To całkowicie rozmyślne i bezlitosne.

Na pewnym odcinku drogi, gdzie nie było uchodźców, przeleciał nad nimi stukas. Nie ostrzelał ich ani nie zrzucił bomby może dlatego, że flamandzki kierowca pomachał ręką pilotowi lub też że samochód był „oflagowany” białą, a może dlatego, iż wyprodukowano go w Niemczech albo też z tej przyczyny, że zmierzał na wschód. A może pilot nie chciał sobie zwracać głowy? Nie potrafili tego odgadnąć.

Jeszcze przed południem dotarli do Mozy, zatrzymując się w Dinant, gdzie zjedli posiłek, a Curt usiadł przy odbiorniku, by wysłuchać komunikatów radiowych. Podano wiadomość, że wojska francuskie i belgijskie zmierzają ku Mozie, by zająć stanowiska na jej zachodnim brzegu. Zbrojne kolumny niemieckie posuwały się zdecydowanie przez Ardeny. Najważniejsza bitwa miała rozegrać się nad Mozą.

Z ostatniego komunikatu, jakiego wysłuchał Curt, zanim znowu ruszyli w drogę, dowiedzieli się, że w odległości zaledwie czterdziestu mil na wschód od Mozy widziano już niemieckie czołgi.

Przed mostem nad Mozą belgijski oficer próbował ich zatrzymać, twierdząc, że dalsza jazda jest niebezpieczna, a w każdym razie mogą stanąć na drodze wojskowej operacji sprzymierzonych. Curt zapytał go, czy Belgowie zdecydowali się ruszyć na wschód od rzeki, choć pytając dobrze wiedział, że nie mieli takiego zamiaru. Jeśli zaś chodzi o niebezpieczeństwo, mówił Curt, to on i Jack są Amerykanami, obywatelami państwa nie biorącego udziału w wojnie, a zatem z pewnością nic im nie grozi ze strony Niemców, zwłaszcza że widać, iż podróżują samochodem oflagowanym na biało. Tu pojawił się pewien problem. Jean-Pierre Belleville i ich flamandzki kierowca nie byli „neutralni”, więc musieliby

pozostać w Dinant. Flamand nie chciał się zgodzić, by dwaj Amerykanie jeździli jego samochodem, więc Jack, płacąc gotówką, odkupił od niego mercedesa, przekonany, że odsprzeda mu go ponownie, gdy obaj z Curtem wrócą z wyprawy za Mozę.

Belgijski oficer nazwał ich szaleńcami, ale nie podejmował już dalszych prób powstrzymania Amerykanów.

Jack prowadził samochód, jadąc powoli i starając się nie okazywać żadnego rozmyślnego pośpiechu. Pół godziny zajęło mu dotarcie do miejscowości Rochefort, która była niemal całkowicie opustoszała. Jedyne sklepy splądrowano, a część towarów rozrzucono na ulicy. Na podłodze otwartej kawiarni leżało dwóch pijanych mężczyzn, zaś trzech inni stali w niej tylko dlatego, że przywarli do baru. Jakaś smutna i samotna kobieta, najwyraźniej prostytutka, siedziała przy stoliku pijąc wino z takim wyrazem twarzy jakby był to ostatni, a przy tym najgorszy trunek, jakiego kiedykolwiek próbowała. Za barem stał właściciel. On także był pijany. Sięgnąwszy na półkę za swoimi plecami, wręczył Jackowi i Curtowi dwie butelki czerwonego wina.

- Darmo - rzekł. - Dzisiaj wszystko jest darmo. Jutro zwiemy interes - dodał, a potem wskazał na prostytutkę: - Za to ona będzie doskonale prosperować. Tak jak jej matka ostatnim razem...

Podziękowali za wino i włożyli je do samochodu. W chwili gdy zbliżali się do tej kawiarni pierwszy raz słyszeli grzmot artylerii.

Na skraju miasteczka Curt poprosił, by Jack zatrzymał samochód.

- Pomyślmy o powrocie - rzekł. - Ten belgijski oficer chyba miał rację... Myślę, że naprawdę jesteśmy parą cholernych głupców.

- Tamten stukas nie zwrócił na nas uwagi - przypomniał mu Jack.

- Następny może się zachować inaczej.

- No dobrze, więc powiedz mi: czy gdybyś był sam, gdyby nie było mnie z tobą, pojechałbyś dalej, czy wróciłbyś do Paryża?

- Jestem korespondentem wojennym - odparł Curt. - To mój obowiązek, mój zawód. Nie twój.

- Innymi słowy, skoro cię zatrudniłem, to powinienem cię wysłać, byś ty stawiał czoło niebezpieczeństwu, a sam mam wracać - rzekł Jack, włączając bieg i ruszył na północny wschód, by wjechać na drogę do Marche.

Szosa z Bastogne do Namur biegła przez Marche i właśnie na obrzeżach tego miasta natknęli się na Niemców.

Jack skręcił na rogu, a tam, po przeciwnej stronie ulicy, najwyraźniej nie chcąc blokować ruchu, stał niemiecki czołg; *panzer IV*, jak mieli się dowiedzieć. Dwaj mężczyźni w czarnych kombinezonach i wojskowych czapkach, z rękawami koszul podwiniętymi w wiosennym słońcu, stali na

czołgu, rozmawiając z dwoma żołnierzami piechoty w polowych szarych mundurach i hełmach. Jakiś chłopczyk, uczeń w krótkich spodenkach, stał nieopodal, przyglądając się im ciekawie.

Jeden z czarno odzianych mężczyzn, dowódca czołgu, odwrócił się i spojrzął na białego mercedesa. Na jego twarzy odmalował się wyraz takiego zdumienia, jakby chodząc po cyrku natknął się na dwóch klaunów. Stanowczym, krótkim gestem rozkazał Jackowi podjechać do czołgu, a potem zwrócił się do nich po niemiecku. Jack rozumiał go na tyle, by wiedzieć, że pytał kim są.

- Jesteśmy Amerykanami - odpowiedział po angielsku.
- Co tu robicie?
- Jesteśmy dziennikarzami, korespondentami zagranicznymi.

Dowódca czołgu zeskoczył ze swego pojazdu i podszedł do mercedesa.

- Proszę okazać paszporty - rzekł obcesowo.

Curt wręczył mu swój paszport. Niemiec przejrzał go dokładnie, a potem zapytał o paszport Jacka. Był muskularnym, około trzydziestoletnim blondynem.

- Korespondenci wojenni - mruknął, spoglądając pogardliwie na białego mercedesa i oddając im paszporty. - Zaczekajcie tutaj.

Wrócił do czołgu. Żołnierz siedzący w środku wręczył mu słuchawkę polowego telefonu. Jack i Curt czekali. W niespełna dziesięć minut przyjechał jakiś samochód, z którego wysiadł niemiecki oficer.

- Kapitan Hans Ritter - przedstawił się. - Abwehra. Niemiecki wywiad wojskowy. Wiem, kim jesteście, panie Lear i panie Frederick. Wyjechał pan z Paryża, gdzie zatrzymał się pan w hotelu „Royal Monceau”, panie Lear, a następnie udał się pan do Arras, potem zaś do Dinant i...

- Dużo pan wie - rzekł Jack.

- Wiemy coś jeszcze, panie Lear. Wiemy, że jest pan Żydem. I zamierzamy panu udowodnić, że nie prześladowamy Żydów.

4.

Tego wieczoru Jack i Curt zjedli w Neufchateau kolację składającą się z chleba i kurczaka, a uzupełnioną ich dwiema butelkami czerwonego wina. Towarzyszyli im kapitan Ritter i pułkownik Abwehry noszący nazwisko Cassel.

Pułkownik Cassel, ucieleśnienie wzoru niemieckiego zawodowego wojskowego, prawie nie mówił po angielsku. Jack rozmawiał z nim swoim niedoskonałym niemieckim, wyjaśniając wcześniej, że jego dziadek i ojciec byli Niemcami.

- Musicie mi wybaczyć, ale jestem bardzo zajęty - rzekł pułkownik Cassel, korzystając z pośrednictwa Rittera. - Chyba nie potrzebuję panom mówić, co się dzieje. Przed upływem następnych czterdziestu ośmiu godzin ta wielka wojna będzie wygrana lub przegrana. Zapewniam was, panowie, że będzie wygrana przez Rzeszę Niemiecką.

Jack nie wspomniał o bombardowaniu uchodźców. Miał jeszcze pewne zamiary i nie chciał, by Niemcy doszli do przekonania, że jest do nich wrogo nastawiony.

- Zależałoby nam na możliwości obserwowania waszego ataku na Mozę. Chcielibyśmy bowiem transmitować go na żywo do USA.

- Chcecie relacjonować bitwę? Załatwię to.

- Jeszcze jedno, panie pułkowniku - rzekł Jack. - Zostawiliśmy w Dinant jednego Francuza i jednego Belga. Są pracownikami mojej sieci radiowej. Byłbym ogromnie wdzięczny, gdyby zapewniono im bezpieczny przejazd z Dinant do miejsc, w których będziemy.

- Ten Flamand, który wynajął wam samochód jest na naszych usługach, ale wasz straszny monsieur Belleville nie jest świadom tego faktu - rzekł z uśmiechem kapitan Ritter. - Dinant jest teraz w naszych rękach, a ludzie, o których mówicie, znajdują się w naszym areszcie. Zostaną zwolnieni. Nie będzie żadnych trudności.

Za kierownicą białego mercedesa, na którym teraz powiewały niemieckie flagi, usiadł niemiecki porucznik nazwiskiem Huntzinger. Za nim podążał samochód z dowództwa wiozący techników i aparaturę. Stanowisko sprawozdawcze umieszczono na wzgórzu położonym na wschód od Sedanu, skąd mieli widok na rzekę, miasto i zalesione pagórki, za którymi Francuzi oczekiwali na atak Niemców.

Technicy umożliwili im transmisję na wojskowej częstotliwości do stacji przekaźnikowej w Bastogne, której sygnał przesyłany był do Norddeutsche Rundfunk w Hamburgu, skąd następnie przekazano go do tej samej stacji odbiorczej na półwyspie Cape Code, która w 1938 roku odebrała zarówno wywiad z Hitlerem jak i jego przemówienie w *Sports-palast*.

Porucznik Huntzinger objaśniał im to, co widzieli. Atak zaczął się godzinnym ostrzałem artyleryjskim wspieranym nalotami stukasów na francuskie pozycje, szczególnie na francuską artylerię rozlokowaną w lasach za miastem. Zanim oddziały niemieckiej piechoty zaczęły przekraczać Mozę na wielkich gumowych pontonach, nad miastem i rzeką zawisł tak gęsty dym i pył wywołany przez eksplozję, że Francuzi prawie nie widzieli owych pontonowych łodzi i zatopili ich bardzo niewiele. Niemiecka piechota wdarła się do Sedanu, a także na leżące za nim wzgórza, gdzie rozbiła artylerię, która miała ocalić Francuzów. Już

o zmięczeniu było oczywiste, że wojska niemieckie sforsują Mozę w Sedanie bez żadnych przeszkód.

Curt był na antenie. Od kilku godzin słuchacze sieci radiowej Jacka Leara słuchali jego głosu na tle odgłosów dochodzących z pola bitwy relacjonującego Amerykanom to co działo się we Francji:

To właśnie tutaj, pod Sedanem, 2 września 1870 roku francuski cesarz Napoleon III uległ niemieckiej armii w bitwie, która była jedną z największych klęsk militarnych w całej historii Francji. Dzisiejszy wieczór, 13 maja 1940 roku może się okazać odpowiednikiem tamtej klęski.

Dla armii niemieckiej było to mistrzowskie posunięcie militarne. Dla sieci radiowej Jacka Leara było to mistrzowskie posunięcie dziennikarskie. Nawet po upadku Francji Curt Frederick mógł bezterminowo pozostać w Paryżu. Niemcy uważali bowiem, że zasadniczo jest on do nich nastawiony przyjaźnie. Curt nie zdołał przed wkroczeniem Niemców odesłać Betsy do Ameryki, ale nie groziło im niebezpieczeństwo. W rzeczywistości latem 1940 roku Paryż wciąż pozostawał dawnym, wspaniałym Paryżem, przynajmniej dla obywateli państw neutralnych. Jednak wszystkie korespondencje radiowe były obiektem surowej cenzury.

Jack polecił Curtowi przenieść bazę operacyjną do Londynu. Curt zabrał tam ze sobą Jean-Pierre'a Belleville'a i jego żonę, ale przewidując, iż Niemcy podejmą próbę inwazji na Wyspy Brytyjskie, odesłał Betsy do domu. Miała płynąć przez Atlantyk na pokładzie wielkiego liniowca, lecz podczas podróży na wschód został on zatopiony przez torpedy, więc popłynęła skromniejszym statkiem amerykańskim.

Wróciwszy do Stanów, Jack opowiadał na niezliczonych kolacjach o wszystkim, co w maju widział w Belgii.

- Nie obchodziło ich życie tych ludzi. Dzieci. Ciężarnych kobiet. Starców. Wpędzali ich na drogi, by przeszkadzali tam ruchom alianckich wojsk podążających na front i transportom dostaw. Bez litości strzelali do uchodźców. Widziałem ich ciała leżące na ziemi. Widziałem krew. Słyszałem krzyki. Nie widziałem ani nie słyszałem żadnych oznak żalu czy odruchów współczucia ze strony niemieckich oficerów, którzy tak uprzejmie pomagali nam w radiowym relacjonowaniu swoich zwycięstw...

Amerykańska śmietanka towarzyska ubolewała, że Jack Lear wykorzystuje swoją sieć radiową, by pomóc Rooseveltowi we wciąganiu Stanów Zjednoczonych w tę wojnę.

Time umieścił na okładce jego fotografię i opublikował obszerny artykuł o przejściach Jacka Leara w Belgii w maju 1940 roku.

Time nie wiedział jednak i nie wspominał o tym, że Jack zaprosił do siebie Solomona Weismana i wstąpił do organizacji B'nai B'rith.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

1. - 1941

Mężczyzna, którego Curtis Frederick sprowadził do Bostonu w rzeczywistości nie był jego bratem. Na imię miał Willard, ale nie był to Willard Frederick. Co więcej: nie pracował nad biografią Williama Lloyda Garrisona. Płakał, gdy Curt żenił się z Betsy i gdy później, wyjeżdżając do Europy powiedział, że nie może wziąć go ze sobą. Mieszkanie Curta w Cambridge zajmował aż do stycznia 1941 roku, to znaczy do chwili, gdy Curt zadeszował z Londynu, że może tam przyjechać i zamieszkać wraz z nim.

Czując, że bez narażania Betsy na niebezpieczeństwa wojny nie może sprowadzić jej do Londynu, Curt postanowił powtórnie dać Willardowi miejsce w swoim życiu.

W rzeczywistości ci dwaj mężczyźni nigdy nie przestali się spotykać. Ślub Curta nie położył kresu ich związkowi, o czym Curt wcześniej zapewnił Willarda. Nie mieszkali razem w Bostonie, ale zażywali wspólnie intymności przynajmniej raz w tygodniu.

Mieszkanie Curta w londyńskiej dzielnicy Kensington było mniejsze i znacznie uboższe niż lokale, jakie dotychczas zajmował, choć londyńczycy uważali, iż szczęściem było znaleźć lokum w dobrej okolicy, której Niemcy nigdy nie bombardowali. Pewien emerytowany generał-major i jego żona mieszkali tam aż do chwili, gdy ponownie powołano go do czynnej służby, a on sam wysłał żonę do hrabstwa Kent, by na czas wojny zamieszkała tam z siostrą. Mieszkanie składało się z jednej sypialni, salonu połączonego z jadalnią, kuchni i łazienki. Wyściełane krzesła i kanapę ochraniały pokrowce, a żółtknące aksamitowe kotary zasłaniały okna.

Willard, który naprawdę nosił nazwisko Lloyd, nazywał swego partnera, Curta, imieniem Coort. Curt zaś nazywał go Kogutkiem.

Kogutek nie wyglądał na brata Curta. Był smukłym mężczyzną z resztką jasnych włosów na głowie. Pracowicie wygalał sobie pozostałe

włosy, jakie wyrastały mu we wszystkich innych miejscach. W ubraniu wydawał się całkowicie nieokreślony, ale kiedy zdejmował spodnie oraz bieliznę i „wypuszczał na wolność” imponujący penis, radośnie demonstrował swój jedyny znak szczególny.

Z wyjątkiem owych dni, kiedy uniemożliwiał to nieprzyjazny chłód, Kogutek starał się być całkiem nagi, gdy Curt wracał do domu. Rozebrany do naga szczycił się penisem, który był źródłem owego przydomka nadanego mu przez Curta. Penis Kogutka miał ponad osiemnaście centymetrów długości i przeszło sześć centymetrów grubości. Lubił, gdy Curt podziwiał go i pieścił, a gdy w mieszkaniu było za zimno, by przebywać w nim nago, wyciągał swój skarb ze spodni i pozwalał mu zwisać swobodnie.

Każdego dnia Kogutek witał Curta opowiadaniem o tym, co zdołał kupić do jedzenia i picia, bo zawsze niemal cały dzień spędzał na poszukiwaniu czegoś, co urozmaiciłoby skromną dietę, jakiej londyńczycy musieli się poddać w czasie wojny. Dotarł jednak do handlarzy czarnorynkowych i płacił im zawrotne sumy za mięso, jarzyny i alkohole, na co inni nie mogli sobie pozwolić.

Ich relacje domowe były proste. Curt zarabiał na życie, a Kogutek prowadził gospodarstwo.

Gorącej wody prawie nie było, ale Kogutek kąpał Curta niemal każdego dnia. Przez cały dzień grzał w garnkach wodę, żeby była letnia, a potem podgrzewał ją jeszcze mocniej, zużywając tyle gazu, ile się ośmielał. Mył Curta czule, nawet go wylizując, szczególnie za uszami, między palcami i oczywiście w kroku. Nieodmiennie kończył ten rytuał ssaniem penisa Curta, pieszcząc go zawsze aż do wywołania u Curta pełnego orgazmu. Niekiedy w nocy, gdy Curt był wyczerpany, Kogutek pracował nad nim wytrwale, dopóki pieszczotami nie wzbudził w nim najwyższej ekstazy. Nie prosił o wzajemność i Curt nigdy go nią nie obdarzył. Jediną rzeczą, jaką Curt robił dla Kogutka, była masturbacja. Kogutek, wdzięczny nawet za to, był całkowicie i nadzwyczajnie bezinteresowny. Prosił tylko o serdeczne uznanie. Pragnął jedynie czuć afekt swojego kochanka. Lubił siedzieć obok niego, gdy Curt czytał lub słuchał radia i pragnął, żeby ukochany mężczyzna od czasu do czasu pieścił jego penis. Nieustannie prosił go o zapewnienia.

- Nie uprawiasz naszych zabaw z innymi mężczyznami, prawda, Coort? Proszę, przyrzeknij mi, że tego nie robisz - klęcząc i doprowadzając Curta do fantastycznego orgazmu, błagał go o to bez tchu.

- Jedynym innym mężczyzną, jakiego znam, który mógłby mnie pociągać jest Jack Lear, ale zapewniam cię, że nigdy się do niego nie zbliżyłem i nigdy tego nie zrobię.

- Gdybyś to zrobił, zabiłbym was obydwu - rzekł Kogutek.

2.

Kimberly krążyła po sypialni, ale Jack pozostawał obojętny, wiedząc, że doprowadza ją tym do furii.

- Robisz z siebie idiotę - oświadczyła. - Połowa ludzi, jakich znamy, otwarcie się z nas śmieje.

- Do diabła z nimi... - mruknął.

- Do diabła z nimi?! Do diabła z naszymi przyjaciółmi?! Do diabła z wszystkimi ważnymi ludźmi, którzy tyle dla nas robią?!

- Naprawdę o to nie dbam - rzekł Jack, zasłaniając oczy rękami i znużony opadł na miękki taboret, wyciągając przed siebie nogi. Nawet nie rozwiązał czarnej muszki.

Kimberly cisnęła suknię w kąt pokoju. Miała na sobie to, co chętnie wciąż nosiła w ostatnim roku: czarny gorset z długimi podwiązkami. Trapiła się myślą, że jej ciało jest mniej jędrne niż przedtem, zanim ukończyła trzydziestkę, a ukrywanie go w gorsecie było łatwym sposobem zachowania smukłości.

- Mogę to wyrecytować - oświadczyła, wyciągając przed siebie ręce - podobnie zresztą jak wszyscy, których znamy. I którzy to robią! „Był przyjemny wiosenny poranek. Kobiety podążające wzdłuż drogi i ciągnące wózki byłyby nawet malowniczym widokiem, gdybyśmy nie znali tego ponurego powodu, który skłonił je do porzucenia domów w słabej nadziei znalezienia bezpiecznego schronienia...” Potem robisz się łzawy. Ludzie zastanawiają się, czy nie jesteś pijany. Ja wiem, że wstrząsnął tobą widok ludzi rozstrzeliwanych z karabinów maszynowych. Wszyscy to wiemy... Ale nie muszą wciąż o tym słuchać.

- Niech kilku naszych znajomych zobaczy coś takiego, a przekonamy się, czy szybko o tym zapomną. Zresztą ja nie chcę o tym zapomnieć i nie chcę, by ktokolwiek o tym zapomniał.

Stała z rękami na biodrach i gniewnie patrzyła mu w oczy.

- Wiesz, co o tobie mówią? Mówią, że twój obsesyjny sprzeciw wobec Hitlera bierze się stąd, iż jesteś Żydem.

Jack odchylił głowę na oparcie krzesła i zamknął oczy.

- Mój obsesyjny sprzeciw wobec Hitlera bierze się stąd, że jestem naocznym świadkiem nazistowskiego bestialstwa, a właściwie świadkiem tylko jednego niewielkiego przykładu nazistowskiego barbarzyństwa.

- W porządku. I wystarczy! Przestań robić z siebie rzecznika Belgów rozstrzeliwanych na drogach oraz Żydów prześladowanych dlatego, że są Żydami. Wszyscy wiedzą, że jesteś Żydem i akceptują cię...

- ...mimo to - wtrącił sucho.

MAGNAT

- Pracowałam, walczyłam o to, byśmy wszędzie byli mile widziani Jack! Proszę cię tylko, żebyś był bardziej subtelny.

- Żebym był dżentelmenem.

- Ty jesteś dżentelmenem. Prawie. To cię obraża?

- Nie. Jednak sposób, w jaki reaguję, widząc na belgijskich drogach rozstrzelwane kobiety i dzieci, nie ma nic wspólnego ani z byciem dżentelmenem bądź prostakiem, ani z tym czy jest się Żydem czy gojem.

- Och wiem, *Kristallnacht* i te wszystkie sprawy...

Jack wziął głęboki oddech i westchnął głośno.

- A twoim zdaniem, jak mam reagować?

- Tak jak reaguje mój ojciec - odparła chłodno. - Jak obywatel świata. Jak filantrop. Nie jak fanatyk.

- Bądź konkretna, Kimberly.

Podeszła do łóżka i usiadła.

- Pobraliśmy się jako para nie rokująca nadziei - powiedziała cicho. - Twojemu ojcu i bratu nie podobało się to małżeństwo. Moi przyjaciele także nie byli do niego przekonani. Prosiłeś, żebym cię uczyniła godnym mnie. To twoje słowa, Jack, nie moje: „Uczyń mnie godnym siebie, Kimberly”. W porządku. Pracowałam nad tym przez dziesięć lat. I nie jesteś takim człowiekiem, jakim byłeś. Jesteś lepszy. Do diabła! Zrobiłam z ciebie kogoś lepszego, czyż nie?

- To kwestia skali wartości, nieprawdaż?

Twarz Kimberly znieruchomiała.

- Jack, dżentelmeni angażują się w różne sprawy, ale popierają je z dżentelmeńską powściągliwością. Jeśli chcesz pomagać organizacji B'nai B'rith, to pomagaj. Nie mam nic przeciwko temu. Ale nie identyfikuj się z nią. Mój ojciec szczerze wspomaga irlandzkie podrzutki, ale nie jest nawiedzonym katolikiem. Czy potrafisz zrozumieć tę różnicę?

Jack skinął głową, ale nie powiedział ani słowa.

- Mężu... tak ciężko pracuję, żeby zrobić cię takim, jakim chcesz być. Jesteśmy tacy, jacy jesteśmy, Jack, co nie oznacza... okay, nie ważne czego to nie oznacza. Pomyśl, co to oznacza! Dom na Louisburg Square! Nawet moi rodzice nie mają takiego domu. Nie burz tego wszystkiego. Nie możesz sam pokonać Hitlera. Nie identyfikuj się z...

- Z kim?

- Z Franklinem Rooseveltem! Z przystąpieniem do wojny. Wszak my jesteśmy racjonalistami. Bądź racjonalistą, Jack, błagam.

3.

4 czerwca Jack otrzymał list od Harry'ego Hopkinsa, asystenta prezydenta Roosevelta. Hopkins pisał, że prezydent zamierza powołać komisję, by zachęcać do podawania bardziej wyczerpujących i dokładnych radiowych informacji o wojnie oraz o krokach, jakie on sam podejmuje dla wzmocnienia obrony półkuli amerykańskiej i pyta, czy Jack mógłby służyć pomocą tej komisji. Jack odpowiedział telegraficznie, że byłby zaszczycony, mogąc oddać tej komisji swoje usługi.

Jack nie poinformował nikogo o swojej nominacji, ale Biały Dom to uczynił.

W następny czwartek Jack wracając do domu wstąpił do klubu i w barze przyłączył się do swego teścia.

W klubie także dużo się zmieniło. Przed dziesięcioma laty niemal każdy mężczyzna przebywający w barze po szóstej wieczorem był w smokingu. Jeszcze pięć lat temu smoking, a przynajmniej wizytowy garnitur były regułą. Teraz większość mężczyzn, łącznie z Jackiem i Harrisonem Wolcottem, miała na sobie garnitury noszone w służbowych gabinetach i biurach.

Jack nie był w tym klubie od czasu nominacji do prezydenckiej komisji, więc teraz kilku mężczyzn podeszło do niego z gratulacjami. Niektórzy ze znajomych, którzy mogli mu pogratulować, dość wymownie - jak zauważył Jack - tego nie uczynili.

- Pewni członkowie naszego klubu tak bardzo nie lubią Franklina D. Roosevelta, że gardzą każdym, kto pomaga mu w jakikolwiek sposób - skomentował to Harrison Wolcott.

Jack odstawił swój kieliszek na bar.

- Do diabła z nimi.

- Muszę cię przed czymś ostrzec: Kimberly jest bardzo zdenerwowana.

- W związku z tą Komisją?

- Ktoś przesłał jej egzemplarz *Timesa*; wiesz, tego tygodnika Henry'ego Forda. Twierdzi on, że ta prezydencka komisja jest żydowskim przedsięwzięciem i stanowi część spisku, zmierzającego do włączenia Stanów Zjednoczonych w wojnę, aby uchronić europejskich Żydów przed nazistowskim antysemityzmem. Oto co mówi prasa pana Forda.

- Czy ktokolwiek traktuje to poważnie?

- Nikt prócz niemal niepiśmiennych antysemitów. Kimberly nie traktuje tego poważnie w takim sensie, aby wierzyła, że cokolwiek w owym artykule jest prawdą, ale denerwuje się, że będziesz atakowany z takich pozycji.

- Nie podoba jej się to utożsamienie.
- Przykro mi, Jack.
- Mojemu ojcu ono się także nie podoba - przyznał Jack. - Otrzymałem od niego telegram z pytaniem, czy postradałem rozum.

4.

Komisja powołana przez Roosevelta zebrała się tylko dwa razy. Jej członkowie większość swoich interesów prowadzili wymieniając listy i uwagi oraz odbywając rozmowy telefoniczne. Po drugim spotkaniu, jakie odbyło się we wrześniu w Waszyngtonie, Jack pozostał tam jeden dzień dłużej w hotelu „Mayflower”.

Nie przyjechał do Waszyngtonu sam. Hotelowy apartament dzieliła z nim Betsy. Leżeli w łóżku i Jack opowiadał jej co mówiono i robiono w prezydenckiej komisji, zdając sobie sprawę, iż prawdopodobnie jest to strata czasu. Żaden z wysokich urzędników administracji rządowej nie pojawił się na żadnym z dwu posiedzeń.

Betsy uniosła członek Jacka i wpatrywała się w niego uważnie, a potem luźno zamknęła w palcach.

- A niech cię! - rzekła cicho. - Chciałabym, żeby Curt miał takiego.
- On ma inne zalety - odparł, śmiejąc się, Jack.
- Och, tak, wiesz przecież. Jest wspaniałym, ufnym człowiekiem. Powinnam być w Londynie, tam gdzie on, a zamiast tego jestem w waszyngtońskim łóżku z tobą. Czy to cię w ogóle nie nęka? Czyż nie zdradzamy twojego przyjaciela, mojego męża i wspaniałego człowieka?

- Porozmawiajmy o tym wszystkim po kolei. Mówisz, że Curt jest wspaniałym człowiekiem. On naprawdę jest wspaniałym człowiekiem. Jest też zarówno twoim mężem, jak i moim przyjacielem. Jednak czy „zdrada” jest właściwym słowem? Jesteś samotna. Od czasu do czasu potrzebujesz mężczyzny. Ja mogę być tym mężczyzną. Nie ma żadnych komplikacji, bo ja z całą pewnością jestem żonaty z Kimberly, a ty bez wątplenia jesteś zamężna z Curtem.

- Jeśli chodzi o mnie... okay, jestem samotna. Mój mąż jest w Londynie. A ty? Przecież twoja żona mieszka w Bostonie.
- Jestem równie samotny jak ty, Betsy.
- Nie wpuszcza cię do sypialni?
- Ależ nie. Rozwinęła wachlarz nowych zainteresowań. Chce, żebym ją bił. Zasugerowała nawet, żebym się postługiwał szpicrutą...
- Mój Boże! A zatem...

- Betsy, istnieje przecież coś więcej niż... Ujmę to tak: Kimberly mnie pragnie, ale mnie nie lubi. Jesteśmy kochankami, to pewne, ale nie jestem pewien, czy jesteśmy jeszcze przyjaciółmi.

- Co to znaczy?

- Dziesięć lat temu wspólnie zabraliśmy się do zbudowania czegoś. Żeby rzucić wyzwanie mojemu cholernemu ojcu. I zrobiliśmy to. Oto co nazywam przyjaźnią w małżeństwie. Nie sądzę, byśmy jeszcze potrafili robić to dalej. Jej wartości.

- Ja wiem, Jack - rzekła cicho Betsy. - Gdybyśmy mogli być razem, ty i ja...

- Gdyby nie chodziło o dzieci, bylibyśmy...

- Tak sądzisz? Gdyby nie chodziło o dzieci, porzuciłbyś ją dla mnie?

- Tak mi z tobą dobrze, Betsy. Nigdy nie było mi tak dobrze z Kimberly. Betsy delikatnie ścisnęła jego członek i jądra.

- Mogłabym sprawić, że byłoby ci tak dobrze - wyszeptła.

- Ty byłabyś ze mnie dumna, Betsy. Ona dumna ze mnie nie będzie nigdy. Nie jest dumna z niczego, co robię. W tym roku kupiłem dwie kolejne stacje radiowe. Tym także się nie szczyli. Mój pieprzony ojciec nie jest ze mnie dumny, ale akurat tym mógłbym się mniej przejmować. Ale fakt, że Kimberly nie jest ze mnie dumna, boleśnie rani.

Betsy wstała z łóżka i poszła do łazienki. Nie zamknęła za sobą drzwi, pozwalając, by słyszał strugę spływającą do toalety. Była cztery lata starsza od Jacka, dobiegała czterdziestki, ale wciąż pozostawała równie beztroskajak młoda dziewczyna. Nie wsiadła do pociągu w Bostonie, lecz złapała go na pierwszej stacji, w Dedham. Gdy tylko znalazła się w przedziale Jacka i wręczyła konduktorowi swój bilet, rozebrała się i pozostała całkiem naga aż do chwili, gdy pociąg wtoczył się na Penn Station. Przypominało to ich jazdę duesenbergiem, gdy ze spódnicą podciągniętą aż do bioder przejechała całą drogę z Bostonu do White Plains. Betsy była zuchwałą, przyziemna i zabawna.

Miała bardziej obfity figurę niż Kimberly czy Connie, ale bielizna nie była dobrana tak, by cokolwiek ukrywać i wyszczuplać, lecz raczej tak, żeby podkreślać i uwydatniać. Biustonosze Betsy unosiły jej piersi i wysuwały je do przodu. Chociaż miała okrągły brzusek i tyłek niczym nie ścieśniała talii. Nosiła zwyczajne nylonowe majtki nie zaś żadne majtki ściągające i właśnie takie majtki oraz biały koronkowy biustonosz miała teraz na sobie.

- Cóż... - rzekła obracając ku niemu głowę z figlarnym uśmieszkiem. - A więc lubi być bita, tak?

- Nie powinienem o tym mówić.

Betsy usiadła w nogach łóżka.

- Chcę szczerzej odpowiedzi na szczerze pytanie. Chcę wiedzieć czy lubisz ją bić.

- No cóż...

- Dajże spokój! Mów prawdę. Masz z tego jakąś satysfakcję?

Zawahał się.

- Chyba to lubię, w pewnym sensie...

- Opowiedz mi o tym. Opisz. Chcę wiedzieć, jak się to odbywa.

- Betsy!

- No, dalej! Jeśli chcesz, żebym dzisiejszej nocy była ci uległa...

- Co chcesz wiedzieć?

- Zacznijmy od... powiedzmy od tego jak... Jak się do tego przysposabia. Kładzie się na tobie?

- Nie. Rękami i kolanami opiera się o łóżko, twarz wciska w poduszkę lub dwie, a pupę unosi w powietrzu.

- Bijesz ją mocno?

- Dość mocno. Nie osiąga satysfakcji, jeśli tego nie robię.

- Wielkie nieba! I wtedy szczytuje?!

- Czasami.

Betsy ze śmiechem potrząsała głową.

- Ta elegancka Kimberly Wolcott-Lear klęcząca i biorąca lanie! Jedyne, co mogę zrobić, to uwierzyć!

- Uwierz - rzekł sucho Jack. - Uwierz.

Betsy zachichotała.

- Będziesz mnie bił? - zapytała poważnie.

Zmarszczył brwi i przecząco potrząsnął głową.

- Nie chcesz tego Betsy. Naprawdę tego nie chcesz.

- Masz rację - odparła cicho. - Nie chcę. Ojciec mnie kiedyś zbił. Znienawidziłam go. Nie lubię nawet tego wspomnienia. Miałam dwanaście lat i uważałam że jestem już za duża na takie traktowanie. Był wtedy strasznie zły. Ściągnął mi spódnice, halkę i pantalonki... wtedy jeszcze się nosiło pantalonek, jeśli możesz w to uwierzyć... i spuścił mi lanie na gołą pupę w obecności mojej matki oraz rodzeństwa; brata i siostry. Ból nie był taki straszny. Najtrudniejsze do zniesienia było upokorzenie. Nigdy naprawdę ojcu nie wybaczyłam, aż do dnia jego śmierci.

- Nie zamierzam cię bić, Betsy.

- Och nie, ty diable, ty nie zamierzasz. Ale ja powiem ci co zrobisz. Weźmiesz swój pas i spierziesz mnie po tyłku.

- Nie ma mowy! Zapomnij o tym.

- Nie. Pamiętam tamto lanie. Ten ból był... Gdyby nie spuścił mi tego lania przy całej rodzinie, mogłabym zrobić coś, co doprowadziłoby go do prawdziwej wściekłości.

- Betsy, daj sobie spokój, zrzuć to z siebie, dobrze?
- Jedyne co zamierzam z siebie teraz zrzucić to majtki. Daj mi tylko jednego klapsa. Chcę zobaczyć, czy mogę to znieść. Muszę się dowiedzieć czy doznam tego, czego, jak sądzę, mogłabym doznać.

- Betsy, proszę, porzuć tę myśl.

- Jesteś jedynym mężczyzną, w którym pokładałam tę nadzieję; nadzieję, że to zrobi. I nie odmówisz mi. Do dzieła! To ładny, szeroki pas. Nie skaleczy mnie.

Jack wciąż przecząco kręcił głową, ale wyciągnął ze spodni swój skórzany pasek.

Betsy oparła się rękami i kolanami o łóżko i wypięła pośladki.

- Zrób to! Zrób to!

Z ociąganiem rozkołysał pasek i uderzył w miękkie ciało.

Betsy mruknęła coś i z niezadowoleniem odwróciła ku niemu głowę.

- Do licha, Jack, jeśli zamierzasz robić to w taki sposób, równie dobrze możesz nie robić tego wcale. Chcę dostać prawdziwe lanie! Poczekaj chwilę.

Sięgnęła po majtki i wcisnęła je sobie do ust. Spojrzała na niego, a potem znów odwróciła twarz i znacząco skinęła głową.

Przerzucił sobie pas przez ramię i uderzył mocno. Krzyknęła, ale ów krzyk został stłumiony przez majtki.

Jack cisnął pas w drugi koniec pokoju i usiadł, by wziąć ją w ramiona. Betsy płakała. Jej policzki były wilgotne od łez. Ale znalazłszy się w objęciach Jacka, ujęła jego dłoń i skierowała ją do swego kroku. Tam również była bardzo wilgotna.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

1. - 1942

Jack i Kimberly siedzieli w jadalni. Dzieci wstały już od stołu wraz z panną Gimbel, ich guwernantką, i teraz w swoich pokojach na górze kończyły lekcje, potem miały być kąpane.

Jack z rzadka jeszcze ubierał się wieczorowo do kolacji. Kimberly, podobnie, miała zwyczaj przebierania się, zwykle w jedwabną suknię. Tego wieczoru włożyła żółtą, choć w tym kolorze zdaniem Jacka, wcale nie było jej do twarzy. Ona zaś była przekonana, iż suknia doskonale harmonizuje z nowym naszyjnikiem z topazów.

- Sądziłam, że dowiem się wszystkiego - powiedziała spokojnie, z trudem zachowując cierpliwość.

- Kimberly, mam trzydzieści sześć lat i podlegam poborowi. Mogłbym skończyć jako strzelec w oddziale piechoty.

- Wiesz, że do tego nie dojdzie - uśmiechnęła się kwaśno. - Tatuś może się o to postarać. Może uchronić cię przed poborem lub załatwić patent oficera marynarki wojennej. Wszak to właśnie marynarka jest formacją, w której służą dżentelmeni. Tatuś może również dopilnować, byś został skierowany do Bostonu, Nowego Jorku lub Waszyngtonu.

- Nie ubiegam się o patent dżentelmena. Nie będę cię oszukiwać: nie chcę iść na wojnę jako żołnierz piechoty, ale to jest coś, co sam mogę zrobić!

- To, co ty zamierzasz zrobić, jest porzuceniem domu - odparła chłodno. - Przypomnij sobie coś. Przypomnij sobie to popołudnie, kiedy dowiedzieliśmy się o Pearl Harbor. Czy pamiętasz, jaki przerażony był nasz mały John? Wciąż miał w pamięci twoje wielokrotnie powtarzane relacje o bombardowaniach w Belgii i zastanawiał się, ile czasu upłynie, zanim to wszystko będzie się działo tutaj. Czy pamiętasz, jak musiałeś zabierać go do dziecięcego pokoju i tłumaczyć, że Pearl Harbor leży tysiące mil stąd i że ta wojna nie dotrze w pobliże Bostonu?

- O czym ty mówisz?

- Mówię, że twoje miejsce jest w domu, z rodziną; że musisz zapewnić dzieciom wygody i bezpieczeństwo. Właśnie tego potrzebują. Kiedy przed dwoma tygodniami storpedowano ten tankowiec, nasze dzieci widziały czerwoną łunę, a rano widziały dym. Ta wojna, która, jak zawsze mówięś Johnowi, miała się toczyć tysiące mil stąd, w jednej chwili znalazła się tutaj! I nie muszę ci mówić, że nasz John ma szczególnie powód, aby się bać. On wie, co Niemcy robią z Żydami.

2.

Dziesięcioletni John uległ chłopięcej fascynacji samolotami, szczególnie samolotami bojowymi. Jeszcze nie dość zręczny, by budować modele z papieru, robił je w prosty sposób z kawałków drewna. Miał podręcznik lotnika-zwiadowcy z fotografiami, przekrojami i szczegółowymi opisami dwustu samolotów ze wszystkich krajów. Dogłębnie przestudiował samoloty bojowe i był dumny, że to właśnie on, zapewne lepiej niż którykolwiek chłopiec z jego klasy, umiał odróżnić heinkela od spitfire'a od hurricane'a. Siedział teraz na łóżku, przeglądając jakiś magazyn z kolejnymi fotografiami i przekrojami samolotów bojowych. Jack usiadł w nogach łóżka swego syna.

- Jak leci, Kapitanie? - zapytał, używając przydomka, jaki nadał synowi, odkrywszy jego fascynację samolotami.

- Tatusiu, czy ta wojna potrwa wystarczająco długo, bym zdążył w niej latać. Chyba nie skończy się zanim...

Jack potrząsnął głową.

- Nie, synku. Nie będzie trwała tak długo. Kiedy się skończy, wciąż będziesz małym chłopcem. Ale coś ci powiem: dopilnuję tego, byś pobierał lekcje pilotażu i nauczył się latać samolotem pasażerskim.

John się skrzywił.

- To nie to samo - odparł.

Jack ujął w dłonie ręce syna.

- Mój chłopcze, nie możemy organizować wojen specjalnie dla ciebie. Zresztą oprócz latania bojowymi samolotami w czasie wojny, jest mnóstwo innych sposobów, by wykazać się dzielnością.

- Przypuszczam - odparł John, uśmiechając się słabo.

- Muszę ci coś powiedzieć, John. Wszyscy tatusiowie twoich kolegów wstępują do wojska. Wiesz o tym. Ja również muszę to zrobić. Nie mogę siedzieć w domu i nie brać udziału w wojnie.

- Co zamierzasz zrobić, tatusiu?

- Cóż, zamierzam wyjechać i walczyć przeciwko niemieckim żołnierzom. Trzeba wielu różnych działań i wielu ludzi, żeby wygrać wojnę. Wymaga to również wszelkiego rodzaju umiejętności. Tak się składa, że ja wiem, jak kierować siecią stacji radiowych. Zajmowałem się tym, zanim przyszedłeś na świat. Ministerstwo Wojny uważa, że będę bardzo przydatny w Londynie. Będę tam pracować w biurze, tak jak tutaj. Jedyna różnica polega na tym, że będę w Londynie a nie w Bostonie i że będę nosić mundur zamiast granatowego garnituru.

Dziesięcioletni chłopiec zamknął oczy i wziął głęboki oddech.

- Tatusiu, a jeśli w jakiś sposób Niemcom udałoby się zdobyć Londyn, to by cię zabili, prawda? Chodzi mi o to, że ciebie zabiliby najpierw, przed innymi ludźmi. Nie mówię, że przed wszystkimi innymi ludźmi, ale...

- Co masz na myśli, John?

Chłopiec spojrzał Jackowi prosto w oczy.

- Zabiliby cię, bo jesteś Żydem - powiedział - a gdyby kiedykolwiek dotarli do Bostonu, z tego samego powodu mnie także by zabili, prawda?

Jack starał się, by syn nie dostrzegł dreszczu przenikającego jego ciało.

- Właśnie dlatego musimy zrobić wszystko co w naszej mocy, by mieć pewność, że nigdy nie dotrą do Bostonu. Prawda? Nie dotrą do Bostonu. Przyrzekam ci. Ani do Londynu. Ale rozważmy to. Załóżmy, że jest jakaś możliwość, by się tu znaleźli. Co powinienem zrobić? Zostać w domu czy wstąpić do wojska i zrobić wszystko co można, żeby ich pokonać. John, nawet gdybym musiał iść na front z karabinem w dłoni, czyż nie byłoby to właśnie tym, co powinienem uczynić?

John skinął głową i zaszlochał.

- Tak się nie stanie - mówił dalej Jack. - Będę pracować w biurze, pomagając w nadawaniu wiadomości. To jest najlepsza rzecz, jaką ja mogę zrobić, by ich pokonać.

John płakał, ale wciąż potakiwał.

- A co ty, chłopcze, możesz zrobić? - Jack nie przestawał przekonywać syna. - Na krótko rozstać się z tatusiem. Właśnie to możesz zrobić, żeby pokonać nazistów.

- Okay.

Jack objął syna ramieniem.

- Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co oznacza bycie Żydem. Nie sądziłem, że stanowi to większą różnicę, dopóki ludzie nie zaczęli nas zabijać. Kiedy wrócę, porozmawiamy o tym dłużej. Tymczasem obiecuję ci, że naziści nie zabiją ani ciebie, ani mnie. Ani twojej siostrzyczki. Ani mamy.

Mały John zmarszczył brwi.

- A dlaczego mieliby zabić ją?

- Ponieważ poślubiła Żyda i ma z nim dzieci, a ich zdaniem to czynią ją gorszą od innych. Jednak nic takiego się nie stanie. Posłuchaj, Kapitanie: skoro Hitler nie potrafi przerzucić swych żołnierzy przez Kanał La Manche, to z pewnością nie przeprawi ich przez Ocean Atlantycki, prawda?

John skinął głową.

- Okay, pojedę więc do Europy - mówił dalej Jack - i zrobię to, co powinienem, ale nie potrwa to długo i nikt z nas nie znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Chłopiec znów pokiwał głową, ale Jack widział, że w głębi serca wciąż miał wątpliwości i nie czuł się pewnie.

3.

Jackowi, powołanemu do armii Stanów Zjednoczonych w stopniu kapitana, jeszcze raz przyszło się zmierzyć z szyderczymi wyrzutami Kimberly.

- Burke jest komandorem w Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych. To odpowiednik podpułkownika! A ty... czy musisz udać się na poligon dla rekrutów?

- Kimberly, zostałem skierowany do BI, Biura Informacji. Udam się do pewnego miejsca na Long Island, gdzie odbędę dwutygodniowy kurs przygotowawczy, po którym, jeśli dobrze zrozumiałem, polecę do Londynu. Moje londyńskie zadanie jest poufne, ale będzie miało związek z transmisjami radiowymi.

- Wiem, co robisz, Jack. Znudziła ci się praca, jesteś znudzony domem i nudzi cię żona. Ty uciekasz!

Nie odpowiedział. Gdyby to uczynił, powiedziała by jej, że nie całkiem się myli.

4.

Transatlantycki przelot, początkowo niewygodny, pod koniec podróży stał się wprost okropny.

Dwudziestu oficerów, którzy nigdy przedtem się nie spotkali i nie mieli spotkać się ponownie, siedziało na plecach wewnątrz kadłuba bombowca B-24. Odziani w wełniane ubrania i ciężkie peleryny, a mimo to wciąż zmarznięci, pocieszali się jedynie żartobliwą obietnicą bombar-

diera, że nie otworzy przypadkowo luków i nie wyrzuci ich do oceanu. Ogrzawszy się nieco gorącą kawą z termosów i pożywiwszy czerstwymi pączkami, oficerowie, którzy nie mając ze sobą nic wspólnego, nie mieli też o czym rozmawiać, próbowali spać.

Skrepowanie Jacka łączyło się z konstatacją, iż na pokładzie tego samolotu właśnie on jest najniższy stopniem.

Kiedy bombowiec wylądował w Reykjaviku, przywitano ich w pustym budynku lotniska, polecono skorzystać z toalet, a potem dano jakąś gęstą, tłustą zupę.

Jakiś amerykański sierżant wywoływał Jacka.

- Kapitan Lear! Kapitan Lear!

Radiotelegram dostarczony przez kuriera informował:

JESTEŚ SKIEROWANY DO WSPÓLNEGO ZESPOŁU OPERACYJNEGO POD MOIM BEZPOŚREDNIM DOWÓDZTWE M STOP ZAMELNUJ SIĘ DWA DNI PO PRZYBYCIU DO LONDYNU STOP GRATULUJĘ AWANSU DO STOPNIA PUŁKOWNIKA ARMII STANÓW ZJEDNOCZONYCH STOP ZDOBĄDŹ WŁAŚCIWE DYSTYNGCJE ETC PRZED ZAMELDOWANIE SIĘ STOP

KONTRADMIRAŁ BASIL COMPTON

DOWÓDCA

WSPÓLNEGO ZESPOŁU OPERACYJNEGO

Jak to załatwiono, zastanawiał się Jack, Harrison Wolcott...? Nigdy się nie dowiedział.

Gdzieś nad morzem w szarej mgłę bombowiec B-24 wszedł w gwałtowny skręt i lot nurkowy. Trzej oficerowie po prostu zwiątowali ze strachu czy z choroby powietrznej, bądź też z obydwu tych przyczyn. Słyszeli strzały z broni maszynowej albo wydawało im się, że słyszeli. Czuli, że to ich samolot lub tak im się wydawało... Wszystko razem trwało trzydzieści sekund. Bombowiec B-24 znów leciał poziomo, kontynuując swój kurs. Żaden z członków załogi nie wyjaśnił im co się stało.

5.

Ponieważ Jack, zeszytniały z zimna i bezruchu, w jakim pozostawał przez kilka ostatnich godzin, ślaniał się na nogach w kolejnym ponurym budynku lotniska, Curt Frederick pospieszył w jego stronę, chwycił za rękę i niemal jednocześnie podał metalową, płaską butelkę brandy.

- Witaj w Anglii! Tak, tutaj zawsze jest tak chłodno i mokro.

Jack sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął depeszę, którą otrzymał w Reykjavíku.

- Wiem - rzekł Curt. - Gratuluję. Nie mógłbyś sobie wymarzyć lepszego przydziału.

- Przydziału do jakiego zadania?

- Nie wiem. Powiedzą ci. Bardzo jesteś zmęczony?

- Bardzo.

- No cóż, musimy się zatrzymać w drodze do hotelu, w którym będziesz mieszkać. Widzisz co on pisze? „Załatw odpowiednie dystynkcje et cetera...”. Umówiłem cię na spotkanie z pewnym krawcem szyjącym na zamówienie. Musisz spotkać się z nim dzisiaj, jeśli twoje „odpowiednie dystynkcje” mają być gotowe, kiedy będziesz się meldował swojemu dowódcy. Takie rzeczy liczą się w Londynie, stary. Nie wiem, jak dostałeś przydział do Comptona, ale mogę ci powiedzieć, że cholernie ważną rzeczą będzie dobre pierwsze wrażenie.

- Dlaczego, u licha, Compton? - pytał Jack. - I kim on, do diabła, jest?

- Zawodowym oficerem Królewskiej Marynarki Wojennej. Sześć miesięcy temu szrapnel trafił go w nogę na Morzu Śródziemnym. Ma sprawić, żeby brytyjskie i amerykańskie jednostki działały wspólnie. Nie mamy jeszcze podobnego oficera, ale niebawem będziemy mieli, możesz być pewien. Traktuj Comptona bardzo poważnie - radził Curt. - Tak, jak robi to Waszyngton.

6.

Admirał Compton, będący zarówno znakomitym oficerem marynarki, jak i dyplomata, przyjął Jacka w swoim gabinecie w Admiralicji.

Był wysoki, przystojny oraz bardzo arystokratyczny i właśnie ten aspekt jego charakteru i prezentacji określał go najdokładniej. Choć Jack miał na sobie pięknie skrojony mundur z solidnymi srebrnymi orzełkami pułkownika, to jednak jego uniform bladł w porównaniu z elegancją granatu i złota munduru kontradmirała Królewskiej Marynarki Wojennej. Gdy tylko usiedli, Compton otworzył srebrną papierošnicę stojącą na jego biurku i zaproponował Jackowi papierosa.

- Widzi pan - zaczął - dotychczas sprawą najwyższej wagi było przekonanie Amerykanów, że przyjdzie z pomocą Brytyjczykom leży w ich narodowym interesie. Teraz zaś sprawą o zasadniczym znaczeniu staje się przekonanie Brytyjczyków, że Amerykanie, których miliony pojawią się na tej wyspie, są wysoce cywilizowanymi... nie tylko sprzymierzeńcami, ale przyjaciółmi. Chcę powierzyć panu zadanie

przedstawienia mieszkańcom Zjednoczonego Królestwa szlachetnej próby tego, czego w radio słuchają Amerykanie, żeby Brytyjczycy usłyszeli, iż jesteśmy bardzo podobnymi ludźmi z takim samym systemem wartości, a nawet być może podobnym poczuciem humoru.

- Tak jest, sir. Jestem przekonany, iż zrozumiałem to zadanie. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- Moi podwładni zapewnią odpowiednie warunki: biura i tym podobne, a także urządzenia radiowe, te z BBC.

7.

Jack przypuszczał, że jego lokal i zespół będą zorganizowane przez amerykańskie Biuro Informacji. Za ledwie kilka dni po spotkaniu z Comptonem dowiedział się, że jest inaczej, zrozumiał, że będą mu potrzebne biura oferowane przez Brytyjczyków i że sam będzie musiał rekrutować personel. Dla amerykańskiego Biura Informacji sekcja Jacka Leara była czymś drugorzędnym, na co nie zamierzało ono tracić skąpych środków.

Jack wprowadził się więc do lokalu przyznanego mu w czymś, co było małym i skromnym hotelem przy Half Moon Street w dzielnicy Myfair. Jego personel składał się z sekretarki, wysokiej, mniej więcej pięćdziesięcioletniej panny Eunice Latshaw, która mu wyjaśniła, że oczekuje, iż będzie jej płacić pensję. Zapewnił, że będzie, chociaż nie miał pojęcia, skąd znajdą się na to pieniądze.

Jack wysłał depeszę do teścia, Harrisona Wolcotta.

BĘDĘ TU WALIĆ GŁOWĄ W ŚCIANĘ PONIEWAŻ POTRZEBUJĘ ŚRODKÓW STOP NAJPILNIEJSZĄ POTRZEBĄ JEST PIERWSZORZĘDNY CWANIAK ZRĘCZNY W ZDOBYWANIU STOP CZY MOŻESZ TO ZAŁATWIĆ STOP PRZYŚLIJ WIADOMOŚĆ DO DORCHESTER STOP

Następnego dnia nadeszła odpowiedź od Wolcotta:

MINISTERSTWO WOJNY ODKOMENDEROWAŁO CWANIAKA DO TWOJEGO ZESPOŁU STOP KAPITAN DURENBERGER PRZYBĘDZIE MOŻLIWIE NAJSZYBCIEJ STOP GENERAŁ MARSHALL OSOBIŚCIE DORADZA PUŁKOWNIKA DONOVANA DO ROZSZERZENIA WSPÓŁPRACY STOP INFORMUJ MNIE NA BIEŻĄCO STOP

8.

Jack dał też pewne zadanie pomysłowemu i **zaradnemu** Jeanowi-Pierre'owi Belleville'owi, który wciąż był pracownikiem sieci radiowej Lear Broadcasting, i Francuz wywiązał się z niego równie skutecznie, jak z każdego innego. Następnego dnia o siódmej wieczorem Jack usłyszał dyskretne pukanie do drzwi swego pokoju w Dorchester. Najpierw otworzył drzwi, a potem ramiona i płomiennie całował Cecily Camden.

- Co ty tu robisz? - zapytała, gdy wciągnął ją do środka. - I to w żołnierskim mundurze! Belleville powiedział, że mam się spotkać z pułkownikiem Learem, ale nawet wtedy nie byłam pewna, że chodzi o ciebie... nie mogłam uwierzyć, że to będziesz ty!

Nie przestawała go całować. To była jedna z owych rzeczy, które najlepiej zapamiętała: jej wspaniałe, wilgotne pocałunki. Obejmowała go i całowała, a po jej policzkach spływały łzy.

Niewiele się zmieniła. Na ścisłej brytyjskiej diecie wojennej jej brzuch zachował swoją krągłość, a piersi stały się nawet pełniejsze niż przedtem.

- Och, Jack! - szlochała. - Jack! - Odzyskała trochę owego londyńskiego akcentu tłumionego stopniowo podczas pobytu w Stanach. - Tęskniłam za tobą!

- Ja również za tobą tęskniłem, Cecily - powiedział szczerze. Nie kłamał. Naprawdę za nią tęsknił. Tęsknił za jej niewinnym entuzjazmem. - Usiądź. Napijesz się whisky? Zamówię dla nas kolację.

- Jak się miewają dzieci? A pani Kimberly?

- Doskonale. Pisują do ciebie, prawda? Mam na myśli dzieci.

- Och, tak. Co trzy, cztery miesiące. Mały John bardzo się bał **Blitzkriegu**. Bał się, że zginę. I pewnej nocy omal nie zginęłam. Wiesz co się stało na dwóch stacjach metra, na Elephant i Castle?

- Nie, właściwie nie.

- Kryliśmy się w tunelach, ale na górze był pożar, więc kazano nam wyjść. Obawiano się, że żar wysię z tuneli całe powietrze i że się tam udusimy. Znalazłam się na ulicy w czasie prawdziwej burzy ogniowej. Z nieba spadały płonące żagwie i paliły na mnie ubranie. Jakiś strażak polał mnie wodą. To był ostatni naprawdę wielki nalot.

- Tak mi przykro, Cecily, i tak się cieszę, że ci się udało. Co porabiasz? Pracujesz?

Skinęła głową.

- Uczę w szkole po drugiej stronie rzeki. W Putney. Kursy pilotażu organizowane przez RAF.

- Chcę, żebyś pracowała dla mnie. Organizuję tu operację nadawania dla Brytyjczyków amerykańskich programów rozrywkowych i infor-

macyjnych. Potrzebuję pomocy. Potrzebni mi są ludzie, którzy dobrze znają Londyn.

Westchnęła.

- Och, Jack! Mogę złożyć wypowiedzenie. Co będę robić dla ciebie?
- Potrafisz prowadzić samochód?
- Potrafię. Mój ojciec jest taksówkarzem i nauczył mnie tego. Ma mały stary samochód, ale teraz brak benzyny, więc auto stoi w garażu.
- Wyobrażam sobie, że znasz Londyn bardzo dobrze.
- Tak, znam.
- Mogłabyś mnie wozić. Mam nadzieję, że przydzielą mi jakiś samochód.
- Możemy chyba znaleźć jakieś inne rzeczy, które mogłabym dla ciebie robić - odparła z szelmowskim uśmiechem.

Te inne rzeczy robili po kolacji.

Pamiętała, jak rozkoszował się trzymaniem penisa między jej pierściami, uwięzionego tam między nimi, gdy ścisnęła je swymi dłońmi, i zrobiła to teraz. Tym razem nie skończył. Wysunęła do przodu czubek języka, by polizać jądra. Jęknął.

- Och... - szeptała. - Tak właśnie lubisz. W ten sposób nie mogę zająć w ciążę nawet, gdybym to połknęła, prawda?

- Prawda...

Jej pocałunki zawsze były mokre i żarliwe. Teraz, w tej nowej sytuacji, także niczym się nie różniły od tych, jakie zapamiętała. Nie lizała go, a tylko ssała, gdy wchodził tam i z powrotem w jej zaciśnięte usta. Kiedy szczytował, wysssała mocniej i połknęła każdą kroplę.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

1. - 1942

Po pięciu tygodniach od przybycia Jacka do Londynu Amerykańska Służba Informacyjna zaczęła regularne nadawanie programu korzystając z urządzeń BBC. Sojusznicze Kierownictwo zapewniało lokal biurowy i usługi jednej sekretarki, która jednak miała być przeniesiona na listę płac Amerykańskiej Służby Informacyjnej. Personel składał się z owej sekretarki współpracującej z Cecily, pewnego podporucznika i sierżanta-technika. Jack podzielił obowiązki i stworzył niewielką strukturę, która działałaby gładko, gdyby tylko on sam był w stanie przedrzeć się przez labirynt wojskowej biurokracji, by zdobyć tak podstawowe wyposażenie jak kolejna maszyna do pisania czy nawet papier.

Początkowo programy Amerykańskiej Służby Informacyjnej trwały godzinę i nadawano je pięć razy w tygodniu, ale późną jesienią były to już audycje dwugodzinne, emitowane codziennie.

Wreszcie przyjechał też kapitan Emil Durenberger, ów „cwaniak”, o którego prosił Jack. Durenberger był zawodowym oficerem, który podczas pierwszej wojny światowej służył pod dowództwem generała Pershinga i w latach 1916 - 1917 uczestniczył w pościgu za generałem Pancho Villą w Meksyku, następnie - w latach 1917 - 1918 - był zastępcą dowódcy kompanii we Francji, a potem pozostał w armii i między wojnami służył tu i ówdzie, zdobywając cenną wiedzę o tajemnicach źródeł, regulaminów, przepisów, formalności i przede wszystkim sekretach całej zagmatwanej biurokracji Ministerstwa Wojny. Był drobnym, prawie całkiem łysym mężczyzną, na którego twarzy nieustannie malowała się wesołość, jaką wywoływało w nim niemal wszystko, co go otaczało. Ktoś powiedział o nim, że mógłby zostać generałem, gdyby tylko był poważniejszy.

Reputacja, która przyniosła mu przydział do Jacka Leara i Amerykańskiej Służby Informacyjnej, prawdopodobnie także przeszkodziła mu

w awansie. Był bowiem powszechnie znany jako zręczny i pozbawiony skrupułów cwaniak. Generał, który w odpowiedzi na prośbę Harrisona Wolcotta przydzielił go Jackowi, wiedział o Durenbergerze jeszcze dwie inne rzeczy; że za dużo pije i że miał niezrównany talent do przedzierania się przez płataninę regulaminowych metod oraz odnajdywania prostych dróg prowadzących do zdobycia tego, czego chciał.

Pierwszego dnia Jack obiecał sekretarce, pani Eunice Latshaw, że będzie dostawała pensję i aż do przyjazdu kapitana Durenbergera płacił jej z własnych pieniędzy. Kapitan zachichotał i nim minęły dwa dni ustanowił panią Latshaw cywilnym pracownikiem Armii Stanów Zjednoczonych.

To samo załatwił dla Cecily Camden. Potem przydzielił jej pokój w hotelu Park Lane. Pokój ten, co prawda, nie sąsiedował z apartamentem Jacka, ale mieścił się na tym samym piętrze. Jacka zaś przeprowadził do Park Lane Hotel zarówno dlatego, iż od biura przy Half Moon Street dzieliły go tylko trzy minuty drogi, jak i dlatego, że armia płaciła za apartament w tym hotelu, który był całkiem wygodny, lecz mniej zbytkowny niż Dorchester. Za pokój Cecily Jack płacił sam.

W końcu kapitan Durenberger zdobył też dla pułkownika Leara i Amerykańskiej Służby Informacyjnej oliwkowobrazowego forda z 1938 roku.

2. - 1943

Cecily rzadko korzystała z własnego pokoju. Sypiała z Jackiem i jadała z nim posiłki albo w jego pokoju, albo w pobliskiej restauracji. Nie nocowała u niego tylko wtedy, gdy przyjeżdżali goście ze Stanów Zjednoczonych.

Pierwszą wizytę Jackowi złożył Harrison Wolcott. Jack podejmował go w swoim apartamencie, więc Cecily nocowała wtedy u siebie. Potem przyjechał Dan Horan, mąż Connie. Był kapitanem w korpusie wojsk lotniczych i adiutantem w eskadrze bombowców. Początkowo Jack obawiał się, że Dan mógłby stacjonować w Londynie lub okolicy i od czasu do czasu wpadać bez zapowiedzi. Okazało się jednak, iż stacjonował w Kent i nigdy nie przyjeżdżał do Londynu bez uprzedniego telefonu. Prawdopodobnie domyślał się, że Jack nie mieszka sam w swoim hotelowym apartamencie.

Spodziewając się, że Dan lub ktokolwiek inny powie Kimberly, iż Cecily pracuje z nim w Londynie, Jack sam poinformował ją o tym w liście, pisząc, że miał szczęście, iż odnalazł Cecily i mógł ją zatrudnić jako kierowcę i zaufaną współpracownicę.

Kimberly stale pisała, że powinno się pozwolić jej przyjechać do Londynu, ale ojciec rozstrzygnął to równie stanowczo jak Jack, że nie może zostawić dzieci samych.

Connie także pisała, że ma nadzieję załatwić wizytę w Anglii, by spędzić kilka dni z mężem. Dan najwyraźniej zniechęcał ją do tego, choćby nawet przepisy o podróżowaniu pozwalały na podobne wizyty.

Umiejętności brydżowe Jacka sprawiły, że był mile widzianym gościem w wielu domach i szybko poszerzył krąg przyjaciół. Lord Mountbatten aż do chwili wyjazdu do Birmy zapraszał czasami Jacka na kolację i brydża. Jack grywał także w karty z szefem Sztabu Generalnego generałem Alanem Brooke'em, z ministrem spraw zagranicznych Anthonyem Edenem, potentatem prasowym Maxem Beavenbrookiem, Randolphem Churchillem i generałem Bernardem Montgomerym. Poznał też generała Charlesa de Gaulle'a i premiera Winstona Churchilla, chociaż nie uzurpował sobie prawa, by nazywać się ich przyjacielem.

Cecily podzielała z Jackiem upodobania do spektakli teatralnych. Teatry wciąż jeszcze były otwarte i Jack szczególnie polubił londyński Windmill Theater. Zgodnie z przepisami brytyjskimi dziewczęta mogły pojawiać się na scenie całkiem nagie pod warunkiem, że się nie ruszały. Upozowane nagie dziewczęta stały więc bez ruchu na podestach, a inne, skąpo odziane, tańczyły wokół nich. Jack i Cecily chodzili na te spektakle tak często, jak zmieniał się repertuar.

Curt zaznajomił Jacka z wziętym krawcem w Savile Row. Od tej chwili ów krawiec dbał, by pan Lear miał takie garnitury, jakich wymagały kolejne pory, raz do roku wystawiając mu rachunek. W owych latach były to głównie mundury; wiosenne, jesiennie i zimowe, ale każdy z nich uszyty był z najlepszego materiału i starannie dopasowany. Kiedy przybyłego do Londynu generała Eisenhowera ujrzano w krótkiej, opiętej bluzie, którą londyńczycy natychmiast nazwali „eisenhowerówką”, Jack poprosił krawca, by mu taką uszył. Lecz krawiec zasłonił oczy rękami i zaprotestował, wołając:

- Panie Lear! Pan nie będzie nosił takiej bluzy!

I Jack nigdy takiej nie miał.

3. - maj 1943

Kimberly wyciągnęła ostatnie włókienko tarytona, jakie pozostało w cygarnicze i odłożyła ją na bok. Radio stojące obok łóżka nastawione było na popołudniowe wiadomości stacji WCHS, a tego popołudnia

najnowszą wiadomością była informacja o odzyskaniu przez Amerykanów wyspy Attu wchodzącej w skład archipelagu Wysp Aleuckich.

Było wczesne popołudnie i Kimberly leżała na łóżku, wprawdzie nie gasząc radia, ale prawie wcale go nie słuchając. Nie potrafiła sobie przypomnieć takiego okresu swego życia, kiedy byłaby bardziej znudzona. Nie przypominała też sobie czasu, gdy była bardziej niezadowolona.

Częścią owego problemu był jej własny wizerunek, który bardzo ucierpiał. Miała trzydzieści sześć lat, paliła, piła i jadła zbyt wiele. Jej figura, niegdyś smukła i gibka, teraz stała się cięższa, a ciało zwiotczałe. Kiedy w modzie były płaskie biusty, nie musiała bandażować swego, bo jej piersi były drobne i jędrne. Teraz zaś należało nosić biustonosze, które nadawały piersiom kształt stożków unosząc je i wysuwając do przodu w stylu Lany Turner, „dziewczyny w opiętym sweterku”. Kimberly nie czuła się dobrze w tym stylu, a nawet uważała, że był upokarzający, ale ostatnio zmusiła się do przybrania na wadze. Z drugiej bowiem strony jej przyjaciółka Betsy, która przecież była od niej pięć lat starsza, z dumą obnosiła swoje piersi i była zachwycona, że zgodnie z obecną modą może pokazywać to, co ma.

Kimberly przypisywała obfitość ciała swemu dojrzałemu wiekowi. Nie była jeszcze gotowa do przemiany w czterdziestolatkę, ale czterdziestka się zbliżała.

Innym powodem jej niezadowolenia była samotność. Miała swoją pracę w komitecie pań; pracę, jakiej oczekiwano od każdej patriotycznie nastawionej kobiety, ale to zajęcie nie wydawało jej się atrakcyjne.

Radiowym konsorcjum Jacka kierowali Herb Morrill i Mickey Sullivan wraz z personelem uszczuplonym nieco przez pobór. Kimberly początkowo sugerowała, że zajmie gabinet Jacka i przejmie część jego obowiązków, ale on załatwił wszystko inaczej. W rzeczywistości nie tracił kontaktu z siecią swoich stacji radiowych. Morrill i Sullivan wysyłali Jackowi nieprzerwany strumień raportów i wszystkie naprawdę ważne decyzje wciąż podejmował on. Na przykład w kwietniu osiągalna stała się stacja w Baltimore. Kimberly, która była - podobnie jak jej ojciec - członkiem zarządu konsorcjum Lear Broadcasting, poprosiła o wgląd w bilans zysków i strat spółki będącej właścicielem stacji w Baltimore i dała do zrozumienia, że nie będzie głosować za jej nabyciem, dopóki nie przestudiuje tych dokumentów, a być może zleci także ich sprawdzenie księgowemu rodzinie. Herb Morrill powiedział jej wtedy, że zawsze może przejrzeć owe dokumenty, ale Jack już zakomunikował swoją decyzję kupna akcji tej spółki i oferta została złożona.

Jack pisywał regularnie, ale Kimberly stwierdziła, iż jego listy są poprawne i uprzejme i dalece nie zadowalające. Irytowało ją, że listy do

własnej żony dyktował jakiejś sekretarce, która pisała je na maszynie. Chociaż do każdego takiego listu dodawał odręczną notkę mówiącą, że kochają i dzieci, zawsze miała wrażenie, jakby czytała jakieś służbowe pismo.

Kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi Kimberly wydała radosne westchnienie. Zarzuciła na siebie lekki błękitny szlafroczek i zeszła na dół. Pokojówka otworzyła już drzwi i witała w nich Dodge'a.

- Dodge! Jak miło cię widzieć - zawołała Kimberly, udając zaskoczona.

Wątpiła, by pokojówka była tak naiwna, żeby wierzyć, iż w przybyciu Dodge'a Hallowella jest cokolwiek zaskakującego. Ta dziewczyna prawdopodobnie wiedziała, że pan Hallowell spędzi następne dwie godziny w sypialni pani Lear i wyjdzie tuż przed powrotem do domu pani Gimbel z dziećmi.

- Rebeko - rzekła Kimberly do pokojówki - zobacz, co da się zrobić, by wysuszyć płaszcz i kapelusz pana Hallowella.

Pokojówka wzięła ociekający deszczem płaszcz i zostawiła ich samych.

Kimberly ruchem głowy wskazała wejście na piętro, a Dodge sięgnął po jej rękę. Wszedłszy na górę skierowali się do sypialni pana domu.

Dodge Hallowell był przystojnym i dystyngowanym człowiekiem. Gdyby wybór należał do państwa Wolcottów, Kimberly poślubiłaby właśnie jego, a nie Jacka Leara. Jedyny powód, dla którego odrzuciła Dodge'a, stanowiło to, iż był od niej siedem lat starszy, co wydawało się przeszkodą nie do pokonania, gdy miała dwadzieścia jeden lat. Teraz ta różnica wieku nie przeszkadzała jej ani trochę.

Dodge - prezes Boston Common Trust, z pewnością nie największego z bostońskich banków, który jednak stanowił mocną instytucję z poważnymi aktywami i silną zdolnością kredytową - był wysokim mężczyzną o szerokich ramionach i potężnej sylwetce. Miał gęste siwiejące włosy, czerstwą cerę i mocną, kwadratową szczękę. Miał na sobie doskonale skrojony jednorzędowy granatowy garnitur. Podobnie jak Curt Frederick nigdy nie nosił dwurzędowych marynarek, choćby nawet były w modzie.

Dodge gardził papierosami i ludźmi, którzy je palili. Kimberly musiała więc pamiętać, żeby będąc z nim nie palić. Gdyby na początku swojego romansu nie ustalili zasady wspólnej kąpieli pod prysznicem, przed każdym spotkaniem brałaby prysznic, by spłukać woń papierosów z włosów i całego ciała, ale ta wspólna kąpiel była pierwszą rzeczą, jaką robili, zażywając jej jeszcze przed wypiciem drinka.

Zrzuciła z siebie szlafrok i czując lekkie zakłopotanie, iż ogląda ją w biustonoszu i pasku z podwiązkami, pomogła mu się rozebrać. Mając

czterdzieści trzy lata był muskularny i wydawał się w lepszej formie niż Jack. Jego penis, który Dodge czasami nazywał swym „dzieciołem”, wręcz ją fascynował. Był długi, wygięty, cienki i nieobrzezany. Wcześniej widziała tylko dwa inne i nie była pewna, czy „dziecioł” był niezwykły.

Dodge dobrze wiedział, jak się nim posługiwać. Także w tej kwestii Kimberly miała ograniczone podstawy do porównań, jednak stwierdziła, że Dodge daje jej taką samą satysfakcję jak Jack, mimo że penis Dodge'a długością nie dorównywał penisowi Jacka i z pewnością nie był tak gruby.

Kimberly jeszcze nie odważyła się wprowadzić Dodge'a w swoje techniki zaczerpnięte z *Kamasutry*. Po sześciu miesiącach owych popołudniowych wizyt Dodge wciąż dręczył się myślą o uprawianiu seksu z kobietą, która nie jest jego żoną, a raczej z kobietą, która jest żoną innego mężczyzny. Martwił się, ale był też bardzo wdzięczny. Nigdy nie był żonaty, chociaż Kimberly miała pewność, że nie jest pierwszą kobietą, jaką posiadał.

Po wspólnej kąpieli często siedzieli nadzy na kanapie w małym saloniku przy sypialni pana domu i popijali szkocką. Kiedy robili to pierwszy raz Dodge chciał włożyć spodenki, ale Kimberly powiedziała, by tego nie robił. To była jedna z najlepszych stron ich związku: owe momenty, gdy siedzieli razem, sącząc whisky i ona pieściła jego penis, on zaś pieścił jej piersi.

- Otrzymałem interesujący list - powiedział Dodge. Miał okropny zwyczaj wprowadzania do rozmowy w chwilach intymności zupełnie oderwanych tematów. - Pewien mój kolega, przebywający teraz w rejonie Pacyfiku, pisze, że nadzorował wyładunek i rozpakowanie transportu karabinów maszynowych, kiedy nagle uświadomił sobie, że broń nosi wytłoczone napisy ze słowami „Kettering Arms, Inc”. Wyprodukowano ją w przedsiębiorstwie twojego ojca. Zasięgnął języka i dowiedział się, że karabiny z tym znakiem są wysoko cenione przez ludzi, którzy ich używają.

Kimberly uśmiechnęła się i pociągnęła go za penis tak mocno, że jęknął.

- Ty powiedz to tatusiowi - powiedziała. - Mnie byłoby trudno wyjaśnić skąd znam treść listu, jaki otrzymałeś.

- Harrison nie wie...

- Oczywiście, że nie wie. Nikt nie wie. Och, być może Rebeka, moja pokojówka. Przed służbą nic się nie ukryje. Myślę też, że prawdopodobnie Connie coś sobie wyobraża.

- Connie!

- Na niej można polegać. Hej, jestem wilgotna.

Dodge wziął głęboki oddech.

- Jestem bliski przedwczesnego wytrysku. Osiągnę to w jednej chwili.

Osiągnął to szybko, zbyt szybko. Ale dziesięć minut później wszedł w nią ponownie i tym razem trzymał ją w ekstazie przez pół godziny.

Kiedy później leżeli obok siebie, Kimberly niezobowiązująco zasugerowała mu kilka „wariacji na temat”. Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia, ale nie powiedział, że nie miałyby ochoty spróbować.

4. - wrzesień 1943

Telefon stojący przy łóżku w apartamencie Jacka w hotelu Park Lane zadzwonił o wpół do trzeciej nad ranem. Cecily podniosła słuchawkę i wręczyła mu ją.

- Słucham?

- Pułkownik? Mówi Durenberger.

- Czemu, do cholery, dzwoni pan w środku nocy?!

- Mamy cholernie wielki problem, pułkowniku, i, dzięki Bogu, dowiedziałem się o nim pierwszy.

Jack z trudem usiadł na łóżku, a Cecily włączyła lampę.

- Obudził się pan, pułkowniku? Niech Cecily poda panu łyżeczek brandy. Mamy wielki problem.

- To pan już powiedział. O co, do diabła, chodzi?

- Dwóch pracowników pańskiej sieci radiowej jest w areszcie i rano staną przed sądem.

- Którzy i za co, na Boga?!

- No cóż, Curtis Frederick i człowiek, którego pan zna jako Willarda Fredericka, a który naprawdę nazywa się Willard Lloyd i nie jest bratem Curtisa.

Jack skinał na Cecily, by podała mu papierosa.

- Niech pan mówi wprost, o co chodzi.

- Okay. Zadzwonił do mnie znajomy z BBC. Okazuje się, że Curt Frederick i człowiek, który nazywa siebie jego bratem wracali wieczorem do domu z kolacji w Cafe Royale. Pijani. I zdaje się, że po prostu nie mogli doczekać się powrotu do domu i zaczęli robić bezceństwa w taksówce.

- Co zaczęli robić?!

- Operując kategoriami klinicznymi: Willard zaczął w taksówce masturbować Curta. Kierowca okazał się typem chrześcijanina, który nie jest gotów tolerować takiego zachowania w jego taksówce i udał się na komisariat policji. Obaj są zatrzymani i rano mają stanąć przed sądem.

- Czy policji opowiedział o tym kierowca?

- Nie. Wciąż byli w taksówce, kiedy konstabl wyszedł z posterunku i sam ich zobaczył.

- Gdzie pan jest?

- W komisariacie. Może byłoby dobrze, gdyby pan tu przyjechał. Mam wrażenie, że nie będzie całkiem niemożliwe, byśmy obaj coś zdziałali.

- Spróbuję skłonić kogoś z Sojuszniczego Dowództwa, by się do mnie przyłączył - powiedział Jack.

- Już to zrobiłem - rzekł Durenberger. - Kapitan Harvey jest w drodze.

- W porządku. Zanim ja się ubiorę, niech pan powie Cecily nazwę komisariatu. Prawdopodobnie będzie wiedziała, gdzie to jest i jak się tam dostać.

Na ulicach panowały ciemności, bo domy były zaciemnione zgodnie z nakazami władz, a osłonięte reflektory forda rzucały na drogę jedynie nikłe, żółtawe światło. Jack zawsze zachwycał się sposobem, w jaki Cecily odnajdywała drogę w mroku.

Parkowała zawsze tam, gdzie chciała. Samochody osobowe pomalowane na oliwkowobrązowy kolor i oznakowane wielkimi białymi gwiazdami sugerowały, iż należą do wyższych oficerów i nigdy nie zostawiano w nich mandatów. Tej nocy zaparkowała dokładnie przed komisariatem policji.

Czekał tam na nich Durenberger wraz z wysokim dystyngowanym oficerem brytyjskim marynarki wojennej, którego twarz wyrażała zarówno irytację, jak i rozbawienie.

- Pułkowniku Lear, oto kapitan Harvey.

Dwaj oficerowie uścisnęli sobie dłonie.

- Co możemy zrobić w tej sprawie, kapitanie? Czy w ogóle możemy coś zrobić?

- Już zrobione, pułkowniku. Ci dwaj mężczyźni zostaną zwolnieni i przekazani pod pańską opiekę. Oskarżenia poniechano.

- No cóż, bardzo dziękuję.

- To należy do moich obowiązków - odparł krótko kapitan. - Dużo czasu spędzam na wyciąganiu amerykańskich oficerów z kłopotów - mówiąc to uśmiechnął się słabo - chociaż muszę przyznać, że pierwszy raz musiałem uporać się z oskarżeniem o homoseksualną rozpustę.

Jack wydał z siebie głębokie westchnienie.

- Jeden z nich jedzie do kraju. Czy możemy załatwić transport?

- Jak to? Jeden z nich udaje się do kraju?! - zapytał kapitan.

- Curtis Frederick jest nam potrzebny tutaj, kapitanie. Wykonuje poważne zadanie, sprawiając, by Amerykanie rozumieli, co się dzieje, a zwłaszcza by szanowali Brytyjczyków. Nie sądzę, byśmy chcieli się go pozbyć. Jak szybko będziemy mogli umieścić tego drugiego na pokładzie jakiegoś samolotu?

- Oczywiście jeszcze nie jutro. Może w środę, a może w czwartek.
- Pod moją opieką... - Jack roześmiał się głośno. - **Chciałbym, żeby** ten, który wraca do Ameryki, pozostał w areszcie, aż do przewiezienia go na lotnisko.

- Decyzja należy do pana, pułkownika.

- A zatem taka jest moja decyzja. Curta Fredericka zabiorę zaraz ze sobą.

Nikt nigdy nie był bardziej upokorzony i zawstydzony niż Curt Frederick, gdy go wypuszczono z celi i przekazano Jackowi Learowi. Rozczochrany, z oddechem cuchnącym nie alkoholem lecz wymiotami, spojrzął na kapitana Harveya, którego rozpoznał, i na kapitana Durenbergera, a potem bez słowa poszedł za Jackiem do samochodu, w którym czekała Cecily.

- Co z Willardem? - wymamrotał dopiero w aucie.

- Pod koniec tygodnia wsiądzie do samolotu lecącego do Stanów - odparł chłodno Jack. - Do tego czasu pozostanie tam, gdzie jest.

Frederick nie powiedział ani słowa. Owinął się płaszczem przeciwdeszczowym aż po brzeg kapelusza, który do połowy osłaniał mu twarz.

Jack siedział na przednim siedzeniu obok Cecily. Odwrócił się i patrzył w ciemność, ledwie mogąc dostrzec sylwetkę Curta.

- Coś ty zrobił Betsy? - zapytał ostro.

- Nic - odparł Curt. - Ona nie wie.

- Ja wiedziałem - powiedział Jack. - Uprzedzano mnie. Nie wierzyłem.

- Betsy nawet nie podejrzewa - rzekł Curt łamiącym się głosem.

- No cóż, Curt, porozmawiajmy otwarcie. Od tej chwili nie będzie co podejrzewać. Twój były przyjaciel nie wraca do Bostonu. Będzie odwieziony do Waszyngtonu. Zostanie mu powiedziane, że nie wolno mu wrócić do Bostonu i że ma się trzymać z daleka od ciebie. Durenberger mu to wyjaśni. Jeśli nie będzie posłuszny tym poleceniom, ktoś użyje kija baseballowego.

- Niepodobna, Jack!

- I na ciebie też. Nie miej wątpliwości. Lepiej zapakuj rzeczy Willarda, żeby odleciały wraz z nim. Durenberger je zabierze. Przypuszczam, że będziesz musiał posłać mu trochę pieniędzy. Masz?

- Mam.

- Nie potępiam cię, Curt. Jeśli mam ochotę kogoś skłąć, to Betsy. Jeśli zranisz Betsy, każę cię zabić. Rozumiesz?

- Nie rozumiem, ale ci wierzę.

- Pozwól, że wytłumaczę ci to w następujący sposób: jestem synem Ericha Leara.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

1. - 1944

Generał Dwight Eisenhower przybył do Anglii, by objąć dowództwo operacji opatrzonej kryptonimem „Overlord”. Pracował wiele godzin, zaś w nielicznych wolnych chwilach lubił grać w brydża i starał się mieć do dyspozycji wymagających graczy. Ktoś mu powiedział, że w Amerykańskiej Służbie Informacyjnej pracuje pewien pułkownik, który gra odważnie i jest mile widziany przy najlepszych brydżowych stolikach w Londynie. Generał polecił wpisać Jacka Leara na listę graczy zapraszanych do jego stolika. W rzeczy samej Jack grał z generałem Eisenhowerem tylko raz, ale powaga owego zaproszenia często sprowadzała go do generalskiej kwatery, gdzie grywał w brydża z wieloma wysokimi oficerami, zarówno brytyjskimi, jak i amerykańskimi.

W styczniu Jack otrzymał wiadomość, iż został awansowany do stopnia generała brygady. Kilka dni później generał Eisenhower uśmiechając się szeroko, złożył mu gratulacje, a potem także inni oficerowie gratulowali mu awansu, wznosząc za niego przy brydżowym stoliku toasty szampanem. Jeszcze później w łóżku Cecily powiedziała, iż „nie sądziła, że pewnego dnia otworzy usta przed osobistym członkiem ciekącego generała”.

Trzeba powiedzieć, że obecność Cecily była dla Jacka prawdziwie szczęśliwym trafem, losem wygranym na loterii. Zaspokajała jego męskie potrzeby z entuzjazmem i bez nadmiernych żądań. Była też miłym kompanem gotowym zrobić wszystko, czego chciał. Nigdy nie usłyszał od niej ani jednego krytycznego słowa.

Listy od Kimberly nie były tak miłe.

Pewien bostończyk wróciwszy z krótkiej podróży do Londynu mówi, że masz tam marną reputację z powodu picia zbyt dużej ilości szkockiej whisky. Jeśli na całym świecie istnieje jakiegokolwiek miejsce, gdzie

mężczyzna może umocnić swój status dżentelmena, to takim miejscem jest właśnie Londyn. Jeśli wykorzystasz tę sposobność, zdrzesz właściwe przyjaźnie i nie będziesz spędzał nocy nad butelką, to wrócisz do Bostonu w nowym blasku, którego wszyscy będą ci zazdrościć...

Od twójego londyńskiego krawca nadeszły dwa eleganckie garnitury. Trudno nie zauważyć, że przybyły ci w pasie dwa centymetry. Doprawdy niepodobna, Jack!

2.

W styczniu 1944 roku Curtis Frederick, który nie był w domu od 1940 roku, poprosił o kilkanaście wolnych dni. Jack nie wyraził na to zgody i polecił mu wziąć urlop, ponieważ miałyby za ten czas płacone.

Gdy Curt przybył do domu, Betsy powitała go z całym entuzjazmem, jaki w sobie miała. Nie zmieniła się. Wciąż, tak jak zawsze i pod każdym względem była jego żoną.

Kilka dni po powrocie Curt wyznał jej historię wrześnieowego incydentu.

- Nie doszłoby do tego, gdybym była z tobą - powiedziała z prostotą Betsy.

- To mogłoby się wydarzyć... Będę całkiem szczerą. Widzisz, Willard...

- Zawsze wiedziałam, kim jest Willard - przerwała. - Zawsze wiedziałam też o twoich... szczególnych upodobaniach. Wiedziałam o nich, zanim zostaliśmy małżeństwem.

- Betsy... - wyszeptał.

- Tolerowałam je. Doszłam do wniosku, że jesteś tego wart. Kiedy Willard się stąd wyprowadził i pojechał do Londynu, wiedziałam, dlaczego się tam udał. Lękałeś się narażać moje życie, ale byłeś gotów ryzykować jego życie. To mi się spodobało.

- Tak. To nie był wybór między... Masz całkowitą rację. Nie chciałem narażać twójego życia - przerwał, a jego oczy napełniły się łzami. - Jesteś najlepszą rzeczą, jaka mnie kiedykolwiek spotkała, Betsy. Zawsze tak myślałem, ale aż do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, jak wiele wiedziałas i tolerowałaś.

- Czy możesz z tym skończyć?

- Tak.

- Pojadę z tobą do Londynu, jeśli tam wracasz.

Curt wziął głęboki oddech.

- Nie cieszę się względami Jacka.

- Święty Jack, co? Jeśli chce moralizować, niech prawi morały komu innemu. Zanim się pojawiłeś, Jack i ja popełnialiśmy grzech cudzołóstwa. On popełniał go zresztą także z Connie.

- No cóż, mówiąc między nami, w Londynie mieszka z przyjaciółką. Żał mi Kimberly.

- Nie musisz jej żałować. Sypia z Dodge'em Hallowellem. Myśli, że nikt o tym nie wie, a faktycznie wiedzą wszyscy.

Curt zdobył się na słaby uśmiech.

- Powiem ci o nim coś więcej. Naprawdę oburzyło go to, że mógłbym skrzywdzić ciebie... to znaczy, że mogłabyś się dowiedzieć. Powiedział, że jeśli cię kiedykolwiek skrzywdzę, zabije mnie.

Betsy wydawała się rozbawiona, a potem znowu spoważniała.

- Okay, powiedzmy jednak coś o tobie. To ty przysparzasz wspaniałego, ogólnokrajowego uznania jego konsorcjum radiowemu. Oto właściwa rekompensata.

3.

Przebywając od 1940 roku poza krajem Curt nie miał żadnych amerykańskich książeczek przydziałów żywnościowych. Bez jego niebieskich i czerwonych punktów Betsy nie mogła kupić dodatkowego mięsa ani artykułów żywnościowych, jakich potrzebowała dla nich dwojga. Co więcej Curtowi potrzebne były buty, ale nie mógł ich kupić bez odpowiedniego kuponu. Tak więc we wtorkowe popołudnie pojawił się w Wojennym Biurze Aprowizacyjnym, by poprosić o czasowe wydanie książeczki żywnościowej i kuponów. Personel owego biura wiedział, kim jest Curt i wydał mu wszystko czego potrzebował.

Curt wyszedł stamtąd na ulicę w pogniecionym płaszczu przeciwdeszczowym i wymiętym kapeluszu, jaki nosił w Londynie. Nie widząc żadnej taksówki, postanowił wrócić do domu piechotą.

- Curt!

Odwrócił się. To był Willard.

- Ileż to już czasu, mój przyjacielu... - rzekł Willard niemal płacziwie.

- Tak. Dużo.

- A jednak wróciłeś!

- Na krótko.

- Cóż... Czy... czy możemy...?

- Nie, Willard, nie możemy.

Niższy mężczyzna westchnął głęboko.

- Tak sądziłem... skoro nie napisałeś. A zatem... tylko jeszcze jedna rzecz, Curt. Tobie pozwolili wyjść z tego okropnego aresztu. Nie mogłeś mnie stamtąd wyciągnąć?

Curt potrząsnął głową.

- Nic nie mogłem wówczas zrobić w tej sprawie.

- Trzymali mnie w małej, zimnej celi, a potem zabrali na lotnisko.

W kajdankach!

- Przykro mi. Pomógłbym ci, gdybym mógł.

- Tęskniłem za tobą - rzekł Willard ze smutkiem.

- Masz kogoś?

- No cóż, tak. Nie możesz oczekiwać, bym usychał z tęsknoty.

- Dbaj o siebie, Willard.

Willard ponownie sięgnął po rękę Curta.

- Pozostajemy przyjaciółmi?

- Oczywiście - odparł z uśmiechem Curt.

- Czy możesz zostawić mi trochę pieniędzy, przez wzgląd na dawne czasy? Mam zniszczone ubranie. Nie widzisz?

Curt dał Willardowi pięćdziesiąt dolarów i kazał mu zapisać swój adres na kartce papieru, aby później móc posłać więcej.

4.

Gdy tylko Dodge Hallowell zrozumiał, czego pragnie Kimberly, wprost wspaniale wszedł w istotę rzeczy.

Uwili sobie gniazdko miłosne na mansardzie domu przy Louisburg Square. To drugie piętro miało surowe ściany i krokwie, a umeblowane było osobliwymi sprzętami skazanymi niegdyś na banicję przez poprzednich właścicieli domu. Kimberly i Dodge napracowali się tam wspólnie, czyszcząc kurz nagromadzony przez dziesięciolecia, przecierając meble wilgotnymi ścierkami, a potem naoliwionymi szmatkami aż w świetle dwóch lamp Tiffany'ego stara sofa i krzesła zajaśniały blaskiem minionej świetności. Rozłożyli też podniszczony orientalny dywan, aby przykryć niewykończoną drewnianą podłogę.

Wiktoriańska kanapa pokryta była czerwonym aksamitem i wyglądała, zdaniem Dodge'a, jakby pochodziła z eleganckiego lupanaru. Dwa eleganckie krzeselka, jedno z fotelowymi oparciami, drugie zaś bez tych podpór, okrywała czarna końska skóra z włosiem. Leciwą aksamitną draperią oddzielili wykuszową wnękę, którą w ten sposób zamienili na garderobę. By zapewnić sobie prywatność, podobną draperię zawiesili

w oknie owego wykusza, a potem umeblowali tę garderobę dwoma drewnianymi krzesłkami.

Wejście na mansardę wiodło spod drzwi z holu pierwszego piętra. Zabezpieczał je prymitywny zamek, ale Dodge wywiercił otwory w drzwiach oraz we framudze i założył ciężki łańcuch zapewniający im intymność i dyskrecję. Sam zamek zresztą również zmienili, aby klucz żadnego z domowników, poza kluczami Dodge'a i Kimberly, nie mógł otworzyć drzwi.

Nikt oprócz pokojówki nie domyślał się, że uwili sobie na owej mansardzie miłosne gniazdko. Jeśli zaś guwernantka, panna Gimbel, cokolwiek podejrzewała, to była przezorna i nie dawała po sobie poznać, że wie, co się dzieje.

Na mansardzie, której ściany nie miały cieplnej izolacji, zimą robiło się zimno, a latem gorąco, ale przez większą część roku idealnie spełniała swoje zadanie.

Pewnego marcowego dnia, gdy wciąż było jeszcze chłodno, Dodge rozgrzewał Kimberly szczególnym ćwiczeniem. Kimberly nie miała na sobie nic oprócz metalowych kajdanek, które wiązały jej ręce za plecami, a jej szyję owijała pętla ze sznura. Dodge stał w środku pokoju, trzymając koniec owego sznura w lewej ręce, zaś jego prawa ręka ścisnęła szpicrutę. Poganiana nią Kimberly biegała wokół kochanka.

Nie tylko biegała. Kłusowała, tak jak tego żądał, podnosząc kolana najwyżej jak mogła. Jej piersi poruszały się rytmicznie, a Dodge właśnie tego pragnął. Gdy nie podnosiła kolan wystarczająco wysoko albo gdy zwalniała rytm, smagał ją szpicrutą.

Zataczała te kręgi tak długo aż dostawała zadyszki, a jej ciało lśniło od potu.

Przestała palić, bo bez względu na to, jak długo się myła, nie mogła całkowicie usunąć zapachu tytoniowego dymu ze swego ciała, a Dodge miał nadzwyczajnie rozwinięty zmysł powonienia i chłostał Kimberly, gdy wyczuwał zapach tytoniu w jej oddechu, a ten ból był prawdziwy.

Schudła siedem kilogramów i przyrzekła Dodge'owi, że straci na wadze jeszcze więcej. Aby spełnić tę obietnicę, ograniczyła jedzenie i picie. Dodge zabierał ją na długie, forsowne spacerunki i konne przejażdżki. Wtąszczył na górę wagę i ilekroć odwiedzali swoją mansardę, rozbierała się do ważenia, wiedząc, iż Dodge użyłby szpicruty, gdyby przybyło jej chociaż pół kilograma. Wyczyścili także duże lustro i ustawili je tak, aby mogła widzieć, co osiągnęła. W ten sposób niemal odzyskała smukłą figurę, jaką szczyciła się w przeszłości.

- Dobrze - powiedział, zdejmując Kimberly kajdanki i odkładając je na bok - weź teraz rącznik i wytrzyj się dokładnie.

5

Gdy nadeszła wiosna i w Anglii zrobiło się cieplej, zaczęły spadać pociski V-1. To była straszna broń. Niemieckie bombowce miały określone cele, ale pociski V-1 spadały w Londynie wszędzie. Leciąły szybciej niż jakikolwiek samolot myśliwski, ale RAF znalazł metodę przechwytywania ich w locie i kierowania na pola. Wiele innych zniszczyła artyleria przeciwlotnicza, ale wciąż za dużo spadało na miasto.

Pewnej nocy, gdy Jack i Cecily leżeli w łóżku, jeden z takich pocisków eksplodował tak blisko ich hotelu, że wypadły szyby z okien ich sypialni. Cecily zadrżała i mocniej przytuliła się do Jacka.

W pierwszej chwili pomyślał, że przywarła do niego bliżej ze strachu. Potem, gdy zaczęła szeptać, zrozumiał, że powód był inny.

- Nasz czas umyka, Jack. Wojna niebawem się skończy i wrócisz do domu.

On także o tym myślał. A gdyby wrócił do domu, zakończył małżeństwo z Kimberly wieńcząc je jakąś szczerą umową i sprowadził Cecily jako drugą żonę...?

Wiedział, że nie mógłby tego zrobić. Po pierwsze pojawiłaby się kwestia opieki nad dziećmi. Kimberly z pewnością by ją wygrała. Poza tym gdy analizował tę sytuację w blasku dnia, widział, że Cecily jest po prostu pulchną, miłą angielską dziewczyną. Urodziłaby mu kolejne dzieci - nie wątpił w to; miała tylko trzydzieści cztery lata - i byłaby wspierającą, kochającą żoną. Jednak nie wniosłaby niczego do jego osobistych planów, jakie zamierzał zrealizować w powojennym świecie. W rzeczywistości byłaby przeszkodą.

Czasami nocą, gdy Cecily spała, myślał o owych nocach, jakie spędził w łóżku z Kimberly. W tych ostatnich miesiącach przed jego wyjazdem do Londynu stała się bardzo śmiała. Nie mógł się powstrzymać przed porównaniem jej z tą pokorną, niczego nie wymagającą istotą, która ogrzewała teraz jego łóżko i leżąc obok cicho pochrapywała. Kiedyś powiedział Connie, że potrafi kochać więcej niż jedną kobietę naraz. Cóż, nie zdołał się powstrzymać od miłości do Cecily, ale kochał również Kimberly. Była dokuczliwa i przykra, lecz nie mógł przestać jej kochać.

Cóż za wspaniała wojna, pomyślał ponuro. Jednak ta wojna miała się ku końcowi, będzie musiał wracać do domu.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

1. - maj 1944

Na ostatni etap przygotowań do operacji „Overlord” generał Eisenhower przeniósł swoją kwaterę do Southwick House w odległości około stu kilometrów na południowy zachód od Londynu. Pracował tutaj po osiemnaście godzin na dobę, ale kiedy znajdował trochę czasu na odpoczynek, wciąż lubił grać w brydża z partnerami, którzy mogli stanowić dla niego wyzwanie. Jack Lear czterokrotnie wzywany był do Southwick House, ale przy żadnej z tych okazji generał nie znalazł czasu, by grać w karty.

To właśnie w Southwick House Jack poznał Annę hrabinę Weldon.

Była wdową po pewnym brytyjskim oficerze, którego generał Eisenhower znał i darzył szacunkiem. Doskonale grała w brydża i, niczym Jacka, od czasu do czasu zapraszano ją do generalskiego stolika. Jack zadurzył się w niej od pierwszego spotkania.

Nawet w workowato luźnym mundurze Kobiecej Służby Pomocniczej wyglądała arystokratycznie. Szlachetność widoczna była w jej postawie i zachowaniu. W najzupełniej oczywisty sposób nie pozostawiała żadnych wątpliwości, że jest wyjątkową osobą, a jednak nie popisywała się tym.

Była wysoką smukłą blondynką o lekko wystających kościach policzkowych i nieco szpiczastej brodzie. Cesała się w prostym, niewymuszonym stylu, który wymagał niewiele uwagi i prawie wcale się nie malowała.

Poznali się oczywiście przy jednym z brydżowych stolików. Brydżowe partie rozgrywano tak, by generał Eisenhower mógł się pojawić i usiąść do gry, kiedy tylko miał choćby pół godziny na relaks. Ponieważ zbliżała się data inwazji, miał coraz mniej okazji do gry. Czasami tylko stawał za kimś, w zamyśleniu pałac papierosa i patrząc jak gra ta osoba. Goście cieszyli się tymi wieczorami. Sączyli whisky, pogryzali lekkie przekąski i grali dla przyjemności, nigdy zaś dla pieniędzy.

Wtedy generał Eisenhower pojawił się tylko na chwilę i powiedział, że bardzo mu przykro, iż tym razem nie mógł włączyć się do gry. Kay Summersby zapytała, czy wszyscy mają środki transportu, by wrócić do Londynu. Kiedy zaś hrabina powiedziała, że nie ma samochodu, Kay zasugerowała, by wróciła z generałem Learem, którego samochód czekał przed kwaterą generała Eisenhowera.

W drodze powrotnej do Londynu, z Cecily za kierownicą, Jacka zauroczenie Anną hrabiną Weldon wzrosło. Z rozmowy dowiedział się o niej co nieco, ale nawet w przybliżeniu nie tyle, ile chciałby wiedzieć. Nie wiedział, że jest wdową i przypuszczał, że jej mąż służy w wojsku. Kiedy odprowadził ją aż do drzwi mieszkania w Yor Terrace, które było bardzo wykwinłym adresem, zrozumiał, że nie tylko jest arystokratką, ale również doskonale jej się powodzi.

Nie mógł przestać o niej myśleć. Gdy dwa tygodnie później spotkał przypadkiem kapitana Harveya, owego oficera brytyjskiej marynarki wojennej, który pomógł wydostać z aresztu Curta Fredericka, i wspomniał mu o hrabinie, okazało się, że Harvey ją zna. Jest wdową, powiedział. Jej mąż, lord Weldon został zabity przed sześcioma miesiącami.

2.

Jack powierzył kapitanowi Durenbergerowi zadanie zdobycia możliwie najszerszych informacji o Annie. Durenberger zaś był jak zwykle pomysłowy i zaradny, choć może niezbyt subtelny. Jego sprawozdanie okazało się bardziej szczegółowe, niż Jack mógł się spodziewać.

Dowódca brygady, sir Basil Fleming Dziewiąty Lord Weldon zginął we Włoszech w styczniu 1944 roku w wieku trzydziestu dziewięciu lat. Wdowa, Sarah Anna Helena hrabina Weldon miała lat trzydzieści jeden. Sama siebie nazywała Anną i tym imieniem zwracali się do niej inni.

Chociaż ojciec Anny nie miał szlacheckiego tytułu, to jednak pochodził z jednej z kilku młodszych linii rodziny Sackville'ów, lordów De La Warr. Anna była więc luźno spokrewniona z zachodnią gałęzią Sackville'ów i towarzystwo „błękitnokrwistych” uważało, iż pochodzeniem przewyższa sir Basila. Poza tym była olśniewająco piękna i ubiegało się o nią kilkunastu szlachetnie urodzonych mężczyzn.

Anna wyszła za Basila w 1935 roku. Ich ślub okazał się towarzyskim wydarzeniem roku, zaćmiewając wszystkie inne. W tym czasie Basil nie odziedziczył jeszcze tytułu i był członkiem Izby Gmin. Ceremonia ślubna miała miejsce w kościele St. Margaret, niewielkiej świątyni sąsiadującej z Westminster Abbey; był to kościół Izby Gmin, tu w roku 1908 brał ślub

Winston Churchill. Churchill był zresztą obecny na ślubie Anny i Basila, podobnie jak David Lloyd George, Anthony Eden, Duff Copper i wiele innych osobistości.

Gdy w roku 1938 zmarł Ósmy Lord Weldon, Basil odziedziczył tytuł i nie mógł już dłużej należeć do Izby Gmin. Choć małżonkowie zatrzymali sobie dom w Londynie, a Basil od czasu do czasu zajmował swoje miejsce w Izbie Lordów, to jednak oboje zaczęli spędzać więcej czasu w wiejskiej rezydencji w Bedfordshire, gdzie Basil zdobył wiedzę o zarządzaniu rolnictwem i postanowił uczynić tę starą posiadłość dochodowym przedsięwzięciem. Jego wysiłki przerwał wrzesień 1939 roku.

Nikt nie pytał, choć wielu się zastanawiało, dlaczego Anna nie zachodzi w ciążę. Kiedy Basil zginął, godność lorda przeszła na jego brata, chociaż oczywiście Anna pozostała hrabiną Weldon, a ściślej hrabiną-wdową, którego to tytułu wręcz nienawidziła.

3.

Jack zatelefonował do Anny i zapytał, czy zjadłaby z nim kolację. Zgodziła się na spotkanie w poniedziałkowy wieczór, 5 czerwca.

Umówili się w restauracji hotelu Ritz. Jack przyszedł w smokingu. Anna miała na sobie suknię z seledynowego jedwabiu, która znacznie lepiej odpowiadała jej arystokratycznej postawie niż okropny mundur.

- Cieszę się, że przyszedł pan po cywilnemu, generale.

- Ja również się cieszę, że nie przyszła pani w mundurze - odpowiedział z uśmiechem - i proszę, niech pani nie nazywa mnie generałem. Ten stopień jest w najlepszym razie tymczasowy.

- A zatem „panie Lear”?

- Nie. Po prostu Jack. Tak mam na imię. W moim przypadku Jack nie jest zdrobnieniem od Johna.

- No cóż, dobrze. Ja mam na imię Anna.

- Może wybaczy mi pani... Jestem dziennikarzem i zasięgnąłem nieco informacji o pani nazwisku i pochodzeniu. To okropnie nieszlachetne z mojej strony, ale tak właśnie zrobiłem.

- Nie ma w tym niczego nieszlachetnego. Ja również mam swoje możliwości. Jest pan Jackiem Learem, synem Ericha Leara, amerykańskiego potentata w dziedzinie odzyskiwania surowców, i bratem Roberta Leara, producenta filmowego. Posiada pan sieć rozgłośni radiowych w Ameryce. Jest pan żonaty od 1933 roku i ma pan dwoje dzieci.

Jack skinał głową.

- Tak. Obawiam się, że to ja.

Anna uśmiechnęła się w sposób, który wydawał mu się nadzwyczaj arystokratyczny.

- Co więcej - mówiła dalej - pozostaje pan w intymnym związku z tą czarującą, pulchną angielską dziewczyną, która jest pańskim kierowcą. To zaś oznacza, że kobiecie takiej jak ja; kobiecie, która spotyka się z panem towarzysko, nie grożą pańskie... powiedzmy lubieżne instynkty. Wszak są zaspokojone.

- Nic ci z ich strony nie grozi, Anno. Nawet gdyby nie było Cecyli.

- Dajże spokój, Jack! - roześmiała się Anna. - Nawet gdy jesteś z Cecyli, żadna kobieta nie jest z tobą bezpieczna. Masz już pewną reputację.

- Boże, ratuj!

4.

Wyrwanie się od Cecyli, by pojechać do Anny, stało się dla Jacka pewnym problemem. Czasami sam siadał za kierownicą. Chociaż prowadzenie samochodu w ruchu lewostronnym poprzez zaciemnione ulice było dla niego udręką, znajdował jakieś wymówki i jeździł do York Terrace i owego wykwintnego mieszkania, które należało do Anny hrabiny Weldon.

Oddawali się tam pocałunkom i one wyznaczały granice ich intymności. Stopniowo całował Annę coraz żarliwiej, a ona to akceptowała.

- Byłem dziś znowu na lotnisku Amerykańskich Sił Powietrznych - powiedział jej pewnego wieczoru. - Amerykańskie bombowce nie napotykają żadnych myśliwców Luftwaffe. Nasze mniejsze samoloty bombardują i ostrzeliwują do woli. Już po wszystkim, Anno. Zwycięzamy.

- Dla wielu zbyt późno... - odparła.

Objął ją. Miała na sobie prostą suknię z kremowego lnu.

- Wiem, Anno. Wiem, co masz na myśli - powiedział poważnie. — Zginie jeszcze wielu ludzi. Ale nie ma już wątpliwości. Boże, gdy widziałem ten nalot w Belgii, w Belgii, w 1940...

Pocałowała go, delikatnie przesuwając wilgotnymi wargami po jego ustach.

- Dlaczego nie mogliście pomóc nam wcześniej?

- O Boże, chcieliśmy! To znaczy Roosevelt chciał. Ja chciałem, Anno.. - zawołał, rozglądając się po jej wspaniałym salonie. - Masz jakąś brandy? Przyniósłbym, ale...

- Wciąż mam jeszcze trochę twojej. Dużo twojej.

Usiadł, a ona napełniła kieliszki.

- Oczywiście musimy się cieszyć, że wojna jest skończona, lub prawie skończona - powiedział - ale teraz będzie tak jak po ostatniej wojnie. Problemy w czasie pokoju będą równie wielkie jak problemy czasów wojny.

- Mam wrażenie, że nie mówisz o polityce, ale o swoim życiu osobistym - rzekła, podając mu kieliszek.

Jack wypił łyk brandy.

- Tobie wojna zadała ranę. Ja wychodzę z niej bez szwanku. Ale gdy się skończy, będziesz równie znużona jak ja. W czasie wojny dowiadujemy się, kim jesteśmy i co musimy robić. Okoliczności podejmują za nas decyzje. Teraz znów będziemy musieli podejmować je sami, co nie będzie łatwe.

- Jakie decyzje będziesz musiał podjąć, Jack?

- Zawodowe. Nie podejmowałem ich od 1942 roku. Potem także osobiste...

Anna położyła rękę na jego dłoni.

- Masz piekielny problem, Jack. Podobnie jak generał Eisenhower. Z wielką ciekawością będę obserwować jak je rozwiążecie.

5. - niedziela, 18 czerwca 1944 roku

Późną nocą Jack leżał w łóżku w swoim apartamencie w hotelu Park Lane, słuchając programu BBC i starając się znaleźć podawane w nim nazwy miejscowości na konturowej mapie, którą opierał o kolana.

Poinformowano właśnie, że siły amerykańskiego Siódmego Korpusu pod dowództwem generała Bradleya zajęły port o nazwie Barneville. Jeśli to prawda, to znaczy, że półwysep Contentin został przecięty i duże portowe miasto Cherbourg zostało wyzwolone.

Chętnie porozmawiałby teraz z Curtem, który, gdy kontaktowali się ostatnio, przebywał we francuskim miasteczku Carentan, a ono nie mogło leżeć daleko od Barneville. Te informacje musiały być bardzo istotne.

Cecily nie pozwoliła mu się nad tym zastanawiać. Pieściła jego krocze gorącymi, wilgotnymi pocałunkami i właśnie teraz lizaniem podniosła mu maszt.

Jack zamknął oczy i pozwolił, by mapa spadła na podłogę.

Godziny z Anną w niczym nie przypominały tych, które spędzał z Cecily.

Zwykle odwiedzał Annę w niedzielne popołudnia, gdy miała czas wolny od pracy w Kobiecej Służbie Pomocniczej. Cecily chętnie

korzystała wówczas z okazji, by spędzić nieco czasu z rodziną. Jack zostawiał wtedy Cecily w jej domu, wymyślając jakąś opowieść o tym, gdzie będzie po południu, a potem zabierał ją przed zachodem słońca.

W niedzielne popołudnie 18 czerwca zostawił ją jak zwykle u zbiegu ulic Elephant i Castle na południowym brzegu Tamizy i szybko pojechał do York Terrace.

Anna nie była sama. Miała gości, Arthura obecnego Lorda Weldon i jego żonę, i wraz z nimi właśnie kończyła lunch. Nie mógł nie zauważyć, że ich wypłoszył. Wciąż spoglądali na niewielki koszyk serów i konserw, który przyniósł i oczywiście zastanawiali się nad charakterem związku między Anną a tym amerykańskim generałem, którego nazwiska nigdy przedtem nie słyszeli. Spędzili więc jeszcze u Anny tylko tyle czasu, ile wymagała uprzejmość, a potem szybko wyszli.

Związek między Jackiem i Anną miał charakter uczuciowy, a nawet miłosny lecz nie erotyczny.

Jack ruszył ku sofie, na której siedziała Anna i objął ją. Pocałowali się namiętnie. Większość czasu, jaki spędzali razem, upływał im zwykle na pocałunkach. Niekiedy bardzo ostrożnie próbował dotykać jej piersi lub nóg, lecz Anna zdecydowanie, choć bez nadmiernej gwałtowności, odsuwała jego rękę. Bardzo się starał nie wywierać na nią zbyt silnej presji, bojąc się, by go po prostu nie odprawiła.

Tego popołudnia na Londyn znów spadły pociski V-1. Anna podała mu szklaneczkę whisky i oboje wyszli na taras, by obserwować, co się dzieje. Sąsiedzi Anny także byli już na tarasach, wpatrując się w niebo na poły z lękiem, na poły zaś z ciekawością.

Pociski V-1 miały to, co nazywano silnikami odrzutowymi, i docierając do celu czyniły staccatowy hałas. Londyńska Obrona Miasta wzniewała prawdziwą burzę przeciwlotniczego ognia, ale nie było to bardzo skuteczne. Jack i Anna oraz jej sąsiedzi na innych tarasach ujrawszy jeden jaskrawy błysk na niebie, zrozumieli, że artyleria przeciwlotnicza straciła tylko jeden z owych pocisków. Inne dotarły do celu i wybuchły na ziemi. Nad miastem wyrosły brunatne słupy dymu.

Anna chwyciła dłoń Jacka.

- Te straszne zabłąkane pociski, pociski padające na ośle... - powiedziała. - Gdzie się przed nimi ukryć? Takie bomby mogą nawet rozerwać schron.

- Spróbuję przekonać Betsy Frederick, aby wróciła do Bostonu. Ona jest tutaj w znacznie większym niebezpieczeństwie niż Curt na Kontynencie.

- Przez pewien czas niemal żałowałam, że wojna się kończy - rzekła Anna ściskając rękę Jacka. - Myślałam, że chyba mogłabym wyjść

z domu, przechadzać się wzdłuż rzeki i czekać, aż mnie zabiją. Ale teraz nie chcę umierać. Mam to już za sobą.

- Nie doświadczyłem tego - odparł cicho Jack - lecz wydaje mi się, że rozumiem twoje uczucia.

- Wracajmy do środka. Jeśli jedna z tych bomb spadnie tutaj, przynajmniej każde z nas będzie w czyichś ramionach.

W salonie Jack znów przyciągnął Annę do siebie i całował tak namiętnie, aż zsiniały jej wargi.

- Gdyby to miało się zdarzyć, czy chciałabyś, by zdarzyło się wtedy, gdy jesteś w moich ramionach? - zapytał ochrypłym szeptem.

Anna skinęła głową.

Tamtego wieczoru tuż przed osiemną u Anny rozległ się dzwonek do drzwi. Otworzyła je i ze zdumieniem zobaczyła Jacka, który wyszedł z jej mieszkania zaledwie pół godziny wcześniej.

Chwiejnym krokiem wszedł do środka, zatrzymał się i obrócił w jej stronę.

- Cecily nie żyje!

Obejmując go, poczuła, że drży.

- Och, Jack! Jak to się stało?

- Jeden z tych cholernych latających pocisków. Cała jej rodzina i jeszcze dwie lub trzy inne rodziny mieszkające po sąsiedzku. Kiedy tam dojeżdżałem, widziałem już, że w okolicy spadła bomba, a gdy dotarłem na jej ulicę, zastałem tam tylko wielki lej i ruiny. Ruiny mieszkalnych domów... Przecież w pobliżu nie było żadnego wojskowego celu... Cóż to za cholerny rodzaj wojny...

- Właśnie taka jest ta wojna - rzekła Anna. - Widziałeś jak bombardowali belgijskich uchodźców. Powinieneś widzieć co się tu działo w czasie *Blitzkriegu*. Cele militarne?! Pałac Buckingham, Izba Gmin, Oxford Street... Boże to przecież ulica samych sklepów. Ani jednej fabryki w promieniu kilku mil. Rano wychodziłam na taras i widziałam, że wszystko wokół pokryte jest popiołem. Znajdowałam kawałki spalonych materiałów i zastanawiałam się, czy pochodzą z magazynu jakiegoś sklepu czy są resztkami ubrań jakichś ludzi, którzy zginęli nocą. Oto jaka jest ta wojna. I... Och, wybacz mi, Jack, że robię ci wykład. Biedna Cecily...

Wzięła go za rękę i zaprowadziła do salonu. Opadł na sofę i wstrząsany szlochom ukrył twarz w dłoniach.

Dwie godziny później wciąż siedział tam złamany i milczący.

- Jack, chcę ci coś powiedzieć.

Podniósł głowę i spojrzał na nią z uwagą.

- Dziękuję, że przyszedłeś do mnie.

7. - 22 lipca 1944 roku

Jack usiadł obok Anny w jej salonie. Wybierali się na kolację. Sięgnawszy do kieszeni, wyjął jakiś list, a potem wręczył go jej ze smutkiem potrząsając głową.

*BIAŁY DOM
WASZYNGTON D.C.*

*Jack Lear
Generał Brygady
Amerykańska Służba Informacyjna
Londyn*

Szanowny Panie Generale,

Pozwalam sobie wyrazić Panu moją osobistą wdzięczność za wspianą pracę, jaką wykonał Pan na stanowisku szefa Amerykańskiej Służby Informacyjnej. Pańskie audycje skierowane do społeczeństwa brytyjskiego osiągnęły wszystkie zamierzone przez nas cele.

Właśnie dlatego, że przedsięwzięcie to uwieńczył taki sukces, podjęto decyzję o zaprzestaniu emisji tych audycji.

Za kilka dni otrzyma Pan z Ministerstwa Wojny polecenie zakończenia Pańskiej operacji i rozkaz powrotu do Stanów Zjednoczonych, gdzie zostanie Pan zwolniony z obowiązku służby wojskowej.

Wiem, że z pewnością pragnie Pan wrócić do cywilnego życia, rodziny i pracy zawodowej, więc te nowe rozkazy będą dla Pana dobrą wieścią.

Jeszcze raz składam osobiste podziękowania za Pańskie poświęcenie i służbę.

Pod listem widniał podpis Franklina Delano Roosevelta.

- Tego się właśnie obawiałem - rzekł Jack.

- To jeszcze jeden cios, jaki zadaje nam ta wojna - powiedziała ze smutkiem Anna - i wiesz, że nic nie możemy z tym zrobić.

- Bałem się konieczności powrotu to domu i opuszczenia Cecily. A teraz...

- Nigdy nie mieliśmy żadnej szansy, Jack. Oszukiwaliśmy samych siebie, jeśli sądziliśmy, że ją mamy.

- Więc co teraz zrobimy? - objął ją i pocałował. - Będę wracał do domu bez jednego cudownego wspomnienia, które miałem nadzieję zabrać.

Westchnęła.

- Nie... niekoniecznie, jak sądzę - odparła, spoglądając ku drzwiom prowadzącym do sypialni. - Jestem skłonna obdarować cię takim wspomnieniem, więc... niekoniecznie musisz wracać bez niego.

Jack stanowczo potrząsnął głową.

- Koniecznie - rzekł.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

1. - wrzesień 1944

Kimberly podniosła głowę i leniwie uśmiechnęła się do Dodge'a Hallowella, on zaś postawił stopę na jej brodzie i lekko pchnął kochankę. Nie utrzymując równowagi i nie kontrolując się w żaden sposób, przewróciła się na bok. Miała na sobie dwie pary kajdanek: jedna od tyłu wiązała jej prawy nadgarstek z kostką lewej nogi, a druga lewy nadgarstek z kostką prawą. Układało ją to w bolesną, niewygodną figurę i właśnie zdołała uklęknąć, gdy pod owym pchnięciem znów się przewróciła.

- Nie kop mnie, draniu!
- To nie było kopnięcie.
- Dobrze, więc kopnij mnie i pokaż, na czym polega różnica.

Wstał i wymierzył jej ostrego kopniaka w biodro.

- Auu! - krzyknęła, przetaczając się na drugi bok. Podeszwa jego buta została na biodrze Kimberly smugę, ale nie siniak. - Cholera, skaleczyłeś mnie!

- Sama tego chciałaś.
- No, cóż...
- Chcesz się z nich uwolnić?
- Chcę, żebyś ustawił mnie tak, abym mogła wypiąć pupę w powietrzu i żebyś mógł mi to zrobić „na pieska”.

Dodge wyjął z kieszeni maleńki kluczyk i otworzył kajdanki na jej kostkach.

- Ojej - jęknął. - Siniaki. Jezu Chryste! Będą tu jeszcze, gdy Jack wróci do domu.

- Załóż mi kajdanki trochę luźniej.

- Nie mogą być luźniejsze na kostkach, bo zrobiono je z myślą o nadgarstkach.

- Cóż, zajmę się Jackiem. Ale... W porządku; przykuj mnie do krokwi.

- A potem co?
- A potem wszystko co chcesz!

Gdy stała z rękami umocowanymi nad głową, wzięła ją od tyłu. Jęczała w ekstazie.

Potem, uwolniwszy ją z więzów, włożył obydwie pary kajdanek do teczki, chowając je tam wraz z długim łańcuchem i kilkoma małymi kłódkami. Umieścił tam również dwie pary majtek bez kroku i biustonosz z otworami wyciętymi tak, by wystawały przez nie jej sutki, oraz striptizowy komplet: przezroczysty biustonosz i mikroskopijne majteczki.

Kimberly usiadła nago na kanapie i spoglądała na niego ze smutkiem.

- Nie zamierzam zrezygnować z naszych spotkań - powiedziała otwarcie. - Musimy tylko znaleźć jakieś inne miejsce.

- Nie wiem gdzie - odparł z rezygnacją.

- Boże, wynajmij jakieś mieszkanie. Nie słyszałeś o parach mających miłosne gniazdko? Dłużej nie możemy odbywać naszych spotkań na tej mansardzie.

- A co zrobiłby Jack, gdyby się o nich dowiedział? - zapytał Dodge.

- A co ja zrobię, jeśli się dowiem, co on robił w Londynie przez minione dwa i pół roku?

2.

Wieczór powrotu był właśnie taki, jak Jack go sobie wyobrażał. Cała rodzina zasiadła do kolacji, którą podawały Joan i Kimberly, odesławszy wcześniej kucharkę i pokojówkę do domu. Jack położył na stole prezenty przywiezione dla dzieci. Johnowi przywiózł zestaw autentycznych modeli identyfikacyjnych, jakimi posługiwano się w Siłach Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Były one pomalowane na czarno i miały pomagać amerykańskim pilotom w identyfikowaniu samolotów niemieckich. Dla Johna przeznaczony był również zestaw pagonów pilotów amerykańskich oraz lotników RAFu i Luftwaffe, a także Krzyż Żelazny zdjęty z jakiegoś zestrzelonego niemieckiego pilota. Dla córeczki Jack przywiózł złotą bransoletkę z miniaturkami Krzyża Zwycięstwa i innych brytyjskich odznaczeń oraz biały jedwabny szal niemieckiego lotnika.

Dzieci spróbowały też szampana, a potem wybornego bordeaux, które Kimberly już wcześniej kupiła z myślą o tej kolacji. Jadły również kawior, befsztyki i pudding Yorkshire.

Jedyny smutny ton tego wieczoru zabrzmiał wtedy, gdy mały John poprosił, by ojciec opowiedział im o Cecily.

Jack rzucił okiem na Kimberly.

- Mogę wam powiedzieć tylko tyle, że to, co się stało z Cecily, trwało sekundę - rzekł ze zmarszczonymi brwiami. - Nie czuła żadnego bólu. W jednej sekundzie była żywa, a w następnej... odeszła. I nikt nie mógł nic zrobić, by temu zapobiec. To samo mogło się wtedy stać ze mną.

Godzinę później w ich sypialni Kimberly zapaliła papierosa, pierwszego papierosa od kilku tygodni, i powiedziała:

- Możesz się przyznać. Kochałeś Cecily. Żyłeś z nią nawet kiedy pracowała tutaj, a w Londynie stała się bardzo, bardzo wygodna. Lecz ty nie należysz do mężczyzn rzucających kobiety, na których ci nie zależy. Zależało ci na Cecily.

Jack powiesił w garderobie ciemny garnitur, który włożył do kolacji, a potem obrócił się twarzą do Kimberly.

- Tak, zależało mi na niej.

- Kochałeś ją.

Skinął głową.

- Gotowa jestem o tym zapomnieć. Okoliczności...

- Los się o to zatroszczył, czy tak? - zapytał szorstko.

- Niczego takiego nie sugerowałam.

- Nie sugerowałaś, to prawda. Nie sugerowałaś. A ja nie zamierzam cię oszukiwać. Płakałam. Wylałam morze łez.

- Wojna... - powiedziała Kimberly. - Teraz musimy o niej zapomnieć. Nie, nie zapomnieć. Żyć z tym, co nam uczyniła.

Jack dał Kimberly prezenty, które przywiózł dla niej. Szmaragdową bransoletkę oraz fotografię króla Jerzego VI i królowej z ich własnoręcznymi podpisami.

3.

Kimberly uparła się, by Jack wystąpił w mundurze na powitalnym przyjęciu, jakie wydała dla niego w domu przy Louisburg Square. Wydawała się bardziej zadowolona z mundurów, jakie uszyto mu na londyńskim Savile Row niż z owych pospiesznie produkowanych uniformów, które nosił przed wyjazdem do Londynu, nie mówiąc już o fakcie, że teraz nosił na ramieniu generalskie gwiazdki zamiast dawnych kapitańskich belek.

W rzeczywistości bardzo chciała się nim popisać. Wszak Jack zdobył wyższy stopień niż którykolwiek z ich przyjaciół czy znajomych. Przygotowując przyjęcie, Kimberly stwierdziła, że żałuje, iż Jack nie zdobył jakiegoś odznaczenia. Wprawdzie oprawiony w ramki list od prezydenta kazał powiesić w swoim gabinecie, ale nie mógł nosić go na

mundurze. Wszystkim, co ów mundur zdobiło, była skromna wstążeczka wskazująca, iż odbywał służbę w europejskim teatrze działań wojennych. Jednak nawet ta wstążeczka, przyznawała Kimberly, była wyróżnieniem, jakiego niektórzy znani jej mężczyźni nie zdobyli, ponieważ całą wojnę spędzili w Bostonie lub w Waszyngtonie.

- Jack osobiście zetknął się z wojną - opowiadała na przyjęciu jednemu z przyjaciół. - Był w Belgii, pamiętasz, i widział bombardowanie belgijskich cywilów oraz niemiecki atak pod Sedanem. Poza tym jego osobisty kierowca zginął podczas nalotu na Londyn.

Dodge Hallowell mocno uściskała dłoń Jacka, stwierdzając przy tym, że bardzo się cieszy, widząc, iż Jack bezpiecznie wrócił do domu.

- Wiesz - powiedział - fakt, iż byłem za młody, by wziąć udział w tamtej wojnie i za stary by walczyć w tej, jest dla mnie źródłem nieustannego zażenowania.

- Wojna jest zabawą dla młodych mężczyzn, Dodge - odparł Jack. - Ja także byłem za stary, by odegrać w niej jakąś prawdziwą rolę, inną niż ta biurowa robota, którą wykonałem.

- Ale ty byłeś tam. Widziałeś wojnę, doświadczyłeś tragedii. Nie mogę powiedzieć, że ci zazdroszczę, ale mam wrażenie, że przeżywasz swoje życie na peryferiach.

- Cieszę się, że wróciłem na te peryferie, Dodge - rzekł Jack, poklepując swego rozmówcę po plecach i ruszył dalej, bo jego wzrok padł właśnie na uroczy widok.

Connie Horan wyciągnęła ręce i uściskała go serdecznie.

- Tak się martwiłam! O Dana i o ciebie. Bombarduje się te miejsca pocisków V-1, prawda? Chodzi mi o to, że bombardujemy te miejsca, gdzie się je produkuje.

Jack zignorował jej pytanie.

- Kiedy się spotkamy, Connie? - zapytał żarliwie.

- Nie ryzykujmy! - szepnęła. - Och, nie ryzykujmy!

4.

Na spotkaniu z Mickeyem Sullivanem i Herbem Morrille Jack postanowił, że nadszedł już czas, by świat się dowiedział - pod warunkiem, że ona się na to zgadza - iż Betty, czyli Carolyn Blossom jest Murzynką. Betty się nie zgodziła. W tym roku po raz czwarty zdobyła nagrodę magazynu *Radio* dla najlepszej amerykańskiej aktorki komediowej; nagrodę, którą Gracie Allen wygrała dziewięciokrotnie. Jack chciał, by Carolyn wraz z mężem towarzyszyła jemu i Kimberly oraz państwu

Sullivanom na uroczystej kolacji z okazji wręczenia tych nagród i w ten sposób pozwoliła światu dowiedzieć się, że Betty to Carolyn Blossom.

- Nie! - stwierdziła, gdy jej to zaproponował. - Nie! Mam pozwolić, by ten tłum nazywał mnie czarnuchem? Nawet gdyby mnie tak nie nazwali, to tak będą myśleć. Już dawno pan i ja zdecydowaliśmy się na tę grę. To nie ma sensu. Dawno minął czas na postawienie tej kwestii. Nie zrobiliśmy tego wówczas i nie mam zamiaru robić tego teraz.

- Chodzi o zasadę — rzekł Jacek.

- Jeśli nie chodziło o nią przedtem, to dlaczego dziś jest to kwestią zasad? - odparła, potrząsając głową. - Powiedział mi pan kiedyś, że najważniejszą rzeczą jest posiadanie pokaznego konta w banku. No cóż, ja mam takie konto. Wraz z mężem zamieszkamy teraz na południu Francji. Będziemy tam sąsiadami Josephine Baker. Właśnie ona powiedziała, byśmy tam przyjechali.

- Cóż, cholernie mi przykro. Powinienem już dawno stanąć w obronie tego, co słuszne.

- Doskonale się bawiłam przez trzynaście lat, a pan płacił mi szczerze. Jestem panu bardzo wdzięczna.

- To ja jestem wdzięczny pani. Długo była pani ostoją naszych programów rozrywkowych. Naprawdę przykro mi, że...

- Jack... żadne z nas nie było wystarczająco silne, by walczyć i być poważanym; pan - aby to robić, ja - aby na to nalegać. Napakowaliśmy sobie kieszenie dolarami za nasze tchórzostwo. Może pewnego dnia przyjdzie nam się z tego wytłumaczyć. Jednak tymczasem ja zabieram swoje, wyjeżdżam i będę się nimi cieszyć.

5.

Lata wojny nie osłabiły zaraźliwego entuzjazmu Herba Morrilla. Co prawda nigdy nie zdołał przekonać Jacka Leara, że Jack Benny jest zabawny, ale przekonał swego szefa do wielu innych rzeczy.

- Przysięgam wam, że to będzie działać - mówił do Jacka, Mickeya Sullivana i Emila Durenbergera. Durenberger uzyskał zwolnienie z wojska i pracował dla sieci radiowej Jacka Leara. Jack nazywał go Kapitanem, bo Durenberger był w randze kapitana, gdy pierwszy raz się spotkali. Teraz, w ostatnich dniach stycznia, siedzieli razem w gabinecie Jacka. - Nie tylko technologicznie, ale komercyjnie.

- Gdzie mam pojechać, żeby to zobaczyć? - zapytał Jack.

- Tylko do Cambridge. Mają tam jeden aparat w laboratorium na

Harvardzie. Profesor Loewenstein jest tym ekspertem, który nam to zademonstruje.

Tego samego popołudnia Herb, Jack i Kapitan zasiedli w zaciemnionym laboratorium i wpatrywali się w dziwny, niewielki cylinder z nikłym i mglistym obrazem na dnie. Rzecz osobliwa, że ten obraz był ruchomym wizerunkiem ich samych. Na nich bowiem skierowana była kamera, która tworzyła ów obraz.

Jack był urzeczony. Gestykulował i obserwował własną gestykulację na przedniej stronie owego cylindra promieni, jak nazywał ten przedmiot profesor. W kamerze, wyjaśniał uczony, znajduje się ortochromatyczna lampa analizująca, która zamienia światło na impulsy elektryczne, a kineskop umieszczony w cylindrze przetwarza te impulsy na światło.

Profesor Friedrich Loewenstein mówił z twardym niemieckim akcentem. Był młodym, wysokim, mocno zbudowanym blondynem.

- Rzecz polega na tym, panie Sear...

- Lear.

- Ach, tak. Przepraszam. Rzecz polega na tym, iż sygnał obrazu może być przekazywany na tej samej częstotliwości radiowej w taki sam sposób jak sygnał dźwiękowy.

- Za pięćdziesiąt lat - rzekł, uśmiechając się Jack.

- Nie, proszę pana - odparł profesor Loewenstein. - To już zostało zrobione. W roku 1939 obrazy z Wystawy Światowej przekazywano do odbiorników na dolnym Manhattanie. Kilka lat wcześniej dokonano tego w Anglii. Gdyby nie wojna, już dziś działałyby stacje przekazujące obraz i dźwięk. Podczas wojny wszystkie nasze siły i środki poświęciliśmy rzeczom takim jak radar i sonar. Ta technologia została odłożona na dalszy plan. Teraz wszyscy są zainteresowani ponownym uzyskaniem jej możliwie najszybciej.

- Jak się ją nazywa? - zapytał Jack.

- W tej kwestii nie ma pewności. Ponieważ przekaz dźwięku nazwano słowem „radio”, więc może to jest „video”.

Jack wskazał na odbiornik będący spletem przewodów i jarzących lamp, których nie okrywała żadna skrzynka.

- Przypuśćmy, że jakaś rodzina zechce mieć to w domu, tak jak amatorzy radia. Ile to będzie kosztować?

- To tylko przypuszczenie, panie Lear - odparł profesor Loewenstein - ale niektórzy z nas sądzą, że koszt produkcji odbiornika może być mniejszy niż tysiąc dolarów.

- Będzie więc kosztować więcej niż samochód — zauważył Durenberger.

- I może być więcej wart - rzekł Jack. - Każda rodzina mogłaby siedzieć przed tym czymś i oglądać obrazy z całego **świata**, najnowsze wydarzenia pokazywane właśnie wtedy, kiedy się toczą. Pomyśl o jednej z tych Rooseveltowskich pogawędek przy kominku nie tylko z jego głosem, ale i z twarzą.

- To bardzo możliwe - przyznał profesor Loewenstein.

Kapitan potrząsnął głową.

- Długa droga...

- Gdzieś u kresu owej drogi to mogłoby nas wyeliminować z rynku - oświadczył Jack. - Pozwoli pan, profesorze, że o coś zapytam. Czy byłby pan gotów przyjąć jakieś honorarium, by zostać doradcą mojej spółki i dostarczać nam informacji o rozwoju tej technologii... łącznie z nazwami innych zainteresowanych nią spółek?

- Będę musiał poważnie się nad tym zastanowić - odparł profesor Loewenstein.

Tydzień później profesor Loewenstein zatelefonował do Jacka i powiedział, że podpisze umowę konsultacyjną z jego spółką radiową.

- Trudno panu odmówić, panie Lear.

Jack rozmawiał o profesorze Loewensteinie z Solomonem Weismanem. Weisman, który już wcześniej zwerbował Jacka do organizacji B'nai B'rith, znał profesora Loewensteina jako Żyda, który opuścił Niemcy jako dwudziestolatek w 1934 roku. Loewensteinowi zaś Weisman opowiedział o usługach, jakie Jack oddał zarówno sprawie zrozumienia przez Amerykanów nazizmu, jak i kwestii przystąpienia Ameryki do wojny.

- Nie jestem gotów zainwestować wiele w tę „video”-rzecz - powiedział Jack profesorowi - ale chcę być dobrze poinformowany o jej rozwoju.

6. - środa, 14 lutego 1945 roku

- Oto co ona mi robi - mówił Jack do Connie, ściskając palcami wałeczki ciała na brzuchu. - Wiesz, co zrobiła? Rzuciła palenie. Rzuciła picie. Przeszła na surową dietę, by stracić na wadze. Waży teraz niemal równie mało jak wtedy, gdy braliśmy ślub. Ja zaś ważę dziesięć kilogramów więcej i mam się tego wstydić.

Byli w sypialni Connie. Dochodziło południe i jej dzieci były w szkole.

- Rzeczywiście jesteś bardziej krzepki niż byłeś - powiedziała.

- Ty także chcesz mi dokuczyć?

Przeturlała się na niego.

- Jesteś jednak wspaniały - powiedziała z westchnieniem - i bardzo... przekonywający. Jack, zaryzykujemy rano łyczek szkockiej?

- Czemu nie? Po cóż żyć według zasad?

Włożyła domową suknię, zeszła na dół i wróciła z butelką Black & White, dwiema szklaneczkami i miseczką lodu.

Nie musiał jej zachęcać, by się rozebrała. Ona zaś rozebrawszy się powiedziała, że chce, by ocenił jej ciało. Miała trzydzieści cztery lata i w czasie jego nieobecności przybrała nieco na wadze. Jej długie nogi były smukłe jak zawsze, a okazałe piersi bardzo zachęcające. Stwierdził i powiedział, że wygląda wspaniale.

Odstawiła szklaneczkę i sięgnawszy po jego penis badała go długimi, delikatnymi palcami. Robiła to tak, jakby chciała odnowić swoją z nim znajomość, a potem uniosła mosznę i łagodnie masowała jądra.

- Zamierzam z tobą zgrzeszyć, Jack - wyszeptwała. - Oby dobry Bóg mi to wybaczył!

- Przechodząc do lizania? Właśnie to wydawałaś się lubić najbardziej, gdy...

- Lizać? Powiedziałam, że zamierzam zgrzeszyć!

- Jestem za tym. Jednak nie zapominaj, że istnieje pewne ryzyko.

- Jack... Mam cię tylko lizać? Ja nie mogłabym się zadowolić wyłącznie tym. Nauczyłeś mnie przyjemności odczuwania mężczyzny... w środku. Przed tobą nie wiedziałam, że mogę to lubić. Przypomnij sobie. Ale teraz, Jack! Nie miałam mężczyzny od półtora roku!

Sięgnął po marynarkę i wyjął z kieszeni przerwatwę.

- No cóż, lepiej jeśli użyjemy...

- Och, nie! Nie! Robienie tego z tobą jest wystarczającym grzechem. Ale grzeszyć z tym na tobie...

- Connie, możesz zająć w ciążę.

- Nie. Bardzo dokładnie policzyłam dni. Właśnie dziś mogę zażywać rozkoszy i nie zajdę w ciążę. I chcę zażyć rozkoszy!

7.

Właśnie w tym miesiącu Jack nabył kolejną stację radiową; w Atlancie. Teraz sieć radiowa Leara liczyła ich już jedenaście. Bystry „Kapitan” Durenberger zasugerował też Jackowi, że jego sieć powinna zmienić nazwę z Lear Broadcasting na Lear Network, Incorporated, posługiwać się skrótem LNI i mieć znak graficzny. Gdy Jack kupił ten pomysł, Durenberger zatrudnił plastyka, by zaprojektował odpowiednie logo.

Dla Durenbergera było oczywiste, że sieć radiowa Jacka potrzebowała czegoś więcej niż znaku graficznego, który mógł być **używany jedynie** w reklamach prasowych. Ta sieć powinna mieć melodyjny, łatwy do zapamiętania sygnał dźwiękowy.

Jack wiedział coś o radiowych sygnałach dźwiękowych. Sponsorowane przez rządy stacje krótkofalowe na całym świecie rozpoczynały swój codzienny program od powtarzanej kilkakrotnie frazy muzycznej, którą zwykle stanowiły pierwsze takty państwowych hymnów. Stany Zjednoczone nie używały pierwszych taktów *Gwiaździstego Sztandaru* lecz tych, które pochodziły z *Kolumbii*, *Perły Oceanu*. Dla swojej sieci Jack wybrał więc pierwsze takty *Gwiaździstego Sztandaru* nagrane na ksylofonie.

8.

„Kapitan” Durenberger nie znosił latania, więc w marcu wsiadł w pociąg do Los Angeles, gdzie zaangażował aktorkę filmową Sally Allen, która podpisała pięcioletni kontrakt z siecią Jacka. Zobowiązał sieć do wypłacania jej pół miliona dolarów rocznie za dwadzieścia półgodzinnych występów, co zostawiało jej czas na zrobienie przynajmniej dwóch filmów w roku. Było to zgoła niesłychane honorarium za taką ilość występów w sieci jedenastu stacji. Za zwolnienie z owego kontraktu miała zapłacić dziesięć procent honorariów otrzymanych za realizowane filmy.

Gdy Jack i inni oburzali się szczodrymi warunkami owego kontraktu, ktoś znalazł czas, by przeczytać sto paragrafów i odkryć, że Sieć Radiowa Jacka Leara miała też prawo akceptować bądź odrzucać jej kontrakty filmowe. Co więcej; miała też prawo do odsprzedania swojej akceptacji.

- To cudownie proste - powiedział Durenberger Jackowi z diabelskim błyskiem w oku. - Występy radiowe zrobią z niej większą gwiazdę niż film, a my sprzedamy jej kontrakt temu, kto zaoferuje najwyższą stawkę, odzyskując znaczną część, jeśli nie całość naszych pięciuset tysięcy.

9. - wtorek, 17 kwietnia 1945 roku

Godność Connie nigdy jej nie zawiodła. Nigdy też nie opuścił jej styl. Wyglądała na oszołomioną, gdy spotkała się z Jackiem na lunchu w salonie dla pań w Common Club. Jack wciąż miał wrażenie, że Connie

była jedyną kobietą w Bostonie, która urodą i elegancją mogła dorównać Kimberly.

Gdy drinki stały już przed nimi i uniósł ku niej swój kieliszek, Connie złożyła spokojne, proste oświadczenie.

- Byłam u lekarza, Jack. Jestem w ciąży.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

1.

- Jeśli sądzisz, że nadal będziesz mieszkać w tym domu i dzielić ze mną sypialnię, to znaczy, że straciłeś rozum!

Jack spodziewał się tego, podobnie jak przypuszczał, że Connie zatelefonuje do Kimberly i powie, że urodzi jego dziecko. Nie sądził jednak, że zadzwoni do Kimberly natychmiast, prawdopodobnie z telefonu znajdującego się w klubie. Sam chciał być tą osobą, która przyniesie tę wieść Kimberly, ale nie miał już na to szans. Teraz stał więc w obliczu nie hysterii, lecz zimnej furii.

- Connie, Connie, wielkie nieba, ta Connie, która była wychowywana jak zakonnica i nie miała pojęcia, „jakież to zło czai się w sercach mężczyzn”! - krzyczała dalej Kimberly. - Jeśli już musiałeś się z jakąś pieprzyć, to dlaczego nie pieprzyłeś się z Betsy, która... Czemu o to pytam? Prawdopodobnie z nią pieprzyłeś się także!

Jack napełnił szkocką dwie szklaneczki. Jedną wręczył Kimberly, niemal pewien, że tą szklanką w niego rzuci. Nie uczyniła tego. Siedział w salonie, który ona nerwowo przemierzała.

- Wiesz, co to miasto o tobie pomyśli?! Poza tym, że zerżnąłeś Constance Horan? Boston dowie się teraz, że jesteś małym kalifornijskim ickiem...

- Tego już za dużo, Kimberly! - warknął.

- ...prymitywnym, wulgarnym... synem swego ojca - syczała przez zęby - prostakiem, który tu przyjechał i pasożytował na Wolcottach, a potem rozmyślnie ich zdradził!

- To nie było rozmyślne - mruknął.

- Och, a zatem będzie - Kimberly wykrzywiła usta w złym, szyderczym uśmiechu. - Cały Boston dowie się o wszystkich szczegółach twojej perfidnej zdrady.

- To tylko zrani dzieci - powiedział cicho Jack.

- To zrani dzieci?! A to, co ty zrobiłeś?!
- Zrani również Connie.
- Coś podobnego! Biedna, mała Connie! Biedna, mała, niewinna Connie! Wystarczyło jej jedno spojrzenie na twojego fiuta, a już nie mogła się doczekać, żeby go poczuć w swojej szparce!

2.

Jack Lear i Harrison Wolcott usiedli razem w barze klubu. Pozostali goście trzymali się od nich z daleka, gdyż wielu wiedziało, o czym ci dwaj mężczyźni będą dyskutować.

- Zaangażowała adwokatów. Wniosą sprawę o rozwód - powiedział Wolcott. - Kimberly ma argument, który w Massachusetts jest przekonujący. Nie jest też skłonna wybaczyć. Najgorsze, że czuje się upokorzona. Constance Horan to jedna z jej najlepszych przyjaciółek. Kimberly jest przekonana, że cały Boston się z niej śmieje.

- Bzdura.
- Gdybyś chociaż nie zrobił tamtej dziecka!
- Spróbuj uprawiać seks z ortodoksyjną katoliczką, nie robiąc jej dziecka!

- Rozumiem - uśmiechnął się Wolcott. - W przeszłości wielu z nas miało ten problem z irlandzkimi dziewczynami. To bostońska specjalność.

Jack przeszedł do ustaleń i wymagań. Pozwolono mu widywać dzieci w sobotnie popołudnia i tylko przez dwie godziny.

- Adwokaci Kimberly radzą jej, by zażądała wszystkiego - poinformował go Wolcott.

- Mógłbym być bardzo nieprzyjemny - odparł spokojnie Jack. - To prawda, że kilka razy przespałem się z Connie, ale Kimberly podczas mojej nieobecności miała dziwny romans z Dodge'em Hallowellem.

- Będą zaprzeczać.
- Potrafię to udowodnić.
- Naprawdę? W jaki sposób?

Jack patrzył przez chwilę w tchnące naiwnością oczy teścia.

- Chyba nie powinienem ci tego mówić.
- Mam nadzieję, że rozmawiamy jak przyjaciele - rzekł na to Wolcott i skinął na barmana, by nalał im następną kolejkę. - Sądziłem, że mógłbym grać rolę pośrednika między wami.

- W porządku; doceniam tę intencję. Jednak nie spodoba ci się to, co powiem. Widzisz, Harrison, mimo owej ogłady, jakiej Kimberly, jej zdaniem, mi przydała, wciąż jestem synem swojego ojca i bratem mego

brata. Kimberly powinna się zastanowić, dlaczego niespełna dwa tygodnie po moim powrocie do domu zniknęła pokojówka. Ona...

- Ty... z pokojówką też...?

- Nie - odparł chichocząc Jack. - Ta pokojówka, która pracowała w naszym domu przez całą wojnę, a ściślej mówiąc przez czas mojej nieobecności, w istocie była prywatnym detektywem. Wątpię, czy chcesz poznać szczegóły tego, co wykryła. Zrobiła fotografie.

- Boże! Co...

- Rzykowała, że nie zaaprobuję robienia przez nią zdjęć. Te fotografie są niewyraźne, Harrison, ale można powiedzieć, kim są i co robią uwiecznione na nich osoby. Na trzech zdjęciach Kimberly nosi kajdanki.

- Kajdanki?!

- Tak. Obawiam się, że tak.

- Kimberly... - wyszeptał Wolcott.

- Nie zaskakuje mnie to - mówił dalej Jack. - Wiedziałem, że ma... szerokie upodobania. Moja prywatna agentka skontaktowała się ze mną listownie, ale napisała jedynie: „Sprawy mają się tak, jak pan podejrzewał. Czy chce pan szczegółów?” Nie chciałem. Nie chciałem, by owe szczegóły powierzone zostały poczcie. Dopóki nie wróciłem do domu i nie usłyszałem jej raportu osobiście, nawet nie wiedziałem, kim jest ten mężczyzna.

- Zamierzasz to ujawnić? Przedstawisz to w sądzie jako dowód?

- Nie. Chyba, że Kimberly okaże się całkowicie nierozsądna.

- Czy mogę jej powiedzieć, że masz dowody świadczące przeciwko niej? - zapytał ze smutkiem Wolcott.

- Zrób to, co uważasz za najbardziej stosowne.

- Zamierzam skłonić Kimberly, by była rozsądna. Sam zaś mam nadzieję, że możemy zostać przyjaciółmi, Jack.

- Ja również mam taką nadzieję. Jestem ci głęboko zobowiązany, Harrison, zarówno za te akty uprzejmości, o których nawet nie wiem, jak i za te, które znam.

3.

W ciągu owych miesięcy, jakie minęły od jego powrotu do domu, Jack i Anna co tydzień pisywali do siebie listy. Były one wypełnione najnowszymi wiadomościami. Londyn zajaśniał już światłami, ale brakowało w nim wszystkiego. Jack pisał do Anny, że za nią tęskni, ona zaś zapewniała, że tęskni za nim. Tylko tyle mogli sobie powiedzieć.

Następnego ranka po rozmowie z Harrisonem Wolcottem Jack wysłał do Anny depezę.

KIMBERLY WYSTĘPUJE O ROZWÓD STOP CHCIAŁBYM PRZYJECHAĆ DO LONDYNU BY ZBADAĆ SKUTKI JAKIE MOŻE TO MIEĆ DLA NAS STOP PRZYŚLIJ DEPEZĘ DO MOJEGO BIURA W BOSTONIE STOP

JACK

Odpowiedź Anny otrzymał nazajutrz.

Z RADOŚCIĄ CIĘ ZOBACZĘ STOP ZAPROPONUJ DATĘ STOP
ANNA

Jack zadepeszował do niej tego samego dnia, pisząc, że proces rozwodowy potrwa kilka miesięcy i byłoby nierozsądnie, gdyby wyjechał do Londynu przed jego zakończeniem. Wyrażał też nadzieję, że sprawa sfinalizuje się przed końcem roku.

Kimberly zażądała pokazania jej fotografii zrobionych przez Rebekeę Murphy. Jack dostarczył odbitki teściowi, który pokazał je w domu przy Louisburg Square.

Kimberly zbladła na widok tych zdjęć.

- No cóż, mimo wszelkich wysiłków, nie da się zrobić dzentelmena z prostackiego icka - skomentowała je gorzko w rozmowie z ojcem.

Harrison Wolcott poczerwieniał z oburzenia.

- Myślę, że powinnaś skorygować swój słownik, Kimberly. Jeśli Jack jest ickiem, to ickami są również John i Joan.

Kimberly poleciła adwokatom naszkicowanie umowy separacyjnej. Opierali się, mówiąc, że mogliby wynegocjować dla niej lepsze warunki, ale była nieugięta i nalegała, by zredagowali tę umowę zgodnie z jej poleceniem, uwzględniając te warunki, jakie jej ojciec wynegocjował z Jackiem.

Kimberly miała otrzymać dwie rozgłośnie radiowe: bostońską WCHS i hartfordzką WHFD. Jack zaś miał odkupić jej akcje w Lear Network Incorporated za kwotę dwustu tysięcy dolarów. Otrzymałaby też dom przy Louisburg Square. Jack płaciłby też po pięćset dolarów miesięcznie na każde z dzieci aż do osiągnięcia przez nie wieku dwudziestu jeden lat oraz czesne i wszystkie inne wydatki związane z wykształceniem.

Zgodnie z sugestią adwokata Jacka Kimberly poleciła do Nevady, by tam wnieść sprawę o rozwód i szybko go uzyskać. Postępowanie sądowe zwieńczone wyrokiem rozwodowym zakończono w piątek 14 września.

4.

Jack odwiedził Dodge'a Hallowella w jego gabinecie w banku.

Pomimo skrywanego napięcia i nie dającej się ukryć bladości Dodge udawał serdeczność i zachęcał Jacka, by wygodnie usiadł. Jego gabinet, choć nie tak imponujący jak gabinet Harrisona Wolcotta, był elegancki i ozdobiony zabytkowymi modelami statków wielorybnych. Na półce za biurkiem pyszniła się kolekcja ozdób z wielorybich zębów.

- No cóż, Jack... Ja... ja nie wiem, co powiedzieć.

- Nie przejmuj się. Ja wiem.

- Mam nadzieję, że rozumiesz okoliczności.

- Rozumiem. Nie potrafię jednak zrozumieć, jak mogliście być tak cholernie głupi. Mój Boże, człowieku! Nawet po tym jak zażądała, bym opuścił dom, a ja to zrobiłem, pieprzyliście się w tym małym mieszkanku, które wynajęłeś po drugiej stronie rzeki.

- Twój detektyw wyszedł nas nawet tam? - zapytał zatrwożony Dodge.

- Nie jestem dżentelmenem, Dodge. Kimberly ci o tym nie powiedziała?

Twarz Dodge'a pociemniała.

- Pokazała mi te fotografie.

- Zamierzasz się z nią ożenić?

Dodge z trudem przełknął ślinę.

- Rozmawialiśmy o tym - odparł.

- W porządku. To sprawi, że moja propozycja będzie znacznie bardziej smakowita. Zgodnie z warunkami rozvodu Kimberly ma dostać dwieście tysięcy dolarów za swoje akcje w mojej sieci radiowej...

- Natychmiast pożyczymy ci tę kwotę - przerwał mu szybko Dodge. - Mój bank pożyczyci dwieście tysięcy dolarów na bardzo niski procent. Bardzo niski.

Jack odpowiedział mu uśmiechem.

- Mam zupełnie inny pomysł - rzekł. - Ponieważ zamierzacie się pobrać, przelew funduszy z twojego konta na jej rachunek zbilansuje się w kategoriach waszych wspólnych aktywów. Dasz mi te dwieście tysięcy dolarów, ja dam je Kimberly, ona wyjdzie za ciebie za męża i pieniądze wrócą na wasze wspólne konto. Jestem pewien, że masz tyle pieniędzy, ale jeśli nie, to możesz je przecież pożyczyć ze swojego banku. Na bardzo niski procent.

- To byłoby niezgodne z regulaminem - odparł poważnie Dodge.

- Pomysł o jeszcze jednej korzyści z takiego rozwiązania - powie-

dział Jack. - Wszak reputacja uczciwego człowieka to cenny walor w bankowości...

Dodge wstał.

- Istnieje pewna celna nazwa na określenie twojej propozycji - rzekł sztywno. - Jednak ją akceptuję. Zaraz wypiszę ci czek.

- Dziękuję, Dodge - odparł Jack. - Jesteś prawdziwym dżentelmenem... i praktycznym człowiekiem interesu.

5.

W sobotnie popołudnia, dwa razy w miesiącu Jack mógł przychodzić do domu przy Louisburg Square, by spotykać się z dziećmi.

- Gdzie jest mama? - zapytał dzieci któreś soboty.

- Na górze.

- Na co macie dzisiaj ochotę?

- Chcielibyśmy pójść do kina - powiedział John - ale nie mamy czasu. Nie zdążylibyśmy wrócić punktualnie.

- Mama nie będzie miała nic przeciwko temu, jeśli się trochę spóźnimy.

Mały John potrząsnął głową.

- Nie. Będzie się gniewać.

Podczas kolejnego sobotniego spotkania John powiedział Jackowi, że Kimberly była bardzo zła.

- Powiedziała, że już nigdy nie zabierzesz nas na wycieczkę samolotem!

- Ale dobrze się bawiłeś, prawda? Jeśli zrobimy to jeszcze raz, nie powiemy mamie o tym. Dobrze?

- Chcę ci powiedzieć coś jeszcze, tatusiu... - rzekł John z wahaniem. - W ostatnią niedzielę mama zabrała nas do kościoła.

- To dobrze.

- Ale, tatusiu... Mama kazała nas ochrzcić!

Jack zmarszczył brwi, ale stłumił to niezadowolenie tak szybko jak mógł.

- Nie przejmuj się, synku - powiedział łagodnie. - To nie przynosi żadnej ujemy.

- Ale rani twoje uczucia.

- Być może. Jednak nie ty to zrobiłeś, a mama. Nie myśl o tym.

- To było wstrętne - odparł, krzywiąc się, mały John.

Oprócz konieczności zmagania się z jadem Kimberly, Jack musiał też poradzić sobie z decyzją Connie dotyczącą ich dziecka, które miało się

urodzić w listopadzie. Gdy Dan Horan w lipcu wrócił z Anglii, Connie obwieściła Jackowi przez telefon:

- Dan chce wychowywać to dziecko tak, jakby był jego ojcem.

- Przekaż Danowi moje najserdeczniejsze podziękowania Connie. Jest wspaniałym, wielkodusznym człowiekiem.

- Dziecko nigdy nie może się dowiedzieć, że Dan nie jest jego prawdziwym ojcem. To oznacza, że nie będziesz mógł go widywać ani utrzymywać z nim jakichkolwiek kontaktów. Żadnych świątecznych czy urodzinowych kartek, ani prezentów. Nic. Dan i ja będziemy wychowywać to dziecko tak, jak uznamy za stosowne. Rozumiesz, co mam na myśli. Nie wolno ci się wtrącać.

Spod zamkniętych oczu Jacka płynęły łzy.

- Rozumiem - powiedział cicho. - Zastosuję się do waszych życzeń.

- I jeszcze jedno Jack - dodała Connie, zanim odłożyła słuchawkę. - Nigdy więcej się z tobą nie spotkam. Nawet publicznie.

Pod koniec listopada do Jacka zatelefonował Harrison Wolcott.

- Connie urodziła wczoraj dziewczynkę. Dali jej na imię Kathleen.

6. - grudzień 1946

- Ślub weźmiemy w Weldon Abbey - powiedziała Jackowi Anna. - Arthur stanowczo na to nalega. Rose mówi, że nie chce słyszeć o niczym innym. Nic innego, jak twierdzi Arthur, nie byłoby właściwe.

Arthur, młodszy brat zmarłego męża Anny był dziesiątym Lordem Weldon, a jego żona Rose dziedziczyła po Annie tytuł hrabiny Weldon.

- Zróbmy więc to, co jest właściwe - rzekł Jack.

Pojechali do Weldon Abbey dwa dni przed ceremonią. Posiadłość nie była jedną z tych najwspanialszych angielskich rezydencji, ale miała patynę wieku i szlachetności. Zbudowano ją w siedemnastym wieku na ziemi należącej niegdyś do klasztoru zamkniętego przez Henryka VIII. Czwarty Lord Weldon był koneserem sztuki i w całej Europie kupował obrazy. Jeden z mało znanych, ale cenny obraz Rembrandta wisiał w rozległym holu, który Czwarty Lord uczynił swoją galerią. Znalazł się w niej także namalowany przez Anthony'ego Van Dycka portret osoby, której nikt nie potrafił zidentyfikować, a także domowa scena Vermeera, jakiś akt pulchnej młodej kobiety autorstwa Bouchera i portret żony Czwartego Lorda będący dziełem sir Joshuy Reynoldsa.

Chociaż Jack i Anna mówili, że chcą, aby ich wesele było skromne i przedstawili krótką listę zaproszonych, to jednak lord Arthur oraz hrabina Rose mieli inną wizję i zaprosili wielu szlachetnie urodzonych gości.

Większości z nich Jack w ogóle nie umiał zidentyfikować. Przybył też Anthony Eden, a także Duff Cooper i lady Diana. Vita Sackville-West, która była daleką krewną Anny, uczestniczyła w tej uroczystości wraz ze swym mężem Haroldem Nicolsonem. Zjawili się również Max Beaverbrook i Randolph Churchill. Wśród weselnych gości znalazła się także Kay Summersby.

Jack zasugerował tylko kilka nazwisk, chcąc, by w jego ślubie wzięli udział Curt i Betsy Frederickowie, którzy wciąż znajdowali się jeszcze w Londynie; Mickey Sullivan i „Kapitan” Durenberger oraz Herb Morrill z żoną. Chętnie zaprosiłby też Harrisona Wolcotta, ale doszedł do wniosku, że byłoby to niestosowne. Na listę gości nie wpisał również żadnego nazwiska z Kalifornii.

W przeddzień ślubu Anna wzięła Jacka na spacer po posiadłości.

- Spodziewałam się, iż właśnie tutaj spędzę resztę mojego życia. Te przeklęte Szwaby! - powiedziałwszy to, chwyciła dłoń Jacka i uściśnęła ją. - Przepraszam, jeśli...

Pocałował ją tklawie.

Szli wzdłuż galerii, a Anna pokazywała mu każdy obraz. Gdy dotarli do Buchera, owego aktu młodej kobiety, zapytała Jacka, co o nim myśli.

- Erotyczny... - mruknął z lekkim uśmiechem.

- Będiesz go często oglądać. To nasz ślubny podarunek od Arthura i Rose.

Tradycja nakazywała, by pan młody w dniu zaślubin nie oglądał narzeczonej przed ceremonią. Dziesiąty Lord wziął więc Jacka na przejażdżkę i jadąc w deszczu wygłosił obszerny wykład zarówno o dziejach swojej rodziny, jak i o historii rodu Anny.

- Jej pochodzenie jest pod wieloma względami bardziej szlachetne niż moje. Ród Anny jest bowiem przynajmniej sto lat starszy. Kroniki historyczne dowodzą, że jeden z przodków Anny został ścięty w Tower z rozkazu króla Henryka VIII - lord Arthur uśmiechnął się szeroko, pokazując zęby. - My Flemingowie, Lordowie Weldon, nie możemy pochwalić się takim zaszczytem.

- Nie mam rozległej wiedzy o moim pochodzeniu, sięgam nią bowiem jedynie do swojego dziadka, który był profesorem w Berlinie i uciekł z Prus, by uniknąć służby wojskowej.

- Anna jest wspaniałą dziewczyną, Jack. Będzie dla ciebie najlepszą żoną.

- Jestem zaszczycony, że przyjęła moje oświadczenia.

- Byłbym nie w porządku, gdybym nie opowiedział ci o pewnych faktach — rzekł lord. - To małżeństwo zdumiewa wielu ludzi, którzy różnie je sobie tłumaczą. Niektórzy mówią, że rodzina bankrutuje i stoi przed

utrata posiadłości Weldon Abbey i że to ja zaaranżowałem ten ślub, żądając od ciebie jakiejś ogromnej kwoty, co oczywiście nie jest prawdą. Nie przyszłoby mi do głowy prosić cię o pieniądze.

- Gdyby okazało się to konieczne, rzecz nie leży poza sferą możliwości... w pewnych granicach - odparł Jack.

- Ależ nie! Niech Bóg broni! W tym małżeństwie nie ma niczego interesownego. Kochacie się! Rose i ja zrozumieliśmy to, kiedy pierwszy raz zobaczyliśmy cię w York Terrace.

- Ja naprawdę kocham Annę. Możecie być tego pewni.

- Niektórzy mówią, że jesteś wielkim uwodzicielem.

- Arthurze - rzekł Jack, pierwszy raz zwracając się do lorda po imieniu. - Będę z tobą równie szczery jak ty ze mną: Annę i mnie nie łączyły żadne intymne kontakty.

- Mój Boże, człowieku! Nie musiałeś mi tego mówić!

- Dlaczego? To prawda. Jesteśmy w sobie bardzo zakochani, a ja pierwszy raz w życiu nie poprosiłem kobiety, żeby dała mi dowód swojej miłości.

W grudniu słońce w Anglii zachodzi wcześniej i było już ciemno, gdy Jack wyszedł ze swego pokoju, by wypić małą whisky, zanim weselni goście zgromadzą się w galerii.

Jack i Anna zgodzili się na półoficjalne wesele. On wystąpił w nowym granatowym garniturze, ona zaś nosiła prostą sięgającą do kostek suknię z różowego jedwabiu i kapeluszy z różową szyfonową woalką. Jack szepnął stojącemu obok niego Curtowi, że nigdy nie widział nic równie pięknego. Kamienną posadzkę galerii rozświetlonej setką świec zdobiły klomby „gwiazd betlejemskich” sprowadzonych z Ameryki. Z wyjątkiem dwu starszych dam, które siedziały w fotelach, wszyscy goście stali podczas ceremonii.

Ślubne nabożeństwo odprawił proboszcz parafialnego kościoła, który dzień wcześniej dokładnie wypytał Jacka o przekonania religijne i przyjął jego obietnicę, że dzieci zrodzone z tego małżeństwa będą ochrzczone i wychowywane w duchu chrześcijańskim.

Po ceremonii zaślubin wydano uroczystą kolację, która odbyła się w wielkiej jadalni na stole z 1687 roku i tak dużym, że mogli przy nim zasiąść wszyscy goście. Z portretów w złotych ramach na tę oświetloną świecami scenę spoglądali wszyscy Lordowie Weldon, łącznie z pierwszym mężem Anny, Basilem, Lordem Dziewiątym. Podano zupę żółtą i pieczeń z dwóch jeleni upolowanych w posiadłości kilka dni wcześniej, a na deser śliwkowy pudding, który wielkością przypominał wannę.

O dziesiątej wieczorem Dziesiąty Lord i Hrabina Weldon odprowadzili nowożeńców do ich małżeńskiej sypialni oświetlonej płomieniami

ogromnego kominka. Panował w niej nieprzyjemny chłód, ale szybko odkryli staroświeckie grzałki włożone pod prześcieradła wielkiego łoża z baldachimem, w którym, jak mówiono, król Edward VII spał niegdyś ze swoją kochanką, panią Keppel.

Kochali się nie wychodząc spod obszernych watowanych kołder, pod którymi połączyli się w ów nadzwyczajnie bliski sposób...

7.

Noc poślubna Jacka i Anny nie tylko spełniła, ale przeszła ich wzajemne oczekiwania. Fakt, iż odłożyli intymne zbliżenie aż do owej nocy i że tak często myśleli i marzyli o tej chwili, dodał jej smaku, którego inaczej niemal na pewno by brakowało. Jack kochał się ze swą oblubienicą tak jakby była dziewicą: tkliwie, z rozmyślną troską, niczym kruchą porcelanową figurkę, którą mógłby stłuc, przez nadmierny zapach. Anna poszła za jego przykładem i przyjmowała męża ze spokojną powagą, pozwalając mu wyobrażać sobie, skoro tego chciał, że zdobywa dziewicę, chociaż już po chwili stało się jasne, że jest namiętną i płomienną kochanką, która pragnęła go równie mocno, jak on jej.

Pozostali w Weldon Abbey przez całe święta Bożego Narodzenia. Anna udawała się z Jackiem do Ameryki i miała smutne przecucie, że może już nigdy nie zobaczyć tego starego domu. Wzięła Jacka na spacer po posiadłości, pokazując mu ruiny klasztoru i dawnego opactwa, którym pierwsi lordowie pozwolili się rozpaść. Ku wielkiemu zaskoczeniu Jacka wśród ruin kościoła wyniośle stapał paw. Jack nie przypuszczał, że ten egzotyczny gatunek mógł przetrwać w chłodnym klimacie Anglii, lecz Anna zapewniła go, że z pewnością nie jest to jedyna posiadłość, gdzie znajduje się stado pawi.

27 grudnia Jack i Anna pożegnali się z Weldon Abbey i zostali odwiezieni na lotnisko w Londynie, gdzie wsiedli do samolotu udającego się na Majorkę. Spędzany tam przez nich „miesiąc miodowy” miał trwać dziesięć dni.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

1. - 1946

Anna nigdy wcześniej nie była w Stanach, ale sądziła, że Nowy Jork jest miejscem, gdzie chciałyby mieszkać. Jack zgodził się na to, bo zdecydowanie nie chciał mieszkać w Bostonie. Wynajęli więc dom przy East Fifty-fifth Street, a Jack wydzierżawił biuro w budynku Chryslera.

Mickey Sullivan był obok niego, gdy jeden z agentów obrotu nieruchomościami zapytał Jacka, czy może przedstawić referencje potwierdzające jego zdolność kredytową.

- Oczywiście - odparł Jack - można je sprawdzić u pana Harrisona Wolcotta, prezesa korporacji zbrojeniowej i... - tu uśmiechając się rzucił okiem na Mickeya - u pana Dodge'a Hallowella, prezesa banku Boston Common Trust.

Mickey odwrócił się, z trudem tłumiąc śmiech.

Jack nie musiał szukać rekomendacji ułatwiającej mu przyjęcie do renomowanego klubu. Jako absolwent Harvardu został serdecznie powitany w Harvard Club.

Audycje Curta nadawane były teraz ze studia w budynku Chryslera i przekazywane po łączach telefonicznych do wszystkich stacji LNI. Curt i Betsy bowiem także sprowadzili się do Nowego Jorku.

2.

W kwietniu Anna poleciała do Londynu, a stamtąd udała się w podróż do Berlina. W obydwu miastach dużo wspaniałych domów uległo zniszczeniu, ale liczne piękne meble, stare srebra oraz porcelanowe zastawy ocalały i można było je kupić. Wydała większość własnych pieniędzy i część pieniędzy Jacka, nie przypuszczając, że mu ich brakuje. Trzydzieści wyładowanych tymi skarbami skrzyń wysłała drogą morską

do Nowego Jorku. Niewiele z nich dotarło przed jesienią, ale gdy wreszcie przypłynęły i zostały rozpakowane, dom państwa Learów przy East Fifty-fifth Street stał się turystyczną atrakcją miasta.

Umeblowanie, jakie Anna sprowadziła do Nowego Jorku, było doskonałym osiemnastowiecznym rękodziełem, ale żaden z tych sprzętów nie był szczególnie kruchy; owe antyki nie były muzealnymi eksponatami lecz przedmiotami użytkowymi.

- Większość tych mebli pochodzi z Berlina - wyjaśniała Jackowi, gdy pracowali razem, rozpakowując jej nabytki i ustawiając je w pokojach. - Kupiłam je po okazjnych cenach. Jeśli dom rozpada się w gruzy, ludzie ratują wszystko, co można, i sprzedają to, by kupić żywność.

- Przypuszczam, że musiało ci być żal owych ludzi, którzy byli właścicielami tych rzeczy - rzekł Jack.

- Wcale nie było mi ich żal. To oni wywołali wojnę i przegrali. Basil i Cecily byli tylko dwojgiem z wielu milionów wspaniałych, niewinnych ludzi, których zamordowano. Przykro mi, że w ogóle musiałam cokolwiek zapłacić za te meble. Ukradłabym je, gdybym mogła.

Cały dom nie mógł być umeblowany osiemnastowiecznymi antykami. Nie umeblowano nimi ani biblioteki, ani sypialni.

W czasie pobytu Anny w Europie Jack zatrudnił hydraulików, aby wymienili wszystkie urządzenia w czterech łazienkach, zastępując je bardziej nowoczesnymi. Nie mógł znaleźć marmurowej kabiny prysznicowej i bidetu, ale zainstalowałabinę wyłożoną kafelkami, która była dość duża, by mogły w niej brać prysznic dwie osoby.

Przed wyjazdem do Europy Anna kazała mu zatrudnić pokojówkę, mówiąc, że zdaje się na jego wybór. Zaangażował więc trzydziestoletnią ciemnoskórą Priscillę Willoughby, która wcześniej pracowała u aktorki Tallulah Bankhead, dopóki jej przyzwyczajenia nie stały się nadmiernie uciążliwe. Przedstawiła dobre referencje, wśród których znalazła się też rekomendacja od samej groźnej Tallulah.

3.

W grudniu państwo Learowie stwierdzili, że są już dobrze urządzeni w swym nowym domu i wydali przyjęcie.

Zaprosili gości na kolację, której datę wyznaczono na piątkowy wieczór, 13 grudnia. Miało to być małe przyjęcie, nic wielkiego... ot, „próba kostiumowa” przed czymś bardziej okazałym, co zaplanowali na później.

Lista gości była ograniczona do starych przyjaciół i znajomych: Herb Morrill i jego żona, Ester; Mickey Sullivan z żoną Catherine; Curt i Betsy Frederickowie oraz „Kapitan” Durenberger z przyjaciółką.

Anna sugerowała, że to przyjęcie byłoby dla niej dobrą okazją do poznania rodziny Jacka, a kiedy on się zawahał, ona nalegała. Wysłano więc zaproszenia i we wtorek, a zatem trzy dni przed piątkowym przyjęciem depesza z Los Angeles przyniosła informację, że Erich Lear z jakąś znajomą oraz Robert z żoną będą zaszczytzeni uczestnictwem w przyjęciu otwierającym nowy dom Jacka.

Kalifornijscy Learowie przyjechali do Nowego Jorku i zameldowali się w hotelu Waldorf dopiero kilka godzin przed przyjęciem, więc Jack nie miał okazji przedstawienia ich swojej nowej żonie, zanim przybyli inni goście.

- Teraz mogę ci tylko powiedzieć, kochanie, że cię ostrzegałem. Mam nadzieję, że wciąż będziesz mogła mnie kochać, po tym jak zobaczysz, z jakiego środowiska się wywodzę.

Za niespełna pół godziny mieli przyjść goście. Anna pocałowała Jacka, wygładzając mu krawat.

Tego wieczoru miał na sobie jednorzędowy smoking, który przybył niezamawiany i nieoczekiwany - podobnie jak tweedowa marynarka i dwie pary spodni - od jego londyńskiego krawca na Savile Row. Curt wyjaśnił Jackowi, że krawiec uznał to za swój obowiązek, by dopilnować, aby taki dżentelmen był ubrany odpowiednio na wszystkie okazje. Pomógł też Jackowi napisać do owego krawca list z wyjaśnieniem, że nie będzie jeździć konno, polować i wędkować ani też przyjeżdżać do Anglii na wyścigi w Ascot czy do Szkocji na polowania, więc z pewnością nie będą mu potrzebne stroje odpowiednie do tych zajęć. Curt wyjaśnił też, że nie było sensu prosić o rachunek; krawiec bowiem przedłoży roczne rozliczenie, tak jak to robił podczas pobytu Jacka w Londynie. Poradził również Jackowi, by odwiedzał tego krawca ilekroć będzie w Londynie, by mógł on sprawdzać jego wymiary.

Anna i Jack wyszli z sypialni i jeszcze raz obejrzel salony i jadalnię. Wszystko było gotowe. Priscilla w czarnym stroju pokojówki z białym fartuszkami i czepkiem podniosła właśnie z podłogi listek, który spadł z wazonu pełnego złocistych chryzantem. Ponieważ do stołu miało zasiąść tylko dwanaście osób, zasugerowała, by pani Lear nie angażowała na ten wieczór kelnera; kucharz miał zadbać o wszystko w kuchni, a ona będzie podawała do stołu. Teraz Anna była już pewna, że Priscilla doprowadziła wszystko do perfekcji.

Curt i Betsy przyszli pierwsi.

Anna czekała na nich w salonie stojąc przed kominkiem. Za nią, nad

obramowaniem kominka, wisało wielkie lustro od połowy osłonięte draperią. Anna miała na sobie amarantową spódnicę z jedwabnej tafty sięgającą do połowy łydki, czarną kaszmirową bluzkę z rękawami do łokci i wisiorek, który odsłaniał Arthurowski Szmaragd w oprawie z brylantów i platyny.

Jack powitał Curta i Betsy w obszernym holu.

- Anna wygląda... królewsko, Jack - zauważył Curt.

- Jestem z niej bardzo dumny - odparł otwarcie Jack.

- Mój Boże, jaki szmaragd! - wykrzyknęła Betsy, ściskając dłoń Anny.

- To jedyny cenny klejnot z rodzinnej kolekcji Weldonów, jaki przywiozłam ze sobą - wyjaśniła Anna. - Można powiedzieć, że mam go w depozycie. Musi w końcu wrócić. Król Jerzy III podarował ten szmaragd Arturowi, Piątemu Lordowi Weldon, który poparł go w jakimś politycznym sporze. Ósmy Lord zamówił dzisiejsze opracowanie szmaragdu diamentami.

Jack skinął głową ku zmysłowej, nagiej kobiecie spoglądającej z obrazu wiszącego z prawej strony kominka.

- Nie myślcie, że Lord i Hrabina Weldon chcą mieć tanio szmaragd z powrotem. Ten obraz, dzieło Bouchera, jest ich ślubnym prezentem dla nas.

- Nigdy nie widziałam takiego Durera jak ten - powiedziała Betsy, wskazując wiszący nieopodal szkiełko.

Anna udzieliła jej wyjaśnień.

- Albrecht Durer nie lubił chodzić do lekarza, więc szkicował samego siebie nago, wskazując miejsce, które go bolało i mając nadzieję, że na tej podstawie lekarz może postawić diagnozę.

- A tamten obraz na drewnie... *Zwiastowanie...* jest fragmentem obrazu ołtarzowego Mathiasa Grunewalda - rzekł Jack. - Anna złupiła Europę.

- Tylko Berlin - odparła Anna z lekkim uśmiechem.

Przyszli Morrillowie i Sullivanowie, a potem pojawili się kalifornijscy Learowie.

Erich, obecnie sześćdziesięcioletni, był teraz całkiem łysy i cięższy niż wtedy, gdy Jack widział go po raz ostatni.

Towarzyszyła mu jakaś dziewiętnastolatka o płomiennych rudych włosach, dużych niebieskich oczach i umalowanych na czerwono ustach.

- Jack - powiedział ojciec - pozwól, że przedstawię ci dziewczynę o wspaniałej przyszłości w filmie. Oto panna Barbara Tracy.

Barbara Tracy miała na sobie czarną suknię z cekinami, która ją wręcz oblepiała. Jack czuł, że była zażenowana, choć z którego z licznych powodów — tego nie próbował się domyślać.

Erich rozejrzał się po salonie i dostrzegł Annę.

- Jezu Chryste! Wydajesz się mieć talent do jednego. I hrabina także!

- Jest bardzo piękna - powiedziała Dorothy Lear, pozbawiona gustu bratowa Jacka, która niczym Eleonora Roosevelt nie była nieładną kobietą, ale miała niepojęty dar pozbawiania się ponętności. Jednak w przeciwieństwie do pani Roosevelt nie miała jej ujmującej osobowości.

- Och, czy to, co widzę, jest bożonarodzeniową choinką? - zapytał Bob. - Jest również menora. Czyżbyśmy byli tolerancyjni?

- Eklektyczni - odparł Jack.

Anna przywitała powinowatych z dobrze wyuczoną serdecznością. Jeśli Erich spodziewał się wypatrzeć jakiś cień aprobaty, dezaprobaty czy choćby zaskoczenia, to musiał być rozczarowany. Niczego nie dała po sobie poznać.

- Jak mam się do pani zwracać? - zapytał Erich z lekko sardonycznym uśmiechem. - Jaśnie pani?

- Ależ doprawdy, panie Lear, najlepiej po prostu „Anno”.

Erich uśmiechnął się i mocniej uściśnął jej rękę.

- Zamierzasz zostać wspaniałą Amerykanką!

- Z całym szacunkiem Sir; ale zamierzam się starać, by nią nie zostać.

- Okay. Słusznie. Jack nie został Anglikiem będąc w Anglii, i ty nie masz zamiaru zmienić się w Amerykankę.

- Właśnie tak.

Erich pokiwał głową.

- Cóż... Nigdy nie widziałem domu urządzonego z takim smakiem.

- Nie każdego zadowoliłoby to umeblowanie - odparła Anna - ale nam odpowiada.

- Mam nadzieję, że niebawem przyjedziesz do Kalifornii i zobaczysz styl kalifornijski. On również nie odpowiadałby każdemu.

- Jestem pewna, że go polubię, panie Lear.

- Mam nadzieję. Wszyscy nazywają mnie Erichem. Dlaczego nie zwracasz się do mnie tym imieniem?

- Tak się cieszę, że cię w końcu poznałam, Erichu.

Nieco później odbyła się rozmowa syna z ojcem.

- Niezłą panienkę ze sobą przywiozłeś - powiedział sucho Jack.

- Nie chrzań - odparł Erich. - Patrzysz na prawdziwy talent. Ta dziewczyna ma talent. Jest prawdziwa.

- Prawdziwie rudowłosa? - zapytał, krzywiąc się, Jack.

Erich roześmiał się donośnie.

- Ona nie jest ruda!

- Bob podpisał z nią kontrakt?

- Jeśli ja je dmucham, on podpisuje z nimi umowy. Rodzinne zobowiązanie. Może nawet umieści ją w jakimś filmie.

Przy stole obok Ericha posadzono Curta.

- Ile stacji radiowych posiada mój syn? - dopytywał się Erich.

- Trudno będzie panu w to uwierzyć, panie Lear, ale naprawdę nie wiem. Ja jestem dziennikarzem. Wiedzą to Mickey i Herb. Ja zaś myślę tylko, że sieć LNI łączy teraz dwanaście stacji. O ile wiem, jeszcze jedną przejmujemy w styczniu, a kolejną miesiąc później.

- Jack jest piekielnie agresywnym łupieżcą - rzekł Erich ponuro. - Wiem coś o stacji w Richmond. Jack udał się do akcjonariuszy. Ich udziały mogły przynieść piętnaście dolarów i dwadzieścia pięć centów za akcję, ale on zaoferował siedemnaście dolarów. Zarząd znalazł innego inwestora, który był gotów zapłacić siedemnaście dolarów i dwadzieścia pięć centów. Jack pozostał przy swojej ofercie i wysłał listy do akcjonariuszy. Poinformował w nich, że akcja nie jest warta nawet piętnastu dolarów, ale on oferuje siedemnaście, bo wie, że potrafi sprawić, iż stacja będzie bardziej dochodowa i podniesie ich dywidendy. Na spotkaniu akcjonariuszy miał już trzydzieści osiem procent. Właściciele czternastu procent głosowali więc na niego i Jack przejął stację. Wylał z posad cały zarząd, ostrzegając w ten sposób innych, którzy mogliby mu kiedyś stawić opór. Wyrzucił nawet ich cholerne sekretarki. Zwolnił też dwóch spikerów, bo nie podobały mu się ich głosy! Oświadczył, że południowy akcent wyszedł z mody i odtąd stacja w Richmond miała brzmieć jak rozgłośnia w Waszyngtonie czy Filadelfii. Miejscowy kongresmen miał wcześniej bezpłatny czas na reklamę polityczną, ale Jack stwierdził, że to nielegalne i od tej chwili ów kongresmen za wszystko musiał płacić, więc zagroził Jackowi kłopotami ze związkami zawodowymi, ale mój syn kazał się kongresmenowi odpieprzyć. W wyborach w 1946 ów polityk z trudem przeszedł, zdobywając zaledwie siedemset głosów i teraz już nikomu nie grozi związkami zawodowymi. Mój syn jest godnym potomkiem swoich zacnych przodków.

- Tak mi mówiono - odparł ironicznie Curt.

- Nie nauczył się tego paskudztwa ode mnie - stwierdził Erich, który mówił już nieco niewyraźnie z powodu wypitego alkoholu. - Ignorował mnie, nie wyobrażał sobie, bym wiedział cokolwiek, co on chciałby wiedzieć, ale wiesz co...on z tym przyszedł na świat. Jest takim samym draniem jak ja.

- Sądzę, iż przyzna pan, że w nieco innym stylu...

- Taaak... Ale styl się nie liczy. Liczą się rezultaty i mój syn wie, jak je osiągać.

Po kolacji rudowłosa Barbara Tracy rozmawiała z Betsy Frederick.

- Erich mówi, że Anna jest drugą żoną syna i że ta pierwsza była równie piękna i wyrafinowana. Erich powiada też, że ta pierwsza... jak jej było na imię?

- Kimberly.
- No więc Erich powiada, że Kimberly go nie lubiła.
- Myślę, że darzyli się wzajemną antypatią - odparła Betsy.
- Odnoszę wrażenie, że ojciec i syn także nie żywią ku sobie czułych uczuć, ale wydaje się, że nieźle sobie z tym radzą.
- Chętnie utopiliby się nawzajem w łyżce wody - powiedziała zjadliwie Betsy z cieniem uśmiechu na ustach.

4.

W Paryżu Anna znalazła dwie wspaniałe akwaforty Mario Tausina, które najwyraźniej zostały wyjęte z jakiejś teki i profesjonalnie opracowane. Przedstawiały zreżymowane wizerunki nagiej dojrzewającej płciowo pary: chłopca i dziewczyny. Na jednej dziewczyna uśmiechała się leniwie, jakby zachęcała chłopca, by palcem zbadał jej szeroko otwartą szczelinę. Na drugiej chłopiec uśmiechał się szeroko, gdy dziewczyna jedną ręką ścisnęła jego penis, a drugą unosiła jądra. Anna kupiła te akwaforty z myślą o ich sypialni i teraz właśnie tam wisiały.

Anna i Jack wzięli razem prysznic i teraz, leżąc w łóżku, rozmawiali.

- Nie chcę powiedzieć nic złego o Basilu - rzekła - ale on nie cenił niczego takiego jak te akwaforty. Był człowiekiem o bardzo prostych upodobaniach i z pewnością nie doceniłby nawet tego... - Miała na myśli to, co właśnie robiła: delikatne pieszczenie penisa Jacka swymi długimi smukłymi palcami.

- Anglicy mają wiele godnych szacunku zalet - przyznał Jack. - Są dzielnymi żołnierzami, ale niezbyt odważnymi kucharzami i kochankami. Z drugiej zaś strony, angielskie dziewczęta...

- Drań! - roześmiała się Anna, a potem pochyliła się i pocałowała go w jądra. Lizała je czubkiem języka. Wydawało się, iż nigdy nie zdarzyło jej się robić więcej i Jack postanowił nie sugerować jej, by posunęła się dalej. Gdyby tak znalazła swoją drogę... Pozwolił jej szukać.

Odwróciła się na plecy i szeroko rozchyliła nogi. Otwierając palcami szczelinę pokazała mu delikatnie zaróżowione fałdy. Podciągnęła biodra i uśmiechnęła się patrząc, jak Jack wpatruje się w ten kwiat.

Żadna kobieta nie otworzyła się tak przed nim wcześniej. Tej nocy pierwszy raz pochylił się i całował to, co mu pokazała. Nie mógł się temu oprzeć. Dotykał językiem jej fałd, a potem łechtaczki. Jęczała z rozkoszy.

- Wejźdź we mnie, Jack! Wejźdź! Pragnę cię! Nie, żadnej gumy! Zróbmy dziecko! Najwyższy czas, byśmy mieli dziecko!

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

1. - 1947

Jack poleciał do Nowego Orleanu ponieważ „Kap” (jak zwali go teraz w skrócie) Durenberger uparł się, że to ważne, a on nauczył się już pokładać pewne zaufanie w opinii „Kapa”. Poprosił też Curta, by się tam udał wraz z nim. Około szóstej zasiedli więc z „Kapem” i Curtem w salonie hotelowego apartamentu zarezerwowanego wcześniej przez „Kapa”, który teraz nalewał drinki.

- Cóż to za interes? - zapytał Jack. - Pomówmy o szczegółach. Czy możemy nabyć dziewięć stacji naraz?

- Nie nabyć - odparł „Kap”. - Przyjąć. Oni mają dziewięć stacji: Dallas, Shreveport, Memphis, Lexington, Kansas City i jeszcze kilka. Te stacje nie są na sprzedaż. I cała spółka nie jest na sprzedaż. Ale moglibyśmy przyjąć propozycję fuzji. Nadają dużo muzyki country i przekazują doniesienia z rynku: ceny trzody, bydła, zbóż i bawełny. W kilku swoich miastach ponoszą straty na rynku, bo ludzie, którzy chcą słuchać muzyki, pragną też potem usłyszeć coś więcej. Z drugiej strony nie chcą połączenia w sieć, nawet gdyby mogli je uzyskać, ponieważ na wspólny program sieci musieliby przeznaczyć więcej antenowego czasu, niż mają ochotę go dać. My zaś moglibyśmy im zaproponować luźniejszy związek.

- Cóż, to jest sprawa na dzisiejszy wieczór? - przerwał mu Jack. - Jak...

- Gdyby wasz samolot przyleciał wcześniej, zaprosiliby nas na spotkanie w biurze ich radców prawnych. Ale ponieważ przylecieliście tu dopiero o czwartej po południu, myślą chyba o jakimś spotkaniu w klubie, gdzie wszyscy możemy lepiej się poznać. To niezły pomysł.

- Co to za klub?

- Ray L'Enfant zabiera nas do swojego klubu. Na kolację i... coś jeszcze.

- Co?

- Nie jestem całkiem pewien. Zresztą przyjeżdża po nas o siódmej.

L'Enfant przyjechał po nich do hotelu szesnastocylindrowym lincolnem continentalem. Towarzyszył mu Billy Bob Cotton.

Ponieważ nikt prócz Raya nie znał miasta, nie mieli pojęcia, gdzie ich zabiera. Przez pewien czas jechał wzdłuż rzeki, gawędząc dobrotliwie o pogodzie i rozmaitych zapachach, jakie docierały do nich przez otwarte okna samochodu, szczególnie zaś o wyjątkowej woni nisko płynącej rzeki: fetorze zgnilizny morskiego przypływu połączonym z osobliwym odorem mułu Mississippi. Potem wjechali w jakąś okolicę, która przypominała zabudowę sprzed wojny secesyjnej, chociaż poszczególne domy trudno byłoby opisać, bo wszystkie kryły się za wysokimi ogrodzeniami lub murami i grubymi dębami porośniętymi mchem. Te zapachy były tak silne, że aż dusiły niczym mocne perfumy.

- To okolica mitów i legend - rzekł L'Enfant. - W niektórych domach podobno straszy... a w innych są rzeczy gorsze niż duchy.

- Jakie? - zapytał Jack.

L'Enfant zachichotał.

- Żywe trupy. Wampiry. Wilkołaki. Wszystko, co człowiek może sobie wyobrazić, kiedy słyszy osobliwe odgłosy i widzi nieoczekiwane błyski.

- Tak jak chrześcijanie - zaśmiał się „Kap”. - Kiedy nie potrafią sobie czegoś wyobrazić, mówią, że to dzieło Szatana.

- Ja traktuję chrześcijaństwo nieco poważniej - z dezaprobatą w głosie rzekł Billy Bob Cotton.

Billy Bob Cotton pojawił się na ich wieczornym spotkaniu w jasnoszarym garniturze, popielatym stetsonie i w butach z wężowej skóry. Jeśli nawet na pierwszy rzut oka człowiekowi ze Wschodniego Wybrzeża mógł się wydawać prostakiem, to wystarczyło, by powiedział tylko kilka słów, aby wyprowadzić go z błędu.

- Dzisiaj wieczorem nie spotkamy żadnych duchów, diabłów, wampirów ani świętych - rzekł L'Enfant.

Raymond L'Enfant, najmłodszy mężczyzna w samochodzie, był wysoki i szczupły, a na lewym policzku miał błyszczące blizny po oparzeniu. Jak później dowiedział się Jack, Ray latał w czasie wojny na bombowcu P-47 Thunderbolt. Lewa strona jego ciała wręcz się zapaliła, gdy uszkodzonym przez artylerię przeciwlotniczą samolotem lądował na jakimś polu we Francji. Ray zdobył Krzyż za Odwagę i obecnie nosił w klapie baretkę. Teraz nieco gwałtownie zjechał z jezdni i podjechał pod kutą w żelazie gotycką bramę. Zatrzymawszy się przed nią, zamrugał światłami.

Z mroku wyłonił się potężnie zbudowany Murzyn.

- Witamy *monsieur* L'Enfant.

L'Enfant wysiadł z samochodu, dając znak gościom, by zrobili to samo. Murzyn wślizgnął się za kierownicę, by odprowadzić samochód na parking.

Pięciu mężczyzn pieszo pokonało krótki podjazd obsadzony gęstymi i niemile pachnącymi krzakami, a potem wspięli się na drewniane schody wiodące ku obszernej werandzie.

Jakaś kobieta, prawdopodobnie zaalarmowana dzwonkiem uruchomionym przez Murzyna, otworzyła podwójne drzwi domu.

- *Messieurs...*

- *Bon soir*, Antoinette - rzekł L'Enfant. - Dzisiaj wieczorem usiadziemy w dużej sali i obejrzymy pokaz.

Antoinette, która miała przynajmniej pięćdziesiąt lat i nosiła czerwoną obcisłą suknię, zaprowadziła ich do sali, gdzie stało dwadzieścia stołów. Jakiś kwartet - trąbka, saksofon, fortepian i perkusja - grał nowoorleański jazz, czyniąc to jednak nie tak głośno, by uniemożliwić rozmowę.

Duży okrągły stół nakryty był dla sześciu osób, ale obsługa szybko usunęła szóste krzesło, zanim pięciu mężczyzn zdążyło usiąść. Obrus był gruby, a srebra ciężkie. W kryształowym wazonie na środku stołu pyszniło się kilkanaście białych róż.

Po chwili pojawiła się kelnerka.

- Jestem Polly - przedstawiła się. - Czym mogę panom służyć?

Oprócz czerwonych pantofelków i czarnych pończoch zapiętych czerwonymi podwiązkami była całkiem naga. Miała anielską twarz, jasnokasztanowe włosy i jędrne ciało o pełnych piersiach, które wydawały się naciągać jej skórę aż do granic wytrzymałości. L'Enfant zamówił butelkę bourbona oraz butelkę szkockiej i Polly pospieszyła wypełnić zamówienie.

- Nigdy nie mam dosyć tego miejsca - rzekł Billy Bob.

- Nie sądzę, by i mnie się kiedykolwiek znudziło - ozwał się „Kap”.

- Wystąpię z wnioskiem o przyznanie wam członkostwa - powiedział Ray. - Wpisowe wynosi tysiąc pięćset dolarów, a miesięczna składka sto pięćdziesiąt. Oczywiście goście spoza miasta płacą składkę jedynie w wysokości dwudziestu pięciu dolarów.

- Byłbym zaszczycony będąc członkiem tego klubu - przyznał Jack. - Jak brzmi jego nazwa?

- Rzecz w tym, że nie ma on żadnej nazwy. Wasze miesięczne rachunki będą przychodzić z „News Orleans Cotton Club”, ale nigdy nie proście taksówkarza, by wiózł was do klubu o tej nazwie. Każcie mu się zawieźć do... klubu bez nazwy.

Jack się roześmiał.

- Klub Bez Nazwy! Curt, czy nie mamy czegoś takiego w Nowym Jorku?

Curt wzruszył ramionami, ale „Kap” zaśmiał się szeroko.

- Mogę cię zaprowadzić do takiego lokalu przy West Fortyseventh Street na Manhattanie. Ale moim zdaniem nie należy tego robić u siebie. Chcesz takich uciech, poszukaj ich poza miastem. Prawda, Ray?

- Albo w Nowym Orleanie, gdzie umiemy dochowywać sekretów.

- Nie chcę podejmować za niego żadnych decyzji - rzekł „Kap” do Raya, ale gotów jestem zasugerować, że Jack chyba nie chce korzystać z najlepszej oferty waszego Klubu bez nazwy. Niedawno ożenił się z najbardziej niebiańską istotą, jaką można sobie wyobrazić... z angielską hrabiną.

Teraz Jack roześmiał się serdecznie.

- W rewanżu za życzliwość melduję, że „Kap” od niedawna jest także żonaty z niebiańską istotą, dziewczyną z miasta Lubbock w stanie Teksas, skąd sam pochodzi.

- Powiem więc, że pod tym względem nie skorzystamy z oferty tego klubu - odparł Ray. - Wolałbym raczej moją w okolicznościach daleko mniej publicznych. Oczywiście, jeśli wasze kelnerki dają...

- Przychodzę tutaj, żeby patrzeć a nie dotykać - rzekł Billy Bob. - To zaś w pewnym zakresie wzajemnie się wyklucza.

- Dotykania możesz zażywać po powrocie do swego hotelu - powiedział Ray. - Jeśli chcesz, mogę ci nawet coś załatwić, ale ty sam zorganizujesz to sobie bez trudu.

- Tutejsza kuchnia oferuje dania z całego świata - powiedział Billy Bob.

- Jeśli panowie pozwolą, to ja coś zamówię - rzekł Ray - chociaż ostrzegam, że nie będzie to nic, do czego jesteście przyzwyczajeni.

Jack przyjął jego propozycję z uśmiechem.

- Proszę pozwolić mi zapomnieć o tym, do czego jestem przyzwyczajony.

Wypili tylko trochę bourbona i szkockiej, ponieważ Ray zamówił przystawki z odpowiednim winem, którym okazało się czerwone bordeaux.

- Może porozmawiamy o interesach - zasugerował Ray. - Musi pan zrozumieć, panie Lear, że moi współnicy i ja nie jesteśmy zainteresowani sprzedażą ani naszych stacji, ani spółki. Jest nas dziewięciu. Nazywamy się współnikami, ale w rzeczywistości nasz Związek Nadawców jest korporacją i każdy z dziewięciu współników posiada jedną dziesiątą akcji. Te stacje i licencje należą do wszystkich. Oczywiście, jeśli pięciu z nas sprzeda swoje akcje panu, to może pan przejąć

kontrolę nad związkiem. Nie sędzę jednak, by pięciu z nas chciało to zrobić.

- Mam nadzieję, że nie - powiedział Jack. - Nie przyjechałem tu, żeby rozmawiać o kupnie waszych stacji ani o przejmowaniu kontroli nad tą spółką. Szczerze mówiąc, nie mógłbym zgromadzić takiego kapitału, by nabyć w tym roku dziewięć kolejnych stacji. Nazywają panowie swój układ związkiem. Przyjechałem tutaj, by zbadać razem z wami możliwość innego rodzaju związku; związku między wami a mną. Moja propozycja sprowadza się do tego, iż panowie zachowaliby prawo własności i kontroli waszych stacji. Moja sieć dostarczałaby wam pewną ilość programów, które otrzymywalibyście bez konieczności rezygnacji z kontroli waszych stacji, zaś wasz Związek Nadawców dostarczałby programy mojej sieci LNI. Płacilibyśmy sobie za programy, którymi byśmy się wymieniali bądź też w pewnym zakresie handlowalibyśmy nimi na zasadzie wymiany bezgotówkowej.

- Byłoby to skomplikowane przedsięwzięcie wymagające rozpatrzenia wielu aspektów i podjęcia wielu decyzji - rzekł Billy Bob Cotton.

- Oczywiście - przyznał Jack.

Wysoki, obdarzony szlachetną posturą czarnoskóry mężczyzna z siwymi włosami przyniósł ich posiłek i zręcznie serwował go na talerze, wprowadzając manipulując dwiema specjalnymi łyżkami trzymanymi w prawej ręce. Polly obsługiwała tylko dwa stoliki, krążąc między nimi i zajmując się napełnianiem kieliszków oraz pospiesznym powiadamianiem kelnera, gdy widziała, że jakiś gość życzy sobie czegoś jeszcze. Kiedy zaś nalewała wino i Curt pogłaskał ją delikatnie po nagim pośladku, uśmiechnęła się ciepło i pytająco uniosła brwi.

Przystawkę stanowiły ostrygi w plasterkach wędzonej szynki gotowane w winnym sosie. Wraz z ostrygami pojawiła się na stole misa pieczonych orzeszków, a potem sałatka z brzoskwiń i papryki. Głównym daniem okazał się pieczony na ruszcie ogon aligatora z kremowym sosem cytrynowym podany z czerwoną fasolą i ryżem.

- Mój Boże, to jest wyborne, Ray - rzekł Jack.

- Tak dobre, że pomyślałem, byśmy od czasu do czasu spotkali się w Nowym Orleanie - powiedział Billy Bob.

Po kolacji przyszedł czas na przedstawienie. Niewielka scena znajdowała się za czerwoną aksamitną kurtyną którą Antoinette uniosła, odsłaniając wąskie łóżko w blasku jaskrawie świecących reflektorów. Jazzowy kwartet grał teraz głośniej.

- Przed państwem: Polly i Amelia! - obwieściła Antoinette.

Polly przebiegła przez salę, wskoczyła na scenkę i położyła się na łóżku. Amelia, druga kelnerka o jasnych włosach i szczupłej sylwetce,

pospieszyła za Polly na scenę, uklękła przy łóżku i wcisnęła twarz w krocze leżącej, rozsuwając przy tym jej nogi tak, by mężczyźni przy stolikach mogli widzieć, co liże. Polly wiła się i jęczała.

Gdy po jakichś dziesięciu minutach para rozłączyła się, Polly była czerwona i spocona, a gdy mężczyźni przy stolikach nagrodzili ów występ owacją, zniknęła z sali.

- A teraz Deirdre i Marie! - Antoinette zapowiedziała następne.

Dwie kolejne kelnerki wskoczyły na łóżko. Obejmowały się i wzajemnie pocierały swoje krocza, a potem ssały sobie piersi. Deirdre, szczupła młoda dziewczyna uklękła, wystawiając ku Mariannie pośladki, a potem użyła rąk koleżanki do rozsunięcia ich jak najszerzej. Marie - przystojna, rudowłosa trzydziestokilkulatka - wsuwała język w odbyt Deirdre i lizała go żarliwie. Jednocześnie sięgając między jej nogi, wciskała w pochwę klęczącej środkowy palec. Po dziesięciu minutach zmieniły pozycje i teraz Deirdre masturbowała Marie.

- Boże! - mruknął Jack. - Po tym wszystkim chyba zaaranżuję coś takiego w hotelu.

Teraz zgasły światła i sala zatopiła się w mroku, a jedynym światłem były reflektory na scenie, które także przygasły. Jeden reflektor rzucał jasny krąg na otwór w zasłonie za łóżkiem. Marie, przystojna rudowłosa, weszła na scenę, odsunęła łóżko na bok i uklękła na podłodze. W tej samej chwili z otworu w zasłonie za łóżkiem wysunęły się męskie genitalia. Marie ścisnęła je i zaczęła ssać penis.

- To jeden z członków klubu - wyjaśnił Ray. - Światła gasi się po to, by nikt oprócz znajomych z jego stolika nie wiedział, kto jest za zasłoną.

- Cholernie trudno się oprzeć takiej pokusie - rzekł Billy Bob.

- Zbyt trudno - przyznał Jack. - Polly?

- Jeśli pan chce... - odparł Ray i pstryknął palcami.

Antoinette ruszyła w stronę ich stolika.

- Która? - wyszeptwała.

- Polly.

- Okay. Proszę za mną, którykolwiek z panów tego sobie życzy.

Trzymając Jacka za rękę, zaprowadziła go przez ciemny pokój do niewielkiej łazienki za kotarami sceny.

- Zrobi pan dziewczynie przyjemność, jeśli najpierw go pan umyje - rzekła uprzejmie.

Jack wszedł do małej łazienki i skorzystał tam z ciepłej wody, mydła i papierowych ręczników. Następnie usłyszał pukanie, więc otworzył drzwi. Antoinette wskazała mu dwudziestocentymetrowy otwór w kotarze, przez który dochodziło światło.

- Proszę opuścić spodnie i wysunąć go przez ten otwór. Ona czeka.

Kiedy wysunął penis i jądra przez otwór czerwonej aksamitnej kurtyny, usłyszał oklaski. Nie widział dziewczyny. Nie miał pewności, czy rzeczywiście była to Polly. Najpierw poczuł na nim jej ręce, potem język, a wreszcie poczuł, że go ssie. Nie musiała pracować długo. Osiągnął szczyt szybciej, niż chciał. Przyjemność trwała krótko, ale była głęboka i całkowita.

Gdy wrócił do stolika w otworze widać już było genitalia innego mężczyzny, a na kolanach, gotowa do pracy, klęczała mała Millie. Dzięki Bogu, pomyślał Jack. To oznaczało, że w sali wciąż było dość ciemno i uwaga wszystkich gości skupiła się na scenie.

Nikt inny nie kierował się za kotarę. Sala pozostała zaciemniona, dopóki trzeci mężczyzna nie znalazł się z powrotem przy swoim stoliku. Gdy wreszcie zapalono światła, wszystkie wykonawczynie stały nago na scenie lub też na podłodze przed sceną, kłaniając się publiczności. Mężczyźni wstawali i rzucali im pieniądze.

Grupa pięciu mężczyzn pozostała przy swoim stole, pijąc brandy i kawę. Żaden nie powiedział Jackowi ani słowa, żaden nie zapytał nawet, czy było mu dobrze. Gdy wychodzili z klubu, nagie kelnerki stały w drzwiach, żegnając wszystkich gości. Jack podszedł do Polly i wsunął jej w rękę pięćdziesiąt dolarów.

2.

Negocjowanie skomplikowanego kontraktu między Związkiem Nadawców a siecią LNI trwało kilka miesięcy. W końcu Związek przyznał Jackowi większy wpływ na swoje działania niż on sam tego pragnął. Jack nie był też jednak zaskoczony, gdy *Times* opisał tę umowę jako „fuzję dającą Jackowi Learowi i jego współpracownikom kontrolę nad dwudziestoma trzema rozgłośniami radiowymi i czyniącą sieć LNI głosem znacznie potężniejszym niż kiedykolwiek przedtem i niż się komukolwiek o tym śniło”.

3.

21 października Anna urodziła zdrowego chłopca, któremu nadali imiona Jack Arthur.

Zatrudnili też nianię „na stałe”. Była nią pani Gimbel, która niegdyś pracowała jako niania przy Johnie i Joan. Ufność, jaką Jack pokładał w tej kobiecie, rozwiłała niepokój Anny, że pani Gimbel jest za stara na nianię.

Do pierwszego starcia między matką a nianią doszło w chwili, gdy Anna poinformowała panią Gimbel, że będzie karmić dziecko piersią przez rok. Pani Gimbel tego nie pochwałała, mówiąc, że gotowe preparaty zapewniają dziecku bardziej kompletne odżywianie. Pokojówka Priscilla opowiedziała się po stronie karmienia piersią. Jack uśmiechał się tylko i odmówił wzięcia udziału w tym sporze.

W każdym razie Mały Jack, jak go nazywano, rósł zdrowo i był pulchnym, tryskającym wesołości dzieckiem. Jack kochał go bardzo, choć Mały Jack przypominał mu, że John niebawem skończy szesnaście lat i że rzadko się widują.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

1. - 1948

W roku 1946 Kimberly poślubiła Dodge'a Hallowella, zaś w marcu 1948 roku napisała do Jacka, informując go, że nie będzie mógł spędzić z dziećmi jednego miesiąca wakacji, jak czynił to zwykle, bo ona i Dodge zabierają je na całe lato do Europy. Jack zatelefonował do Harrisona Wolcotta.

- Porozmawiam z nią, Jack. Powinna już wiedzieć, że nie może ignorować warunków rozwodowego wyroku, ilekroć jej to odpowiada.

- Naprawdę nie chcę tego robić, Harrison, ale zatrudnię adwokata i znów spotkamy się w sądzie, jeśli mnie do tego zmusi.

- Uspokoi się. Porozmawiam z nią. Skoro jednak my mamy siebie „na linii”, chciałbym poruszyć inny temat. Czy byłbyś zainteresowany odkupieniem stacji WCHS i WHFD? Byłoby lepiej, gdyby Kimberly odsunęła się od nich, dostawszy trochę pieniędzy, bo ani ona, ani Dodge nie mają pojęcia jak kierować stacją radiową.

- Zastanowię się nad tym - odparł Jack - ale szczerze mówiąc, Harrison, nie mógłbym pozwolić sobie na nie natychmiast, bo właśnie kupiłem kolejne stacje, rozumiesz... i mam obciążoną hipotekę. Sprzedajemy więcej czasu na reklamy, dochody rosną, jednak...

- Założmy, że ja to zrobię, ale nich Kimberly i Dodge sądzą, że ty je kupiłeś i nimi zarządzasz. Rzeczywiste prawo własności będzie w funduszu powierniczym, który ustanowię dla Johna i Joan. Świat zaś będzie uważał, że dołączyłeś dwie kolejne stacje do swojej sieci.

- Jesteś bardzo szczodry, Harrison. Przykro mi, że Kimberly musi być trzymana w nieświadomości co do takich rzeczy. Ty wiesz, że ja naprawdę ją kochałem. Kochałem ją szczerze i głęboko. I w pewnym sensie wciąż ją kocham. Ale, Harrison, ona mnie zdusiła, a teraz stara się trzymać dzieci z dala ode mnie.

- Problemem, z jakim dla Kimberly wiąże się sprawa dzieci, jest to, iż

ona się niepokoi, że zamieszkają w twoim nowojorskim domu. Czy nie będzie tam zbyt ciasno?

- Wynajmę letni dom - odparł Jack.

Na lipiec i sierpień Jack wynajął obszerny dom w Greenwich w stanie Connecticut.

Dla mieszkańców Greenwich Anna wciąż była hrabiną Weldon, mimo że poślubiła Jacka Leara, syna owego głośnego Ericha Leara. Nie minęły więc dwa tygodnie, a państwo Learowie zostali poproszeni o przyjęcie członkostwa tamtejszego klubu towarzyskiego i udział w nabożeństwach zarówno Drugiego Kościoła Kongregacjonistów, jak i Synagogi. Do klubu wstąpili, chociaż oboje nie grali w golfa, ale nie uczestniczyli w żadnych nabożeństwach.

Dzieci przyjechały z Bostonu 3 lipca. John miał niemal metr osiemdziesiąt wzrostu. Był muskularnym, opalonym chłopcem o niebieskich oczach i włosach spłowiałych na słońcu. Joan była czternastolatką, ale wydawała się rówieśnicą brata. Nie będąc już dzieckiem, rozkwitała stając się piękną, młodą kobietą o regularnych rysach swojej matki i gładkich kasztanowych włosach. Starła się być poważna i unikała figli, jakim inne nastolatki oddawały się na basenie klubu i na plaży. Była zakłopotana swoją figurą, skrępowana rosnącym biustem, gładkimi łukami bioder i długimi nogami; skrępowana, ale dumna.

Już w dniu przyjazdu John powiedział ojcu, że chciałby zobaczyć pobliskie lotnisko, które położone było w odległości zaledwie pięciu mil od domu, więc następnego dnia Jack go tam zawiózł. Chłopięca fascynacja lataniem wcale nie wygasła. Znalazłszy się na lotnisku, poszli na pas startowy i oglądali samoloty.

Z budynku portu lotniczego wyszedł jakiś pilot i zmierzał w ich stronę. Wyglądał na człowieka, który latał w czasie wojny.

- Chcecie polatać, panowie? - zapytał.

Jack przecząco potrząsnął głową.

- Nie. Nie to miałem na myśli.

- Przecież mama nie musiałyby się dowiedzieć - mruknął John.

- Chodzi mi o to, czy mógłby pan udzielać temu młodemu człowiekowi lekcji pilotażu. Teraz cały miesiąc spędzi on w Greenwich. Może mógłby wziąć kilkanaście, powiedzmy... piętnaście lekcji?

- To zależy od wielu rzeczy - powiedział pilot. - Głównie od pogody. Ile masz lat, synu?

- Szesnaście.

- W takim razie nie mógłbyś w tym roku otrzymać licencji. Aby ją uzyskać musisz mieć siedemnaście lat. Zresztą i tak w ciągu jednego miesiąca nie zdołalibyśmy opanować całej wiedzy i odbyć wszystkich

niezbędnych ćwiczeń. Możesz jednak uzyskać pierwszy certyfikat i rozpocząć trening w kabinie. Będziesz też musiał przejść badania lekarskie. Ja nazywam się Fred Dugan. Jestem licencjonowanym instruktorem pilotażu. Oczywiście, są również inni instruktorzy. Może zechcesz się rozejrzeć?

- Na jakim samolocie latałby mój syn? - zapytał Jack.

Dugan ruchem głowy wskazał nisko zawieszony mały żółty samolot z wysoko osadzonymi skrzydłami.

- Na tym. To jest *Piper Cub*. Doskonały samolot dla początkujących. Powiada pan, że chłopiec spędzi tutaj miesiąc. A kiedy zjawi się ponownie?

- Za rok.

Dugan sceptycznie spojrzał na Johna.

- Jak się nazywasz, synu?

- John Lear.

- Okay, Johnie Lear. Nie spodziewaj się, że w tym roku będziesz latać w pojedynkę. Jeśli jednak teraz odbędziemy kilkanaście spotkań, a ty przez całą zimę będziesz studiować teorię, by za rok zdać egzamin pisemny, to sądzę, że następnego lata możesz zdobyć licencję.

2.

Na czwartej lekcji w samolocie *Piper Cub* Dugan zażądał od Johna wykonania manewru zwanego obrotem wokół osi. Znajdowali się gdzieś na północ od lotniska nad Nowym Jorkiem czy Connecticut.

- Okay, synu, widzisz to, prosty kąt skrzyżowania dróg tam w dole.

- Tak.

- Skieruj lewe skrzydło na to skrzyżowanie i leć w obrocie trzystu sześćdziesięciu stopni, trzymając cały czas skrzydło dokładnie tak.

John się starał, ale *Piper Cub* dryfował w powietrzu.

- Dlaczego tak się dzieje? - pytał Dugan.

- Przypuszczam, że z powodu wiatru.

- Masz rację. Wiatr spycha cię z osi. Jak można to skorygować?

- Trzeba wykonać niewielki skręt „nosem”.

- Słusznie. Zrób to jeszcze raz.

Dla adeptów pilotażu był to jeden z najtrudniejszych do opanowania manewrów. John pracował nad nim wytrwale. Powodzenie przyniosła mu czwarta próba.

- A teraz, synu - rzekł Dugan - spójrz na wysokościomierz. Na jakiej wysokości zacząłeś obrót?

- Na wysokości pięciuset czterdziestu metrów.

- A teraz ile wynosi?
- Och... czterysta dwadzieścia.
- Jak się to koryguje?
- Trzeba zwiększyć moc - odparł John.
- No właśnie. Zrób to jeszcze raz. Musisz utrzymywać stałą wysokość. Rozumiesz dlaczego? Musisz się nauczyć takich precyzyjnych obrotów, by opanować lądowanie.

Jack nie zawsze mógł odwozić Johna na lotnisko. Czasami robiła to Anna lub Priscilla. Chłopiec, który ubiegał się o licencję pilota, nie miał jeszcze prawa jazdy.

Pewnego dnia, gdy John wypełniał dziennik pokładowy, Fred Dugan wziął Jacka na stronę.

- Panie Lear, nie chciałbym, żeby chłopiec to słyszał, ale pragnę panu powiedzieć, że on jest wręcz urodzonym pilotem. Ma zmysł latania i takie wyczucie samolotu, jakiego większość z nas dopracowuje się latami. Jest najlepszym uczniem, jakiego kiedykolwiek miałem. Poślę go któregoś dnia do innego instruktora i ten facet z pewnością się ze mną zgodzi.

Jack uściśnął dłoń Duganowi.

- Prawdę mówiąc, nie wiem co z tym zrobić - powiedział cicho.
- Pański syn chce usiąść za sterami większego samolotu, więc może pan tu przyjść i zobaczyć jak lata, ale niech pan tego nie robi. Pracujemy nad zmianami i wytracaniem szybkości. Panie Lear, on wytraca szybkość samolotu i wprowadza go w taki lot nurkowy, który niemal przyprawia mnie o mdłości, a potem wraca do poprzedniej pozycji i wysokości, jakby nic się nie stało.

3.

W drugim tygodniu lipca Jack i Anna udali się do Filadelfii, aby uczestniczyć w Krajowej Konwencji Demokratów. Byli na miejscu, gdy Harry S. Truman uzyskał nominację i o godzinie drugiej nad ranem wygłaszał swoje przemówienie.

Nowi współpracownicy Jacka ze związku Nadawców byli zadowoleni z relacji z tej konwencji nadanej przez Curta na żywo. Curt siedział w oszklonej kabinie spoglądając na salę obrad, podczas gdy trzej ludzie z mikrofonami wędrowali wśród zgromadzonych, przeprowadzając wywiady z delegatami.

Sam Curt wychodził ze swej kabiny tylko od czasu do czasu. Dokonał mistrzowskiego posunięcia, gdy wcisnął mikrofon w grupę przedstawicieli południowych stanów gniewnie opuszczających konwencję i uchwycił

głos jakiegoś delegata z Południowej Karoliny, który wrzeszczał: „Truman! Truman! Ten przydupas czarnuchów!”. Ponieważ była to bezpośrednia transmisja na żywo, owe słowa trafiły do szesnastu stacji sieci Jacka Leara oraz siedmiu z dziewięciu stacji Związku Nadawców i były słyszane przez miliony słuchaczy.

Wśród południowców, szczególnie tych z Południowej Karoliny, rozległy się głosy protestu. Niektórzy twierdzili, że posłużono się ukrytymi mikrofonami, by podsłuchać prywatne rozmowy, zaś ów delegat z Południowej Karoliny, którego głos słychać było w radio, utrzymywał, że Curt Frederick sam wykrzyczał te słowa z udawanym południowym akcentem.

Zapytany o ten incydent prezydent Truman roześmiał się i powiedział -
- Nie do wiary! Cóż to za język!

Sieć radiowa LNI otrzymała tysiące listów wyrażających przekonanie, że nie powinna pozwolić, by takie słowa pojawiły się na antenie. Sam Jack wygłosił komentarz, który trzykrotnie nadały wszystkie rozgłośnie. Powiedział, że jego sieć nie chce u siebie podobnych słów, ale skoro konwencję transmitowano na żywo, nie było sposobu, by je powstrzymać. Przeprosił też tych, którzy poczuli się obrażeni.

Ten incydent był atrakcją wyczerpującej, bezpośredniej relacji, jaką z Konwencji Demokratów przeprowadziła sieć LNI; relacji, która stała się powszechnie uznanym triumfem dziennikarstwa radiowego.

4.

Piątek był wolnym dniem Priscilli. Wczesnym rankiem wsiadła w pociąg do Nowego Jorku i miało jej nie być w Greenwich aż do sobotniego przedpołudnia. Po południu pani Gimbel zabrała Małego Jacka na plażę, zaś Duży Jack i Anna dopiero następnego dnia wracali z Filadelfii. John i Joan zostali więc w domu sami.

Pływali w basenie, ale woda wciąż była nieco chłodna, więc gdy wyszli, było im trochę zimno. Postanowili pójść na górę i wziąć ciepły prysznic... razem.

Nadzy weszli do pokoju Joan i wyciągnęli się na łóżku. John zaczął pieścić siostrę.

- Hej, Joni - szepnął jej do ucha. - Zróbmy...
- John... - mruknęła. - Wciąż się boję. Jeśli nas przyłapią...
- Nie damy się przyłapać. Kiedy pani Gimbel będzie wracać do domu, usłyszymy skrzywienie żwiru na podjeździe. Gdyby przyjechał ktoś inny,

także go usłyszymy. Będziemy mieć mnóstwo czasu, żeby się ubrać. Przecież to lubisz, prawda?

- Wiesz, że tak. Sądzę tylko, że strasznie ryzykujemy. Im częściej to robimy, tym bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że ktoś się domyśli.

- Nikt się nie domyśli, jeśli będziemy ostrożni, a przecież jesteśmy ostrożni.

- Jesteś pewien, że nie mogę zająć w ciążę?

- Najzupełniej. Nie możesz. Żaden facet nie może zapłodnić własnej siostry. Nie wiem dokładnie, dlaczego. Chodzi o sposób, w jaki to działa... To ma coś wspólnego z genami.

- Nie powinniśmy.

- Taak... ale komu mogłabyś bardziej zaufać, i kogo ja mógłbym obdarzyć większym zaufaniem? Dajże spokój, Joni. Lubisz to tak samo jak ja.

- Tak, to prawda...

5.

- Jeden z powodów dla którego Sally Allen nie jest oszałamiającym sukcesem radia - mówił „Kap” do Jacka - tkwi w tym, że radio nie jest wizualne. Sally jest przede wszystkim aktorką komediową, rzeczywiście bardzo zabawną, ale w każdym filmie gra rolę, która pozwala pokazać jej nogi. W radio zaś gra gospodynię domową. Zapewniamy jej zabawne teksty, ale...

Jack zmarszczył brwi.

- Pozwól, że cię o coś zapytam. Czy na ekranie Sally kiedykolwiek paliła papierosy?

- Nie przypominam sobie.

- No cóż, a w radiu pali. W każdej audycji z jej udziałem brzmi taki tekst: „Harry, muszę się zrelaksować. Zapal mi papierosa marki Amber. Dzięki. Już mi lepiej”...

- Do licha, wiem o tym - odparł „Kap”. - A ów Harry prawdopodobnie mówi coś takiego: „Taaak. Odpoczynek. Jestem pewien, że smakuje wspaniale”. Tego żąda sponsor. Jednak to sprawia, że nasza aktorka wydaje się pustogłową idiotką.

- Dlaczego pozwalamy, żeby w rzeczywistości rządzili nami sponsorzy albo ich agencje reklamowe?! - pytał gniewnie Jack. - Dlaczego, u licha, audycja Sally Allen ma się zaczynać idiotycznym jęczeniem do mikrofonu: „Radiowa rewia papierosów marki Amber przedstawia Sally

Allen!?" Dłaczego?! A dlaczego nie „Godzina z Sally Allen” sponzorowana przez producenta papierosów marki Amber?!

- Bo te dranie od nas odejdą - odparł „Kap”.
- Nie, nie odejdą. Potrzebują nas tak samo jak my ich.

6.

Jack postanowił polecieć do Los Angeles, żeby porozmawiać z Sally Allen. Spotkali się na lunchu w Brown Derby.

Sally Allen była znakomita. W Hollywood, które wciąż trwało przy łagodnej i słodkiej identyczności czołowych aktorek, ona wyraźnie się od nich różniła. Miała dwadzieścia osiem lat, zbyt widoczne zęby oraz wysoki, piskliwy głos, nad którym musiała sprawować nieustanną kontrolę. Z drugiej jednak strony figury mogła jej pozazdrościć każda z popularnych aktorek.

Przez chwilę gawędzili o niczym, ale dopijając trzeci kieliszek martini, powiedziała, iż żałuje, że podpisała pięcioletni kontrakt.

- „Kap” Durenberger jest przekonywającym facetem - stwierdziła.
- Chce pani zerwać tę umowę? - zapytał Jack.
- No, cóż...
- Zwolnię panią z tego kontraktu. Nie chcę, by pracował dla mnie ktokolwiek, kto jest niezadowolony z umowy.

Przechyliła głowę na jedną stronę i przyglądała mu się ze sceptyczną ciekawością.

- Nie jest pan takim facetem, jakim opisuje pana brat.
- Pani zna mojego brata?

Sally roześmiała się i szeroko otworzyła wielkie oczy.

- Wszyscy znają Learów, ojca i syna. Rozumiem, że odmawiał pan zwolnienia mnie z obowiązków umowy radiowej, żebym nie mogła zrobić filmu dla wytwórni Carlton House.

- Zwalnialiśmy panią do czterech innych filmów. Starłem się chronić panią przed moim ojcem, który nalega na robienie... wie pani czego... z każdą aktorką, którą angażuje Bob.

- Ta dziecinka sama potrafi się chronić.
- Niech się pani nie oszukuje. Erich nie gra fair.
- Ja również nie muszę...

Jack położył rękę na dłoni Sally i stanowczo spojrzął jej w oczy.

- Sally, pani nie może się z nim ścigać. Niech pani nawet nie próbuje.

Sally wydała z siebie głębokie westchnienie. Wpatrywała się w swój

kieliszek, jakby zastanawiała się nad zamówieniem następnego, ale najwyraźniej postanowiła tego nie robić.

- Proszę posłuchać - rzekł Jack. - Mam kilka pomysłów. Pozwoli pani, że je przedstawię. I proszę nie mówić „nie”, dopóki ich pani nie wysłucha.

Wzruszyła ramionami.

- Nie miałam innych planów na dzisiejsze popołudnie.

- W porządku. Zaczyna się sezon jesienny, a my mamy ten sam stary kit. Sally Allen, zwariowana gospodyni domowa, gwiazda „Radiowej rewii papierosów marki Amber”. I co? Pozwoli nam to przetrwać aż do stycznia?

- Tak przypuszczam.

- Okay. Założmy, że ogłosimy, iż „Rewia papierosów marki Amber” zostaje odwołana. Wtedy...

- Sponsorzy odwołają siebie. Szybko i bez zastanowienia.

- Nic nie zrobią, jeśli ogłosimy to jutro.

- A cóż to zamierzamy ogłosić jutro, panie Lear?

- Proszę mówić mi Jack. Założmy, że ty i ja zwołamy jutro konferencję prasową. Ogłosimy, że jesteśmy niezadowoleni z „Rewii papierosów marki Amber” i że zamierzamy przystąpić do realizacji programu zatytułowanego „Godzina z Sally Allen!”

- Czym będzie się ona różnić?

Jack zamówił kolejną rundę drinków.

- Sally Allen nie będzie już śmieszną gospodynią domową bajdurzącą o tym, jak bardzo lubi papierosy Amber i proszek do prania flo, lecz dziewczyną z show-biznesu! Ta komedia będzie opowiadać o przygodach aktorki wodewilowej, o pewnym nocnym klubie i prezentowanym w nim programie artystycznym i o... wielu innych sprawach. Niektóre teksty będą dowcipami o tym, jak skąpe są jej kostiumy. Słuchacze będą mieli obraz tej ciężko pracującej, pyskatej dziewczyny z uporem robiącej sceniczną karierę i sfrustrowanej prozaicznymi frazesami.

- Kto to napisze?

- Znajdziemy jakiegoś autora. Masz kogoś na myśli?

- Może...

- Cóż, jeśli chcesz zwolnienia z umowy, proszę bardzo. Jeśli chcesz spróbować czegoś innego, to... załatwione!

- Kto będzie sponsorem tych audycji?

- Ja. Przez pewien czas. Jednak założę się, że tytoniowe przedsiębiorstwo Southern Tobacco wróci do nas z ofertą reklamowych spotów, zanim skończy się pierwszy cykl tych programów. Od tej chwili moja sieć będzie działać właśnie tak. Sponsorzy mogą kupować u mnie

czas na reklamę, ale tylko w audycjach stworzonych i realizowanych przez nas. Nikt nas sobie nie przywłaszczy.

- Pójdiesz z torbami - rzekła zdecydowanie Sally.

- Nawet jeśli tak, ciebie to nie dotknie. Do czasu wygaśnięcia twojego kontraktu mogę go ubezpieczyć swoimi obligacjami. I jeszcze jedno, Sally: wiesz przecież, że w istocie nie jesteś wykonawczynią radiową. Jesteś zbyt wizualna. Przypuśćmy, że wejdziemy w ten interes, który nazywa się video...

- Telewizja - przerwała.

- Okay. Jak zwał, tak zwał. Przypuśćmy, że Sally Allen pojawia się na ekranie, śpiewając, tańcząc, pokazując nogi. Musimy tylko... nie stracić zbyt dużo pieniędzy wiosną 1949.

Sally Allen potrząsała głową.

- Ty i ten twój Durenberger... - powiedziała. - Okay szefie. Spróbujmy.

7.

W październiku Jack nieoczekiwanie ponownie znalazł się w Los Angeles.

- Siadaj, chłopcze - rzekł Erich Lear, wskazując kanapę stojącą naprzeciwko biurka. - Co cię tu, do diabła, sprowadza?

Jack opadł ciężko na wielki, skórzany mebel.

- Mam poważny problem - powiedział.

- Co ty mówisz? - rzekł Erich wyrzucając papierosa i sięgając po cygaro. - Cóż to może być za problem, o którym ty chciałbyś porozmawiać ze mną?

- Cholernie poważny.

- Wyobrażam sobie. Inaczej by cię tutaj nie było.

- W porządku. Możesz się nade mną pastwić i na tym się pożegnamy. Przyjechałem do ciebie po pomoc. Możesz mnie olać albo nie.

- Nie masz pieniędzy?

- Tego nie nazwałbym poważnym problemem. I mógłbym się z tym uporać. Mam coś znacznie poważniejszego.

Erich zacisnął ręce za głową i oparł się o krzesło, pozwalając by cygaro zawisło mu w kąci ust. Miał na sobie kraciatą marynarkę i sweter z golfem.

- Jezusie! Pomyśleć tylko... Mój syn przyjeżdża do mnie po... O co chodzi, Jack?

- Proszę cię o dyskrecję. Ty i ja nigdy nie byliśmy najlepszymi przyjaciółmi, ale zawsze ceniłem twoje słowo.

- W tym mieście wszyscy je cenią. Kantuję dziwki, ale nie ludzi interesu. One czekają na okazję i też cię robią w konia.

- W porządku. Kiedy człowiek potrzebuje czegoś nadzwyczajnego, idzie do faceta, który wie, jak to zrobić. Tato, potrzebuję pomocy cholernie dobrego i cholernie dyskretnego lekarza.

Twarz Ericha pojaśniała. Roześmiał się, opuścił ręce i wyciągnął z ust cygaro.

- Aborcja! Chryste panie! Która cię tak wkopała? Tylko mi nie mów, że Sally Allen!

Jack przełknął słowa cisnące mu się na usta. Przetarł oczy i potrząsnął głową.

- To byłby dowcip. Nie przyszedłem tu z dowcipem. Sprawa jest poważna!

Erich odłożył cygaro do popielniczki.

- Jakieś dziecko... nieletnia...?

- To nie ja! Nie wiem, kim jest ten facet! Ona nie chce powiedzieć!

Erich zmarszczył brwi.

- Kto? - zapytał posępnie.

- Joan. Moja córka.

Ojciec Jacka ze zdumienia otworzył usta.

- Ile ona... ile ona ma lat? Czternaście?!

- Tak.

Erich wyciągnął rękę ku przyciskowi na swoim biurku, ale potem ją cofnął.

- Zdaje się, że będziesz musiał kogoś zabić, synu.

- Tak... kiedy się dowiem, kto to był, ale teraz potrzebny mi jest lekarz godny stuprocentowego zaufania.

Erich skinął głową.

- Dobrze. Znam kogoś, kto może to zrobić. Kiedy?

- Dzieci przyjeżdżają do mnie na Święto Dziękczynienia. Przyjadą do Nowego Jorku w środę, ale w niedzielę wieczorem muszą być z powrotem w Bostonie.

- I powiadasz, że jej matka o niczym nie wie.

- Jej matka o niczym nie wie.

- Ale ty wiesz.

- Syn do mnie zatelefonował.

Erich wydał głębokie westchnienie.

- Samolot czarterowy - rzekł. - Przylecisz z nią tutaj na Święto

Dziękczynienia. Zabieg tego samego wieczora, a najpóźniej w piątek rano. Jak zaawansowana jest ta ciąża?

- Chyba drugi miesiąc. Może dziesięć tygodni.
- Nie jest to poważny zabieg, ale byłoby lepiej, gdyby wykonano go wcześniej.
- Tato, nie ja jestem za to odpowiedzialny.
- Dobrze. Ważne jest to, co sprawia, że nazywasz mnie tatą. Załatwię to. Potem ją stąd odbierzesz. Czy hrabina wie?
- Tak, Anna wie.
- Dlaczego nie powiesz Kimberly, że będziecie obchodzić Święto Dziękczynienia z kalifornijskimi dziadkami?

8.

Joan zdołała powstrzymać łzy, dopóki wyczarterowany samolot nie wystartował z lotniska Teteboro. Potem, w powietrzu wybuchła płaczem.

- Ten zabieg jest prosty, Joni - mówiła Anna, obejmując dziewczynkę. - W pięć minut będzie po wszystkim.
- Wierzyłam, że to nie może się zdarzyć - płakała Joan. - Nie chciałam tego. Bałam się.

Bardzo się starała, żeby nie patrzeć na Johna, który siedział naprzeciwko niej. Kabina pasażerska była urządzona niczym mały salon.

- Najważniejsze jest to - powiedział Jack - żebyśmy dotrzyмали rodzinnej tajemnicy. Nie będę cię zmuszał, abyś mi powiedziała, kto to był, ale czy mogło do tego dojść, kiedy byłaś u nas w Greenwich?

- Właśnie wtedy do tego doszło - płakała Joan. - I to jest wszystko, co zamierzam powiedzieć. Nie próbuj tego obliczać.

- Nie chcemy powiedzieć, że nie obchodzi nas, kto to był - szeptała jej Anna - ale nie musisz mówić. Zresztą co to za różnica?

Joan szlochając skinęła głową.

- To bardzo wielka różnica!
- Jednak nie chcesz nam tego powiedzieć?
- Nigdy nie powiem! - krzyknęła Joan. - Nigdy nie powiem!
- Dobrze. Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie - rzekł groźnie Jack. - Czy to był Dodge Hallowell?
- Nie!

Anna mocniej przytuliła dziewczynkę.

- Gdy przylecimy z powrotem, będziesz czuła się lepiej.

- Ale moje dziecko będzie już zabite! - płakała Joan.

Anna pokiwała głową.

- Pamiętaj tylko, że w tej podróży nie ma z tobą nikogo, kto by cię nie kochał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

1. - 1949

W roku 1949 wygaszał kontrakt Curta Fredericka. Do tego czasu Curt stał się już najbardziej poważnym dziennikarzem radiowym w Stanach Zjednoczonych. Jack scedował na niego wszystkie prawa autorskie do korespondencji wojennych, więc Curt mógł wydać je na długogrającej płycie, której nadano tytuł *Tak było...* Takie fragmenty jak pochodząca z roku 1940 radiowa korespondencja Curta z Sedanu z hukiem niemieckiej artylerii w tle zapewniła mu oszałamiający rekord ilości sprzedanych płyt i przysporzyła milionów nowych słuchaczy, do których jeszcze nie docierały programy rozgłośni tworzących sieć LNI.

Jack przekazał mu też niektóre fragmenty bardziej współczesnych nagrań, łącznie z głosem owego delegata z Południowej Karoliny wrzeszczącego: „Truman! Truman! Ten przydupas czarnuchów!”. Tysiące płyt z tym nagraniem sprzedano ludziom, którzy nie słyszeli owej transmisji i wciąż trzeba ich było przekonywać, iż takie słowa rzeczywiście rozległy się w radio.

- Chyba nie ma potrzeby, żebym mówił, że jestem ci wdzięczny - rzekł Curt do Jacka podczas lunchu w Harvard Club - ale muszę powiedzieć, że jestem trochę zmęczony. Przygotowywanie wieczornych wiadomości pięć razy w tygodniu bardzo mnie wyczerpuje. Betsy wciąż mi powtarza, że nie chce, abym dostał zawału, i mówi, że nie potrzebujemy pieniędzy.

- Nie wyobrażam sobie, byś rzeczywiście przeszedł na emeryturę - powiedział Jack. - Za czym się rozglądasz, Curt?

- Może jakiś program nadawany raz w tygodniu... jakaś półgodzinna analiza jednego problemu, z rozmowami i wywiadami.

- Mam inny pomysł - rzekł Jack. - Wcześniej czy później rozpoczniemy emisję telewizyjną. Założmy, że robiłbyś jakiś program telewi-

zyjny, może dwa razy w miesiącu. Zrobiłbyś cholernie dobre wrażenie w telewizji.

- Może. A może wyglądałbym jak idiota. Zresztą... jak szybko zamierzasz wejść w telewizję?

- Pomyślmy o przyszłym roku. Tymczasem wyświadcź mi przysługę i jeszcze przez rok rób nadal wieczorny serwis informacyjny. Teraz zaś weź miesięczny urlop. Możemy też oczywiście - dodał Jack - wpisać tam nieco większą kwotę.

2.

W kwietniu Jack zwołał zebranie w biurach budynku Chryslera. Wraz z nim w sali konferencyjnej znaleźli się „Kap” Durenberger, Herb Morrill i Mickey Sullivan - trzej wieloletni członkowie zespołu kierowniczego LNI - oraz Ray L'Enfant ze Związków Nadawców i profesor Friedrich Loewenstein.

Zebranie odbyło się w późnych godzinach popołudniowych. Przewodniczył mu Jack. W roku 1949 był całkiem innym człowiekiem. Niezmiernie wprost szczęśliwy w małżeństwie z Anną ograniczył palenie oraz picie i stracił na wadze kilka kilogramów. Anna zmierzyła go dokładnie i wysłała nowe wymiary do londyńskiego krawca, który wciąż elegancko go ubierał. Jack niezupełnie odpowiadał takiemu wzorcowi dżentelmena, jakiego chciała z niego zrobić Kimberly, ale był mężczyzną w znacznie lepszym stylu.

- Celem naszego spotkania jest rozmowa o rzeczy zwanej telewizją - powiedział. - Myślę, że musimy w to wejść. Nie mamy wyboru.

- Nie będzie to całkiem łatwe - oświadczył Herb Morrill. - Federalna Komisja Łączności wstrzymała wydawanie nowych licencji na emisję programów telewizyjnych, RCA posiada większość już działających stacji telewizyjnych. CBS ma ich kilka. Niezależne są...

- ... na sprzedaż - Jack dokończył zdanie. - Za pięć lat licencja telewizyjna będzie warta fortunę. Teraz jeszcze nie ma takiej wartości. Po pierwsze nie ma jeszcze obszernego programu. Najgorsze zaś jest to, że koszt wysyłania telewizyjnego sygnału do stosunkowo nielicznych odbiorców jest bardzo wysoki. Ile odbiorników telewizyjnych mamy teraz w Stanach? „Kap”, wiesz?

- Może pół miliona - odparł Durenberger. - I prawie wszystkie znajdują się w promieniu niespełna osiemdziesięciu kilometrów od Nowego Jorku.

Jack skinął głową.

*

- Okay. Założmy, że mamy licencję w St. Louis lub, powiedzmy, w Dallas. Założmy, że stawiamy wieżę telewizyjną sięgającą aż do nieba i przypuśćmy, że wysyłamy sygnał, który może być odbierany w promieniu trzystu kilometrów przez ludzi tak zainteresowanych, że gotowi są wystawić anteny bardzo wysoko, może nawet na wysokość piętnastu metrów. Profesorze Loewenstein?

- Można wtedy uzyskać zasięg czterystu pięćdziesięciu kilometrów, panie Lear.

- Okay - rzekł Jack i mówił dalej do zebranych: - Proszę mi wybaczyć. Zastanawiałem się nad tym. Może aż za bardzo. Może porywa mnie entuzjazm. Jaką wartość ma teraz odbiornik telewizyjny w Tulsie? Żadną, bo nie dociera tam sygnał. Założmy jednak, że wysyłamy silny „międzymiastowy” sygnał z Dallas albo z St. Louis...

- ... lub z Kansas City - rzekł „Kap”. - Spójrzcie na mapę demograficzną. Spójrzcie, gdzie można dotrzeć z Kansas City.

- Nie zauważacie czegoś, panowie - włączył się profesor Loewenstein. - Moglibyście mieć stację nadawczą powiedzmy w Kansas City, ale z współdziałającymi z nią przekaźnikami w Dallas, Tulsie, Wichita i innych okolicznych ośrodkach. Sygnał z Kansas City moglibyście wysyłać do tych przekaźników telegraficznie.

Jack odwrócił się i spojrzał na profesora.

- Czy chce się pan przyłączyć do naszej spółki, profesorze Loewenstein?

- Tak, chyba tak. Musimy rozważyć coś jeszcze. Nadchodzi nowa dobra technologia zwana przekazem mikrofalowym.

3.

Chociaż spółka nosiła nazwę Southern Tobacco, jej biura mieściły się w Nowym Jorku, a ściślej mówiąc w budynku Chryslera, zaledwie kilka pięter nad biurami Jacka. Jack widywał Luthera Dickinsona w windzie, aczkolwiek aż do tej chwili nie byli sobie przedstawieni.

Po wymianie wzajemnych uprzejmości Dickinson przeszedł do sedna sprawy.

- Panie Lear, moja agencja reklamowa radzi, byśmy przestali sponsorować „Godzinę z Sally Allen” i... wszystkie wasze programy.

Jack przyjął to z krzywym uśmiechem.

- Powinien pan zmienić agencję, panie Dickinson.

- Korzystałem z sześciu w ciągu ostatnich piętnastu lat. I mówiąc

całkiem szczerze, czasami zastanawiam się, czy papierosy Amber sprzedajemy dzięki czy... wbrew tym reklamom.

- Zastanawia się pan nad próbą sprzedaży papierosów bez reklamy?
- Nie rozważamy rezygnacji z reklamy, a jedynie rezygnację z reklamy u pana.

- Ponieważ ja nie chcę się zgodzić, żebyście nazwali nowy program Sally Allen „Godziną z papierosami marki Amber”.

- Agencja reklamująca moje przedsiębiorstwo mówi, że nie powinniśmy się na to zgadzać. Nalegają na identyfikację.

Jack potrząsnął głową.

- A ja tego nie chcę. Program będzie zatytułowany „Godzina z Sally Allen” i sponsorowany przez... kogokolwiek. Koniec z identyfikacją. Nie wiem też, czy pańska agencja powiedziała panu, że nie będziemy się zgadzać, by sponsor włączał wzmianki o swoim produkcie do scenariusza audycji.

- Agencja nalega również, aby do nas należała akceptacja scenariusza.

- Nie ma mowy - rzekł Jack.

- Działamy w ten sposób od wielu lat.

- A jednak nie jest pan zadowolony z rezultatów. Z jakiego bowiem innego powodu korzystałby pan z usług aż sześciu agencji w ciągu piętnastu lat? Mówię poważnie, sugerując panu zmianę agencji. Potrzebni panu ludzie z nowymi pomysłami.

- Łatwo powiedzieć - mruknął sucho Dickinson. - Może mi pan podsunąć jakiś nowy pomysł?

- Tak, mogę - odparł Jack. - Papierosy Amber są kojarzone z „Godziną z Sally Allen” i kilkoma audycjami, jakie sponsoruje pan innym sieciom radiowym. Co tydzień ci sami ludzie słuchają Sally Allen i poddawani działaniu pańskich reklam. Jedna grupa słuchaczy już pali Ambery, a druga nie zapali ich nigdy. Moim zdaniem lepiej wydałby pan swoje pieniądze, gdyby postawił pan na urozmaicenie. Reklama w różnych programach, o różnych porach i dla różnych odbiorców. Mogę dać panu miejsce w „Serwisie Informacyjnym Curta Fredericka” - po tych słowach Jack uśmiechnął się do Dickinsona. - O akceptację scenariusza tego programu nie poprosiłby pan, prawda?

- Jest pan bardzo przekonującym człowiekiem, panie Lear.

Jack odpowiedział uśmiechem.

- Prowadzi pan dobrze prosperujące przedsiębiorstwo, panie Dickinson. Może jestem zbyt pewny siebie, mówiąc panu co należy robić, ale znam się trochę na reklamie radiowej.

- Przedstawię pańskie sugestie moim ludziom - rzekł Dickinson. - Może... wkrótce zjedlibyśmy razem lunch w Yale Club?

4.

Jackowi i Annie tak spodobał się dom, który wynajmowali w Greenwich, że wiosną 1949 roku go kupili. Spodziewając się drugiego dziecka, stwierdzili, że mieszkanie w Nowym Jorku okaże się niewystarczające. Postanowili je zachować i nie przenosić eleganckiego umeblowania do wiejskiego domu, gdzie tak czy owak wydawałoby się nie na miejscu. Dom w Greenwich stojący na półtoraakrowej parceli zbudowany był w ostatnim dziesięcioleciu dziewiętnastego wieku w kolonialnym stylu nowoangielskim. Państwo Learowie kupili go z umeblowaniem i zgodnie postanowili, by nie wydawać wielkiej ilości pieniędzy na jego dekorację. Sam zakup nadwyrężył ich finanse i Anna musiała włożyć w tę transakcję ostatnią część swego dziedzictwa Weldonów. Dom w Greenwich miał być wygodnym wytchnieniem od Manhattanu w chwilach, gdy było ono potrzebne.

W czerwcu wysłali do Greenwich panią Gimbel i Małego Jacka. Chłopiec, teraz już dwuletni, lubił plażę, więc zachęcano go do barszkowania, ilekroć miał na to ochotę. Priscilla także tam wyjechała, by zatroszczyć się o dom i przygotować go dla Jacka i Anny oraz Johna i Joan, którzy mieli tam przyjechać pierwszego dnia lipca.

W nowojorskim mieszkaniu Jack i Anna rozkoszowali się odzyskaną prywatnością, która tak bardzo cieszyła ich w przeszłości.

Pewnego piątkowego popołudnia pod koniec czerwca Jack wyrwał się z biura nieco wcześniej i dotarł do domu o szóstej. Anna czekała na niego w krótkiej kombinacji z kremowej brokatowej satyny, którą nosiła z odpowiednimi skąpymi majteczkami. Podwiązki owej kombinacji podtrzymywały przejrzyste czarne pończochy.

- O Boże! - wykrzyknął Jack.

- Dopóki mogę. Za miesiąc zacznę się zaokrąglać.

Na niewielkim stoliku do kawy stała butelka szkockiej i wiaderko lodu. Anna, będąc w ciąży, nie piła nic prócz kieliszka lekkiego białego wina. Gdy Jack nalał szklaneczkę whisky dla siebie i kieliszek wina dla Anny, oboje stanęli w oknie, spoglądając na arterię nazwaną imieniem Franklina Delano Roosevelta i na wody płynącej rzeki.

- Zdaje się - rzekła Anna - że można by mnie nazwać jedną z dziesięciu najlepiej ubranych kobiet na świecie.

- Niewątpliwie jesteś tą, która najmniej na ten zaszczyt wydaje.

- Ten zaszczyt powinien przypaść komuś, kto wie, jak to robić bez wydawania fortuny. Mam jedenaście par butów wliczając w to buty do gry w tenisa i pantofle plażowe. Policzyłam je dzisiaj po przeczytaniu informacji, że jedna z kandydatek ma sześćdziesiąt par.

- Co można robić z sześćdziesięcioma parami butów?
 - Nie mam zielonego pojęcia.
 - Czy ten tytuł przyznaje się za ostentacyjne posiadanie czy za dobry gust?

- Nie będę tego komentować - roześmiała się Anna.

Stali blisko siebie, wystarczająco daleko od okna, by nikt z dołu nie mógł ich widzieć. Jack obejmował Annę ramieniem, ona zaś wsunęła rękę w jego krocze i lekkimi dotknięciami palców wywołała erekcję.

- Ten tytuł przyznawany jest częściowo za pojawianie się we właściwych miejscach w odpowiednim czasie - wyjaśniła - co mi przypomina, że przed wyjazdem do Connecticut musimy się pojawić w dwóch miejscach: na kolacji w Związku Angielskojęzycznym i w Lotos Club. Przed rozpoczęciem sezonu jesiennego będę miała niezaprzeczalny powód, by unikać pojawiania się w odpowiednich miejscach i porach.

- A ja nie będę nigdzie chodzić bez ciebie - odparł prosto Jack.

- No cóż, musimy się nad tym zastanowić. Są przecież miejsca, gdzie musisz iść i być widziany. Nie jesteś zwyczajnym biznesmenem. Stajesz się kimś w rodzaju instytucji, Jack. Niektóre imprezy nie osiągną pełni, jeśli ciebie tam nie będzie.

Odwrócił się i pocałował ją bardzo delikatnie. Wciąż zachowywał się jak młody mąż, który - świadomy ciąży żony - boi się wyrządzić jej krzywdę.

Anna wsunęła język w usta Jacka, obdarzając go erotycznym pocałunkiem.

- Może masz rację, że jesteś tak ostrożny - wyszeptała. - Może ciąża osiągnęła już ten etap, że nie powinnam pozwalać, byś we mnie wchodził, ale przecież mogę to zrobić inaczej. Nie uwierzyłabym, że w ogóle mogłam. Ale naprawdę... tylko trochę. Przecież wiem, że bardzo to lubisz, mój mężu!

- Naprawdę nie musisz, kochanie - wyszeptał, całując jej szyję.

- Pragnę tego. Nie chcę, by ciąża przeszkadzała we wszystkim. Opuść spodnie, proszę. I usiądź.

Odłożywszy na bok zarówno spodnie i kalesonki jak i marynarkę, ale wciąż mając na sobie białą koszulę i krawat, usiadł na pokrytym aksamitem krześle i rozsunał nogi. Anna uklękła i wytarła go zwilżoną śliną chusteczką.

Podniósłszy ku niemu wzrok, obdarzyła go zmysłowym, pożądlivym spojrzeniem. Potem pochyliła głowę i wzięła do ust męzowski penis. Przez chwilę wsuwała i wysuwała go tam i z powrotem, a potem wyciągnęła go z ust i zaczęła lizać. Właśnie to robiła najlepiej. Miała instynktowny

pociąg właśnie do tego; do takiego sposobu wywoływania w nim najwspanialszych doznań.

Niewiele czasu zajęło Annie doprowadzenie Jacka do szczytu. Przełknęła całą falę i wylizała go do czysta, połykając ostatnie krople.

Jack osunął się na kolana, by ją objąć i całować.

- Jedna z dziesięciu najelegantszych czy nie - szeptał w zapamiętaniu - ty jesteś najlepsza. Z pewnością. Kocham cię miłością większą niż ta, do jakiej kiedykolwiek sam sobie wydawałem się zdolny.

- Kocham cię. Wiesz o tym. Jednak chcę, abys coś zrozumiał. Gdy pierwszy raz zrobiłam to, co robiłam, była to ofiara, ponieważ bardzo cię kochałam. Teraz lubię to niemal tak samo jak ty - powiedziała z uśmiechem. - To wspaniałe na czas ciąży, czyż nie?

5.

Było to wspaniałe także dla brata i siostry, którzy prawdziwie się kochali, ale nie mieli odwagi ryzykować kolejnej ciąży.

Kimberly i Dodge ponownie urządzili swoje mansardowe gniazdko miłosne, zabezpieczając się tym razem potężnym zamkiem. Nie sądzili, by John i Joni wiedzieli, co się tam dzieje, ale John miał siedemnaście lat, a Joni piętnaście i wiedzieli. Wiedzieli, że kiedy ich matka i Dodge hałaśliwie zamykają łańcuch po wewnętrznej stronie drzwi wiodących na mansardę i pokonują prowadzące do niej schody, to będą tam przynajmniej przez godzinę. Także odgłos ich kroków na drewnianych skrzypiących schodach dawał im ostrzegawczy sygnał, że schodzą na dół. Młodzi ludzie mieli więc czas, by robić wszystko na co mieli ochotę.

Właśnie teraz chcieli się kochać i zrobili to. John językiem doprowadził siostrę do orgazmu. Potem Joan wzięła do ust twardy penis brata. Nigdy nie połykała. Wypluwała spernę do chusteczki higienicznej, którą natychmiast wyrzucała do toalety.

Wróciła z łazienki, gdzie dokładnie wypłukała usta. Zaczęli się ubierać.

- Co my ze sobą zrobimy? - wyszeptała.
- Nie wiem. Teraz nic nie możemy zrobić, a potem... kto wie?
- Powinieneś znaleźć sobie inną dziewczynę.

John potrząsnął głową.

- Ja nie chcę innej dziewczyny. Kocham ciebie, Joni.
- Ja też cię kocham. Ale, Boże...

6.

Pod koniec lipca John otrzymał licencję pilota. Jack wynajął dwumiejscową cessnę i usiadł obok Johna, który dumnie wystartował, przeleciał nad Hudsonem ku West Point, a potem przeciął rzekę ponownie lecąc w stronę Long Island i wreszcie skierował się ku Greenwich. Przelatując nad domem państwa Learów pomachał lotkami skrzydeł, zaś Anna i Joni, które siedziały przy basenie, pomachały małemu samolotowi krążącemu trzysta metrów nad nimi. Następnego dnia na taką samą „wycieczkę w przestworza” John zabrał Joni.

Przy kolacji, dwa dni przed planowanym wyjazdem Johna i Joni do Cape, gdzie oboje mieli dołączyć do Kimberly i Dodge'a w ich letnim domu, Jack zapytał syna kiedy złoży podanie o przyjęcie do Harvardu.

- Tej jesieni - odparł John. - Dziadek Wolcott ma te dokumenty. Przypuszczam, że wszystko jest załatwione. Chociaż ja sam wcale nie jestem pewien, czy chcę tam pójść.

- Tym, co naprawdę chciałby zrobić John, byłoby wstąpienie na politechnikę w Annapolis i studiowanie tam na wydziale inżynierii lotniczej - dodała Joni.

John skinął głową.

- To, czego naprawdę bym chciał, to dostać się do Annapolis.

- A po ukończeniu trafić do Pensacoli i uczyć pilotażu w marynarce? - zapytał Jack.

- Tak.

- Czy mamy rozumieć, że chcesz latać, nie zaś projektować samoloty czy je budować?

- Chcę latać - zapewnił wszystkich John.

- Czy rozmawiałeś o Annapolis z mamą? - zapytał Jack.

- Nie miałem odwagi. Ona nawet nie wie, że potrafię latać.

- Sądzę, że lepiej byś zrobił rozmawiając z dziadkiem. Czy też wolałbyś, żebym ja do niego zatelefonował?

Twarz Johna pojaśniała.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś z nim porozmawiał. Potem sam spróbuję go przekonać.

7.

W październiku Anna urodziła dziewczynkę, której nadali imiona Anna Elizabeth.

W listopadzie Jack poleciał do Huston. „Kap” Durenberger i Herb

Morrill udali się tam wraz z nim. W prywatnej sali jadalnej w Petroleum Club spotkali się z Billym Bobem Cottonem i Raymondem L'Enfant dwoma wspólnikami ze Związku Nadawców oraz z niejakim Douglasem Humphreym, który był prezesem - między innymi - przedsiębiorstwa Humphrey Petroleum.

Jack i jego przyjaciele wiedzieli, czemu miało być poświęcone to spotkanie, byli więc do niego przygotowani.

Mieli już za sobą drinki oraz przystawki, a zanim zamówiono lunch, Humphrey otworzył dyskusję.

- Panowie, proszę, mówcie mi Doug. Jack, wiesz, że Billy Bob, Ray i ja poświęcamy wiele uwagi twojej spółce. Nasz kraj... co tu gadać, nasz świat, jeśli o to chodzi... stoi u progu prawdziwej rewolucji w dziedzinie środków porozumiewania się. U progu rewolucji rozrywki i sposobów spędzania wolnego czasu. Ta rzecz zwana telewizją rozwija się i... no cóż, nie będę zaskoczony, jeśli spowoduje zamknięcie wielu kin i teatrów. Tak się składa, że jestem właścicielem czterdziestu dwóch kin samochodowych. Kiedy postanowiłem w nie zainwestować, wydawały się wielką sprawą i są wielką sprawą, ale o co się chcecie założyć, że w ciągu kilkunastu lat dziesięciu z nich już nie otworzę? Skoro ludzie mogą siedzieć w domu i oglądać widowiska na małym ekranie, to nie będą już tak bardzo zainteresowani dużym ekranem.

Douglas Humphrey promieniował siłą i pewnością siebie. Miał około sześćdziesięciu lat, może trochę więcej. Jego potężną opaloną twarz porały głębokie zmarszczki, a bujne włosy lśniły siwizną. Miał obwisłe policzki, a ciasny węzeł krawata zaciskał podgardle. Jego niebieskie oczy wydawały się nieco zaspane i wyblakłe, ale szerokie usta były wyraziste. Nienagannie uszyty granatowy garnitur w prążki pochodził, jak domyślał się Jack, z pracowni londyńskiego krawca przy Savile Row. Chusteczka w kieszonce marynarki złożona była podwójnie, a biała koszula szyta niewątpliwie ręcznie. Douglas Humphrey nosił w klapie czerwono-biało-
- Niebieską wstążeczkę krzyża zdobytego we Francji w roku 1918.

- Ty i twoja spółka - mówił do Jacka - w pewnym sensie jesteście wprost cudownie usytuowani, by odegrać wiodącą rolę i zdobyć ogromny zysk w tym biznesie. W innym sensie nie macie dobrej pozycji, ponieważ nie dysponujecie odpowiednim kapitałem. Mam rację?

Właśnie to Jack spodziewał się usłyszeć i już wcześniej doszedł do wniosku, że nic nie zyska zaprzeczając.

- Masz rację - odparł otwarcie.

- Okay. To jest wstępne, sondażowe spotkanie. I wstępna, sondażowa propozycja. Chcesz jej wysłuchać?

- Właśnie dlatego tu jestem.

Na twarzy Humpreya ukazał się wyraz lekkiego rozbawienia, ale szybko spoważniał.

- Obecnie posiadasz osiemdziesiąt dwa procent akcji sieci LNI. Osiemnaście procent przekazałeś swoim współpracownikom. I właśnie dlatego, Jack, jesteś niedokapitalizowany. Potrzebna ci szersza baza akcjonariuszy. Ja sam nie posiadam niczego takiego jak udziały własnych przedsiębiorstw. Największą część udziałów mają inwestorzy. Oto skąd pochodzi kapitał: od inwestorów.

Jack pokiwał głową.

- Nie jestem pewien, czy mógłbym sprzedać większość moich udziałów. Bilans nie wygląda dobrze.

- Słusznie. Twoje zestawienie zysków i strat wygląda bardzo dobrze, a bilans... Jesteś zbyt obciążony zobowiązaniami. Zdobyłeś cenne aktywa, ale brakuje ci gotówki. I właśnie tu chyba mogę zainteresować cię pewną propozycją.

- Słucham.

- Przejmiemy twoją spółkę publicznie. Dallas Trust, którym jestem najbardziej zainteresowany, kupi dwadzieścia procent twoich akcji po rezerwowanej cenie. Odkupi osiemnaście procent akcji pozostających u twoich przyjaciół, ale każdy z nich może zachować jeden procent. Bank umieści te akcje na rynku, wiedząc, że ja kupię dziesięć procent, Billy Bob i Ray po pięć procent, a żaden inny inwestor nie może kupić więcej niż jeden procent. Następnie zaoferujemy emisję akcji preferencyjnych. Ja zamienię połowę z moich dziesięciu procent na preferencyjne, a ty zamienisz w ten sposób połowę swoich dwudziestu procent. To przyciągnie inwestorów. Ja sam znam kilkunastu ludzi, którzy się na to złapią.

8.

Anna siedziała wsparta na poduszkach, Jack zaś usiadł na brzegu łóżka sącząc szkocką z wodą sodową.

- Przekazujesz kontrolę - rzekła cicho.

Jack potrząsnął głową.

- Załóżmy, że udałby się do tych banków i kupiłby moje weksle. Wtedy nie przekazałbym kontroli, ale bym ją stracił. Z jakiegoś powodu ufam temu człowiekowi. Chyba muszę.

- Ale...

- Pozostaję przewodniczącym rady i szefem wykonawczym. Mam nowego wiceprezesa desygnowanego przez Douga. Nadal kieruję programem. Ja...

- Nigdy dotychczas nie dzieliłeś z nikim kontroli nad swoim przedsiębiorstwem. Twój ojciec nie dzieli kontroli nad swoim.

Jack pochylił się i pocałował jej pierś.

- I jeszcze coś - powiedział. - Kiedy Dallas Trust kupi dwadzieścia procent moich akcji, będę się tarzać w gotówce. Po zapłaceniu podatku będziemy mieć w banku jakieś dwanaście milionów dolarów. W banku, Anno! Zawsze niepokoiłem się o... no, wiesz. Te pieniądze będą nasze i ani cent z owego kapitału nie wróci do tego interesu. Nawet jeśli Doug Humphrey pozbawi mnie go w całości, ty i ja w dobrym samopoczuciu spędzimy przyjemnie resztę naszego życia.

Anna przecząco kręciła głową.

- Nigdy nie będziesz mieć dobrego samopoczucia, patrząc jak ktoś inny prowadzi przedsiębiorstwo, które zbudowałeś.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

1. - 1950

Spółka została całkowicie zreorganizowana. Jack, zgodnie z obietnicą Humphreya, pozostał prezesem zarządu i dyrektorem wykonawczym. Miał też nowego wiceprezesa, co również było zgodne z obietnicą Humphreya.

Richard Painter, starszy od Jacka o dziesięć lat, był łysy i nosił kolejne peruki, zmieniając je tak, by sprawiało to wrażenie, że włosy wciąż mu rosną. Potem jakoby się strzygł i powtarzał całą sekwencję od początku. Przypadkowi znajomi nie mieli pojęcia o tych perukach, ale ludzie, którzy znali go bliżej, dobrze o nich wiedzieli. Jego mimika nigdy nie była zdawkowa ani pozbawiona wyrazu, oscylowała bowiem od groźnych spojrzeń spode łba aż do przesadnych, wyszczerzonych uśmiechów od ucha do ucha. Nie przywiązując wagi do stroju, nosił wymięte ubrania „z drążka” i okropne krawaty. Niemniej jednak Jack musiał przyznać, że Painter był bystrym i przenikliwym członkiem kierownictwa, który wydawał się osiągać sukces zużywając wiele energii i zawsze poruszając się kłusem.

Chociaż Painter urodził się w Chicago, Douglas Humphrey sprowadził go z jakiejś działającej w Dallas spółki, która posiadała jedenaście stacji radiowych i jedną telewizyjną. Painter kupił jeden procent akcji sieci Leara.

Painter przywiózł też ze sobą dwie asystentki-sekretarki, które nie zrobiły na nikim szczególnego wrażenia. Sprowadził również swoją osobistą sekretarkę; uderzająco przystojną Cathy McCormack. Miała nieskazitelne rysy, modnie ostrzyżone kruczoczarne włosy i wspaniałą figurę. Ubierała się codziennie tak samo - czego prawdopodobnie wymagał Painter - w zapinane pod szyję białe jedwabne bluzki z długimi rękawami i kołnierzykami spiętymi dużą złotą agrafką, obcisłe czarne spódnice, które kończyły się tuż nad kolaniem, mimo że w modzie były dłuższe, a także w czarne lakierki. Pozostałe sekretarki uważały, że jest

niesamowita. Wszyscy, łącznie z Painterem, nazywali ją panną McCormack, gdyż nie zachęcała do poufałości. Jadała samotnie, chodząc - jak ktoś odkrył - na lunch nie do automatu z kanapkami czy baru Schraffa, lecz do dobrej restauracji przy Forty-third Street, gdzie do posiłku zawsze wypijała dwa kieliszki wina. Po pewnym czasie ludzie podejrzewali, że jest dla Paintera kimś więcej niż osobistą sekretarką.

Jack nadal zajmował ten sam gabinet w budynku Chryslera i wciąż siedział za bogato zdobionym mahoniowym biurkiem, które niegdyś kupiła mu Kimberly. Wciąż miał też swój onyksowy komplet przyborów do pisania i stary mikrofon WCHS, który wy dobył z szafy w bostońskim biurze, gdy odkupił tę stację. Pewnych niewielkich zmian w jego gabinecie dokonała Anna. Sprzedawcy w Berlinie zachowywali dla niej doskonałe rzeczy, ilekroć pojawiły się na rynku. Obraz Matisse'a, jaki jej zaoferowali, był niemal na pewno ukradziony jakiejś rodzinie, która nie rościła do niego pretensji, więc Anna mogła go kupić po cenie rynkowej. Przedstawiał on nagą kobietę leżącą na kanapie z wazonem pełnym kwiatów w tle. Chociaż naga piękność była zmysłowa, styl, w jakim ją namalowano, był tak lapidarny, że nawet najbardziej pruderyjny gość nie mógł się w tym obrazie dopatrzeć niczego erotycznego. Obraz wisiał nad gabinetowym pulpitem, który także kupiła Anna. Anna stwierdziła też, że światło w gabinecie Jacka jest rażące i zmieniła układ oświetlenia, pozostawiając jedynie stojące lampy. Jack był dumny ze swego gabinetu i czuł się w nim bardzo dobrze.

Ku swemu przerażeniu odkrył, że Richard Painter miał w swoim gabinecie tylko szare metalowe biurko, za którym siedział na plastikowo-aluminiowym krześle. Gabinet Paintera był oświetlony jarzeniowymi świetlówkami, a jego biurko pokrywały sterty papierów, papierowe kubki do kawy i bibułki po pączkach.

Jack nie lubił Paintera, ale starał się tego nie okazywać.

2.

W skład zarządu wchodził Jack Lear, Douglas Humphrey, Richard Painter, Emil Durenberger, Raymond L'Enfant, Curtis Frederick i Joseph Freeman. Freeman był chicagowskim bankierem, który partycypował w rekaptalizacji spółki.

Jack doskonale zdawał sobie sprawę, że jego zespół kierowniczy stanowi w tym zarządzie mniejszość. Głos Freemana mógł więc przeważać szalę ewentualnego sporu. Freeman był zainteresowany pieniędzmi, a nie władzą i w rzeczywistości Jack nie był pewien, czy Humphrey lub

L'Enfant byliby gotowi mu się sprzeciwić. W każdym razie taki układ sił w radzie dyrektorów dramatycznie obnażył fakt, że on sam nie miał już pełnej kontroli nad spółką.

Podczas pierwszego poważnego zebrania zarządu Painter dokonał posunięcia, o którym wiedział, że prawdopodobnie nie spodoba się ono Jackowi.

- To, co mamy obecnie, jest luźną współpracą między LNI i Związkiem Nadawców - powiedział Painter. - Rozumiem, że Związek Nadawców chce zacieśnić ten związek. Zastanawiam się, czy nie byłoby rozsądnie zreorganizować się w korporację główną z udziałowcami podporządkowanymi. Sieć Leara i Związek Udziałowców mogłyby stać się spółkami podporządkowanymi korporacji macierzystej. Wraz z naszym rozwojem i ewentualnym wstąpieniem innych przedsiębiorstw spółka macierzysta mogłaby zdobywać innych podporządkowanych udziałowców.

- Co o tym myślisz, Jack? - zapytał Humphrey.

- To zależy od sposobu, w jaki dzieli się aktywa - odparł Jack. - My wypracowaliśmy kilka dość skrupulatnych ustaleń określających zakres i prawa własności. Chyba trochę za wcześnie, by je zmieniać, nieprawdaż?

- Oczywiście - odparł Painter. - Moja propozycja sprowadza się do tego, by macierzystą spółką była sieć LNI. Potem przełączymy jej funkcje nadawcy radiowego owej podporządkowanej spółce, którą stworzymy właśnie w tym celu.

Jack spojrział na Humphreya.

- Doug?

- Skuteczne rozwiązania. Skuteczne rozwiązania są bardzo ważne.

- Racjonalna struktura korporacji jest z pewnością pomocna, kiedy jest się nastawionym na zarabianie pieniędzy - stwierdził Freeman.

- Sugeruję, byśmy przekształcili sieć LNI, to Lear Network, Incorporated w... powiedzmy... zjednoczenie operatorów komunikacji radiowej czyli Consolidated Communications, Incorporated - wyjaśniał Painter. - Jego pracownicy i zarząd pozostaliby na swoich miejscach. Ten zarząd będzie miał możliwość powoływania zarządu i pracowników podległych spółek, a...

- Jest w tym pewien element, który mi się nie podoba, Dick - przerwał mu Humphrey. - Nie sądzę, że powinniśmy pozbawiać tej korporacji nazwiska Jacka, bo to on ją zbudował. Wolałbym, żebyśmy ją nazwali Lear Communications, Incorporated.

Painter chmurzył się przez chwilę, a potem skinął głową.

- Racja. Jasne. Lear Communications.

- Jack? - zapytał Humphrey.

- Przyjrzyjmy się szczegółom - odparł Jack.

Później, gdy wszyscy poszli na lunch, Jack, „Kap” i Curt razem udali się do męskiej toalety.

- No i jak? Co o tym myślisz? - Curt zapytał Jacka.

- Mamy do czynienia z mistrzami, panowie - rzekł Jack, myjąc ręce. - To była pokerowa rozgrywka, a mnie rzucili kość. Wszystko zostało przygotowane i rozpisane na głosy. Oto jak się sprawy potoczą.

Curt wzruszył ramionami.

- Aczkolwiek uczynią nas bogatymi... Jeśli to wszystko zrobi się główniane, to się wycofam.

3.

Jack siedział w motelowym pokoju pod Bostonem z Rebeccą Murphy, ową prywatną agentką, którą przed laty, w czasie wojny, zaangażował do śledzenia Kimberly.

Przyniósł butelkę szkockiej i teraz sączyli ją z łazienkowych szklanek do mycia zębów. Paliła tylko ona, bo on już prawie rzucił palenie.

Wpatrywał się teraz w serię czarno-białych fotografii, które wyjął z koperty, jaką mu przyniosła. Oczy miał wilgotne od łez.

- Jest śliczna - wyszeptał.

Rebecca Murphy skinęła głową.

- Tak, jest naprawdę śliczna.

Fotografie przedstawiały Kathleen, jego córkę, którą urodziła Connie Horan. Ta złotowłosa pięcioletnia dziewczynka radośnie baraszkująca w parku została sfotografowana przez Rebeccę aparatem z obiektywem długiogniskowym.

- Jak ją traktują?

- Panie Lear, nie znajduję choćby najsłabszej sugestii, by nie traktowali jej niczym własną, ukochaną córkę. Będę szczerą: nie ma sposobu, by mógł pan odebrać im opiekę nad tym dzieckiem. Państwo Horanowie są... jak by ich nazwać... prozaicznymi ludźmi.

- Gdzie mógłbym ją zobaczyć?

- Chyba tylko przez lornetkę. Nie sądzę, by mógł ją pan spotkać. Wygląda, jakby podejrzewali, że pojawi się pan pewnego dnia.

- Jestem pewien, że podejrzewają - mruknął. - Tak przypuszczam. I zrobię to. Pewnego dnia.

Rebecca Murphy dopiero niedawno skończyła trzydziestkę. Była poważną kobietą o mocno kręconych kasztanowych włosach i zamkniętej, znaczonej trądzikiem twarzą.

Jack opróżnił szklaneczkę i nalał sobie kolejną porcję whisky.

- Ma pani jakieś pojęcie, jak to wygląda?

- Tak, mam. Pozbawiono mnie opieki nad dwojgiem dzieci. Wolno mi je widywać tylko przez godzinę co dwa tygodnie. Ostrożnie zachowują dystans wobec mamy. Powiedziano im, że poszłam do nieba. Wiem, że w ogóle by się ze mną nie spotykały, gdyby nie musiały.

- Rebecca... Mogę tak do pani mówić?

- Mów mi Becky.

- Życie jest gówniane, prawda Becky?

Uśmiechnęła się.

- Oto siedzi tutaj mężczyzna z... iloma milionami? Mężczyzna żonaty z najpiękniejszą kobietą Ameryki. Ojciec dwojga wspaniałych dzieci mieszkających tutaj, w Bostonie, i tego jednego, którego nie może widywać. Ojciec dwojga wspaniałych dzieci w Nowym Jorku - mówiła, potrząsając głową. - Czy kiedykolwiek brakowało ci jedzenia, Jack? Ja poszłam na ulicę, gdy miałam piętnaście lat i strzelałam kolejne numerki, żeby zarobić pieniądze na coś do jedzenia. Najgorzej było wtedy, gdy trafiałam na jakiegoś pijaka, który postanawiał mnie bić, a zdarzyło się to niejedyn raz.

- Tak mi przykro, Becky. To okropne.

- Tak... Więc wyszłam za męża. I wiesz co? Mój mąż, ten cudowny ojciec moich dzieci, też używał na mnie pięści. Kiedy wystąpiłam o rozwód, odmówiono mi go, uzasadniając tę odmowę faktem, że nie popełnił cudzołóstwa. Wtedy on wystąpił o wyłączność prawa do opieki nad dziećmi, mówiąc, że byłam dziwką i że w ogóle nie ma mnie w domu. Ja pracowałam jako prywatna agentka, ale adwokaci mojego męża sugerowali, że w rzeczywistości znów strzelam szybkie numerki - opowiadała z płaczem Rebecca Murphy, a jej twarz stała się jeszcze bardziej twarda. - Sąd przyznał mężowi opiekę nad dziećmi i nakazał mi opuścić dom. Oto kim byłam: wciąż pozostawałam jego żoną, która nie mogła mieszkać w domu i widywać dzieci.

Jack wyciągnął ręce i objął Becky ramionami.

- A nie mówiłem? Życie jest gówniane.

- W końcu pojechałam do Reno i dostałam rozwód, nie po to, żeby móc znowu wyjść za męża, niech Bóg broni, ale żeby ten drań nie rościł sobie pretensji do moich zarobków.

- Becky...

Pocałowała go.

- Masz na coś ochotę?

Skinął głową.

- Ja też. Nie użyjesz na mnie pięści, prawda? Nic się nie bój. Już

dawno jestem wolna. I nie powstrzymuj się. Pragnę wszystkiego, co masz, i tak mocno, jak możesz to zrobić!

Rozebrała się. Jej ciało było szczupłe i twarde. Miała wklęsły brzuch, który wyrastał z wyraźnie zarysowanej miednicy. Mógł policzyć jej żebra. Przypomniły mu się słowa z operetki Gilberta i Sullivana, jakimi sama opisywała się pasierbica Mikada: „Chociaż taka szczupła, to jednak ma własną wolę”. Podnieciła go językiem, a potem rozłożyła się, by przyjąć go w siebie. Wbijał się w nią zawzięcie, a bez względu na to, jak mocno to robił, ona jęczała, by nie przestawał.

- Jeszcze! Jeszcze! - wołała.

Wieczorem zabrał ją na kolację.

- Wątpię, czy się znów spotkamy, Jack - powiedziała. - Powinieneś o tym zapomnieć. To nie jest częścią twojego życia. Nasze spotkanie było przelotnym incydentem, to wszystko. Dla mnie także. Jesteś cholernie dobry. Mam nadzieję, że „Pani z Dziesięciu Najlepiej Ubranych Kobiet Ameryki” cię docenia.

Wróciwszy do motelu, Jack znalazł w pościeli osobliwe połączenie zapachów: potu, papierosowego dymu i jakichś dziwnych perfum czy wody kolońskiej, których przedtem nie czuł. Zamówił rozmowę do Anny i rozmawiał z nią dziesięć minut. Powiedział, że ją kocha i ona powiedziała, że go kocha.

Z wyjątkiem owej chwili w Nowym Orleanie, gdy wsunął penis w otwór w kurtynie - czego zresztą bardzo żałował, bo pozwolił, żeby czterej współpracownicy widzieli, jak robi coś tak głupiego - ów incydent z Becky Murphy był jedyną przygodą, na jaką sobie pozwolił poza małżeńskim łóżkiem dzielonym z Anną. Postanowił, iż będzie on również przygodą ostatnią. Mając za żonę kobietę taką jak ona, byłby idiotą, ryzykując, że ją utraci.

4.

John nie wybierał się tego lata do Greenwich. Uzyskał skierowanie do Annapolis i zameldował się tam w czerwcu, by zdobyć orientację i nauczyć się żeglowania przed rozpoczęciem wykładów.

Jack wziął Annę do Bostonu na uroczystość ukończenia przez chłopca szkoły średniej. Nieuniknione było tam oczywiście ich spotkanie z Kimberly i Dodge'em. To właśnie wtedy obie panie zobaczyły się pierwszy raz i było oczywiste, że wzajemnie będą się bardzo wnikliwie oceniać.

Kimberly miała teraz czterdzieści trzy lata i wciąż pozostawała wytworną, piękną kobietą o imponującym stylu. Mimo że była uosobie-

niem wiary w siebie, w istocie nie była już tak ufna we własne siły. Dodge jak zwykle nieustannie zadręczał ją przymusem utrzymywania idealnej wagi, co dla Kimberly było niemożliwe bez stosowania tak surowej diety, że wprawiało ją to w irytację. Rezultat był taki, że miała niemal dziesięć kilogramów nadwagi. Stając twarzą w twarz z nieskazitelnie piękną Anną, Kimberly natychmiast poczuła zazdrość o jej pełną gracji, smukłą figurę.

Anna miała na sobie suknię z santungu udrapowaną tak, że jedwab osłaniał jej lewe ramię prawie do łokcia, a prawe pozostawało nagie. Na każdym nadgarstku miała prostą bransoletę: trzy sznury pereł na lewym i delikatny złoty łańcuszek na prawym. Miała też torebkę z krokodylowej skóry i czarne rękawiczki, których jednak, jak zauważyła Kimberly, nie zakładała na dłonie. Jej makijaż był dyskretny, a włosy uczesane gładko, w bezpretensjonalnym stylu z falą nad czołem.

Kimberly również była elegancko ubrana w kremowy lniany żakiet na prostej sukni z czarnego lnu, ale zastanawiała się czy nie wygląda na „wyfiokowaną” w obecności jednej z dziesięciu najlepiej ubranych kobiet Ameryki.

Na początku swego związku z Jackiem Anna była zarówno ciekawa Kimberly, jaki pełna obaw przed spotkaniem z nią. Kiedy jednak w końcu stanęła z nią twarzą w twarz, stwierdziła, że Kimberly po prostu nie robi na niej żadnego wrażenia. Kimberly nie była już częścią życia Jacka i Anna nie miała poczucia, że z nią rywalizuje.

Kimberly zaś była szybka w sądach. Spozrzegła, że Anna traktuje ją z obojętnością, i to ją rozczłowiło, ale panowała nad sobą.

- Bardzo pragnęłam panią poznać - powiedziała Annie. - Widziałam w czasopiśmie pani fotografie, ale one nie w pełni oddają pani obraz.

- To bardzo uprzejme z pani strony - odparła Anna. - Ja również się cieszę, że w końcu mogę panią poznać.

Po południu, rozmawiając z Jackiem na uboczu w domu przy Louisburg Square, gdzie Kimberly i Dodge wydawali dla Johna przyjęcie, Harrison Wolcott tarł ręce i potrząsał głową.

- Nie mogę powiedzieć, że niejestem zdumiony, bojestem. Jack, oni pozbawią cię spółki!

- Już to zrobili. Ale szczerze mi za to zapłacili. Poza tym, dali mi pewną wspaniałą sposobność. Harrison, złote czasy radia już minęły. Telewizja skradnie mu odbiorców.

- Rozumiem, że „Godzina z Sally Allen” będzie jeszcze jesienią. Sądysz, że ona może konkurować z, powiedzmy, Milton Berle?

- Nie. Nie mamy wystarczającej liczby stacji, by rozpocząć taką rywalizację. Ale ona nie musi tego robić. Nie chcemy jej konfrontować z Berle.

- Ile stacji będziecie mieć? - zapytał Harrison.
 - Cztery na rozpoczęcie sezonu. Zamierzamy sprawić, by we wszystkich stacjach radiowych nieustannie mówiono o tym, jaką to zabawną kobietą jest Sally Allen. Zamówiliśmy liczne artykuły na jej temat. Chcemy wywołać ogromne zaniepokojenie jej osobą. Ludzie będą chcieli ją zobaczyć. Wtedy zdobędziemy kolejne stacje.
 - Będziesz cholernie długo rywalizował z sieciami.
 - To zrozumiałe. Nigdy nie uzyskamy tak wysokich ocen i wskaźników jak oni. Ale na horyzoncie jest coś jeszcze: droga do horyzontu. Pewnego dnia nie będziemy transmitować telewizji w radio. Sygnał może być wysyłany po przewodach. To będzie dzień, w którym spojrzawszy ku słupom stojącym na ulicy, zobaczysz przewody elektryczne, telefoniczne i telewizyjne.
- Harrison Wolcott się uśmiechnął.
- W 2000 roku.
 - Znacznie wcześniej - odparł Jack.
- Właśnie zbliżała się Anna, lecz zanim zdołała do nich dotrzeć, Wolcott ściszył głos i rzekł:
- Masz piękną żonę, Jack.

5.

- Joni ssała penis Johna, płacząc jednocześnie.
- Już nigdy... Dlaczego nie mogłeś po prostu wstąpić na Harvard?
 - Z wielu powodów - odparł John, przesuwał ręką po jej włosach.
 - Jednym z owych powodów jest to, że nie możemy dalej się kochać - szlochała.
 - Jednym z owych powodów jest to, że musimy uciec od naszej matki. I ty także. Ona nas dusi, Joni.
 - To ten gbur Dodge ją do tego zachęca.
 - Musimy stąd wyjechać, musimy wyjechać z Bostonu.
 - Z Bostonu?
 - Z Bostonu, z Biloxi, z wszelkich ciasnych miejsc.
- Lizała go przez mosznę do jąder.
- John...
 - Posłuchaj... możliwe... nie mogę ci obiecać, ale założmy, że pewnego dnia znajdziemy jakieś miejsce, takie jak San Francisco, Miami albo Chicago, gdzie nikt nas nie zna, i przedstawimy się jako małżeństwo. Albo jedno z nas posłuży się jakimś innym nazwiskiem i naprawdę się pobierzemy.

Joni westchnęła.

- Znajdziesz sobie jakąś inną dziewczynę.
- A może ty znajdziesz innego faceta.
- Ale ja cię Kocham i zawsze będę cię kochać. Nikt ci nie dorówna.
- Żadna nie dorówna tobie, Joni.

Rozsunął jej nogi i wcisnął twarz w jej krocze. Poznał szczególną wrażliwość siostrzanej łechtaczki i nauczył się jak pobudzać ją językiem. Robił to dopiero przez chwilę, gdy ona zwinęła się i krzyknęła.

- Nikt, John! Nikt! - łkała, sięgając po jego penis i wciągając go między wargi, a potem głębiej, aż do gardła...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

1. - 1950

Jack siedział na tylnym miejscu samochodu prowadzonego przez „Kapa” Durenbergera. Obaj przylecieli do Tulsy, gdzie na lotnisku czekał Billy Bob Cotton, który teraz zajmował miejsce z przodu. Jack początkowo chciał chociaż na krótko zasnąć w drodze do Okmulgee, ale krajobraz wydawał mu się tak interesujący, a pogoda tak groźna, że postanowił nie zasypiać.

Purpurowa szarość zachodniej strony nieba wyglądała ponuro, podczas gdy na wschodzie wciąż świeciło słońce. Kontrast między oświetlonymi słońcem liśćmi na drzewach po stronie zachodniej i ponurym tłem chmur nadawał drzewom soczyście zielony kolor. Jack zastanawiał się, czy będzie świadkiem tornada, ale o to nie zapytał.

Kiedy tak patrzył urzeczony, mroczny palec tornada wysunął się ku ziemi zza chmur, ale po minucie cofnął się i zniknął.

Billy Bob włączył radio i znalazł jakąś stację nadającą właśnie komunikat meteorologiczny. Tornado obserwowano w hrabstwie Okmulgee. Bezpośrednie ostrzeżenie przeznaczone było w rzeczywistości dla hrabstw Okfuskee, Seminole i Hughes.

- Burza zmierza na południe - powiedział zdawkowo Billy Bob i wyłączył radio.

Okolica przez którą jechali, była falista, na zboczach wzgórz i w płytkich dolinach pasły się stada bydła. Jakaś uprawa o jasnozielonych liściach wzrastała na nisko ogrodzonych polach. Billy Bob wyjaśnił, że to orzeszki ziemne. Zatrzymali się na jakiejś farmie położonej w odległości pięciu mil od miasteczka Okmulgee. Gdy znaleźli się na podjeździe wiodącym ku domowi, Jack doszedł do wniosku, że to miejsce jest dobrze prosperującą farmą. Pionowa konstrukcja za garażem była właśnie tym, co przyjechali tu oglądać: siedemnastometrową stalową wieżą zwieńczoną

szerokoramienną anteną telewizyjną. Takie wieże stały niemal na wszystkich farmach, jakie mijali po drodze.

- Państwo Martinowie są wspaniałymi ludźmi - powiedział Billy Bob. - Znam Eda i Marthę od wielu lat. Pewien bank w Tulsie, którego część należy do mnie, pożyczył im pieniądze na ten dom. Spłacili pożyczkę przed terminem.

W niedalekiej odległości od samochodu stanął olbrzymi czarno-brązowy owczarek niemiecki, niezobowiązująco merdając ogonem.

Pani Martin wyszła ku nim z domu.

- No, proszę, oto i pan Cotton! Miło mi pana widzieć.

Pani Martin była miłą kobietą. Miała na sobie prostą, bawełnianą sukienkę, którą prawdopodobnie sama uszyła. Jack wysiadł z samochodu i wyciągnął ku niej rękę.

- Dzień dobry, pani Martin. Nazywam się Jack Lear. To miło z pani strony, że pozwoliła nam pani obejrzeć waszą telewizję - rzekł.

Potrząsnęła dłonią Jacka, ściskając ją zdecydowanie.

- Cóż, to doprawdy nic wielkiego. Niektórzy mają lepszy odbiór niż my. Burza, która nadciąga tu z zachodu może spowodować jakieś zakłócenia.

Jack podsunął rękę psu do powąchania. Owczarek, „sprawdziwszy” gościa, wydawał się usatysfakcjonowany.

Pani Martin przywitała się również z „Kapem” i zaprosiła gości do środka, gdzie czekała na nich kawa z domowymi pączkami.

- Ed zaraz tu będzie - powiedziała. - Zobaczycie wasz samochód.

Podłoga w salonie pokryta była nowym linoleum, a umeblowanie stanowiła kanapa z dwoma fotelami obitymi brązowym pluszem. Ten pokój - i prawdopodobnie cały dom - ogrzewany był dużym żelaznym piecem węglowym ustawionym na cienkiej płycie ze stali, która chroniła linoleum przed żarem. Ich telewizor był siedemnastocalowym odbiornikiem marki „Sylvania”. Stały na nim fotografie dzieci.

Po chwili pojawił się Ed.

- Witaj, Billy Bob! - rzekł wyciągając rękę na powitanie. - Dawno się nie widzieliśmy. - Przywitawszy się z Billym Bobem, wyciągnął dłoń do Jacka i „Kapa”. - Witam, panowie.

Martin nie nosił farmerskiego kombinezonu. Miał na sobie prawie nowe dżinsy i koszule w kolorze khaki, w jednej kieszeni tkwiła paczka papierosów, w drugiej żółty ołówek.

- Cóż, przyjechaliście oglądać telewizję. Zobaczmy, co można dzisiaj złapać - rzekł, włączając odbiornik.

Telewizor się nagrzał i po chwili pojawił się obraz. Był nieco zamglony i śnieżył, ale był; czarno-biały wizerunek jakiegoś nadmiernie

wylewnego mistrza ceremonii grającego do złożonej z kobiet publiczności w studio.

- Ten program z Dallas jest najdalszym, jaki możemy oglądać - powiedział Martin. - Pokażę wam program z Tulsy, który dociera do nas znacznie wyraźniej.

Najpierw zmieniał kanały, pokazując gościom obraz różnych programów, zupełnie niewidocznych, potem przełączył dipol antenowej skrzynki kontrolnej stojącej na telewizorze i obraz zrobił się wyraźniejszy, chociaż jeszcze nie doskonały.

- Widzicie, nakierowałem tylko antenę na Tulsę. Przedtem była skierowana w stronę Dallas. To jest antena zwana kierunkową.

- Innymi słowy - rzekł Jack - ma pan na szczycie wieży silnik elektryczny, który porusza anteną.

- No właśnie.

W ciągu kilku minut pokazał im, że może również nastawić antenę na Kansas City, które podobnie jak Dallas było w zasięgu ich anteny, oraz na Oklahoma City, chociaż sygnał przerywała przemieszczająca się burza.

- Podobno niebawem ruszy stacja w Wichita. Byłoby wspaniale. Mielibyśmy już pięć kanałów. A potem, jak dobrze pójdzie, może sięgniemy aż do St. Louis, ale trudno na to liczyć.

- Chciałbym zapytać - odezwał się Jack - jak ważna jest dla was telewizja?

- Och, jest bardzo ważna - odpowiedziała pani Martin. - Coś panu powiem. Nasz najstarszy syn mieszka w Dallas i czasami, kiedy coś oglądamy, myślę sobie: „Ojej, nasz chłopak ogląda ten sam program”, bo lubimy te same programy, i wtedy wydaje mi się, że nie wyjechał aż tak daleko.

W drodze powrotnej do Tulsy trzej mężczyźni rozmawiali w samochodzie.

- Dokonałem już pewnych obliczeń - mówił Billy Bob. - Jeśli zbudujemy potężną stację w Kansas City, obejmiemy jej zasięgiem rynek przynajmniej pięciu milionów ludzi.

- Ja także dokonałem pewnych obliczeń - powiedział Jack. - St. Louis nie jest aż tak dobre. Ani Dallas. Jedynym miastem, które mogłoby zapewnić większy rynek odbiorców jest Columbus w stanie Ohio. Ale większość terenów w stanie Ohio jest górzysta i trzeba postawić piekielnie wysoką wieżę, by dotrzeć na przykład do Pittsburgha czy Detroit. Na Wschodnim Wybrzeżu pojawia się inny problem: ludzie nie oswoili się z myślą o stawianiu siedemnastometrowych wież antenowych, by oglądać telewizję. Zresztą wielu z nich by tego nie zrobiło. A zatem zgadzam się z Billy Bobem. Kansas City!

- Nie możemy ograniczyć się do jednej stacji - zauważył „Kap”.
- Słusznie - odparł Jack. - Rozejrzałem się już trochę. W Dallas jest jakaś niezależna stacja. Możemy wziąć w dzierżawę łącza z Kansas City do Dallas i nadawać równocześnie z obydwu miast. Być może w ten sam sposób będziemy mogli dotrzeć do pewnej niezależnej stacji w Minneapolis. Potem zrobimy filmowy zapis programów. Myślę, że moglibyśmy zacząć od „Godziny z Sally Allen” dla niezależnych stacji w Atlancie i Indianapolis. Przekaz nie będzie tak wyraźny, za to zawsze o jeden dzień spóźniony, więc musimy zrobić z programu Sally coś, co ludzie naprawdę chcą oglądać.

2.

- Kansas City?!!! - Właśnie tak, bardzo gwałtownie zareagowała Sally Allen na wiadomość, że jej program ma być realizowany w Kansas City. - Chyba sobie żartujecie!!! Chciecie, żebym zamieszkała w... Nie ma mowy!

Jack wyjaśnił jej, dlaczego pierwsze programy muszą być realizowane w Kansas City. Sally zaś powiedziała, że go nienawidzi; że nienawidzi również tej przekłętej umowy, jaką z nim zawarła, po czym wyszła, mówiąc, że może ją zaskarżyć do sądu.

Dziesięć dni później była już w Kansas City, z wyrazem pogardy na twarzy przechadzając się po zakurczonym magazynie, który sieć LCI - Lear Communication, Incorporated - przebudowywała na studio telewizyjne.

Jack ułagodził ją trochę, wymieniając nazwiska aktorów, którzy mieli jej partnerować.

- Wydałeś mnóstwo pieniędzy - powiedziała.

To prawda; wydał dużo na honoraria i nieprzewidziane finansowe „zachęty”, ale wszystko inne kosztowało go znacznie mniej, niż zapłaciłby w Nowym Jorku czy Los Angeles. Wynajął mieszkanie dla Sally oraz apartament w hotelu Muehlebach dla siebie i innych członków zespołu kierowniczego, by mogli z niego korzystać będąc w tym mieście.

Przy kolacji w doskonałej francuskiej restauracji Sally przyznała, że Kansas City jest bardzo przyjemnym miasteczkiem.

- Podoba mi się tutaj - powiedziała, rozglądając się po eleganckim wnętrzu. - Myślałam, że będę musiała jadać w jakimś barze. I wiesz co, mają tu nocny klub, o jakim ci się nie śniło. Mężczyźni w damskich strojach! Ale ci faceci są w tym dobrzy! Powinniśmy znaleźć jakiś sposób, żeby najlepszych umieścić w naszym programie.

Znaleźli. W drugim programie młodzieniec nazwiskiem Burt Wilson który nazywał siebie Gloria, pojawił się w zabawnym skeczu. Pod koniec owego skeczu odwrócił się tyłem do kamery i zdjął sweter ukazując nagie plecy, a kiedy ponownie stanął do niej twarzą, zerwał perukę i Gloria stała się Burtem.

Tylko tym jednym epizodem „Godzina z Sally Allen” osiągnęła więcej, niż Jack się spodziewał. Oczywiście okrzyknięto ów skecz mianem nieprzyzwoitego. Pewien kongresmen z Teksasu zażądał nawet, żeby Federalna Rada Środków Łączności odebrała licencję należącej do LCI stacji w Kansas City. Duchowni ostro potępili program. Prasa zaś relacjonowała cały spór, a LCI dostarczało fotosy nagiego do pasa Burta.

Widzowie z całego kraju zapragnęli oglądać „Godzinę z Sally Allen”, więc liczne stacje ubiegały się o filmowy zapis tego programu.

Dokapitalizowane przedsiębiorstwo Leara kupiło niezależne stacje w Minneapolis i w Indianapolis.

3.

Sally Allen rzadko demonstrowała swój temperament. Zwykle była niewymagająca, chętną do współpracy aktorką, która akceptowała dyrekcję i nie powodowała na planie poważniejszych problemów. Miała jednak pewne wymagania, a jednym z nich była garderoba chociaż trochę lepsza niż owe kabiny ze sklejki, jakie wybudowano w magazynowym studio. Jack polecił kierownikowi technicznemu zbudowanie obszernej przyczepy na kołach i przyholowanie jej do magazynu.

Siedział na kanapie w owej przyczepie i przyglądał się, jak Sally przymierza jeden z kostiumów, w których miała wystąpić w wieczornym programie. Ten taneczny kostium był czarnym, jedwabnym gorsetem ozdobionym setkami błyszczących świecidełek. Miała jeszcze do niego czarne przejrzyste rajstopy, ale przymiarękę odbywała z gołymi nogami.

Sally szybkim ruchem chwyciła gorset i przeciągała go przez biodra ku górze, eksponując je przy tym coraz wyraźniej.

- Co mówisz, Bertho? - pytała krawcową. - Czy mogę go tak podciągać?

Krawcowa skinęła głową.

- Zasznurowuj go, a wtedy wszystko się uniesie.

- Okay. Ale będziesz musiała go ozdobić, trochę podwinąć i rozsunąć na górze. Zamierzam pokazać szczelinę między piersiami. Widzowie tego oczekują.

Bertha się roześmiała.

- Reżyser będzie chciał osłonić ją kwiatem.
- Do diabła z tym - odparła Sally. - A po co są balony? Przecież to sekret mojego sukcesu. Prawda, Jack?

Jack uniósł w górę szklaneczkę szkockiej.

- Będzie dużo gadania - rzekł.

- W porządku, Bertho. Zdejmujemy to.

Krawcowa zaczęła rozsznurowywać gorset.

- W mojej przeszłości kryje się pewien głęboki sekret - powiedziała Sally do Jacka, pozwalając, by krawcowa zdjęła z niej kostium, pod którym nie miała bielizny. Stojąc nago wzięła swoją szklaneczkę szkockiej i wypija łyk, nim sięgnęła po czerwony szlafrok leżący na krześle. - Nie tak źle jak na trzydziestolatkę, co? - zapytała przed włożeniem szlafroka.

Bertha wyszła z przyczepy.

Sally usiadła na wprost Jacka.

- Głębokim sekretem jest to - powiedziała - że opanowałam rzemiosło, którego nikt zdaje się nie pamiętać. Ludzie mówią o moim wyczuciu komizmu, o tym jak potrafię żonglować zabawnymi tekstami. A jak, ich zdaniem, nauczyłam się swego zawodu?

- Zdradź mi swój sekret - rzekł Jack.

- W burlesce. Jako siedemnastolatka zostałam striptizerką czyli, jak wtedy mawiano, „tancerką erotyczną”. Pracowałam w zespole objazdowym. W takich miastach jak Detroit, Toledo, Cleveland, Columbus, Cincinnati, Pittsburgh. Ale tylko w teatrach, nigdy w klubach. Zdejmowałam z siebie tylko tyle, ile pozwalała policja, co w niektórych miastach niekiedy oznaczało... wszystko. Jednak połowę takiego widowiska rozrywkowego wypełniają kłowni, a w niektórych ich scenkach bierze udział dziewczyna. Wiele razy ja byłam tą dziewczyną. Obserwowałam ich metody i technikę, dostrzegałam ich błędy i grałam swoją rolę lepiej, niż oni odgrywali swoje.

- Jestem tego pewien.

- Pamiętam kilka takich scenek. Wszystkie były bardzo śmieszne, chociaż również bardzo pikantne. Wiele polegało na grze słów najczęściej bardzo... hm... genitalnych.

- Nie moglibyśmy pokazać ich w telewizji - rzekł Jack.

- Szkoda. W tych starych skeczach zawsze eksponowano mój biust. Przywykłam do myśli, że znacznie seksowniej jest pokazywać gołe ccyki na scenie w skeczu granym w pełnych światłach, niż rozbierać się do mikroskopijnych majteczek w zwykłym striptizie.

- Jestem tego samego zdania.

- Mówią o tym dlatego, że dostałam list. Od... no cóż, muszę chyba powiedzieć, że od mojego męża, bo w rzeczywistości nigdy się nie

rozwiódłam, tylko odeszłam. Zobaczył mnie w telewizji i od razu zdał sobie sprawę, że Sally Allen jest dziewczyną, którą on zapamiętał jako Flo.

- Czy on chce pieniędzy? - zapytał Jack.

- Tylko trochę. Parę setek. Pisze, że czasy są trudne. Wszędzie zamyka się dawne teatrzyki rewiowe. Był porządnym człowiekiem. Główny komik jego teatrzyku umarł. Pracuje teraz jako cukiernik. Ma dziewczynę, striptizerkę o imieniu Marilyn, która odgrywa z nim komiczne scenki. Ta dziewczyna kiedyś złamała nogę, ale mimo to poszła się rozbierać na scenie z nogą w gipsie. Wyobrażasz to sobie?! Facetom na widowni podobała się jeszcze bardziej! Woleli oglądać jej striptiz wtedy, gdy miała nogę w gipsie!

- Może wydawała im się bardziej ludzka - rzekł Jack.

- Tak czy owak... on nazywa się Len Leonard i prosi o dwieście dolarów. Co mam zrobić?

- Jak z nim zerwałaś, jeśli możesz odpowiedzieć na moje pytanie?

- Nie chciałam przez całe życie być striptizerką, to wszystko. Chciałam odejść z tych teatrzyków, a on nie chciał. Nie miał pojęcia co innego mógłby robić. Więc pewnego dnia po prostu spakowałam walizeczkę i odeszłam.

- Ku sławie i fortunie - rzekł z uśmiechem Jack.

Sally odstawiła szkocką.

- Powiem ci, czego nigdy nie robiłam: nigdy się nie puszczałam. Miałam mnóstwo okazji, faceci proponowali mi góry forsy. Każ którejs z twoich hollywoodzkich ciot przygotować takie oświadczenie.

- Chcesz, żebym zajął się tą sprawą?

- A co możesz zrobić?

- Załatwić ci cichy rozwód. Poślij mu te dwie setki i ucisz na kilka tygodni, a ja zajmę się resztą, jeśli chcesz, bym to zrobił.

- Będę ci wdzięczna, Jack - odpowiedziała z westchnieniem.

4.

W pewien listopadowy wieczór Jack zasiadł w czymś, co miało się okazać najędźniejszym teatrem, w jakim kiedykolwiek był; w teatrzyku rewiowym w Toledo. Scena najlepiej dałaby się go opisać jako drucziana klatka na domowe ptactwo, która trzech muzyków chroniła przed wszystkim, czym mogli w nią rzucać widzowie.

Wykonawcy byli słabi i całkiem pozbawieni talentu. Jedną ze striptizerek była nastolatka, która sprawiała wrażenie zakłopotanej. Pozostałe, dobiegające trzydziestki, nie były zakłopotane niczym.

Głównym wodewilistą był mężczyzna co najmniej sześćdziesięcioletni, który najwyraźniej zostawił w garderobie sztuczne szczęki. Jego partnerem zaś był Len Leonard, który brał udział w dialogu niemrawo i czekał na odpowiedzi, wiedząc, że ludzi zajmujących miejsca w pierwszych rzędach teatru wcale nie obchodzi to, co mówią dwaj komicy.

Jedynym skeczem, który wywołał jakąś reakcję, była scenka odegrana przez Leonarda z kobietą będącą zapewne, jak przypuszczał Jack, ową Marilyn, przyjaciółką Leonarda, grającą z nogą w gipsie. Grała kobietę podejrzewającą, iż jest poszukiwana i przesłuchiwana przez detektywa, w którego wcielał się Leonard.

Gwiazdą wieczoru była kobieta, której nazwisko Jack usłyszał już wcześniej; rudowłosa, z olbrzymim biustem. Przebywała na scenie dłużej niż inne striptizerki, miała też lepszy kostium i demonstrowała większe umiejętności taneczne.

Podczas przerwy Leonard pracował wśród widzów starając się sprzedać im pudełka cukierków po dolarze.

- Funt tych cukierków kosztuje zwykle pięć lub sześć dolarów. To prawda, że w pudełku nie ma funta, jednak jest w nim akurat tyle, by dobrze się bawić w czasie przedstawienia. Ponadto w tym tygodniu, by zapoznać państwa z tym wyjątkowym specjałem z Toledo, włożyliśmy do każdego pudełka specjalny podarunek. W... dwóch, trzech, czterech... pudełkach są zegarki marki „Hamilton"! W pozostałych...

To zajęcie było w rzeczywistości trochę niebezpieczne. Od czasu do czasu Leonard wydawał z siebie okrzyk oznaczający, że jeden z zegarków właśnie do kogoś trafił, gdyjakiś podstawiony klient wołał donośnie, że go wygrał. Zanim przygasły światła i rozpocząć się miała druga część przedstawienia, kilku pijaków gotowych było ruszyć na Leonarda żądając zwrotu pieniędzy, gdyż zapłaciwszy dolara za trzy lub cztery tanie iryski, zdali sobie sprawę, że w pudełkach nie było żadnych zegarków ani innych upominków. Leonard pędem wbiegł za kulisy, a kilku groźnych osiłków skutecznie zatrzymało pijaczków.

Koło północy Leonard i Marilyn usiedli zmęczeni w niszy sąsiadującego z teatrem baru. Mieli za sobą trzy przedstawienia. On miał za sobą trzy rundy z cukierkami. Wyglądali na zmęczonych i przygnębionych.

- Pan Leonard?

Mężczyzna podniósł wzrok i popatrzył na Jacka bez słowa.

- Nazywam się Jack Lear. Jestem prezesem sieci LCI. Czy mogę przysiąść się do państwa na chwilę?

Leonard wskazał mu miejsce.

Był potężnym mężczyzną. Natłuszczone włosy zaczesywał do tyłu.

Nosił zniszczony, szary garnitur. Marilyn miała rozszerzone źrenice. Ślady ukłuc na jej rękach mówiły wszystko.

- Mam coś dla pana, panie Leonard - powiedział Jack, po czym wyciągnął rękę z kieszeni przeciwdeszczowego płaszcza i położył na stole płaską paczuszkę zawiniętą w brązowy papier i przewiazaną białym sznurkiem. - Wszystko, co jest w tej paczce, będzie pańskie, jeśli podpisze pan dokument, który panu wręczę.

- Co tam jest? - zapytał ospale Leonard.

- Jedynka i cztery zera - odparł Jack. - Dziesięć tysięcy dolarów. Leonard nie był głupi.

- Od Flo... - mruknął.

- Nie. Ode mnie.

- A ten papier, który mam podpisać? To zgoda na rozwód?

- Tak.

- Okay. Nigdy nie prosiłem jej o coś takiego jak dziesięć tysięcy.

- Wiem. Proszę tylko podpisać ten dokument. Tu są trzy egzemplarze.

Niech pan podpisze trzy razy.

- Jasne. Pożycz mi pan pióro?

Jack pożyczył mu swego parkera, model 51, i Leonard podpisał dokumenty nie czytając ich. Potem przez cały stół przyciągnął ku sobie paczkę.

- Chce pan ją otworzyć i przeliczyć? - zapytał Jack.

Leonard zaprzeczył ruchem głowy.

- Pan jest dżentelmenem, panie Lear... na co ja, nigdy nie mógłbym sobie pozwolić.

Marilyn wpatrywała się w nich sennie przez całą rozmowę, ale Jack wąpił, by zrozumiała, co się wydarzyło.

- Jeszcze jedno, panie Leonard. Wie pan, kiedy spotka pana największy kłopot?

Leonard skinął głową.

- Gdy Flo ponownie dostanie ode mnie albo o mnie jakąś wiadomość.

5.

W pewien sobotni rano Sally Allen pojawiła się w sądzie jednego z hrabstw północnej Alabamy. Osłonięta szalem, nosiła ciemne okulary. Towarzyszył jej miejscowy adwokat.

W złożonych przez siebie dokumentach Florence Stanwich Leonard oświadczała, że jest nową mieszkanką stanu Alabamy, ale zamierza pozostać w nim na stałe. (W istocie mieszkanką Alabamy była od

dwunastu godzin, ponieważ zameldowała się w motelu poprzedniego wieczora, a pozostać nią miała aż do południa, kiedy **opuszczała** Alabamę na zawsze). Złożone pod przysięgą oświadczenie Leonarda mówiło, że wie, iż jego żona jest rzeczywistą mieszkanką Alabamy i że wyraża zgodę na rozwód. Adwokat wręczył te dokumenty sędziemu, który ogłosił wyrok rozwodowy bez czytania któregośkolwiek z nich. Proces trwał niespełna minutę, a ów wyrok był jednym z pięćdziesięciu, jakie wydano w tutejszym sądzie tego przedpołudnia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

1. - 1951

Erich Lear odłożył papierosa do popielniczki stojącej na biurku, a potem sięgnął po szklankę i wypił potężny łyk ginu. Nie był to jego ulubiony trunk, ale właśnie gin miał w tej chwili pod ręką, a nie chciał zakłócać owego momentu posyłając po coś innego.

- A więc? - zapytała naga blondynka.

Uśmiechnął się szeroko.

- Tak... Jesteś wszystkim, czym cię kiedykolwiek nazwano. A nawet czymś więcej.

Blondynka uniosła ku górze brodę, a biust wysunęła do przodu.

- Jestem doskonałą aktorką, panie Lear - powiedziała. - Gram każdą rolę natychmiast. Ale mogę grać też inne. Nie jestem...

- Zabawką.

- Nie. Nie jestem. Potrafię grać tak samo dobrze jak każda inna dziewczyna, ale chcę czegoś więcej. Proszę mi pomóc dostać odpowiednią rolę. Potrafię sprawić, że będzie pan dumny, że mnie pan zna. Naprawdę potrafię.

- Jestem o tym przekonany - odparł Erich.

- Pan przecież wie, że nie chodzi o to, iż nie mam referencji. Dostałam naprawdę dobre recenzje za *Okrutne miasto*.

Używała nazwiska Monica Dale, choć naprawdę nazywała się Phyllis Dugan lub Phyllis Frederickson, w zależności od tego, kto i kogo się o to pytano. Wystąpiła bez większego efektu w kilku filmach, a potem zwróciła na siebie uwagę rolą dziewczyny w *Okrutnym mieście*. Teraz zaś rozglądała się za następnym kontraktem.

- Jedyne, czym nie jestem, to damą - powiedziała i usiadła naprzeciwko Ericha, zahaczając obcasy za poręczę krzesła i rozsuwając nogi tak szeroko jak tylko mogła, by pokazać lśniący, różowy kwiat. - Jestem gotowa grać uczciwie.

- Słyszałem, że grasz błyskotliwie.

- Panie Lear - rzekła z lekko zjadliwym uśmiechem - pewnego dnia będę tak wielką gwiazdą, że nie będę musiała ssać niczyjego fiuta. Oprócz pańskiego.

- Okay. Zobaczmy co potrafisz, dziecinko.

Uklękła przed krzesłem, na którym siedział, rozpięła mu pasek i spodnie, po czym ściągnęła na dół bieliznę, by móc unieść penis i mosznę. Wtedy zaczęła nad nim pracować. Lizała, początkowo nie biorąc go do ust, tylko oblizując, a potem pieszcząc szybkimi ruchami języka.

Jęknął.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się szeroko.

- Piekło nie dziewczyna - powiedział.

Było to słynne zdanie, jakim opisano ją w filmie *Okrutne miasto*.

Teraz zaczęła delikatnie szczypać go wargami.

Westchnął jakby w zdumieniu. Znowu podniosła wzrok. Oczy wyszły mu na wierzch. Miał otwarte usta. Westchnął ciężko i gwałtownie osunął się w krzesło.

Tak szybko jak tylko mogła, wsunęła genitalia Ericha Leara w kalesony i wcisnęła do spodni. Potem zapięła rozporek i pasek, a następnie szybkim gestem chwyciła swoje majtki i błyskawicznie je włożyła, a następnie wciągnęła przez głowę prostą białą suknię i wyszła z jego gabinetu.

- Niech pani szybko wezwie lekarza - powiedziała mijając biurko sekretarki. - Coś mu się stało.

Lekarz przyjechał w niespełna dziesięć minut. Erich Lear był martwy.

2.

- Nie pojmuję, dlaczego to zrobił, ale zostawił ci połowę wytwórni Carlton Hous Productions. Ja dostałem całą resztę łącznie z przedsiębiorstwem odzyskiwania surowców. Ale ty dostałeś połowę wytwórni filmowej. Jesteśmy więc partnerami, braciszku.

- Nawet nie wiedziałem, że stary był współwłaścicielem Carlton House - odparł Jack. - Byłem tak głupi, że sądziłem, iż wytwórnia należała do ciebie. Powiedz mi więc, co to za dziwka wynurzyła się z jego gabinetu, kiedy umarł?

Bob Lear uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Słyszałeś kiedyś nazwisko Monica Dale?

- Jezu Chryste!

Bob rozejrzał się wokół. Znajdowali się w mauzoleum, w którym złożono ciało Ericha, i rozmawiali przyciszonymi głosami. Na tym

pogrzebie żaden z nich nie nosił jarmułki. Prawie żaden z mężczyzn nie miał jej na głowie. Anna, która także tam była, wyglądała jak panująca królowa, a Joni jak księżniczka. Przyszedł też Mickey Sullivan. Obecne na pogrzebie gwiazdy przyciągnęły armię fotoreporterów.

- Mówi się, że Monica robi to najlepiej w całej branży. Specjalnie zaangażowaliśmy jakąś blondyneczkę, żeby mówiła, że to ona była ze starym, kiedy dostał wylewu. Asystentkę scenarzysty. Wygląda całkiem nieźle. Miasto dało się złapać na tę historyjkę. Sekretarka знаła prawdę, ale ją odprawiłem. Zresztą była lojalna wobec starego. Sama grała na jego flecie przynajmniej sto razy. Poza tą niezdrową ciekawością, nie ma większego zainteresowania tym, co się wydarzyło. Zmarł na atak serca i już. Muszę przyznać, że żał mi biednego starego drania. Najseksowniejsza hollywoodzka laska obciąża mu druta, a on odwała kitę przed końcem.

- Skąd wiesz, że robiła właśnie to?

- Zostawiła mu na fiucie ślady szminki.

- Piękna śmierć! - rzekł Jack, kładąc rękę na ramieniu Boba. - Braciszku, mamy wspaniałą okazję zastanowić się nad sobą. Z moim interesem telewizyjnym i twoim... naszym... interesem filmowym możemy zbudować imperium.

- Odpieprz się. Ty po prostu chcesz przejąć ten biznes ode mnie. Mam na myśli cały biznes, łącznie ze spółką złomową.

- Gdybym chciał ci to wszystko zabrać, zrobiłbym to dwadzieścia lat temu. Mógłbyś u mnie pracować jako chłopiec na posyłki, od zaraz. Stary chciał, żebym ja to miał. Ale musiałbym zapłacić zgodą na to, żeby być jego pacholkiem już od 1931 roku. No cóż, nie miałem na to ochoty. A ty się zgodziłeś. Nie powiem, bym nie czuł dla ciebie pewnej wdzięczności. Jednak teraz będziesz pracować ze mną, Bob, nie przeciwko mnie. Albo wykopię cię na ulicę.

- Myślisz, że potrafisz?

- W ciągu sześciu miesięcy. Ale... - poklepał Boba po ramieniu - dlaczego miałbym robić coś takiego własnemu bratu?

- Stary uważał, że masz głowę na karku - powiedział Bob. - Przypuszczam, że właśnie dlatego zostawił ci połowę tego filmowego interesu. Wiesz, ostatnio tylko nim naprawdę się interesowałem. Wszystkie sprawy związane ze złomowaniem statków kazał prowadzić zatrudnionym przez siebie facetom.

- Czy możemy być pewni, że ta dziwka Dale będzie trzymać język za zębami?

Grymas uśmiechu Boba stał się jeszcze szerszy i bardziej szyderczy.

- Mój wielki bracie, gównie wiesz, jak się rzeczy mają! Jesteś zacofany! A co to nas obchodzi, jeśli nawet gada?

- Dlaczego więc zatrudniłeś jakąś blondynkę, żeby mówiła, że to ona była ze starym. Dlaczego zwolniłeś sekretarkę?

- Z powodu wytwórni Wolf Productions, wielki bracie. Ona należy do nich. Jest cenną własnością, która mogłaby doznać uszczerbku, gdyby wokół rozeszła się wiadomość, że to ona robiła loda Erichowi Learowi. Teraz wytwórnia Wolf ma wobec nas dług wdzięczności, za ukrycie głębokiego, mrocznego sekretu ich nowej gwiazdy. Niektórzy mówią, że to nowa Jean Harlow!

- Okay, więc są nam coś winni. Jak spłacą ten dług?

- Któż to może wiedzieć? Chcemy pożyczyc jedną z ich gwiazd, powiedzmy... A zresztą, powiem ci, co nam zaoferowano. Ja nie reflektuję, ale może ty będziesz miał ochotę. Zaproponowali, że przyślą Monikę, żeby dokończyła to, co robiła ze starym.

3.

Monica Dale usiadła tam, gdzie naga siedziała przed Erichem na chwilę przed jego śmiercią.

- Nie potrafię powiedzieć, jak ważne jest dla mnie utrzymanie tego w sekrecie - powiedziała Jackowi. - Kiedy... robiłam tu dobrze pańskiemu ojcu, nie wiedziałam, że wytwórnia Wolf ma dla mnie nowy wspaniały kontrakt. Miałam nadzieję, że dostanę umowę z Carlton House. - Po tych słowach otarła łzę z kącika oka. - Wszystkie dziewczyny robią to co ja, panie Lear, za cenę uzyskania jakiegoś miejsca w tej branży.

- Nie musi mi pani tego mówić - odparł Jack. - Mój ojciec w rzeczywistości nie miał „kanapy do obsadzania młodych aktorek”. W istocie nie działał w tym biznesie, ale...

- Wie pan, on prawie nigdy żadnej nie zerznął - wyszeptała. - Chciał tylko, żeby dziewczyny robiły mu loda.

- Kilka największych nazwisk w tej branży - zasugerował Jack. Skinęła głową.

- Tak sędzę. Na ogół za darmo. Panie Lear, być może jestem na progu cudownego przełomu. Jeśli się rozniesie, że ja... Cholera! Dlaczego właśnie ja? Połowa laureatek Oskara z ostatnich dwudziestu lat ciągnęła druta Harry'emu Cohnowi, a teraz są wielkimi gwiazdami! A jeśli się rozniesie, że ja...

- Nic się nie rozniesie, Monico. Z Carlton House nie wyjdzie ani jedno słowo. A teraz, jeśli postanowiłaś okazać mi swoją wdzięczność...

Postanowił onegdaj, że nie będzie już robić takich rzeczy. Ale Monica Dale!

Otarła łzy i uśmiechnęła się.

- Jasne. Oczywiście, panie Lear. Dlaczego nie? Powiedziałam pańskiemu ojcu, że nie będę lizać niczych fiutów, oprócz jego. Okay. Odziedziczy pan ten wyjątek.

Ściągnęła przez głowę sukienkę. Miała wspaniałe ciało, co do tego nie było wątpliwości.

Kiedy nad nim pracowała, zastanawiał się jaka była ostatnia myśl ojca; czy możliwe, by pomyślał, że w rzeczywistości wcale nie była w tym dobra. Monica w istocie wcale nie chciała tego robić i nie mogła ukryć obrzydzenia. Ponoсила ofiarę, wypełniała obowiązek i źle to grała. Niektórzy mężczyźni prawdopodobnie triumfowali, gdy ssała ich dziewczyna mająca do tego tak wyraźną odrazę. Jack nie był tym usatysfakcjonowany.

Gdy wstała i sięgnęła po sukienkę, wziął ją w ramiona i delikatnie pocałował.

- Dziękuję, Monico. Nigdy nie zapomnę tego popołudnia. I nigdy nie poproszę cię o powtórkę.

Odwzajemniła mu pocałunek.

- Jest pan dżentelmenem, panie Lear.

4.

Richard Painter wołał donośnym, teatralnym głosem,

- To wspaniale! Wcielimy wytwórnię Carlton House do LCI i stworzymy rozrywkową potęgę.

Roześmiany spoglądał na trzech pozostałych dyrektorów LCI, którzy byli obecni na zebraniu.

- Kupujemy część udziałów Jacka i część udziałów jego brata - mówił dalej. - Już jesteś bogatym człowiekiem, Jack, a to uczyni cię...

- Uprzedzasz fakty, Dick - przerwał mu Jack. - Mój brat nie chce niczego sprzedawać, a posiada połowę.

- W porządku - odparł Painter, nie ograniczając swego zapału. Kupujemy część twoich udziałów, a ty głosujesz z nami, więc on nie będzie mógł nic zrobić z Carlton House bez naszej zgody.

- A my nie będziemy mogli zrobić niczego bez jego zgody - ozwał się przytomnie Douglas Humphrey.

- Są sposoby, żeby go udobruchać - odparował Painter.

- Nie liczylibym na to - rzekł Jack. - Zresztą mamy coś jeszcze do omówienia. Coś, na co mój brat jest gotów się zgodzić. Nasz główny problem ze stacjami telewizyjnymi polega na znajdowaniu programów. Oprócz „Godziny z Sally Allen” mamy tylko dwa programy, a i to o charakterze lokalnym: „Założ się o dolara” i Arta Merrimana, który

biega wśród publiczności w studio i przymierza damskie kapelusze. Obydwa te programy przyprawiają mnie o mdłości, ale zyskały miano „przyzwoitych”. Oprócz tego nasze stacje pokazują programy starej sieci „Zwycięstwo na morzu” i lokalne godziny amatorskie. Teraz...

- Jakość nie jest najważniejsza - wtrącił „Kap” Durenberger. - Podstawowa część telewizyjnej widowni gotowa jest siedzieć z oczyma wlepionymi choćby w obraz kontrolny.

- Cóż, nie zawsze tak będzie - rzekł Jack. - Posłuchajcie, przez wszystkie lata swojego istnienia wytwórnia Carlton House wyprodukowała ponad sto filmów. Przejmując wytwórnię Domestic, przejęła też ich archiwa; wszystko od angielskich komedii po pirackie opowieści z Półwyspu Iberyjskiego. W roku 1944 nabyli też wytwórnię Bella z setką westernów. Carlton House ma teraz w magazynach jakieś czterysta pięćdziesiąt filmów. To olbrzymia filmoteka. Możemy zakontraktować te wszystkie stare do emisji w telewizji. W niektórych grają wielkie gwiazdy. Laureaci Oskarów. Te filmy mogą wypełnić mnóstwo czasu, a jacyś ludzie na pewno zechcą je oglądać.

- A co z nowszymi filmami? - zapytał Painter. - Takimi jak *Pajęczyna!*

Jack potrząsnął głową.

- Nie dostaniemy ich, dopóki znajdują publiczność w kinach. Ale zastanówcie się nad czymś jeszcze. Wytwórnia Carlton House ma u siebie kilka poważnych gwiazd. Mogłyby się stać gwiazdami „Godziny z Sally Allen”. A może, tymczasem tylko może... może moglibyśmy ruszyć z żywymi spektaklami teatralnymi.

- Właśnie takie rzeczy miałem nadzieję robić po przejęciu wytwórni - wyjaśnił Painter.

- Możemy je robić bez owego przejęcia - rzekł Jack.

5.

Cathy MacCormac, podpierając się rękami, klęczała na podłodze swojego salonu. Oprócz białego pasa, czarnych pończoch i lśniących lakierków nie miała na sobie nic. Głowę i ramiona opuściła do dołu, a pośladki wypięła ku górze. Duża butelka oliwy z oliwek stała na stoliku w zasięgu ręki, a pod Cathy na podłodze leżały trzy warstwy ręczników mających chronić dywan.

Dick Painter nalał nieco oliwy na dłoń lewej ręki i zanurzył w niej palce prawej, by natłuścić nią szczelinę między wypiętymi pośladkami, wciskając ją także do środka. Potem obficie posmarował nią sobie penis.

Jęknęła gdy wsunął swój natłuszczony maszt w jej odbyt. Już się do tego przyzwyczała i jego wejście nie było tak bolesne jak niegdyś. Mimo to bolało. Bez względu na to ile razy to robili, ciało Cathy instynktownie zamykało się przed tą inwazją, i dopiero gdy będąc już w środku, z wolna uderzał, jej mięśnie stopniowo rozluźniały się na tyle, że mogła przestać zaciskać zęby.

- W porządku? - zapytał.

- W porządku, kochanie.

Dałaby mu wszystko, więc jeśli to lubił najbardziej, ona też była zadowolona.

Zastanawiała się, jak to odczuwał i dlaczego wolał to od wchodzenia we właściwe miejsce. On zaś czuł, że jej ciało rozluźnia się, by pozwolić mu wejść i zaczął wciskać się mocniej i głębiej. Na czole Cathy znów pojawił się pot.

Wytrysnął niczym wulkan. Poczuła gwałtowny paroksyzm ejakulacji. Była zadowolona, gdy osłabł i opadł na plecy, jęcząc w ekstazie.

Pod pewnymi względami Dick jest dziwnym człowiekiem, pomyślała Cathy. Nie mogli mieszkać razem. Nigdy nie widziała jego mieszkania. Uprawiali seks, chodzili na kolacje lub jadalni tutaj i razem spędzali wieczory, ale potem wracał do swojego mieszkania i spał sam. Początkowo zastanawiała się, czy nie majakiejś innej kobiety albo może mieszka z matką. Ale nie. Miał swoje nawyki, chciał spać sam, brać prysznic i golić się, kiedy przychodziła mu na to ochota. Chciał sam robić sobie śniadania i czytać przy stole poranne gazety... Sam.

Żył według zasad, które sam sobie stworzył. Dla niej także stworzył zasady. Ustalił co ma nosić: te białe bluzki i czarne spódnice, które nosiła codziennie. Nie wolno jej było zdejmować pasa, pończoch i butów, kiedy uprawiali seks. Nigdy nie wolno jej było nosić majtek. Nie chciał oglądać jej w spodniach ani w dżinsach, a jedynie w spódnicach. Kiedy byli sami, miała chodzić z gołymi piersiami. Nie protestowałyby, ani by się nie dąsał, gdyby złamała jakąś zasadę, ale nie widziała żadnego powodu, dla którego nie miałyby mu dogadzać. Te zasady nie były dla niej żadnym ciężarem, a z ich związku odnosiła zbyt wiele korzyści, by podejmować ryzyko.

Był bardzo zazdrosny i nie chciał, żeby miała przyjaciół. To również nie stanowiło dla niej problemu, bo w biurze nie było nikogo, z kim chciałyby się zaprzyjaźnić.

Mały biały pudełek był jedynym przyjacielem, jakiego potrzebowała. Nadała mu imię Whitney. Zabawnie było patrzeć gdy siedzi, przyglądając się trwożnie, jak Dick rytmicznie wdziera się w nią od tyłu. Czasami Whitney przechylał łebek na jedną stronę, jakby szukał lepszej perspek-

tywy, by to oglądać. Cathy wyobrażała sobie, że piesek próbuje się upewnić, czy ten pan nie robi krzywdy jego pani.

Dick usiadł i sięgnął po jeden z ręczników. Starł z siebie oliwę i spernę, a potem wytarł pośladki Cathy. Pocałował ją tam, co było sygnałem, że skończył wycieranie. Wstał i ubrał się, nie wkładając jedynie krawata i marynarki. Cathy wciągnęła półhalkę i czarną spódniczkę, a bluzkę i biustonosz odłożyła na oparcie krzesła pozostawiając piersi nagie, tak jak życzył sobie Dick. Była zadowolona, że mu się podobały, gdyż w jej własnej ocenie wyglądały jak dojrzałe piersi kobiety czterdziestoletniej: za duże i zbyt miękkie.

- Coś do picia? - zapytała, widząc, że Dick ma ochotę na drinka.
- Cóż - rzekł, wypiszy łyk szkockiej - ci cholerni Learowie zamierzają się nam stawiać.
- Masz problem, Dick. Wiedziałeś, że będziesz miał problem.
- Odziedziczenie połowy wytwórni Carlton House dało temu draniowi niezależność i dzisiaj ją zademonstrował.
- Doug również tak to odczuł?
- Przypuszczam, że nie tak mocno jak ja. Jednak on ma taki sam zamiar: przejąć i pokierować tą przeklętą spółką, takja nam to odpowiada. Zamierzam umieścić swojego człowieka w Carlton House. Może kryje się w niej coś, o czym nie wiemy. Mam taką nadzieję. Chciałbym mieć obydwie spółki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

1. - 1952

Po przyjeździe z Annapolis John zasiadł do stołu w jadalni domu przy Louisburg Square. Dyskretnie, ale uważnie przyglądał się matce i był zatrwożony. Mając czterdzieści pięć lat, była w wieku, gdy kobieta mogła wyglądać doskonale, ale ona podupadła wręcz dramatycznie. Ponieważ widywał ją jedynie od czasu do czasu, kiedy przyjeżdżał na ferie, ta zmiana go zaszokowała.

Pamiętał, że był z niej dumny. Pamiętał, że nazywano ją najelegantszą kobietą w Bostonie. Teraz, w jego ocenie, gruba i pospolita stała się karykaturą osoby, jaką niegdyś była. Paliła i piła więcej niż dawniej, malowała się znacznie mocniej niż przedtem miała w zwyczaju, co zresztą nie pomagało w ukryciu zmarszczek wokół oczu ani dwóch głębokich wygiętych linii w kącikach ust. Włosy miała ufarbowane na kolor znacznie ciemniejszy od naturalnego i uczesane w jakimś napsuszonym stylu. Nosiła duże ozdobione perłami bransolety, ale podsuwały się do góry i nie w pełni ukrywały ciemne sińce na nadgarstkach, o których Joni powiedziała mu kiedyś, że są śladami po kajdankach, jakie zakładała, gdy wraz z Dodge'em udawali się na mansardę. Joni powiedziała też, że ich matka ma na plecach białe blizny po szpicrucie. Nie mogła już nosić kostiumów kąpielowych, gdy jeździli na plażę do Camp.

Dodge najwyraźniej opierał się wiekowi. Zachowywał się z rezerwą i łagodnością. Był tkliwy i często całował i pieścił Kimberly w obecności jej syna, córki i służących.

- Jaką część lata spędzisz w domu, John? - zapytał Dodge.
- Obawiam się, że niewielką. Tego lata mam służbę na morzu. Aspirant marynarki, rozumiesz.
- Czy już wiesz, na jakim okręcie?
- Cóż, prosiłem, by skierowano mnie na jakiś lotniskowiec.

- Dlaczego akurat na lotniskowiec? - zapytała Kimberly. - Wciąż jesteś zafascynowany lataniem?

- No cóż, mam, powinnaś to wiedzieć. Zamierzam odbyć tam ćwiczenia. Będę latać.

- Chłopięce fanaberie - sarknęła Kimberly. - Doprawdy chciałabym, żebyś wydorósł.

- Potrafię już latać, mam. Mam licencję pilota.

- Kto zapłacił za... Cholera! Twój ojciec!

- John jest utalentowanym pilotem, mam - powiedziała Joni.

- A ty skąd to wiesz?

- Jego instruktor tak twierdzi. Zresztą ja już z nim latałam. I nigdy ani trochę się nie bałam, lecąc z Johnem.

Kimberly spojrzała na Dodge'a.

- No proszę, dwoje dzieci! - mówiła z trudem powstrzymując wściekłość. - Mogłam stracić dwoje dzieci! Jack jest skończonym idiotą!

- Ależ nie! - zaprotestowała Joni.

- Nie?! Nie spotkacie się z nim nigdy więcej. Nie pojedziesz tam tego lata!

- Mam, w sierpniu skończę osiemnaście lat. I spędzę to lato w Greenwich... bez względu na to... czy... czy ci... czy ci się to podoba... czy nie.

- A zatem dlaczego nie pojedziesz tam teraz? Pakuj manatki i jedź do ojca! Natychmiast! Jeszcze dziś!

2.

- John siedział za kierownicą samochodu Joni; owego buicka, którego ojciec kupił jej przed rokiem. W drodze z Bostonu do Greenwich Joni ssała go dwa razy. Powiedziała, że bardzo dużo czasu minęło od kiedy miała ostatnią okazję, żeby to robić i że strasznie jej tego brakowało. Przyznał, że i on się za tym stęsknił. Dojechali do Greenwich o drugiej nad ranem. Telefonowali tam z Louisburg Square więc Jack i Anna czekali na ich przyjazd.

- Straciła rozum. - Tymi słowami John przywitał się z ojcem. - Nie powiedziałem ci tego przez telefon, bo domyślałem się, że słuca z drugiego aparatu, ale ona po prostu zwariowała. Joni nie może dłużej z nią mieszkać.

- Cóż, przecież nie musi - powiedziała Anna.

- Wellesley... - zaczął Jack.

- Nie chcę jechać do Wellesley. To za blisko matki, ona mnie zadrepczy.

- Ale jesteś tam przyjęta - powiedział Jack. - Teraz może być za późno, by przyjęto cię gdzie indziej.
- Jeśli tak, przez rok będę pracować.
- Jako kto?
- Tatusiu, choćby jako kelnerka, jeśli będę musiała.
- Nie powinniśmy podejmować decyzji w środku nocy - wtrąciła się Anna. - Możesz oczywiście zostać z nami. Coś wymyślimy. Może pomocne okaże się to, że twój ojciec i ja budujemy tutaj w Greenwich dom. Zamierzamy uczynić go naszą główną rezydencją, chociaż nie zrezygnujemy z mieszkania w Nowym Jorku. Miejsce dla ciebie znajdzie się więc albo tutaj, albo tam. Tak czy owak będzie dobrze, Joni.
- Chyba że znowu zajdziesz w ciążę - roześmiał się Jack, klepiąc córkę łagodnie po ramieniu.

3. - 1952-1953

Joni postanowiła, że przed rozpoczęciem studiów przez rok będzie pracować. Stwierdziła, że jest zbyt zdezorganizowana, by poświęcić się jakiemuś kierunkowi studiów i chce mieć jeszcze rok do namysłu.

Po wyjeździe Johna płakała tak, że trudno ją było ukoić. Annie wydawało się to trochę dziwne, ale nie domyślała się powodu. Starła się wciągnąć dziewczynę w planowanie urządzenia nowego domu. Joni była pełna zapału, ale jednocześnie podejrzanie roztargniona. Zaczęła rozglądać się za jakąś pracę.

Znalezienie dla niej zajęcia nie było łatwe. Nie miała żadnych kwalifikacji sekretarskich, a zresztą wcale nie chciała pracować jako sekretarka. Jack zaproponował, że znajdzie jej miejsce w swojej spółce.

- A cóż mogłabym tam robić? - odpowiedziała mu otwartym pytaniem.

Przez jakiś czas jeździła po Greenwich, a także do Stamford i White Plains, szukając zatrudnienia w reklamie lokalnych gazet, a kiedy w sierpniu skończyła osiemnaście lat, pojechała do Nowego Jorku. Przyjeżdżała do Greenwich tylko na weekendy, Jack dawał jej na utrzymanie, ale była zakłopotana, biorąc od niego pieniądze.

Wreszcie, w październiku powiedziała Jackowi i Annie, że znalazła pracę i zapytała, czy może nadal korzystać z ich nowojorskiego mieszkania. Oni zaś odpowiedzieli, że może i zapytali, co to za praca. Praca modelki, odparła. Dla sieci salonów handlowych Macy'ego. Fotografowano ją w strojach, które ta sieć chciała reklamować na łamach *New York Timesa* i innych gazet.

Joni czuła się bardzo zadowolona. Nie było to olśniewające zajęcie i zarobki okazały się skromne, ale pozwalały jej żyć całkiem dobrze, bez korzystania z pieniędzy ojca, przynajmniej tak długo, dopóki mieszkała w luksusowym ojcowskim apartamencie.

Niebawem Jack i Anna zaczęli widywać Joni w reklamach na łamach *Timesa*. Przez pewien czas prezentowała suknie i płaszcze, a potem zaczęła się pojawiać w biustonoszach i majteczkach.

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia nadszedł telegram z Bostonu.

JA JESTEM GŁĘBOKO UPOKORZONA FOTOGRAFIAMI JONI W BIELIŹNIE NA ŁAMACH *TIMESA*. MAM NADZIEJĘ, ŻE JESTEŚ ZADOWOLONY ZMIANĄ NASZEJ CÓRKI W DZIWKĘ. UFAM, ŻE ONA JEST ZADOWOLONA, ŻE SIĘ NIĄ STAŁA.

KIMBERLY HALLOWELL

Jack i Anna nie pokazali Joni tego telegramu. Nie musieli. Ona także dostała depezę od matki.

BOLEŚNIE UPOKORZYŁAŚ ZARÓWNO SWEGO DZIADKA JAK I DODGE'A ORAZ MNIE POZWALAJĄC BY CIĘ SFOTOGRAFIOWANO NAGO I POKAZYWANO PUBLICZNIE W GAZETACH. SUGERUJĘ, ŻEBYŚ NIGDY WIĘCEJ NIE POKAZYWAŁA SIĘ W TYM MIEŚCIE.

KIMBERLY HALLOWELL

Joni nie pokazała tej depezy Jackowi ani Annie. Jednak wysłała matce telegraficzną odpowiedź.

IDŹ DO DIABŁA

JONI

Telegram matki sprawił, iż jeszcze bardziej zapragnęła sukcesu w zawodzie, który wybrała. Kiedy więc nadszedł czas składania podań do college'ów i na uniwersytety, Joni tego nie zrobiła. Zamiast tego zamówiła sobie album własnych fotografii i zaczęła odwiedzać agencje modelek.

W kwietniu 1953 roku została przyjęta do agencji Rodman-Hubbel. Jej zlecenia były teraz bardziej urozmaicone i pojawiała się w różnych kolorowych czasopismach, a nie tylko w gazetowych reklamach domów towarowych.

4. - październik 1953

Jack i Anna mieli dwoje dzieci: sześciolatniego Małego Jacka i czteroletnią Ann Elizabeth. Jack liczył teraz czterdzieści siedem, zaś Anna czterdzieści lat. Rozmawiali o posiadaniu następnych dzieci, ale zdecydowali, że nie będą ich mieć.

Anna poszła wiosną do ginekologa, by dopasował jej krążek domaciczny. Jednak było jej z tym krążkiem niewygodnie, a i Jack go wyczuwał i nie był z tego zadowolony. Zaufali więc prezerwatywom, ale żadne z nich ich nie lubiło. Obojgu przeszkadzało to, że czuli między sobą gumę.

Będąc pewnej nocy w łóżku mieszkania na Manhattanie, do którego przyjechali po oficjalnej kolacji na cześć Curta Fredericka, rozmawiali o tym, co przyszło im rozważyć jako problem.

- Tak bardzo cię kocham, Jack - szeptała Anna, gdy leżeli obok siebie. - Chcę się z tobą kochać. Zawsze. Myślę, że chyba powinnam się poddać zabiegowi podwiązania jajników. To...

- Mam lepszy pomysł - rzekł. - Operacja, której ja mogę się poddać jest znacznie łatwiejsza.

- Ależ kochanie!

- To znacznie łatwiejsze. I bezbolesne, a przy tym niczego nie zmienia, jeśli chodzi o doznania. Curt poddał się takiemu zabiegowi, gdy miał lat pięćdziesiąt, a Betsy czterdzieści siedem. Zapewnia mnie, że nie czuje żadnej różnicy. Mówi, że jest mu tak dobrze jak zawsze.

- Nie czułybyś się wtedy... jak to powiedzieć?

- Mniej męski? Czułbym się bardziej męski, ponieważ zrobiłbym coś., odpowiedzialnego. Dlaczego ty miałabyś się poddawać takiej poważnej chirurgicznej operacji, skoro ja mogę to mieć zrobione jako zabieg ambulatoryjny?

Dziesięć dni później położył się na stole w pewnym gabinecie chirurgicznym i poddał się owemu zabiegowi. Nie był on całkiem bezbolesny, ale nie był także poważną operacją chirurgiczną. Uczucie dyskomfortu minęło po tygodniu.

Anna trzy razy pobudzała go ręką, by spowodować wytrysk i chodziła z nim, gdy oddawał próbkę do laboratorium, gdzie badano ją pod mikroskopem. Za trzecim razem laboratorium nie znalazło już plemników w jego spermie.

Kochali się teraz z uczuciem pełnej swobody. Oferowała mu jeszcze więcej, jakby pragnęła wynagrodzić męża za to, że poddał się temu zabiegowi. Wcześniej także nigdy się przed nim nie wzbraniała, ale teraz witała go z nową energią.

5.

Profesor Loewenstein miał rację. Nie każda stacja telewizyjna musiała być odrębną jednostką. Każda bowiem mogła być powiązana łąkami ze stacjami „satelickimi”. Co więcej, w przerwach mogły być nadawane lokalne reklamy. W przerwach emisji filmów wytwórni Carlton House lokalne stacje mogły nadawać reklamy produktów lokalnych przedsiębiorstw i usług lokalnego handlu.

Pod koniec 1953 roku sieć LCI rozpoczęła eksperyment polegający na transmitowaniu sygnałów ze swoich głównych stacji do stacji „satelickich”, korzystając z serii przekaźników mikrofalowych. Przekaźnik ten mógł nadawać sygnał tylko w zasięgu wzroku, a więc nie poza horyzont. Mimo to przy odpowiednim ustawieniu mógł przesyłać sygnał na odległość trzydziestu, trzydziestu pięciu kilometrów. Kolejne stacje mogły przekazywać program z głównej stacji telewizyjnej.

Następny problem stanowił przydział częstotliwości. Fakt, iż dostępnych było jedynie dwanaście pasm WHF, spowodował silną rywalizację. Przez pewien czas siedemdziesiąt pasm UHF niemal nie budziło zainteresowania, więc zajęły je niezależne oraz publiczne stacje telewizyjne i tak też uczynił Jack.

Większość odbiorników telewizyjnych odbierała jedynie te dwanaście kanałów VHF. Odbiorniki przystosowane do odbioru kanałów UHF były trochę droższe. Sygnały emitowane w pasmach UHF nie osiągały również tak znacznych odległości. Należało, mówił profesor Loewenstein, sprawić, żeby widzowie chcieli odbierać programy nadawane w pasmach UHF.

W licznych rejonach - szczególnie wiejskich - ludzie mogli oglądać Milтона Berle'a, ale tylko słyszeli o ciekawej chociaż kontrowersyjnej „Godzinie z Sally Allen”. Chcieli ją oglądać. Kupowali odbiorniki przystosowane do UHF i montowali niezbędne dodatkowe, niewielkie anteny.

Pod koniec 1953 roku sieć LCI uzyskała miano czwartej sieci w Stanach. Na taką pozycję Jack Lear nie mógł narzekać. Był więc zadowolony z rezultatu swojej przygody z telewizją.

6.

Jesienią 1953 roku Jack i Anna udali się do Londynu. Przez tydzień oglądali spektakle i chodzili po sklepach, a potem pojechali z trzydniową wizytą do Weldon Abbey, przywożąc tam podarunki i fotografie domu,

który budowali w Connecticut. Hrabina ulokowała ich w tej samej sypialni, w której spędzili noc poślubną.

W wielkim kominku płonął ogień. Tego wieczora było tu ciepło.

- Ten kominek nie ogrzał nas zbyt tamtej nocy, prawda? - przypomniał Jack. Ogrzano nam łóżko, ale w pokoju było wręcz zimno.

- Zamierzałam włożyć biały negliż - powiedziała Anna. - Pamiętasz? Kupiony specjalnie na noc poślubną. Ale tamtej nocy w pokoju było tak zimno, że nie mogliśmy wyjść spod kołder...

- Bez odmrożeń - zachichotał Jack.

Uśmiechnęła się.

- A jednak, była to cudowna noc na pieszczoty, prawda? Łóżko było ogrzane, ale przy tobie byłoby mi ciepło, nawet gdyby tego nie zrobiono.

- Pojechaliśmy przecież na Majorkę, żebyś mogła włożyć swój przejrzysty biały negliż na noc poślubną. Szkoda, że nie mamy go ze sobą.

- Mamy - powiedziała z figlarnym uśmiechem. - Przywiozłam go tutaj.

Biały negliż składał się z przejrzystej plisowanej spódnicy i atłasowego stanika eksponującego piersi w taki sposób, iż czynił je całkiem nagie, bo trzymał się tylko na wąskich jedwabnych ramiączkach. Przechadzała się przed nim niczym modelka, tak jak na Majorce, pozwalając by fałdy stroju wirowały wokół, odsłaniając wszystko, co zakrywały.

Usiadła na osiemnastowiecznej sofie stojącej przed kominkiem i gdy on zdejmował ubranie, by włożyć sięgający do kolan czarny japoński szlafrok z jedwabiu, nalewała koniak do dwóch kieliszków. Usiadł koło niej i zanim upił trochę, pocałował ją najpierw w usta, a później w każdą pierś z osobna. Potem zanurzył język w koniaku i przeniósł kilka kropli na jej wargi oraz pieszczotliwie na sutki.

Anna zanurzyła język w swoim kieliszku i pieszczotliwie przeniosła nim kilka kropli koniaku na czubek jego penisa.

Roześmiali się.

- Czy kiedykolwiek zdołam wyrazić, jak bardzo cię kocham? - pytał.

- Chyba nie słowami - odpowiedziała. - Zresztą nie musisz wyrażać. Ja to wiem. Czuję to.

Poszli do łóżka. Pod jednym względem Anna całkowicie różniła się od wszystkich kobiet, jakie kiedykolwiek znał. Zawsze była wilgotna! Nieraz, z innymi, musiał sam się zwilżać śliną, a nawet wazeliną, by gładko wejść. Z Anną nigdy! Gdy tylko zaczynał ją całować, zaraz robiła się wilgotna. Wejście w nią nigdy nie było trudne. Była gotowa i śliska, gdy tylko się do niej zbliżył.

Jedyna seksualna trudność, jakiej doświadczali, była znikoma. Jack, chociaż dobrze wyposażony, zdawał się nie móc spenetrować jej tak głęboko, jak byłąby gotowa zaakceptować. Osiągała satysfakcję bez głębokiej penetracji, ale lubiła czuć go w sobie tak daleko, jak tylko zdołał sięgnąć. Najlepszą penetrację osiągali wtedy, gdy on leżał na plecach, a ona górowała nad nim. Rozsuwała się możliwie najszerzej i opadała na niego.

Żartowała wtedy, wołając: „O mój kochanku, czuję cię w gardle!”

- Wtedy, w czasie naszej nocy poślubnej nie wszedłeś we mnie w taki sposób. Ta cholerna noc poślubna i te kołdry! - mówiła nasadzając się na niego i zaczęła rytmiczne ruchy.

Podniósł wzrok i przyglądał jej się z bliska. Z uniesioną wysoko brodą i zaciśniętymi oczami, zagryzała zębami dolną wargę. Unosząc i opuszczając biodra wbijała w siebie jego maszt. Jej piersi unosiły się i opadały, a na szczupłym ciele zaczynał lśnić pot. Któż by się tego spodziewał po tej wytwornej, pełnej godności, arystokratycznej w każdym geście hrabinie Weldon? Nikt, pomyślał Jack. Poza wszystkimi wspianymi zaletami Anna miała także i tę: była zwierzęco zmysłowa.

7.

W tym samym czasie, gdy ojciec i macocha odtwarzali swą poślubną noc w sielskiej Anglii, aspirant marynarki John Lear unosił się w ekstazie: to było jedno z najważniejszych doświadczeń jego życia. Napięty i czujny prowadził lotniskowiec *Essex*. W Kalifornii było popołudnie, *Essex* wypłynął z San Diego, wioząc na pokładzie odrzutowce F9F Pantery. Piloci odbywali ćwiczebne loty operacyjne. Aspiranci zdobywali pierwsze morskie doświadczenia.

Nie odrywając oczu od kompasu, pełen nadziei, że nie pozwoli, by statek zboczył z kursu, John nie mógł się przyglądać operacjom powietrznym, chociaż właśnie one interesowały go najbardziej. Słyszał tylko ryk samolotów odrzucanych katapultami. Powrót na pokład wymagał od każdego pilota niezwyklej wprawy i stalowych nerwów. Był to z pewnością najtrudniejszy rodzaj latania.

Wiatr się wzmagał.

- Daj dwieście osiemdziesiąt pięć stopni.

- Tak jest, szefie, dwieście osiemdziesiąt pięć stopni.

John puścił w ruch koło.

- Ster dwadzieścia w prawo, wystarczy - mruknął zawodowy podoficer dowodzący sterownią. - Teraz dziesięć w lewo...

Obserwując kompas, czując jak wielki okręt poddaje się jego woli, John musiał trzymać się mocno, by opanować drżenie.

Jego służba przy sterze trwała zaledwie pół godziny, ale już wiedział, że nigdy nie zapomni tego przeżycia. Po opuszczeniu mostka, miał możliwość zatrzymać się teraz na chwilę w miejscu dogodnym do obserwacji, skąd mógł oglądać działania na okrętowym lotnisku. Nie miał wątpliwości, że w ciągu trzech lat będzie latał z lotniskowca.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

1. - 1954

- Cieszę się z naszego spotkania, panie Lear. Już dawno chciałem pana poznać - mówił Dick Painter, unosząc kieliszek ku Bobowi Learowi.

Siedzieli razem w saloniku apartamentu Mark Hopkins Hotel w San Francisco. Wybrali to miejsce, ponieważ nie chcieli, żeby Jack dowiedział się o ich spotkaniu.

Dick zorganizował wszystko. Dwie dziewczyny w czarnych majteczkach i stanikach oraz w paskach z podwiązkami podtrzymującymi czarne pończochy siedziały na krzesłkach koło barku gotowe w każdej chwili podać świeże drinki mężczyznom na kanapie.

- Nie mogę się oprzeć odczuciu, że pański brat postanowił nie dopuścić do naszego spotkania. Czy pan również odnosi takie wrażenie?

Bob wzruszył ramionami.

- Jack to przebiegły facet - odparł.

Dick pochylił się i spojrzał Bobowi prosto w oczy.

- Pański brat jest jednym z najinteligentniejszych i najskuteczniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałem. „Przebiegły” nie jest słowem, jakiego bym użył, żeby go opisać... Skoro jednak pan się nim posłużył...

- Ma wiele wspólnego z naszym ojcem. Słyszał pan o moim ojcu?

- Wszyscy słyszeli o pańskim ojcu. Był potentatem. Czegokolwiek się tknął, zamieniało się w pieniądze.

- Tak... Mój ojciec i brat mieli ze sobą coś wspólnego. Ojciec zawsze zdobywał to, czego pragnął. Nieważne czy chodziło o jakąś dupę, czy o kontrakt. Ale natknął się na jednego faceta, którego nie mógł złamać: na Jacka. Jack po prostu go opuścił. Ojciec zniemawidził go za to. Jednak musiał przyznać, że Jack jest dokładnie taki jak on.

- A zatem: wykapany ojciec - zasugerował Painter.

- No właśnie. Ja zaś jestem solidniejszy i bardziej praktyczny. Musiałem być taki. Tego życzył sobie stary.

Dick Painter był zadowolony, że zorganizował to spotkanie. Nie miał pojęcia jaki jest Bob Lear. Teraz Bob siedział tutaj w jasnoszarym dwurzędowym garniturze z jaskrawym wzorzystym krawatem; typowy zazdrosny młodszy brat niezdolny nawet do tego, by aspirować do osiągnięcia starszego brata.

Wcześniej, zanim przyszli tutaj na służbowe spotkanie, Dick w apartamencie Boba poznał Dorothy Lear. Mój Boże! Ożeniwszy się z kimś takim, Bob musiałby być ślepy, żeby nie zazdrościć bratu małżeństwa z tą subtelnie piękną Anną hrabiną Weldon. A przed nią była przecież „najpiękniejsza bostońska debiutantka roku 1929”.

- Bob, niektórzy z nas od niemal czterech lat rozważają pomysł włączenia wytwórni Carlton House do LCI. Sądzymy, że przyniosłoby to ogromne korzyści. Jack blokuje każdy nasz ruch, mówiąc, że ty nigdy nie zaakceptowałbyś takiego rozwiązania. Czy Jack kiedykolwiek przedstawił ci tę propozycję?

- Nigdy nie słyszałem o tym pomysle - odparł Bob, kręcąc przecząco głową. - Niczego mi nie mówił.

Dick posłał szybkie spojrzenie młodym kobietom czekającym koło barku.

- Dziewczęta, dlaczego nie dzwonicie na dół, by przysłano nam kolację? Niech ją podadzą za, powiedzmy, czterdzieści minut - powiedział, a potem, zwracając się do Boba, ściszył głos. - Jak sądzisz, ile wart jest majątek Jacka?

- Sądzę, że cholernie dużo.

- Widziałeś dom, jaki wybudował sobie w Greenwich w stanie Connecticut? To jakieś pieprzone muzeum, Bob! A skąd miał na to wszystko forszę? Sprzedał większość udziałów w swojej sieci tym dżentelmenom, którzy teraz posiadają kontrolny pakiet akcji LCI. Krótko mówiąc: ma forsy jak lodu! Ale nie chce działać z Carlton House i nie chce pozwolić tobie... Może... Rozumiesz, o co mi chodzi?

Bob Lear skinął głową.

- Okay. Na dzisiaj chyba wystarczy. Coś ci powiem, może powinniśmy przyjrzeć się nieco bliżej tym dwóm młodym damom. Jedno mogę ci obiecać. To artystki! Wybór należy do ciebie. Może trochę przed kolacją, a trochę potem.

Bob Lear zmarszczył brwi.

- Ja byłem... Cóż, nigdy nie byłem taki jak mój ojciec, ani taki jak, zdaje się, jest mój brat.

Dick się roześmiał.

- A zatem masz okazję poszerzyć swoje horyzonty, Braciszku Bob. Te dziewczęta są absolutnie dyskretne. Nie wiedzą, kim jesteś. Zajmę się nimi od strony finansowej. Baw się!

- No cóż... Ta rudowłosa.

- Świetnie! Wspaniały wybór, Bob! Kolacja będzie za pół godziny. Oszczędzaj się trochę na później, okay? Rozumiesz, co mam na myśli?

Kiedy Bob Lear zniknął w sypialni z rudowłosą, Dick i druga dziewczyna roześmiali się w tej samej chwili. Potem Dick wślizgnął się do garderoby, by się upewnić, czy ukryty w niej fotoreporter chwyta wszystko, co dzieje się w sypialni.

2.

Jack bez wahania zadzwonił do Moniki Dale, by zapytać, czy wystąpiłaby w specjalnym programie telewizyjnym, jaki przygotowywał. Był mile zaskoczony i zadowolony, gdy powiedziała, że wystąpi, uzależniając jedynie ostateczną decyzję od harmonogramu swoich zajęć i scenariusza. Zaproponował jej występ w specjalnym dwugodzinnym wydaniu programu Sally Allen. Byłoby to widowisko rewiowe, złożone z piosenek i układów tanecznych, z jakąś błąhą fabułą w tle, która łączyłaby to wszystko w całość.

Nie postawiła pytania, które później zadać miał jej agent: czy LCI ma wystarczająco dużo stacji telewizyjnych by pokryć cały kraj i zapewnić ogólnokrajową prezentację jego gwiazdy? Ów agent bardzo szybko zatelefonował, żeby zapytać właśnie o to i, oczywiście, o proponowaną przez Jacka wysokość honorarium. W odpowiedzi usłyszał, że LCI właśnie pozyskało stację WNNJ w Newark, New Jersey, której sygnał może być odbierany we wszystkich pięciu dzielnicach Nowego Jorku, a nawet w hrabstwie Westchester aż do Connecticut i na północ od New Jersey.

Sally Allen zaskoczyła Jacka osobliwą prośbą.

- Dostałam list od Lena - powiedziała. - Wciąż nie potrafię się oprzeć jakiemuś uczuciu do tego faceta. On nie prosi o pieniądze. Ale czy mogłabym mu pomóc znaleźć jakąś pracę? Czy jest coś, co moglibyśmy dla niego zrobić? Chyba mam zbyt miękkie serce, ale nie chcę widzieć starego Lena z pętlą na szyi.

- Co on mógłby robić?

Sally zamknęła oczy i uśmiechnęła się.

- Możesz mi wierzyć, albo nie, Jack, ale ten głupi sukinsyn pisze niezłe skecze. Napisał ich trochę dla nas i trochę dla innych. To wcale nie jest obibok. Naprawdę.

- Czy to oznacza, że chcesz, żeby pisał dla ciebie?!

- Mieliśmy już gorszych facetów.

- Mówiąc całkiem szczerze, Sally, cztery lata temu wyglądał jak zeszmacona łachudra.

- Będę równie szczerą, Jack. Gdybyś musiał żyć z tego, z czego on musi żyć, też wyglądałbyś jak zeszmacona łachudra. Kiedy wychodziłam za Lena w 1938 roku był przystojnym facetem i dobrze się ubierał. Zarabiał sto dolarów tygodniowo. Ja też. A w tamtych czasach wielu ludzi pracowało za dwadzieścia dolarów tygodniowo.

- A co z jego dziewczyną; tą która się rozbierała z nogą w gipsie?

- Poszła do mamra. Dziesięć do dwudziestu lat za posiadanie heroiny. Len wątpi, czy ją jeszcze kiedyś zobaczy.

- A ty chcesz, by dla ciebie pisał. Poważnie?!

- Daj mu szansę, Jack.

- No, cóż... Zobaczymy, co potrafi.

Program budowano przez całą wiosnę i lato, by nadać go jesienią. Leonard dostarczył producentowi scenariusz, a producent go zatrudnił; czy dlatego, że Sally mu to podpowiedziała, czy dlatego, że scenariusz był dobry - tego Jack nie dowiedział się nigdy.

3.

John w czerwcu zakończył naukę w Annapolis i został mianowany chorążym Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Jego prośba o przyjęcie na ćwiczenia lotnicze została rozpatrzona pozytywnie, ale przed terminem zameldowania się w Pensacoli otrzymał dwumiesięczne wakacje.

Kimberly nie przyjechała do Annapolis na promocję Johna, ale jego siedemdziesięcioletni dziadek to uczynił. Harrison Wolcott powiedział Johnowi, że jego babcia, Edith, jest już zbyt słaba, by podróżować, ale przesyła wnukowi gratulacje i pozdrowienia. Przyjechali też Jack i Anna, Curt i Betsy Frederickowie oraz „Kap” i Naomi Durenbergerowie.

Oczywiście przyjechała także Joni. Była smukła i długonoga. Miała też duży biust. Ćwiczenia, jakim poddano Joni w agencji modelek przydały jej wdzięku i pewności siebie. Rzesza nowo mianowanych chorążych porzuciła przybyte rodziny, byle tylko przedstawiono ich tej ślicznej dziewczynie. John wyznał siostrze, że pokazał kilku kolegom jej zdjęcia reklamowe. Stały się one obiektami kolekcjonerskich pasji wśród aspirantów amerykańskiej marynarki. Te wczesne, na których reklamowała biustonosze, były szczególnie wysoko cenione i trzymane pod kluczem.

John spędził urlop w Connecticut, ale co tydzień jeździł do miasta i zostawał na dwa lub trzy dni z Joni w mieszkaniu na Manhattanie. Sypiali tam ze sobą.

Akurat byli w łóżku, gdy Joni odebrała telefon od jakiegoś młodego człowieka, który przypomniał jej, że John przedstawił ich sobie w dniu promocji. Nazywał się Frank Neville i dzwonił, żeby zapytać, czy Joni pozwoli zaprosić się na kolację lub na jakiś spektakl, a może na jedno i drugie.

Trzymała słuchawkę w niewielkiej odległości od ucha, żeby John mógł to słyszeć. Spojrzała na niego, skrzywiła się i wzruszyła ramionami, ale John gorliwie kiwał głową.

- Frank to porządny facet, bardzo porządny - powiedział kiedy zgodziła się na tę randkę i odłożyła słuchawkę. - Idź na tę randkę... Cóż, Joni, bardzo cię kocham, ale oboje rozumiemy, że nie możemy... Wiesz, czego nie możemy. Musisz spotykać się z facetami.

- A zatem ty także musisz spotykać się z dziewczynami - powiedziała prowokująco.

John skinął głową.

- Tak. Przypuszczam, że tak.

4.

Najbardziej wartościowe dzieła sztuki i meble z miejskiego mieszkania na Manhattanie zostały przeniesione do nowego domu w Greenwich. Ten dom stał się nowym salonem wystawowym rodziny Learów.

Jack nigdy nie powiedział tego Annie - ani komukolwiek innemu - ale postanowił, że dom w Greenwich pod każdym względem przewyższy dom przy Louisburg Square. Tak więc, mimo że rezydencja w Greenwich była nowa, Jack nie chciał, by wyglądała, jakby dopiero co ją zbudowano. Nalegał, by wszystkie stare drzewa zostały ocalone i żeby brygady wykonawców pracowały wokół nich. Nowe krzewy nie były rzędami młodych sadzonek lecz kupowanymi w całej okolicy odpowiednio wyrosniętymi okazami. Zespół architektów odwiedzał różne miejsca położone w promieniu pięćdziesięciu mil, poszukując dawnego budulca, a szczególnie starych kamieni. Zdumieni farmerzy przyjmowali zaskakująco wysoką zapłatę za stare kamienne chodniki, które łączyły ich domy z bramą lub ze stajnią i stodołą. Zniszczone, nieraz omszałe i pokryte szlamem kamienie przewożono do Greenwich. Wyłożono nimi nowe chodniki oraz patio za oranżerią. Podłoga biblioteki była skrupulatnie skomponowana z dębowych desek, które wcześniej tworzyły podłogę

strychu na siano w stodole zbudowanej w drugiej połowie osiemnastego wieku.

W pełni nowoczesne były natomiast ukryte w ścianach instalacje elektryczne i hydrauliczne. Dom był centralnie klimatyzowany, o czym w Connecticut niemal jeszcze nie słyszano.

Jack nalegał, by architekci znaleźli mu kopię owej wykładanej marmurem kabiny prysznicowej, którą rozkoszował się w Bostonie. Architekci zaś nie zdołali jej odnaleźć, ale zatrudnili ludzi, którzy potrafili taką kabinę wybudować. Mogąc wybrać marmur, Jack zdecydował się na biały z czarnymi żyłkami. Sito prysznicowe było tak duże i okrągłe niczym kwiat słonecznika, a hydraulicy wydrążyli niklowane rurki, by zrobić natrysk igłowy na całe ciało. Bidet zawieszony był na ścianie dokładnie tak jak w Bostonie. Nawet Anna nie widziała przedtem takiego prysznicu i nazwała go „jankeską ekstrawagancją”, ale spodobał jej się. Ilekroć byli w domu razem, nie brali prysznicu osobno.

Zbudowali także basen, ale w pewnej odległości od domu, niemal tuż pod lasem znajdowało się małe naturalne jezioro. Nie naruszyli go, poza zainstalowaniem urządzenia filtrującego wodę i zasadzeniem wierzb i lilii wodnych. Anna pływała w jeziorze, które wolała bardziej niż basen. Rozkoszując się prywatnością, latem często pływała o świcie nago.

Pod koniec lipca Joni przysłała do Jacka z pewną prośbą.

- Tatusiu, czy Frank i ja moglibyśmy skorzystać z prysznicu?

Jack sięgnął po jej dłoń i przez chwilę trzymał je w swoich.

- Jesteście ze sobą tak blisko?

Skinęła głową.

Uśmiechnął się i powiedział, że tak, w każdej chwili, a potem napisał do Johna, który był w Pensacoli, że Joni wydaje się być zakochana. Nie miał pojęcia, jakie wrażenie zrobi ta wiadomość na Johnie.

5.

Kiedy we wrześniu „Kap” Durenberger zapytał Jacka, czy mogliby odbyć prywatną rozmowę, Jack odparł, by przyszedł do jego nowojorskiego mieszkania wieczorem. Obaj zaczęli się zastanawiać, jak wiele uwagi zwraca się na to, kto z kim rozmawia w biurze.

Joni zastąpiła już nowymi te meble i elementy wystroju wnętrza, które zostały zabrane do Greenwich i teraz mieszkanie na Manhattanie wyglądało zupełnie inaczej. Fotografie Joni były kolorowe i radosne, ale w niczym nie przypominały oryginalnego Bouchera i Durera, których dzieła wisiły nigdyś w salonie.

Joni pracowała na jakimś pokazie, a jedyną pomocą domową, jaką miała, była sprzątaczką, która przychodziła raz w tygodniu, więc Jack i „Kap” byli tego wieczoru całkiem sami.

Jack przygotował drinki, sięgając do niezłe zaopatrzonego barku Joni.

„Kap” wypił mały łyk alkoholu, a potem odchylił się do tyłu w miękkim fotelu i zamknął oczy.

- Mamy kłopot, szefie - powiedział.

- O co chodzi?

- O Sally Allen.

- A co się stało z Sally Allen?

- Jest w ciąży.

Tydzień później Jack i „Kap” spotkali się z Sally w Kansas City.

- No więc wpadłam - powiedziała. - Jestem kobietą. Mam prawo chodzić z brzuchem. Zrobimy tę Monikę Dale gościem specjalnym, zanim mój brzuch zacznie być widoczny.

- Czy mogę spytać, kto jest tatusiem?

Sally uśmiechnęła się do Jacka.

- Len, oczywiście. A ty o kim myślałeś? On już nie jest tym łachudrą, którego pamiętasz. Teraz, kiedy ma poważne zajęcie...

- Rozumiem, że pisze dobrą komedię - powiedział Jack - ale chodzi o coś innego. W porządku, będziemy mieć specjalnego gościa. A co z resztą sezonu?

- Len pisze właśnie scenkę o mojej ciąży.

- Niezameżna i ciężarna!

- Tego w scenariuszu nie ma.

- Ale w tym tkwi problem! Jeśli nie powie tego scenariusz, uczynią to dziennikarze. Posłuchaj, właśnie przeszliśmy przez batalię o *Błękitny księżyc*...

- Tak! Cóż za straszny film! Ośmielono się użyć w nim słowa „ciąża”. Ośmielono się...

- Istnieje przecież Legion Przyzwoitości - przerwał jej „Kap”.

- Pieprzę ten Legion Przyzwoitości! - krzyknęła gniewnie.

- Nie możemy...

- Chcecie się założyć? Wszędzie, gdzie grają ten film, zarabia on kupę forsy! Cholerną kupę forsy! Widzowie nie dają nawet centa...

- Poczekaj - przerwał jej Jack. - A jak chcesz załatwić numery taneczne?

- Bardzo prosto, Jack. Powiem, że jestem w ciąży. Powiem im, że nie mogę teraz tańczyć jak idiotka. Jest zresztą nagranie tańca, które zrobiłam w zeszłym roku, albo... nawet lepiej: mamy tę nową młodą tancerkę. Wciąż mogę śpiewać. Mogę dostarczać zabawne teksty. Wytwórnice

filmowe powiadomiły mnie, że unieważniają moje kontrakty, powołując się na klauzule moralności. Ty możesz zrobić to samo. Wtedy zabiorę moje ciężarne ciało do Europy i wystąpię przed publicznością, która ma w nosie Legion Przyzwoitości.

Sally ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

Jack spoglądał przez moment najpierw na nią, a potem na „Kapa”.

- Dobrze - rzekł zdecydowanie. - Dobrze. Zrobimy tak, jak proponujesz. Powiedz Lenowi, żeby w scenariuszu programu specjalnego umieścić fragment informujący, że jesteś w ciąży.

Oderwała ręce od twarzy, po której płynęły łzy.

- To już jest napisane i idzie tak: Monica mówi: „Cześć Sally, słyszałam, że będziesz mieć dziecko”, a ja głaszczę się po brzuchu i mówię: „Na to wygląda”. Ona wtedy mówi: „Czy mogę ci zadać jedno pytanie?”, ja odpowiadam: „Nie zadawaj mi żadnych pytań, nie będę opowiadać ci żadnych kłamstw”. Właśnie to powiem również reporterom.

6.

- Myślę, że się zgodzisz... że będziesz musiał się zgodzić... że mamy prawo wiedzieć - powiedział Dick Painter na zebraniu zarządu. - LCI nie jest już twoim prywatnym folwarkiem. Powinniśmy konsultować ważne decyzje.

- Ja jestem dyrektorem wykonawczym tej korporacji i mam prawo podejmowania decyzji - powiedział zimno Jack. - Bez konsultacji i działań rady nie refinansowałbym spółki, ale decyzje dotyczące zawartości programu pozostają w granicach wyłącznie moich uprawnień. Ja podjąłem taką decyzję i została ona zrealizowana. Poza tym, gdybyśmy ją ze sobą konsultowali, nie zrobilibyśmy tego. Żadne komitety, wszystko jedno jakiego rodzaju, nie słyną z odwagi.

- Wziąłeś na siebie piekielne ryzyko - zauważył Douglas Humphrey.

- Nie sądzę. Jest rok 1954, panowie, a nie 1934. Widzowie są dzisiaj wybredni. Mdli ich od tej nieświeżej papki, która płynie ku nim z telewizji. Parę dni temu widziałem pewien film. Nosi tytuł *Na nabrzeżu*. Z Marlonem Brando. Jest tam scena, w której Brando mówi do księdza, którego gra Karl Malden, żeby sobie poszedł do diabła. Właśnie takimi słowami: „Idź do diabła!” I wiecie jak reaguje ten ksiądz? Nie wznosi oczu ku niebu i nie załamuje rąk jak „Ojczulek” Bing Crosby. On zaciska pięść i wali Marlona Brando. Czy któryś z was spojrział na oceny programu Sally Allen od chwili, gdy obwieściła, że jest w ciąży?

- Mogło to wyjść na jaw w inny sposób - powiedział chicagowski bankier Joseph Freeman. - Niektórzy potężni ludzie są zszokowani i obrażeni.

- I co ci potężni ludzie zamierzają zrobić? - zapytał Jack.

- Katolikom z Columbus w stanie Ohio pod groźbą grzechu polecono nie oglądać naszej stacji przez sześć miesięcy - powiedział Ray L'Enfant.

- I co? Nie oglądają nas? Spójrzcie na te liczby.

- Straciliśmy kilku sponsorów...

- I zyskaliśmy następnych.

- Zasadnicze pytanie sprowadza się do tego - powiedział Dick Painter - czy zarząd będzie mieć jakikolwiek wpływ na decyzje programowe?

- Odpowiedź brzmi: nie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

1. - 1955

Joni nie była onieśmielona wielkim studium fotograficznym, w którym pracowała tego dnia. Fotografowano ją tutaj już wcześniej i miała zaufanie do fotografa, Clintona Batcheldera. Zresztą przyszła z nią także jej agentka, Muriel Hubbel. Długo dyskutowały o tym przedsięwzięciu i doszły do wniosku, że warto spróbować. To czasopismo nie było skłonne do wykorzystywania fotografii profesjonalnych modelek - lub tylko tak twierdziło - ale Joni była tak wyraźnie nie zmanierowana i młodzieńcza, że wydawca mógł zrobić dla niej wyjątek.

Ich dzisiejsze przedsięwzięcie było zainicjowane przez Batcheldera. *Playboy*, tłumaczył Joni i Muriel, jest co prawda nowym miesięcznikiem, ale jego nakład gwałtownie rośnie i przyciąga ogromne zainteresowanie. Jego „Dziewczyna z Okładki” i „Dziewczyna Miesiąca” może znacznie przyspieszyć karierę modelki. Ponadto *Playboy* płaci wysokie honoraria zarówno modelce, jak i fotografowi.

Robin Rodman, prezes Agencji Modelek „Rodman-Hubbel”, miał kilka numerów *Playboya* w swoim gabinecie. Po przejrzeniu ich zawartości zarówno on i Muriel, jak i Joni zgodzili się, że pismo jest robione profesjonalnie i utrzymane w dobrym guście. Ostateczna decyzja należała do Joni, ona zaś zgodziła się pozować do serii zdjęć, które zostaną przedstawione wydawcy *Playboya*.

Przepastne atelier przypominało jaskinię. Wnętrze było tak obszerne, a sufit tak wysoki, że Batchelder mówił, iż wypuszcza w nim swój zdalnie sterowany radiem model helikoptera, chociaż nikt, z kim rozmawiała Joni, nigdy go przy tym zajęciu nie widział. Wielkość pustego wnętrza umożliwiał fotografowi swobodne i bezkolizyjne przemieszczanie aparatów, świateł, statywów i modelek.

Nie było tu natomiast garderoby ani nawet parawanu, za którym modelki mogłyby się rozbierać, a wiele z nich to robiło, gdyż Batchelder

robił dużo zdjęć reklamujących bieliznę. Czasami, lecz niezbyt często, fotografował akty. Zdjęcia te robił jednak tylko na wystawy fotograficzne, gdzie zresztą kilka jego prac zdobyło nagrody. Miał jakieś kontakty ze szkołą baletową na Manhattanie i niemal wszystkie jego akty były fotografiami młodych tancerek.

Clinton Batchelder miał około czterdziestu pięciu lat. Nie będąc wybitnie przystojnym mężczyzną, nie był też jednak niepociągający. Joni znała go jako bardzo poważnego fotografa, który podczas pracy był szorstki i obcesowy. Nosił białą koszulę z żółtym krawatem i brązowe spodnie. Palił też fajkę, którą odkładał, gdy zaczynał fotografować.

- Cóż, Joni, cała seria?
- Chyba tak - mruknęła Joni, uśmiechając się niepewnie.
- Może szklaneczkę szkockiej dla uspokojenia nerwów?

Joni spojrzała na Muriel, która skinęła głową i powiedziała, że także się napije.

- Wypijmy więc wszyscy - powiedział Batchelder.

Alkohol stał w ciemni między butelkami z chemikaliami. Ze stojącej w ciemni lodówki Batchelder wziął też lód i wodę sodową. Wszyscy troje usiedli na drewnianych krzesłach stojących za reflektorami i wzniesli toast.

Joni wypita pół swojej szklaneczki.

- No, chyba już lepiej, co? - powiedziała.

Batchelder skinął głową.

- Odstaw szkocką, skończysz ją po zdjęciach.

Joni wzięła głęboki oddech i sięgnęła za plecy, żeby rozpiąć zamek sukienki z białej dzianiny, potem wstała, ściągnęła ją przez głowę i złożyła na krzesło. Miała na sobie półhalnę i stanik, które także zdjęła, a potem rozpięła pasek z podwiązkami i odłożyła go na krzesło.

Była teraz w białych majteczkach w stylu bikini, które odsłaniały jej biodra i pępek, nie odkrywając jednak łona skrytego za nieprzezroczystym trójkątem materiału wszytym z przodu.

- Clint... Skoro *Playboy* nie pokazuje dolnych partii ciała, myślałam, że mogę zostać w majteczkach.

Fotograf uśmiechnął się słabo.

- Wolałbym, żebyś je zdjęła - odparł rzeczowo. - To prawda, że nie przedstawimy im zdjęć, które ukazywałyby twoje dolne owłosienie, ale prawdopodobnie zechcemy pokazać takie, na których będzie goły pępek.

Joni skinęła głową i zdjęła majtki.

- Znasz Laurie - powiedział Batchelder.

Laurie była charakterizatorką, która teraz podeszła do Joni i pokryła jej ciało kosmetycznym podkładem, aby nadać jej skórze jednolity ton,

ukrywając przy tym jasne paski pozostawione przez kostium kąpielowy. Laurie ukryła też czerwone ślady odcisnięte przez elastyczne zapięcia i podwiązki. Joni już wcześniej bywała malowana przez Laurie, gdy pozowała do zdjęć reklamujących majteczki bikini lub pojawiała się na planie, jak to niekiedy robiła, z rękami skrzyżowanymi na nagich piersiach.

Laurie wyszczotkowała jej również włosy, które teraz, gładkie i lśniące opadały Joni na ramiona.

Gdy Laurie pracowała, Joni skończyła drinka. Batchelder wziął od niej szklaneczkę i nalał jej jeszcze trochę szkockiej.

- Najpierw będziemy pracować z neutralnym tłem - powiedział Batchelder i z rulonu wiszącego na jednej ze ścian studia ściągnął arkusz jasnoszarego papieru. - Podejź tam. Zobaczmy układy, jakie twoim zdaniem mogłyby być efektownymi pozami.

Joni wręczyła szklaneczkę Muriel i stanęła na tle szarego fotograficznego horyzontu. Dwaj oświetleniowcy Batcheldera włączyli potężne reflektory.

Nagle ta sytuacja uderzyła Joni. Oto stała tu przed fotografem, jego asystentką, swoją agentką, charakteryzatorką i dwoma technikami oświetlenia. Była naga. Wpatrywało się w nią sześć ubranych osób. Miała wyschnięte usta. Przez chwilę czuła się tak, jakby traciła równowagę.

Spojrzała w dół. Wcześniej wydawało się to takie oryginalne; przycinać ciemne włosy łonowe i nie pozwalać, by ich gęstwina zarastała krok. Teraz ostre światła eksponowały łono, a nawet podkreślały ciemną linię szczeliny.

Asystent Batcheldera zaczął robić zdjęcia dwuogniskowym lustrianym rolleifleksem.

- Jak chcesz pozować, Joni? - zapytał Batchelder.

Otrząsnęła się nieco i uniosłszy ręce, splotła je za głową.

- Podoba mi się - rzekł Batchelder - ale to trochę zbyt śmiałe dla tego pisma. Odwróć się w lewo... jeszcze trochę... Teraz opuść ręce, a teraz spójrz przez ramię... O, tak?

Podszedł do większego aparatu na statywie, okrył głowę czarną tkaniną i badał odbicie Joni na szkle, dyktując zmiany oświetlenia. Trzy kwadransy zajęło im zrobienie zdjęć, które pokazywałyby profil lewej piersi i pośladki Joni, podczas gdy ona wciąż spoglądała przez ramię zmieniając wyraz twarzy, zgodnie z sugestiami Batcheldera.

Ubili niewielki łyk z nowej kolejki drinków, a Laurie wycierała Joni higienicznymi chusteczkami, by zetrzeć z jej skóry krople potu.

Na zdjęciach, które zdecydowali się przedstawić redakcji *Playboya*, Joni siedziała na staroświeckim metalowym zydłu, jednym z tych, jakie

w minionych dziesięcioleciach stały przy barowych kontuarach. Dzięki reflektorom neutralne tło zmieniło się w ciemny brąz, które podkreśliły kontur jej jaskrawo oświetlonego ciała. Była całkiem naga, ale prawą piętą opierała się o jeden z metalowych szczebli krzesła, unosząc przy tym nogę wystarczająco wysoko, by zasłonić łono. Ręce miała splecione na karku, a brodę unosiła ku górze. Wzniesione ku górze oczy patrzyły w prawo. Uśmiechała się rozchyłonymi ustami, pokazując zęby. Wyglądała młodo, świeżo, pięknie, radośnie i może trochę wyzywająco. Mimo to coś w wyrazie jej twarzy mówiło również, że była bardziej niż trochę zakłopotana.

2.

Bob Lear przyleciał do San Francisco, by ponownie spotkać się z Dickiem Painterem w apartamencie hotelu „Mark Hopkins”. Sceneria była taka sama jak przedtem. Dwie dziewczyny siedziały przy barku wystarczająco daleko, by nie słyszeć rozmowy mężczyzn. Jedną z nich była owa rudowłosa, która poprzednio poszła z Bobem do sypialni.

- Pozwól Bob, że od razu przejdę do rzeczy - powiedział Painter. - Uzyskaliśmy niezbędne informacje i wiemy, że rzeczywista wartość każdej z twoich akcji wytwórni Carlton House wynosi dwieście jedenastie dolarów i siedemdziesiąt pięć centów. Moi partnerzy upoważnili mnie do zaoferowania ci dwustu pięćdziesięciu dolarów. Sprzedając je nam, zyskujesz osobisty majątek w kwocie dwunastu i pół miliona dolarów; majątek wolny od podatku od wzbogacenia, ponieważ wartość twoich akcji spadła, od czasu gdy je odziedziczyłeś. Jest też całkiem możliwe, że spadną jeszcze bardziej.

- Tyle samo oferujecie Jackowi?

- Najpierw rozmawiamy z tobą. Z Jackiem trochę trudno rozmawia się na ten temat. Łatwiej będzie go przekonać, kiedy się dowie, że ty sprzedałeś nam swoje udziały.

- Będę musiał omówić to z żoną.

- Naturalnie. Dlaczego do niej nie zadzwonisz i nie poprosisz, by przyszła tu dzisiaj na kolację?

- No cóż... dobrze.

- Oczywiście dziewczęta nie będą nam towarzyszyć - rzekł z uśmiechem Painter.

3.

Jack i Anna, zaproszeni do wieży kontrolnej w Pensacola, słyszeli rozmowę na falach radiowych i widzieli dochodzenie i lądowanie Johna siedzącego za sterami samolotu szkoleniowego. Wiedzieli o tym samolocie prawie tyle co nic, ale maszyna była lśniąca i wyraźnie potężna.

- Niebawem stąd wyjedzie, jak państwo wiedzą - powiedział komendant Hogan, instruktor pilotażu, który pełnił rolę gospodarza w czasie wizyty państwa Learów w bazie. - Następnym etapem będzie San Diego, gdzie zacznie latać na odrzutowcach.

- Z lotniskowca, jak sądzę - rzekł Jack.

- Cóż, w końcu... po odbyciu tysiąca lotów ćwiczebnych w bazie lotniczej Marynarki Wojennej w San Diego.

- Nie ukrywam, że się boję - powiedział Jack. - Kiedy mu wykupiłem pierwsze lekcje pilotażu, nie przypuszczałem, że pewnego dnia będzie latał odrzutowcami z lotniskowców. To może być niebezpieczne.

- To jest niebezpieczne, panie Lear. Nie mogę zaprzeczyć. Ale John jest w tym dobry. Proszę spojrzeć na to lądowanie, na tę precyzję. Przechodzi przez próg, ajego koła dotykają pasa na pierwszych dziesięciu jardach. On już myśli kategoriami lądowania na lotniskowcu.

- Zawsze chciał robić tylko to. Już jako mały chłopiec zafascynowany był samolotami - powiedział Jack i dodał uśmiechając się słabo: - Może nawet bardziej niż dziewczynkami.

- Ma tutaj jedną - powiedział komendant Hogan. - Prawie wszyscy nasi chłopcy są przystojni i wydają się romantyczni: młodzi oficerowie w lotniczej służbie marynarki. Dziewczęta mają wybór, a jeśli chodzi o tych młodzieńców rywalizacja jest ogromna. John wywarł tu na jednej dziewczynie wielkie wrażenie. Bardzo wielkie wrażenie.

- Dużo pan wie o osobistym życiu swoich podwładnych - powiedziała zaskoczona Anna.

- W tym wypadku muszę - przyznał Hogan - bo dziewczyna, którą tak urzekł, jest moją córką.

- Mniemam, że jest dżentelmenem - rzekła Anna z delikatnym uśmiechem.

- Och, naturalnie, i właśnie dlatego wzięłem na siebie obowiązek oprowadzenia państwa po bazie. Chciałem, by państwo się o tym dowiedzieli.

- Cieszę się, że pan nam o tym powiedział - odparł Jack. - Może wraz z żoną i córką zje pan z nami i Johnem kolację?

- Zamierzaliśmy zaprosić państwa dzisiaj do siebie.

Anna i Jack poznali Lindę Hogan na frontowej werandzie dużego, białego, drewnianego domu. Była piękną blondynką o szlachetnych rysach i doskonale kształtnej twarzy. Chociaż miała na sobie luźną bawełnianą sukienkę, widać było iż jej figura jest również idealna. Właśnie skończyła dwadzieścia lat i była studentką uniwersytetu stanowego Florydy w miejscowości Tallahassee.

Państwo Hoganowie przyjęli ich serdecznie. Mieli za sobą wiele podróży po świecie. Komendant ukończył akademię w Annapolis w roku 1933. Stacjonował w San Diego i tam się ożenił. W czasie wojny zaś pływał na okręcie USS *Hornet*.

Chociaż czas koktajlu i kolacji upływał przyjemnie, było jasne, że państwo Hoganowie chcieli przede wszystkim poznać ludzi, którzy mogli zostać teściami ich córki.

Wracając do wyznaczonej kwatery Jack zapytał Johna, jaki charakter ma jego związek z Lindą.

- Chciałem, żebyście poznali Lindę, zanim poproszę ją o rękę.

- To dość jasne.

- I co o niej myślisz?

- Nie znajduję powodu, by się sprzeciwić - odparł Jack.

- Dobrze. A więc się oświadczę.

- Jest coś, o czym my również chcemy z tobą porozmawiać - powiedział Jack. - Wydaje się, że ten Frank Neville, którego przedstawiłeś swojej siostrze, zrobił na niej jeszcze większe wrażenie niż ty na Lindzie. Nie wiem, co jeszcze robią, ale pod prysznic chodzą razem. To wiem na pewno.

- To dobrze - rzekł John. - Frank jest pierwszorzędnym facetem. Służy teraz na niszczycielu okrętów podwodnych na północnym Atlantyku, a potem zamierza studiować prawo. Chce później zostać w marynarce jako prawnik.

- Więc gotów byłbyś powiedzieć, że jest odpowiednim facetem dla niej?

John uśmiechnął się szeroko.

- Nawet moja szalona matka go zaakceptuje.

4.

W roku 1954 Pablo Picasso zaczął szkicować wariacje na temat słynnego obrazu Maneta *Śniadanie na trawie*, na którym dwaj młodzi mężczyźni i dwie młode kobiety odbywają piknik. W dziewiętnastym wieku obraz wywołał skandal, ponieważ jedna z młodych kobiet jest naga.

Picasso tworzył swe wariacje przez wiele lat, wypełniając kolejne szkicowniki rysunkami. Część owych wariacji robił kredką. Niektóre były realistyczne, inne całkowicie abstrakcyjne.

Jeden z europejskich marszandów, który pozostawał w kontakcie z Anną, zadepeszcował, że jeden rysunek z tej serii w jakiś sposób zniknął z pracowni Picassa i teraz jest wystawiony na sprzedaż w Paryżu. Czy byłaby zainteresowana? Rysunek miał charakter erotyczny, a artysta wykonał go kolorowymi kredkami. Anna odpowiedziała telegraficznie, że byłaby zainteresowana. Wymieniono jeszcze sporo depeesz, zanim Anna pokonała innych oferentów i kupiła ten rysunek. Był tak cenny, że marszand przyleciał do Nowego Jorku, by dostarczyć go osobiście.

Prawie wszystkie rysunki Picassa będące wariacjami na temat obrazu *Maneta* znajdowały się w szkicownikach, których karty w formacie 23 x 32 centymetry łączyła spirala. Ten, który kupiła Anna nie pochodził z takiego szkicownika i miał dwa razy większy format. Był już umieszczony za szkłem i nasycony azotem, który chronił papier przed utlenianiem. Anna poleciła go oprawić i podarowała Jackowi na urodziny.

Ten rysunek nie był czymś, co zaprezentowaliby w salonie. Na żółto-zielonym tle, które było jedynym znakiem inspiracji obrazem *Maneta* dwie pary oddawały się kopulacji. Mężczyźni byli brodaci, łysi i lubieżni, a ich fallusy przesadnie wyolbrzymione. Pulchne kobiety wydawały się przestraszone, ale opór stawiały niewielki.

Powiesili tego Picassa w sypialni, obok akwafort *Tauzina*. Agent ubezpieczeniowy był kompletnie oszołomiony, próbując wycenić to dzieło, ale towarzystwo, które reprezentował, zbadało jego wartość i ostatecznie zgodziło się ubezpieczyć rysunek Picassa na sumę dwustu tysięcy dolarów.

Anna miała teraz czterdzieści dwa lata i choć Jack tego nie dostrzegał, przybyło jej kilka funtów. Zapisła się do kółka tanecznego i uparcie tańczyła trzy razy w tygodniu. Poprosiła Jacka, by wybudował szklaną kopułę nad basenem, aby mogła pływać przez cały rok. Zrobił to i codziennie przepływała milę. Zaczęła też nosić obcisłe spodnie ze strzemiączkami, które podkreślały jej długie, smukłe nogi. Nosiła je z luźnymi, obszernymi swetrami. Ten styl doskonale do niej pasował i Jack stwierdził, że jest teraz jeszcze piękniejsza.

Wiele uwagi poświęcała także temu, co nosiła w sypialni: przezroczyste peniuary czasami zakładane na gołe ciało, czasami zaś na bieliznę, która była tyleż gustowna co erotyczna.

Kochał ją bezgranicznie i był pewien, że ona także go kocha.

5.

Playboy kupił fotografie Batcheldera i Joni została „Dziewczyną Miesiąca”. Tekst, jakim opatrzone to zdjęcie, identyfikował Joni jako córkę Jacka i wspominał, że mieszka ona w eleganckim domu na nowojorskim Manhattanie. Zdjęciem wybranym do środka numeru była jedna z tych fotografii, które pokazywały ją siedzącą nago na staroświeckim barowym krześle. Kilka czarno-białych zdjęć - tych, które asystent Batcheldera zrobił rolleiflexem - wydrukowano na stronach poprzedzających „rozkładówkę”. Opublikowano też dwie fotografie Joni reklamującej biustonosze.

Gdy nowojorska modelka Joni Lear zgodziła się pozować do zdjęć dla naszego miesięcznika, byliśmy zachwyceni. Bez względu na to, czy prezentuje najnowsze paryskie kolekcje, czy tylko biustonosze, jak widać na tych zdjęciach, dwudziestojednoletnia Joni jest bardzo miłą odmianą na tle owych szczupłutkich chłopięcych modelek widywanych zwykle w reklamach. Ze swymi wymiarami 90 x 60 x 90 jest idealną Dziewczyną Miesiąca.

Fotografia wybrana na stronę rozkładową sugerowała dokładnie to, co miał nadzieję zasugerować nią Clint Batchelder: że Joni, ze swobodą prezentowała nagość, ale jednak - co zdradzał subtelny cień w jej wyrazie twarzy - była nią również nieco zakłopotana.

Fragment tej fotografii - twarz i ramię - na okładce zmontowano z wielkim napisem:

SUPERMODELKA JONI LEAR NAGA!

6.

Jack przyszedł do mieszkania na Manhattanie.

- Mam jedyną uwagę krytyczną - rzekł, gdy wskazała mu miejsce i podała szklaneczkę szkockiej. - Żałuję, że nie powiedziałas mi o tym wcześniej. Siedzę na lunchu w męskim barze w hotelu „Waldorf”, a tu przychodzi Greg Hamilton z egzemplarzem tego pisma i pyta, czy je widziałem. To było trochę żenujące. Ktoś mnie zapytał, czy naprawdę nosisz klipsy w pępku. Cóż, muszę przyznać, że wyglądasz bardzo ładnie.

- Dziękuję, tatusiu. Masz rację; powinnam ci powiedzieć.

- Kupiłem pięć egzemplarzy. Są w mojej teczce. Czy naprawdę ludzie proszą cię o autograf na tym zdjęciu?

Roześmiała się i skinęła głową.

- Obawiam się, że tak.

Sięgnął po teczkę.

- Och, nie wyciągaj ich! Nie chcę, żebyś je oglądał, kiedy jesteśmy razem.

- W porządku. No cóż, jesteś teraz najszlachetniejszą osobą w naszej rodzinie - przerwał i zmarszczył brwi - ale nie jestem pewny czy to było dobre posunięcie zawodowe.

Joni podeszła do barku i nalała sobie odrobinę szkockiej.

- Pozwól więc, że ci powiem, iż było dobre - powiedziała spokojnie. - Moja stawka godzinowa wzrosła trzykrotnie, gdy ukazał się ten numer *Playboya*. Agencja zaczęła prosić o trzykrotnie większe honoraria dla mnie niż te, jakie otrzymywałam wcześniej, i reklamodawcy płacą. Dostaję teraz inne zlecenia: rzadziej reklamuję modę, częściej zaś samochody, a nawet... zostałam też zaproszona do Hollywood na zdjęcia próbne.

- Przez którą wytwórnię? - zapytał twardo.

- Metro-Goldwyn-Meyer.

- Cóż, dobrze. Jednak nie odbywaj próbnych zdjęć przed nikim, zanim ja tego kogoś nie sprawdzę. Obsadzanie ról nie zawsze jest... czyste.

- Wujek Bob także telefonował i zaprosił mnie na zdjęcia próbne w Carlton House.

Jack przecząco potrząsnął głową.

- Rozniesie się plotka, że osiągnęłaś to tylko dlatego, że jesteś moją córką. Porozmawiam z Bobem.

Joni uśmiechnęła się ciepło.

- Dziękuję tatusiu.

Jack przyglądał się córce uważnie. Dwadzieścia jeden lat. Pije szkocką. Naga „Dziewczyna Miesiąca” w *Playboyu*. Mała Joni. Jej matka wpadnie w histerię.

7.

Kimberly rzeczywiście wpadła w histerię, ale jej histeria nie była najgorszą reakcją, jaka spotkała Joni. Z Bostonu zatelefonował Frank Neville. Jego okręt właśnie przybił do brzegu.

- Och, Joni! Jak mogłaś?! Co cię, u licha, napadło, żeby pokazywać się nago połowie mężczyzn w Stanach Zjednoczonych?! Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak ja jestem zażenowany?! To pismo zostało wniesione na

pokład naszego okrętu w Reykjaviku przez jakiegoś marynarza, który przywiózł kilka egzemplarzy ze Stanów. Jeden z oficerów zobaczył je i rozpoznał na okładce jako moją dziewczynę, której fotografię widział wcześniej na moim biurku. Cała cholerna załoga, oficerowie i marynarze, łącznie z kapitanem, oglądała to zdjęcie w środku. Nie rozumiem cię.

- Wiesz, że jestem modelką, Frank. I bez względu na to, czy to rozumiesz, czy też nie, zrobienie tej rozkładówki było dla mnie okazją. Jestem teraz rozchwytywana i - wiesz co - zaproszono mnie do Hollywood na próbne zdjęcia!

- Do czego? Do jakiegoś rozbieranego filmiku?!

- Nic z tych rzeczy! Do wytwórni Metro-Goldwyn-Meyer! Frank, co ci się stało?! Piłeś?

- Tak, piłem. Gdziekolwiek pójde, faceci podtykają mi to pod nos! Już mnie nawet prosili o autograf. Chcieli, żebym się podpisał: „Frank Neville, chłopak Joni Lear”.

- W porządku, w porządku. Kiedy odjeżdża twój pociąg? Kiedy tu będziesz?

- Wydaje mi się, że nie powinienem przyjeżdżać, Joni. Nie mogę sobie pozwolić, by kojarzono mnie z „Dziewczyną Miesiąca”.

- Naprawdę? Okay. To spieprzaj, ty zakłamany pyszałku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

1. - 1956

Bob Lear rzadko przyjeżdżał na wschód. Uważał się za mężczyznę w stylu Zachodniego Wybrzeża; w stylu, który w pewnym sensie był nie na miejscu na wschód od Mississippi. Nie czuł się swobodnie w domu Jacka, w obecności żony Jacka czuł się skrępowany, bo wciąż się bał, że w rozmowie robi błędy gramatyczne, a przy stole sięga po niewłaściwy widelec.

Jack wiedział, że jeśli Bob tu przyjechał, to widocznie chodziło mu po głowie coś ważnego i kiedy obaj bracia usiedli po kolacji w bibliotece, usłyszał, o co chodzi. Początkowo wcale nie był zaskoczony.

- Podnieśli swoją ofertę do dwustu siedemdziesięciu pięciu dolarów - powiedział Bob.

- Nie sprzedam im ani jednej, nawet jeśli podniosą do trzystu siedemdziesięciu pięciu!

- Łatwo ci mówić! Spieniężyłeś LCI i masz miliony! Ja nie jestem milionerem!

- Dlaczego?! - pytał Jack. - Jesteś właścicielem połowy spółki, za której akcję oferują ci dwieście siedemdziesiąt pięć dolarów.

- Ale to wszystko jest w papierach! A gdyby coś się nie powiodło... gdyby coś poszło bardzo bardzo źle... zostałbym bez grosza. Widzisz, Carlton House jest moim źródłem utrzymania, interes ze złomem upada. Zaczął upadać jeszcze za życia starego. Prawdę mówiąc przez dziesięć ostatnich lat swego życia nie poświęcał mu większej uwagi.

- Potrzebujesz gotówki? Zamierzasz zainwestować w coś innego?

- Odmiany. Pragnę odmiany.

- Okay. Kupię dziesięć czy dwadzieścia procent twojego pakietu. Zostaniesz milionerem i będziesz mógł ulokować je inaczej. Kupisz sobie mocne akcje. Obligacje skarbowe. Obligacje miejskie. Chcesz gwarancji...

- Jack... Ja... Ja nie mogę - Bobowi trzęsły się wargi, a z oczu płynęły mu łzy. - Muszę sprzedać swoje akcje im. Już się na to zgodziłem.

- Dlaczego? Dlaczego musisz? Boże, człowieku, masz przecież tyle innych możliwości, jeśli chcesz zamienić je na gotówkę!

- Mają mnie w garści - Bob płakał.

- Jak to: mają cię w garści?! O czym ty, do diabła, mówisz?

Bob sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej kopertę.

- Spójrz... To zdjęcia z taśmy filmowej!

Czarno-białe odbitki pokazywały Boba w łóżku z atrakcyjną młodą kobietą. Były zamazane, ale wystarczająco dobre, by Jack rozpoznał na nich brata. Wiedział, że wyświetlony film byłby znacznie wyraźniejszy. Fotografie przypominały odrzucone fragmenty najtańszych filmów „dla panów” realizowanych w latach czterdziestych. Bob miał na nich wyłącznie podkoszulek i sięgające do kostek czarne skarpetki. Na trzech zdjęciach odchyłał głowę od dziewczyny, na czterech pozostałych był nad nią rozkraczony.

- Kto zrobił te zdjęcia? - Jack domagał się odpowiedzi.

- Painter.

- Co ty mówisz? Ten drań cię szantażuje?!

- Jack, to jest film! Dostałem całą rolkę taśmy. Całą... kopię.

Jack jedną ręką sięgnął po telefon, a drugą po notes.

- Chciałbym rozmawiać z panem Humphreym. Mówi Jack Lear z Connecticut. To pilne.

2.

Na lotnisku w Houston czekał na nich samochód ze znakiem HP - Humphrey Potroleum. Kierowca, który przedstawił się jako geolog, umieścił bagaże Jacka i Boba w bagażniku i otworzył przed nimi drzwiczki, a potem zawiózł na zachodnie przedmieście Houston, gdzie, jak mówił, oczekiwał ich pan Humphrey. Mieli być jego gośćmi.

Parterowy, pokryty beżowym stiukiem dom stał pośród wspaniałych starych drzew. Z drogi nie wyglądał zachęcająco, ale gdy samochód podjechał bliżej, jego rozmiar i styl robił większe wrażenie. W istocie była to prawdziwa rezydencja.

Douglas Humphrey czekał na nich przy stoliku pod parasolem obok owalnego basenu. Wcześniej zażywał kąpeli i teraz miał na sobie biały płaszcz kąpielowy.

- Witaj, Jack! A pan z pewnością musi być Bobem! Miło was widzieć. Siadajcie. Mary! Emily! Chodźcie tutaj i poznajcie braci Learów.

Z basenu wyszła kobieta w żółtym kostiumie bikini. Wyglądała na mniej więcej trzydzieści lat i była ładną, opaloną blondynką. Ośmio- lub dziewięcioletnia dziewczynka pływała na golasa i chociaż nie okazywała żadnych oznak szczególnego zakłopotania, nie wyszła z wody.

- Oto moja córka, Mary Carson, a to moja wnuczka, Emily. Pan Jack Lear i pan Bob Lear.

- Dużo o panach słyszałyśmy - powiedziała uprzejmie Mary Carson. Jack wciąż stał.

- Miło mi panie poznać, pani Carson i panno Carson. Nie chcemy przeszkadzać paniom w pływaniu.

- Mamy wiele zapasowych kąpielówek, gdyby i panowie chcieli popływać.

- Może skusimy się na to trochę później.

Pani Carson wróciła do basenu, wdzięcznie skacząc z niskiej trampoliny. Gdy Jack usiadł, zjawił się służący w białej bluzie i czarnych spodniach, któremu gospodarz polecił podanie drinków.

- Załatwmy tę sprawę - powiedział Humphrey. - Chcę, żebyście wiedzieli, że Dick Painter działał zarówno bez mojej zgody, jak i bez zgody Raya czy Billy'ego Boba. Rozmawiałem z nim dzisiaj, gdy wy lecieliście do Houston, i powiedziałem, że życzę sobie, by cały film został spalony, wraz z wszystkimi kopiami i fotograficznymi odbitkami, jakie z niego zrobiono.

- A ja chcę mu dopieprzyć, Doug - powiedział Jack otwarcie. Humphrey pokiwał głową.

- Tak myślałem. I wcale ci się nie dziwię. Zastanówmy się jednak nad czymś. Obaj wiemy, że w tym sezonie to właśnie LNI ma kilka najpopularniejszych programów telewizyjnych. Nie otrzymujemy jednak oficjalnych ocen, bo nie mamy stacji w całym kraju.

- Jednak dobrze funkcjonujemy tam, gdzie mamy stacje - rzekł Jack. - W niektórych jesteśmy głównymi stacjami w Bostonie, w Cleveland, w Atlancie...

- No właśnie - przerwał mu Humphrey. - I jakie programy tam mamy? Przede wszystkim program Sally Allen, a oprócz tego „Będzie, co ma być”, „Trzydzieści osiem” i „Dookoła świata”, prawda?

Program „Będzie, co ma być” był sytuacyjną komedią o pewnej górniczej rodzinie bimbrowników z Zachodniej Wirginii, którzy odziedziczyli elegancką kamienicę przy nowojorskiej Park Avenue i przyjechali na Manhattan, by w nim zamieszkać, sądząc równocześnie, że do nich będzie należało sprzątanie i wszystkie prace konserwatorskie, czym wprawiają w przerażenie bogatych i snobistycznych lokatorów. Program „Trzydzieści osiem” był programem policyjnym, którego tytuł mógł się odnosić

zarówno z kalibrem rewolweru noszonego przez bohaterkę-policjantkę, jak i do jej wydatnego biustu, zaś widowisko „Dookoła świata” było teleturniejem, w którym po przejściu kilku etapów zwycięska para wygrywała luksusową podróż dookoła świata.

Jack wzruszył ramionami.

- Te programy są trzonem naszej sieci - rzekł.

- A co mają ze sobą wspólnego? - zapytał Humphrey i sam sobie odpowiedział: - Ty, przed wejściem Paintera do zarządu, robiłeś „Godzinę Sally Allen”. Pozostałe pojawiły się u nas dzięki Dickowi Painterowi.

- Ten człowiek ma niezrównane upodobanie do wulgarności - powiedział Jack.

- A widzowie mają na nią nieokiełznany apetyt.

- W porządku, Doug. Zgadzam się. Ale chcę jego rezygnacji z miejsca w zarządzie. Żądam też listu z przeprosinami za próbę zastosowania pewnego niskiego i niegodnego triku, którego nie musi nazywać po imieniu. Zachowam ten list do dnia, kiedy być może okaże się potrzebny.

- Dopilnuję tego, abyś otrzymał ów list - rzekł twardo Humphrey. - Macie ochotę na kąpiel przed kolacją?

Jack wzruszył ramionami.

- Czemu nie...

3.

Do kolacji zasiedli w pięcioro: Humphrey, Jack, Bob, Mary i Emily.

- Widziałam pańską córkę w *Światłach sceny* - powiedziała, zwracając się do Jacka, Mary Carson. - Robi wspaniałe wrażenie.

- Dziękuję. To była niewielka rola, ale bardzo jej na tym zależało.

- A widziała pani jej zdjęcia w *Playboyu*? - zapytał Bob.

Jack nie potrafiłby powiedzieć, czy Bob był naiwny czy złośliwy, z powodu urazy wywołanej koniecznością uzyskania dziś popołudniu poręczenia swego brata.

- Nie - odpowiedziała Mary Carson.

- A ja widziałem - powiedział Humphrey. - Jest uderzająco piękna. Myślę, że powinniśmy jej zorganizować występ w „Godzinie Sally Allen”.

- Czy nie mówiono by, że znalazła się w niej tylko dlatego, iż jest moją córką?

- Fakt, że jest pańską córką, nie powinien pozbawiać jej takiej okazji - stwierdziła Mary Carson.

- Nie wiem, czy ona cokolwiek potrafi - powiedział Jack. - Jest modelką. W *Światłach sceny* musiała tylko ładnie wyglądać.

- A w tym jest doskonała - dodał Bob.

- To twoja domena i twój osąd - rzekł Humphrey do Jacka.

Jack skinął głową.

- Porozmawiam z nią.

Gdy po kolacji Mary i Emily wyszły z jadalni, a mężczyźni zostali, żeby wypić brandy i wypalić cygara, Humphrey ponownie podniósł temat połączenia LCI i wytwórni Carlton House.

- To doskonały moment. Można by przenieść produkcję „Godziny Sally Allen” z tego magazynu w Kansas City do jednej z dźwiękowych hal zdjęciowych Carlton House.

- Myślmy o wynajęciu jednej z tych hal innej spółce produkcji telewizyjnej - wyjaśnił Bob. - Carlton House nie produkuje już tylu filmów co dawniej i nie możemy sobie pozwolić na utrzymywanie niewykorzystanej aparatury.

- Dlaczego wynajmować je konkurencji? Czy połączymy te spółki czy nie, można przecież wydzierżawić tę aparaturę telewizyjnej sieci LCI.

- „Ciche” porozumienie? - zapytał Jack.

- Nie. Tak się złożyło, iż wiem, że Carlton House potrafi posługiwać się pieniędzmi. To byłby sposób przeniesienia części pieniędzy z LCI do Carlton House.

- Czemu nie wnieść trochę gotówki z zewnątrz? - pytał Jack.

- Ja myślę, że pan Humphrey ma rację - potwierdził Bob.

4.

Jack obudził się przed ósmą rano. Ktoś pukał do drzwi jego sypialni. To Humphrey, który powiedział mu, że telefonuje Anna. Jack mógł odebrać ten telefon z drugiej linii, przy swoim łóżku. Drżącą ręką podniósł słuchawkę.

- Jack, stało się coś przerażającego. Kimberly nie żyje. Dodge Hallowell także nie żyje.

- Jak...? Co się stało?

- Nie wiem. Telefonował Harrison Wolcott. Powiedział, że zmarli na zawał.

- Oboje?!

- Tak powiedział. Był bardzo roztrzęsiony. Prosił, żebyśmy przekazali tę wiadomość Johnowi i Joni.

- Joni chyba jest w Nowym Jorku. Czy zechciałabyś do niej zadzwonić? Ja postaram się skontaktować z Johnem. Zatelefonuję także do Harrisona.

5.

Anna połączyła się telefonicznie z Joni, akurat w chwili, gdy ta wychodziła na jakieś umówione spotkanie.

- Joni, mam okropną wiadomość. Twoja matka umarła. Dodge Hallowell także nie żyje.

- To straszne... jak się domyślam.

- To naprawdę jest straszne. Wprost przerażający szok dla twoich dziadków, którzy są już dość słabi.

Joni milczała przez dłuższą chwilę, po czym powiedziała:

- Anno, ja nie pojedę na pogrzeb. To chyba można zrozumieć.

- Decyzja należy do ciebie, Joni. Ale chciałabym, żebyś się nad tym zastanowiła. Twoja nieobecność na pogrzebie nie będzie deklaracją wobec matki, która się nie dowie, co tym wyrażasz. Z drugiej strony zranisz uczucia swoich dziadków i w tak krytycznej chwili opuścisz ojca i brata. Będziesz w domu dzisiaj wieczorem? Zadzwonię, żeby ci powiedzieć, co ustalono.

6.

John nawet w snach nigdy nie widział się za sterami samolotu takiego jak ten i był świadomy, że marynarka obdarzyła go znaczącym wyróżnieniem, dając mu przydział do kabiny jednej z pierwszych maszyn typu F4D Skyray, jaka miała być dostarczona na pokład pewnego lotniskowca. Był to myśliwski samolot przechwytyjący z silnikiem tak potężnym, że należał do niego światowy rekord prędkości wynoszący tysiąc dwieście kilometrów na godzinę. Mógł on także startować niemal pionowo i pobił również rekord szybkości startu.

Naturalnie F4D był wymagającym samolotem. John został do niego przydzielony zaledwie dwa tygodnie temu. Wcześniej odbywał nim loty ćwiczebne w Bazie Lotniczej Marynarki Wojennej w San Diego, a teraz ćwiczył działania na lotniskowcu.

W dole miał już przed sobą pokład okrętu. Pięć mil przed nim podchodził do lądowania inny F4D: trudny do rozpoznania z tej odległości smukły, srebrzysty ptak. Lotniskowcem był *Yorktown*, drugi amerykański

okręt o tej nazwie, gdyż pierwszy został stracony w bitwie o Midway. Stanowił konstrukcję *Essex*. John służył na *Essexie* jako aspirant, więc plan i urządzenia tego okrętu były mu znane. Większość lotników klasy *Essex* poddano modernizacji. Pokład był teraz odchylony pod kątem ośmiu stopni od linii kilu, co było rozwiązaniem zapewniającym większą skuteczność i bezpieczeństwo operacji.

Samolot lecący przed nim dziwnie się kołysał. Coś złego działo się z jego podchodzeniem. Światła sygnalizacyjne zapalały się i gasły. John uświadomił sobie, że te sygnały przeznaczone były dla niego. Znajdował się w odległości trzech mil od pokładu lotniskowca i leciał zbyt wysoko. Zmniejszył obroty i poczuł, że jego maszyna wytraca wysokość. Opadała zbyt szybko, więc dokonał niezbędnej korekty. Sygnały mu tego nie powiedziały, poczuł to w swoim fotelu. Pilotów napominano, by nie latali „na wyczucie” lecz zgodnie z instrukcjami, ale John wiedział, że jego wyczucie samolotu niemal zawsze jest słuszne.

Światła pokazały mu teraz, że jest na właściwej wysokości. Miał lekkie prawostronne odchylenie z kursu, co oznaczało, że wiatr się wzmaga. Nie skierował jednak nosa w ów wiatr, lecz obniżył nieco lewe skrzydło i przesunął ster na prawo. Światła zmieniły się, wskazując, że teraz leciał lotem ślizgowym i wszedł na kurs. Dobrze. Teraz musiał już tylko lecieć tak dalej.

Z jakiegoś powodu podejście do lądowania zawsze wydawało się wolne, nawet leniwe, dając wrażenie, iż ma się wiele czasu na dokonanie koniecznych korekt. A jednak John wiedział, że od chwili wejścia na właściwy kurs do momentu zetknięcia się z pokładem miał tylko dwie minuty.

Teraz miał tylko dziesięć sekund. Było za późno, by mu zamachano. Został przyjęty. Przekraczając próg lądowiska wyłączył silniki i podniósł dziób srebrnego ptaka, który opadł na pokład jak kamień. Podciągał drążek w stronę kroku, dopóki nie poczuł, że małe kółko ogona uderzyło o pokład. Hak hamujący chwycił linę. Teraz ciągnięty był do przodu w uprzęży.

Załoga pokładowa otoczyła maszynę i odciągnęła ją z lądowiska. Następny F4D Skyray był już w odległości niespełna jednej mili.

- Poruczniku Lear - zawołał członek brygady, który wspiał się na kadłub, by pomóc Jackowi wyjść z kabiny. - Ma pan natychmiast zameldować się u kapelana.

John wiedział, że cokolwiek się stało, nie czeka go dobra wiadomość.

- Siadaj synu. Obawiam się, że mam dla ciebie złe wieści. Twoja matka i ojczym nie żyją. Zbierz swój ekwipunek. Helikopter zabierze cię do San Diego. Za niecałą godzinę odlatuje nasz samolot do Waszyngtonu. Możesz się zabrać. Stamtąd masz połączenie do Nowego Jorku. Twoja

żona została już powiadomiona i będzie na ciebie czekać na lotnisku w San Diego, żeby polecieć razem z tobą. Dostałeś trzydzieści dni urlopu. Czy jest coś, co mogę dla ciebie zrobić?

John pokręcił przecząco głową.

Kapelan położył dłonie na jego rękach.

- Pomódlmy się...

7.

Jack i Anna byli w San Diego dwa miesiące wcześniej na ślubie Johna i Lindy, ale aż do tej chwili młodzi małżonkowie nie mieli czasu, by pojechać na Wschodnie Wybrzeże i Linda nie widziała jeszcze domu w Greenwich. Nie poznała też Joni.

- Twoja żona jest bardzo piękna, John. Cieszę się.

- Powiedziałaś, żebym znalazł sobie dziewczynę.

- I znalazłeś. To cudownie.

- Zdaje się, że między tobą a Frankiem Neville nie ułożyło się dobrze.

- To dupek - skrzywiła się Joni, a potem szybko objęła brata.

Joni nie omieszkała znaleźć trochę czasu, by sama porozmawiać z ojcem. Siedzieli teraz w bibliotece za zamkniętymi drzwiami.

- Jednoczesne zawały serca, co? - powiedziała sceptycznie. - Jeśli w to wierzysz, to znaczy, że wierzysz w bajki.

- Nie wierzę.

- Zamierzasz się dowiedzieć, co się stało?

- Nie jestem pewien, czy to moja sprawa - odparł łagodnie Jack.

Joni podniosła brodę i wydała z siebie niecierpliwe westchnienie.

- Jeśli jest w tym ukryty jakiś okropny skandal, powinniśmy wiedzieć, o co chodzi. Zresztą John chce się dowiedzieć.

- Zobaczę, co mogę zrobić - obiecał Jack.

8.

Connie i Dan Horanowie także przyszli na pogrzeb. Jack nie widział ich przeszło dziesięć lat. Kiedy podszedł, uścisnęli mu rękę i byli bardzo serdeczni.

- Czy możemy później odbyć krótką prywatną rozmowę? - zapytał ich Jack.

- O czym?

- O tym co się tu stało?

Dan wziął głęboki oddech.

- Czemu nie. Po nabożeństwie możemy obaj wymknąć się na drinka.

Anna, John, Linda i Joni poszli po pogrzebie do domu państwa Wolcottów. Jack powiedział, że dołączy do nich za godzinę, i wyszedł z cmentarza razem z Danem Horanem. Usiedli w barze znanego Jackowi klubu. Jack nie bywał w tym klubie od wielu lat, ale opłacał roczne składki i pozostawał jego członkiem.

- Zachowujesz się przyzwoicie, jeśli chodzi o Kathleen - powiedział Dan. - Ona nie ma pojęcia, kim jesteś, a ty nigdy nie narzucałeś się ani jej, ani nam. Doceniamy to.

- Jestem zdolny zachowywać się przyzwoicie - powiedział oschle Jack.

- My... mamy inne walory i wartości.

- Zgoda. Zrozumiałem. W porządku. Powiedz mi coś. Jak umarła Kimberly? To najwyraźniej jakiś sekret.

- To coś więcej niż sekret - odparł Dan. - To gigantyczny skandal. Nie znam szczegółów, ale bostońska policja okryła to wszystko sześcioma pieczęciami tajemnicy. Świat idzie naprzód, ale Wolcottowie wciąż mają tu moc ukrywania skandali.

- Te jednoczesne zawały serca...

- Nikt w to nie wierzy. Może zabójstwo lub samobójstwo. Może narkotyki lub alkohol. Może nawet tlenek węgla, ale nie jednoczesne zawały serca.

- Okay. W istocie ja nie muszę znać szczegółów, ale John chce je poznać. Ma poczucie... Nie wiem, jak byś to nazwał... Zresztą boleje nad tym, co się stało. Jego żona jest w ciąży i chce się dowiedzieć czegoś o teściowej, której nie poznała. Joni, szczerze mówiąc, wcale to nie obchodzi. Cóż, nie zamierzam tego dociekać. Widzieliście zdjęcia Joni w *Playboyu*?

Dan pokiwał głową.

- Reakcja Kimberly zniszczyła wszystko, co pozostało z ich związku. Dan, doceniam, że zechciałeś się ze mną spotkać. Daj dziewczynce buziaka ode mnie... Nie mówiąc, że to ode mnie.

9.

Dwa tygodnie później Jack siedział w salonie nowojorskiego mieszkania. Joni była w Kalifornii. Prywatny detektyw Rebecca Murphy sączyła szkocką i mówiła.

Nie zestarzała się. Po czternastu latach wciąż była tą samą poważną, pryszczatą kobietą o kasztanowych, mocno skręconych włosach. Jack

zawsze zastanawiał się, jak wygląda jej życie prywatne, ale nigdy o to nie zapytał. Powiedział jej, że na noc wraca do domu w Greenwich, więc ona może spędzić tę noc na Manhattanie.

- Tak... Dowiedziałam się, co się stało - powiedziała. - Ale to nie będzie przyjemne.

- Tego się właśnie obawiałem.

- Pokojówka i kucharz przyjechali jak zwykle około wpół do ósmej, by zdążyć ze śniadaniem, na które państwo Hallowellowie schodzili tuż po ósmej. Ale coś było nie w porządku. Pokojówka zobaczyła, że drzwi do sypialni pana są otwarte, zaś drzwi na mansardę zamknięte. Rozumiała, co to znaczy. Zapukała, ale nikt nie odpowiedział. Zeszła więc na dół, powiedziała o tym kucharzowi i oboje weszli na górę, by zapukać jeszcze raz, a kiedy znów nie usłyszeli odpowiedzi, wezwali policję.

- I...

- Policja znalazła Hallowella leżącego na podłodze. Sekcja wykazała zawał. Pani Hallowell była zawieszona na dwóch parach kajdanek umocowanych z jednej strony na jej nadgarstkach, z drugiej zaś w sękach belek stropowych. Wisiała tam z ramionami rozpiętymi jak Chrystus na Krzyżu. Całkiem naga. Prawdopodobnie krzyczała i krzyczała... W końcu po prostu zawisała na tych kajdankach. To spowodowało zatrzymanie krążenia krwi. Utworzyły się jakieś skrzepy i dotarły do serca. Zmarła około trzeciej nad ranem, wisząc tam pięć godzin, a może nawet dłużej. Na plecach i pośladkach miała okropne pręgi. Obok ciała Hallowella znaleziono pejcz. Strasznie ją chłostał. To maltretowanie czy... Tak czy inaczej dostał zawału i umarł, zostawiając ją tam wiszącą bez żadnego sposobu uwolnienia się z tych kajdanek.

- Boże! Ja...

- Pan Wolcott nie musiał prosić dochodzeniowców ani koronera o ukrywanie tego. Oni sami nie chcieli ujawniać tej historii.

Jack zamknął oczy.

- Powiem dzieciom, że udało się pani potwierdzić wersję o jednoczesnych zawałach serca.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

1. - 1956

Jack i Anna postanowili obchodzić tegoroczne święta w szerszym gronie. Zaprosili Johna i Lindę, prosząc ich, by zostali w Greenwich tak długo, jak będą mogli, i Johnowi udało się dostać dziesięć dni urlopu. Anna zatelefonowała też z zaproszeniem do rodziców Lindy w Pensacoli. Podziękowali za serdeczny gest, ale nie przyjechali. Joni powiedziała, że weźmie kilka wolnych dni i spędzi je w Greenwich. Bob i Dorothy Learowie także zostali zaproszeni, ale postanowili nie przyjeżdżać. Anna dzwoniła również do Harrisona Wollcotta, by zaprosić go wraz z małżonką na wspólne święta, ale powiedział, że Edith nie może podróżować tak daleko.

Tak więc lista domowników przez tydzień obejmowała Jacka i Annę, ich dzieci - Małego Jacka i jego siostrę Annę, którą nazywano Liz - oraz Johna z Lindą i Joni.

Na sobotnie przyjęcie przed Bożym Narodzeniem Jack i Anna zaprosili Curta i Betsy Fredericków, „Kapa” i Naomi Durenbergerów, Herba i Esther Morillów, Mickeya i Catherine Sullivanów, a także kilkoro sąsiadów. Jack zatelefonował również z zaproszeniem do Sally Allen, prosząc, by przyjechała wraz z Lenem.

Organizacją przyjęcia zajęła się jak zwykle Priscilla, która zasugerowała, by na ten sobotni wieczór zaangażować również kelnera.

Co roku Anna zapalała menorę na święto Chanuka. Kupiła tę menorę podczas pobytu w Berlinie, w 1946 roku. Miała ona małe lampki oliwne zamiast świeczek, przez co była bliższa tradycji tego święta niż menory ze świeczkami. Goście zauważyli (niektórzy z pewnym zaskoczeniem), że zarówno menora jak i bożonarodzeniowa choinka świeciły się w tym samym pokoju. Z okazji Chanuka Anna i Jack wymieniali się małymi prezentami, zaś z okazji Bożego Narodzenia znacznie większymi. Joni dobrze znała tę świąteczną tradycję. Linda, choć była nią zaskoczona,

powiedziała Johnowi, że bardzo jej się to podoba i że w ich domu też tak będzie.

Największą świąteczną atrakcją dla Małego Jacka był przyjazd Sally Allen. Chłopiec miał teraz dziesięć lat i wielokrotnie słyszał „Godzinę Sally Allen”, ale wciąż nie wierzył, by jego ojciec mógł znać taką gwiazdę lub mieć coś wspólnego z jej programem. Jego siostra Liz przyjęła pojawienie się w ich domu telewizyjnej gwiazdy jako coś zupełnie normalnego, czego należało się spodziewać.

Małego Jacka i Liz nie traktowano już jak dzieci; byli młodymi ludźmi, którzy mieli już pewne pojęcie, kim są i kim chcą być. Pozwolono im też obejrzeć zdjęcie Joni w *Playboyu*. Mały Jack zamknął powieki i westchnął „Oooooch!”. Liz zaś powiedziała:

- Cudownie! Czy ja też będę kiedyś miała takie balony jak ona?

Mały Jack i Liz byli ładnymi dziećmi i rodzice nie kryli dumy ze swoich pociec. W Święta nie stawiano im żadnych zakazów. Chodzili spać, kiedy czuli się senni i ani minuty wcześniej. Ich guwernantka, panna Gimbel, pozostała z rodziną nie dlatego, by była jeszcze potrzebna, ale dlatego, że stała się jej członkiem.

Lena Leonarda, byłego męża Sally i ojca jej dziecka, łączyło tylko lekkie podobieństwo z owym marnym komikiem, jakiego Jack poznał niegdyś w Toledo. Wydawał się teraz zdrowszy i szczęśliwszy, był też dobrze ubrany (zgodnie z tym co mówiła Sally, że tak właśnie będzie, gdy Len zarobi jakieś pieniądze), ale wciąż nacierał włosy brylantyną.

- Nie wiem, jak się panu odwdzięczyć, panie Lear.

- Został pan scenarzystą, ponieważ jest pan scenarzystą - odparł Jack. - Nie zaangażowałem pana z żadnego innego powodu.

- Napisałem właśnie coś, co, jak sądzę, jest dobrym materiałem na telewizyjny debiut panny Lear. Włożyłem w to całe serce, panie Lear.

- Jestem pewien, Len. Jeśli program nie okaże się hitem, nie będzie to twoją winą.

Betsy Frederick również uchwyciła Jacka na moment prywatnej rozmowy.

- Co myślisz o przejściu Curta na emeryturę? - zapytała.

- On nie może tego zrobić.

- Dlaczego? Niebawem skończy sześćdziesiątkę. Mówi, że jest zmęczony.

Jack potrząsnął głową.

- Odpoczynek zmęczy go bardziej, niż Curt to sobie wyobraża.

- Jack... My wiemy, jak umarła Kimberly. Omal mnie to nie zabiło. Ja...

- Moje dzieci nie wiedzą.

Betty powstrzymała łzy.

- Cóż to za odejście! Gdzieś musi być przecież jakaś pieprzona godność!

- Cóż, godność jest w działaniu, w osiąganiu. I w satysfakcji.

- Curt nie chce spędzić reszty swego życia w pracy.

- W „stanie spoczynku” nie ma żadnej godności. I cóż Curt robiłby na emeryturze; grałby w golfa, wędkował? Ja mam pięćdziesiąt, niebawem skończę pięćdziesiąt jeden i chcę pracować do ostatnich pięciu minut. Tyle czasu daję sobie na zawał serca: pięć minut. I nawet kiedy mnie ułożą w trumnie, mogę jeszcze wstać i powiedzieć: „zaczekajcie jeszcze minutkę, musimy zrobić...”

Betsy zdobyła się na słaby uśmiech.

- Anna może mieć inne pomysły.

Trochę później Jack odbył rozmowę z Johnem.

- Jesteś teraz żonatym mężczyzną, niebawem urodzi wam się dziecko. Nie myślałeś o tym, by poprosić dowództwo marynarki o mniej niebezpieczne zadania?

John potrząsnął głową.

- Marynarka wydała miliony dolarów, by przygotować mnie do tego, co robię. Nie rozumiem, jak mógłbym prosić o zwolnienie mnie z tego obowiązku.

- Poza tym lubisz to.

- Teraz lubię to trochę mniej.

John i Joni także znaleźli chwilę na rozmowę.

- Jakie to uczucie, gdy jest się znakomitością?

- Dajże spokój, John...

- Dwaj piloci przysłali mi egzemplarze *Playboya* i proszą, bym zdobył dla nich twój autograf na rozkładówce.

Potrząsnęła głową.

- To krępujące.

- Ale zrobisz to, prawda?

- Och, jasne.

- Przykro mi, że Neville okazał się dupkiem. Czy nie chciałabyś się spotkać z pewnym pilotem?

Joni wzruszyła ramionami.

- Może kiedyś... Jeśli będę w Kalifornii.

- Naprawdę nie zamierzasz tam pojechać? Myślałem, że będziesz robić jakiś program dla telewizji.

- Tak, przypuszczam, że spędzę w Los Angeles cały miesiąc.

- Co będziesz robić w „Godzinie Sally Allen”?

- Możesz mi wierzyć lub nie, ale biorę lekcje tańca i śpiewu. Będę tańczyć z Makiem Reillem. Jestem sparaliżowana ze strachu.

- Ja też - usłyszeli głos Sally Allen, która właśnie do nich podeszła. - To jest coś, z czym nauczysz się żyć. Kiedy pierwszy raz weszłam na scenę, musiałam się rozebrać przed dwiema czy trzema setkami mężczyzn i po prostu skamieniałam. Teraz już nie muszę się rozbierać, ale ten paraliżujący strach ogarnia mnie za każdym razem, ilekroć staje przed publicznością. Zrobisz to wspaniale.

2.

Na początku Mac Reilly wcale nie pojawiał się na próbach i Joni pracowała z jednym z tancerzy z zespołu. Potem, gdy wreszcie przyszedł, okazał się niezwykle życzliwy i pomocny. Zachęcał, by się zrelaksowała i dostosowała do jego luźnego, swobodnego, wijącego stylu, który najbardziej mu odpowiadał.

Tuż przed wejściem na antenę, wszedł do jej garderoby.

- Przeżażona? - zapytał.

- Tak.

- Ja też. To część tej gry. Pamiętaj tylko: masz robić to, co na próbach. Te scenki nie są zbyt trudne. Wiem, że dasz sobie radę. Cyd Charisse to ty nie jesteś, ale wcale nie musisz nią być. Będziemy się dobrze bawić.

Pierwsza scenka taneczna miała miejsce na początku programu. Reilly występował w białych flanelowych spodniach i swetrze. Sally Allen miała na sobie czerwoną obcisłą suknię, a Joni Lear czarny gorset i czarne siatkowe pończochy. Tańczyła najtrudniejsze części tej scenki. Sally była zadowolona, mogąc oszczędzać siły na inne rzeczy, jakie musiała zrobić w tym programie. Joni, początkowo trochę spięta, dopóki Reilly do niej nie mrugnął, przypomniała sobie, czego ją uczył. Poradziła sobie z całą sceną i zeszła z planu i zasięgu kamer, zanim na jej gorsecie zaczął pokazywać się pot.

- Dobra robota, mała - rzekł Reilly i lekko poklepał ją po pupie.

W środku programu Joni miała do powiedzenia kilka zdań w jakimś skeczu. Potem wróciła do garderoby, żeby ubrać się w czarne trykoty do następnej scenki tanecznej, ale do jej drzwi zapukał asystent reżysera.

- Proszę się nie przejmować, panno Lear, ale program się przeciąga, więc musimy wykreślić pani drugi numer taneczny.

Poczuła ulgę i - jednocześnie - rozczarowanie. Druga scenka wydawała jej się łatwiejsza niż pierwsza, ale byłaby w niej tylko

z Reillym, co zwróciłoby na nią większą uwagę niż występ z nim i z Sally Allen.

Tylko jeden recenzent zwrócił na nią uwagę.

W środowisku show-biznesu mówiło się, że występ „playboyowej” Dziewczyny Miesiąca Joni Lear w „Godzinie Sally Allen” był nierozzerwalnie związany z faktem, iż jest ona córką Jacka Leara. Jednak w tańcu z Makiem Reilly spisała się dobrze. Miała oczywiście szczęście, że tańczyła z Reillym, a nie z takim perfekcjonistą jak Fred Astaire, ale ogólnie jej debiut zrobił dobre wrażenie.

Po powrocie do Nowego Jorku Joni odebrała telefon od Sally.

- Nie zapomnij tego drugiego układu tanecznego. Wykorzystamy go w następnym programie.

3.

W maju Linda urodziła córkę: Nelly Lindę. Jack i Anna przylecieli do San Diego, żeby ją zobaczyć. John był na morzu w rejonie Filipin i mógł zobaczyć córeczkę dopiero za kilka miesięcy.

W tym samym miesiącu Joni po raz drugi wystąpiła w „Godzinie Sally Allen”, wykonując dwa solowe układy taneczne. Jej śpiew nie zrobił wrażenia ani na kierowniku produkcji, ani na reżyserze, ale wpisano ją w skecz i dano dobre teksty komediowe.

Nim upłynął tydzień, wytwórnia Metro-Goldwym-Meyer dała jej epizodyczną rolę w jednym z filmów. Była to rola tancereczki z Las Vegas będącej dublerką gwiazdy wielkiej rewii. Pojawiała się w różowym gorsecie i piórach na głowie, w widowiskowym numerze, ponieważ gwiazdy nie było, gdyż zniknęła w gniazdku miłosnym. W recenzjach nazwano Joni „gwiazdką”, ale dział reklamy wytwórni MGM zorganizował dla niej sesję fotograficzną przy basenie w hotelu Beverly Hilton, gdzie miała nosić kostium kąpielowy, oraz w filmowym atelier, w którym ubrano ją w szorty i obcisły sweterek, a potem atłasową kombinację a la Elizabeth Taylor.

Wytwórnia aranżowała jej także randki, przede wszystkim ze starszymi się albo bledącymi gwiazdoram. Pewnego wieczoru odeszła od stolika w restauracji Brown Derby, mówiąc, że idzie do toalety, znalazła agenta od reklamy, który zaaranżował tę randkę, zapytała, czy zrobił już zdjęcia, jakie chciał. Kiedy powiedział, że już je ma, wyszła i przywołała taksówkę, zostawiając pijanego i nudnego Errola Flynna. Trzej inni pragnęli uprawiać z nią seks, chociaż obiecano jej, że nie otrzyma takich propozycji. Dwóm odmówiła otwarcie i ostro, trzeciemu zaś delikatnie,

bo delikatnie ją prosił. Podziękował, że się nie obraziła i wrócił do udzielania jej pewnych sugestii dotyczących aktorstwa. To był Orson Welles.

Potem zorganizowano jej spotkanie z Davidem Breckiem. Był bardzo przystojnym trzydziestoletnim aktorem z Walii, chociaż niektórzy opisywali go raczej jako ładnego niż przystojnego. Studiował Aktorstwo w Royal Shakespeare Company, występował w teatrze Old Vic, zagrał rolę Biffa w londyńskiej inscenizacji *Śmierci komiwojażera*. Wystąpił też w kilku angielskich filmach, łącznie z kolejną ekranizacją *Pigmaliiona*, w której powierzono mu rolę Freda. Jego kariera w Hollywood była znacznie mniej efektowna. Hollywoodzcy producenci widzieli w Brecku tylko ciało, a nie aktora, i obsadzili go jedynie w trzech filmach kostiumowych.

Breck od dwóch lat był rozwodnikiem i często fotografowano go z aktorkami, niekiedy znacznie od niego starszymi, którym towarzyszył na premierach, wyścigach czy kolacjach. Udzielał licznych wywiadów, zapewniając dziennikarzy i redaktorów rubryk towarzyskich, że ma romanse z co najmniej kilkoma tymi aktorkami.

Joni spodziewała się, iż Breck będzie powierzchownym, egoistycznym sobkiem i właśnie tym się okazał, wypełniając większą część wieczoru opowiadaniem o wyższości teatrów londyńskiego West Endu nad wszystkimi scenami Ameryki.

Pod koniec owej kolacji, obrócił się ku niej i uśmiechnął.

- Zdaje się, że robisz najlepsze obciążanko w całym mieście - powiedział cicho znaczącym głosem.

- Nie byłabym zaskoczona, gdyby tak było - odpowiedziała Joni niedbale.

- Więc... chciałybyś?

Joni wzruszyła ramionami.

- A powinnam?

- Cóż, ja wyświadczam ci przysługę. Ty możesz zrobić mi loda.

- Jakąż to przysługę mi wyświadczasz?

- Taką, że jesteś widziana w moim towarzystwie - oświadczył z taką prostotą, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

- Panie Brecknock - odparła używając jego prawdziwego nazwiska - kiedy ostatnio zrobił pan jakiś film, który nie byłby tandetą? Zważywszy na stan pańskiej kariery, to ja wyświadczam przysługę, pozwalając, by widziano pana ze mną.

- *La belle dame sans merci* - powiedział David ze słabym i smutnym uśmiechem.

- To miłe. Niemal mnie uwiodłeś. Ale nie całkiem.

4.

John był prawie pewien, że obłaskawił tę bestie. Oczywiście, samolotu F4D nie można było ujarzmić. Żaden pilot nie zdołał poskromić tej maszyny, a nadmierna poufałość równała się śmierci. Z sześciu samolotów F4D, które dostarczono na *Yorktown* dwóch już nie było, dwaj piloci zginęli. Jeden z nich, młody człowiek, który ukończył akademię w Annapolis rok po Johnie i stał się jego bliskim przyjacielem, zginął zaledwie miesiąc temu w najbardziej niebezpiecznej ze wszystkich operacji dokonywanych na lotniskowcu: podczas nocnego lądowania. Nadal praktykowano te nocne lądowania. Jeden z mniejszych myśliwców także został w nich stracony.

Yorktown był częścią sił operujących na Morzu Południowochińskim. Okręty Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych dawały pokaz siły na wodach wietnamskich. Prezydent Eisenhower chciał ostrzec komunistów, że Ameryka będzie bronić Wietnamu Południowego, jeśli okaże się to konieczne.

Nocne operacje były zróżnicowane. Migające światła innych samolotów pozwalały obserwować je w powietrzu. Lotniskowiec oglądany z pewnej odległości wyglądał jak rzucający iskry, migoczący klejnot. Kiedy zaś podchodziło się do lądowania, zaczynał przypominać wielki stadion wspaniale oświetlony z powodu jakiegoś meczu, z tą tylko różnicą, że leżał on na tle czarnego morza, gdzie jedynymi światłami były światła niszczycieli.

John był zły. Przed kwadransem otrzymał jakieś świetlne sygnały. Wszedł zbyt wysoko, jak mu sygnalizowano, choć on sam uważał, że wysunął koła idealnie, jednak nie spierał się, sygnały świetlne były rozkazem. Tym razem zamierzał lądować nieodwołalnie. Miał dość paliwa, by zrobić jeszcze kilka okrążeń, gdyby musiał, ale miał wrażenie, że wyglądałby śmiesznie. Światła sygnalizacyjne wskazywały, że leci prosto lotem ślizgowym i znajduje się na właściwym kursie.

Uniósł się nieco pod linię pochyłości, więc dokonał korekty obniżając trochę nos maszyny. Samolot gwałtownie nabrał prędkości, co podniosło nacisk na płat nośny i spowodowało ostre wzniesienie w górę. Ponownie znalazł się w ślizgu. Szybkość była trochę za duża, ale skoryguje ją unosząc nos, gdy przekroczy próg lądowiska. Zatem wszystko wyglądało dobrze.

Jednak nie było dobrze. Maszyna znów ześlizgnęła się z linii wejścia. Był za nisko. Światła sygnalizacyjne mrugały jak oszalałe. Za nisko! Za nisko! Potrzebował mocy i wcisnął zawór. Wiedział, że jej nie zyska. Turbina odrzutowego silnika sprowadzona wcześniej do obrotów niższej

szybkości potrzebuje piętnastu do dwudziestu sekund, by wrócić na wyższe obroty i tworzyć pełną moc. Właśnie dlatego trzeba lecieć do przodu w odrzutowcu. To nie śmigłowiec, który może natychmiast odzyskać moc. A on nie miał dwudziestu sekund!

Światła sygnalizacyjne zniknęły! Był poniżej poziomu pokładu i nie mógł ich widzieć.

Potem zniknęły wszystkie światła.

5.

Jack wysłał do Kalifornii czarterowy samolot. Zabrał on Joni z Los Angeles, a potem Lindę i Nelly z San Diego i przywiózł je na lotnisko hrabstwa Westchester. Z Pensacoli przylecieli państwo Hoganowie. Mickey Sullivan przywiózł z Bostonu siedemdziesięciosześcioletniego Harrisona Wolcotta. W domu w Greenwich zgromadzili się znajomi i przyjaciele.

Samolot Marynarki Wojennej USA przywiózł do Westchester trumnę, której towarzyszyła straż honorowa.

Anna załatwiała wszystko, bo Jack był złamany bólem. Z pomocą kapelana Marynarki dopilnowała, by trumnę ustawiono na zaimprovizowanym katafalku w salonie, gdzie pozostała przez całą dobę, podczas której wchodzili tam i wychodzili przyjaciele, sąsiedzi, koledzy Johna z Annapolis i inni oficerowie Marynarki.

We wtorek, 10 września ekumeniczne nabożeństwo żałobne odprawili kapelan Marynarki, pastor kościoła kongregacjonistów i rabin z synagogi Tempie.

Gdy nad otwartym grobem Johna oddano salwę honorową, jego siostra zemdlała.

6.

Późnym popołudniem rodziny zebrały się w patio obok basenu. Jack nie mógł mówić. Joni siedziała blada i milcząca. Anna wzięła na siebie ten obowiązek.

- Jack i ja chcielibyśmy złożyć pewną propozycję - powiedziała cicho. - Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby Linda zamieszkała tu z nami. Mamy duży dom, a panna Gimbel niewiele ma pracy teraz, gdy Mały Jack i Liz stają się coraz więksi. Mieszka z nami od wielu lat i wiemy, że doskonale opiekuje się dziećmi. Może ty, Lindo chciałabyś dokończyć

studia i poświęcić się jakiejś karierze. Możesz być pewna, że mała Nelly będzie tu miała dobrą opiekę, gdy ty będziesz daleko.

- Nie chcę być daleko od niej - szlochała Linda.

- W takim razie obie macie tu bezpieczny dom, który chcielibyśmy dzielić z wami.

- To będzie pewne dziedzictwo, Lindo - powiedział łagodnie Harrison Wolcott. - Nigdy nie będziesz się martwić o środki.

- Tutaj będziesz mieć różne możliwości - mówiła dalej Anna. - Możesz wybierać co chcesz robić.

Linda spojrzała na swoich rodziców. Oboje skinęli twierdząco.

Płacząca Linda, skryła twarz w dłoniach, ale także skinęła głową.

7.

- Tatusiu...

Jack przyszedł nad jezioro na skraju lasu. Słońce właśnie zachodziło. Stał tam, wpatrując się w wodę i nie widząc niczego dookoła. Objął płaczącą Joni.

- Tatusiu! Tak bardzo go kochałam!

- Wszyscy go kochaliśmy.

- Nie rozumiesz. Nie rozumiesz, jak go kochałam.

Jack mocniej przycisnął drżące teraz ciało swej ukochanej córki.

- Tatusiu, powiem ci coś, o czym nie wiedział nikt oprócz Johna i mnie. Nie wolno ci powiedzieć tego nikomu, nawet Annie.

- Joni?

- Pamiętasz moją aborcję? Miałam zaledwie czternaście lat. Powiedziałeś wtedy, że zabiłbyś chłopaka, który mi to zrobił, gdybyś wiedział, kto to był, ale ja ci nie powiedziałam. Boże! Jakże bym chciała mieć to dziecko! Miałoby teraz dziewięć lat. I kochalibyśmy je tak, jak kochaliśmy Johna. Bo to było jego dziecko, tatusiu!

Jack cofnął się, jakby go uderzono. Zaczął szlochać i padł na kolana na wilgotną ziemię. Joni uklękła obok niego i całowała jego szyję i policzki.

Anna, szukając ich, wyszła z domu, a kiedy zobaczyła, odwróciła się i z powrotem weszła do środka.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

1. - 1958

Douglas Humphrey miał rację, mówiąc, że pomysłodawcą najpopularniejszych programów sieci telewizyjnej Leara był Dick Painter. Inne pomysły wyszły od „Kapa” Durenbergera. Jack sam przyznawał, że nie ma wycucia tego, co podoba się publiczności. Wciąż nie śmieszył go Jack Bunny.

Jeśli zaś chodzi o rozumienie techniki telewizyjnej, to w tej kwestii zdał się całkowicie na Friedricha Loewensteina. Ten młody naukowiec zdołał przekonać zarówno Jacka, jak i radę nadzorczą do zainwestowania znacznych środków w technologię, która, jak obiecywał, będzie panować w przyszłości.

Począwszy od roku 1956 sieć LCI - rezygnując z dawnego wyposażenia - zainwestowała w urządzenia rejestrujące obraz zwane ampexami. W Nowym Jorku o godzinie osiemnastej trzydzieści Curt Frederick realizował wiadomości, które nadawano na żywo do wszystkich stacji Zachodniego Wybrzeża z wyjątkiem samego Nowego Jorku, gdzie widzowie woleli otrzymywać informacje o dziewiętnastej trzydzieści. Nagrywano je więc na ampex i emitowano zarówno w Nowym Jorku, jak i w stacjach centralnej strefy czasowej o dziewiętnastej trzydzieści. Trzy godziny później nagranie to oglądano w Los Angeles, San Francisco i innych miastach amerykańskiej strefy Pacyfiku. Jedynie wtedy, gdy jakieś ważne wiadomości nadchodziły w czasie owych trzech godzin, nagranie z osiemnastej trzydzieści uzupełniano nimi dla edycji kalifornijskiej.

Sieć LCI uruchomiła dwadzieścia kolejnych stacji „satelickich” w miastach takich jak Huntington w Zachodniej Wirginii, Harrisburg w Pensylwanii i Toledo w Ohio. Początkowo te małe stacje działające w pasmach wysokiej częstotliwości w ogóle nie nadawały własnych programów, lecz były rzeczywistymi satelitami większych stacji, od-

bierając ich programy i po prostu retransmitując je dla szerszej widowni. Jednak właśnie sam Jack był tym, który zasugerował, że stacje satelickie powinny móc nadawać lokalne reklamy. Dlaczego stacja w Huntington miałaby nadawać reklamy jakiegoś sklepu z oponami w Pittsburghu? Tak więc stacje satelickie zaczęły realizować i emitować swoje własne, miejscowe reklamy. Jack nabrał przekonania, że skoro mogą robić owe reklamy, to mogą również nadawać własne, lokalne wiadomości.

Tymczasem wizja przyszłości całego „przemysłu telewizyjnego” ujawniła dwie kolejne ważne innowacje i profesor Loewenstein poinformował radę nadzorczą, że spółka musi zgromadzić poważne środki kapitałowe w ciągu kilku następnych lat.

- Przed upływem pięciu lub sześciu lat wszyscy zechcą mieć kolorową telewizję - powiedział.

- Nie jestem przekonany, profesorze - rzekł Ray L'Enfant. - Kolor jest już osiągalny, ale odbiorcy nie spieszą się z zakupem kolorowych telewizorów.

- A dlaczego mieliby to robić? Mało jest programów nadawanych w kolorze. Ale będzie ich więcej. Inne sieci telewizyjne zwiększą ich ilość i za kilka lat będą nadawać wyłącznie w kolorze. Jeśli chcemy być konkurencyjni, musimy robić to samo.

- Co jeszcze, panie profesorze? - zapytał twardo Jack.

- Kabel - odparł złowieszczo Loewenstein. - Obecnie telewizję kablową mają niemal wyłącznie miasteczka leżące tak daleko od jakiegokolwiek stacji, że nie mogą uzyskać dobrego odbioru. Ale nie zawsze będzie ona działać jedynie w takich miejscach i tylko z tego powodu.

- Dlaczego nie? - zapytał L'Enfant. - Dlaczego ludzie mieliby płacić za kablowe podłączenie do jakiegoś systemu, skoro mogą uzyskać dobry odbiór dzięki antenom pokojowym lub tym, które umieszcza się na dachach?

- Ponieważ operator telewizji kablowej będzie mógł zaoferować im dwadzieścia pięć, trzydzieści, a może nawet jeszcze więcej kanałów - odpowiedział Loewenstein. - Nadawcy będą wysyłać programy poprzez satelity mogące retransmitować sygnał ponownie ku wielkim antenom talerzowym operatorów telewizji kablowej.

- Kiedy? - zapytał krótko Jack.

- Kolor - natychmiast. System kablowy za piętnaście, dwadzieścia lat. Ale musimy być na to przygotowani.

- Obawiam się, że ma pan rację - skrzywił się Jack - ale to deprymujące.

2. - 1959

Anna i Jack stwierdzili, że Linda wniosła w ich dom radość. Stopniowo odzyskała pogodę ducha i swoje pozytywne nastawienie do życia. Postanowiła skończyć studia, które przerwała wychodząc za Johna, i jesienią 1958 wstąpiła na uniwersytet w Fordham.

Pochodząc z Florydy spędzała tyle czasu, ile tylko mogła, na słońcu. Kładła się na leżaku przy otoczonym zielenią basenie i uczyła się do egzaminów. Jack nie mógł nie dostrzec, że Linda jest zmysłową młodą kobietą. Podczas gdy Anna pozostawała elegancko smukła, Lindę natura szczerze obdarzyła dużym, miękkim biustem, jędrnymi pośladkami i lekko wypukłym brzuszkiem.

Mała Nelly także była radością. Wścibski brzdąc biegał po domu, często się śmiejąc, a czasami płacząc, gdy upadł i uderzył się w głowę.

Jack i Anna postanowili więc zainwestować w jakiś dom wakacyjny, gdzie zimą mogliby korzystać ze słońca i pięknej plaży. Znalazszy takie miejsce na wyspie St. Croix kupili tam dom wystarczająco duży, by mógł pomieścić całą rodzinę łącznie z Lindą, Nelly oraz Joni, w nadziei, że będą tam wyjeżdżać wszyscy razem.

Pojechali tam na pięć dni, między świętami Bożego Narodzenia a Nowym Rokiem, jednak Joni prosiła, by ją usprawiedliwić. Znalazła wreszcie agenta w Hollywood, a on powiedział jej, że ma szansę zdobyć główną rolę w jakimś filmie. Zagrała już trzy małe role w wytwórni Metro-Goldwyn-Meyer, ale jej kontrakt wygasał. Agent radził, by go nie wznawiała, nawet jeśli wytwórnia złoży taką propozycję. On znajdzie dla niej coś lepszego.

3. - 1960

- Powiedziałem ci: teraz albo nigdy, dziecińko - oświadczył Joni jej agent, Mo Morris.

To właśnie on był owym agentem, który dwadzieścia sześć lat temu przeistoczył Consettę Lazzarę w Connie Lane. Kiedy Joni powiedziała ojcu, że chce być reprezentowana przez Agencję Mo Morrisa, Jack roześmiał się i powiedział, że Mo jest jego starym przyjacielem i skutecznym agentem, ale że powinna być ostrożna. Nie powiedział jej jednak, że to on posłał Consettę do Mo po tym jak... ofiarowała mu popołudnie, którego nie zapomniał.

Sześćdziesięciosześcioletni Mo był teraz agentem-weteranem reprezentującym kilka największych nazwisk Hollywood. Niski i drobny, teraz

był pomarszczony i miał ciemnobrązowe wątrobowe plamy na łysej, opalonej czaszce. Nosił się, jak zawsze krzykliwie, miał na sobie kraciatą granatowo-białą marynarkę i biały golf. Wszystkim mówił też zawsze, że zegarek, który miał na ręce, podarował mu kiedyś Spencer Tracy. Był jowialnym człowiekiem, który zdawał się niczego nie traktować poważnie, chyba że jakiś producent proponował coś, co on sam uważał za niewystarczającą ofertę za usługi któregoś ze swych klientów, a wtedy potrafił być bardzo ostry i sarkastyczny.

- To znaczy? - zapytała Joni.

- Masz dwadzieścia sześć lat, prawda? Twoja kariera wymaga przełomu. Nie jesteś już „gwiazdką”. Ci z Metro-Goldwyn-Meyer cię ukształtowali, ale nigdy nie powierzyli ci głównej roli. Co więcej; telewizja także ci jej nie dała. Ja zaś mówię o zrobieniu z ciebie gwiazdy.

- Okay. Co nas powstrzymuje?

- Pytanie: czy zamierzasz grać uczciwie? Teraz nie załatwia się już tego tak jak dawniej, ale wciąż jeszcze jest w tym mieście paru potężnych facetów, którzy grają właśnie tak.

- A co zyskam, jeśli tak zagram, poza tym, że mnie zerzną? - zapytała.

- Nikt nigdy niczego ci nie zagwarantuje, ale ja mogę ci niemal przyrzec główną rolę w poważnym, dramatycznym filmie.

- Komu mam świadczyć te usługi?

4.

Tym producentem był Harry Klein. Joni bardzo dobrze znała to nazwisko. Znała też reputację Harry'ego Kleina. Reżyserem był Benjamin Lang, a główną rolę męską miał grać Trent Ambler. Wszyscy trzej byli w gabinecie Kleina, gdy tam przyszła.

Klein wstając, uściśnął rękę, którą wyciągnęła ku niemu na powitanie i przyciągnął ją bliżej do siebie. Pocałował ją w policzek i poklepał po pupie.

- Joni Lear! - roześmiał się głośno. - Dokonamy razem wielkich rzeczy!

Był wyjątkowo potężnym mężczyzną o dużej, silnej twarzy. Miał czarne falujące włosy i nosił okulary w rogowej oprawce. Dwaj pozostali ubrani byli swobodnie, lecz on nosił ciemnogrnatowy garnitur, białą koszulę i krawat w drobne prążki.

- Prawdopodobnie poznałaś Trenta, a oto Ben Lang, który będzie reżyserem tego filmu.

Trent Ambler był przystojnym, dobrze zbudowanym mężczyzną. Nie był wyłącznie „ciałem” o miłej prezencji, lecz aktorem, o statusie tylko nieco niższym od pozycji Humphreya Bogarta. Jedynym powodem, dla którego Joni przyjęła to wyzwanie, było to, że Mo powiedział jej, iż będzie grała z Trentem Amblerem.

Benjamin Lang był niskim, łysym mężczyzną dobiegającym pięćdziesiątki, którego oczy rozpływały się za grubymi szklami okularów w metalowych ramkach. Jego umiejętności reżyserskie były powszechnie znane.

- Mo powiada, że wiesz, o co chodzi - rzekł Klein.

Skinęła głową.

- No cóż, chcielibyśmy, żebyś się rozebrała, Joni. Rozumiesz dlaczego, prawda?

- Żebyście mogli obejrzeć moje ciało.

- To także. Najważniejsze jest jednak to, by aktorka nie traciła swego profesjonalizmu i zimnej krwi w... jakby to powiedzieć... sytuacjach stresujących. Czytałaś scenariusz i wiesz, że w pewnym stopniu nagość jest częścią tej roli. Musimy wiedzieć, czy się nie rozpłaczesz, gdy będziesz musiała grać przed kamerą i całą ekipą filmową jako jedyna naga osoba na planie.

- Byłam Dziewczyną Miesiąca w *Playboyu* - powiedziała.

- Jest pewna niewielka różnica. Zechcesz wyświadczyć nam przysługę?

To była niewielka różnica. Nawet bardziej niż niewielka. Ale, jak powiedział Mo, teraz albo nigdy. Przez krótką chwilę przypomniała sobie, że odziedziczy dużo pieniędzy i wcale nie musi się rozbierać ani robić tego, o co następnie ją poproszą. Ale to, co tutaj robiła, miało być jej własnym osiągnięciem, które dokonało się właśnie tak.

Zdjęła suknię i położyła ją na krześle. Naga, usiadła ponownie i odważnie spojrzała na Kleina.

- Przejrzałaś już kontrakt?

- Ma go mój agent. Zgodzę się z jego oceną.

- Zamierzamy zrobić z ciebie gwiazdę, Joni. Jeśli będziesz tak dobra, jak sądzimy, zostaniesz wielką gwiazdą. Za rok przyjdiesz tutaj i ja się rozbiore, żebyś podpisała następny kontrakt.

- Nie poproszę pana o to, panie Klein.

- Uważaj, mam dopiero czterdzieści dwa lata! Mój widok nie przyprawiłby cię o mdłości.

Uśmiechnęła się. To była wystarczająco dwuznaczna riposta.

- Ben...

- W porządku - powiedział Lang. - Prosiliśmy, żebyś nauczyła się

tekstu od sześćdziesiątej trzeciej do sześćdziesiątej piątej strony scenariusza. Umiesz?

- Tak.

- Usiądź na podłodze, bo tak będziesz siedzieć w tej scenie przed kamerą na planie. Trent mówi czwartą linijkę z sześćdziesiątej trzeciej, a ty włączasz się od tego miejsca.

Ambler stanął przed Joni, a ona podniosła wzrok, by spojrzeć na jego twarz. Zagrali scenkę składającą się z kilkunastu zdań.

- Dość dobrze - rzekł Lang. - Nawet lepiej niż dobrze. Jestem zadowolony. Ona może to zagrać. Jest silna emocjonalnie.

Joni uśmiechnęła się zmieszana.

Ambler pochylił się i podał jej rękę, by mogła wstać.

- Zaangażuj ją, Harry - powiedział. - Chcę z nią pracować.

Klein uśmiechnął się.

- A teraz... Jeszcze jedno... Mo powiedział ci co. My, no cóż...

Spojrzała na nich zdumiona.

- Wszyscy trzej? - zapytała.

Skinął głową.

- Wszyscy trzej.

Zaczerwieniła się. Uniosła brwi i wzięła głęboki oddech.

- Dobrze - wyszeptała.

Trent Ambler rozpiął spodnie i wyjął penis. Joni ukłękła i wzięła go w dłonie. Sięgnął po pudełko higienicznych chusteczek i postawił je obok niej na podłodze. Wargami i językiem pracowała na nim trzy lub cztery minuty. Szczytował mocno i obficie. Wypłuła spermę na tampon chusteczek.

Następny, Lang, był tak podniecony tym, co zobaczył, że niemal doświadczył przedwczesnego wytrysku. Ledwie zdążyła poczuć go w ustach przed ostatnim ejakulacyjnym spazmem.

Ostatni był Klein. Dwadzieścia minut zajęło jej lizanie, ssanie i energiczne przesuwanie głową tam i z powrotem, zanim w końcu osiągnął szczyt. Bolały ją wargi i policzki, a ciało lśniło od potu. Wytrysnął niewielką ilością nasienia i podejrzewała, że niewiele wcześniej był już ssany przez inną pełną nadziei kandydatkę do głównej roli.

Trent Ambler zaproponował jej szklaneczkę brandy, którą z wdzięcznością przyjęła. Usiadła na krześle i opuściła głowę. Włosy skryły jej twarz.

- Rola jest twoja, Joni - powiedział Klein. - Niezła z ciebie kawalerzystka. Będziesz gwiazdą.

5.

Bob Lear zatelefonował do Jacka.

- Zgadnij, dla kogo Joni robi film.
- Wiem, dzwoniła do mnie.
- Dla Harry'ego Kleina. Założę się, że...
- Bob! Zajmij się własnymi sprawami.
- Nie obchodzi cię to? - wykrzyknął Bob.
- Oczywiście, że obchodzi, ale co mogę zrobić?
- Pogadaj z facetami od pieniędzy. Niech mu zablokują fundusze na ten film.

- Och, daj spokój. Jeśli zrobiła to, co masz na myśli, aby dostać tę rolę, to rzecz już się stała. A ty chcesz, abym ja tak załatwił sprawę, żeby ona, mając to za sobą, nie dostała roli?

- Ja tylko próbuję...

- Trzymaj się od tego z daleka, braciszku. Mam przecież twoje świadectwo moralności. Fundusze zostały już przekazane.

- Gratulacje - rzekł gorzko Bob. - Teraz sam kontrolujesz interesy Carlton House.

- A ty jesteś milionerem, którym zawsze chciałeś być.

6.

Premiera *Odważnej Michelle* odbyła się w Chińskim Kinie Graumana.

Jack i Anna przylecieli na nią wyczarterowanym samolotem wraz z Małym Jackiem, Liz, Lindą i osiemdziesięcioletnim Harrisonem Wolcottem. Drugim samolotem przylecieli Curt i Betsy z „Kapem” i Naomi, Mickeyem i Catherine oraz Herbem i Esther. Z Teksasu przyleciał Douglas Humphrey z Mary i Emily Carson. Przyjechali też Billy Bob Cotton i Ray L'Enfant z żoną. W premierze uczestniczyła również Sally Allen z Lenem. Bob i Dorothy Lear nie przyjechali.

Grupa z Los Angeles obejmowała Mo Morris i jego żonę oraz Harry'ego Kleina i Bena Langa z żonami.

Gwiazdor filmu, Trent Ambler towarzyszył żonie, dziewiętnastoletniej dziewczynie w obcisłej białej sukni.

Joni przybyła na tę premierę w towarzystwie Davida Brecka, Dopilnował tego Mo Morris. David dowiedział się, że nie zostało mu wybaczone jego prostactwo, a prośba o to, by towarzyszył Joni bierze się stąd, że jako para przyciągają niezwykłą uwagę, co prawdopodobnie przyniesie więcej korzyści jemu niż jej. Zostawszy z nią sam na sam w limuzynie wiozącej

ich na premierę, powiedział więc, że jest wdzięczny, iż pozwala, by widziano go w jej towarzystwie. Był uprzedzająco grzeczny i pełen szacunku.

Kiedy wyłonili się z limuzyny, lampy błyskowe i kamery wręcz oślepiły Joni. Tłum witał ją serdecznie. Joni ledwo widziała tłoczących się ludzi, ale uświadomiła sobie, że na chodniku ustawione są barierki. Uśmiechała się i kłaniała ludziom, których ledwie widziała.

Mo dopilnował także jej stroju i uczesania.

Ponieważ lśniąca kasztanowe włosy Joni były jednym z jej najbardziej pociągających atutów, Mo znalazł fryzjera, który uniósł je ku górze, odsłaniając jej szyję i kark, a upinając nad czołem i opuszczając luźno za uszami. Był to nowy styl Joni.

Jej suknia stanowiła dzieło projektantki, która pracowała dla wielu hollywoodzkich gwiazd. Uszyta z różowego jedwabiu haftowanego złotą i srebrną nicią nie była obcisła, ale układała się miękko, a sięgając do kolan odsłaniała gołe, opalone nogi. Miała też głęboki i szeroki dekolt. Projektantka pracowała nad nim długo, aż miały pewność, że Joni z niego nie wypadnie.

Film, zgodnie z obietnicą Mo Morrisa i Harry'ego Kleina, miał pomóc w narodzinach gwiazdy. Joni chodziła na lekcje tańca i śpiewu, ale nie pobierała lekcji gry aktorskiej. Mimo to dzięki cierpliwości i precyzyjnej reżyserii Bena Langa okazała się utalentowaną aktorką. Zagrała beztróską dziewczynę, która w obliczu tragedii i zdrady zostaje nieoczekiwanie zmuszona do dorosłości.

W dwóch scenach pojawiała się naga. W jednej widać było jej piersi, w drugiej pośladki. Scenariusz nie pozostawiał wątpliwości, iż owa nagość jest niezamierzona i bohaterka jest nią boleśnie zażenowana. Reżyseria Langa sprawiła, że mimo nagości Jonie wyglądała skromnie.

Uwagi, jakie o filmie i aktorstwie Joni cicho szeptał jej w czasie projekcji David, były pełne uznania, ale płytkie. Podczas popremierowej kolacji powiedział Jackowi, że Joni jest olśniewającym talentem i może zostać jedną z największych hollywoodzkich gwiazd wszystkich czasów. Żegnając się z nim po zakończeniu wieczoru Joni obdarzyła go siostrzanym pocałunkiem i powiedziała, że już odpokutował swoją winę.

Następnego ranka reporterzy hollywoodzkich rubryk towarzyskich opisywali ją jako nowo narodzoną gwiazdę. Dwaj z nich orzekli nawet, że z pewnością otrzyma nominację do Oscara.

7.

Jack z rodziną zatrzymali się w Los Angeles na dwa dni po premierze. Jack szukał okazji porozmawiania z Joni sam na sam i znalazł taką sposobność.

- Wprost nie potrafię ci powiedzieć, jak się cieszę - powiedział - mogłem ci pomóc, ale mnie o to nie prosiłaś. Osiągnęłaś to sama. Szanuję twoje powody.

- Dziękuję, tatusiu - wyszeptała.

- John także w niczym nie opierał się na mnie. Oboje sami szukaliście swojego miejsca w życiu.

- Nie sądzę, byś ty kiedykolwiek zbyt opierał się na dziadku - powiedziała.

- Nie. Nie byliśmy do siebie podobni. Oprócz tego, co ci powiedziałem, że cieszę się z ciebie i za ciebie, chciałem ci też powiedzieć, że znam reputację Harry'ego Kleina i mogę się domyślać, czego od ciebie zażądał. Nie chcę wiedzieć, czy spełniłaś jego żądania.

Joni potrząsnęła głową.

- Nie stawiał tego żądania. Spodziewałam się, ale tego nie zrobił. Nie potrafię powiedzieć, co bym zrobiła, gdyby to uczynił.

- Cóż, nie mów. Gdyby kiedykolwiek do tego doszło, pozwól mi sobie pomóc.

- Z pewnością, tatusiu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

1. - 1962

Zakupiwszy dwadzieścia pięć procent udziałów swego brata w wytwórni Carlton House, Jack w istocie przejął nad nią kontrolę. Mimo niemiłego charakteru Boba Leara i jego niekiedy ujawniającej się głupoty, wytwórnia ta zrobiła kilka świetnych filmów. Jack odłożył je na bok, by wyemitować je w swojej sieci telewizyjnej jako „superprojekcje”, co oznaczało, że nie byłyby przerywane częstymi reklamami, a tylko dzielone jedną piętnastominutową przerwą, kiedy wszystkie reklamy wyemitowano by łącznie. Te projekcje przysporzyły jego sieci wysokich ocen, ale przyniosły straty finansowe. Sponsorzy przypuszczali, że podczas owych piętnastu minut widzowie będą odchodzić od telewizorów. Jack mimo to nalegał jednak, by kilka doskonałych filmów wyemitowano bez owych częstych pojedynczych reklam i cięć. Próbował nawet pewnej sztuczki, by zapobiec utracie widzów. W pewnej chwili podczas owej jedynej „przerwy reklamowej” na ekranie pojawiało się pytanie związane z nadawanym filmem. Pierwszy widz w każdym mieście, który zatelefonowałby do lokalnej stacji z poprawną odpowiedzią, otrzymywałby tysiąc dolarów, ale i to nie poskutkowało.

Ociagał się z wyemitowaniem wspaniałego eposu opowiadającego o wojnie secesyjnej a zatytułowanego *Bracia Cameronowie*, ponieważ nakręcono go w kolorze i nie chciał emitować go jako filmu czarno-białego. Przez kilka miesięcy zwodził telewidzów, obiecując, że *Bracia Cameronowie* już wkrótce ukażą się w kolorze. Wdzięczni producenci odbiorników oceniali, że kampania Jacka Leara umożliwiła im sprzedaż stu tysięcy kolorowych telewizorów.

Nadawaną od trzynastu lat „Godzinę Sally Allen” emitowano w kolorze. Sally była jedną z najpopularniejszych gwiazd telewizji. Joni wystąpiła w jej programie dwukrotnie w ciągu roku, a jej sukces na dużym ekranie przyniósł tym dwóm programom wyjątkowo wysokie oceny.

Program „Będzie, co ma być” przetrwał sześć lat, zanim nie zwietrzała jego dowcip, a serial „Trzydzieści osiem” pozostał jednym z dwudziestu najpopularniejszych programów telewizyjnych. Jego pierwszą bohaterkę - obdarzoną imponującym biustem policjantkę - zastąpiono inną, a moda na minispódniczki wystawiła na pokaz także jej nogi. Emisję *Błękitnych*, półdokumentalnego serialu o pracy Dowództwa Strategicznych Sił Powietrznych rozpoczęto w roku 1960, a rok później był jednym z najpopularniejszych seriali.

Chociaż skandale położyły kres wielkim teleturniejom, Dick Painter był przekonany, że widzowie wciąż lubią te programy. Zawsze fascynował się quizami i wierzył, że mógłby przywrócić je do życia. Musiał tylko znaleźć odpowiednią formułę. Jack powiedział mu, by rozważył wszystkie pomysły, ale zalecił ostrożność.

- Słusznie - rzekł Painter. - Wielkie sieci telewizyjne sądziły, że wszystko ujdzie im płazem. My będziemy ostrożni... i subtelni.

2.

Ponieważ Joni większość czasu spędzała w Kalifornii, nowojorskie mieszkanie na Manhattanie wróciło do Jacka i Anny. Wcześniej oni, przyjeżdżając do Nowego Jorku, byli w nim gośćmi, bo Joni nazywała to mieszkanie swoim, choć nigdy nie płaciła za nie czynszu. Teraz zaś, gdy Joni przyjeżdżała z Kalifornii, ona była gościem. Anna zleciła przemalowanie pokoi i odnowienie podłóg. Zmieniła również część umeblowania. Kupiła też ruchomą rzeźbiarską kompozycję Caldera i kazała ją zawiesić pod sufitem salonu. W jakiejś mrocznej galerii na dolnym Manhattanie natknęła się na kolekcję prekolumbijskiej ceramiki, głównie o charakterze wyraźnie erotycznym. Znając uznanie Jacka dla wysokiej klasy sztuki erotycznej, kupiła jeden z eksponatów pochodzący z Peru. Figurka przedstawiała kobietę ssącą mężczyznę. Miała kilkanaście centymetrów wysokości i Anna postawiła ją na małym empirowym biurku stojącym na wprost okna.

Ich dzieci były już teraz nastolatkami, więc Jack i Anna uważali, że mogą zostawać w mieście na dwie lub trzy noce w tygodniu. Często spotykali się na lunchu.

W pewien wiosenny wtorek Jack umówił się z Anną w restauracji „Lutece” i nie był zaskoczony, że zastał ją w czyimś towarzystwie; bo Anna często przyprowadzała gości na ich lunchy. Czasami telefonowała i mówiła z kim będzie, a czasami tego nie robiła. Dziś go nie uprzedziła.

- Jack, pozwól, że ci przedstawię pana Jasona Maxwella.

Jason Maxwell był autorem najnowszego powieściowego bestsellera, *Głósów z wnętrza*. Wcześniej także napisał głośną powieść, ale Jack nie mógł sobie przypomnieć jej tytułu. Powieści Maxwella nie były również tym rodzajem literatury, który Jack chętnie czytał, ale Anna знаła obie i opowiadała mu o nich.

- Bardzo mi miło, że mogę pana poznać, panie Lear - powiedział Maxwell, wyciągając rękę na powitanie.

- Ja również cieszę się z naszego spotkania. Wiele o panu słyszałem.

Jason Maxwell miał dwadzieścia dziewięć lat. Wygląd tego drobnego mężczyzny wskazywał, iż był on homoseksualistą, a jeśli nie, to był jego karykaturą; miał bowiem wszystkie cechy, jakie posiadali członkowie tej wspólnoty: wysoki, piskliwy głos, dziewczęcą minoderię, jednym słowem... wszystko.

- Jason jest chodzącą skarbnicą plotek - powiedziała Anna. - Wie wszystko o wszystkich.

- Broń nas Boże! - rzekł Jack.

- Jestem wścibski - ostrzegł Jason.

- Na szczęście nie mamy tajemnic - odparł Jack.

- Och, każdy ma jakieś sekrety. Jeśli zaś naprawdę ich pan nie ma, to stworzymy ich kilka za pana. Czym byłoby życie bez sekretów?

- Ma pan na myśli skandale?

- Tak, oczywiście! - pisał Jason. - Zachwycające skandale!

- Jason przyznaje - powiedziała Anna - że niektórzy bohaterowie jego powieści są literackimi portretami rzeczywistych i jedynie lekko zamaskowanych postaci.

- Rozpoznają się - dodał Jason radośnie.

- Jak pan poznaje ich tajemnice?

- Och, wyznają mi je! Doprawdy nie pojmuję dlaczego. Wiedzą, że jestem pisarzem.

- Szczęście, że nie znał pan mojego ojca i niczego nie opowiedział pan o nim.

- Och? Dlaczego?

- Zabiłby pana - odparł Jack.

- Ach, jakież to pasjonujące!

3.

Cathy McCormack przytknęła oko do wizjera w drzwiach. W korytarzu stał Dick. Szybko zdjęła bluzkę i biustonosz, a potem odsunęła łańcuch, otworzyła zamek i wpuściła go do środka. Mocno pocałował ją w usta, następnie zszedł niżej by lekko pocałować obydwu sutki.

- Chętnie poszedłbym gdzieś dzisiaj na kolację - powiedział, gdy trzymając się za ręce szli z przedpokoju do salonu. - Zdaje się, że mamy powód do świętowania.

- Cudownie! A co będziemy świętować?

- Zrób nam coś do picia, to ci opowiem.

Podczas gdy Cathy przygotowywała drinki, on sięgnął po *New Yorkera* i rzucił okiem na kilka karykatur.

- Proszę - rzekła, wręczając mu szklaneczkę burbona. - Więc co będziemy świętować?

- Nowy program: „Założ się!”. Na pewno się uda. Mam już trzech doskonałych zawodników. Posłuchaj. Mam już faceta z Queens, który pracuje za kontuarem w jakichś delikatesach, przygotowując tam kanapki. Mówi płynnie po angielsku, rosyjsku, niemiecku, hebrajsku i w jidysz. Nieco słabiej zna także polski, litewski i węgierski. Wszyscy znają go jako językoznawcę i poliglotę. Odczytuje swoim sąsiadom listy pisane do nich w obcych językach. Jest też miłym i bystrym facetem. Z pewnością wygra sto tysięcy dolarów w „Założ się!”.

- Jesteś tego pewien? - zapytała sceptycznie.

- Oczywiście, że jestem pewien - roześmiał się Painter. - Zaczniemy od czegoś prostego, co na pewno zna, mówiąc na przykład tak: Panie Abraham, wie pan, że słowo „płuca” to nazwa ważnej części ludzkiego ciała. Jakim słowem określa się tę część ciała po rosyjsku, niemiecku, hebrajsku i w jidysz? On to wie, a jeśli nie, to trochę mu pomożemy.

- Jesteś pewien, że on to wie?

- Tak. Nie stracę takiej okazji.

- Zamierzasz dać mu wcześniej odpowiedzi? Dick...

- Ten sukinsyn będzie wiedział, jak się nazywa penis w języku swahili.

- Bądź ostrożny.

- Nie, nie wykorzystamy swahili. Ani chińskiego. Ale będzie znał to słowo po arabsku. Człowiek, który zna hebrajski może przecież równie dobrze znać arabski. Zadbamy, by pytać go o rzeczy, które powinien znać.

- No cóż...

- W Scarsdale natomiast mieszka jakaś siedemnastolatka, która jest chodzącą encyklopedią baseballu. Wyobraź sobie: miła blondyneczka. Żuje gumę, chichocze i odpowiada na pytania o przebieg rozgrywek w 1924 roku!

- Bo wcześniej dasz jej pytania?

- Miej do mnie trochę zaufania, Cathy. Ona słynie z tego, że wie o baseballu więcej niż ktokolwiek inny. Majuz tę opinię i właśnie dlatego

będzie wiarygodna. Gdybyśmy posłużyli się jakimś dzieciakiem, który nie byłby z tego znany, wtedy... leżymy. Ale z nimi...

- To jest jednak ryzykowne. A jeśli ktoś doniesie?

- Każdy zwycięzca, którego przygotujemy, dostanie sto tysięcy dolarów. Ci przegrani uczestnicy, których nie będziemy przygotowywać, dostaną... powiedzmy... dziesięć tysięcy. Ci mniejsi nie będą mieć za złe większym. To nie jest rywalizacja. Stawiają czoło pytaniom, a nie sobie na wzajem.

- Kto będzie o tym wiedział? - zapytała. - Lear?

- Tylko trochę - odparł. - Nie chce znać szczegółów.

4.

W październiku Jack spotkał się z Rebecca Murphy, swoim „prywatnym detektywem”, w apartamencie motelu w Lexington, wystarczająco daleko od Bostonu, by nikt go tam nie widział i nie rozpoznał. Siedzieli w saloniku, sącząc szkocką i rozmawiając.

- Jej rodzice oglądali ten spektakl wczoraj wieczorem.

Nie mogę obiecać, że dzisiaj nie przyjdą ponownie. Mogę pójść tam przed tobą, zając dla nas dwa miejsca i rozglądać się, czy przyszli. Jeśli się nie pokażą, nie będzie tam nikogo innego, kto by wiedział, kim jesteś.

- Tego nie można być pewnym.

- No cóż, w porządku. Jesteś gotów być melodramatyczny?

Jack pomyślał, że właściwszym słowem byłoby „błazeński”. Rebecca wciąż musiała posługiwać się w pracy różnymi przebraniami i umiała to robić. Przyciemniła mu włosy i brwi, a także przykleiła wąsy, obiecując, że na pewno się nie przekrzywią i nie spadną, jeśli nie będzie ich dotykał. Umieszczając mu między dziąsłami a policzkami dwa kawałki miękkiego tworzywa całkowicie zmieniła kształt twarzy Jacka. Potem ubrała go w brązową marynarkę w kratę, która niezbyt dobrze leżała i parę ciemnobrązowych spodni. Na to wszystko nałożyła Jackowi wymięty płaszcz przeciwdeszczowy, a na głowę wcisnęła miękki kapelusz z szerokim rondem najwyraźniej noszony zamiast parasola. Kiedy zobaczył się w lustrze, był gotów zaryzykować wejście na widownię, nawet gdyby siedzieli tam Connie i Dan Horanowie.

Gdyby ktokolwiek go rozpoznał, Jack musiałby się wtedy wydać największym błaznem na całym świecie.

Rebecca zawiozła Jacka do szkoły klasztoru Serca Jezusowego. Sprawdziwszy widownię, wyszła na parking i skinęła na niego, by wszedł. Nikt nie zwrócił na niego szczególnej uwagi. W sali panował gwar i szum.

Przeczytał program:

Meredith Willson
NAUCZYCIEL MUZYKI:

obsada:

Profesor Harold Hill - Brad Duncan
Bibliotekarka Marian - Kathleen Horan (DC)

- Co oznacza skrót DC? - zapytał cicho Jack.
- Dziecię Chrystusa - szepnęła mu na ucho Rebecca. - To zaszczytny tytuł nadawany tutaj dziewczętom, które z największym oddaniem pełnią swe religijne obowiązki.

Mógł być pewien, że Kathleen była dokładnie taka, jak chciała tego Connie: miła, ambitna, pracowita i oczywiście bardzo religijna.

Występowała w szkolnym przedstawieniu teatralnym. Za miesiąc miała skończyć siedemnaście lat, a wiosną stać się już absolwentką tej szkoły. Niemal co roku Rebecca fotografowała Kathleen z daleka i przysyłała Jackowi zdjęcia. Oglądał więc fotografie z kolejnych uroczystości zakończenia roku szkolnego i egzemplarze szkolnej gazetki, jeśli cokolwiek o niej pisano. Przeczytał też reportaż magazynu *Globe* o dziewczęcych zawodach lekkoatletycznych, gdzie wygrała medal w biegu na sto jardów.

Kurtyna poszła w górę. Znał tę sztukę, więc wiedział, kiedy oczekiwać na scenie Bibliotekarki Marian. Pojawiła się w błękitnej sukience. O Boże, pomyślał Jack. Jaka piękna! Złotowłosa. Kobieca. Pełna wdzięku. Pewna siebie. Szczęśliwa.

Oczywiście nie miała pojęcia, że ten człowiek w wytartym ubraniu siedzący pośrodku widowni jest jej ojcem, ani też nie wiedziała, że jest córką Jacka Leara, owego magnata mediów, jak go czasami nazywano.

Rebecca zobaczyła łzy lśniące w oczach Jacka i wzięła go za rękę.

5.

- Znalazłabyś trochę czasu, by zjeść ze mną kolację? - zapytał Rebecę, gdy odwiozła go do Lexington. - W ramach płatnych godzin, oczywiście.

- Nie tylko w ramach płatnych godzin - odparła spokojnie, patrząc przed siebie na drogę. - Po godzinach.

Wrócili do motelowego pokoju, by mógł odkleić wąsy i zmienić ubranie.

Przygotowała mu szklaneczkę szkockiej. Jack opadł ciężko na kanapę i potrzasał głową.

- Kim mogłaby być, gdyby... - westchnął głośno. - Spójrz na Joni; zobacz kim została! John mógłby... Ale mała Kathleen nie miała szansy! Nawet najmniejszej szansy! Connie i Dan uważają, że młoda kobieta jest maszynką do rodzenia dzieci i właśnie tego dla niej chcą! Boże, niech to wszystko szlag trafi!

- Jack...

Rebecca sięgnęła po rękę Jacka, przysunęła się bliżej, pochyliła się i pocałowała go w szyję. Jack objął ją ramieniem, całowali się przez minutę, penetrując językami wnętrza swoich ust.

Oderwawszy się w końcu od Rebeki, roześmiał się donośnie. Na jej czole została farba, którą przyciemniła mu brwi.

- Chyba powinienem zmyć tę charakteryzację, zanim pójdziemy na kolację - powiedział. - Chcesz mi pomóc?

Razem poszli pod prysznic.

- Mój Boże, to było dwanaście lat temu - powiedział, gdy znaleźli się w łóżku.

Minęło dwanaście lat od chwili, gdy się kochali. Wtedy miała trzydzieści jeden lat, a teraz czterdzieści trzy. Tamto wspomnienie było przyjemne. To miało być jeszcze przyjemniejsze. Rebecca Murphy oddawała mu się bez zahamowań, jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze... Nie poszli na kolację. Wczesnym rankiem zjedli jakieś chipsy z motelowego automatu.

6. - 1963

Jack i Anna przylecieli na wyspę St. Croix trzy dni po świętach Bożego Narodzenia. Joni z Davidem Breckiem dołączyli do nich na dwutygodniowe wakacje, podobnie jak to uczynił Jason Maxwell.

Joni podpisała z Harrym Kleinem kontrakt na następny film - tym razem już bez „nagiego przesłuchania” ani nawet propozycji „kanapowych zdjęć próbnych”. Sugerowała, by partnerował jej David Breck, ale Klein się nie zgodził, twierdząc, że Breck mówi „postawionym”, scenicznym głosem, który nie pasowałby do westernu, jakim miał być ten film. Rolę dostał więc Trent Ambler umiejętnie naśladowujący kowbojskie cedzenie słów.

Przywiozła ze sobą scenariusz. Jack miał pewne zastrzeżenia do grania przez nią w westernie, ale kiedy przeczytał ów scenariusz, zrozumiał, że film nie będzie przypominał tych westernów, jakie oglądał.

Joni miała w nim grać rolę kobiety skazanej na dożywotnie ciężkie roboty za zabicie ojca. W położonym na pustyni więzieniu bohaterka doznaje licznych okrucieństw, aż wreszcie ucieka. Ucieczka jest beznadziejna, ponieważ kobieta jest sama na środku pustyni. Na szczęście spotyka opryskliwego rewolwerowca (granego przez Amblera), który ucieka z powodu rozboju, jakiego dopuścił się kilka dni wcześniej. Początkowo traktuje ją jak seksualną zabawkę, ale ostatecznie zakochuje się w niej prawdziwą miłością. Ich ucieczka staje się odyseją.

David twierdził, że powierzenie Joni tej roli było miarą uznania i szacunku, jaki zdobyła u Harry'ego Kleina i Bena Langa. Wcześniej za *Odważną Michelle* nie otrzymała spodziewanej nominacji do Oscara, ale gdyby świetnie zagrała bohaterkę tego westernu, członkowie Amerykańskiej Akademii Filmowej nie mogliby jej tego odmówić.

Scenariusz przeczytał także Jason Maxwell. Nazwał go „zgrabniutkim”, co obraziło Joni, dopóki nie zrozumiała, że w jego słowniku był to komplement. Poprosił ją o zgodę na „użycie ołówka” i zasugerował poprawki w kilku fragmentach dialogu. Później David powiedział jej w zaufaniu, że zmiany dokonane przez tego małego człowieczka w istocie uczyniły owe fragmenty bardziej efektownymi.

Pewnego wieczoru, gdy Joni siedziała na plaży w czerwonym kostiumie bikini, który miała na sobie po południu, usiadł obok niej Jack. Inni, czując, że zanoszą się na rozmowę ojca z córką, pozostali na uboczu.

- Dlaczego Jason? - zapytała otwarcie.

- Anna go tu przywiozła. Poznała go, jak rozumiem, na jakiejś aukcji antyków. Jest głośnym pisarzem, ulubieńcem krytyków.

- Ulubieńcem... to prawda - powiedziała, wskazując głową ku morzu, gdzie szalał na nartach wodnych. - Nie obawiasz się, że on i Anna...

- Nie. To pedał jak dwa i dwa jest cztery. Anna uważa, że jest zabawny. Ja chyba też tak sądzę. On wie o ludziach więcej niż ktokolwiek z moich znajomych i jestem skłonny wierzyć, że wiele tych plotek jest prawdą.

- Pozwól mi się o czymś uprzedzić, tatusiu. Nie ufaj mu. I powiedz Annie, żeby mu nie ufała. W porządku, niech tu będzie, ale nie mówcie mu niczego, czego nie chcielibyście przekazać do publicznej wiadomości. Pamiętaj, nawet małe pieski mają uszy, a ten ma również głos.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

1. - 1963

Praca w roli Maggie na planie *Więźniów skał* była cięższa niż Joni to sobie wcześniej wyobrażała. Żadnej ze scen nie kręcono w studio. Najpierw akcja toczyła się w więzieniu i sceny kręcono w prawdziwym starym więzieniu na pustyni. Łańcuchy, jakie założono jej na nadgarstki i kostki do scen transportu do owego więzienia, były prawdziwe: ciężkie i zamykane prawdziwymi kluczami. Zakuta w te łańcuchy siedziała przez trzy godziny w nasłonecznionym wozie, podczas gdy ustawione na platformach kamery rejestrowały kolejne ujęcia. Zadanie Joni wydawało się tylko trochę mniej nieprzyjemne niż egzystencja Maggie. Pociła się w zniszczonych ubraniach, które nosiła jako kostium i pod koniec owych trzech godzin była spieczona słońcem, spocona i wyczerpana, jak bohaterka tego filmu.

Najgorszą rzeczą, jaką musiała znieść, było ogolenie głowy. Niektórym innym „więźniarkom” pozwolono nosić cieliste plastikowe czepki, doskonale imitujące gładką skórę ogolonych głów. Ona jednak nie mogła tego robić, ponieważ wiele ujęć kręcono w bliskim planie i reżyser chciał pokazać także odrastanie włosów, co miało symbolizować rekonstrukcję osobowości bohaterki. Jej włosy zostały ścięte, a głowa ogolona przez aktorkę grającą rolę strażniczki. I chociaż ta kobieta starała się być bardzo delikatna, to jednak rola wymagała od niej szorstkości, brutalności i prostactwa. Najpierw obcinała Joni włosy nie nożyczkami fryzjerskimi lecz parą wielkich nożyc. Potem goliła jej głowę, nie mogąc ostrzyć brzytwy na skórzanym pasie, a tylko namydlając ją szarym mydłem i bezceremonialnie oskrobując. Ta scena była bolesna. Aktorka-strażniczka niechętnie zacięła ją trzy razy i pokazała się krew. Joni nie musiała więc posługiwać się techniką aktorską, żeby płakać. Kamery zarejestrowały każde jej skrzywienie i łzy.

Ben Lang nie życzył sobie na planie obecności Davida Brecka, ale złagodniał i ostatecznie posłał po niego, nim Joni o to poprosiła. David dodał jej otuchy, głaszcząc po ogolonej głowie i mówiąc, że nawet bez włosów jest piękna.

Mo Morris, który także przyjechał na plan i zobaczył, co się rodzi między jego gwiazdą a walijskim aktorem, powiedział Joni, że nie będzie musiała umawiać się z nim na randki, bo teraz on „stworzy” Davida.

2.

Edith Wolcott zmarła w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat. Joni chciała pojechać do Bostonu na pogrzeb. Ben Lang zgodził się chętnie, mówiąc, że i tak zarządziłby przerwę, by jej włosy miały szansę choć trochę odrosnąć. Harry Klein dostarczył cały zapas peruk, ale na planie zdjęciowym Joni nie nosiła żadnej z nich, a tylko robiła sobie turban z ręcznika lub owijała głowę jakimś szalem. Przed wyjazdem do Bostonu wybrała jedną i, włożywszy ją na głowę, z pomocą Davida przymierzała i próbowała starannie, by mieć pewność, że peruka się nie przekręci i nie spadnie. Także razem z Davidem poleciała do Las Vegas, gdzie Jack i Anna czekali na nich w służbowym samolocie LCI.

- Boże, jaka jestem zmęczona - powiedziała Joni. - Nie będę mogła spać przez całą drogę aż do Bostonu, a ta przeklęta peruka drapie jak włosiennica. Wybaczcie - dodała i ściągnęła perukę. - Odrosną. Może ktoś da mi drinka. - Jej głowę pokrywał półcentymetrowy ciemny sterzczący „jeżyk”. - Wyglądały lepiej, kiedy były gładkie - powiedziała. - Napatrzcie się do syta i koniec.

- Aż mnie kusi, żeby też sobie zrobić taką fryzurę - powiedziała beztrzesko Anna. - Co za styl!

- Jeśli masz na nią ochotę, to każ się tak uczesać fryzjerowi - poradziła jej Joni. - Nie pozwól, by zrobił to jakiś amator.

Ku zaskoczeniu Jacka na pogrzeb Edith Wolcott przyszli też państwo Horanowie, przyprowadzając ze sobą Kathleen. Widocznie postanowili, że pozwolą mu ją zobaczyć. Udawał, że nigdy wcześniej jej nie widział. Przedstawili ich sobie i Kathleen uprzejmie podała mu rękę, chociaż bardziej ciekawiła ją Joni, która była sławną gwiazdą filmową.

Anna wiedziała, kim jest Kathleen, lecz Joni nie miała o tym pojęcia. Zdaniem Anny Jack powinien jej o tym powiedzieć, więc stworzyła okazję, by mogli porozmawiać ze sobą lecąc do Westchester.

- Jesteś w jakimś dziwnym nastroju - powiedziała Joni do ojca i przejechała dłonią po swoim „jeżyku”, co było gestem, który powtarzała

nieustannie, jakby upewniając się, że włosy odrastają. - Nie wiedziałam, że tak bardzo byłeś związany z babcią Wolcott.

- Co myślisz o Kathleen? - zapytał.
- O jakiej Kathleen?
- O Kathleen Horan.
- Cóż, miła dziewczyna. Dorastająca panienka. Dlaczego pytasz?
- Jest twoją przyrodnią siostrą.
- Tatusiu!
- Ona o tym nie wie.

Joni zmarszczyła brwi.

- Masz jeszcze inne sekrety, tato?

Znów popadł w mroczny nastrój.

- Ty opowiedziałaś mi o swoim, ja wyznałem ci mój.

3.

Spółka LCI sprzedała swoje stacje radiowe. Przeważająca część sponsorów reklamowała teraz lokalne przedsiębiorstwa: sklepy meblowe, magazyny dywanów, salony samochodowe i restauracje. Muzyka z płyt wypełniała większość czasu antenowego większości stacji. Niektóre wciąż nadawały codzienne programy dla hipochondryków, do których telefonowali ludzie cierpiący na różne choroby - od raka do wrastających paznokci - oczekując rady od kogokolwiek, byle nie od prawdziwego lekarza, i słuchając o cudownych uzdrowieniach i medycynie naturalnej. Programami przynoszącymi rzekome porady inwestycyjne były głównie informacje o sklepach z wiadrami reklamujące groszowe akcje.

Nie był to ten rodzaj przedsiębiorczości, której Jack Lear chciałby się nadal oddawać.

4.

Mały Jack, teraz już szesnastoletni, uczył się w Greenwich. Zachęcano w niej chłopców do udziału w zajęciach sportowych. Jacka nie trzeba było zachęcać. Lubił wszystkie dyscypliny sportowe: hokej na trawie, piłkę nożną, koszykówkę. Szczególnie zaś podobały mu się te, które dawały możliwość bezpośredniej rywalizacji i fizycznego kontaktu z przeciwnikiem. Trzykrotnie zzywano go do trenera.

- Mam nadzieję, że nie będę musiał powtarzać ci tego ponownie, Lear, że grasz zbyt brutalnie. Twoja agresja na boisku nie budzi

przychylności. Celem sportu jest kształtowanie zarówno sylwetki, jak i charakteru.

- A ja sądziłem, że gra się po to, żeby wygrać, proszę pana - odparł Jack na swoją obronę. - Gram zgodnie z zasadami. Nie oszukuję.

- Nie w tym rzecz. Grasz zbyt ostro. Co będzie, jeśli kogoś zranisz?

- Ja także ryzykuję zranienie.

- Posłuchaj, Lear, szczególnie tobie nakazuję grać spokojniej podczas meczu.

- Nawet jeśli szkoła będzie przegrywać?

- Nawet jeśli szkoła będzie przegrywać.

5.

Curt Frederick przeszedł na emeryturę. Miał sześćdziesiąt sześć lat i Jack nie mógł mu tego wyperswadować. Curt kupił dom w Scottsdale w stanie Arizona. Był to zdobiony stiukiem budynek, który wyglądał jakby postawiono go z cegły suszonej na słońcu, które świeciło tu tak ostro, że frontowy dziedziniec wysypany był zielonym żwirem, nie zaś obsiany trawą, która tutaj by nie wyrosła. Zainstalowana tu klimatyzacja miała moc klimatyzatorów przemysłowych, a w ogrodzie na tyłach domu znajdował się basen otoczony bujnymi krzewami utrzymywanymi przy życiu nieustannym nocnym nawadnianiem.

Państwo Frederickowie wyjechali z Nowego Jorku przed sześcioma miesiącami, po tym jak w magazynie *The New Yorker* ukazało się opowiadanie Jasona Maxwella. W jednej z jego części czytano:

Wiele lat temu George Blake, wówczas zgorzkniały i samotny, wszedł, niezobowiązująco, w związek gejowski. Wziął sobie mianowicie kochanka noszącego przydomek Zip, młodego mężczyznę pragnącego grać w tym związku rolę żeńską. Z czasem George znudził się tą sytuacją, a nawet nabrał do niej wstrętu i po prostu się ożenił.

Zip był zdruzgotany. Czuł, że nie będzie mógł żyć bez uczucia George'a, bez jego ojcowskiego wsparcia, a nawet bez owej dyscypliny, jaką George mu narzucił. Bo George zadawał mu różne pokuty... Zip upadał coraz niżej, aż w końcu został żebrakiem na ulicach Nowego Jorku.

Mógł szantażować George'a, lecz nigdy tego nie zrobił. Za bardzo go kochał. Pewnego dnia zasugerował jednak George'owi nieśmiało, że dawny kochanek mógłby mu trochę pomóc. Jane, żona George'a była kobietą o najszlachetniejszych chrześcijańskich instynktach, co

oznacza, że cechowała ją miłosierna życzliwość, być może nawet przesadna, więc podsunęła mężowi myśl, by Zip zamieszkał wraz z nimi. Powiedziała, że mogłby przecież zarobić na swoje utrzymanie pomagając w mieszkaniu.

Tak więc Zip został domowym służącym i okazał się dobry w tej roli. George nie narzucał mu już żadnej dyscypliny. Teraz robiła to Jane. Wśród licznych pokut, jakie mu zadawała, była i ta, by się niekiedy rozbierał. Najbliższym przyjaciółom wolno było oglądać Zipa. Byli zdumieni, mówiąc najłagodniej, że koktajle podawał im całkiem nagi „pokojuwiec” i że działo się to w domu wielce szacownego i wybitnego w swym zawodzie człowieka.

Taka sytuacja nie mogła trwać w nieskończoność. Jane była ogromnie poirytowana, że Zip w ogóle nie przejmuje się tym, co jej zdaniem miało być dla niego bolesnym upokorzeniem. Ani trochę. Au contraire. Nic nie mogło mu sprawić większej przyjemności.

I tak...

Kiedy Anna przeczytała to opowiadanie, pierwszy raz w życiu okłamała Jacka. Mówiąc zaś ściśle: w istocie nie okłamała męża, lecz nie opowiedziała mu o noweli napisanej przez Jasona. Jack nie czytał tego miesięcznika i nie widział utworu Maxwella. Ich przyjaciele także o nim nie mówili. Państwo Frederickowie również nic nie mówili. Może też go nie widzieli. Jednak Anna była przerażona. Wiedziała, że „George” to Curt, że imieniem „Jane” autor nazwał Betsy, a pierwowzorem „Zipa” był Willard Lloyd zwany Kogutkiem.

Wiedziała także, skąd Jason zaczerpnął wizję Kogutka biegającego po mieszkaniu Fredericków nago. Betsy zaprosiła ją pewnego dnia na lunch. Anna przyszła po nią o umówionej godzinie i Betsy sama otworzyła jej drzwi. Usiadły, by przed wyjściem do restauracji wypić drinka, którego także podała jej Betsy. Anna wiedziała, że uskarżającego się na skrajną nędzę Willarda Lloyda państwo Frederickowie zatrudnili jako służącego, więc zapytała lekko, czy Willard ma wolne. Nie, odparła Betsy, Kogutek jest w kuchni. Potem Anna rzuciła okiem na Kogutka i zobaczyła, że jest nagi. Betsy roześmiała się i zawołała go do salonu.

- To nasz sekretik - powiedziała. - Zawsze wiedziałam, kim jest ten mały drań i kiedy zgodziłam się przyjąć go jako służącego, zażądałam... Tylko nie mów Jackowi.

Anna nie powiedziała o tym Jackowi, ale pewnego dnia opowiedziała to Jasonowi, który najwyraźniej uznał tę scenę za zbyt dobrą, by jej nie wykorzystać.

Zatelefonowała do niego.

- Jason, na miłość Boską! Zaufałam ci.
- No i co? - zapytał ze śmiechem. - Nikogo to nie zraniło. O ile wiem, jesteś jedyną osobą, która rozpoznała Fredericków. Nie miałem żadnych telefonów ani listów. A ta opowieść jest pyszna!

6.

Jesienią Kathleen Horan została zapisana do żeńskiej uczelni z Najświętszym Sercem Jezusowym w nazwie. Do tej pory kształciła się w dziennych szkołach pod jego wezwaniem, ale teraz mieszkała w internacie, więc już nawet nocą nie mogła umknąć surowym zakazom zakonnicek.

Wcześniej tylko słyszała opowieści o tym, jak siostry Najświętszego Serca oddawały się samobiczowaniu. Tutaj, na uczelni, dziewczęta z internatu widywały zakonnice, które biczowały się same, nigdy wzajemnie, czymś co nazywały „dyscypliną”. Pod habitami niektóre z nich nosiły włosiennice. Te włosiennice przez cały dzień ocierały im skórę, nic więc dziwnego, że siostry wciąż były poirytowane i zniecierpliwione. Były też jednak zdolne do wielkiej dobroci i nikt nie mógł odmówić im poświęcenia, ale Kathleen szybko doszła do przekonania, że oddano ją pod opiekę stada wariatek.

Tego popołudnia, gdy usłyszała o zabójstwie prezydenta Kennedy'ego, bez zezwolenia opuściła internat i pojechała do domu. Matka natychmiast odwiozła ją z powrotem i Kathleen przez miesiąc nie mogła opuszczać terenu uczelni, co oznaczało, że nie wolno jej było wychodzić z pokoju po godzinie dziewiętnastej z wyjątkiem pójścia do łaźienki. Jej matka zaakceptowała to, zgadzając się z siostrą przełożoną, że Kathleen staje się nieco krnąbrna.

Kathleen stwierdziła, że nienawidzi tej uczelni i swojego życia łącznie ze swą pobożną matką. Jednak nie było ucieczki.

7. - 1964

Chociaż Jack posiadał i rzekomo kontrolował wytwórnię Carlton House, to jednak pozostawił jej codzienną działalność w rękach ludzi, którzy pracowali w niej od dawna. Bob w zasadzie w ogóle się wycofał. Zbudował wraz z żoną dom w Nowym Meksyku i teraz oboje spędzali tam większość czasu, wylegując się w słońcu i grając w golfa.

Wytwórnia Carlton House miała bogatą i wartościową filmotekę. Jack zgodził się na kupowanie filmotek tych wytwórni, które likwidowały

produkcję, a następnie przekonał swoich ludzi do realizacji programu ochrony starych filmów polegającej na przekopiowywaniu ich z kruchych i łatwo palnych materiałów, na których je niegdyś nakręcono, na taśmy o większej trwałości. Otwieranie pudeł ze starymi filmami często przynosiło gorzkie rozczarowanie, gdy okazywało się, że taśmy skruszały i został z nich tylko pył leżący pod skorodowanymi metalowymi szpulami.

Wybrane filmy kopiowano z taśm światłoczułych na taśmy magnetyczne, co pozwalało nadawać je w telewizji. Profesor Loewenstein był przekonany, że wkrótce rozwinie się nowy interes: sprzedaż kaset video odbiorcom indywidualnym, gdyż na rynku znacznie spadła cena odtwarzaczy. Produkcja tych kaset, przewidywał, będzie dochodową inwestycją.

Studia dźwiękowe wytwórni Carlton House działały teraz niemal wyłącznie na rzecz produkcji telewizyjnej.

Sally Allen bez rozgłosu ponownie poślubiła Lena, zdoławszy nawet w jakiś sposób uniknąć reklamowej wrzawy wokół tego faktu. Później przyszli do Jacka i zaproponowali nakręcenie filmu opartego na życiu dwóch małżeńskich par mieszkających po sąsiedzku i dzielących z sobą wzloty i upadki codziennego życia. Jack przeczytał scenariusz napisany przez Lena. Miał on sporo humoru, ale nie był komedią. Sally miała zagrać poważną, dramatyczną rolę. Jack naradził się z ludźmi, których sądom ufał, i zgodził się na realizację tego filmu. Nakręcono go szybko i za niewielkie pieniądze, obsadzając Sally oraz aktorów z kilku udanych, ale nie wyświetlanych komedii sytuacyjnych.

Ku wielkiej konsternacji Jacka, gdy nadeszła pora Oskarów, do nagrody dla Najlepszej Aktorki nominowano zarówno Sally Allen, jak i Joni Lear. Zwyciężyła Sally.

8. - 1965

Jack pierwszy raz pojechał do St. Croix bez Anny. Od pewnego czasu czuła się nieustannie zmęczona i jej lekarz zasugerował, by na kilka dni położyła się do szpitala w Greenwich, żeby poddać się badaniom. Nie chcąc, aby Jack z niepokojem krążył wokół szpitala, wręcz kazała mu polecieć do St. Croix na kilka słonecznych dni.

Dzień przed wyjazdem wpadł podczas lunchu na Jasona Maxwella. Wspomniał mu o swojej podróży, mówiąc ze smutkiem, że będzie to samotny urlop, ponieważ ani Anna, ani żadne z dzieci nie może mu towarzyszyć. Jason rozjaśnił się w uśmiechu i powiedział, że chętnie z nim poleci i postara się być zabawny.

Jack przyjął ofertę Jasona i zapewnił, że zapłaci za jego bilet, ale tego Jason nie usłyszał.

Przylecieli do St. Croix w środę, 17 lutego.

Jason był tak zabawny, jak obiecał. Podczas całego pobytu rzadko nosił coś innego niż parę skąpych szortów - a właściwie obciętych jeansów z przetartymi pośladkami - i kapelusz z palmowych liści, który kupił od plażowego handlarza.

Jason miał trzydzieści dwa lata, co Jackowi przypomniało, że jemu brakuje już tylko roku do sześćdziesiątki. Przerzedzające się włosy odsłaniały łysinę z przodu głowy, ale te, które pozostały, były grube lecz niemal całkiem siwe. Zaczesawał je do przodu najlepiej jak mógł, lecz nie pokrywały całej głowy. Miał też teraz wydatne policzki i obwisłe ciało pod brodą. W kącikach powiek, które zawsze miały tendencję do opadania, pojawiły się zmarszczki. Jednak twarz Jacka wciąż była żywa i pełna wyrazu, a on sam zawsze chętnie się śmiał.

Ciało Jacka nie wskazywało na ten wiek, o jakim mówiła jego twarz. Nawet bez diety i systematycznych ćwiczeń zachował niemal równie dobrą kondycję, jaką się szczycił będąc czterdziestolatkiem. Nie zwolnił biegu.

Trzeciego wieczoru na St. Croix Jack powiedział Jasonowi, żeby się ubrał tak, aby mogli pójść na kolację. Po kilku rumowych koktajlach zjedli owoce morza, popijając je białym winem. Był to miły wieczór, głównie dzięki wysiłkom Jasona, który koniecznie chciał być zabawny. Przy kolacji opłotkował kilkanaście znakomitości, opowiadając nie tyle o ich seksualnych grzeszkach, ile o tarapatach, w jakie niegdyś popadli.

Jedna z owych opowieści mówiła o pewnej broadwayowskiej aktorce, która jako dwudziestolatka jeszcze siusiała w majtki, inna zaś o znanym senatorze obudzonym przez policję na schodach wiodących do jakiejś piwnicy.

Jack wiedział, że były to historyjki, które Jason opowiadał Annie, ponieważ ją bardzo te opowiadki bawiły. Kiedy wrócili do domu napełnił więc szklaneczki odrobiną brandy i usiadł w salonie, by posłuchać jeszcze kilku.

Wypili i Jason opowiedział jeszcze dwie historie, a potem zapadł w markotne milczenie.

- Cóż... - rzekł Jack. - Chyba pora spać.

- Jack... - szepnął Jason.

- Słucham.

- Czy spałeś kiedyś z mężczyzną?

Jack przecząco potrząsnął głową.

- A miałeś na to kiedykolwiek ochotę? - pytał dalej Jason. - Myślałeś kiedyś o tym?

Jack, który wstawał już z fotela, usiadł na nim ponownie.

- Nie mogę powiedzieć, żebym nigdy o tym nie myślał czy nie zastanawiał się nad tym. Dlaczego pytasz?

Jason podniósł w zdziwieniu brwi i uśmiechnął się.

- No, cóż...

- O to ci chodzi, tak? Czy to, co usłyszałem, jest propozycją?

- Sugestią. Złożoną z pełnym szacunkiem. Nie znienawidzisz mnie za te pytania, prawda?

Jack oparł się o poduszki fotela i na chwilę zamknął oczy.

- Nie, Jason. Nie przyjmę twojej sugestii i nie znienawidzę cię za te pytania.

- Robisz na mnie wrażenie człowieka, który chce doświadczyć wszystkiego, co świat ma do zaoferowania. Wyobrażam sobie, że niewiele jest takich rzeczy, jakie mogą się zdarzyć między kobietą a mężczyzną, których byś nie znał. Właśnie dlatego pomyślałem, że może chciałbyś uzupełnić swój katalog doświadczeń.

Jack sięgnął po butelkę i nalał sobie jeszcze trochę brandy.

- Nie zaprzeczam, że to intrygujący pomysł - rzekł. - Masz rację mówiąc, że niewiele jest doznań, których nie doświadczyłem.

Na ustach Jasona pojawił się lubieżny uśmiech.

- To odnosi się również do mnie - powiedział. - Mam przyjaciela... spotykam się z nim rzadko... zrozumiesz dlaczego... on mnie smaga pejczem... zostawia na mnie prawdziwe pręgi! I... możesz to sobie wyobrazić, Jack? ...to jest pyszne!

Jack przez chwilę wpatrywał się w swoją szklaneczkę.

- Moja pierwsza żona taka była. Była masochistką. Nie od razu. Dopiero później, gdy do osiągnięcia satysfakcji potrzeba jej było coraz więcej i więcej... Jason... to ją zabiło.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

1. - 1965

Doktor Harold Mannig usiadł na krześle obok szpitalnego łóżka, na którym leżała Anna. Był młodym internistą, z trzyletnią zaledwie praktyką, ale wiedziała, że już zdobył tutaj doskonałą opinię. Darzyła go sympatią i zaufaniem. Jediną wadą, jaką zdołała dostrzec w tym młodym lekarzu, była jego nadmierna skłonność do zbyt głośnego śmiechu.

- Jak się pani czuje tego ranka, pani Lear?
 - Chyba trochę lepiej - powiedziała. - Łóżko pozwala odpocząć... Pokiwał głową, a jego uśmiech zbladł.
 - Tak... Odpoczynek jest dobry. Obawiam się, że będziemy musieli poprosić, by odpoczęła pani nieco dłużej.
 - Och... Dlaczego?
 - Poprosiłem doktora Philipa DeCombe, by przyszedł tutaj na konsylium. Pracuje ze mną nad naszymi diagnozami. Będzie tu lada chwila.
 - To brzmi złowieszczo.
 - Cóż, obawiam się także, że nasze wnioski nie są najbardziej zachęcające - przyznał doktor Manning. - Doktor DeCombe jest specjalistą.
 - Specjalistą... w jakiej dziedzinie?
- Doktor Manning wziął głęboki oddech.
- W dziedzinie nowotworów.
 - Jakiego rodzaju nowotworów?
 - Pani Lear, zanim udzielię pani tej informacji, proszę pozwolić mi powiedzieć, że z tą szczególną chorobą ludzie żyją wiele lat. Co więcej; żyją z nią normalnym, aktywnym twórczym życiem. Jedyne w końcowych stadiach choroba znacznie osłabia...
 - W końcowych stadiach...
 - Tak. My... ach, pan doktor DeCombe - rzekł podnosząc wzrok ku starszemu mężczyźnie, który wszedł do pokoju.

Doktor DeCombe przyszedł prosto z sali operacyjnej i wciąż jeszcze miał na sobie zielony kombinezon. Był wysoki, chudy jak patyk i całkiem łysy. Powiedział „dzień dobry”, nawet nie siłąc się na uśmiech.

- Właśnie zacząłem pani mówić - rzekł doktor Manning.

Doktor DeCombe poważnie skinął głową.

- Ma pani białaczkę, pani Lear.

2.

Gdy Jack i Jason wylądowali na nowojorskim lotnisku im. Kennedy'ego, czekała tam na nich Anna. zaproponowała Jasonowi, że podwiezie go do miasta, ale uparł się, że weźmie taksówkę.

- Okazuje się, że jestem trochę anemiczna - powiedziała. - Zaaplikowano mi jakieś lekarstwa. Wyniki badania krwi już się poprawiły i czuję się lepiej.

- Jaka jest przyczyna tej anemii?

- Zdaje się, że spowodował ją jakiś wirus. To nic poważnego. Chyba będę musiała przez jakiś czas brać te pigułki i poddawać się okresowym badaniom krwi, ale nie zamierzam zostać inwalidką.

- Boże, Anno... nie wiem, co bym zrobił, gdybyś...

Roześmiała się.

- Nie myśl o tym. Nie martw się. Wcale nie zamierzam... Nie ma żadnego powodu, żebyś się martwił.

3.

Zasady dużych teleturniejów zawsze były takie same. Zawodnicy wchodzili do dźwiękoszczelnych kabin, w których oświetlano ich od dołu, by dzięki głębokim ceniom uzyskać silniejszy efekt. Następnie, marszcząc brwi, zastanawiali się nad pytaniami zadawanymi przez jakiegoś pozbawionego wyrazu gospodarza czyli mistrza ceremonii.

Teleturniej „Założ się!” prowadził Art Merriman, gospodarz przedpołudniowego programu, którego rutynowa sztuczka z przebieganiem w górę i w dół między kapeluszkami damskiej publiczności nie tylko zwietrzała, ale stała się niemożliwa, gdy kobiety przestały nosić kapelusze.

Glenda Bonham, nastoletnia entuzjastka baseballu, była sympatyczną uczestniczką. Ta pulchna blondyneczka w minispódniczce odpowiadając na pytania żuła gumę i chichotała. Swymi występami w „Założ się!”

zdobyła dla tego programu najwyższe oceny, jakie kiedykolwiek otrzymano widowisko sieci Leara.

Ostatniego wieczoru turniej z jej udziałem zdystansowałyby wszystkie inne widowiska telewizyjne, gdyby Lear miał szerszy odbiór na niektórych rynkach. Jednak wielu widzów wciąż nie odbierało programów nadawanych na częstotliwości UHF.

- A teraz, Glendo - Merriman intonował kolejną kwestię - mamy dla ciebie pytanie składające się z dwóch części. Oto część pierwsza: W roku 1931 Klub Sprawozdawców Rozgrywek Baseballowych zaczął przyznawać tytuł Zawodnika Roku. Od tamtej chwili wielu zawodników obdarzono tym mianem dwukrotnie, ale niewielu uhonorowano nim aż trzykrotnie. Którym graczom baseballu trzy razy przyznano tytuł Zawodnika Roku?

Światła na zewnątrz dźwiękoszczelnej kabiny przygasły. Studio wypełniło się muzyką. Glenda zmarszczyła brwi i napisała na swojej planszy jedno nazwisko, potem zadumała się ponownie i napisała drugie, a wreszcie napisała także i trzecie.

- Glendo, wymień nazwiska baseballistów, których trzykrotnie uhonorowano tytułem Zawodnika Roku.

- Jimmy Fox, Stan Musial i Joe DiMaggio - odparła z chichotem Glenda.

Merriman szalał z radości, w czym wtórowała mu zgromadzona w studio publiczność.

Następnie Merriman spoważniał.

- A teraz, Glendo, najtrudniejsze ze wszystkich pytań. Jesteś gotowa?

- Tak.

- Gracz, który zdobywa największą ilość punktów w Lidze Krajowej i w Lidze Amerykańskiej wygrywa mistrzostwo dla tej ligi. Tylko raz w historii współczesnego baseballu mistrzostwo zostało wygrane przez graczy, którzy zdobyli tę samą liczbę punktów zarówno w Lidze krajowej jak i Lidze Amerykańskiej. Proszę podać datę tego wydarzenia i podać nazwiska owych zawodników.

Glenda roześmiała się i szybko zapisała swoją planszę. Odprężona, pewna siebie i uśmiechnięta stała teraz czekając aż wybrzmi muzyka i zapalą się światła.

- Glendo, słuchamy.

Zachichotała.

- W roku 1923 zdobył czterdzieści jeden punktów dla Nowego Jorku w Lidze Amerykańskiej, a Cy Williams zdobył też czterdzieści jeden punktów dla Filadelfii w Lidze Krajowej.

- Ty zaś... właśnie... wygrałaś... wygrałaś... tysiąc dolarów!

4.

Dick Painter chwycił w objęcia Cathy McCormack.

- Mówiłem ci, że ta mała będzie dobra!
- Na które pytania umiałaby odpowiedzieć sama?
- Znała nazwiska trzykrotnych zdobywców tytułu Najlepszego Gra-cza. Wiedziała też o zwycięstwach Babe Rutha i Cy Williamsa, ale nie znała roku i nie była pewna dla kogo Williams zdobył te punkty. Miała porządne podstawy. My pomogliśmy jej tylko trochę.
- Ale ona wiedziała o co będzie pytana?
- Cathy, nie bądź naiwna. Oczywiście, że wiedziała o co będzie pytana. Jeśli wierzysz w „nieretuszowane” teleturnieje, to znaczy, że wierzysz w bajki!

5.

Po dwóch tygodniach, jakie minęły od powrotu Jacka z St.Croix, posłaniec dostarczył mu do biura jakąś paczkę. Otworzywszy ją, znalazł w środku niewielką, może trzycentymetrową japońską figurkę rzeźbioną w kości słoniowej. Była cennym, kolekcjonerskim okazem i jak wiele rzeźb z tego gatunku miała charakter erotyczny; przedstawiała bowiem dwóch wzajemnie onanizujących się mężczyzn. Był to podarunek od Jasona.

Nie znajdował żadnego sposobu, w jaki mógłby wyjaśnić komukol-wiek, dlaczego Jason Maxwell przysłał mu taki prezent. Umieścił go więc z powrotem najpierw w aksamitnym woreczku, a potem w drewnianym puzderku i schował do szuflady biurka, na którym niemal w tej samej chwili zadzwonił telefon.

- Panie Lear, pani Horan z Bostonu chce z panem rozmawiać.
- Odebrał telefon.
- Jack, muszę ci coś powiedzieć. Kathleen zniknęła. Uciekła z inter-natu i nie wiemy, gdzie jest. Nigdy ci o niej nie opowiadałam i nie oczekiwałam od ciebie żadnej pomocy, a ty zachowywałeś się nienagannie i zgodnie z obietnicą nie wtrącałeś się w jej wychowanie, ale... - Connie rozplakała się i nie mogła mówić dalej.
- Czy kiedykolwiek opowiadałaś jej o mnie?
- Nie. Przyprowadziłam ją na pogrzeb pani Wolcott, żebyś mógł ją zobaczyć, ale nie powiedzieliśmy jej, kim jesteś.
- Czy domyślasz się dokąd mogła uciec? Dziewiętnastoletnia dziewczyna nie może po prostu zniknąć. Czy Kathleen ma chłopaka?

- Nie! Była w internacie. Spotyka różnych chłopców, ale nie chodzi na randki.

- Zapewne ma jakichś przyjaciół, przyjaciółki?

- Telefonowaliśmy do wszystkich.

Przez chwilę nic nie mówił, a potem zapytał:

- Co mogę dla ciebie zrobić, Connie?

- Nie wiem. Prawdopodobnie nic. Pomyślałam jednak, że powinnaś wiedzieć. Może przyjechała do Nowego Jorku.

- Connie, czy masz cokolwiek, na czym byłyby komplet jej odcisków palców?

- Odcisków palców?!

- Tak. Jeśli stałoby się coś złego, zostaną zdjęte odciski palców. Czy masz...

- Oczywiście, że mam - odparła Connie przez łzy.

- W porządku. Przyjdzie do ciebie kobieta nazwiskiem Rebecca Murphy. Daj tej kobiecie wszystko, co nosi odciski palców Kathleen, oraz jej fotografie.

- Kim ona jest?

- Prywatnym detektywem. Kiedyś zrobiła dla mnie wiele dobrego. Biura poszukiwania osób zaginionych nie zrobią zbyt wiele, bo nie mają na to środków. Rebecca Murphy zaś zrobi wszystko, bo jej zapłacę. Zatelefonuję do niej zaraz po naszej rozmowie.

6.

- Gdybyś ty był naiwnym dziewiętnastolatkiem uciekającym z domu, to dokąd byś pojechał? - zapytała Anna.

- Nowy Jork? - zastanawiał się Jack.

- Może... Ja bym raczej myślała o Kalifornii. Los Angeles... Hollywood...

- Ta dziewczyna nie ma żadnego wykształcenia! - zawołał Jack.

- Przygotowywano ją do życia księżniczki w jakiejś Krainie Nigdy - Nigdy. Pierwszy mężczyzna, któremu wpadnie w oko, po prostu ją wykorzysta.

Godzinę później, gdy siedzieli przy stole, zadzwonił telefon. Ponieważ dzwoniła Rebecca Murphy, Jack przeszedł do gabinetu, by porozmawiać z nią stamtąd.

- Mam pewne wiadomości - powiedziała Rebecca. - Wsiadła w autobus w Concord.

- Dokąd jedzie?

- Trudno powiedzieć. Kupiła bilet do Hartford. Pojadę tam i zobaczę, czego zdołam się dowiedzieć.

Wróciwszy do stołu, Jack potrząsnął głową i wymruczał tylko jedno słowo.

- Hartford.

Mały Jack, który miał teraz siedemnaście lat i przestał być mały, zmarszczył brwi.

- Czy mogę wiedzieć, o co chodzi? - zapytał.

Jack spojrzał najpierw na Małego Jacka i Liz, potem na Lindę i Nelly, a wreszcie na Annę.

- Chyba możesz im powiedzieć - powiedziała Anna.

Jack ze smutkiem pokiwał głową.

- Pewna śliczna dziewczętnastolatka zniknęła z uczelni nieopodal Bostonu. Uciekła. Wszyscy są tym bardzo zmartwieni - wyjaśnił.

- Dlaczego my się tym martwimy? - spytała Liz.

Jack spojrzał na wszystkich zebranych przy stole.

- Ponieważ ta śliczna dziewczętnastolatka jest waszą przyrodną siostrą - odparł.

7.

Mały Jack kończył w czerwcu naukę w Brunswisku. W międzyczasie jednak odbywały się tam rozgrywki sezonu baseballowego. Początkowo kierownik drużyny powierzał mu funkcję miotacza, później trener przeniósł go na pierwszą bazę. Jack Lear straszył zawodników obrony. Rozciągając single w deble, prześlizgnął się w drugą bazę z kolcami w górze uderzając nimi zawodników na drugiej bazie z taką siłą, że wymagali opieki szpitalnej. Biegając do swojej bazy uderzył czekającego tam łapacza tak mocno, że wypuścił on piłkę. Jeden z jego kolegów na cały sezon został wyłączony z gry z powodu złamanych żeber po kolizji z Jackiem Learem na płycie boiska.

W kwietniu kierownicy szkół grających w lidze ze szkołą w Brunswieku zorganizowali spotkanie i po niespełna dziesięciominutowej dyskusji ogłosili rezolucję stanowiącą, że Brunswick straci każdy mecz, w którym jako członek jego drużyny będzie wystawiony Jack Lear.

Kariera Małego Jacka jako szkolnego sportowca była skończona.

Udawał, że wcale się tym nie przejmuje. Ojcu powiedział, że jego koledzy to mięczaki i maminsynki. Zapewniał, że odegra się na uniwersytecie. Uniwersytety Harvard i Yale odrzuciły jego zgłoszenie, ale został przyjęty na Uniwersytet Stanowy Ohio w mieście Columbus.

8.

Rebecca Murphy pokazała zdjęcia Kathleen Horan pracownikom dworca autobusowego w Hartford. Dowiedziawszy się, że dziewczyna kupiła bilet do Cleveland, wsiadła w najbliższy samolot, mając nadzieję, że sama dotrze tam przed Kathleen. Przybyła tam jednak godzinę później. Ślad się urwał i Rebecca nie miała do powiedzenia Jackowi nic prócz tego, że Kathleen najwyraźniej kieruje się na zachód. Wróciła do Bostonu i przekonała policję do rozesłania fotografii i odcisków palców Kathleen do wszystkich komisariatów.

Mijały dni i nic się nie wydarzyło. Connie i Dan odchodzili od zmysłów. Jack robił coś poprzez Rebeccę, ale sami niewiele mogli uczynić. Dan poleciał do San Francisco i wędrował ulicami dzielnicy Haight-Ashbury; miejsca, gdzie gromadzili się nastoletni uciekinierzy. Wszystkim pokazywał fotografię Kathleen: policjantom, narkomanom, kapłanom, włóczęgom. Jedni mu współczuli, inni pozostawali obojętni. Znękany odleciał z powrotem do Bostonu.

Dan nie powiedział tego Connie, ale sądził, że Lear miał coś wspólnego z ucieczką Kathleen.

Jack odczuwał dręczącą niepewność. Ze strachu, że mógłby okazać się nieosiągalny w chwili nadejścia jakiejś wiadomości, odwołał służbową podróż. Zbyt dużo pił i źle sypiał. Anna obserwowała go bacznie i nie podobał jej się sposób, w jaki jej mąż radził sobie z takim osobistym kryzysem.

Wreszcie, po kilku tygodniach od zniknięcia Kathleen, Jack poleciał do Houston na spotkanie z Dougiem Humpreym. Dłużej nie mógł tego odkładać. Sieć LC zamierzała zaoferować ewentualnym nabywcom poważny pakiet akcji preferencyjnych i dwaj bankierzy zasiadający w radzie nadzorczej - Douglas Humphrey i Joseph Freeman - chcieli się spotkać z dyrektorem wykonawczym. Billy Bob Cotton i Ray L'Enfant także mieli uczestniczyć w tym spotkaniu.

Jack przyjechał pod koniec dnia poprzedzającego to spotkanie i zjadł kolację z Dougiem, Billym Bobem i Rayem oraz z Mary Carson, która teraz często uczestniczyła w ich zebraniach. Rano zasiedli jak zwykle obok basenu, rozkładając niezbędne dokumenty na szklanym blacie stołu.

Spotkanie dopiero się zaczęło, gdy do Jacka zatelefonowała Rebecca Murphy. Jack przyjął tę rozmowę przy konferencyjnym stole.

- Bingo! - wołała. - Wiem, gdzie ona jest.
- Dobre wiadomości? - zapytał z nadzieją Jack.
- Nie bardzo. Ale mogłoby być gorzej. Jest w więzieniu w miasteczku o nazwie Grant, w stanie Nebraska.

- W więzieniu?! Chryste, dlaczego?
- Nic poważnego. Zdaje się, że wyszła z kawiarni, nie zapłaciwszy rachunku. Odsiaduje tam grzywnę, po trzy dolary dziennie. Rozmawiałam z szeryfem. Kathleen wciąż ma bilet autobusowy do Los Angeles i kilka dolarów w gotówce, których nie chciała przeznaczyć na grzywnę. Odmawia odpowiedzi na pytanie, kim jest, i nie pozwala, by skontaktowano się z jej rodziną.
- Za ile można ją stamtąd wyciągnąć?
- Za osiemdziesiąt dolarów. Mogę dokonać przelewu na konto...
- Nie, bo wtedy znowu ją zgubimy. Przylecę tam i zajmę się wszystkim. Zabiorę ją do domu. Nie dzwoń do państwa Horanów ani do kogokolwiek innego.

9.

Jack przyleciał do Houston na pokładzie samolotu Beechcraft Super HI8, który osiągał szybkość pięciuset kilometrów na godzinę. Przed wyjazdem od Humphreya zatelefonował do pilota, polecając mu zarówno tak zaplanować lot, by mogli wylądować na lotnisku znajdującym się najbliżej miasteczka Grant w Nebrasce, jak i załatwić na lotnisku wynajęcie samochodu.

Wystartowali o godzinie dziesiątej trzydzięci i w południe wylądowali w Ogallala. Stąd mieli już blisko do miasteczka Grant będącego głównym ośrodkiem sąsiedniego hrabstwa.

Elmer Hastings, szeryf, był wysokim, smagłym i kościstym mężczyzną. Odziany w mundur w kolorze khaki, siedział za biurkiem z jasnego dębu.

- Jak rozumiem, to właśnie pan rozmawiał z wynajętym przeze mnie prywatnym detektywem, panią Murphy? - rzekł, przedstawivszy się, Jack.

- Tak. Niezła robota! To trudna rzecz: znaleźć pannę Horan. Powiada pan, że jest pan ojcem tej dziewczyny, ale pani Murphy powiedziała, że ona nazywa się Horan. Pan zaś nosi nazwisko Lear.

- To długa historia - odparł Jack. - Mogę panu opowiedzieć wszystkie szczegóły, jeśli pan chce. Ja zaś chciałbym tylko zapłacić za nią grzywnę i zabrać ją stąd. Na lotnisku Ogalla mam służbowy samolot. Mam nadzieję, że jeszcze dziś będę mógł zabrać Kathleen do Nowego Jorku.

- No cóż, zobaczymy jak to wygląda. Grzywna wynosi sto dolarów, do tego dochodzą koszty sądowe w kwocie czternastu dolarów i siedemdziesięciu pięciu centów. Panna Horan przebywa tu jedenaście dni... - szeryf liczył szybko na kartce. - Sto czternaście dolarów i siedemdziesiąt

pięć centów minus trzydzieści trzy dolary... Pozostało osiemdziesiąt jeden dolarów i siedemdziesiąt pięć centów. Jak chce pan to zapłacić? Mam nadzieję, że gotówką.

- Gotówką - zgodził się Jack.

- Jerry - rzekł szeryf do swego zastępcy, który zdawał się przysłuchiwać tej rozmowie z wyraźnym zainteresowaniem - powiedz pannie Horan, żeby zabrała swoje rzeczy. Jej tata jest tutaj i zabiera ją z powrotem.

Jack odliczył pieniądze i położył je na biurku.

- Być może pojawi się tu mały problem - powiedział szeryf.

- Jaki? - sceptycznie zapytał Jack.

- Może nie chcesz z panemjechać. To uparta dziewczyna. Zanim więc wypiszę pokwitowanie, niech pan lepiej z nią porozmawia i upewni się, że z panem pojedzie. Powiedziała, że nie pojedzie do Kalifornii i nie wróci do domu, żeby nie wiem co. Przez jedenaście dni nie zmieniła decyzji, a przecież wie, że ma ich tu jeszcze przed sobą aż dwadzieścia siedem. Może...

- Chętnie z nią porozmawiam.

Więzienie kobiece nie było szeregiem cel lecz kwadratową klatką. Trzy z jej ścian wykonano ze stalowych krat. W środku mieściły się dwie prycze, toaleta i miednica. Kathleen była jedyną więźniarką. Siedziała zgarbiona na pryczy i lekko spoglądała przez kraty. Miała na sobie spódnice w szkocką kratę, białą bluzkę i granatowy sweter. Była tą samą dojrzałą, pełną wdzięku blondynką, którą widział na scenie szkolnego teatru. Teraz jednak miała zapadnięte, pozbawione kolorów policzki. Przyglądał jej się przez chwilę, zanim sam złożył sobie pewne przyrzeczenie, a potem ukłonił się i uśmiechnął.

Wstała i podeszła do krat.

- Kim pan... Pan Lear?! A powiedziano mi, że jest tutaj mój ojciec.

- Powiedziano ci prawdę, Kathleen. To ja jestem twoim ojcem.

Spoglądała na niego z otwartymi ustami. Obydwoma rękami chwyciła kraty, jakby chciała utrzymać równowagę. Potem pochyliła głowę i zaczęła płakać.

- Wiedziałam, że coś jest nie w porządku - mówiła. - Zawsze wiedziałam, że mnie okłamują. Zawsze wiedziałam, że to chodzi o mnie, że jestem jakaś inna. - Wzięła głęboki oddech. - Ty! Dlaczego nie przyjechałeś do mnie wiele lat temu?

- Nie mogłem. Mamy sobie dużo do powiedzenia. Niedaleko czeka na mnie prywatny samolot. Spędzimy w powietrzu kilka godzin i będziemy mogli porozmawiać.

- Nie wrócę do Bostonu! Nie wrócę do tamtej szkoły!

- Słusznie. Nie wracasz do Bostonu i nie wracasz do tamtej szkoły.

Kathleen skrzyżowała ręce na stalowej kracie.

- Ty i moja matka...?
- To prawda, ona jest twoją matką.
- Oni mówią, że jesteś Żydem. To znaczy... Connie i Dan mówią...
- Tak mówią, naprawdę? To ma dla nich znaczenie.

Kathleen się roześmiała.

- Jeśli ty jesteś Żydem, to ja jestem Żydówką! A więc dlatego, tak mi narzucali swoją religię... Mam dla nich niespodziankę!

- Nie podejmuj natychmiast żadnych poważnych decyzji, Kathleen. Masz dużo czasu, żeby wszystko przemyśleć. Kocham cię i zamierzam zabrać cię do domu. Tam z pewnością znajdziemy dla ciebie jakieś dobre rozwiązanie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

1. - 1965

Boże Narodzenie było dziwnym, ale radosnym świętem w domu państwa Learów w Greenwich. Priscilla, która wciąż jeszcze tu była, stwierdziła, że nigdy nie widziała czegoś tak wspaniałego.

Jack i Anna przyjmowali u siebie trzy różniące się od siebie grona towarzyskie i znacznie poszerzony krąg domowników.

Wiosną Linda obroniła doktorat z mikrobiologii na uniwersytecie Columbia. Ubiegała się o posadę na kilku uniwersytetach. Spotykała się z kimś i po zakończeniu roku akademickiego przestała mieszkać z Jackiem i Anną. Nelly miała osiem lat i obwieściła już cel swojego życia: chciała grać na skrzypcach.

Z Los Angeles przyjechała Joni z Davidem Breckiem. Joni znowu uzyskała nominację do Oscara; tym razem za rolę w *Dzikim mleczu*. Była w czwartym miesiącu ciąży, choć jeszcze nie było tego widać. Oboje z Davidem powiedzieli, że się pobiorą przed narodzinami dziecka, ale nie byli pewni, kiedy to zrobią. Henry Klein dał Davidowi w tym samym filmie dobrą rolę drugoplanową i teraz David także cieszył się nominacją do Oscara właśnie w tej kategorii. Wiadomość o mającym się urodzić nieślubnym dziecku odebrałaby im szansę na Oscara, więc rozgrywali tę sytuację bardzo ostrożnie.

Najbardziej interesującym dopełnieniem grona domowników była Kathleen. Do Greenwich przyjechali też państwo Horanowie, a konfrontacja była gniewna, niemal dramatycznie gwałtowna.

- Co ty w ogóle możesz o tym wiedzieć? - krzyczała Connie. - Jesteś chrześcijanką i Dziecięciem Chrystusa! Niektóre siostry wciąż są przekonane, że masz prawdziwe powołanie.

- Głupie, zasuszone stare suki - mruknęła Kathleen.

- Dłużej nie będziemy w ten sposób rozmawiać - powiedział ponuro Dan.

- Przejdę na judaizm i odbędę *bat mitzvah* - oświadczyła Kathleen. Dan i Connie spojrzeli na Jacka, który wzruszył ramionami.
- Mówiłem jej, że nigdy nie miałem *bat mitzvah* - rzekł.
- Tym co z pewnością zrobisz, młoda damo, będzie wyjazd do domu i powrót do szkoły - powiedział Dan, nadając głosowi ton nieodwołalności, a gdy Kathleen z równym zdecydowaniem przecząco potrząsnęła głową, dodał: - Zmuszę cię do tego!

Jack zdecydowanym gestem wymierzył w Dana palec.

- Nie. Tego nie zrobicie. Przekonajcie ją, jeśli potraficie.

Nie potrafili.

Później, gdy Kathleen poszła do synagogi Tempie Shalom, rabin delikatnie powiedział jej, że decyzja, jaką zamierzała podjąć, jest krokiem, który nie może być dokonany w gniewie i urazie. Mimo to zgodził się, by zaczęła pobierać lekcje hebrajskiego i religii żydowskiej. Kathleen spotkała się także z adwokatem. Chciała bowiem dokonać prawnej zmiany swego nazwiska, by odtąd nazywać się Sara Lehrer. Prawnik odparł, że przedyskutują to ponownie, gdy jego młoda klientka głębiej rozważy tę sprawę.

Kathleen, która prosiła, by teraz nazywano ją Sarą, była serdeczną i miłą młodą dziewczyną, która okazała się pomocna w domu państwa Learów. Mimo uporczywości, z jaką twierdziła, że klasztorne szkoły dały jej marne wykształcenie, potrafiła pomóc Lizie w rozwiązywaniu problemów z algebrą i pokazać Nelly, jak bliskie są związki muzyki z matematyką.

2. - 1966

W marcu wezwano Jacka przed senacką komisję badającą niewłaściwość wykorzystywania koncesji na nadawanie programów radiowych i telewizyjnych. Siedząc przy stole, na którym ustawiono szereg mikrofonów, w blasku telewizyjnych reflektorów, stawiał czoło dziesięciu senatorom i ich doradcy.

Doradcą komisji senackiej był młody człowiek z czupryną niesfornych włosów i wiewiórczymi zębami. Nazywał się Roger Simmons i to on zadawał większość pytań.

- Panie Lear, czy pańskim zdaniem wykorzystuje pan koncesję telewizyjną przyznaną pańskiej spółce zgodnie z interesem publicznym?

Jack był starannie przygotowany do tego występu. Miał na sobie elegancki granatowy garnitur i siedział przed komisją senacką z wyrazem

szacunku, ale i pewności siebie. Jego adwokat siedział po lewej stronie, zaś Anna i Joni za nim.

- Oczywiście, panie Simmons, każdy nadawca najlepiej służyłby dobru publicznemu przez nadawanie jedynie takich programów edukacyjnych, jakie realizują stacje telewizji publicznej. Niestety, my w ten sposób nie zarobilibyśmy pieniędzy, a musimy je zarabiać, jeśli mamy pozostać w branży. Jestem jednym z tych, którzy ubolewają nad banalnością wielu programów nadawanych przez prywatne sieci telewizyjne, łącznie z siecią Leara. Zależy nam na jakości programów i sądzę, że robimy je przynajmniej równie dobrze jak nasi konkurenci.

- Panie Lear, obecnie tylko pańska sieć kontynuuje nadawanie programów quizowych z cennymi nagrodami. Skandaliczne oszustwa ujawnione w przypadku innych tego typu programów zmiotły je z ekranów. Jak pan wyjaśni ożywienie ich w pańskiej sieci?

Jack wypił łyk wody i zaczął udzielać odpowiedzi.

- Nie zamierzam tego wyjaśniać. Mówiąc ogólnie, nie ja dokonuję wyboru programów, które nadawane są w Lear Network. Robią to inni, którzy znacznie lepiej wyczuwają upodobania publiczności niż ja. Ja zaś odnoszę wrażenie, że publiczność lubi teleturnieje i chce je oglądać.

- Pańska sieć nadaje program zatytułowany „Założ się!”. Czy ten quiz jest uczciwy?

- Nie mam powodu sądzić, że jest inaczej.

- A zatem nie jest pan gotów zeznać tu z całą pewnością, że jest uczciwy?

- Prawdę mówiąc, panie Simmons - odpowiedział Jack z uśmiechem - Nigdy go nie oglądam. Zgodziłem się na jego realizację, to znaczy zostawiłem ją moim ludziom. Chcieli go robić, więc się zgodziłem. To jedyny kontakt, jaki miałem z tym programem.

- Panie Lear, jeśli przedstawimy dowód, że program „Założ się!” jest „ustawiony”, czy zaprzeczy pan, że tak jest?

- Ani nie potwierdzę, ani nie zaprzeczę - odparł spokojnie Jack. - Ja sam nie mam nic wspólnego z quizem „Założ się!”. On zarabia pieniądze. Dlatego go nadajemy. W przeciwnym razie nie znalazłby się na antenie.

- Uważa pan, że ten program jest banalny?

Jack skinął głową.

- To jeden z wielu programów telewizyjnych, nadawanych we wszystkich sieciach telewizyjnych, które są banalne.

3.

Jack i Anna nie od razu wrócili do Nowego Jorku. Po południu, siedząc w hotelowym apartamencie, oglądali popołudniową sesję komisji senackiej.

Wyjaśnienia składał Dick Painter.

- Czy „Założ się!” jest programem „ustawianym”, panie Painter? - pytał Simmons.

- Absolutnie nie! - odparł Painter, przybierając obrażoną minę. - Wszyscy przeszliśmy przez to kilka lat temu. My, w sieci Leara nie jesteśmy tak głupi, żeby dopuścić, by się to powtórzyło.

Simmons otworzył jakąś grubą teczkę.

- Kilka dni temu na roboczej sesji tej komisji zeznawał przed nią jeden z uczestników quizu „Założ się!”, który wygrał w nim dużo pieniędzy. Wysłuchaliśmy tych zeznań na sesji roboczej, by chronić tożsamość świadka. Świadek ów zeznał, że pytania ujawniono mu wcześniej, by mógł nauczyć się odpowiedzi przed występem na ekranie. Osoba ta powiedziała również, że przed każdym półgodzinnym programem pan, panie Painter, osobiście zadawał pytania i wysłuchiwał odpowiedzi, co później powtarzane było na antenie. Czy to prawda? Robił pan to?

Adwokat Paintera chwycił go za ramię i odciągnął od mikrofonów. Naradzali się przez chwilę, a potem Painter znów stawił czoło mikrofonom i senackiej komisji.

- Ponieważ nie wiem, kim był ów świadek, chyba nie mogę odpowiedzieć na to pytanie - powiedział.

- Och, jestem przekonany, że pan może, panie Painter - rzekł przewodniczący komisji, senator Donald Hooper, demokrat z Kentucky. - Pozwoli pan, że powtórzę pytanie. Czy pan lub ktokolwiek inny kiedykolwiek z góry ujawnił pytania któremuś z uczestników „Założ się!”?

Painter znów pochylił się ku swemu adwokatowi i naradzał się z nim.

- Z całym szacunkiem odmawiam odpowiedzi na to pytanie, ponieważ mogłaby spowodować oskarżenie mnie.

Jack zerwał się z fotela stojącego przed telewizorem, chwycił za telefon i połączył się z „Kapem” Durenbergerem w Nowym Jorku.

- Widziałeś? Słyszałeś, co powiedział Painter? On mówi dalej, powołując się na prawo odmowy zeznań we własnej sprawie! Piąta Poprawka do Konstytucji! „Kap”, przekaż ochronie polecenie, że Painter nie ma wstępu do biur. Zapieczętuuj jego gabinet i wszystkie dokumenty. Ja wydaję stąd oświadczenie, że pieczętujemy jego biuro oraz dokumentację

i tylko upoważnione do tego władze federalne będą miały do nich dostęp. Koniec z quizem „Założ się!”. Jutro wieczorem wstawia na jego miejsce cokolwiek innego. I... jeszcze jedno. Niech ochrona nie wpuszcza do gmachu Cathy McCormack. Od zaraz! Zawiadam ją, że jest zwolniona.

6.

Joni znów nie udało się zdobyć Oscara dla Najlepszej aktorki. David Breck otrzymał go za najlepszą rolę drugoplanową w jej *Dzikim mleczu*.

Joni było przykro i postanowiła machnąć ręką na Hollywood. Ogłosiła wiadomość, że jest w ciąży, informując jednocześnie, że nie zamierza poślubić ojca swego dziecka.

David ją kochał, ale żadne z nich nie było entuzjastą małżeństwa. Oboje lubili swobodę i byli zwolennikami elastycznego podejścia do rzeczy. Nadal mieszkali razem, a David powiedział, że będzie pomagał w wychowywaniu dziecka tak, jak prawnie uznany ojciec.

W czerwcu przyszła na świat dziewczynka, której nadali imiona Jacqueline Michelle. Jack i Anna przylecieli do Kalifornii. Joni zapewniła ich, że jest bardzo szczęśliwa.

5.

Anna wydała dwa przyjęcia z okazji sześćdziesiątych urodzin Jacka; jedno w domu dla rodziny, drugie w nowojorskiej restauracji „Four Seasons” dla licznej grupy przyjaciół.

Nikt nie przypuszczał, że rozmyślnie wykorzystywała każdą sposobność, by łączyć rodzinę. Wyniki badań, jakim się poddawała, były niedobre i lekarze zastosowali inną, silniejszą terapię. Anna czuła, że jej energia słabnie, ale zmuszała się do aktywności.

Mimo pogłębiającego się osłabienia osobiście odbyła wszystkie rozmowy telefoniczne, wystosowała wszystkie zaproszenia i załatwiła wszystkie sprawy związane z tymi dwoma przyjęciami.

Spośród wszystkich, do których telefonowała z zaproszeniem na przyjęcie rodzinne, tylko Joni wyczuła w głosie macochy jakąś obawę. Oboje, ona i David zawiesili więc rozmowy z Harrym Kleinem o nowym filmie i polecieli do domu.

Joni starała się znaleźć czas, by odciągnąć Annę na bok i porozmawiać z nią sam na sam. Gdy pewnego wieczoru siedząc obok basenu zobaczyła, że Anna wychodzi z domu, poprosiła Davida, by wszedł do środka

i zostawił je same. Anna usiadła przy niej, ale po chwili zjawiły się tam Nelly i Liz, żeby popływać, więc Joni zaproponowała Annie spacer nad jezioro.

Anna lubiła w nim pływać i chętnie zanurzyła się w ciepłej, zielonkawej wodzie. Joni zrobiła to samo i przez kilka minut pływały razem, a potem wyszły z wody i w mokrych kostiumach usiadły na porośniętym trawą brzegu.

Anna milczała, wpatrywała się w wodę i zachodzące słońce. Joni już wcześniej zauważyła jej skłonność do zapadania w taką wewnętrzną ciszę.

- Czy mi wybaczysz, jeśli wtargnę w coś, co nie jest moją sprawą? - zapytała Joni.

Anna zmarszczyła brwi.

- Ja ci wybaczę, ale ty nie wybaczysz sobie. Jeśli obdarzę cię zaufaniem, na twoje ramiona spadnie potężny ciężar, więc może lepiej...

- Anno, dzieje się coś złego, prawda? Coś bardzo złego.

Anna skinęła głową.

- Muszę z kimś porozmawiać. Ile ty masz lat, Joni? Trzydzieści jeden? Jeśli porozmawiam z tobą, będę musiała otrzymać twoją bezwarunkową obietnicę, że nie powiesz o tym swojemu ojcu. Ani nikomu innemu.

- Chodzi o jakiegoś mężczyznę? - zapytała Joni nagle zatrwożona i pełna nadziei, że uzyska odpowiedź twierdzącą.

- Nie, nie chodzi o mężczyznę. Obiecujesz?

- Obiecuję - odparła zdecydowanie Joni. - Co się dzieje, Anno?

- Ja umieram, Joni.

Jack, stojąc obok basenu i przyglądając się pływającym Nelly i Liz, zobaczył jak Anna i Joni obejmują się w serdecznym uścisku. Uśmiechnął się. Jego dorosła córka została przyjaciółką jego żony.

6.

Joni dochowała tajemnicy. Rodzinny weekend toczył się dalej.

Mały Jack, który przyjechał z Uniwersytetu Stanowego w Ohio, obwieścił dumnie, że przyjęto go do drużyny futbolowej. Przechwalał się, a jego siostra Liz nim gardziła.

Linda, która przyjęła posadę mikrobiologa w zespole uniwersyteckiego szpitala Yale-New Haven, była zaręczona z młodym mężczyzną nazwiskiem Guy Webster, współwłaścicielem nowojorskiej kancelarii adwokackiej. Gdy tylko został przedstawiony uczestnikom urodzinowego przyjęcia Jacka, donośnie poinformował wszystkich, że jest członkiem

prestżowego adwokackiego stowarzyszenia im. Johna Bircha. Na Jacku zrobił wrażenie dość sztywnego, zadufanego młodzieńca, a w istocie nudnego głupca, i Jack zastanawiał się co właściwie Linda w nim widziała.

Joni także stwierdziła, że Guy Webster był skończonym osłem. Siedemnastoletnia Liz doszła do takiego samego wniosku i podzieliła się nim z Joni.

Jack rozmawiał właśnie z Joni, gdy Liz podbiegła do nich ze śmiechem.

- Właśnie usłyszałam jak Linda mówi coś do niego. Nigdy nie zgadniecie. Powiedziała: „Jeśli jeszcze raz powiesz komuś, że jesteś członkiem Stowarzyszenia im. Johna Bircha, kopnę cię w jaja. Wystarczająco okropne jest to, że tu przyjechałeś, żebym jeszcze musiała słuchać, jak się przechwalasz.”

Jack się roześmiał i wzruszył ramionami.

- Może jednak Linda wie, co robi.

- Szkoda, że nie mamy odwagi, by w to wkroczyć - powiedziała ze smutkiem Joni.

7.

W sierpniu na łamach magazynu *The New Yorker* ukazało się kolejne opowiadanie Jasona Maxwella.

Podstuchane w restauracji „Lutece”:

- *Patrząc na niego nigdy nie pomyślałabyś, że właśnie skończył sześćdziesiątkę.*

- *Kochana! Robiłam to z Johnem Kennedym!*

- *John Kennedy! Też coś! Nie to mam na myśli. Doprawdy, nic nie wiesz, dopóki nie spędzisz nocy z mistrzem.*

Jefferson Le Maitre był mężczyzną o katolickich upodobaniach, jeśli chodziło o życie erotyczne. Jego pierwsza żona była kobietą powszechnie znaną z elegancji i to właśnie ona wygładziła jego „ostre kany” i uczyniła z niego owego kulturalnego, kosmopolitycznego dżentelmena, jakim był. Ta pierwsza żona pokazała mu jednak także świat innych upodobań. Ich najbliżsi przyjaciele i tylko najbliżsi przyjaciele wiedzieli, że ta Madame Premiere była obsesyjną masochistką, która uwielbiała być wiązana i bita. Le Maitre początkowo nie chciał się do niej dostosować, ale w końcu - by ją zadowolić i utrzymać małżeństwo - uległ i nauczył się smagać ją niepohamowanie, aż błagała o litość.

Był jednak również mężczyzną o katolickich upodobaniach i flirt z pewną wspaniałą katolicką panią, którą zaowocował kresem jego pierwszego małżeństwa.

Żona Numer Jeden znalazła sobie innego partnera do odgrywania roli sadysty wobec niej, masochistki. Oddawali się brutalnym grom erotycznym. Niekiedy zwisała ze stropowej belki powieszona na kajdankach, podczas gdy on smagał ją szpicrutą. Pewnej nocy, kiedy ona wisiała z ramionami rozpiętymi dwiema parami kajdanek, on dostał ataku serca i zmarł na jej przerażonych oczach. Nie mogła uciec. Wisiała tak przez kilka dręczących godzin, aż w końcu także umarła.

Jefferson Le Maitre głęboko ubolewa nad tragicznym sposobem w jaki umarła jego pierwsza żona. Mimo to nie może oprzeć się opowiadaniu, że w medycznym sensie, zmarła niemal dokładnie tak samo jak umarł Chrystus - na niewydolność krążenia spowodowaną powieszeniem z rozpostartymi ramionami.

Le Maitre. Mistrz. Nauczyciel. Der Lehrer. Nauczyciel. Johann Lehrer był nauczycielem w Niemczech. Erich zmienił rodowe nazwisko na Lear. Ten związek był niejasny i trudno uchwytny, ale nie dla kogoś, kto znał historię rodziny Jacka. Masochistyczna pierwsza żona... Kilka osób o tym wiedziało. Bardzo niewiele wiedziało kim był Jefferson Le Maitre.

8.

- Nie wolno nam z nim zerwać - powiedziała Anna.

Odpooczywała na sofie w salonie nowojorskiego mieszkania, obok na niewielkim stoliku leżał *The New Yorker*. Opowiadanie Jasona Maxwella przeczytała rano, teraz czytał je Jack.

- Chętnie bym go zabił - powiedział.

- Nie. Zaprośmy go na lunch w „Lutece”. Musimy być widziani w jego towarzystwie, jak wspaniali serdeczni przyjaciele, którzy nie mają się o co kłócić. To powie światu, że w ogóle nie przychodzi nam do głowy, iż mógłby napisać o nas, o tobie. Jeśli z nim zerwiemy, będzie oczywiste, że istotnie pisał o nas i że my o tym wiemy.

- Mamy udawać, że to opowiadanie jest zabawne?

- Moglibyśmy. Myślę, że niespełna pięćdziesiąt osób wie, iż Maxwell napisał o tobie. Jeśli zrobimy coś negatywnego; coś co by temu zaprzeczało, domyślnych będą setki.

Jack westchnął głośno.

- W porządku. Chciałbym tylko znaleźć jakiś sposób, by wbić nóż w jego plecy.

9.

Joni zadzwoniła do ojca z Kalifornii. Jej głos tchnął chłodem.

- Nie mogłeś mi powiedzieć, jak umarła?

- Musiałbym to powiedzieć również Johnowi. Nie wydawało mi się, by którekolwiek z was musiało o tym wiedzieć. Miałaś wtedy dopiero dwadzieścia dwa lata, Joni.

- Teraz mam trzydzieści dwa. Mogłeś mi powiedzieć. Zresztą ostrzegałam cię przed Jasonem Maxwellem. Ile osób zrozumie ten związek?

- Anna i ja zabieramy tego małego drania na lunch. Chcemy sprawić, by wyglądało to tak, jak byśmy byli dobrymi kumplami, jakby to, co napisał, nie mogło odnosić się do mnie.

- Powodzenia. I wiesz co, tatusiu, zawsze wiedziałam, że jesteś najseksowniejszym mężczyzną na świecie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

1. - 1967

Nikt nic nie mówił. Było oczywiste, że więcej niż kilka osób rozumiało związek między maxwellowskim fikcyjnym Jeffersonem Le Maitre'em a rzeczywistym Jackiem Learem.

Mężczyźni, którzy wcześniej kłaniali mu się przy barze w Klubie Harvardzkim, teraz robiąc to samo, uśmiechali się do niego, a na jesiennym balu Klubu Towarzyskiego w Greenwich kobiety prosiły go do tańca, a potem wirowały na parkiecie, promieniejąc ku przyjaciółkom w objęciach „najseksowniejszego mężczyzny na świecie”.

Jakaś dziennikarka z *Esquire* zatelefonowała, mówiąc że chce napisać o nim reportaż dla tego miesięcznika. Podczas rozmów z Jackiem i Anną nie padło ani jedno słowo o opowiadaniu Maxwella i żadna wzmianka na ten temat nie znalazła się w owym reportażu, ale z tonu wywiadu wynikało jasno, że czytelnicy chcieli dowiedzieć się czegoś więcej o pierwowzorze Le Maitre'a i że większość z nich wie, iż jest nim Jack Lear.

Najgorsze ze wszystkiego było to, że Jack i Anna musieli pokazać się publicznie z Jasonem Maxwellem i udawać, że wciąż jest ich przyjacielem. Gdy we troje jedli lunch w „Lutece”, to spotkanie przyciągnęło uwagę trzech plotkarskich rubryk towarzyskich, z których jedna szczególnie wyraźnie identyfikowała Jacka jako pierwowzór Le Maitre'a. Fotorreporterów nie wpuszczano do wnętrza „Lutece” ale *Post* opublikował zdjęcie całej trójki wychodzącej z restauracji i radośnie spacerującej ulicą.

Podczas owego lunchu Jason nie powiedział ani słowa o swoim opowiadaniu. Jack i Anna również o nim nie wspomnieli. Jason próbował zabawiać ich opowieścią o tym, jak przed miesiącem jakiś portier sprząający Gabinet Owalny znalazł pod kanapą parę majtek Jacqueline Kennedy.

- Skąd wiedział, że to były majtki Jackie? - zapytała Anna.
- Miała monogramy wyhaftowane na bieliźnie - odpowiedział Jason.

Anna zmieniła temat rozmowy. Pogratulowała Jasonowi wydania nowej powieści zatytułowanej *Norma*, która wszędzie zdobyła wspaniałe recenzje i była już na szczycie listy bestsellerów.

- To drobiazg - powiedział Jason.

Jack nie mógł zrobić nic innego, jak tylko żyć z nowym rozgłosem przydanym mu przez Jasona. Był wściekły, lecz nie zdruzgotany.

2.

Harry Klein był teraz potężniejszym producentem niż przedtem. Joni rozglądała się po jego gabinecie, który po raz pierwszy odwiedziła siedem lat temu. Obecnie, gdy Harry prezentował w nim dwa Oscary zdobyte w kategorii Najlepszych Filmów, gabinet robił znacznie większe wrażenie. Harry zawsze umieszczał na jego ścianach zdjęcia z autografami aktorów, ale teraz miał na nich fotografie kilku największych gwiazd ostatnich siedmiu lat. Joni z przyjemnością zobaczyła wśród nich także swoje zdjęcie. Oprawiona i dobrze wyeksponowana wisiała tu również fotografia Harry'ego wymieniającego uścisk dłoni z uśmiechniętym prezydentem Kennedym.

Sam Harry, teraz już blisko pięćdziesięcioletni, niewiele się zmienił. Nawet jeśli włosy mu posiwiały, to dobrze je farbował. Wciąż lubił granatowe krawaty w kropki. Tylko jedna zmiana dokonała się w jego stylu: zniknęły okulary w rogowych oprawkach, które wcześniej uczynił niemal znakiem firmowym. Teraz używał soczewek kontaktowych.

- Słyszałem, że znajdziesz się na łamach *Esquire* - powiedział.

- Tak. Niczym etatowa drużyna nigdy nie będąca narzeczoną - odparła cierpko Joni. - Dwukrotnie nominowana.

- A czego się spodziewasz? Cary Grant nigdy nie zdobył Oscara. Nie dostał go także ani Tyrone Power ani Bob Hope. Cieszysz się znacznym szacunkiem w tym przemyśle.

- Nakręciłam trzy filmy w ciągu siedmiu lat.

- Mogłaś nakręcić pięć albo sześć. Nie zapominaj o scenariuszach, które odesłałaś.

- Harry, chcę zagrać Normę w ekranizacji powieści Jasona Maxwella.

- Wielki Boże, Joni! To rola dla Ingrid Bergman!

- Ona jest za stara.

- Interesuje się nią Audrey Hepburn.

- Audrey Hepburn jest za mało przyziemna. Żaden widz nie uwierzy, że Eliza Dolittle jest Normą.

- Joni, naprawdę nie wiem, jak moglibyśmy dać ci Normę.

- Potrzebuję jej, Harry. To zmieni wszystko.
- Stawiasz mnie w cholernym położeniu.

Joni uśmiechnęła się leniwie.

- Przyjmijmy, że to ja stawiam się w cholernym położeniu. Pomówmy otwarcie, Harry. Proszę, byś coś dla mnie zrobił, tak samo jak prosiłam cię siedem lat temu, i aby cię przekonać jestem gotowa zrobić to, co zrobiłam wtedy.

- Jak więc mógłbym ci odmówić?

- Pamiętaj, że jestem stworzona do roli Normy. I wcale nie robisz żadnej wielkiej ofiary. Po prostu wyświadczasz mi przysługę. Ja zaś wyświadczę pewną uprzejmość tobie.

- Tylko raz?

- Od czasu do czasu. Kiedy zechcesz. Załatwione?

Sięgnął po rękę Joni, jakby chciał ją uścisnąć, ale gdy ją ujął, chwycił Joni w ramiona i pocałował namiętnie. Żadne z nich się nie rozebrało. Klęcząc, wyciągnęła jego genitalia. Lizała jego penis sięgając do jąder tak daleko, jak mogła dotrzeć poprzez bieliznę. Tym razem nie odbyło się to tak jak poprzednio. Do szczytu wystarczyła mu minuta.

3.

Jack i Anna polecili do Columbus w stanie Ohio, by zobaczyć Małego Jacka w meczu futbolowym. Liz odmówiła wyjazdu.

Straciła widowisko wielkiego wymiaru. Ich gospodarz, dyrektor miejscowej stacji telewizyjnej Leara, zawiózł Jacka i Annę z lotniska na stadion przejeżdżając przez kilka dzielnic mieszkalnych, by pokazać im wspaniałe złoto-czerwone klony i dęby. Stadion w kształcie ogromnej podkowy wypełniało osiemdziesiąt tysięcy rozszalałych kibiców, którzy tworzyli prawdziwe pandemonium. Uniwersytecka orkiestra - wyłącznie męska - maszerowała z wojskową precyzją i grała w taki sam sposób. Jej reprezentacyjny układ miał stworzyć napis „Ohio”. Orkiestra maszerowała poprzez litery aż wypełniła słowo, a potem jeden z muzyków wykonał dramatyczny skok i wielkim białym helikonem postawił kropkę nad „i”.

Trener Woody Hayes stwierdził, że Mały Jack wcale nie był tym potężnym, mocnym chłopcem, za jakiego go uważał, a w każdym razie nie dość potężnym i mocnym, by grać w obronie, jak wcześniej sądził. Jack grał więc na linii bocznej. Na tę pozycję był wystarczająco mocny, ponadto zaś był szybki. Za dobrą pracę trener Hayes nagradzał zawodników kasztanami, malując na ich kaskach kontury kasztanowych liści.

W obecnym, już drugim sezonie, Mały Jack miał ich na swoim kasku sześć. Tego popołudnia zyskał siódmy.

Ten styl gry, który potępiała szkoła średnia, tutaj, na Uniwersytecie Stanowym Ohio w Columbus, był wychwalany. Mały Jack uwielbiał atakować i uderzać. Nie było w tym nic osobistego; po prostu lubił atak. Gracze uniwersyteckiej drużyny futbolowej byli w tak doskonałej kondycji fizycznej, że jego uderzenia nie robiły im krzywdy. Jack zaś szczylił się tak wyborną formą, że i on mógł odbierać rewanżowe uderzenia kolegów.

Jego przydomek - Mały Jack - aczkolwiek znany na uniwersytecie, nie wydawał się całkiem właściwy, więc studenci nadali mu nowy: MJ. Dwukrotnie podczas tego meczu, gdy wykonał wyjątkowo efektowne uderzenie, tłum skandował: „MJ, MJ, MJ!”.

Ponieważ trener Hayes realizował w tutejszej stacji telewizyjnej sieci Leara program sportowy, Jack i Anna mogli odbyć z nim krótką prywatną rozmowę. Spotkali się w hiszpańskiej restauracji nieopodal stadionu. Nieco później przyłączyli się do tłumu kibiców i rodziców w głównej sali, ale trener pierwszego drinka wypił z Jackiem, Anną i Małym Jackiem.

- Podoba mi się bojowość waszego chłopca - powiedział trener Hayes, potężny, barczysty, wylewny mężczyzna skory do szerokiego uśmiechu. - Ma wszystko co trzeba, by odnosić sukcesy na boisku futbolowym lub gdziekolwiek indziej, dokąd postanowi pójść.

- No cóż, dziękuję - odparł Jack. - Nie wiem, czy powiedział panu o tym, że miał przyrodniego brata o takim samym charakterze. Zginął podczas nocnego lądowania na lotniskowcu pływającym na Pacyfiku.

- MJ, nigdy mi o tym nie wspomniałeś.

Mały Jack uśmiechnął się szeroko.

- Nie wiedziałem, że powinienem.

- Powinieneś. A teraz powiedz nam, MJ - rzekł trener ze szczerym entuzjazmem - czego nauczyliśmy się z dzisiejszego meczu? - Po tych słowach zwrócił się do Jacka i Anny: - Mamy nadzieję, że chłopcy wnoszą z każdego meczu pewną wiedzę. Gramy po to, żeby wygrać, to prawda, ale gramy również dla zdobycia pouczającego doświadczenia. Czego nauczyliśmy się dzisiaj, MJ?

- Przypuszczam, że poznaliśmy znaczenie praktyki i ćwiczenia, panie trenerze.

- No właśnie. O to chodziło. Pozwól mi teraz porozmawiać przez chwilę sam na sam z twoimi rodzicami. - Kiedy MJ odszedł na bok, trener Hayes powiedział Jackowi i Annie - On jest graczem myślącym. Rozumie boisko, jak żaden z chłopców, których kiedykolwiek trenowałem. Mogą państwo być z niego dumni.

4. - 1968

Sąd przychylił się do wniosku Kathleen Horan o zmianę nazwiska na nowe: Sara Lehrer. Mimo to w nauce z rabinem nie poczyniła ona postępów wystarczających do odbycia *bat mitzvah*. Od czasu do czasu chodziła do synagogi, ale potem przestała tam bywać.

W czerwcu ukończyła studia na uniwersytecie Columbia, na który wcześniej wstąpiła z zaawansowaną wiedzą, dobrą opinią i pomocą Lindy. Po studiach powiedziała Jackowi, że nie wie, co chciałaby robić. Częściej spotykała się z Anną niż z Jackiem i Annie powiedziała, że oddałaby wszystko, by móc robić to co Joni, ale powiedziała też, że musi być realistką. Wiedziała, że nie ma ani talentu, ani urody by zostać gwiazdą filmową. Anna podsunęła jej myśl o wyjeździe do Los Angeles i spędzenie kilku dni z Joni, gdzie być może dowiedziałyby się czegoś, co mogłoby ją zaskoczyć.

Joni chętnie zgodziła się ją przyjąć i tuż po uroczystości ukończenia studiów Sara poleciała do Los Angeles.

5.

Douglas Humphrey miał już osiemdziesiąt dwa lata i postanowił wycofać się z aktywnego udziału w interesie. Powiadomił Jacka, że zamierza zrezygnować z miejsca w radzie nadzorczej LCI i poprosił go o przyjazd do Houston, by mogli się spotkać i przedyskutować kwestię osoby, która przejąłaby po nim sukcesję.

Jack wsiadł w należący do jego spółki odrzutowy samolot i z lotniska Westchester poleciał w pewien lipcowy poniedziałek do Teksasu. Humphrey lubił spotkania przy basenie. Jack rozpakował się w pokoju gościnnym i po chwili wyszedł z niego w kąpielówkach. Humphrey siedział jak zwykle pod wielkim parasolem, a Mary Carson jak zwykle pływała.

Humphrey rozłupał kleszcze kraba i podsunął talerz ku Jackowi.

- Spisałem testament - powiedział. - Wszystko co mogę, zostawiam Mary. Będzie ona posiadać większość moich udziałów we wszystkim. Była mi ogromnie pomocna w ostatnich kilku latach. Wie o wszystkich sprawach tak dużo jak ja.

- Robi na mnie bardzo dobre wrażenie - powiedział Jack. - Zawsze takie robiła.

- Mój syn zginął w Normandii w 1944 roku. Sądziłem, że on będzie po mnie dziedziczyć i prowadzić interesy, ale... Mary jest dzieckiem

mojego średniego wieku. Miałem czterdzieści lat, gdy się urodziła. Jest rozwiedziona. Poświęciła mi kilka lat swojego życia.

- Jesteś szczęśliwy, że ją masz - rzekł Jack.

- Co byś powiedział, gdyby to właśnie Mary zastąpiła mnie w radzie nadzorczej LCI?

Zaskoczony tym pytaniem Jack rzucił okiem na silną, krzepką, opaloną, odzianą w kostium bikini kobietę, która pływała w basenie.

- Doug, nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego nie mogłaby zająć twojego miejsca.

Humphrey się uśmiechnął.

- Z pewnością podałybyś mi jakiś, gdybyś mógł wymyśleć choćby jeden, prawda?

- Tak sądzę, ale żadnego wymyśleć nie potrafię.

- Jeśli obodwaj oddamy swoje głosy na Mary, to sprawa będzie załatwiona.

- W porządku. Zgoda.

- Mary! Jack się zgadza.

Mary wyskoczyła z basenu i podeszła do stolika. Nalała sobie ginu do szklaneczki z lodem i uniosła ją do góry.

6.

Podczas gdy Jack przebywał w Teksasie, Anna udała się do szpitala na pierwszą serię naświetlań. Ta terapia wywoływała u niej mdłości i Anna zastanawiała się, czy z niej nie zrezygnować, ale nie uczyniła tego.

Doktor Manning dał jej zastrzyk łagodzący mdłości.

- Czy już powiedziała pani rodzinie? - zapytał.

- Moja pasierbica wie... - odparła cicho.

- Nie będzie pani w stanie utrzymać tego w tajemnicy znacznie dłużej.

- Nie zostało mi już wiele czasu.

- Żałuje, że nie mogę pani powiedzieć jak wiele. Czasami naświetlania zatrzymują chorobę na miesiące, a nawet na lata, ale...

- Mówił pan chyba o pięciu latach. Ja mam za sobą dopiero trzy i pół.

- Pani dzieci są już dorosłe, nieprawdaż?

- Mój syn jest dość nieokrzesanym futbolistą w drużynie stanu Ohio. Córka skończyła właśnie szkołę średnią i jesienią chce wstąpić na uniwersytet w Princeton. Los oszczędzał mnie dość długo, bym mogła zobaczyć jak odfruwają z gniazda. To mój mąż będzie potrzebował uczuciowego wsparcia.

- A kto wspiera panią, pani Lear? Kto pani daje uczuciowe wsparcie?
- Dla Jacka wystarczająco straszne będzie moje odejście. Nie chcę, by musiał cierpieć przez te miesiące, jakie mi zostały.

7.

Harrison Wolcott zmarł w czerwcu w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat. Jack i Anna polecili do Bostonu na pogrzeb. Państwa Horanów, którzy poprzednio pojawili się na pogrzebie Edith Wolcott, nie było na tej uroczystości.

W lipcu Linda przywiozła Nelly i powiedziała Annie, że jej małżeństwo z Guyem Websterem nie układa się dobrze. Zażywała pigułki antykoncepcyjne, by nie zająć z nim w ciążę, ale Guy chciał mieć pełną rodzinę.

- Nie chcę mieć dziecka z tym człowiekiem. Nigdy nie zrobiłam niczego tak głupiego! - płakała.

- Przecież nie musisz rodzić dziecka, jeśli nie chcesz - powiedziała łagodnie Anna.

Linda przyglądała się Annie przez chwilę, przgryzając zębami dolną wargę, zanim wreszcie powiedziała to, co zauważyła.

- Anno, ty chudniesz. Stosujesz jakąś dietę?

- Nie, jestem trochę anemiczna i to powoduje spadek wagi i pewną utratę energii.

Linda przyglądała jej się z powagą.

- Anno...?

- Tylko Joni wie - wyszeptła Anna. - Teraz wiesz chyba także i ty. Niech to będzie naszą tajemnicą. Niebawem i tak wszystko wyjdzie na jaw. Ale jeszcze nie teraz.

- Anno, źle wyszłam za mąż. Przyjechałam tutaj dzisiaj, by zapytać, co ty i Jack powiedzielibyście, gdybym odeszła od Guya i zamieszkała z wami przez jakiś czas. Właśnie to chcę zrobić. Tobie także będzie ktoś tutaj potrzebny.

Anna ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

- Pod warunkiem, że jesteś pewna, iż chcesz zostawić swego męża z innych powodów - odpowiedziała przez łzy.

8.

Anna i Jack siedzieli przy stole z Lindą i Nelly.

- Myślę, że moglibyśmy... Myślę, że... - Anna nie zdołała skończyć

zdania. Nagle zachwiała się na krześle, pochyliła do przodu i uderzyła głową o stół.

- Anno! Anno! Nie! - Jack stanął nad nią, głaszcząc i poklepując Annę po plecach, by odzyskała przytomność.

Linda wezwała pogotowie.

W środę, 18 września 1968 roku sekret Anny został ujawniony.

Następne dziesięć dni Jack spędził w szpitalu, przebywając tam dwadzieścia cztery godziny na dobę i jedynie drzemiąc w fotelu wstawionym do pokoju Anny. Patrzył jak słabnie. Obserwował desperackie wysiłki podejmowane w nadziei uzyskania remisji. Anna stawała się coraz bardziej nieobecna, jakby pogrążała się w letargu. Wypadły jej włosy, ale wydawała się w ogóle o tym nie wiedzieć, a już z pewnością wcale się tym nie przejmowała.

Była słaba i przesypiała większość czasu, ale budząc się, była przytomna i czujna, wpadała w trwogę: wiedziała i rozumiała wszystko.

- Trzymałam to w tajemnicy przed tobą tak długo jak mogłam - powiedziała Jackowi. - Dość się nacierpisz. Nie było sensu przysparzać ci cierpienia przez minione trzy lata.

- Dzieliłbym z tobą twoje cierpienie - wyszeptał.

- Przeżyliśmy razem dwadzieścia dwa lata - powiedziała. - Zapłaciłabym tę cenę za owe lata, nawet gdybym wiedziała, co się stanie.

Gdy ponownie zapadła w sen, Jack usiadł na plastikowym szpitalnym krześle i szlochał najciszej jak mógł.

Po dziesięciu dniach pobytu Anny w szpitalu doktor Manning zaprosił Jacka na rozmowę.

- Pańska żona może wrócić do domu, panie Lear - powiedział.

- Żeby umrzeć... - rzekł w odrętwieniu Jack.

- Zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy - wyszeptał młody lekarz.

Annę przywieziono do domu karetką wraz z dwiema pielęgniarkami, które położyły ją do łóżka. Od tej chwili miała całodobową opiekę pielęgniarską. Siadała w łóżku, gdy tylko mogła i prosiła Jacka, by grał z nią w scrabble. Dopóki pozostawała czujna, grała dobrze i sprawiała wrażenie, że ją to bawi.

Jack wezwał do domu dzieci. Liz przyjechała natychmiast. MJ powiedział, że w sobotę ma ważny mecz, ale postara się wyrwać i przyjedzie w niedzielę. Jack zatelefonował do trenera Woody'ego Hayesa, który osobiście odwiózł MJ na uniwersyteckie lotnisko i wsadził go na pokład odrzutowca zaferowanego przez jedną z korporacji Ohio, by odwiózł chłopaka na lotnisko Westchester. MJ stracił ten mecz. Odrzutowiec LCI przywiózł z Los Angeles Joni. Sara przyleciała wraz z nią.

Wszyscy wiedzieli, że zgromadzili się w domu, by pożegnać się z Anną.

Nalegała, by na spotkanie z rodziną sprowadzono ją do salonu, nawet gdyby trzeba ją było znieść. Siedziała w fotelu przy kominku w szarych wełnianych spodniach, które kryły jej wychudzone nogi i ciemnozielonym swetrze otulającym wychudzone ramiona. Niczym nie okryła głowy. Po wypiciu łyka szkockiej i zjedzeniu niewielkiej ilości zupy poleciała zebranych, by zostali przy obiedzie. Nie pozwoliłaby, żeby widzieli jak Jack i pielęgniarka podtrzymują ją na schodach.

Kiedy zasnęła, Jack po powrocie na dół zaczął płakać. Z wyjątkiem wyjazdu z Anną do szpitala, od czasu owego gwałtownego załamania się jej stanu, nie opuszczał domu. On także się załamał. Nie mógł normalnie działać. Inni prowadzili przedsiębiorstwo. Mary Carson przyleciała z Houston i przejęła przewodnictwo komisji wykonawczej rady nadzorczej, by prowadzić spółkę do powrotu Jacka. Nikt nawet nie próbował do niego telefonować.

Następnego dnia Anna znowu zeszła na dół. Usiadła w bibliotece i z każdym dzieckiem odbyła osobne spotkanie. Była spokojna, a nawet pogodzona. Opierała się myśli o śmierci tak długo, jak tylko mogła.

Nie powinni zostawać dłużej, powiedziała. Może umrzeć jutro, a może przeżyć Boże Narodzenie. Nic nie mogłoby zmartwić jej bardziej, niż przyglądanie się, jak zakłócając rytm swojego życia, siedzą wokół niej i czekają. Jack to robi - nie mogła mu tego wyperswadować - i to jest wystarczająco okropne, mówiła.

Oprócz Lindy, która mieszkała z nimi z powodu rozpadu jej małżeństwa, cała rodzina się rozjechała.

Anna umarła cicho wczesnym niedzielnym rankiem, 10 listopada. Dyżurująca w nocy pielęgniarka obudziła Jacka, żeby mu to powiedzieć, a potem zostawiła go skręconego bolesnym spazmem rozdzierającego szlochu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

1. - 1969

W poniedziałek 6 stycznia Jack wreszcie pojawił się w swoim biurze. Wychudł i zmizerniał. Po raz pierwszy odkąd ktokolwiek mógł sięgnąć pamięcią, nosił garnitur, który nie leżał na nim idealnie. Był też mocno opalony, bo od śmierci Anny, która zmarła w listopadzie przebywał w ich letnim domu na wyspie St. Croix. Niemal cały czas była tam z nim Linda. Nelly została w domu pod opieką Priscilli aż do połowy grudnia, ale przyjechała na wyspę, gdy tylko jej szkołę zamknięto na świąteczne ferie.

MJ i Liz dołączyli do Jacka na Boże Narodzenie. Przyjechała też Joni z Davidem. Sara, która znalazła pracę w Los Angeles, odwiedziła Jacka w tygodniu przedświątecznym.

Wszyscy widzieli Jacka we łzach. Znajdowali go na plaży, gdzie siedział wpatrując się w fale i płacząc.

Telefonując z St. Croix zwołał zebranie zarządu i personelu kierowniczego sieci LCI, które miało się odbyć w sali obrad rady nadzorczej w poniedziałek 6 stycznia o godzinie dziesiątej.

W zebraniu uczestniczyła Mary Carson, która usiadła na końcu wielkiego stołu konferencyjnego. Miejsca przy stole zajęli też Mickey Sullivan, „Kap” Durenberger, Herb Morrill, profesor Friedrich Loewenstein i Raymond L'Enfant. Część członków kierownictwa siedziała na krzesłach pod ścianami, reszta stała.

Jack wstał.

- Pragnę wszystkim podziękować za wyręczenie mnie w obowiązkach przez ponad trzy miesiące. Ogromnie pomocna była dla mnie świadomość, że w okresie, gdy nie byłem w stanie ich wypełniać, robili to za mnie kompetentni i oddani ludzie. Jestem państwu serdecznie wdzięczny. Chcę państwa prosić o oddanie mi jeszcze jednej przysługi. Wiem, że wszyscy pragniecie okazać mi swoje współczucie. Otrzymałem państwa kondolencyjne listy i z czasem odpowiem na każdy z nich. Teraz proszę

jednak, by nie okazywali mi państwo współczucia. Gdy spotkamy się prywatnie, nie zaczynajcie, proszę, rozmowy od zapewniania, jak wam przykro z powodu poniesionej przeze mnie straty. Wiem, że mi współczujecie, ale każdy wyraz owego współczucia przypomina mi... - Głos mu się załamał i przez chwilę wszyscy usilnie wpatrywali się w stół lub w podłogę, byle tylko nie patrzeć na Jacka, który usiłował odzyskać panowanie nad sobą, by móc mówić dalej. - Panie i panowie, musimy prowadzić naszą spółkę. Telefonując z St. Croix, zasugerowałem pewien program dzisiejszego zebrania kierownictwa. Chciałbym prosić, by teraz zostali tu wszyscy siedzący wokół stołu, a także Dave i Margaret. Pozostałym państwu jeszcze raz dziękuję. W tym tygodniu będę spotykać się z każdym z państwa indywidualnie, aby omówić to, nad czym pracujecie obecnie i co musimy zrobić.

Przez chwilę, zanim przerzucił karty swojego notesu i przedstawił pierwszy punkt programu, rozglądał się wokół stołu, patrząc na skrzepowanych członków zarządu, dyrektorów i kierowników. Nastąpiły już pewne zmiany. Będzie ich więcej. Painter oczywiście odszedł. Trzeba go będzie zastąpić jakimś człowiekiem znającym się na komponowaniu programu. „Kap” Durenberger miał już siedemdziesiąt dziewięć lat i niebawem przechodził na emeryturę. Krążyły pogłoski, że Ray L'Enfant może otrzymać jakieś stanowisko w administracji Nixona. Euforycznie przyjął wybór Nixona na prezydenta i nosił w klapie emaliowany znaczek z amerykańską flagą. Mary Carson ze skróconymi włosami nie była już tym kociakiem w kostiumie bikini, którego Jack widywał w basenie, ale dojrzałą kobietą w okularach.

2.

Podczas kolacji z Mary Carson Jack dowiedział się, że chciała być kimś więcej niż dyrektorem tytularnym, jakim był jej ojciec. Wysłuchawszy tego dnia jej pomysłów, Jack powiedział, że będzie rekomendował radzie nadzorczej jej kandydaturę na stanowisko wiceprezesa.

Gdy dotarł do domu, dochodziła jedenasta. Mickey poszedł spać i Jack wrócił do siebie. Linda czekała na niego w bibliotece, gdzie oglądała telewizję, przerzucając jednocześnie jakąś książkę.

Wyłączyła telewizor i odłożyła książkę. Wstała. Miała na sobie żółtą nocną koszulę; która nie była przezroczysta, ale na tyle krótka, że odsłaniała jej nogi i żółte majteczki. Ruszyła ku Jackowi i jego ramionom. Pocałowali się.

Telefował do niej wcześniej, więc wiedziała, że był na kolacji.

- Chodźmy na górę - szepnęła.

Nie korzystali z małżeńskiej sypialni, w której spał z Anną. Jack przeniósł się do jednego z pokoiów gościnnych. Małżeński apartament pozostawiono nienaruszony i wyglądał tak jak owej ostatniej nocy, gdy Jack i Anna spali tu razem. Leżała tu nawet nocna koszula Anny, jak w ten wrześnieowy wieczór, zanim po raz ostatni poszła do szpitala. Pokój gościnny był dość skromny, ale Linda przeniosła do niego kilka rzeczy, łącznie z erotycznymi grafikami, które Anna kupiła niegdyś dla Jacka. W szafie wisiały jego ubrania, a jedna szuflada komody zarezerwowana była na jej bieliznę.

W czasie gdy Jack się rozbierał, Linda wybrała coś do ubrania, a potem zabrała te rzeczy do łazienki, żeby się w nie przebrać. Gdy z niej wyszła, miała na sobie przezroczystą czarną koszulkę, skąpe majteczki z czarnego jedwabiu, czarne pończochy podtrzymywane koronkowymi czarnymi podwiązkami i czarne lakierki na wysokich obcasach.

Jack, rozebrany już do bielizny, przygotował dla nich dwie szklaneczki brandy i usiadł na kanapie... z Lindą w ramionach. Była jedenasta, więc włączył telewizor. Mieli zwyczaj oglądać wiadomości, a potem przynajmniej część programu Johnny'ego Carsona.

Ściągnął jej skąpe majteczki. Linda goliła sobie krocze i miała najbardziej wydatne wargi sromowe, jakie kiedykolwiek widział; czerwone, mięsiste i bardzo widoczne. Pieścił je, a Linda sięgnęła po jego penis.

Jack zwykle telewizyjne wiadomości okazały się mniej interesujące od tego, co robili. Pospieszyli więc do łóżka i oddali się uprawianiu miłości. Skończyli przed rozpoczęciem programu Carsona i wrócili na kanapę, oboje nadzy, jeśli nie liczyć pończoch, które Linda wciąż miała na sobie. Siedzieli przytuleni.

Linda była jego wybawieniem. Wydawało się, że Opatrzność połączyła ich ze sobą. Żadne z nich tego nie planowało. Przez pięć tygodni po śmierci Anny byli sami w letnim domu na wyspie St. Croix. Linda dawała mu tam oparcie i okazywała zrozumienie oraz współczucie. Joni gotowa była przerwać nakręcanie *Normy*, żeby być z ojcem, ale Linda powiedziała, że może wziąć urlop w Yale-New Haven Hospital i pojechać z Jackiem na St. Croix. Jack był jej ogromnie wdzięczny.

Linda umiała przybrać właściwy ton; wiedziała, kiedy powinna zachować powagę, a kiedy Jack gotów jest się roześmiać, kiedy chce samotnie błędzić po plaży, a kiedy pragnie, by poszła z nim do miasteczka na rynek. Kiedy zaś pewnego dnia na rynku wziął ją za rękę, uściśnęła jego dłoń i od tej chwili wszystko zostało ustalone.

- Jack - powiedziała, gdy w programie Carsona przyszedł czas na reklamy. - Będę musiała wyprowadzić się z tego domu.

- O Boże, nie!
Pocałowała go w szyję.
- Nie możemy być kochankami. Musimy z tym skończyć. Nie mogę pozwolić, by Nelly odkryła, że spiam z jej dziadkiem. Nie możemy pozwolić, by dowiedziała się o tym reszta rodziny.
- Wiem... - rzekł, ukrywając w dłoniach twarz, a potem sięgnął po jej rękę. - Lindo, może zabiłbym się, gdyby nie ty.
- Nie, nie zabiłbyś się.
- Oddałbym wszystko na świecie, żeby...
- Ludzie by nas znienawidzili. Zaczynając od moich rodziców. Znienawidziliby nas, Jack.
- Westchnął i skinął głową, niechętnie przyznając jej rację.
- Właśnie dlatego muszę znaleźć sobie jakieś inne miejsce do życia. Nie zamierzam wracać do Guya. Ja...
- Poczekaj - przerwał jej - nie musisz szukać innego miejsca. Mieszkaj tutaj. Ja się wyprowadzę.
- Nie możesz tego zrobić.
- Mogę. Pomyśl o problemach, które to rozwiąże. Zamieszkać w mieście. Zresztą nie chcę już mieszkać w Greenwich. Nie teraz. To wciąż jest gniazdo rodzinne. Nie chcę też sprzedać tego domu. Gdy Joni, MJ albo Liz zechcą tu przyjechać, dom powinien na nich czekać. Na Kathleen również, to znaczy... na Sarę. Jest on także domem dla Priscilli. Mieszkała z nami ponad dwadzieścia lat. Wyprowadzę się. Zabiorę trochę rzeczy osobistych. Lindo, zrób to! Zamieszkać w nim. Uczyni go swoim domem, dla siebie i dla Nelly. Wpadnę od czasu do czasu. I nie musimy tego robić...
- Musimy. I będziemy to robić. Od czasu do czasu. Ale musimy znaleźć sobie kogoś. Oboje - powiedziała, całując go. - Kocham cię, Jack - szepnęła. - Na wszystkie możliwe sposoby, najakie można kogoś kochać.
- Ja też cię kocham, Lindo. Kocham cię tkliwie.

3.

Mo Morris na prośbę Joni starał się znaleźć w branży filmowej jakąś pracę dla Sary. Nie znalazłszy niczego, zaproponował jej miejsce w swoim biurze. Ku zaskoczeniu wszystkich, łącznie z nią samą, ta praca bardzo jej odpowiadała i Sara szybko się jej nauczyła. Sześć miesięcy po wstąpieniu Sary do jego agencji Mo kazał wydrukować nowe wizytówki:

AGENCJA MO MORRISA

Mo Morris, prezes

Samuel Frieden Peter Dole Sara Lehrer

Biura w Los Angeles, Nowym Jorku i Londynie

Mo miał siedemdziesiąt pięć lat i powoli pozwalał swym młodym współpracownikom przejmować większość agencyjnych obowiązków. Samuel Frieden powinien „odziedziczyć” jakiegoś poważnego klienta, takiego jak Joni Lear, ale Mo wiedział, że Joni chciała, aby - jeśli tylko byłoby to możliwe - reprezentowała ją przyrodnia siostra. Na razie on sam trzymał rękę na pulsie, jeżeli idzie o karierę Joni, ale pozwolił Sarze przejąć kilka mniejszych spraw.

Okazało się, że Sara doskonale orientuje się w szczegółowych klauzulach kontraktów. Niezależni producenci, nie wyłączając aktorów produkujących własne filmy, mieli skłonność do odchodzenia od standardowych kontraktów i pisania własnych umów, które często były niekorzystne dla aktorów i reżyserów. Dostrzeganie takich pułapek było zadaniem agenta i Sara umiała to robić.

Chociaż podobała jej się nowe nazwisko, zaprzestała starań o przejście na judaizm. Zaczęła też spędzać czas z pewnym młodym pisarzem nazwiskiem Brent Creighton. Oddała mu dziewictwo, a on wprowadził ją do jakiejś komuny, gdzie nauczyła się palić marihuanę i oswoiła z nagością.

4.

Joni zdobyła w końcu Oscara. Otrzymała go za rolę Normy w filmowej adaptacji powieści Jasona Maxwella. Dostała też za nią Nagrodę Nowojorskich Krytyków Filmowych i Złoty Glob.

Jack po raz pierwszy od śmierci Anny pojawił się publicznie właśnie na uroczystości wręczenia Oskarów. Joni obiecała ojcu, że tego wieczoru u jego boku znajdzie się sławna aktorka i z pomocą Mo Morrisa zaaranżowała takie spotkanie. Wsiadłszy z limuzyny mógł więc, rozpromieniony, wyciągnąć rękę, by pomóc pojawić się w blasku reflektorów samej Avie Gardner. Wielka gwiazda towarzyszyła mu również na wspaniałym bankiecie, na którym Joni ścisnęła swego Oscara i odbierała hołdy dwustu gości.

Sara była tam z Brentem Creightonem. W tłumie, w którym każda kobieta była widowiskiem lub też chciała nim być, ona przyciągała uwagę świeżością, urodą i suknią: prostą szatą z cienkiego czerwonego jedwabiu,

pod którym najwyraźniej niczego więcej nie miała. Zdobił ją tylko jeden klejnot: wysadzana diamentami bransoleta, która kiedyś należała do Anny.

Również Liz była na tym bankiecie. Przyleciała do Los Angeles wraz z ojcem na pokładzie odrzutowca jego przedsiębiorstwa. Towarzyszący jej brat, MJ, został uznany za Najlepszego Amerykańskiego Futbolistę i podpisał właśnie kontrakt na grę w zawodowej drużynie Miami Dolphins. Liz go nie cierpiała, ale musiała przyznać, miło było mieć u boku Pierwszego Zawodnika Futbolu Amerykańskiego. Miała dziewiętnaście lat i nie pretendowała do rywalizacji o przyciągnięcie uwagi zgromadzonych tłumów. Nosiła suknię ze srebrnej lamy, która przyciągała zachwycone spojrzenia odważnymi dekolantami z przodu i z tyłu.

Na pokładzie odrzutowca LCI przyleciała także Linda. W dopasowanej, połyskliwej czarnej sukni, czarnych pończochach i wysokich czarnych szpilkach była uderzająco piękna.

Po kolacji, o drugiej w nocy, Jack zgromadził rodzinę w swoim apartamencie wynajętym w hotelu Beverly Hilton. Tylko rodzinę, bez partnerów i osób towarzyszących.

- Joni... - rzekł cicho, unosząc kieliszek szampana. - Wszyscy jesteście z siebie dumni. Moje dzieci, wszystkie moje dzieci, osiągnęły swoje cele. Gdyby tylko... - przerwał i zagryzł wargę - gdyby tylko John i Anna mogli być tutaj z nami... A także, Joni... także Kimberly. Ona również byłaby z siebie dumna.

5. - 1970

Curt Frederick był znudzony Arizoną, tak jak wcześniej przewidział to Jack. Kiedy więc Jack zaproponował mu, żeby wrócił do Nowego Jorku i robił „rozmowy miesiąca”, Curt omówił tę propozycję z Betsy i oboje ją przyjęli. Spędzaliby w Nowym Jorku nie więcej niż tydzień lub dziesięć dni miesięcznie. Jack zaprosił ich, aby za każdym razem zatrzymywali się w Greenwich.

Linda chętnie gościła co miesiąc państwa Fredericków. Lokowała ich w małżeńskim apartamencie Jacka i Anny, wiedząc, że Jack nie miałby nic przeciwko temu i że on z niego nie korzystał. Wyjeżdżał na dwie lub trzy noce, ilekroć odwiedzali Greenwich.

Każdy godzinny program Curta składał się z dwóch rozmów. Wiele osób z radością udzielało wywiadu Curtowi Frederickowi, który wciąż cieszył się opinią światowego giganta dziennikarstwa radiowego i telewizyjnego. Prezydent Nixon nie tylko zgodził się udzielić mu wywiadu, ale nawet przyjechał w tym celu do Nowego Jorku. Były gubernator Teksasu,

John Connally, wystąpił w jego programie opowiadając o swojej obecności w samochodzie wiozącym prezydenta Kennedy'ego 22 listopada 1963 roku przez miasto Dallas. Izraelski minister obrony, Mosze Dajan, także przybył do studia, by odpowiedzieć na pytania Curta. Gawędziły z nim także przed kamerami liczne gwiazdy show-biznesu. Były wśród nich Dinah Shore, Ingrid Bergman i Marlena Dietrich.

Pewnego wieczoru przy kolacji w Greenwich Jack podsunął Curtowi pewną myśl. Curt przystał na jego pomysł.

W środowy wieczór, 22 kwietnia, gośćmi programu Curta Fredericka byli Averell Harriman i Jason Maxwell.

Harriman był oczywiście spokojny, opanowany i uprzejmy jak przystało na polityka. Wszyscy oczekiwali, że Jason, występujący w drugiej części programu, okaże się wyraźnym przeciwieństwem.

Jack siedział w garderobie, gdzie goście programu czekali na wejście do studia. Jason był już ucharakteryzowany, to znaczy pokryty lekką warstwą pudru, i gotowy do występu przed kamerami, ale bardzo stremowany.

- Zamierzam wypić małą szkocką, Jason. Przyłączysz się do mnie?
- No cóż, może odrobinę...
- Jedną szkocką. Bardzo proszę.

Podczas gdy Jack przygotowywał drinki, Jason siedział wpatrując się w sufit i nerwowo zaciskając dłonie. Nie zauważył więc, że Jack wyjął z kieszeni jakąś małą szklaną fiolkę, potrząsnął nią i wlał jej zawartość do szklaneczki, do której potem szczerze nalał whisky i dodał lód.

- Oto i nasza szkocka - rzekł do Jasona, wręczając mu szklaneczkę, a potem wrócił do niewielkiego barku i przyrządził trunek dla siebie. - Twoje zdrowie!

Jack wypił swoją szkocką jednym haustem. Jason się skrzywił, ale zrobił to samo.

- No cóż, moglibyśmy wypić jeszcze po jednym - rzekł Jack. - Dwa małe drinki przed twoim wejściem...

Jason skinął głową.

- Problem, jak wiesz, tkwi w tym, że w podobnych programach pisarze zazwyczaj niewiele mają do powiedzenia. Wszak my wszystko przelewamy na papier.

- Dawniej rozśmieszałeś nas, Annę i mnie, swoimi opowieściami.

- Ale nie mogę snuć tych opowiastek w telewizji - odparł Jason, rzucając okiem na monitor, gdzie Averell Harriman z powagą odpowiadał na pytania stawiane przez Curta.

- Opowiedz o swojej nowej książce. Jaki będzie mieć tytuł?

- Jeszcze go nie wymyśliłem - rzekł po wypiciu drugiej szkockiej. -

To jest najtrudniejsze w pisaniu książki: wymyślenie tytułu.

- Może jeszcze jedną? Malutką? - zapytał Jack.

- Ale... tylko... ma... malutką.

Trzecią szklaneczkę Jack napełnił mniej szczerze. Nie chciał, by Jason padł zanim stanie przed kamerami.

Jakiś młody człowiek zapukał do drzwi garderoby.

- Za trzy minuty, panie Maxwell!

Jason poprawił krawat i przejechał szczotką po włosach. Po chwili przyszedł do niego reżyser i razem udali się do studia.

Jack ujął szklanekę Jasona przez chusteczkę, zabrał ją do łazienki i wypłukał, po czym wrócił do garderoby i wlał do niej odrobinę whisky na dwie kostki lodu. Wróciwszy do łazienki, wyjął z kieszeni szklaną fiolkę, owinał ją w chusteczkę i rozdeptał, a kawałki szkła i mały plastikowy korek wrzucił do toalety i spuścił wodę.

Jason nie zataczał się w drodze do studia. Doszedł do przeznaczonego dla niego fotela i usiadł. Skulił się, jakby go coś łaskotało, gdy dźwiękowiec przypinał mu do kłapy mikrofon, a pod marynarką przeciągał kabel.

- Naszym drugim gościem jest dziś laureat Nagrody Pulitzera, powieściopisarz Jason Maxwell. Szczególne miejsce w jego dorobku zajmuje powieść *Norma*. Grająca tę rolę Joni Lear zdobyła Nagrodę Amerykańskiej Akademii Filmowej dla Najlepszej Aktorki - powiedział Curt, a następnie zwrócił się bezpośrednio do gościa: - Panie Maxwell, Joni Lear osobiście prosiła mnie, żebym panu podziękował za cudowną rolę, jaką pan dla niej napisał.

Jason roześmiał się od ucha do ucha i skinał głową.

- A ja nawet z nią nie spałem - odparł i zachichotał.

- A przynajmniej spotkał się pan z nią?

- A jakże! I chętnie opo... opowiem. Dopóki się nie widziało cycków takich jak jej... to w ogó... w ogóle się żadnych cycków nie... nie widzia... widziało.

Curt zmienił temat rozmowy.

- Mówi się, że pańskie utwory są powieściami z kluczem, co oznacza, że ich bohaterowie są wzorowani na żyjących, realnych postaciach. Zdaje się, że wszyscy się domyślają, kto był pierwowzorem Normy, ale czy pan zechce to powiedzieć?

Jason wydał wargi i skinał głową.

- Jasne! To Nnnnorma Jean. Mara... mue. Maremmem... No, wiecie... ta... Mun... ROE.

- Czy stworzona przez pana postać Normy stanowi dokładne odbicie rzeczywistej Marilyn Monroe?

- A co? Nie stanowi?

- Panie Maxwell, mówi się także, że to nie pan pisze swoje powieści i opowiadania, lecz że w rzeczywistości są one pisane przez pańską kuzynkę Gladys Maxwell? Czy to prawda?

- Gladys nie potrafi napisać nawet listu!

- A zatem kto napisał jej powieść, która przecież została dobrze przyjęta? Pan ją napisał?

Jack potrząsnął głową.

- Nigdy nie spałem z Glad... z Gladys.

- Przypuszczam że nie, skoro jest pańską kuzynką.

Jason zaczął kołysać się rytmicznie, otwierając nagle usta.

- Cóż... Spuśćmy na to kurtynę przyzwoitości. Przyzwoi...

- Panie Maxwell, czy źle się pan czuje?

Kamera nie zdołała odwrócić się dość szybko, by uniknąć pokazania telewizzom widoku wymiotującego Jasona Maxwella.

- Przerwa na reklamy - powiedział z niezachwianym spokojem Curt Frederick.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

1. - 1970

Po dwudziestu jeden latach zeszła z anteny „Godzina z Sally Allen”. Telewizjowcy najwyraźniej stracili upodobanie do widowisk typu varietes, złożonych z piosenek, tańców, skeczów, monologów, a nawet popisów akrobatycznych. Sally nie była tym zmartwiona. Miała pięćdziesiąt lat i uważała, że jest już trochę za stara, żeby tańczyć w obcisłych trykotach. Jednak Jack nie chciał jej stracić i zaproponował, by zagrała w filmie, który miał być produkowany przez wytwórnię Carlton House. Ponieważ wszystkie hale zdjęciowe oddano na realizację programów telewizyjnych, Jack polecił Lenowi, by pisząc scenariusz umieścił całą akcję w plenerze. Len napisał wzruszającą komedię, której akcję osadził w letnim domu na wyspie Malibu. Tekst wymagał niewielkiej „kosmetyki” i Sara zaproponowała, by dokonał jej Brent Creighton. Ostateczna wersja scenariusza - romantyczna opowieść o dwóch małżeństwach - była prawdziwym arcydziełem. Drugą rolę kobiecą Mo Morris zaproponował Joni.

Trzeba było to przyznać, że Dick Painter - mimo popełnianych błędów i wygórowanych ambicji - miał pierwszorzędne pomysły programowe. W ciągu trzech lat, jakie minęły od jego odejścia, sieć LCI straciła część rynku. Mary Carson sugerowała, by przyjąć go z powrotem, ale Jack stanowczo się temu sprzeciwił. Zdawał sobie jednak sprawę, iż koniecznie trzeba znaleźć nowego współpracownika, który wyczuwałby to, co on sam uparcie nazywał „wciąż pogarszającym się gustem amerykańskiej publiczności”. Mary przeniknęła do CBS i sprowadziła stamtąd jednego z ich wiceprezesów, niejakiego Teda Wellmana. Będąc entuzjastą tego, co zdaniem Jacka zasługiwało na nazwę „sieczeni” - czyli komedii ze śmiechem w tle i seriali policyjnych - Wellman szybko uzyskał wzrost notowań sieci LCI. Jack kiwał głową i milczał. Wciąż bowiem uważał, że Jack Benny nie jest śmieszny.

2.

Jack był samotnym mężczyzną, z drugiej jednak strony wcale tak nie było.

Chociaż już nie sypiał regularnie z Lindą, jej zaproszenie pozostawało aktualne. Od czasu do czasu Jack sprowadzał z Bostonu Rebeccę Murphy, prosząc, by spędziła z nim weekend na Manhattanie. Obie kobiety - trzydziestopięcioletnia synowa i pięćdziesięcioletnia specjalistka usług detektywistycznych - okazywały mu zrozumienie, przywiązanie i uczucie, ale było jasne, że żadna z nich nie zostanie trzecią panią Lear, jeśli w ogóle miała się kiedyś pojawić trzecia pani Lear. Plotkarskie rubryki towarzyskie uważały, że z pewnością się pojawi, ale Jack nie miał zamiaru zenić się ponownie.

Latem 1970 roku zaczął spotykać się z kobietą, w której redaktorzy owych rubryk natychmiast zobaczyli następczynię Kimberly i Anny.

Valerie Latham-Field była spadkobierczynią czwartej części fortuny Lathamów i połowy majątku zostawionego przez jej zmarłego męża, Ralpha Wiggamsa Fielda, co czyniło ją multimilionerką. Zgodnie z niezachwianą tradycją bardziej konserwatywnych kręgów towarzyskich nazywano ją panią Latham-Field, z drugiej jednak strony znana była jako Val.

Każdego lata organizowano w Greenwich charytatywny mecz gry w polo. Gromadził on najzamożniejszych mieszkańców miasta, a sponsorzy serwowali pod wielkim namiotem śniadanie z szampanem.

Jack i Anna przez wiele lat brali udział w tej imprezie. W 1969 roku Jack nie pojawił się wśród gości, ale w 1970 namówiła go do tego Linda. Tak więc z Lindą u boku w słoneczne niedzielne popołudnie Jack znów ukazał się pod wielkim namiotem.

Val krążyła w tłumie, sprzedając losy dobroczynnej loterii. Znali się od dawna.

- Witaj, Jack - powiedziała Val. - Cieszę się, że cię widzę.
- Val, pozwól, że ci przedstawię moją synową, Lindę.
- Miło mi. Namów Jacka, żeby ci kupił dużo losów - powiedziała Val. - Jedną z nagród jest ten naszyjnik.

Val nosiła efektowny naszyjnik ze szmaragdów i diamentów. W wieku pięćdziesięciu sześciu lat miała na szyi kilka drobnych zmarszczek, które ów naszyjnik zręcznie zasłaniał. Uszy Val zdobiły diamentowe kolczyki, a na jej ręce lśniła wysadzana diamentami bransoleta. Jasne włosy ułożone miała w wymyślnym stylu, twarz pociągłą i wąską, a usta szerokie. Val była elegancką, przystojną kobietą. Nosiła kremowy żakiet z lnu i ciemnopomarańczową spódnicę, która choć nie była minispódniczką, to jednak

nie sięgała kolan. Sprawiała wrażenie kobiety wyraźnie zadowolonej z siebie i nie szukającej aprobaty innych.

Jack kupił tuzin losów po pięćdziesiąt dolarów za sztukę i podarował je synowej. Loteria przyniosła Lindzie wygraną w postaci owego naszyjnika ze szmaragdami i diamentami. Rozpromieniona Val zdjęła go i przy aplauzie wszystkich zgromadzonych zapięła na szyi Lindy.

Val usiadła potem obok Jacka. Zaczęli gawędzić i żartować. Właśnie to dało początek owym pogłoskom i zanim dobroczynne spotkanie towarzyskie dobiegło końca, pod wielkim namiotem mówiono już, że Valerie Latham-Field i Jack Lear są parą.

Jack nie zdawał sobie z tego sprawy, ale Val wyczuwała takie rzeczy i domyślała się, co jest tematem rozmów. Rozbawiło ją to, więc kiedy Jack zaprosił ją na kolację, szybko się zgodziła. Jack opuścił namiot w towarzystwie Lindy i Val.

3.

W sierpniu spotkali się pięć razy, zwykle idąc na kolację, choć raz wziął ją na mecz baseballowy rozgrywany na nowojorskim Yankee Stadium. We wrześniu postanowił polecieć do Los Angeles, by zobaczyć, jak się rzeczy mają na planie filmu kręconego w Malibu, i poprosił Val, by pojechała tam wraz z nim. To właśnie na pokładzie należącego do spółki LCI odrzutowca, który znajdował się wtedy na wysokości dwunastu tysięcy metrów nad rzeką Mississippi, Jack pierwszy raz pocałował Val. Nie czuł żadnego przymusu, by wywierać na nią nacisk - wszak ilekroć tego chciał, mógł spać z Lindą albo z Rebeccą - i pozwalał, by ów związek rozwijał się powoli. Czuł, że Val była kobietą o szczególnej postawie i godności, i zwykłe dobieranie się do niej, z pewnością by ją odstraszyło. Odkryli, że mają wspólne zainteresowania. Podziwiał Val i lubił jej towarzystwo, ale nie był pewien, czy budzi w nim romantyczne uczucia.

Potem w samolocie poddał się jakiemuś nagłemu impulsowi, by chwycić ją w ramiona i całować. Objęła go i oddała pocałunek.

- Mam nadzieję, że nie będziemy tego żałować - powiedziała.

Siedzieli blisko siebie, Jack obejmował ją ramieniem, ale nie pocałowali się drugi raz podczas tego lotu.

Zapytał, czy zechce dzielić z nim jego hotelowy apartament z dwiema sypialniami. Uśmiechnęła się.

Pojechali na plan i przyglądali się kręceniu filmu. Wieczorem poszli na kolację z Joni, Davidem, Sarą i Brentem, a potem udali się do hotelu.

Kiedy Val otwierała drzwi prowadzące do jej sypialni, Jack pocałował ją znowu. Oddała pocałunek, delikatnie pieszcząc jego wargi.

- To chyba niemądre, prawda? - powiedziała wskazując na dwie pary drzwi do dwóch sypialni, a potem jeszcze szerzej otworzyła drzwi do swego pokoju. - Wejdz.

Val była niezwykła; niezwykła z perspektywy jego doświadczeń. Rozebrała się, położyła na łóżku i czekała na niego. Zapraszała go w siebie. Leżała z szeroko otwartymi oczami, uważnie wpatrując się w jego twarz bez żadnego szczególnego wyrazu na swojej własnej, wyginała się w górę wychodząc naprzeciw jego pchnięciom. Jęczała, a jej oddech stawał się cięższy, lecz wciąż wpatrywała się w jego oczy i uśmiechała się lekko, dopóki nie poczuła, że skończył, a wtedy uśmiechnęła się szeroko i ramionami przyciągnęła go ku sobie. Jack nie chciał pozwolić, by cały jego ciężar opadł na Val, ale ona przyciągnęła go mocno i najwyraźniej rozkoszowała się tym, że ją przygniata.

Uniosła rękę i zmierzwiła mu włosy.

- Jak dotąd wszystko w porządku - powiedziała. - Panie Le Maitre, żyje pan zgodnie ze swoim literackim wizerunkiem.

- Tylko nie to, Val! nie jestem panem Le Maitre.

- Ależ oczywiście, że jesteś. Jak ci się udało aż tak upić tego małego gada zanim wszedł na antenę? Czego mu dosypałeś? Nembutalu?

4. - 1971

Kiedy rodzina zgromadziła się na St. Croix między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, Val była tam również. Jako jedyna w tym towarzystwie umiała jeździć na nartach wodnych. Jack także próbował tego sportu, ale niezmiennie kończyło się to upadkiem.

Gdy reszta rodzinnej grupy wyjechała z wyspy, Jack i Val polecili do New Hampshire, gdzie ona miała domek narciarski. Jack nie uprawiał narciarstwa, ale Val lubiła je ogromnie. Jeździła też na łyżwach.

Po powrocie do Greenwich, wiosną, wprowadziła go w tajniki jeździectwa. Jack jeździł konno, ale nie ukrywał przed nią faktu, że nie sprawiało mu to przyjemności. Kiedy ona brała jakąś przeszkodę, on nawet nie próbował. Potem pojechali na żagle. Przyjaciele Val mieli niewielki jacht, a ona okazała się zręcznym żeglarzem. Jack bardzo się starał. Pociągał za liny kiedy mu kazano, ale nie rozumiał, co robi ani dlaczego, i nie był pojętym uczniem. Co więcej; nie grał również w golfa.

Val była entuzjastką różnych dziedzin sportu, ale nie grała w brydża. Jack nieczęsto grywał w ostatnich czasach, ale wciąż był doskonałym

brydżystą. Znajomi Val znali pasję, z jaką zasiadał do brydżowego stolika. Na jachcie, podczas gdy Val i jej najbliżsi przyjaciele pracowali na pokładzie przy żaglach, Jack i trzej inni zasiadali w kabinie przy stoliku i nieprzerwanie grali w brydża. Bardzo ją to denerwowało.

Życie seksualne układało im się dobrze. Val była odważna i pozwoliła Jackowi wprowadzić się w nowości, których, jak twierdziła, nigdy wcześniej nie próbowała. Spotykając się przez rok, musieli jednak pogodzić się z faktem, że nie byli na tyle dopasowani, by podjąć wobec siebie pełne, wzajemne zobowiązania. Jack nadal zapraszał ją od czasu do czasu na kolację, a ona czasami sypiała z nim w mieszkaniu na Manhattanie. Jednak te okazje zdarzały się coraz rzadziej.

5.

„Kap” Durenberger, skończywszy osiemdziesiąt jeden lat, przeszedł na emeryturę. Ze stanowiska w radzie nadzorczej zrezygnował też bankier Joseph Freeman. Na ich miejsca akcjonariusze wybrali Billy’ego Cottona i Teda Wellmana. Profesor Loewenstein już wcześniej został wybrany na miejsce Paintera.

Pewnego popołudnia Jack dostrzegł w holu Cathy McCormac. Podeszedł do niej.

- Czyżbym pani nie zwolnił? - spytał.
- Tak, panie prezesie - odpowiedziała. - Zwolnił mnie pan. Pięć lat temu.
- A zatem..?
- Pani Carson była tak uprzejma, że przyjęła mnie z powrotem.
- Proszę wejść do mojego gabinetu.

Usiadła. Wciąż nosiła ów biurowy mundur, jakiego wymagał od niej Painter: białą bluzkę i czarną spódniczkę. Jack próbował sobie przypomnieć, ile miała lat; wyobrażał sobie, że dobiegała sześćdziesiątki.

- Zwolniłem panią, ponieważ Dick Painter był kłamcą, oszustem i złodziejem, a pani była jego człowiekiem; jego kobietą, i to pod każdym względem.

Skinęła głową.

- Tak. Byłam. Nie widziałam Paintera od dnia, w którym zamknął pan przed nim drzwi tego budynku. Miał kilka swoich rzeczy w moim mieszkaniu. Nawet po nie nie przyszedł.

- Tak więc pani Carson...
- Zlitowała się nade mną. Znowu byłam bez pracy. Powiedziano mi, że jestem za stara.

- Za stara?
 - Tak, panie prezesie.
 - Po czyjej stronie jest więc teraz pani lojalność, panno McCormack?
 - Moja lojalność zawsze jest po stronie osoby, dla której pracuję. Kiedy pracowałam dla Dicka Paintera...
 - Ale pani nie tylko pracowała dla niego.
 - Nie... - przyznała, spuszczać oczy.
 - Porzucił panią.
 - Prawdopodobnie nie miał innego wyboru. Myślał, że może pójść do więzienia.
 - Miała pani inną pracę, z której kazano pani odejść, mówiąc, że jest pani za stara?
 - Bóg mi świadkiem, panie prezesie, że innego powodu nie było.
 - Nie zamierzałem wyrzucać panią na ulicę, Cathy. Robiła pani na mnie wrażenie piekielnie dobrej sekretarki i sądziłem, że dość łatwo znajdzie pani inną pracę.
- Potrząsnęła przecząco głową.
- To nie było łatwe.
 - Co pani tutaj robi?
- Znowu opuściła oczy.
- Pracuję w zespole sekretarskim.
 - O Boże... - rzucił okiem na zegarek. - Cóż, zdaje się, że pani właśnie wychodziła. Czy zechciałaby pani pójść ze mną gdzieś na drinka?
- Skinęła głową.
- Tak, panie prezesie.
- Z radością przyjęła zaproszenie na drinka w jego mieszkaniu. Zabrał ją na kolację do restauracji „Quilted Giraffe”. Później spędziła z nim noc.
- Sześć tygodni później sekretarka pracująca u niego od dziesięciu lat przeszła na wcześniejszą emeryturę, więc zaproponował tę posadę Cathy McCormack.

6. - 1972

Po świętach Bożego Narodzenia zabrał ze sobą Cathy na St.Croix. Nie było jej przy świątecznym stole w Greenwich i rodzina była bardziej niż trochę zaskoczona jej przybyciem na wyspę. Nikt bardziej od niej nie mógłby różnić się od Valerie Latham-Field, która towarzyszyła tam Jackowi rok wcześniej. Wciąż odważnie nosząca bikini, do czego Jack nakłaniał ją gwałtownie, Cathy zdawała sobie sprawę ze swej dojrzałości.

Inteligentna i łagodna, ale pracowała też jako jego sekretarka i powód, dla którego z nim podróżowała, był aż nazbyt oczywisty.

Jedynym członkiem rodziny Jacka, który w tym roku nie przyłączył się do niego na St.Croix, był MJ. Drużyna „Miami Dolphins” brała udział w rozgrywkach Konferencji Amerykańskiej. MJ przyleciał więc do domu z krótką wizytą na Boże Narodzenie i przywiózł ze sobą jedną z towarzyszących zespołowi dziewczyn, banalną nastolatkę o imieniu Gloria i wspaniałej figurze. Liz nazwała ją „Szcebiotką”.

MJ nie był w stanie się opanować i wciąż zadzierał nosa wobec rodziny. „Miami Dolphins” mieli niezwykle udany sezon, a Howard Cossel nazwał go jednym z najdoskonalszych zawodników.

Liz nie przestała pogardzać swoim bratem. Wiosną skończyła naukę w Princeton i przyjęto ją na wydział prawa Uniwersytetu Harvardzkiego. Cieszyła się z tego wyzwania i marzyła o praktyce prawniczej lub o nauczaniu prawa. Regularnie sypiała z pewnym młodym człowiekiem z Richmond, ale nie poznała jego rodziny ani też nie przywozła go do domu. Miała nadzieję, że gdyby zdecydowała się przywieźć go do Greenwich, nie byłoby tam jej prymitywnego brata.

Córka Joni, Michelle, miała sześć lat. Wiedziała, że David jest jej ojcem i nazywała go tatusiem. Nie była jeszcze na tyle duża, by doznawać jakiegoś zakłopotania z tego powodu, że jej rodzice nie byli małżeństwem. Jack ponaglał ich do ślubu przez wzgląd na dobro Michelle.

Podczas owego tygodnia na St.Croix Joni spostrzegła, że jej ojciec jest właściwie zadowolony. Nie pogodził się ze śmiercią Anny i Joni wiedziała, że to nie nastąpi nigdy, ale przynajmniej wrócił do życia. Ona sama zaś dowiedziała się o ojcu czegoś zaskakującego: że na tym etapie swego życia był zadowolony z losu. W tym roku kończył sześćdziesiąt sześć lat. Firma stawiała przed nim wystarczająco dużo wyzwań, nie potrzebował więc już żadnych innych w życiu osobistym. Joni zrozumiała, że problem z Val sprowadzał się do tego, iż była ona dla Jacka wyzwaniem. Cathy zaś, na ile Joni mogła ją ocenić, nie stawiała żadnych wyzwań. No cóż, jeśli właśnie tego chciał... A jednak Joni nie potrafiła oprzeć się myśli, że jej ojciec był za młody na stagnację. Anna nigdy by na to nie pozwoliła.

7.

W kwietniu, w wieku osiemdziesięciu pięciu lat zmarł Douglas Humphrey. Mary Carson odziedziczyła cały jego majątek, łącznie z udziałami w sieci LCI. Tuż po śmierci ojca zaprosiła Jacka na kolację do

swojego mieszkania na Manhattanie. Powinni omówić sprawy firmy, powiedziała, we dwoje, sami.

Czy dla demonstracji, czy też by odzwierciedlić w ten sposób swoje upodobania, Mary Carson urządziła swoje nowojorskie mieszkanie w stylu południowo-zachodnim, z wełnianymi chodnikami tkanymi przez Indian, wysokimi kaktusami w donicach oraz kanapą i fotelami pokrytymi skórą. W wielkim obrazie wiszącym na ścianie salonu Jack rozpoznał dzieło Georgii O'Keeffe.

Mary miała na sobie strój, który nosiła tego popołudnia w biurze: różową minisukienkę ze srebrnymi guzikami. Wskazała mu fotel.

- Trochę szkockiej? - zapytała.

- Proszę.

Poszła do kuchni, by przygotować drinki, i po chwili wróciła ze szklaneczkami i przekąskami ułożonymi na srebrnej tacy.

- Nie znałeś dobrze mojego ojca - powiedziała. - Był kapitanem piechoty w czasie pierwszej wojny światowej. Odniósł na niej rany i był odznaczony. Po powrocie do domu ożenił się i niebawem został ojcem mojego brata, Douga. Matka Douga zmarła w 1924 roku. Moją matkę ojciec poślubił dwa lata później, a ja urodziłam się w 1927 roku. Doug także był kapitanem piechoty. Zginął w Omaha Beach. Ojciec był zdruzgotany. Moja matka umarła na krótko, zanim go poznałeś. Ojciec zarobił miliony, ale jego życie pełne było tragedii i zawiedzionych nadziei.

- Powiedziałem mu, że jest szczęściarzem, skoro ma ciebie.

Jack wypił nieco szkockiej i sięgnął po przekąskę.

- Zanim usiądziemy do kolacji, omówmy sprawy służbowe i miejmy to za sobą - powiedziała krótko Mary Carson. - Masz sześćdziesiąt sześć lat i podobnie jak mój ojciec nie masz następcy. Och, masz naturalnie wspaniałe dzieci, ale nie masz nikogo, kto zajmie po tobie miejsce prezesa LCI. Mam rację?

- Cóż, sądzę, że tak. Moje dzieci prawdopodobnie nie chcą zajmować mojego miejsca w tej spółce.

Mary położyła dłoń na jego lewej ręce.

- No cóż, a ja chcę - powiedziała otwarcie. - Nie wcześniej niż będziesz do tego gotowy. Nie wcześniej, nim sam będziesz chciał przejść na emeryturę. Jestem dwadzieścia jeden lat młodsza niż ty. Bardzo lubię pracować blisko ciebie, Jack, więc kiedy nadejdzie pora, będziemy mogli dokonać sprawnej zmiany.

Jack pokiwał głową.

- Nie rozważałem jeszcze przejścia na emeryturę.

- Oczywiście, że nie. Nie mówimy przecież o najbliższej przyszłości, ale w końcu... Co ty na to?

- Nie mogę wymyśleć żadnego powodu, żeby powiedzieć nie"
 - Chcę być wiceprezesem zarządu z wyraźną pozycją Osoby Numer Dwa. Numer Dwa. Okay?
 - I znowu nie przychodzi mi do głowy żaden powód, żeby powiedzieć „nie”.
 - Ja sama dam ci taki powód, Jack - powiedziała cicho, a potem spuściła oczy i przez chwilę wydawała się walczyć ze sobą, by zachować zimną krew. - Opowiem ci coś w zaufaniu. W całkowitym zaufaniu, dobrze?
 - Jasne.
 - Pamiętasz moją córkę, Emily? Miała dziewięć lat, gdy ją poznałeś. Kapała się wtedy w basenie mojego ojca - Mary uśmiechnęła się słabo. - Była wtedy goluteńka.
 - I wcale się tym nie przejmowała - przypominał sobie Jack. Mary pokiwała głową.
 - Tak... Ta mała dziewczynka jest już dorosła. I siedzi w więzieniu. Odsiaduje kilkuletni wyrok w federalnym zakładzie karnym dla kobiet w Alderson w Zachodniej Wirginii. Raz w miesiącu latam do White Sulphur, by ją odwiedzić
 - Wielki Boże? Dlaczego jest w więzieniu?
 - Prawdopodobnie dlatego, że ja jestem złą matką. Strasznie krótko ją trzymałam. Więc się wyrwała i uciekła. Zaczęła zażywać heroinę. Została „rewolucjonistką”, członkinią jakiejś grupy anarchistycznej. I to ona jest owym „szkieletem w szafie” twojego przyszłego wiceprezesa.
- Jack potrząsnął głową.
- Nigdy mi tego nie mówiłaś, Mary. Nigdy o tym nie słyszałem. Oczywiście, że jeśli kiedykolwiek wyjdzie to na jaw, powiem, że o wszystkim wiedziałem i tak czy inaczej, wskażę ciebie jako wiceprezesa - zapewnił ją.
 - Dziękuję, Jack.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

1. - 1972

W piątkowy wieczór, 10 listopada 1972 roku, Jack dostał zawału serca przy kolacji z Mary Carson w restauracji „Lutece”. Przewieziono go do szpitala.

Przez pierwszą dobę lekarze nie mieli pewności, czy Jack przeżyje. Mary Carson posłała służbowy odrzutowiec do Los Angeles po Joni i Sarę oraz śmigłowiec do Bostonu po Liz. Drużyna „Miami Dolphins” była właśnie w środku zwycięskiego sezonu i MJ przysłał wiadomość, że przyleci do Nowego Jorku po sobotnim meczu.

Przez dwa dni Jack leżał płasko na plecach, śmiertelnie blady i nieruchomy, oddychając tlenem podawanym przewodami przez nozdrza. Dopiero w niedzielę rozpoznał Joni i uścisnął jej dłoń.

W poniedziałek, 10 grudnia, przewieziono go karetką do domu w Greenwich, gdzie całą dobę towarzyszyły mu pielęgniarki. Poza MJ, którego sezon ciągle trwał, do Greenwich zjechała się cała rodzina.

Wierna domowi Priscilla udekorowała dwie świąteczne choinki: jedną ciętą w salonie, a drugą żywą, rosnącą obok basenu. Dopilnowała też, by w basenie podgrzano wodę, ponieważ kardiolog Jacka zalecał mu pływanie w kamizelce ratunkowej i wykonywanie w wodzie lekkiej gimnastyki.

Jack spędzał większość czasu w oranżerii, z radością przyglądając się, jak córka Joni, mała Michelle, baraszkuje w wodzie. Córka Lindy, Nelly, miała piętnaście lat i przynosiła do oranżerii wiolonczelę, by grać dziadkowi kolędy.

Jack stracił na wadze dziesięć kilogramów, zbladł i zmizerniał. Jednak doktor Philip Hagan, jego nowojorski kardiolog, twierdził, że rekonwalescencja przebiega dobrze. Tydzień przed Bożym Narodzeniem doktor Hagan skierował Jacka do szpitala w Greenwich, aby dokładnie przebadali go tam miejscowi kardiolodzy, którzy zgodzili się,

że pacjentowi pozostały stosunkowo niewielkie trwałe ślady po przebyłym zawale.

Mary Carson uklękła przy stojącym obok basenu leżaku Jacka i pocałowała go w rękę.

- Jeszcze nie teraz, na miłość Boską - wyszeptała. - Chcę zająć twoje miejsce, ale jeszcze nie teraz, do cholery!

Jack skinął głową.

- Jeszcze nie teraz, do cholery! Możesz być pewna!

Na trzy dni świąt przyjechał też MJ i znów przywiózł ze sobą Głorię. Liz z niej szdyziła, ale Jack potrząsnął głową i spokojnie powiedział siostrze, że lubi kochać się z Głorią w basenie; z Głorią, z tą... szczebiotką w opalizującym, szmaragdowym kostiumie bikini.

- Przy niej mi staje - szepnęła. - I jestem cholernie zadowolony, wiedząc, że mogę mieć erekcję.

Doktor Hagan zaprotestował przeciwko dorocznemu wyjazdowi Jacka na St. Croix. Nie chciał, by Jack leciał odrzutowcem, i nie miał zaufania do tamtejszego szpitala. Zasugerował, by Jack pojechał pociągiem do którejś z nadmorskich miejscowości na Florydzie.

Mickey Sullivan, który całkiem niedawno poszedł na emeryturę, dowiedział się o pewnym nadmorskim domu w Deerfield Beach, który można było wynająć. Był on wystarczająco obszerny, by mógł tam przyjechać również emerytowany „Kap” Durenberger ze swoją żoną Naomi i dotrzymywać Jackowi towarzystwa. Co więcej, posiadłość miała także basen oraz pokoje dla Joni i Sary.

Jack zgodził się na tę propozycję i 10 stycznia wsiadł do pociągu. W podróży towarzyszyła mu Linda. Jej ojciec, teraz już admirał Hogan, czekał na nią w Fort Lauderdale, skąd pojechała z nim na kilka dni do Pensacoli. Mickey i „Kap” zawieźli Jacka do Deerfield Beach.

Siedział teraz na plaży, takjak wcześniej, po śmierci Anny, siedział na plaży w St. Croix, wpatrując się w morze i zastanawiając, co mu w życiu pozostało. Hemingway napisał kiedyś, że kiedy człowiek traci optymizm, to czas, by odejść.

Na plaży w Deerfield Beach podszedł do niego jakiś człowiek, który pozbawił go jeszcze większej dozy optymizmu... lub też, gdy Jack zastanowił się nad tym głębiej, obudził w nim nową nadzieję.

Junius Grotius, jak sam się przedstawił, był zasuszonym, ponad siedemdziesięcioletnim człowiekiem. Nosił osobliwą, kwiciastą sportową koszulę, spodnie i słomkowy kapelusz. Usiadł na piasku i rozmawiał z Jackiem jakimś dziwnym, melodyjnym akcentem. Szybko przeszedł do rzeczy.

- Nie zajmę panu zbyt wiele czasu. Może słyszał pan moje nazwisko.

- Słyszałem, panie Grotius.

- A zatem wie pan, że jestem prezesem spółki Wyncherly-DeVere, Limited.

Jack wiedział o tym. WDV było niezwykle konglomeratem mediów i środków informacji, posiadającym sieci radiowe i telewizyjne, gazety codzienne i magazyny, dwie agencje informacyjne i inne dobra.

- Mam nadzieję, iż nie jestem natrętnym sępem, pojawiającym się akurat wtedy, gdy człowiek jest chory - mówił Grotius - ale w takich chwilach nieuchronnie myśli się o zmianach... może o zmniejszeniu ciężaru obowiązków... może o nieznacznym odsunięciu się na bok, aby nieco pełniej cieszyć się tym, do czego doszedł...

- Nie jestem gotów, by cokolwiek sprzedać, panie Grotius.

- Nie oczekiwałem tego już teraz, ale umówmy się, że będziemy w kontakcie. Może przyjdzie nam ochota rozważyć różne rozwiązania. Możemy przecież znaleźć takie, które wyda się panu atrakcyjne.

- Tak... Pozostaniemy w kontakcie - odparł z uśmiechem Jack. - Ja jednak nie myślę jeszcze o wycofaniu się z interesów. Nie straciłem jeszcze całego optymizmu.

2. - 1973

Jack Lear nie był jedynym człowiekiem, który zimą 1973 roku stracił optymizm. Richard Nixon został właśnie ponownie zręcznie wybrany na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Dla wielu Amerykanów prezydent Nixon wraz ze swoją administracją symbolizował świeżo ujawniającą się podłą małoduszność, która zatruwała Amerykę. Wielu dobrze poinformowanych i wtajemniczonych opuściło Waszyngton na jakiś czas, by nie patrzeć na te rytuały, które towarzyszyły inauguracji drugiej prezydentury Nixona.

Jedną z owych osób, które opuściły stolicę, była kongresmenka z New Jersey, Diana Hechler. Reprezentowała ona w Kongresie szesnasty dystrykt składający się z kilku hrabstw leżących na zachód od stolicy dystryktu, którą było New Jersey i chociaż należała do Republikanów, gardziła Nixonem. Zwolniła się ze wszystkiego, co wiązało się z tą inauguracją, tłumacząc się, że cierpi na chroniczny bronchit, i mówiąc, że zalecono jej spędzenie kilku dni na słońcu.

Spędzała właśnie miesiąc w letnim domu pewnej rodziny z jej okręgu wyborczego. Dom ów leżał w odległości kilkudziesięciu metrów od domu wynajmowanego przez Jacka, zaś ona sama kilkakrotnie przechodziła obok Jacka na plaży, a potem pewnego ranka przystanąła i przywitała się.

- Pan Jack Lear, prawda? Sieć telewizyjna LCI?
- A pani, jak rozumiem, jest kongresmenką Dianą Hechler? - odpowiedział, wstając.
- Och, niech pan siada i odpoczywa - powiedziała. - Czyż nie dlatego jesteśmy w tym upiornym miejscu? Odpoczywajmy.
- Upiorne miejsce... - roześmiał się. - Dzięki Bogu, że niejajeden tak myślę.

Usiadła obok. Fale dobiegały do ich stóp. Jack chciał się cofnąć, ale przypuszczał, że ta kobieta pozwoli wodzie opływać się dookoła. Zanim jeszcze przystanęła, by z nim porozmawiać, dostrzegł w niej buntowniczą, śmiałą i ryzykancką duszę. Dostrzegł ją w sposobie, w jaki szła z założonymi ramionami, i w tempie, z jakim przemierzała piasek.

Miała czterdzieści siedem lat. Była wysoka i szczupła, a jej piersi wyraziście wypełniały górę kostiumu kąpielowego. Jej fryzurą i kolorem włosów, domyślił się Jack, z pewnością zajmował się profesjonalista. Czerwony kostium bikini pokazywał trochę ciała poniżej pępka, ale nie odsłaniał pośladków.

- Czytałam o pańskim zawale i wiem, dlaczego pan tutaj przebywa - powiedziała. - Przykro mi, ale ja wiem o panu więcej, niż pan o mnie.
- No cóż, sprawdźmy - odparł. - Wiem, że zasiada pani w Kongresie po raz któryś z kolei...
- Po raz czwarty.
- Po raz czwarty. A zatem wiedziałem, że nie po raz pierwszy. Wierzę, że jest pani Republikanką...
- Niezależną republikanką.
- To właśnie najlepszy rodzaj. I... i chyba na tym kończy się moja wiedza.

- Jestem po czterdziestce - powiedziała. - Nigdy nie byłam zamężna i nie mam dzieci. Jestem nie tylko politykiem, ale i prawnikiem. Lubię baseball i futbol. Lubię chodzić po galeriach sztuki, ale nie znoszę siedzenia cicho i nudzenia się na koncertach. Nie mam nic przeciwko godzinnym spacerom po plaży, ale chętnie zagrałabym w karty, a potem poszłabym na koktajl i miłą kolację.

3.

Usiedli przy stoliku pod szerokim oknem, które spoglądało na gniewny przypływ uderzający o piasek plaży miasteczka Frot Lauderdale i podnoszący wodę aż do pali, na których wspierała się restauracja.

Diana piła wytrawne martini, a Jack szkocką.

Rozmawiali o polityce lat siedemdziesiątych. Jack był zaskoczony niektórymi jej opiniami i musiał przyznać, że sam nigdy nie poświęcił wystarczającej uwagi sprawom, o których teraz mówiła. Mówiąc o zwycięskim sezonie drużyny „Miami Dolphins” potwierdziła, że widziała MJ w telewizji. Jack odparł na to, że po Superpucharze MJ przyjedzie do Deerfield Beach z wizytą, na co Diana odparła, że żałuje, iż go nie pozna, bo do tego czasu będzie musiała wrócić do Waszyngtonu.

Wypiła ostatni łyk martini i skinęła na kelnera. Miała na sobie prostą białą sukienkę bez ramiączek, która podkreślała jej biust. Dopasowany do niej żakiet wisiał na oparciu krzesła.

- Jack - powiedziała - chętnie popłynęłabym na ryby. Masz ochotę?

- Jak to zrobić?

- Och, możemy wynająć rybacką łódź z kapitanem i popłynąć ku prądowi zatokowemu, aby zobaczyć, co się da złowić. Nigdy tego nie robiłam i chętnie uwolniłabym się od tej nudy, jaką jest dziesięć dni na Florydzie.

- Nie jestem pewien, co powiedziałby na to mój kardiolog.

- Chrząż swojego kardiologa - odparła, śmiejąc się szeroko. - Posłuchaj, Jack, o życie należy dbać, to pewne, ale trzeba się nim także cieszyć. Ono nie służy tylko do tego, by je wyłącznie ciuć niczym grosz do grosza. Co chcesz robić? Zaprzestać życia, by móc żyć dalej?

Jack pokiwał głową.

- Moja żona Anna przez blisko trzy lata wiedziała, że umiera. Trzymała to w sekrecie przed nami i żyła tak, jakby się nic nie stało; żyła tak niemal do ostatniej chwili.

Wargi mu zeszczytniały, ale się opanował i powstrzymał łyzy. Diana pogłaskała jego dłoń.

- Kiedy możemy wypożyczyć tę łódź? - zapytał szeptem.

4.

Rybacka łódź wypłynęła z zatoki o wpół do dziewiątej następnego ranka. Wyboru dokonała Diana: owa łódź była niewielkim, prostym, nie zbyt okazałym kutrem prowadzonym przez sześćdziesięcioletniego kapitana i jego kilkunastoletniego pomocnika. Białą burtę zdobiła jasnoniebieska balustrada, pokład zaś nie był pokryty pokostem lecz farbą. Jedna lodówka wypełniona była przynętą, a druga piwem i kanapkami. Diana i Jack mieli na sobie to, w co kazano im się ubrać: bawełniane koszule z drugimi rękawami dla ochrony ramion przed słońcem i kapelusze o szerokich rondach, które miały osłaniać czoła i karki.

Kapitan udzielił Jackowi i Dianie krótkich instrukcji, jak trzymać rybę, jeśli zdołają ją złowić, a pomocnik założył przynętę na wędki i wskazał odpowiednie miejsce na pokładzie.

Przez godzinę nie złowili niczego. Potem przynęta na wędce Jacka przynęciła pierwszą rybę. Wyciągnął kilkunastocentymetrową makrelę, z której pomocnik kapitana wyciął filety, a resztki wyrzucił za burtę. Diana także złowiła makrelę. Chłopiec włożył ją do lodówki. Ta ryba miała się znaleźć na stole jego rodziny lub w domu kapitana.

Oboje, Diana i Jack, sączyli piwo. Kapitan zmienił kurs, goniąc coś, co, jak mu się wydawało, zobaczył w wodzie, a co mogło wskazywać na ławicę. Teraz brzeg zniknął z pola widzenia.

Jack cisnął za burtę puszkę po piwie i po minucie poczuł mocne szarpnięcie wędki.

- Boże - rzekł - chyba coś mam. Spraw Panie, żeby ta ryba nie splątała sieci... - przypominał sobie Hemingwaya.

Zadanie okazało się trudniejsze i walka bardziej zacięta, niż to sobie wyobrażał. Widział wielką rybę, która była zdecydowana walczyć z haczykiem wbitym w jej pysk. Chłopiec przejął ster, a kapitan stanął z niepokojem koło Jacka, udzielając mu instrukcji, jak ma sobie poradzić. Było to niełatwe. Jack musiał unieść wędkę, aby przyciągnąć rybę trochę bliżej kutra, następnie zaś nawinąć linkę, a potem jeszcze raz i jeszcze... Zaczął się pocić.

Diana odpięła pas, którym była przymocowana do swego krzesła, i stanęła za Jackiem. Starła mu pot z czoła rękawem swojej koszuli.

Oddychał coraz ciężej.

- Jack, może powinienes pozwolić, by kapitan przeciął linkę i puścił ją wolno.

Jack spojrział na nią rozszerzonymi oczami.

- W żadnym razie - mruknął. - Ten sukinyński sum mnie na pewno nie pokona.

To on pokonał rybę po półgodzinnej walce. Jednak ona pokonała go także. Gdy sum był już na pokładzie, Jack zsunął się z krzesła, padł na plecy i leżał na wznak obok złowionej ryby. Kapitan krzyknął na chłopca, by kierował kuter ku brzegowi.

- Nie - mruknął Jack. - To tylko krótki brak tchu. Wszystko w porządku. Za dwie minuty wszystko będzie w porządku. Diana jeszcze nie złowiła swojej ryby.

Diana uklękła obok i pocałowała go.

Po dwóch minutach, tak jak wyliczył, Jack wstał i usiadł na krześle.

- Płyniemy w morze - powiedział. - O co chodzi? Nigdy przedtem nie widzieliście zmęczonego starszego pana?

Kapitan spojrział na Dianę. Skinęła głową. Kapitan wydał pomocnikowi polecenia, by płynąć w morze. Diana sięgnęła do lodówki po kanapki i piwo, a potem usiadła na pokładzie obok Jacka. Kapitan zmierzył rybę i oświadczył, że ma prawie dwa metry długości, co nie czyni jej zdobyczą rekordową, ale z pewnością jest godne uznania.

Jack nie zarzucił już wędki ponownie. Siedział teraz na swoim miejscu i przyglądał się Dianie. Złowiła kolejną makrełę, a potem półtorametrową barrakudę, z którą stoczyła długą walkę i która stała się kolejnym, godnym uwagi trofeum.

Wczesnym popołudniem wzięli kurs na brzeg. Kapitan zasugerował, by skryli się przed słońcem. Weszli więc do urządzonej po spartańsku kabiny i usiedli na ławce, gdzie kierowany impulsem, Jack objął Dianę ramieniem i mocno pocałował. Ona, ulegając temu samemu odruchowi, objęła go i oddała pocałunek.

- Wiesz co - zamruczał jej do ucha. - Przywróciłaś mi coś, co straciłem i czego okropnie potrzebowałem.

- Co takiego? - szepnęła.

- Optymizm - odparł. - Jesteś tchnieniem optymizmu. Nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo to doceniam, jak bardzo doceniam... ciebie.

Diana wiedziała, że nie może zostać na Florydzie dłużej niż do końca stycznia. Jack miał tam jeszcze spędzić cały luty.

Służbowy samolot wezwany przez Jacka na lotnisko w Fort Lauderdale wystartował do Waszyngtonu w czwartek 1 lutego unosząc na pokładzie jego i Dianę.

Zanim Diana wysiadła z tego samolotu w Waszyngtonie, wymienili pocałunek, a on obiecał, że wróci do Waszyngtonu przed upływem dwóch tygodni.

5.

Mary Carson zwołała zebranie w Petroleum Club w Houston. Pewnego marcowego wieczoru usiadła tam z Billym Bobbem Cottonem i Raymondem L'Enfantem.

Po drinkach i kilkuminutowej pogawędce zadała im jedno pytanie.

- Czy któryś z was widział ostatnio Jacka Leara?

- Nie widziałem go od czasu jego zawału - odparł Ray, a Billy Bob jedynie pokręcił przecząco głową.

- Cóż, nie zajmował się interesami przez trzy miesiące. Po śmierci żony nie było gojeszcze dłużej. Mówiąc z brutalną szczerością; sądzą, że

Jack się kończy. W tym roku skończy sześćdziesiąt siedem lat, przeszedł rozległy zawał serca i czuje za plecami kostuchę.

- Wolałbym, żebyś tak nie mówiła - powiedział Billy Bob. - Ja sam skończę niebawem sześćdziesiąt pięć lat.

- Ale ty nie miałeś zawału - ostro stwierdziła Mary. - Najważniejszy zaś w tej sprawie jest fakt, iż Jack stracił zainteresowanie dla firmy. Jeśli chcecie znać prawdę, panowie, Jack Lear nigdy nie był całkowicie oddany sieci LCI. Prawda jest taka, że zawsze zbyt dużo energii poświęcał innym sprawom.

- Wytwórnia Carlton House... - rzekł Ray.

- No cóż, wytwórnia... życie osobiste... - mówiła dalej Mary. - Jason Maxwell nie bez przyczyny opisał go jako pana Le Maitre. Wiecie, z kim on teraz sypia? Z Cathy McCormack, dawną sekretarką Dicka Paintera! Chryste, ona ma sześćdziesiąt dwa lata! Ciekawe, że nie dobierał się do mnie!

- Jesteś rozczarowana? - zapytał Ray z rozbawieniem.

- W pewnym sensie - odparła, uśmiechając się równie szeroko jak on. - Ale teraz Jack nie zajmuje się interesami z całkiem innego powodu. Ma przyjaciółkę. Moim zdaniem wygląda to na coś poważnego. To kongresmenka z New Jersey. Nazywa się Hechler. Jack dwa razy w tygodniu lata służbowym samolotem do Waszyngtonu.

- Dlaczego o tym rozmawiamy, Mary? - zapytał niecierpliwie Billy Bob. - Prosząc, żebyśmy tu przyjechali, musiałaś mieć coś na myśli.

- I mam. Myślę, że powinniśmy zacząć rozważać kwestię następcy Jacka.

Billy Bob potrząsnął głową i zmarszczył brwi.

- Chcesz przez to powiedzieć: pozbawić go zarządzania spółką?

- Zatrzymalibyśmy go jako prezesa rady nadzorczej, pozwalając zachować gabinet i dochody, ale ktoś inny sprawowałby codzienny nadzór wykonawczy...

- Ktoś inny, to znaczy ty - rzekł Ray.

- Przedsiębiorstwo nie może być kierowane przez kogoś, kto nie poświęca mu się całkowicie. Dyrektor wykonawczy pracuje czternaście godzin na dobę. Jack Lear nie pracował tak nigdy... a przynajmniej odkąd ja zorientowałam się w sprawach LCI.

- Cóż, musielibyśmy to przegłosować na zebraniu akcjonariuszy.

- Każdy z was, panowie, posiada pięć procent akcji - powiedziała Mary. - Mój ojciec zostawił mi także pięć procent, sama dokupiłam w sekrecie kolejne trzynaście procent. Nie dokonałam owego zakupu na własne nazwisko, ale mam kontrolę nad tymi akcjami. Mam więc osiemnaście procent, a wy dziesięć. Dick Painter wciąż ma jeden procent,

jaki otrzymał, gdy przystępował do spółki, i z pewnością będzie z nami. Łącznie daje to dwadzieścia dziewięć procent, co wystarczy, by przejąć kontrolę...

- Nie zapominaj, że Jack ma własnych sprzymierzeńców. Harrison Wolcott miał sześć procent akcji, które zapisał Joni i Lindzie, Joni dokupiła sobie kolejne dwa procent. Frederick, Durenberger, Morrill i Sullivan mają po jednym udziale, co czyni kolejne 4 procent i prawdopodobnie będą głosować za Jackiem. Dwuprocentowy udział ma także Sally Allen, która prawdopodobnie uważa, że coś Jackowi zawdzięcza. On sam ma oczywiście swoje dziesięć procent. Podliczyłaś to wszystko?

- Okay, razem daje to dwadzieścia cztery procent, co nie dorównuje dwudziestu dziewięciu procentom. Poza tym możemy znaleźć jakichś... pełnomocników.

- On także może to zrobić, a ma cholernie duże nazwisko - przypominał jej Ray.

- Pozwólcie, że dodam coś do tego równania - rzekła Mary. - Nie sądzę, by Jackowi szczególnie na tym zależało i nie sądzę, że będzie walczył. Musimy tylko rzucić mu jakąś kość, aby mógł zachować twarz, a wtedy wrzuci ramionami i odejdzie. Możecie być pewni.

Billy Bob był innego zdania.

- Ja bym na to nie liczył, Mary - powiedział. - Jack Lear nie jest typem człowieka, któremu można rzucić kość. On zbudował to przedsiębiorstwo. Zbudował je z niczego. I z pewnością go nie porzuci.

Ray L'Enfant westchnął głośno.

- To byłby koniec pewnej epoki - rzekł ze smutkiem.

- Wszystko ma swój koniec - powiedziała Mary. - To, co dobre, i to, co złe.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

1. - 1973

Joni trzymała w dłoni penis Davida.

- Wiesz, co najbardziej podoba mi się w twoim koguciku? - zapytała.

- Chyba nie jego wielkość - rzekł. - Nie jest szczególnie wyjątkowa.

Trzymając wargami napletek, przebiegała teraz po nim językiem. Wsparły na ramionach David wydał z siebie głębokie westchnienie.

- Zamierzam ci coś wyznać - powiedziała. - Tylko dwie żyjące osoby wiedzą o tej sprawie. Widzisz więc, jak ci ufam. Podoba mi się twój kogucik, ponieważ jest bardzo podobny do pierwszego, jakiego kiedykolwiek zobaczyłam i pieściłam. Chcesz wiedzieć, do kogo należał?

David uniósł brwi w wyrazie sceptycznego zdziwienia.

- Czy ja chcę to wiedzieć?

Joni pochyliła głowę i przebiegała językiem po jego kroczu.

- Zamierzam ci powiedzieć. Należał do mojego brata. Mój brat był podobny do ciebie. A ja lubię koguciki, które nie zostały chirurgicznie okaleczone przez obrzezanie.

- Ty i twój brat?!

- Mój brat, który zginął. Ssałam jego kogucika. Chcesz wiedzieć dlaczego go ssałam? Bo kiedy robiliśmy to inaczej, zaszłam w ciążę. Musiałam poddać się aborcji, mając czternaście lat.

- Wielki Boże!

- Kochałam go. A on kochał mnie. Chcę przez to powiedzieć, że łączyła nas również taka miłość, oprócz tego, że kochaliśmy się jak rodzeństwo. Nauczyłam się ssać kogutka bardzo wcześnie - uśmiechnęła się Joni. - Nie jest to przykra nauka i nieźle jest to umieć. Być może jestem ostatnią wielką gwiazdą, która...

- Nie oszukuj się. Wiem, że to się już chyba nie zdarza, ale pieniądze, blask i sława, jakie się z tym wiążą...

- To kwestia siły, nieprawdaż? - powiedziała Joni. - Wszak takie rzeczy zdarzają się zawsze i wszędzie. Nie rozdieram szat w związku z tą sprawą. Nikt mnie nie zmuszał ani nie gwałcił. Nie było to dla mnie szczególnie ciężką próbą.

- To upokarzające, poniżające...
- Za pierwszym razem tak.
- Robiłaś to więcej niż jeden raz?
- Bądź realistą, Davidzie.
- Ostatnio także?
- Nie, ostatnio nie. Och, zmieńmy temat. Wybieram się na kilka dni na Wschodnie Wybrzeże. Mam nadzieję, że będziesz mógł pojechać ze mną.
- Wyjazd z tobą zawsze przypomina podróż do nieba.
- Jedziemy na wesele. Mój ojciec żeni się ponownie.
- Dość szybka decyzja, prawda?
- Mówi, że w jego wieku nie ma czasu na długie zaloty.

2.

Diana Hechler była dla wszystkich zaskoczeniem.

Kimberly i Anna były olśniewającymi pięknościami. Diana była niewątpliwie przystojną kobietą, ale nie należała do tych, za którymi oglądano się na ulicy. Miała pociągłą, szczupłą twarz, szare oczy pod nieco opadającymi powiekami i szerokie usta o wąskich wargach.

Była wysoka i miała skłonność takiego unoszenia brody, że wielu ludzi, widząc ją po raz pierwszy, sądziło, że jest wyniosła i zarozumiała, ale już pierwsze spędzone z nią minuty rozwiewały to wrażenie. Nigdy nie traciła ani odrobiny godności, ale łagodziła ją błyskotliwym poczuciem humoru.

Już na tydzień przed ślubem znaczna część rodziny Learów przybyła do towarzyskiego klubu w New Jersey, gdzie setka polityków i prawników zgromadziła się na koktajlu gapiąc się z otwartymi ustami na telewizyjnego magnata, który żenił się z ich przedstawicielką w kongresie.

- Wszyscy chętnie zrobilibyśmy to, co ty - powiedział Jackowi jeden z polityków. - To najwspanialsza dziewczyna na świecie!

Rodzice Diany powitali Jacka z entuzjazmem. William Hechler był praktykującym obrońcą sądowym, wyrażał się typowym dla wziętych adwokatów kwiecistym stylem czemu towarzyszyły teatralne gesty. Córka przed wejściem do Kongresu praktykowała w jego kancelarii adwokackiej. Diana była podobna do swojej wysokiej i smukłej matki.

Siostra Diany, Nelle Davidson, w niczym nie przypominała matki. Była trzy lata starsza od Diany, i teraz, gdy już odchowała dzieci, najchętniej popijała w klubie.

- Powinien pan tu być dwadzieścia lat temu - mówił Jackowi ten sam polityk z szerokim uśmiechem. - Nelle grywała tu wtedy w golfa. Na czternastej pozycji. Nosiła skape szorty i stanik. Gdy uderzała piłkę, wyskakiwały jej cycki. Nie wiedziała o tym, bo patrzyła tylko na piłkę. Żaden z facetów grający w pobliżu nie miał pojęcia, gdzie potoczyła się jej piłka, zapewniam pana!

Syn Nelle, George, był, jak się okazało, przypadkowym znajomym Liz Lear. Widywali się w bibliotece harvardzkiego Wydziału Prawa. Był rok wyżej niż ona. Towarzyszył jej teraz, jakby już wcześniej zostało to ustalone, że owego wieczoru będzie jej partnerem.

Ślubne prezenty z New Jersey prezentowano w sali sąsiadującej z jadalnią. Podarunkiem od rodziców Diany był srebrzystoszary mercedes zaparkowany na zewnątrz. Koledzy Diany z Partii Republikańskiej okręgu New Jersey podarowali nowożeńcom zestaw sreber, a prezydent Nixon i jego małżonka przysłali cenny komplet składający się z dzbanuszka do śmietanki i cukiernicy z wygrawerowanym godłem Stanów Zjednoczonych.

Rodzina Learów przyciągnęła dziennikarzy i kamerzystów, którzy czytali wizytówki i robili notatki.

Wokół Joni roił się tłum fotoreporterów. Jeden z nich miał śmiałość zapytać, kim jest śliczna siedmioletnia Michelle.

- Nie twój pieprzony interes - odpowiedziała.

Jednak zarówno Joni, jak jej ojca przyćmił blask wielkiej gwiazdy footballu, MJ Leara, któremu wciąż towarzyszyła „szczebiotka” Gloria. MJ miał dojmującą potrzebę reklamy i Gloria nosiła zawsze plik jego błyszczących fotografii, które z ochotą podpisywał na każdą, choćby najmniejszą prośbę.

Liz wciąż gardziła bratem-futbolistą i była zadowolona, widząc, że George nie podjął żadnej próby, by go poznać.

Po koktajlu rodziny zgromadziły się w prywatnej sali jadalnej. Diana zabroniła wygłaszania jakichkolwiek mów i toastów, a wcześniej tak ułożyła na stole bilety wizytowe, by pomieszać ze sobą dwie rodzinne grupy. Będąc dobrą obserwatorką, wślizgnęła się do sali jadalnej tuż przed kolacją i przeniosła wizytówkę Georga na miejsce obok Liz.

Przed północą George zapukał dyskretnie do drzwi pokoju Liz w motelu, gdzie zatrzymała się rodzina Learów. Pozwoliła mu wejść. Wyszedł o szóstej następnego ranka.

3.

Ślub odbył się w czwartkowe przedpołudnie, 12 kwietnia, w salonie domu w Greenwich. Uroczystość poprowadził kapłan z Kościoła Metodystów w Diamond Hill. Diana miała na sobie sięgającą do kolan białą suknię z jedwabnego brokatu, a w dłoniach trzymała niewielki bukiet z białych kwiatów. Po krótkiej ceremonii nowożeńcy, ich rodziny oraz najbliżsi przyjaciele i sąsiedzi zasiedli do śniadania z szampanem. Tego samego dnia Jack i Diana udali się na lotnisko Westchester, skąd służbowy samolot Jacka zabrał ich do San Francisco. Noc poślubną zamierzali spędzić w tamtejszym hotelu Fairmont, a rano odlecieć do Tokio. Trasa ich podróży poślubnej wiodła przez Tokio, Hongkong, Bangkok, Tahiti, Hawaje, a kończyła się powrotem do San Francisco.

W hotelowym apartamencie zjedli lekką kolację. Wymieniając pieśz-czoty i uśmiechy, myśleli o łóżku, które na nich czekało.

Diana już wcześniej powiedziała mu, że jest dziewicą. Miała czterdzieści siedem lat i nigdy nie była w łóżku z mężczyzną. Rozmawiali o tym przy kolacjach i w czasie podróży. Nie chciała, jak mówiła, robić tego dorywczo i nigdy nie spotkała żadnego wolnego mężczyzny, z którym sama chciałaby się związać. Nie popadła też w determinację z powodu braku życia seksualnego, ale sposobności do jego zainicjowania było coraz mniej.

Jack nigdy nie posunął się dalej niż do przytulania jej i całowania. Nigdy jej nie rozbierał, nie pieścił też jej piersi ani nóg. Zastanawiał się, jak by zareagowała, gdyby to zrobił.

Gdy skończyli kolację, poprosiła, by został w salonie, a sama poszła do sypialni, by się przebrać.

- Siostra pomogła mi wybrać nocną koszulę, mam nadzieję, że jest...

Kiedy się przebierała, Jack wysunął na korytarz wózek z kolacyjną zastawą, zostawiając jedynie butelkę szampana w kubełku z lodem.

Po chwili Diana otworzyła drzwi sypialni. Oblamowany koronką jedwabny stanik unosił jej piersi, a doszyta do niego połyskliwa biała jedwabna koszula miękko opadała do jej kostek... ale tylko po bokach, bo długi klin przejrzystej tkaniny zaczynający się od środka piersi i rozszerzający ku dołowi odsłaniał ją całą, od biustu aż po kostki.

Zatrzymała się w drzwiach i uśmiechnęła do niego. Pierwszy raz widział Dianę pozbawioną pewności siebie. Uświadomił sobie, że w pewnym sensie poślubił odpowiedniczkę nastolatki. Nigdy przedtem nie pokazywała się żadnemu mężczyźnie i nie była pewna, czy mu się spodoba. Co więcej, lękała się tego, co miało zdarzyć się później.

- Jesteś wspaniała - powiedział łagodnie - a ta koszula jest piękna.

Doskonała - po tych słowach wstał i podszedł do niej. - Jestem najszczęśliwszym mężczyzną na świecie i mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo cię kocham.

Kiedy zobaczyła jego penis, powiedziała, że jest pierwszym męskim członkiem, jaki widzi. Oczywiście, wcześniej widywała męskie genitalia na obrazach i fotografiach, ale nie wyobrażała sobie, że organ jej męża będzie tak duży.

- Oooch! - wyszeptała. - To wejdzie we mnie? Całe?

- Kiedy się w tobie znajdzie - odparł Jack z uśmiechem - zmarszczysz brwi i zapytasz: „Wszedł już cały?”

Zdobyła się na krótki, nerwowy uśmiech.

Po kilku minutach uścisków i pocałunków pomógł Dianie zdjąć tę piękną nocną koszulę, a kiedy patrzył na jej nagie ciało, naprawdę się zarumieniła.

W bolesne zakłopotanie wprawiały ją własne piersi, które były duże i miękkie. Uwolnione z niewoli stanika zwiślały teraz niczym dwa dojrzałe grapefruity niemal do dolnych żeber. Jack pochylił się pocałował każdy sutek, a potem uniósł i ścisnął lekko każdą pierś, pomrukując przy tym z zachwytem.

Potem wsunął rękę między nogi Diany i pocierał jej łono. Wydała z siebie ciche westchnienie i zamknęła oczy. Była całkiem sucha, więc gdy usiedli na łóżku, nie przestawał pocierać ją tam delikatnie, powoli wchodząc w nią palcem, aż zwilgotniała i zrobiła się śliska.

Łagodnie skłonił ją, by położyła się na plecach i rozłożyła nogi, po czym - tak jak wcześniej palcem - dotykał ją i pobudzał penisem, a kiedy uznał, że jest gotowa, przerwał i uśmiechnął się, jakby polecając jej powiedzieć „nie”, gdyby było inaczej. Nie zrobiła tego, więc się w nią wcisnął. Znieruchomiała, a potem westchnęła i rozluźniła się, a on delikatnie posuwał się dalej.

Początkowo leżała biernie z zamkniętymi oczami, przyjmując i ucząc się męża, ale już po chwili zaczęła płonąć i szerzej rozkładając nogi zapraszała go głębiej. Wcześniej nie był pewien, czy tej kobiecie spodobają się cielesne rozkosze, ale najwyraźniej znalazła w nich przyjemność, co ogromnie go ucieszyło.

- Czy jestem dobrą żoną, mężu? - zapytała szeptem, gdy później leżeli obok siebie.

- Jesteś cudowna.

4.

Diana wiedziała że dwie poprzednie żony Jacka były wyjątkowymi pięknosciami i że Annę wielokrotnie nazywano jedną z dziesięciu najlepiej ubranych kobiet Ameryki. Jack nieustannie zapewniał ją, że jest nieporównywalna z kimkolwiek i nie konkuruje ani z żadną osobą, ani z niczym wspomnieniem, ale ona postanowiła uczynić się równie kochaną i pożądaną jak wszystkie inne kobiety w jego życiu. Wydawało jej się, że jednym ze sposobów, by to osiągnąć, mogło być okazanie większej śmiałości w pożyciu intymnym niż wszystkie jego poprzednie kobiety.

W Tokio, w sklepach na Ginzie, kupowała śmiałą bieliznę.

- Gdyby w kraju zobaczono mnie w takim sklepie, skandal kosztowałby mnie wiele. Więc kupujmy, co tylko możemy, dopóki możemy.

W jakimś sklepie w Bangkoku dostrzegli i kupili coś, czego żadne z nich nigdy przedtem nie widziało ani nie miało pojęcia, że takie coś w ogóle istnieje: klipsy na sutki. Były dokładnie takie jak małe klipsy na uszy, z tą tylko różnicą, że zacisk nie był tak silny, a sutki chroniła guma. Mała gwintowana śrubka regulowała ich wielkość i szczelność. Sprzedawano je w parach, połączone łańcuszkiem.

Tej nocy w hotelowym pokoju Jack ugniatał palcami sutki Diany dopóki nie stwardniały, a potem umocował owe klipsy na ich napęczniałych pączkach. Jeden odpadł, więc Diana sama dokręciła regulującą śrubkę, by później móc paradować po pokoju z łańcuszkiem kołyszającym się między piersiami.

Jack przyznał, że widok owych klipsów na jej sutkach rzeczywiście go podnieca. Diana zaś powiedziała, że nie są bolesne, wręcz przeciwnie: działają podniecająco. Śmiała się, poruszając piersiami i kołyszając łańcuszkiem.

Ten niezwykły sklep oferował także klipsy do warg sromowych. Ponieważ klipsy sutkowe okazały się bezbolesne i podniecające, Diana i Jack wrócili tam następnego dnia i kupili jedną parę tych drugich. Były znacznie większe i cięższe. Szerokie jak środkowy palec i wykonane z nierdzewnej stali nie miały ochronnej warstwy gumy. Nie można ich było dopasowywać, ale po prostu zaciskały się ciasno na sromowych wargach. Także i te klipsy były połączone krótkim łańcuszkiem, który zwisał między nogami. Ich ciężar i łańcuszek wyraźnie ją ciągnął. Przyznała też, że klipsy wargowe trochę kaleczą, ale uparła się, że ponosi je przez chwilę. Jak się okazało, nosiła je aż do wyjścia na kolację i prosiła Jacka, by zapiął je na niej znowu, gdy tylko wrócili.

Z wyjątkiem owego pierwszego razu, gdy sama dokręciła mocujące śrubki w klipsach sutkowych, Diana nigdy ich nie dotykała. Chciała, żeby

Jack zakładał jej tę ozdobę i żeby to on ją zdejmował. Były nowością, którą nosiła każdej nocy, do końca ich poślubnej podróży.

5.

Nowojorskie mieszkanie na Manhattanie było prawdopodobnie tym miejscem, które najpełniej odzwierciedlało gust, upodobania i zainteresowania zmarłej Anny. Diana to wyczuwała, ale nie podjęła żadnej próby, by to zmienić. Wciąż wisiał tam fragment obrazu ołtarzowego Grunewalda i wykonany przez Durera jego własny akt. Pulchna kilkunastoletnia naga piękność Bouchera, podarunek Dziesiątego Lorda Weldon, wisiała tam także, Jack powiadomił Lorda, iż obraz wróci do Anglii po jego śmierci. Nadal zwisała również z sufitu ruchoma rzeźba Caldera, a prekolumbijski dzban o erotycznym charakterze stał na empirowym sekretarzyku.

Diana wiedziała, że nie jest tak subtelna, jak jej poprzedniczka, i nawet nie próbowała dorównać Annie. Jack nie mógł się jednak oprzeć, by od czasu do czasu nie porównywać obydwu kobiet. Kiedy to robił, wspomnienie tego, jaka była Anna przynosiło mu ból, ale trapiła go również myśl, że Diana mogła sobie w ogóle wyobrażać, iż będzie oczekiwał, że zastąpi mu zmarłą żonę. Nie oczekiwał tego od Diany, nie chciał, by starała się być Anną. Była Dianą i wniosła w jego życie więcej, niż mógł się spodziewać.

Teraz na kanapie nowojorskiego mieszkania siedział wygodnie Billy Bob Cotton i właśnie przyjął od Jacka szklaneczkę whisky z lodem. Wciąż nosił buty z wężowej skóry, które Jack nauczył się rozumieć jako jego „znak firmowy”, a także kremowy pilśniowy stetson, który zostawił w przedpokoju. Gawędzili przez kilka minut, a potem gość przeszedł do rzeczy.

- Zrozum, nikt nie wie, że tu przyszedłem - zaczął.

Jack spojrzał na Dianę.

- To brzmi złowieszczo - rzekł. - Nieprawdaż?

- Cóż, muszę z tobą porozmawiać o interesach. Ale... może nie powinienem tego wywlekać przed panią Lear.

- Uważaj ją za mego doradcę - odparł Jack. - Moja żona jest doświadczonym i bardzo zręcznym adwokatem.

Billy Bob skłonił się Dianie.

- No cóż, Jack, jesteśmy wieloletnimi przyjaciółmi. Czasami przypominam sobie, jak pojechaliśmy do Oklahomy i obserwowaliśmy tornado zmierzające na południe. Dobrze nam się również razem pracowało, prawda?

- Bardzo dobrze, Billy Bob.

- Właśnie dlatego mam zamiar coś ci powiedzieć, chociaż niektórzy ludzie wyobrażają sobie, że tego nie zrobię. Jack, zanosi się na spisek, mający na celu wykopanie cię w górę. Zmowa zmierza do tego, żeby zrobić cię prezesem rady nadzorczej, a rzeczywistą władzę nad spółką oddać w ręce Mary Carson.

- Wcale nie jestem zaskoczony - odparł ponuro Jack. - Wykorzystała pieniądze ojca na kupno udziałów i jest teraz największą akcjonariuszką.

- Musisz podjąć jakąś decyzję - rzekł Billy Bob. - Będziesz walczyć czy nie? Ray i ja chcemy to wiedzieć.

- Masz cholerną rację, że będę walczył. Czy ta pinda sądzi, że jej pozwolę odebrać sobie moje przedsiębiorstwo?

- Masz sześćdziesiąt siedem lat, więc ona myśli, że...

- Mając osiemdziesiąt siedem, będę jeszcze...

Billy Bob roześmiał się głośno.

- Wyobrażam sobie, że będziesz.

- Tymczasem chodźmy na kolację - powiedziała Diana. - Mamy dla pani Carson dużą niespodziankę. U boku swego męża będzie walczyć pani Lear, a pani Lear walczy nieczysto!

Billy Bob uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Właśnie tak to sobie wyobrażałem, madam. Słyszałem pani nazwisko, jeszcze zanim Jack panią poznał i nigdy nie miałem co do pani żadnych wątpliwości.

6.

Diana ani jednym słowem nie skomentowała tego, co powiedzieli im Billy Bob, dopóki się nie rozebrali i nie odprawili miłosnego rytuału. Dopiero wtedy poszła do salonu i przyniosła butelkę szkockiej.

- Zacznijmy to powoli rozważać - powiedziała. - Jak przypieprzymy tej suce?

- Jeszcze nie wiem, maleńka - rzekł ponuro Jack. - Liczby nie wyglądają dobrze. Wielu ludzi da się przekonać, że mając sześćdziesiąt siedem lat i przebyty zawał, powinienem pozwolić komuś młodszemu przejąć codzienne obowiązki.

- Mary Carson idzie o zakład, że się poddasz, a ja się zakładam, że tego nie zrobisz.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę i niebawem zasnęli.

Kiedy Jack się obudził, była trzecia nad ranem. Słyszac spokojny

oddech Diany, wiedział, że ona śpi. Zamknął oczy, ale nie mógł ponownie zapaść w sen.

Nigdy nie będziesz zadowolony, patrząc jak ktoś inny prowadzi przedsiębiorstwo, które sam zbudowałeś.

Właśnie to powiedziała mu Anna, kiedy w 1949 roku wrócił z Teksasu... dwadzieścia cztery lata temu... opowiedział jej, że sprzedał większość swoich akcji pewnej grupie inwestorów kierowanej przez Douglasa Humphreya.

Powiedziała te słowa tutaj, w tym pokoju, chociaż nie w tym łóżku, ponieważ on - nie mogąc znieść spania z inną kobietą w łóżku, które dzielił z Anną - już dawno zastąpił je nowym.

Dwadzieścia cztery lata temu... Usłyszał te słowa tak wyraźnie, jakby dopiero je wypowiedziała, jakby to ona spała teraz obok niego.

Nigdy nie będziesz zadowolony, patrząc jak ktoś inny prowadzi przedsiębiorstwo, które sam zbudowałeś.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

1. - 1973

Waszyngtońskie mieszkanie Diany było wygodne, ale miało atmosferę hotelowego apartamentu, w którym nie spodziewała się mieszkać na stałe. Jedyne umeblowanie sypialni i kilka krzeseł sprowadzonych z New Jersey było jej własnością. Całą resztę zastała w tym mieszkaniu, gdy je wynajmowała. Tego późnego popołudnia Jack i Diana siedzieli na jej kanapie. Jackowi, bez marynarki i krawata, było tu wygodnie. Dla wygody także i Diana zdjęła ubranie, ale podciągnawszy półhalkę aż pod pachy, uczyniła z niej rodzaj domowego wdzianka. Powściągliwie sączyli drinki - on szkocką, ona wytrawne martini - ponieważ wieczorem wybierali się na kolację do „Le Lion d'Or” z „Kapem” Durenbergerem i jego żoną.

Jack wyszedł ze swego biura około drugiej po południu, polecając się zawieźć do mieszkania na Manhattanie. Ostatnio właśnie tam kazał sobie dostarczać całą korespondencję osobistą. Wrzucił listy to teczki i zabrał je ze sobą do Teteboro, gdzie wsiadł na pokład służbowego samolotu odwożącego go do Waszyngtonu. Podczas lotu przejrzał korespondencję, a teraz pokazywał ją Dianie.

- Twoja córka to skarb - mruknęła Diana, czytając długi list od Joni. - Obawiam się, że jej przyjazd nie spowoduje żadnej znaczącej różnicy, ale to cudownie, że przyjedzie.

Joni już wcześniej zatelefonowała z Zachodniego Wybrzeża i powiedziała, że przełoży wszystkie swoje zajęcia, aby pomóc Jackowi wygrać głosowanie akcjonariuszy. Jack poprosił córkę, by udała się z wizytą do każdego, kto posiadał więcej niż pięć tysięcy akcji. Takich akcjonariuszy było około trzydziestu. Jak dotąd odwiedziła czternastu i zdobyła głosy ich wszystkich z wyjątkiem jednego, który powiedział, że będzie musiał się zastanowić. Wizyta wielkiej gwiazdy, a może nawet kolacja w jej towarzystwie, łechtała próżność tych ludzi wystarczająco, by przekonać większość z nich. Jack bardzo na to liczył.

- Widziałam już list Sally Allen - powiedziała Diana. - Ile ich wysłała? Tysiąc? Kto wpadł na pomysł, aby jej powiedzieć, by każdy list podpisywała osobiście? I rzeczywiście to zrobiła?

- Wysłała tych listów półtora tysiąca i, tak, każdy podpisała osobiście. Każdy z tych listów mówił: „Oto ja przesyłam państwu osobisty autograf wielkiej gwiazdy, a teraz proszę, by państwo głosowali na mojego przyjaciela, Jacka Leara”. To był pomysł Sary. Mo Morris sugerował, żeby wysyłać tylko podpisane przez nią zdjęcie, ale koncepcja Sary podobała mi się bardziej. Jeden Pan Bóg wie, ile głosów przysporzy nam te półtora tysiąca listów.

- Pomysł Sary... Masz cudowną rodzinę, Jack. Liz na cały semestr zwolniłaby się z uczelni, gdybyś jej to polecił. Gotowa była robić cokolwiek, choćby adresować koperty.

- Twoja rodzina, która przecież nie jest tym finansowo zainteresowana, okazuje coś więcej niż uprzejmość. George wydaje się prawdziwym oparciem dla Liz.

- Bo jest w niej zakochany.

Jack uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Każde z nich mogło trafić znacznie gorzej. - Po tych słowach przymknął oczy, a twarz mu posmutniała. - Mój osiłek jest oczywiście zbyt głęboko związany z futbolem, by poświęcić nieco uwagi...

- Ma możliwość zagrania w kolejnej turze Super Pucharu - rzekła Diana.

- Super Puchar... - mruknął Jack. - Super Puchar. Wskaż mi coś mniej banalnego. Ze wszystkich moich dzieci on jeden...

- Nie mów czegoś, czego później będziesz żałował.

- Ja... Och, dziecinko! Wszystko się wali, zamienia się w kupę gówna, nieprawdaż?

Diana przysunęła się do Jacka i objęła go ramionami.

- Wcale nie, mój kochanku, mój mężu! Bez względu na to, co się stanie, ty masz już miejsce w historii.

- Może Lincoln był szczęściarzem - szepnął Jack. - Może Kennedy też... Taki pieprzony finał.

2.

Zamierzali zdrzemnąć się trochę przed wyjściem, ale rozległ się dzwonek domofonu. Na dole czekał „Kap” Durenberger. Diana ubrała się, nim wszedł.

- Naomi jeszcze odpoczywa i robi się na bóstwo. Spotka się z nami w restauracji - powiedział „Kap”. - Czy możecie mnie poczęstować takim drinkiem, żeby Naomi nie wiedziała, że piłem? Może wódką.

Osiemdziesięcioletni „Kap” był kruchy i nieco przygarbiony, ale nie stracił dawnej werwy i ochoty do życia. Gdyby znalazł okazję, wciąż byłby tym samym spryciarzem, jakim był trzydzieści lat temu. Ponieważ Naomi uważała, że nie powinien latać samolotem, przyjechali z Florydy pociągiem, co zajmowało niemal dwa dni.

- Wiecie, jak długo trwa podróż pociągiem z Miami do Houston? Niech to szlag!

- A co ty robiłeś w Houston, „Kap”? - zapytał zdumiony Jack.

- Rozglądałem się, szefie, po prostu się rozglądałem. Nigdy nie ufałem Dougowi Humphreyowi, o ile zechcesz to sobie przypomnieć. Nie miałem też zaufania do Mary Carson. Pojechałem więc do Houston, żeby się czegoś o niej dowiedzieć. Ludzie ufają takim starym sukinsynom jak ja. Mój Boże, jeszcze jak mi zaufali!

Diana poczęstowała go odrobiną wódki z lodem.

- Czego się dowiedziałeś, „Kap”?

- Zacznijmy od tego, jak Mary Carson doszła do tego, by rozejść się z mężem. W zachodniej dzielnicy Houston ludzie to pamiętają: rozbierane przyjęcia w basenie państwa Carsonów, „przyjęcia z kluczem”... Wiecie co to jest?

Diana skinęła głową.

- Ludzie wrzucają do jakiejś torby klucze od swoich mieszkań i...

- I wyciągają je - mówił dalej „Kap”. - Mężczyzna wyciąga klucz i idzie do domu z jego właścicielką. Pieprzą się przez całą noc, a rano wszyscy spotykają się gdzieś na śniadaniu, żeby mężowie i żony mogli się posortować i połączyć od nowa. Za wcześniej się urodziłem...

- I co dalej? - pytał Jack.

- Jakaś kobieta zaszła z Carsonem w ciążę. Poza tym, nie było pewności, że Emily, córka Mary, jest córką Carsona. Wkroczył w to Doug Humphrey i zaaranżował rozwód. Mary i Carson chyba wcale tego nie chcieli, ale kiedy Doug obwieścił, że zamierzają się rozwieść, to się rozwiedli. Doug Humphrey, *pater familias*, reprezentował starą szkołę i nie akceptował żadnych głupstw. Zawsze postępowano zgodnie z jego życzeniem. Zresztą wszystkiego dokonano bardzo starannie. Z wyjątkiem jednego drobiazgu. Rogaczka Mary pozostała samotna, stanowiąc zagrożenie dla każdego małżeństwa w Bayou Oaks. Jednak Doug postanowił odtąd trzymać ją krótko. Kazał córce zamieszkać ze sobą i zdecydowanie odciął ją od pieniędzy, wypłacając jedynie niewielkie kieszonkowe. Znienawidziła starego sępa.

- Co to ma wspólnego z naszą sprawą? - zapytał zwięźle Jack.
- Jeszcze nie usłyszałeś wszystkiego - odparł Durenberger. - Czy wiesz, gdzie jest teraz Emily, córka Mary?

Jack zmarszczył brwi.

- Doug Humprey miał talent do ukrywania wszystkiego przed prasą i telewizją, ale jego wnuczka - tu „Kap” przestał się śmiać - od czterech lat odsiaduje w więzieniu federalnym wyrok skazujący ją na dziesięć lat. To długa historia, która wiąże się z ucieczką Emily spod kurateli matki i ojca, z zażywaniem przez nią heroiny, a nawet puszczaniem się dla zdobycia pieniędzy na narkotyki. - „Kap” ściszył głos i potrząsnął głową. - Właśnie tego dowiedziałem się w Houston: Emily poszła na ulicę i puszczała się za pieniądze.

- Jezu Chryste, „Kap”! - krzyknęła Diana.

- Została jednak uratowana - mówił dalej „Kap”. - Domyślcie się przez kogo? Przez anarchistyczną grupę terrorystyczną. Odruli ją, jeśli można tak powiedzieć, zmusili do rzucenia narkotyków, a potem ją zwerbowali. Została konstruktorką bomb. Całe szczęście, że żadna z jej bomb nikogo nie zabiła. Ale w końcu ją schwytano i teraz odsiaduje ten dziesięcioletni wyrok w federalnym żeńskim zakładzie karnym w Zachodniej Wirginii. To jest właśnie ten klekoczący kościotrup w szafie Mary Carson.

Jack splótł dłonie i przesuwiał nimi po nosie i ustach, aż do podbródka.

- „Kap”... No i co z tego?

„Kap” uśmiechnął się z wahaniem, czując, że Jackowi nie spodobało się to, co mu opowiedział, i że nie spodobają mu się pozostałe wieści.

- Okay. Mamy akcjonariuszy z protestanckimi zasadami, którym na pewno ani trochę nie spodobają się przyjęcia w Bayou Oaks. Mamy akcjonariuszy, którzy wierzą w prawo oraz porządek, a będą się wzdragać na dźwięk słowa „terrorysta”, nie mówiąc o tym, jak zareagują na wiadomość, że kandydatka na dyrektora ma córkę, która zażywała ciężkie narkotyki, a teraz odsiaduje wyrok w ciężkim więzieniu. Nie chcesz tego wykorzystać?

Jack potrząsnął głową.

- Wiedziałem o tym. Oddajmy tej damie sprawiedliwość: sama mi o wszystkim opowiedziała - rzekł spokojnym, ale zdecydowanym głosem. - Nie, „Kap”. Nie wykorzystam tego. Jeśli przegramy, to przegramy, ale ja obiecałem, że tego nie użyję...

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

1. - 1973

Dzień przed zebraniem akcjonariuszy, w poniedziałkowy wieczór, 19 listopada, Jack i Diana wydali kolację w ich apartamencie w nowojorskim hotelu Hilton. Była na nim Joni z Davidem oraz Liz ze swoim chłopakiem George'em, siostrzeńcem Diany. Przyjechał też Mały Jack, a grono rodzinne uzupełniała Sara. „Szczebiotka” Gloria i Brent Creighton, przyjaciel Sary, jedli kolację na dole, ponieważ Jack i Diana nie chcieli rozmawiać o interesach w ich obecności. Żony Herba Morrilla, Mickeya Sullivana i „Kapa” Durenbergera także jadły w hotelowej restauracji i to nie dlatego, by z braku zaufania nie chciano, żeby przysłuchiwały się dyskusji, lecz z obawy, że prawdopodobnie znudziłyby się rozmową o interesach. Curt i Betsy Frederickowie przyjechali z Arizony, a z Los Angeles przybyła Sally Allen.

Gdy po kolacji, siedząc w salonie hotelowego apartamentu, wspólnie analizowali sytuację, doszli do wniosku, iż jest ona zgoła ponura.

Akcje należące do samego Jacka, jego rodziny i przyjaciół oraz te, na które mógł liczyć w głosowaniu pełnomocników dawały mu dwieście siedemdziesiąt pięć tysięcy głosów, co stanowiło dwadzieścia siedem i pół procenta udziałów sieci LCI. Gdyby Billy Bob Cotton i Ray L'Enfant także głosowali na niego, miałyby trzydzieści siedem i pół procent.

- Chciałabym przeczytać kilka nazwisk z grupy pełnomocników głosujących *per procura* - powiedziała Diana, rozkładając jakąś listę. - Ta grupa nie zmienia wiele, ale dowodzi istnienia życzliwych przyjaźni. Mamy pełnomocnictwo do dysponowania pięćdziesięcioma udziałami przekazane przez Constance Horan. Podobne upoważnienie dysponowania pięćdziesięcioma akcjami otrzymaliśmy od Harry'ego Kleina i Benjamina Langa, producenta i reżysera kilku filmów Joni. Dziękujemy ci, Joni. Podejrzewam, że ci panowie kupili owe akcje tylko po to, by móc głosować w taki sposób. Pełnomocnictwo do dysponowania pakietem stu

akcji przesłał nam Mo Morris, agent Joni i wspólnik Sary. Upoważnienie do pięciu akcji dostaliśmy też od Edwarda Martina, farmera z Oklahomy, który przysłał je wraz z życzeniem szczęścia. Rebecca Murphy, prywatny detektyw z Bostonu, pozwala nam dysponować jej pięcioma akcjami, zaś Arthur, Dziesiąty Lord Weldon, oddaje do naszej dyspozycji swój pakiet dwustu akcji. Wreszcie - tu Diana uśmiechnęła się do Jacka - mamy też pełnomocnictwo pani Valerie Latham-Field, która sto akcji kupiła najwyraźniej niedawno, czyniąc to z powodów, których nie ma potrzeby się domyślać.

To był ostatni jasny punkt owego wieczoru. Wszyscy dokładnie wiedzieli, że ani dwadzieścia siedem i pół ani trzydzieści siedem i pół procenta nie pozwoli zachować kontroli nad spółką.

Diana była bardziej ożywiona niż Jack. Krążyła między gośćmi, rzucając słówko tu i słówko tam. Nosiła dziś obcisłe jasnoblękitne spodnie i luźny biały sweter.

Jack opadł ciężko na fotel stojący w rogu salonu. Miał na sobie jeden ze swych słynnych granatowych garniturów z białą chusteczką w kieszonce. Wiedział, że ludzie rzucają mu spojrzenia pełne aprobaty i - niech im Bóg wybaczy! - współczucia. Wiedział, że przyglądają mu się znacznie uważniej niż czynili to dawniej, zwracając przy tym szczególną uwagę na wątrobowe plamy, które pojawiły mu się na głowie i rękach, na podkrążone oczy, obwisłe powieki oraz wiotczące policzki. Uśmiechał się do każdego, kogo na tym przyłapał, pokazując wszystkim, że zachował poczucie humoru.

Nagle zapadła cisza, jakby wszystkim jednocześnie wyczerpały się tematy do rozmowy. Instynktownie obrócili się ku niemu.

- Czyż nie byłoby zabawnie - zapytał łagodnie - gdyby wszystkie nasze niepokoje i obawy okazały się niepotrzebne? Jeśli Billy Bob Cotton i Ray L'Enfant połączą się z nami, będziemy mieć trzydzieści siedem i pół procenta, co sprawi, iż znajdziemy się znacznie bliżej.

Nie zdołał poprawić nastroju innych.

W rogu pokoju Curt Frederick rozmawiał z „Kapem” Durenbergerem.

- Myślę o tych latach i sprawach... To będzie kres pewnej epoki. Cholera! Musimy się cieszyć, że jesteśmy na emeryturze! Nie chciałbym być dłużej w LCI.

Sara i Liz stanęły z dala od grupy.

- Żałuję, że nie znam go dłużej i lepiej - powiedziała Sara.

- Jest wspaniałym człowiekiem - odparła z prostotą Liz. - Nie wiem, czy on sobie tego życzy, ale zamierzam napisać do twojej matki list, dziękując jej za kupno akcji i przesłanie nam swego pełnomocnictwa. To prawdziwy głos i dowód zaufania, Saro.

- Może ja także powinnam to zrobić...

Mały Jack rozmawiał z Dianą.

- Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak było z moim ojcem i ze mną? Nigdy nie było go w pobliżu.

Diana śmiała się z tego.

- Jeszcze jeden mały chłopiec, który obraża się na ojca, bo stary tyrał jak wół, żeby zarobić na utrzymanie. To banał, MJ, cholernie paskudny stereotyp.

- W porządku; dał mi wszystko, co mógł, wszystko co najlepsze.

- To także banał, ale nie zapominaj, MJ, że twój ojciec naprawdę zbudował to przedsiębiorstwo. Obok trzech innych, LCI jest największą siecią telewizyjną w Stanach Zjednoczonych. On ją zbudował. A jutro ją straci. Czy to cię chociaż trochę obchodzi?

- A czy jego chociaż trochę obchodzi to, co ja zrobiłem?

- A co ty zrobiłeś? - zapytała Diana z niemal galijskim wzruszeniem ramion. - Nigdy nie dorosłeś. Przez całe życie grasz w chłopięcą grę. O tak, zarobiłeś na niej pieniądze i zdobyłeś chwilową sławę, ale kiedy wycofasz się z gry, bardzo szybko zostaniesz zapomniany, a twój ojciec zapomniany nie będzie.

- Czy właśnie tak o mnie myślisz?

- Zapytaj go. Twój ojciec sam mówi za siebie.

Mickey Sullivan rozmawiał z Herbem Morrilem.

- Ojciec Jacka byłby z niego dumny. Chociaż strasznie się ze sobą kłócili, Erich wciąż o nim myślał.

- Na Boga, nie róbmy z tego pogrzebu - szepnęła Herb.

Joni cicho rozmawiała z Dianą.

- Najchętniej udusiłabym tę Mary Carson - powiedziała Joni. - Tak bardzo kocham mojego ojca. I pomyśleć, że taka... Diano, to mogłoby go zabić.

Diana potrząsnęła głową.

- Nie, to go nie zabije. Zabić mogła go tylko śmierć Anny.

Nagle zadzwieczał dzwonek i Diana podeszła do drzwi. Stał w nich Billy Bob.

Zebrani wiedzieli, że jego przybycie jest znaczącym wydarzeniem. Stanęli z boku, gdy Jack i Diana wprowadzali Billy'ego Boba do sypialni hotelowego apartamentu i zamknęli drzwi.

- Szklaneczkę burbona? - zapytał Jack, gdy Billy Bob usiadł na krześle.

- Później - rzekł Billy Bob, kręcąc przecząco głową.

- Nie przyszedłeś tu z dobrymi wiadomościami - powiedziała Diana.

- Nie. Jack... Diano... Rano prawdopodobnie dostaniecie moje głosy. Nie będziecie jednak mieć głosów Raya.

- Nie będziemy mieć głosów Raya? Sądziłem, że...
- Ja też tak myślałem, ale potem... potem coś się wydarzyło.
- Co? - zapytała Diana.
- Ray jest wściekły. Ma coś na wątrobie.
- Co takiego?
- Emily.
- A co z Emily?

Billy Bob założył nogę na nogę i, jak niekiedy robił to w chwilach zdenerwowania, pocierał swoje buty z wężowej skóry palcami prawej ręki.

- Słyszeliście o akcjonariuszce nazwiskiem Elsie Sennett?
- To nazwisko jest na liście. Odziedziczyła... chyba pięć tysięcy akcji.

To wszystko, co o niej wiem.

Billy Bob westchnął.

- Ta kobieta mieszka w Baton Rouge. Dwa tygodnie temu odebrała telefon od „Kapa” Durenbergera, którego poznała parę lat wcześniej. Prosił, by dała ci swoje pełnomocnictwo. Była trochę niezdecydowana, więc „Kap” powiedział: „No cóż, powinna pani zatem dowiedzieć się czegoś o Emily Carson” i zaczął jej opowiadać jakąś naprawdę okropną historię o córce Mary.

- Znam tę historię - powiedział Jack. - Mary opowiedziała mi ją już dawno.

- Elsie Sennett zadzwoniła do Raya, który jest jej znajomym, by mu zrelacjonować to, co, jak sądziła, jest jakimś okropnym kłamstwem o Mary i jej córce. Ray wiedział wszystko o Emily, był bowiem znacznie bliższym przyjacielem Douga Hamiltona niż ja. W istocie próbował nawet pomóc Dougowi w złagodzeniu zarzutów. Tak czy inaczej Ray zatelefonował do Mary, by jej powiedzieć, że ta historia została wykorzystana przeciwko niej. Ponieważ zaś cała sprawa wyszła od „Kapa” Durenbergera, oboje - Ray i Mary - podejrzewają, że faktycznie wyszła od ciebie. Mary jest wściekła. Mówi, że opowiedziała ci o Emily w zaufaniu, a ty...

- Nie zawiodłem jej zaufania! - gwałtownie zaprzeczył Jack. - To nie ja opowiedziałem o tym „Kapowi”. Sam się dowiedział. Przyjechał do nas z tą opowieścią i oboje, Diana i ja, mówiliśmy mu, żeby jej nie wykorzystywał. Od chwili, gdy Mary opowiedziała mi o swojej córce, do dnia kiedy „Kap” przywiózł nam tę opowieść do Waszyngtonu, Diana była jedyną osobą, która usłyszała ją ode mnie.

Billy zmarszczył brwi.

- Teraz napiję się burbona - mruknął. - Oczywiście przyjmuję też twoje zapewnienie i oddaję ci mój głos.

- Gdzie jest Ray? - spytała Diana.
- Wynajął pokój w hotelu Plaza - odparł Billy Bob.

- Nie będziemy do niego telefonować, Diano - rzekł Jack, napełniając trzy szklaneczki. - Nie będę go prosić o głos. Kiedy usłyszał tę opowieść, powinien był zadzwonić do mnie i wszystko sprawdzić. On zaś pogodził się z myślą, że zawiodłem zaufanie Mary i nie był chociaż na tyle przyzwoity, by ze mną o tym porozmawiać. Niech go szlag trafi!

- Zdaje się, że tego samego mógłbyś życzyć mnie - rzekł Billy Bob.

- Dlaczego? Ty przyszedłeś z tą historią do mnie, ja powiedziałem ci prawdę i przyjąłeś moje zapewnienia - mówił Jack, przemierzając pokój. - A Mary także... Mogłaby mieć przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby mnie zapytać, czy...

- Najgorszą rzeczą, jeśli chodzi o Mary, jest to, że wyobraża sobie, iż wszelki rozgłos wokół Emily znacznie jej utrudni wcześniejsze zwolnienie warunkowe. Emily odsiedziała już cztery lata i istnieje pewna nadzieja, że mogłaby uzyskać to warunkowe zwolnienie jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

- Jaki rozgłos?! Dlaczego miałby powstać wokół tego jakiś pieprzony rozgłos?!

- „Kap”...

Jack rzucił się do drzwi i otworzył je gwałtownie.

- „Kap”! Chodź tutaj! - zawołał, a potem, gdy „Kap” znalazł się całkiem blisko, ściszył głos, żeby nikt inny nie mógł tego usłyszeć: - Ani słowa komukolwiek o Emily Carson! Rozumiesz? Piśnij tylko słówko, a znajdę sposób, żeby pozbawić cię twojej pieprzonej emerytury! - wyszczał, a potem, zostawiwszy oblanego purpurą „Kapa” z otwartymi ustami, zatrzaskał mu drzwi przed nosem.

- Porozmawiam z Rayem - rzekł Billy Bob. - I z Mary.

- Zrób to, proszę - rzekł Jack. - A teraz, wybacz, muszę odbyć jeszcze jedną rozmowę telefoniczną.

Gdy Billy Bob wyszedł z pokoju, Jack spojrzął na Dianę.

- Grotius? - zapytała spokojnie.

- Grotius - odparł Jack wzruszając ramionami. - A dlaczego nie? Nasza z góry upatrzona pozycja.

- Chyba nie.

- Wolę to, niż cokolwiek innego.

Uśmiech Diany był łagodny i pełen zadumy.

- Kto próbuje przypierać cię do muru, powinien się najpierw dobrze zastanowić...

2.

Zebranie akcjonariuszy odbywało się w sali balowej nowojorskiego hotelu Hilton o dziesiątej następnego ranka.

Jack i Diana zjawili się w prowadzącym do niej holu wraz z Joni i MJ tuż po ósmej. Joni w różowej minisukience była ucieleśnieniem olśniewającej gwiazdy filmowej. MJ miał na sobie granatową marynarkę ze złotymi guzikami i popielate spodnie oraz odznakę zdobytego Super Pucharu. Telewizyjny magnat, kongresmenka, gwiazda filmowa i bohater stadionów... razem tworzyli wspaniałą grupę. Wszyscy proszeni byli o autografy.

Mary Carson pojawiła się dopiero w chwili otwarcia zebrania i usiadła za stołem przydzielonym obok Jacka.

- Przepraszam, że zwątpiłam w twoje słowo - powiedziała cicho. - I przepraszam, że do ciebie nie zadzwoniłam.

- „Kap” zrobił okropne świństwo - odparł Jack stanowczym, opanowanym głosem. - Równie okropnie postąpili ludzie, którzy będąc przez wiele lat moimi przyjaciółmi, okazali mi taką podejrzliwość.

Jack otworzył zebranie i jako prezes wygłosił dziesięciominutowe przemówienie, składając akcjonariuszom jedynie krótkie sprawozdanie o kondycji spółki, zaś po bardziej szczegółowe informacje odsyłając ich do opublikowanego rocznego raportu z jej działalności.

- Następnym punktem obrad - rzekł Jack - jest wybór rady nadzorczej. Proszę o zgłaszanie kandydatur.

Billy Bob wstał i zgłosił listę dyrektorów, złożoną z ludzi popierających Jacka jako dyrektora operacyjnego. Po nim pewien prawnik z Dallas przedstawił inną listę. Nazwisko Jacka było także na niej, co oznaczało, że pozostałby jednym z dyrektorów spółki bez względu na to, która lista wygrałaby te wybory. Jednak większość kandydatów z drugiej listy w następnym głosowaniu opowiedziałyby się za Mary, jako za nowym rzeczywistym dyrektorem operacyjnym.

- Jeśli nie ma innych kandydatur - rzekł Jack - nazwiemy listę zgłoszoną przez pana Cottona listą „A”, a tę którą zgłosił mecenas Lovell, listą „B”. Głosowanie odbywa się za pomocą kart wyborczych, na których wystarczy napisać „A” lub „B”.

Gdy wyznaczone do tego osoby zbierały głosy, do stołu przydzielonego podszedł Billy Bob Cotton. Mówił cicho, ale Mary mogła usłyszeć z czym przyszedł do Jacka.

- Ray pojechał do domu - rzekł - ale dał mi swoje pełnomocnictwo z poleceniem, bym głosował na ciebie.

Głosy zostały zebrane i policzone, więc Jack wszedł na mównicę i uderzając młotkiem poprosił o ciszę.

Przewodniczący komisji skrutacyjnej odczytał wynik głosowania.

- Łącznie 777.255 akcji. Na listę „A” oddano 379.412 głosów, zaś na listę „B”: 397.843.

W sali zapadła cisza. Nie było oklasków. Wszyscy, nawet zwycięzcy, byli oszołomieni.

Mary położyła rękę na ramieniu Jacka.

- Chcę, żebyś zatrzymał swój gabinet dokładnie w tym samym miejscu. Twoje wynagrodzenie pozostanie takie samo. Podobnie możliwość korzystania z samolotów i samochodów spółki.

- Cóż, obawiam się, że nie będzie to takie proste, Mary. Zamierzam powiedzieć kilka słów akcjonariuszom. Poza tym jest tu pewien człowiek, którego chciałbym ci przedstawić.

Jack wstał i podszedł do mikrofonu.

- Panie i panowie, zanim zakończą się te obrady chciałbym wydać krótkie oświadczenie. Okazali państwo znaczną uprzejmość, wybierając mnie dzisiaj jednym z dyrektorów firmy Lear Communications, Incorporated. Dziękuję, ale odmawiam. Co więcej; rezygnuję z gabinetów i biur, jakie miałem do tej pory. Juliusz Cezar powiedział kiedyś, że wolałby być pierwszym w małej hiszpańskiej wiosce niż drugim w Rzymie. Ja także. Albo kieruję tą spółką, albo nie chcę mieć z nią nic wspólnego. Tych, którzy zaplanowali ten... zamach... a sądzę, że właśnie tak trzeba to nazwać... czeka pewna niespodzianka. Poprosiłem, żeby przyjechał tutaj pan Junius Grotius. Oto on. Pan Grotius jest prezesem firmy Wyncherly-DeVere, Limited, będącej połączoną siecią brytyjsko-holenderską. Od pewnego czasu pan Grotius przedstawiał zarówno mnie, jak i innym ofertę kupna naszych akcji sieci LCI i właśnie ostatnio podpisałem zobowiązanie umożliwiające firmie Wyncherly-DeVere zakup moich udziałów w przypadku, gdybym stracił kontrolę nad spółką. Identyczne dokumenty podpisali wszyscy członkowie mojej rodziny oraz przyjaciele i współpracownicy. Co więcej; pan Grotius uzyskał takie zapewnienie również od dwóch banków, będących posiadaczami większościowych pakietów akcji. Dzisiaj firma Wyncherly-DeVere wykorzysta te upoważnienia i zrealizuje nasze zobowiązania, a jutro będzie największym udziałowcem sieci Lear Communications. Jak już powiedziałem, skoro nie mogę kierować tą spółką, to nie chcę mieć z nią nic wspólnego. Teraz przejdzie ona... myślę, że dość szybko... pod kontrolę koncernu o takim kapitale i umiejętnościach, które uczynią z niej większego zawodnika w tym „sporcie” niż kiedykolwiek była; większego niż mnie się kiedykolwiek śniło, zaś jej akcjonariusze z pewnością ogromnie na tym zyskają.

Po tych słowach Jack z ukłonem wskazał Juniusa Grotiusa i odszedł od mikrofonu. Rozległy się oklaski.

Jack pochylił się nad Mary Carson.

- Teraz moja droga, zobaczmy, jak ich przypierasz do muru - rzekł cicho.

Diana i Joni torowały sobie drogę przez tłum akcjonariuszy. Gdy Jack zszedł z mównicy, objęły go i razem ruszyli, by wymienić uścisk dłoni z Juniusem Grotiusem. Wtedy nieoczekiwanie wręcz wybuchły głośne brawa, które zmieniły się w długotrwały aplauz. Jack wraz z dwiema kobietami, które kochał, powoli przechodził przez tłum ludzi pragnących ich uściskać, a nawet ucałować, gdy razem zmierzali do drzwi.

KONIEC